



WAR BOOK®

JAKUB PAWEŁEK

PIERŚCIENŃ OOGONIA

USA kontra Chiny...

JAKUB PAWEŁEK

Pierścień ognia

PROLOG

Okolice Jilan, Republika Chińska | 19 maja 2023, godzina 20:01

Większość budynków wciąż stała. Częściowo naruszone eksplozjami kopciły słupami czarnego dymu. Powybijane szyby chrzęściły pod podeszwami butów. Jamy futryn straszyły lśniącem wewnątrz budynków ogniem. Chińczycy uderzyli brutalnie i zabójczo skutecznie. Inteligentne bomby, pociski manewrujące dalekiego zasięgu, środki zniszczenia naprowadzane z chirurgiczną precyzją. Jeszcze kilkanaście lat temu w taki scenariusz nie uwierzyłby nikt. Dzisiaj Państwo Środka stało się jedną z najskuteczniejszych machin wojennych współczesnego świata.

Przebiegli między zmiażdżonym przez kawał ściany sedanem i rzędem rowerów, pozostawionych w długim na kilka metrów stojaku. Co chwila nad miastem rozlegał się wizg przelatującego myśliwca. Tajwańczycy właściwie już nie walczyli w powietrzu, na lądzie nie szło im o wiele lepiej. Gdyby nie Amerykanie, chińskie lotnictwo latałoby nad wyspą niemal całkowicie bezkarnie. Jakub Jastrzębski wychylił się nieznacznie w stronę wylotu ulicy. Cyfrowy zoom w HUD-zie hełmu pozwalał na niczym niezamąconą obserwację.

Skąpane w butelkowej zieleni skrzyżowanie wyglądało na całkowicie martwe. Głośna kanonada dobiegała z samego centrum, na przedmieściach walki ograniczały się do ostrzałów i bombardowań. Na prawo, nie dalej niż sto metrów od ich pozycji, majaczyła wysoka świątynia. Pełna luków i zdobień wyrastała pomiędzy betonowymi kłocami niczym elfi pałac. Jastrzębski spojrzął w lewo. Tu również system nie wyłapał niczego szczególnego. Kilka domów i jeden sklep wyglądały na nienaruszone. Chińczycy wylądowali w Jilan ledwie kilkadziesiąt minut wcześniej. Mrowie śmigłowców zawisło nad miastem, desantując kolejne ciemne sylwetki. Chiński „Helikopter w ogniu”, pomyślał wtedy Jastrzębski.

– Skrzyżowanie czyste, do zabudowań mamy sto dwadzieścia metrów. Przejdziemy między budynkami, potem mamy kawałek otwartego terenu – powiedział Jastrzębski, lustrując okolicę. Nad kombinatem przemysłowym, do którego zmierzali, rosła coraz jaśniejsza luna. – Kompleks musiał oberwać, ale lepszej drogi nie ma.

– Przyjąłem, Antracyt Jeden. Możemy podchodzić? – usłyszał w słuchawce głos kapitana Preissa.

Jastrzębski jeszcze raz przesunął wzrokiem po budynkach i wymarłych ulicach. Poza kilkoma porzuconymi samochodami i targanymi podmuchami wiatru kawałkami papieru nie zauważył niczego. System milczał, w zasięgu optyki nie czaił się żaden człowiek ani wrogi pojazd. Gdyby nie odległe pomruki detonacji, Jilan przypominałoby plan filmowy horroru klasy B.

– Możecie podchodzić. Teren czysty – potwierdził i wychylił się trochę bardziej. Przycisnął kolbę MSBS-a do ramienia i złożył się do strzału.

– Idziemy... – rzucił Preiss.

Minutę później niewielkimi grupkami pokonywali opustoszałe skrzyżowanie. Grupę wystraszonych dyplomatów ochraniał operatorzy Radegastu. W odróżnieniu od niewzruszonych specjalsów cywile przypominali żywe trupy. Kilka dni tułaczki odcisnęło na nich swoje piętno.

– Rzeczywiście komuś tu przyjebali... – stwierdził Bołkoński. Wylot uliczki, w którą wbiegli, wychodził prosto na wąski spłachetek pola uprawnego i znajdujące się dalej ogrodzenie otaczające kombinat.

– Pożar się rozprzestrzenia. Może jednak...? – zapytał Jastrzębski.

– Nie mamy czasu. Chińczycy prawdopodobnie zdusili już opór w centrum i wyparli Tajwańczyków

na przedmieścia. Zamarudzimy tu jeszcze kilka minut i wpadniemy między obie armie – odpowiedział Preiss, kręcąc przecząco głową.

– Preiss ma rację. Musimy przejść przez fabrykę, do celu zostało nam piętnaście kilometrów, a czas ucieka – dodał Bołkoński.

– Dobra, idziemy jak do tej pory. „Whiskers” ze spotterem na wąsy, reszta w grupach – powiedział Preiss i ruszył do tyłu. Zbici w grupki cywile co chwila kulili się na dźwięk detonujących bomb i wystrzałów z dział.

– Są coraz bliżej... – wyszeptał Rosjanin.

– Wiem, Andriej, zbierajmy się stąd.

Kilka hal fabrycznych rozmywało się w duszącym dymie. Gdyby nie system filtrów w zamkniętych hełmach, operatorzy mieliby taki sam problem z oddychaniem jak cywile. W jedną z hal trafiło kilka pocisków raketowych i rozerwany dach przypominał podziurawione cielsko gigantycznego monstrum. Ogień buchał wysoko ponad postrzępioną blachę i huczał w ciemnościach. Przechodzili przez niewielki placyk zagracony poprzewracanymi paletami pełnymi worków ze sproszkowaną zaprawą murarską. Siła eksplozji rozerwała folię ochronną, rozsypując biały proch na beton.

– „Whiskers” do wszystkich, trzy pojazdy, pięćdziesiąt metrów od głównej bramy. System potwierdza, to Tajwańczycy. Pojazdowi towarzyszy kilkudziesięciu ludzi – usłyszeli pod hełmami.

– „Whiskers”, tu Orchidea – powiedział Preiss. – Pozwólcie im przejechać. Nie potrzebujemy kłopotów z gospodarzami.

– Przyjąłem, Orchidea.

– Orchidea do wszystkich. Natychmiast znaleźć kryjówki, niech Tajwańczycy przejadą przez kombinat. Za wszelką cenę unikać wykrycia. W przypadku zagrożenia macie pozwolenie na otwarcie ognia.

– Przyjąłem, Orchidea – odparł Jastrzębski. Zmełł w ustach przekleństwo i pokierował podległych mu cywilów do niewielkiego składziku między wieżami z palet. Trójka mężczyzn natychmiast weszła do kanciapy. On sam wcisnął się między rozrzucone worki i objął swoją strefę odpowiedzialności.

Gąsienice tajwańskich transporterów CM-21 chrzęściły na nierównym betonie. Krzyki żołnierzy przebijały się przez jednostajny hurgot silników. Wtopieni w otoczenie specjaliści widzieli, jak na placyk wjeżdża pierwszy wóz. Poznaczony rykoszetami z broni automatycznej i osmalony, był dowodem na to, przez co musiała przejść tajwańska armia. Żołnierze nie wyglądali o wiele lepiej, truchtali wzdłuż burt, co jakiś czas unosząc broń w stronę niewidocznego przeciwnika. System identyfikacji Jastrzębskiego co chwila obrysowywał żółtym konturem kolejnego piechura lub pojazd.

– Czekać... – wyszeptał Preiss ledwie słyszalnie.

Rakieta wbiła się w pancerz czołowy transportera, dosłownie rozrywając go na kawałki. Ogień plunął na wszystkie strony, Tajwańczycy rzućeni na beton siłą detonacji wili się przedśmiertnych spazmach. Chwilę później kolejna rakietka detonowała między zabudowaniami, wyrzucając w powietrze masy gruzu i pogiętej blachy. Dwa ocalałe transportery błyskawicznie rozjechały się na boki i zniknęły za ścianami budynków. Piechota rozsypała się w nieregularną formację, chowając za skrzyniami, paletami i płatami blachy.

– Siedzieć na dupach! Powtarzam, wszyscy trzymać pozycje! – krzyczał Preiss przez radio.

– Przyjąłem, Orchidea – odpowiadali komandosi jeden po drugim.

Tajwańczycy odpowiedzieli ogniem chwilę później. CM-21 odezwały się półcalówkami sterowanymi z wnętrza pojazdów. Chiński śmigłowiec przefrunął nad kompleksem z wyciem wirnika. Następny wybuch zlał się w jedno z wrzaskiem, który rozerwał łącze.

– Orchi... Tu Kro... Palim... Pomocy! – Urywane krzyki któregoś z operatorów stawiały włosy dęba.

– To Krokus! Kurwa mać! Przyjebali prosto w ich kryjówkę, idę po nich! – krzyknął Bołkoński i wraz ze swoją sekcją wyskoczył zza osłony prosto między osłupiałych Tajwańczyków. Krótkie serie wypływane z AK-12 powaliły na beton unoszących broń piechurów.

– Orchidea do wszystkich, osłaniać Bołkońskiego!

Karabinowa palba rozgorzała na dobre. Tajwańczycy padali jeden po drugim, krzyżowy ogień specjalsów nie dawał szans na przeżycie. Jastrzębski starannie wybierał cele, pojedyncze pociski trafiały tylko tych, którzy przymierzali się już do oddania strzału. Nie zmusiłby się do strzelania w plecy uciekającym.

– Tu Jaśmin Jeden, jestem na miejscu. Kurwa mać... Dwóch nie żyje, wszyscy cywile pod opieką Jaśmina zabici... Krokus Jeden ranny, Krokus Dwa bez obrażeń... – Meldunek Rosjanina przerwał charakterystyczny dźwięk rykoszetujących pocisków. Chwilę później do kakofonii włączyło się ujadanie AK Bołkońskiego. – Mamy kilku Tajwańczyków na karku. Zajmijcie się nimi, wyniesiemy rannego.

– Przyjąłem. Damy wam osłonę, wracajcie – odpowiedział Preiss.

Tajwańczycy, przyciśnięci z dwóch stron, wycofali się z placyku, ich ostrzał stał się chaotyczny. Strzelali bardziej na wiwat, chińskie śmigłowce również musiały gdzieś odlecieć.

Bołkoński pojawił się między zwałami pociętej i płonącej blachy niczym zjawa. Otulony dymem wodził lufą karabinu w poszukiwaniu celów. Tuż za nim dwójka operatorów niosła na składanych noszach rannego Rosjanina. Bołkoński dopadł swojej pozycji i odwrócił się, dając osłonę dwójce z noszami. Preiss już na niego czekał.

– Popierdoliło cię?! – warknął. Wydawało się, że gdyby nie zamknięty hełm balistyczny, kapitan spaliłby go wzrokiem. – Chciałeś zabić siebie i swoich ludzi?

– Tam byli nasi, ranni. Mieliśmy ich zostawić, żeby się zjarali żywcem? – odpowiedział Bołkoński.

– Mieliście poczekać na rozkaz! Do reszty ochujałeś? Plac nie był zabezpieczony, kto by was zniósł, jakbyście dostali? No? Kto?

– Przecież nic się nie stało... – Bołkoński uniósł dłoń w pojednawczym geście.

– Orchidea, tu Antracyt Trzy. Od północnego zachodu zbliżają się kolejne śmigłowce. Będą nad nami za dwie minuty – usłyszał Preiss.

– Przyjąłem, ruszamy za sześćdziesiąt sekund. Gdzie Tajwańczycy?

– Wycofali się poza obręb kompleksu, chyba będą chcieli obejść teren i ruszyć na północ inną drogą.

– Przyjąłem. – Polak przełączył się na kanał ogólny i przekazał wiadomość o nadlatujących śmigłach.

– Ewakuujemy się stąd. Natychmiast.

Nie zdążyli nawet na dobre wyjść poza niewielki placyk. Salwa kilkunastu niekierowanych rakiet wystrzelonych przez dwa chińskie śmigłowce WZ-10 rozerwała się na dachach i uliczkach fabryki. Ktoś upuścił nosze z rannym, który zawył jak potępieniec. Innego prosto w stertę gruzu cisnęła fala uderzeniowa.

– Wyośmy się stąd! – krzyczał któryś z żołnierzy w interkombie.

Jastrzębski odwrócił się i pospieszył spanikowanych cywilów. Preiss biegł na końcu, ostatnia grupka dyplomatów ledwie trzymała się na nogach, ktoś musiał ich pilnować. Jakub widział, jak ogniki, które pojawiły się na niebie, zbliżają się w zawrotnym tempie. Rakiety przebiły wysoką, blaszaną konstrukcję i rozerwały na strzępy potężne dźwigary podtrzymujące halę. Kapitan nie miał żadnych szans. Nim odwrócił się w stronę serii eksplozji, tony blachy zwały się na niego, grzebiąc pod gruzami.

ROZDZIAŁ I

Osiem miesięcy wcześniej

Wiadomości TVN24 | 18 października 2022, godzina 17:42

Zaostrzenie polityki wobec nielegalnych imigrantów z Meksyku spotkało się z wyraźnym sprzeciwem społeczności latynoskiej. Zatwierdzona przez prezydenta Alberta Armitage'a ustawa pozwala między innymi na nakładanie surowych kar finansowych na rodziny nielegalnych imigrantów, które już przebywają na terenie USA. Ustawa nadaje również znacznie większe kompetencje organom ścigania oraz agencjom odpowiedzialnym za bezpieczeństwo południowej granicy Stanów Zjednoczonych. Demonstracje Latynosów szybko zamieniły się w zamieszki, do których dołączyli Afroamerykanie. Sceny, jakie możemy oglądać dziś na ulicach Los Angeles, Miami czy San Jose, do złudzenia przypominają starcia z Ferguson sprzed kilku lat. Choć ustawa została ratyfikowana przez prezydenta zaledwie kilka dni temu, w wyniku starć ucierpiało niemal sto osób, a trzy przypląciły walki z policją życiem. Aresztowanych liczy się na setki. Prezydent Armitage komentuje te wydarzenia jako jałowe protesty tych, którzy Amerykę wybrali tylko i wyłącznie z powodów ekonomicznych, za nic mając sobie amerykańskie wartości. Prezydent poinformował, że nie zamierza łagodzić ustawy i wzywa demonstrantów do zaprzestania wystąpień oraz zastanowienia się, czy rzeczywiście chcą być częścią amerykańskiej społeczności. Dla TVN24 – Ludmiła Gajda.

Wiadomości TVN24 | 9 grudnia 2022, godzina 10:05

Gruzja jako dwudzieste dziewiąte państwo w historii stało się członkiem Paktu Północnoatlantyckiego. Oczekiwana od miesiący ceremonia wejścia Gruzji do NATO odbyła się w Tbilisi. Zorganizowana z wielką pompą uroczystość zgromadziła przedstawicieli wszystkich krajów, łącznie z tymi nazywanymi potocznie „wykluczonymi”, czyli krajami Przymierza, które formalnie wciąż pozostają w strukturach Paktu Północnoatlantyckiego. Podczas swojego przemówienia prezydent USA Albert Armitage podziękował Gruzynom za ostatnie lata oraz wsparcie, jakiego ten kaukaski kraj udzielił NATO podczas ostatniego kryzysu azersko-ormiańskiego. Armitage zapowiedział jednocześnie, że Ameryka oraz Pakt zrobią wszystko, by w tym wciąż niestabilnym regionie Gruzja mogła czuć się bezpiecznie i być silnym partnerem w procesie wygaszania konfliktów. Prezydent wspomniał również o planach rozmieszczenia w Gruzji niewielkiego kontyngentu sił lądowych USA oraz rozbudowy baz morskich, które mogłyby w przyszłości przyjąć jednostki NATO. Dla TVN24 – Ludmiła Gajda.

Wiadomości TVN24 | 28 lutego 2023, godzina 12:32

Podczas oficjalnej uroczystości Azerbejdżan uczynił kolejny krok na drodze do integracji z Przymierzem. Azerskie państwowe konsorcjum energetyczne połączyło swoje rurociągi z siecią energetyczną Przymierza w Nowej Mace tuż przy granicy azersko-rosyjskiej. To pierwszy krok ku pełnej dystrybucji zarówno kaspijskiej ropy naftowej, jak i gazu ziemnego na terenie krajów Przymierza. Prezes EGNiG poinformował, że prowadzone są już rozmowy z Azerami dotyczące eksploatacji surowców oraz trwają negocjacje w kwestii eksportu poza granice sojuszu. Prezydent Rosji Władimir Putin oświadczył, że Azerbejdżan stał się kluczowym graczem na Kaukazie i zarówno jego kraj, jak i Przymierze zrobią wszystko, by zapewnić mu dobrobyt i stabilny, zrównoważony rozwój. Przyłączenie azerskich rurociągów do sieci Przymierza spotkało się z kategorycznym sprzeciwem tak zwanej Starej Unii Europejskiej, która już zapowiedziała, że nie będzie dłużej tolerować samowoli Przymierza i wyciągnie najsurowsze konsekwencje wobec tych krajów, które mimo członkostwa w Unii robią wszystko, by zaszkodzić wspólnocie. Podobny ton usłyszeliśmy w wypowiedziach prezydenta Turcji oraz sekretarza stanu USA. Obaj stwierdzili, że włączenie złóż Morza Kaspijskiego pod zarządek Przymierza może wpłynąć na politykę względem państw Europy Zachodniej oraz zachwiać prawem do dywersyfikacji surowców na kontynencie. Dla TVN24 – Ludmiła Gajda.

Wiadomości TVN24 | 8 marca 2023, godzina 19:04

Rosja oraz Kazachstan otwarcie mówią o rozpoczęciu nowej zimnej wojny. Decyzja amerykańskiego rządu oraz niemieckiego kanclerza o powiększeniu bazy sił powietrznych w Spangdahlem wywołała zarówno ostre reakcje w krajach Przymierza, jak i bardziej umiarkowane w państwach Europy Zachodniej. Włosi wyrazili zaniepokojenie, że ponowna militaryzacja Europy może skończyć się dla kontynentu stworzeniem niepotrzebnych podziałów i tragedią porównywalną do tej sprzed niemal stu lat. Niemcy komentują swoją decyzję jako wypełnianie sojuszniczych zobowiązań. Kanclerz przypomina, że przed niemal dziesięcioma laty to właśnie w Polsce miały stacjonować amerykańskie myśliwce. Ze względu na zmianę kursu politycznego takie działania stały się naturalnie niemożliwe. Kanclerz, podobnie jak część rządzącej koalicji, nie uważa, żeby dodatkowe siły USA na terenie kraju mogły negatywnie wpłynąć na bezpieczeństwo Europy. Polski MSZ komentuje sprawę w sposób zdecydowanie mniej optymistyczny. Jak czytamy w oświadczeniu ministra Dariusza Felicjańskiego, Polska jest głęboko zaniepokojona wzrostem militaryzmu w krajach Unii Europejskiej. Tym bardziej, że działania te mają miejsce bez konsultacji z członkami wspólnoty. Minister Felicjański zapowiedział również, że Przymierze nie będzie napędzało tej niepotrzebnej maszyny zbrojeń, ale jeśli uzna działania któregoś z krajów za godzące w bezpieczeństwo sojuszu lub jego członków, rada będzie zmuszona podjąć odpowiednie kroki zaradcze. Minister zaznaczył, że prezydent Henryk Żuławski będzie rozmawiał z niemieckim kanclerzem na ten temat podczas przyszłotygodniowej wizyty w Berlinie. Dla TVN24 – Ludmiła Gajda.

Wiadomości TVN24 | 26 marca 2023, godzina 15:47

Od kilku tygodni na Tajwanie trwają negocjacje na najwyższym szczeblu. Delegacje amerykańskiego rządu rozmawiały dzisiaj po raz kolejny z Tajwańczykami na temat powołania wspólnej spółki, która miałaby doprowadzić do komercjalizacji energii zimnej fuzji. Przypomnijmy, że przed niespełna dwoma laty profesor Lin Biao, wykładowca tajwańskiego Narodowego Uniwersytetu Tsing Hua, dokonał przełomowego odkrycia. Profesorowi udało się ustabilizować proces zimnej fuzji i tym samym otworzył drzwi ku niewyczerpalnej, niemal darmowej energii. Nie należało długo czekać na reakcję: instytuty naukowe oraz rządy przesyłały listy gratulacyjne i wieszczyły wejście ludzkiej cywilizacji na kolejny stopień rozwoju. Kiedy minęły pierwsze zachwyty, do Tajwańczyków zgłosił się amerykański gigant ExxonMobil. Działający za przyzwoleniem Waszyngtonu koncern jest obecnie silnie zaangażowany w negocjacje. Według nieoficjalnych doniesień Tajwańczycy są przychylni współpracy z Amerykanami, stawiają jednak pewne warunki, z których wsparcie militarne jest jednym z kluczowych. Nic w tym dziwnego, agresywna polityka potężnego sąsiada już podczas wojny chińsko-rosyjskiej zmusiła Tajpej do szukania rozwiązań, które mogłyby podnieść bezpieczeństwo tego niewielkiego wyspiarskiego kraju. Te same nieoficjalne źródła podają, że Amerykanie są skłonni podpisać z Tajwanem lukratywne kontrakty zbrojeniowe, by wejść w spółkę komercjalizującą technologię zimnej fuzji. Podpisaniu porozumienia ostro sprzeciwiają się Chińczycy. Pekin skrytykował dążenia Waszyngtonu do zaangażowania na Tajwanie i nazwał działania ExxonMobil ekonomiczną inwazją i próbą narzucenia światu energetycznego reżimu. Waszyngton zdecydowanie odciął się od zarzutów i zażądał od ambasadora Chińskiej Republiki Ludowej wyjaśnień. Przypomnijmy jednak, że Chiny uważają Tajwan za zbuntowaną prowincję. Od lat próbują różnymi sposobami odzyskać kontrolę nad wyspą i występować z pozycji siły. Kolejnym krokiem na tej drodze jest wczorajsze zakończenie budowy trzeciego chińskiego lotniskowca... Dla TVN24 – Ludmiła Gajda.

Biały Dom, Waszyngton DC, USA | 8 kwietnia 2023, godzina 19:58

Byli sami. Towarzyszący premierowi Mao Tsou delegaci przeszli do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie czekał już poczęstunek oraz kularowe rozmowy z Amerykanami. Gabinet Ovalny opuścili również Joe Biden, Elizabeth Hawk oraz kilku niższych rangą uczestników spotkania. Wreszcie mogli porozmawiać szczerze.

– Chińczycy z kontynentu... Oni nie będą stać beczynnymi, panie prezydencie – powiedział Mao Tsou, niski, ale szeroki w barkach Tajwańczyk o siwych, niemal białych włosach.

– Tego nie wiemy. Są wyraźnie osłabieni ostatnimi konfliktami z Rosją i Iranem. Wiem... – Armitage uspokoił Tajwańczyka gestem dłoni. – Marynarka wojenna Chin nie ucierpiała szczególnie, ale...

– Udowodnili, że wiedzą, jak grać, nawet z wami – odparł Tajwańczyk. – Nie będę ryzykował bezpieczeństwa mojego narodu. Mam nadzieję, że pan to rozumie.

Albert Armitage przesunął wzrokiem po sylwetce tajwańskiego premiera. Spędzili ze sobą cały dzień, a on dalej nie potrafił rozgryźć skośnookiego mężczyzny. Był pewien, że zamknęli ten temat i podpisanie porozumienia to formalność.

– Czego pan oczekuje? Proszę mówić wprost, jesteśmy tutaj sami. – Armitage omiółł gabinet ruchem dłoni.

– Gwarancji bezpieczeństwa, panie prezydencie. Proszę sobie wyobrazić reakcje Pekinu, jeśli wpuścimy powiązane z rządem korporacje na Tajwan. Dotychczasowe incydenty, noty dyplomatyczne,

protesty, blokady, to wszystko będzie ledwie kroplą w morzu. Pan dobrze o tym wie. Chiny w kwestii zimnej fuzji są dekadę za nami, a dobrze wiedzą, że przejęcie przez Amerykę tej technologii to cios, tracą przewagę nie tylko na Pacyfiku – perorował Mao Tsou. Przez większą część prywatnego spotkania po prostu stał. Teraz zaczął drobnymi krokami okrążyć kanapy i stolik kawowy.

– Wszyscy nasi sojusznicy posiadają gwarancję bezpieczeństwa. Dobrze pan o tym wie, takie zapisy wchodziły w skład umów bilateralnych między Stanami Zjednoczonymi oraz krajami strategicznymi – odpowiedział Armitage.

– Nie o takie gwarancje bezpieczeństwa nam chodzi. – Tajwańczyk pokręcił przecząco głową. Spodziewał się podobnej odpowiedzi. – Amerykańska obecność wojskowa na wyspie. Stały kontyngent, parasol ochrony przeciwlotniczej oraz wsparcie wywiadowcze w postaci komórki CIA. To są warunki mojego rządu. Jeśli zarówno pan, jak i Kongres wyrażicie zgodę, bezzwłocznie podpiszemy umowę.

Armitage zacisnął szczęki. Jego regularna twarz o grubych rysach stężała jeszcze bardziej. Premier Tajwanu grał w otwarte karty. Hawk i Biden ostrzegali go przed tym. Zimna fuzja była marzeniem, za którym goniła każda ze światowych superpotęg. Przymierze na szczęście skupiło się na kopalinach Morza Kaspijskiego i usilnie trzymało swój skrawek Arktyki. Chińczycy starali się dogonić Tajwan. Amerykanie dobrze wiedzieli, że Pekin nie wygra tego wyścigu. Zamiast trwonić pieniądze podatników na własny program, Ameryka wytrwale czekała. Aż do teraz. Prezydent zdawał sobie sprawę z potencjalnych korzyści, a Kongres w większości go popierał. Nawet gdyby za pięć minut chciał wysłać korpus ekspedycyjny na Syberię, zyskałby na to zgodę. Nie oznaczało to jednak, że miał spełniać każde życzenie Tajwańczyków. Formoza była priorytetowa, ale bez pomocy USA stanie się pionkiem w grze Pekinu. Mao Tsou dobrze wiedział, że czas działa na jego niekorzyść.

– Wsparcie wojskowe ze strony USA płynie do was szerokim strumieniem. Procedura sprzedaży myśliwców F-35 została przyspieszona tylko i wyłącznie dla pańskiego kraju – zauważył Armitage.

– Naturalnie, tuż po tym, jak ogłosiliśmy, że jesteśmy na krawędzi przełomu w opanowaniu technologii zimnej fuzji – odparł Tajwańczyk, uśmiechając się kącikiem ust. – Jesteśmy wdzięczni za dotychczasową pomoc, ale obaj dobrze wiemy, że kilkadziesiąt myśliwców nie powstrzyma Chin przed desperackimi krokami...

– Pan się boi inwazji? – zapytał Armitage, krzyżując ramiona na piersi. Zmrużył oczy, by lepiej widzieć reakcje rozmówcy. Nie chciał przyznać sam przed sobą, że od czasu Pustynnej Burzy jego wzrok uległ pogorszeniu.

– Oczywiście, że się boimy. Dysponujemy przełomową dla naszej cywilizacji technologią. Siedemdziesiąt mil od wybrzeża najbardziej wrogiego nam państwa. Dziwi mnie pańskie pytanie... – fuknął Tajwańczyk. Jego równe kroki zaczynały irytować Amerykanina.

– Żądania, bo tak należy nazwać prośby tajwańskiego rządu, nie są możliwe do zrealizowania w ciągu kilku dni – odpowiedział Armitage. – Reakcje Chin mogą stać się gwałtowne, kiedy ogłosimy, że za miesiąc na wyspie stanie brygada marines i kilkanaście wyrzutni Patriot.

– Oczywiście, panie prezydencie. Nie oczekujemy, że zrobi pan z Republiki Chińskiej bunkier. Chcemy jednak realnych, prawdziwych gwarancji, nie papierowych zapewnień. – Mao Tsou zatrzymał się i złączył dłonie w koszyczek. – Może pan być jednak pewien, że jeśli Ameryka będzie zwlekać, skończy się to tragicznie nie tylko dla Republiki Chińskiej. Xi Jinping nie będzie czekał, to tygrys, który wykorzysta nasz spór do osiągnięcia własnych celów. Proszę o tym nie zapominać.

– Nie zapomnimy, panie premierze. Ameryka jest obecna wszędzie tam, gdzie wazą się losy sojuszników i ich interesów – odpowiedział Armitage, naśladowując protekcjonalny ton Tajwańczyka. – Przedstawię pańskie oczekiwania Kongresowi i administracji.

– Dziękuję, panie prezydencie. Przejdziemy do reszty? – zapytał Tsou, wskazując kciukiem drzwi na korytarz.

– Naturalnie, resztę wieczoru możemy spędzić w nieco bardziej optymistycznej atmosferze – odparł

Armitage i uśmiechnął się rzędem śnieżnobiałych, równych zębów.

Niewielki raut zorganizowany na cześć delegacji Republiki Chińskiej odbywał się na pierwszym piętrze Rezydencji Wykonawczej. Kilkudziesięciu gości, skupionych w mniejszych grupkach, rozmawiało, trzymając w dłoniach kieliszki pełne musującego szampana lub szklanki z wyborną whiskey.

Wejście na salę Alberta Armitage'a oraz Mao Tsou nie wywołało większego poruszenia. Obie strony już wielokrotnie spotykały się w podobnych okolicznościach. Szczególnie często podczas ostatnich miesięcy, które obfitowały w liczne wydarzenia mające na celu podkreślenie ścisłych więzi łączących Tajwan z Ameryką.

Mao Tsou szybko wtopił się w tłum amerykańskich urzędników i sekretarzy. Armitage odetchnął z ulgą. Sięgnął po szklankę whiskey i wymienił kilka uprzejmości z mijanymi dostojnikami. Johna Brennana wypatrzył dopiero po kilku minutach, kiedy ten właśnie łowił kolejną krewetkę na srebrnej paterze.

– Cześć, John, jak się bawisz? – zapytał Armitage.

– Poprzednim razem mieliście lepsze... – skwitował szef CIA, rozgryzając skorupiaka.

– Nie jedz, jeśli ci nie smakują. Ja w ogóle nie mam zamiaru brać tego do ręki. – Prezydent wykrzywił usta w obrzydzeniu. Owoce morza kojarzyły mu się głównie z rozlaną po plaży galareta martwych meduz. – Skończyłem rozmowę z Tsou, twardy z niego zawodnik.

– Tego mogliśmy się spodziewać – odpowiedział Brennan, wycierając dłonie. – Chcą pomocy wojskowej? Lotniskowców? Całego skrzydła Raptorów na wyspie?

– Coś w ten deseń, ale oczywiście i tak zgodzą się na wszystko, choćbyśmy mieli im tam podesłać skrzynkę Stingerów. Wolałbym jednak przyspieszyć sprawy, nie możemy ryzykować.

– Tsou boi się Chińczyków. – Brennan bardziej stwierdził, niż zapytał. – Bardzo dobrze, też bym się bał na jego miejscu.

– Potrzebuję wszystkiego, co możemy im dać w miarę szybko, a co nie będzie równoznaczne z wypowiedzeniem wojny Pekinowi. Przydałyby się też jakieś bardziej konkretne informacje na temat chińskich rojeń.

– Załatwię tę sprawę najszybciej, jak się da. Już poczyniłem pewne kroki, spodziewałem się... – powiedział John Brennan.

– Informuj mnie na bieżąco. – Armitage odszedł od stolika i ruszył ku najbliższej grupce rozmówców. Pomieszczenie wypełniły właśnie pierwsze tony „Błękitnej rapsodii”.

Kwatera główna CIA, Langley, USA | 9 kwietnia 2023, godzina 08:28

Ryan Sinclair przyszedł do biura kilka minut po siódmej. Nie sypiał najlepiej, często budził się w środku nocy i do rana przewracał z boku na bok. Próbował kłaść się spać wcześniej, co przy jego trybie pracy było nie lada wyczynem. Tabletek ani innej chemii nie chciał brać. Bał się stopienia umysłu, posądzenia o słabość i zszargane nerwy. To mogło oznaczać koniec kariery, w agencji były dziesiątki osób, które nieustannie czyhały na jego najmniejszy błąd.

Zrobił sobie gorącej herbaty i zamknął się w biurze. Zanim przyjdą do niego pierwsze raporty, zdąży przeczytać jeszcze jeden rozdział książki. Niedawno, niemal po roku, skończył rozgrywać na swojej konsoli trzecią część przygód białowłosego zabójcy potworów. Zakończenie na tyle go zafascynowało, że bez namysłu sięgnął po literacki pierwowzór. Może nim zaleje go fala maili, zdoła przeczytać rozdział poświęcony wydarzeniom na strzelistej wyspie, wyrastającej z morza prosto ku niebu.

Przewracał kolejną stronę, kiedy ktoś energicznie zapukał do drzwi. Sinclair zamknął książkę i włożył do szuflady biurka.

– Tak?

Do ascetycznego gabinetu wszedł wysoki, tyczkowaty mężczyzna z teczką opatrzoną logo agencji.

– Raport jest gotowy – powiedział. Sinclair wyciągnął dłoń i skinieniem głowy podziękował za materiały.

Poczekał z otwarciemteczki do chwili, gdy za wywiadowcą zamknęły się drzwi. Raport przygotowywany przez ostatnie tygodnie udało się zminiaturyzować do rozmiaru kilkunastu stron. Osobny plik stanowiło kilka spiętych kartek z wykresami i zdjęciami co ciekawszych osób i obiektów. Sinclair uniósł brwi ze zdziwieniem. Przymierze zaczęło działać na Kaukazie w naprawdę dużym tempie. Jak się okazało, włączenie Azerbejdżanu do sieci energetycznej było tylko forpoczta licznych przedsięwzięć.

Według komórki CIA oraz tureckiego wywiadu działającego w Azerbejdżanie Rosjanie do spółki z Kazachami już rozpoczęli działania mające na celu uruchomienie systemu monitorowania żeglugi w okolicach pól wydobywczych na Morzu Kaspijskim. Abchazja i Osetia Południowa zaroiliły się do agentów GRU, a Górski Karabach stał się najbardziej naszpikowanym elektroniką centrum wywiadu Przymierza na Kaukazie. Monitorowano każdy metr ziemi i powietrza nad Azerbejdżanem oraz otaczającymi go krajami. Do tego dochodziły liczne kontrakty zbrojeniowe i program rozbudowy parasola obrony powietrznej Kaukazu. Rozpoczęto szkolenia azerskiej armii i program wymiany kadry oficerskiej. Ponadto azerska armia otrzymała dla swoich wojsk zmotoryzowanych zmodernizowane transportery opancerzone BTR-82A. Przystąpienie do Przymierza ułatwiło również ożywienie zrujnowanej azerskiej gospodarki i dało mieszkańcom możliwość dowolnego przemieszczania się w granicach państw sojuszu. Sinclair nie musiał czytać do końca, by stwierdzić, że Przymierze w pełni wykorzystало dane mu dwa lata obecności w Azerbejdżanie.

Odłożył na biurko raport i sięgał właśnie po plik zdjęć oraz wykresów, gdy telefon ożył charakterystycznym jazgotem. Sięgnął po słuchawkę.

– Ryan, przyjdź do mnie za chwilę – usłyszał głos Johna Brennana.

– Jasne, już się zbieram – odparł Sinclair i zakończył połączenie.

Podróż dwa poziomy wzwyż zajęła mu dobre kilka minut. Jak na złość jego biuro było położone najdalej od wind na całym piętrze. Musiał więc precyzyjnie się przemieszczać przez labirynt popularnych w agencji open space'ów, minąć przeszkloną kuchnię i dojść do korytarza. Minął bramki, przesunął przepustkę przez

czytnik. Nie musiał pukać, zielona dioda oznajmiła, że drzwi są otwarte.

– Cześć, Ryan – rzucił John Brennan, łącząc dłonie na coraz potężniejszym brzuchu.

– Dzień dobry, John. Stało się coś? – zapytał Sinclair, zajmując jeden z dwóch foteli, które stały przed biurkiem.

– Przenoszę cię. Potrzebuję kogoś zaufanego i bardziej lotnego niż mandryl w sekcji tajwańskiej. Ostatni raport, który dostałem od analityków... Równie dobrze mogłem zanieść do Białego Domu najnowsze wydanie „Washington Post”.

– Nie za bardzo orientuję się w sprawach Republiki Chińskiej, ostatnio zajmuję się tylko Kaukazem – odparł Sinclair.

– To nie będzie dla ciebie problem. Jesteś śliski jak węgorz, wpasujesz się raz-dwa, poza tym to przecież nie praca w terenie. Mamy na miejscu odpowiednią liczbę ludzi, a ja potrzebuję tu kogoś, kto zbierze informacje i połączy w logiczną całość. Nie mam lepszego kandydata niż ty. – Brennan uniósł dłoń i wycelował palec wskazujący w pierś Sinclaira.

– Rozumiem – odpowiedział Ryan i skinął głową. – Kiedy mam zacząć?

– Najlepiej jeszcze dzisiaj. Zaraz dostaniesz kody dostępu i miejsce w biurze na tym piętrze.

Sinclair nie lubił takich zmian. Nowy front działań na zupełnie innym kontynencie wymagał tytanicznej pracy. By zrozumieć tamtejszą geopolitykę, procedury łańcucha decyzyjnego i konotacje między poszczególnymi organami, będzie musiał zarwać przynajmniej kilka nocy. Książka musi poczekać.

– Góra interesuje się Tajwanem? – zapytał Sinclair.

– Zgadza się – odpowiedział Brennan. – Tajwańczycy obawiają się chińskich prowokacji i incydentów.

– Nie ma się co dziwić. Zimna fuzja w naszych rękach całkowicie przetasuje układ sił na Pacyfiku. Chińczycy tracą przewagę w tej części świata. Nie będą chcieli na to pozwolić. – Amerykanin na szybko zaczął analizować zasłyszane do tej pory wiadomości.

– Widzisz, Ryan. Już zaczynasz kojarzyć fakty – zaśmiał się Brennan.

– W tej branży kojarzenie faktów znacznie częściej może uratować tyłek niż dobre oko i pewna ręka.

– Dlatego cię lubię, Ryan – odpowiedział Brennan. – Ode mnie to wszystko, jesteś wolny.

Sinclair poprawił marynarkę i wstał z fotela z cierpkim uśmiechem. Podszedł do drzwi, odwrócił się jeszcze, skinął głową na pożegnanie i ruszył do wind. Nim zniknął we wnętrzu swojego biura, zaszedł do kuchni po kubek gorącej kawy.

Narodowy Uniwersytet Tsing Hua, Tajpej, Republika Chińska 11 kwietnia 2023, godzina 11:37

Wen Jiabao wyszedłby już dawno przed kampus i cieszył się piękną pogodą, gdyby nie kłótnia, którą usłyszał za drzwiami jednego z laboratoriów. Zatrzymał się kilka kroków przed futryną. Uchylone skrzydło pozwalało usłyszeć pojedyncze słowa, które zlewały się w jedno, gdy do głosu dochodził drugi rozmówca. Wen poznał drugi głos. Profesor Lin Biao był wściekły. Jiabao nie miał szans zrozumieć tematu kłótni, więc wyjął z kieszeni smartfona i uruchomił dyktafon. Urządzenie, wyposażone w mikrofon kierunkowy, mogło bez problemu wyłapać odległy nawet o kilkanaście kroków szept. Korytarz był pusty. Brać studencka korzystała z dobrej pogody i zaległa pokotem na skwerach okalających kampus. Wen włożył słuchawki do uszu i uruchomił nagrywanie.

– To jest nasza technologia! Chińska, stąd, z Formozy! Chcecie nas sprzedać Ameryce, jakbyśmy wynaleźli byle żarówkę! – krzyczał Biao. Człowiek, z którym rozmawiał profesor, cierpliwie czekał, aż staruszek skończy i pozwoli mu dojść do słowa.

– Panie profesorze, potrzebujemy pomocy Amerykanów, żeby rozszerzyć działalność. Bez ich wsparcia, infrastruktury, logistyki i co najważniejsze budżetu będziemy mogli się spodziewać zysków z zimnej fuzji za dekadę, jeśli nie później – odpowiedział mężczyzna. Jego głos był twardy, pewny i niedopuszczający sprzeciwu. Musiał należeć do któregoś z pracowników licznych rządowych agencji bezpieczeństwa.

– Rozszerzyć działalność... – powtórzył profesor. – Myślicie o tym jak o kolejnym towarze. Nie zasługujecie na to, żeby mieć dostęp do możliwości, jakie oferuje zimna fuzja. To niczym nieskrępowana energia, która powinna zostać wykorzystana przez nas, dla naszego własnego bezpieczeństwa.

– Właśnie to chcemy osiągnąć. Dobrze pan wie, że bez pomocy Ameryki po te możliwości sięgną Chińczycy z kontynentu. Musimy mieć sojusznika, który obroni nas do czasu, aż sami nie będziemy do tego zdolni – odparł rozmówca.

– Nonsens. Xi Jinping nigdy nie rzuciłby się na Tajwan, nie po tym, co spotkało go w Rosji. Możemy bronić się sami, a wy chcecie nas sprzedać za kilka sztabek złota – fuknął Lin Biao.

– Nie możemy ryzykować. Dobrze pan zdaje sobie z tego sprawę.

– Cała nasza historia to jedno wielkie ryzyko. Szczęście nas nie opuszczało, tak samo będzie teraz – odpowiedział profesor.

Rozmówca Lin Biao nie odezwał się od razu. Wen zmarszczył czoło. Wyglądało na to, że obaj mężczyźni w milczeniu przechadzają się po laboratorium. Szuranie trwało dobrych kilkadziesiąt sekund, któryś musiał przy okazji zawadzić nogą lub ręką o jakiś mebel. Trzask w słuchawkach na chwilę niemal pozbawił Wena słuchu. Wreszcie kroki umilkły. Jiabao trwał w skupieniu, czekając na dalszy ciąg rozmowy.

– Panie profesorze, potrzebujemy pańskiej pomocy. To wszystko udało się tylko dzięki pańskiemu zespołowi, po co to marnować? – zapytał agent.

– Nie wszystko może być towarem... – odpowiedział profesor.

– Jeśli może stać się gwarantem bezpieczeństwa tego kraju, mnie to wystarczy.

– Pan nie rozumie...

– Wystarczy. Przyślemy do pana ludzi, bardzo proszę współpracować. – Rozmówca nie czekał na komentarz. Ruszył ku wyjściu i sekundę później oczom Wena Jiabao ukazał się postawny, wysoki mężczyzna w idealnie skrojonym garniturze. Jego wąskie oczy otaksowały młodzieńca, który spuścił

wzrok i wlepił go w ekran smartfona. Mężczyzna uśmiechnął się kącikiem ust i poszedł korytarzem w stronę szerokiej klatki schodowej prowadzącej na parter.

Jiabao nie czekał, aż profesor wyjdzie z laboratorium. Ruszył śladem człowieka w garniturze, ale nie chciał go śledzić ani dalej podsłuchiwać. Nie miało to większego sensu. Wen chciał po prostu zaczerpnąć świeżego powietrza i ukryć podekscytowanie. Pierwszy raz od dłuższego czasu miał trop.

Na zewnątrz słońce przyjemnie grzało. Jiabao uśmiechnął się, czując na twarzy delikatny, ciepły wiatr. Nie przesłuchał ponownie nagrania. Wyjął kartę pamięci z telefonu, schował do plastikowego futerału i ruszył przed siebie. Przed kolejnymi zajęciami zdążył podrzucić kartę gdzie trzeba i wrócić na uczelnię.

Kraków, Polska | 12 kwietnia 2023, godzina 08:11

Jakub Jastrzębski obudził się i spojrzał na ciemną plamę widniejącą na niegdyś białym suficie. Obiecał odmalować mieszkanie, jak tylko się wprowadzili. Gdyby nie liczne ćwiczenia, okazyjne wyjazdy na Kaukaz lub do Izraela, zapewne już by to zrobił. Spojrzał w bok. Spała tuż obok niego, z lekko rozchyłonymi ustami i zmierzwionymi włosami, które opadały beładnie na policzek i poduszkę. Uśmiechnął się mimowolnie. Nawet nie pamiętał, kiedy tak naprawdę zaczęli być razem. Pogawędka w szpitalnej kawiarni przeciągnęła się do kilku godzin. Potem Jastrzębski odebrał Ludmiłę ze szpitala i zawiózł do jej niewielkiej kawalerki, gdzieś na krakowskich Grzegórkach.

Spotykali się tak często, jak pozwalały na to przepustki i napięty grafik Ludmiły.

Miesiąc później wynajęli większe, dwupokojowe mieszkanie. Ona wciąż jeździła od studia do studia, on biegał po poligonach lub przebijał się przez bagna w jakimś zapomnianym przez Boga kraju. Nie widywali się często. Jednak kiedy już się widzieli...

Prawdopodobnie właśnie dlatego Jakub o mały włos nie wybił sobie zębów, zahaczając stopą o porzucony gdzieś na podłodze biustonosz. Nim wyszedł z pokoju, spojrzał jeszcze raz w stronę łóżka. Ludmiła obróciła się na drugi bok i zmarszczyła nos. Pograżona we śnie bezwiednie objęła ręką puste miejsce.

Wyszedł do wąskiego przedpokoju i zniknął w łazience. Poranna toaleta zajęła mu zaledwie kilka minut. Przeszedł do kuchni, gdzie zajrzał do lodówki i wyciągnął kilka jajek. Jego popisowe danie jeszcze z czasów studenckich miało dostarczyć Ludmile niezapomnianych doznań.

– Dobra... – powiedział sam do siebie. – Masło jest, jajka są. Patelnia... Gdzie ona, do cholery, trzyma patelnię?

Zasepił się. Ostatni raz był w mieszkaniu dobre trzy tygodnie temu. Nieszczerólnie myślał wtedy o gotowaniu. Zajrzał do pierwszej z brzegu szafki, która okazała się spiżarnią na paczki ryżu, kaszy i wszelkiej maści makaronów. Zdziwił się, kiedy zobaczył foliowy pakunek pełen kolorowych muszelek. Kolejna szafka zawierała stopy poukładanych jedna na drugiej szklanek i talerzyków.

– Noż kurwa... Przecież gdzieś tu musi być – mruknął, przetrząsając kolejne zakamarki całkiem sporej kuchni. – Jeśli nie tutaj...

Uśmiechnął się triumfalnie. Między emaliowanymi naczyniami kryła się wciśnięta bokiem szeroka patelnia. Sięgnął za rączkę i prawie udało mu się ją wyciągnąć, kiedy zawadził o ucho garnka, rozsypując misterną konstrukcję. Hurgot zabrzmiał, jakby ktoś zrzucił ze schodów metalową miednicę.

– Ja pierdołę... – westchnął, stojąc pośród garnków.

– Rzeczywiście komandos z ciebie... – powiedziała Ludmiła, opierając się ramieniem o framugę drzwi kuchennych.

– Staralem się, serio – mruknął, odkładając patelnię na blat.

– Jak to się stało, że cię przyjęli? – Ludmiła, ubrana w koszulkę na ramiączkach, podeszła bliżej. Schyliła się, podnosząc jeden z garnków. Jastrzębski przełknął ślinę.

– Nie mam pojęcia, ale to z pewnością miało coś wspólnego z umiejętnością manewrowania w kuchni – odpowiedział, sięgając po kolejne naczynie.

– Mhm, nie śmiem wątpić.

– Ale dobrego oka i pewnych dłoni za to nie można mi odmówić. – Jastrzębski złapał Ludmiłę w pasie, zmuszając ją do powrotu do pionu.

– Kuba... Ja tu sprzątam – zaśmiała się i chwyciła jego dłonie.

– Pani reporter wybaczy, ale czas nagli... – Przynął twarz do jej szyi i pociągnął do wyjścia na

korytarz.

Ludmiła śmiała się i próbowała wyrwać z mocnego uścisku. Nie dawał za wygraną i zaciągnął dziewczynę do pokoju, który zaaranżowali na sypialnię. Rzucona na miękki materac chichotała, zakrywając się kołdrą.

– No i co teraz? Ja jestem głodna, liczyłam na pyszne śniadanie, nie wspominając już o kawie.

– Przykro mi, ale zaszły nieoczekiwane okoliczności. Muszę panią chronić, więc proszę nie stawiać oporu... – powiedział teatralnie Jastrzębski.

– No i co ja teraz zrobię? – odparła z udawaną bezradnością.

– Ręce do góry... – szepnął jej do ucha.

Zakazane Miasto, Pekin, Chiny | 12 kwietnia 2023, godzina 11:02

Xi Jinping obracał w pulchnych palcach wieczne pióro, które wyjął ze swojej aktówki. Szef III Departamentu Sztabu Generalnego skończył mówić dobrą minutę temu, a od tamtego czasu przez salę odpraw nie przebiegł nawet pojedynczy szmer. Prezydent Chińskiej Republiki Ludowej nie był zadowolony z usłyszanych wieści. Liczył na to, że mimo wszystko uda się uniknąć najczarniejszego scenariusza.

Lu Szeniu, generał wojsk lądowych i dowódca III Departamentu, uznał, że dalsze trwanie w milczeniu ani o krok nie przybliży Chin do realizacji zamierzeń. Poprawił się więc w fotelu i złączył kościste dłonie na raporcie, który spoczywał tuż przed nim.

– Panie prezydencie... – zaczął spokojnym tonem. Xi Jinping podniósł na niego wzrok. Twarz prezydenta była sztywna jak maska.

– Nie ma żadnych szans powodzenia? – zapytał.

– Przejęcie samej dokumentacji technicznej, nawet części istniejących już technologii, będzie bezcelowe – odpowiedział Szeniu, lekko zniżając głowę. – Wciąż będziemy mniej więcej dekadę za Tajwańczykami. Jeśli chcemy jako pierwsi wykorzystać zimną fuzję, musimy kontrolować całą infrastrukturę.

– Od kiedy o tym wiecie? – Pytanie Xi Jinpinga zawisło w powietrzu.

Tak jak spodziewał się przewodniczący, Lu Szeniu i reszta zebranych w wysokiej sali konferencyjnej wbili wzrok w blat stołu. Tylko ci, do których pytanie nie było adresowane bezpośrednio, wciąż trwali z dzielnie uniesionymi głowami.

– Ostatnie dane, jakie spłynęły do nas z wyspy, pozwoliły ostatecznie potwierdzić tę tezę... – Lu Szeniu nigdy nie był dobrym mówcą. Szło mu jak po grudzie, nawet kiedy fetował wywiadowcze sukcesy podczas pierwszych tygodni inwazji na Rosję. Teraz waga wiadomości była nieporównywalnie większa. – Już wcześniej podejrzewaliśmy, że sytuacja może tak wyglądać, ale wydarzenia w Iranie oraz brak zagrożenia ze strony Ameryki na Pacyfiku...

– Uśpiły waszą czujność, towarzyszu? – zapytał Xi Jinping. – To chcecie powiedzieć?

Xi Jinping jako zwolennik reform nie zwykł zwracać się w ten sposób do swoich współpracowników. Starą nomenklaturę uważał za relikwiarz przeszłości, równie śmieszny, co żałosny. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz nazwał kogoś towarzyszem. Zrobiło to jednak odpowiednie wrażenie. Lu Szeniu przełknął ślinę i oblizał spierzchnięte wargi.

– Nasi agenci starali się jak najszybciej przeanalizować dostępne materiały i przygotować raport. Wykonali swoje zadania najlepiej, jak mogli – powiedział szef departamentu. Liczył, że tego typu argumentacja pozwoli złagodzić gniew przewodniczącego.

– Więc nie pozostawia nam pan innej możliwości... – Xi Jinping rzeczywiście nieznacznie zmienił ton. Szeniu wybrał właściwą drogę obrony. Gdyby nie argument w postaci dobrej pracy podwładnych, już wyprowadzano by go pod broń. Prezydent był jednak łaskawy, przynajmniej na razie. – Panie generale, myślę, że teraz to pan powinien przejąć pałeczkę.

Wskazany przez Xi Jinpinga generał Fang Fenghui skinął nieznacznie łysą głową i poprawił okulary. Wieści o możliwym fiasku operacji wywiadowczej wywołały u szefa sztabu zapomniany od lat skurcz żołądka. Dokładnie tak samo czuł się na kilka miesięcy przed rozpoczęciem inwazji na syberyjskie stepy. Otwarcie sejfu z tomami schematów operacji „Pierścień Ognia” ponownie obudziło demony. Fang

Fenghui był pewien, że jeśli wywiad zawiedzie, prezydent przypomni sobie o tamtej nieudanej akcji.

– Panie przewodniczący, panie premierze, koledzy generałowie. – Szef sztabu wstał i podszedł do zwisającego z sufitu białego ekranu. Sięgnął po pilota i uruchomił projektor. Na ekranie pojawił się wiciowaty kształt wyspy, zaledwie sto dwadzieścia kilometrów od wybrzeży kontynentalnych Chin. – Raport, który przedstawił nam generał Szeniu, ostatecznie rozwiązał nasze wątpliwości. Przejęcie kontroli nad technologią zimnej fuzji jest niemożliwe bez opanowania infrastruktury na samej wyspie. Jak dobrze wiemy, kompleks, w którym znajdują się urządzenia, leży w centralnej części wyspy, na terenie Parku Narodowego Ju-Szan. Przejęcie samego kompleksu, rozebranie na części i przewiezienie do Chin nie wchodzi w rachubę. – Fang Fenghui zrobił krótką pauzę i przełączył slajd. Obraz ukazywał teraz wyspę otoczoną szczelnym pierścieniem dziesiątek sygnatur. Generałowie dobrze wiedzieli, co oznaczają piktogramy.

– „Pierścień Ognia”... – powiedział Xi Jinping. Odłożył pióro na biurko i wlepił wzrok w slajd pełen strzałek i symboli. – Nie unikniemy tego.

Szef sztabu pokiwał głową i zaciął usta w kreskę. Dobrze wiedział, że inwazja na Tajwan oznacza starcie nie tylko ze zbuntowanymi przed laty Chińczykami, ale prawdopodobnie z całą amerykańską flotą na Pacyfiku.

– Jeśli chcemy kontrolować ten proces, musimy uderzyć – powiedział Fang Fenghui.

– Będziemy walczyć z Amerykanami – stwierdził prezydent.

– Na lądzie udało nam się wyjść ze starcia zwycięsko – wtrącił admirał Wu Szengli. Ojciec nowoczesnej marynarki wojennej od czasu bitwy o Władywostok czekał na okazję, by móc się odegrać. Chorobliwie ambitny i opanowany żądzą doskonałości, solidnie docisnął śrubę swoim podwładnym. Tylko i wyłącznie dzięki żelaznej dyscyplinie mogli stanąć w szranki z amerykańską armadą.

– Walczyliśmy ze szpicą natarcia – odparł Ma Xiaotian. Choć jego lotnictwo boleśnie dało się we znaki amerykańskim wojskom w Iranie, ostatecznie musieli ustąpić pola i zdać się na operację prowadzoną w Teheranie. – Raz już nie doceniliśmy przeciwnika i dobrze pamiętamy, jak to się skończyło.

– Nie przypominam sobie, bym wspominał o lekceważeniu Siódmej Floty, generale Xiaotian – stwierdził Fang Fenghui, rozkładając ręce. – Plan, który państwo widzą, to wersja z przełomu mileniów. Wiele się od tamtej pory zmieniło i plan musi zostać zaktualizowany, choć jego ogólne założenia pozostają bez zmian.

– Amerykanie nie przebiją się przez pierścień okrążenia? – Xi Jinping uniósł dłoń i zatoczył nią w powietrzu niemal idealny okrąg.

– Nasi planiści pracują nad sposobem wprowadzenia Amerykanów w błąd i innego ukierunkowania projekcji siły – odpowiedział enigmatycznie szef sztabu.

– Ciężko będzie ich przekonać, że nasza flota wcale nie chce atakować Tajwanu – dodał Xiaotian. – Szczególnie jeśli ich satelity będą obserwować przerzut sił lądowych na wybrzeże.

– Właśnie dlatego chcemy odwrócić uwagę od naszego wybrzeża, generale Xiaotian – odparł szef sztabu. Jego twarz zmieniła się z życzliwej w pełną pogardy. Siły powietrzne oraz marynarka pochłaniały coraz więcej nakładów finansowych. Szef sztabu, który jednocześnie piastował stanowisko dowódcy wojsk lądowych, uważał taki stan rzeczy za potwarz. Xiaotian odebrał w tym roku setną sztukę myśliwca J-20, admirał Szengli dopiero co ochrzcił trzeci lotniskowiec. Fenghui musiał cieszyć się stopniową, mozolną modernizacją i uzupełnianiem strat sprzed ośmiu lat. Marzenia o wprowadzeniu w tej dekadzie odpowiednika rosyjskiej Armaty poszły w niepamięć.

– Jak chcecie to zrobić? – zapytał Li Keqiang. Premier nie był biegły w sprawach wojskowych i Xi Jinping nieustannie trzymał go na dystans. Wydarzenia ostatnich dni wojny chińsko-rosyjskiej były dla prezydenta niczym cierń w oku.

– Analizujemy obecnie kilka wariantów działania. Podczas prezentacji aktualnego planu „Pierścienia

Ognia” będziemy mogli przedstawić konkretne działania, panie premierze. Proszę wybaczyć... – dodał na koniec szef sztabu i skłonił się lekko. Niewielu generałów wciąż liczyło się z Keqiangiem. Grupa partyjnych pierwszoligowców, która do spółki z premierem uratowała Chiny od nuklearnej zagłady, już dawno została rozszkana po kraju. Fang Fenghui był jednym z ostatnich wojskowych, którzy wciąż nie wychodzili z podziwu dla zimnej krwi i opanowania premiera.

– Rozumiem – odparł Li Keqiang.

– Kiedy chcecie to zrobić, generale? – zapytał Xi Jinping, nie zaszczycając premiera nawet przelotnym spojrzeniem.

– Manewry floty będą najlepszym momentem – powiedział zdecydowanie Fenghui. – Nasze okręty znajdują się na pełnym morzu, co pozwoli nam w krótszym czasie rozwinąć blokadę Tajwanu.

– To już za niespełna dwa miesiące... – mruknął Li Keqiang.

– Zgadza się, panie premierze. – Szef sztabu ponownie się uklonił, co wywołało wyraźne drżenie na twarzy prezydenta.

– Amerykanie mogą podpisać umowę z Tajwańczykami lada dzień. Co, jeśli podczas walk na wyspie ucierpią amerykańscy cywile, pracownicy naukowci lub, co gorsza, personel wojskowy?

– Nikt nie kazał im pchać palców między drzwi a futrynę – odpowiedział Wu Szengli. – Nasza marynarka wojenna i wojska rakietowe to siła, z jaką muszą się liczyć nawet w Waszyngtonie. Pomyślą dwa razy, zanim zaczną nas prowokować.

– Generale Fenghui – prezydent zwrócił się do szefa sztabu – kiedy możemy spodziewać się zaktualizowanego planu?

– Za dwa tygodnie, panie prezydencie. Oddelegowałem do tego zadania wydzieloną grupę sztabowców, którzy na bieżąco analizują nasze możliwości.

– Dobrze. – Xi Jinping skinął nieznacznie głową. – To wszystko. Generale Fenghui, informujcie mnie na bieżąco o postępach prac.

Kilka postaci, które do tej pory siedziały nieruchomo przy podłużnym stole, wstało bez słowa i ruszyło do wyjścia. Nie minęło kilkanaście uderzeń serca, jak Xi Jinping został sam w pomieszczeniu wielkości uniwersyteckiej auli. Prezydent niespiesznie wstał z głębokiego fotela i zamknął teczkę z dokumentami. Podszedł do ekranu, na którym wciąż wyświetlała się pokaleczona strzałkami mapa satelitarna Tajwanu. Xi Jinping uśmiechnął się lekko i wyłączył rzutnik. Wyszedł na korytarz, gdzie czekało już kilku asystentów i ochroniarzy. Prezydent poprosił o papierosa i zaciągnął się głęboko. Miał słabość do nikotyny, choć palił nie więcej niż kilka papierosów dziennie. Zapach dymu nieodmiennie kojarzył mu się z przełomem. Czuł, że ten prawdopodobnie największy w jego życiu właśnie się rozpoczyna.

Pałac Prezydencki, Warszawa, Polska | 12 kwietnia 2023, godzina 13:28

– Gruzja powinna być teraz naszym głównym zmartwieniem. Przyjęcie tego kraju do Paktu Północnoatlantyckiego ponownie zmieniło układ sił na Kaukazie.

Władimir Putin od dłuższego czasu wygłaszał swoje memorandum. Trwała obecność amerykańskich wojsk na Kaukazie była solą w oku rosyjskiego przywódcy. Wydawało się, że porażka NATO w Azerbejdżanie przypieczętuje dominację Przymierza w regionie. Jednak Albert Armitage rozegrał to po mistrzowsku, porażkę przekuł w sukces.

– Amerykanie już teraz zapowiadają rozmieszczenie w Gruzji komponentu lądowego swoich sił zbrojnych. Nasi analitycy zapewniają, że za tym pójdzie również system obrony przeciwlotniczej oraz prawdopodobnie kilka do kilkunastu myśliwców. Spodziewamy się także intensywnego programu szkolenia gruzińskiej armii i rozbudowy baz morskich. Gruzja stała się właśnie przyczółkiem NATO nad Morzem Czarnym i na Kaukazie.

Nowy polski prezydent Henryk Żuławski przysłuchiwał się wywodowi Putina, nie przerywając ani razu. Jego zmarły przed rokiem na atak serca poprzednik wydawał się znacznie bardziej energiczny. Żuławskiemu zarzucano asekurantwo i swego rodzaju brak wyczucia, choć on sam uznawał to za zalety. Zdecydowanie bardziej wolał aktywne, niekiedy kontrowersyjne działania niż meandrowanie wokół tematu, którego ostatecznie nikt nie poruszał. Dlatego więc milczał, notował w głowie co ważniejsze fragmenty wypowiedzi Rosjanina i czekał, aż ten skończy. Zaciął usta w kreskę, nieco ponadczterdziestoletnie oczy wpatrywały się w najwyższym skupieniu w szeroki ekran monitora.

– Nasze działania w Azerbejdżanie należy poddać pewnej weryfikacji. Do tej pory staraliśmy się po prostu zjednać sobie azerski naród i umocnić pozycję poprzez działania gospodarcze i kontrolowaną militaryzację nowego członka Przymierza. – Władimir Putin potoczył spojrzeniem po twarzach zebranych. – Zasady gry uległy jednak zmianie. Gruzini poczuli się pewniej, rosyjskie jednostki, które stacjonują w Osetii oraz Abchazji, meldują o aktywnych działaniach gruzińskich pograniczników. Umacniają oni swoje posterunki oraz prowadzą patrole niebezpiecznie blisko wytyczonych przed piętnastoma laty granic. Prowokują nas.

– Nie dajmy się więc sprowokować. Dopiero co skończyliśmy wojnę w Azerbejdżanie, podsycanie niezgody na Kaukazie może się skończyć taką samą jatką. Nikomu na tym nie zależy. – Węgierski prezydent Antal Bokori przerwał Rosjaninowi, nachylając się nieco do monitora w swoim gabinecie. – Amerykanie będą potrzebowali czasu, żeby móc realnie działać w Gruzji. Nie powinniśmy wykonywać teraz żadnych gwałtownych ruchów. Albert Armitage wydaje się zdecydowanie bardziej agresywnym prezydentem niż jego poprzedniczka.

– Sugeruje pan, że powinniśmy się go bać? – zapytał Putin.

– Nie, chciałbym tylko zaznaczyć, że nie mamy pojęcia, w jaki sposób zareaguje, jeśli zaostremosy retorykę. Armitage wydaje się wojowniczy, co podoba się części tamtejszej generalicji – odpowiedział Węgier.

– Nie będziemy bierni. Nie my zaogniliśmy sytuację na Kaukazie. Jeśli Amerykanie i NATO myślą, że mogą prowadzić swoją grę w dowolnym regionie świata, to grubo się mylą – odparł Putin.

– Do tej pory to tylko deklaracje, nie wiemy, czy Armitage spełni te obietnice. – Litewska prezydent miała dość kłopotów ze wspieraną przez Amerykanów Łotwą. Choć między oboma bałtyckimi krajami nie było żadnych niesnasek, ochłodzenie stosunków stało się wyraźnie wyczuwalne.

– Oczywiście, że spełni – powiedział Żuławski zdecydowanie. – Armitage konsekwentnie wprowadza kolejne punkty swojego programu. Wziął się do imigrantów i tych Amerykanów, którzy niekoniecznie zgadzają się z jego wizją. Jeśli liczą państwo na to, że poza granicami kraju będzie bardziej powściągliwy, to czeka was rozczarowanie.

Na łączu zapanowała cisza. Niektórzy pokiwali głowami, inni milczeli, bo choć sami nie wierzyli w zły rozwój wypadków, to, co mówił Polak, było logiczne. Henryk Żuławski nie kontynuował, chciał wiedzieć, co myślą pozostali.

– Uważa pan, że zmierzamy wprost do konfrontacji z NATO? – zapytał Antal Bokori.

– Konfrontacja jest nieunikniona, panie prezydencie. Nie musi przybierać formy wymiany atomowych ciosów czy pełnoskalowej wojny na Kaukazie lub w dowolnie innym regionie świata – odparł Polak. – Armitage nie będzie chciał prowokować konfliktu. Dla niego zwycięstwem będzie już sam fakt posiadania żołnierzy na gruzińskiej ziemi. Jeśli tam się znajdują, to my będziemy musieli liczyć się z ich obecnością przy niemal każdym ruchu, jaki zechcemy wykonać na Kaukazie.

– Sparaliżują nas, to chce pan powiedzieć? – zapytał Petro Poroszenko.

– Zgadza się, to jest możliwe przy użyciu jednego okrętu lub decyzji gospodarczej. Musimy grać w ten sam sposób i tutaj muszę się zgodzić z prezydentem Putinem. Choć nie uśmiecha mi się ponowne zaognianie stosunków z NATO, nie możemy udawać, że nic się nie stało – powiedział Żuławski.

– Jak bardzo mogą nam zagrozić? Gruzja to niewielki kraj, nie wyślą tam nie wiadomo ilu żołnierzy, czołgów i tak dalej. – Poroszenko dotkliwie odczuł ostatnią wojnę. Ukraińskie siły zbrojne straciły wielu ludzi i tony sprzętu. Widmo kolejnego konfliktu nie napawało optymizmem. Szczególnie jeśli miało się po drugiej stronie Morza Czarnego wciąż potężną Turcję i Rumunię, która była wiernym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych.

– Mając Gruzję, mogą tworzyć realną politykę w rejonie Morza Czarnego i Kaukazu. Już samo włączenie tego kraju do NATO sprawiło, że Azerowie nie są w stanie działać swobodnie. Nasza współpraca gospodarcza i wojskowa może być tłamszona przez Amerykę. Gruzini lobbyści będą mocno naciskać na azerski rząd w kwestii ustępstw. Nie mamy pełnej kontroli nad Baku, a jeśli któregoś dnia postanowimy zostawić ich samym sobie, odbije nam się to czkawką. NATO tylko czeka, żeby zagarnąć Azerbejdżan i stworzyć pomost między Morzem Czarnym i Kaspijskim – dopowiedział Rosjanin.

– Dobrze, że azerski premier nie mógł wziąć udziału w konferencji... – mruknęła pogardliwie litewska prezydent.

– Nasza aktywność na Kaukazie nie spadła od podpisania traktatu pokojowego. Wątpię, żeby Amerykanie weszli nam teraz w paradę – dodał Poroszenko.

Z tym musieli się zgodzić wszyscy łącznie z Władimirem Putinem i Henrykiem Żuławskim. Niedawne przyłączenie Azerbejdżanu do sieci rurociągów Przymierza było de facto przypieczętowaniem nowego rozdziału w historii Baku. Pomoc finansowa na odbudowę budynków publicznych oraz programy szkoleniowe i wymiany studenckie sprawiły, że muzułmański i do tej pory ksenofobiczny Azerbejdżan otwierał przed Przymierzem kolejne drzwi. Miliardy wpompowane ze wspólnego funduszu miały wrócić do portfeli ofiarodawców w postaci nieprzerwanego strumienia ropy naftowej i błękitnego paliwa.

Dobrze wiedzieli, że ostry ton rosyjskiego prezydenta wynika z chęci narzucenia reszcie wizji zagrożenia ze strony nieobliczalnego prezydenta USA. Poza tym będące rzeczywistym moskiewskim protektoratem Abchazja i Osetia mogły szybko stać się obiektem dyplomatycznej ofensywy Tbilisi. Na Kaukazie należało ustalić zasady gry, zanim NATO na dobre okrzepnie na kaukaskiej ziemi.

– Spróbujmy na razie nie machać szabelką. Uznajmy, że to suwerenna decyzja tamtejszego rządu, a my działamy tylko i wyłącznie dla bezpieczeństwa regionu – powiedział Bokori.

– Zgadzam się. Mamy siły i środki, które umożliwiają stały monitoring posunięć gruzińskiego rządu. Nie rzucajmy się zawczasu na barykady – dodał Poroszenko.

Władimir Putin skrzywił się wyraźnie. Choć miał cichego sojusznika w postaci polskiego prezydenta, wiedział, że tym razem Żuławski nie będzie forsował siłowego rozwiązania.

– Powinniśmy maksymalnie wykorzystać nasze możliwości wywiadowcze. Dopóki nie będziemy wiedzieć, gdzie i kiedy Amerykanie chcą działać, nasze kontrakcje nie mają najmniejszego sensu. Wywiad Przymierza posiada na Kaukazie zdecydowanie bardziej rozbudowaną siatkę. Dajmy się wykazać naszym ludziom – powiedział Polak z lekkim uśmiechem.

– Mamy jeszcze coś do omówienia? – zapytał Putin. Coraz bardziej widoczna żyła na jego skroni wyraźnie pulsowała.

– Pacyfik, panie prezydencie. Powinniśmy mieć na uwadze tamten region w równym stopniu co Kaukaz – powiedział Henryk Żuławski.

– Ma pan na myśli umowę tajwańsko-amerykańską? – zapytał kazachski prezydent Ajdos Tałgat. Jego ogorzała i chropowata twarz wyrażała równie duże niezadowolenie co oblicze Rosjanina. – To problem Ameryki i Chin.

– Nie mogę się z panem zgodzić. Chiński problem już raz dotknął nas bezpośrednio. Nie powtarzajmy tego błędu – powiedziała litewska prezydent.

– Nie odnotowaliśmy żadnych ruchów wojsk przy granicy z Chinami i Mongolią. Do czego pan zmierza? – Władimir Putin swoim zwyczajem wykrzywił usta w delikatną podkowę.

– Na wyspie jest nasza misja handlowo-dyplomatyczna. Choć oficjalnie żaden z krajów członkowskich nie uznał Republiki Chińskiej za suwerenny kraj, to musimy pamiętać, że posiadamy tam kilkunastoosobowy zespół – odparł Polak.

– Jeśli nasi ludzie będą w niebezpieczeństwie, uruchomimy procedurę ewakuacji. Nie rozumiem, dlaczego porusza pan tę kwestię akurat teraz. Placówka na Tajwanie nie ma wyższego priorytetu niż pozostałe komórki dyplomatyczne – fuknął Tałgat. Głęboko osadzone oczy zwięziły się do rozmiaru szparek.

– Oczywiście, że nie. Nakreślam tylko problem. Warto pomyśleć o ewakuacji zawczasu. Tajwan to specyficzny region. Chińczycy i Amerykanie na razie stoją w blokach startowych, ale kiedy ruszą... – Żuławski skrzywił usta i spojrzał na zacięte twarze polityków. – Możemy mieć problem nie mniejszy niż Amerykanie w Gruzji.

– Proponuje pan natychmiastową ewakuację? Tylko dlatego, że Pekinowi nie podoba się umowa z Waszyngtonem? – zapytał Władimir Putin.

– Nie, takie kroki mogłyby tylko niepotrzebnie wzmóc panikę. Nie tego potrzebujemy. – Polak uśmiechnął się ponownie. – Mamy jednak świetną jednostkę specjalną. Możemy podesłać żołnierzy Radegastu, żeby nasi na wyspie poczuli się bezpieczniej.

– Mają paradować w pełnym uzbrojeniu między hotelem a biurowcem, w którym urzęduje misja? – zapytał Poroszenko z politowaniem.

– Nie, panie prezydencie. Ale myślę, że z pewnością czułby się pan lepiej, gdyby w pokoju obok czuwało kilku ludzi gotowych do obrony w razie... nazwijmy to, nieprzewidzianych wydarzeń – odparł Żuławski. – Niewiele by nas to kosztowało, a zyskalibyśmy zabezpieczenie naszej misji.

– Co ma pan na myśli, mówiąc o nieprzewidzianych wydarzeniach? – zapytała litewska prezydent.

– Cóż. Nie od dzisiaj wiemy, że Chiny mają chrapkę na Tajwan.

– Chyba pan nieco przesadza... – Kazach ponownie zmierzył Polaka niechętnym spojrzeniem.

– Nie, ja po prostu staram się przewidywać – odpowiedział polski prezydent.

Władimir Putin uśmiechnął się półgębkiem. Atmosfera zaczynała tężeć. Żuławski nie miał zamiaru dać się zbyć. To był właśnie jeden z tych momentów, kiedy intuicja polskiego prezydenta podpowiadała mu, że nie należy lekceważyć problemu.

– Zainteresujemy się tym – powiedział Putin. – Nasi ludzie na Tajwanie mają z pewnością lepszy ogląd sprawy niż my. Zapytamy ich, poprosimy o analizę nastrojów i możliwe scenariusze rozwoju

sytuacji. Jeśli będzie niebezpiecznie, wyciągniemy ich.

– Oby nie było za późno, panie prezydencie – odparł Żuławski.

– Proszę się nie martwić, nie zostawimy ich tam.

Biały Dom, Waszyngton DC, USA | 13 kwietnia 2023, godzina 10:04

Albert Armitage stał oparty o biurko ze skrzyżowanymi na piersi rękoma. Nie tego spodziewał się po przewodniczącym Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, doradczynie do spraw bezpieczeństwa narodowego i reszcie odpowiedzialnych za analizę osób. Trawił usłyszane przed chwilą słowa. Przez te kilka minut w Gabinetcie Ovalnym słychać było jedynie delikatny szum wentylatora najnowszego Maca.

– Kurtuazyjna wizyta? To wszystko? – zapytał, spoglądając na Martina Dempseya.

– To najlepszy sposób na zwiększenie potencjału obronnego Republiki Chińskiej i jednoczesne przestrzeganie prawa międzynarodowego – odparł generał. – Przerzucenie dwóch okrętów z Japonii na Tajwan nie przysporzy nam żadnych kłopotów logistycznych. Będzie jednocześnie jasnym sygnałem w stronę Pekinu i Tajpej. Xi Jinping będzie miał związane ręce, a tajwański rząd otrzyma swój gwarant bezpieczeństwa.

– Dwoma okrętami chce pan zagwarantować bezpieczeństwo? – Armitage wykrzywił usta.

– Chińczycy nie odważą się wykonać żadnego agresywnego kroku podczas naszej obecności na Tajwanie – odparł Dempsey. – Dobrze wiedzą, że nasza Siódma Flota jest najpotężniejszym związkiem bojowym na Pacyfiku. Nawet jeśli wyprowadzą w morze oba lotniskowce i zaczną prowokować, to wciąż my mamy przewagę.

– Zgadzam się z generałem. – Elizabeth Hawk wywołała szczere zdziwienie zebranych, opowiadając się po stronie wieloletniego politycznego przeciwnika. – Jeśli chcemy uniknąć incydentów i konfrontacji z Chinami, kurtuazyjna wizyta naszych okrętów na Tajwanie jest najlepszą możliwą opcją.

– Jeśli nawet Hawk się ze mną zgadza, coś w tym musi być. – Dempsey uśmiechnął się, by rozładować napięcie. Armitage fuknął tylko i wyprostował się. Powolnymi krokami zmierzył odległość między biurkiem i drzwiami Gabinetu Ovalnego. Podświadomie czuł, że generał i doradczynie do spraw bezpieczeństwa mogą mieć rację. Nie musieli ruszać całej VII Floty i dziesiątków maszyn bojowych z Korei, by usadzić Chińczyków w miejscu. Jeśli Pekin zdecydowałby się na jakikolwiek agresywny ruch względem amerykańskich okrętów na Tajwanie, ukreśliłyby sobie sznur na szyję. Xi Jinping niejedną raz dowiódł już swojego talentu i inteligencji, nie zrobiłby tak desperackiego kroku.

– Ile okrętów Chińczycy wyprowadzą w morze podczas manewrów? – zapytał prezydent, spoglądając na generała.

– Około setki.

– Właśnie, około setki okrętów przeciwko naszym... dwóm? – zapytał Armitage. – Tajpej nie uzna tego za kiepski żart?

– Nasza Siódma Flota będzie w ciągłym pogotowiu, panie prezydencie – odpowiedział Dempsey.

– Ktoś ma jakiś inny pomysł? – Prezydent spojrzął na pozostałych.

– Musimy pamiętać, że Chiny są posiadaczem największej liczby naszych obligacji i prawdopodobnie dysponują największymi rezerwami w dolarach. Nie zapominajmy również o dwustu miliardach dolarów w obligacjach, które Chiny oddały w depozyt Belgii – zaczął John Brennan. – Innymi słowy, Chińczycy trzymają u siebie półtora biliona naszego długu. Jeśli będą chcieli nas usadzić, wcale nie muszą robić tego za pośrednictwem rakiet i lotniskowców.

– Mogą po prostu sprzedać część obligacji – dodał Joe Biden. – To będzie cios równie bolesny jak utrata kilku niszczycieli. Daliśmy sobie narzucić gospodarcze ograniczenia krajowi, który jest na Pacyfiku naszym największym przeciwnikiem. Nie bójmy się tego słowa.

– Co panowie proponują? – zapytała Hawk.

– Informacja jest znacznie potężniejszą bronią niż rakiety. Jeśli będziemy znać ruchy Pekinu, zanim ten je wykona, nasze reakcje będą mogły być znacznie bardziej elastyczne – odpowiedział John Brennan. – Tajwan posiada całkiem niezłą siatkę wywiadowczą na kontynencie. Powinniśmy wesprzeć ich wszystkim, co możemy wysłać na Pacyfik. Wywiad da nam możliwość działania z wyprzedzeniem, zanim Chińczycy podejmą kroki, które w ich mniemaniu będą defensywą.

– Jednocześnie możemy podnieść gotowość bojową Siódmej Floty. Działania czysto militarne są tu równie ważne jak wywiad – dopowiedział Biden. Poprawił marynarce i oblizał spierzchnięte wargi. Dzisiejsze spotkanie było pierwszym tak krytycznym od czasu objęcia przez Alberta Armitage’a stanowiska prezydenta. – Przewaga informacyjna da nam pierwszeństwo, jeśli chodzi o reakcję militarną. Nie musimy wysyłać okrętów już teraz, dzięki działaniom CIA i tajwańskiego wywiadu wciąż będziemy mogli ruszyć pierwsi.

– Dopiero to Tajpej może uznać za kiepski żart. Z całym szacunkiem, Joe. – Elizabeth Hawk wyprostowała się na kanapie i spojrzała w głęboko osadzone oczy sekretarza stanu. – Powierzenie tak ważnej sprawy tylko i wyłącznie wywiadowi to nic innego jak asekuranctwo. Tajwańczycy obawiają się realnego zagrożenia. Jaką gwarancję bezpieczeństwa możemy im dać, informując tylko o tym, kiedy spadną na nich chińskie bomby?

– Będziemy mieli czas, żeby uderzyć na chińskie okręty i samoloty, zanim te wyjdą w morze lub oderwą się od pasów startowych. Uważam, że to wciąż lepsze niż wyciągnięcie dwóch wraków naszych fregat czy krążowników – odparł Brennan.

– Chińczycy nigdy nie odważyliby się zaatakować naszych okrętów dokujących na Tajwanie. – Elizabeth Hawk pokręciła zdecydowanie głową.

– Tak samo jak nie zaatakowałyby Rosji? – Joe Biden przeszedł do ataku. – A Iran? Tam też mieli nie zbliżać się do naszych wojsk. Co z tego wyszło?

Albert Armitage przysłuchiwał się tej coraz ostrzejszej wymianie zdań z nieukrywanym zdumieniem. Zaprosił czwórkę zaufanych współpracowników do omówienia problemu i wypracowania wspólnego stanowiska. Merytoryczna do tej pory dyskusja przeistoczyła się niemal w kłótnię. Prezydent wciągnął głęboko powietrze i wypuścił ze świstem. Wyglądało na to, że w Gabinetcie Ovalnym nikt nie zwracał na niego większej uwagi.

– Iran jest błędem poprzedniej administracji... – ciągnęła Hawk.

– Co pani opowiada?! Była tu pani podczas podejmowania decyzji o bombardowaniu Teheranu! – odparł oniemiały Brennan.

– Zamknąć się – syknął Armitage.

Wystarczyła sekunda, by zapadła absolutna cisza. Czwórka ludzi wlepiła wzrok w stół, dywan lub uznała nagle, że musi koniecznie skontrolować stan swoich dłoni.

– Dobrze się czujecie? – zapytał Armitage. – Czy ja sprowadziłem sobie do Białego Domu cyrkowców? No, słucham?

Ani drgnęli.

– Tak myślałem. Oczekiwałem od was jasnych instrukcji, rad, pomysłów. Co dostałem? – zapytał, unosząc ramiona. – Kurwa! Czy to jest takie trudne? Mieliście pięć dni, żeby przygotować chociaż zarys działania. Co mi przynieśliście? Dwa okręty albo chłopca z lornetką za siatką lotniska!

– Panie prezydencie, obecność naszej floty na wodach terytorialnych Republiki Chińskiej to wyraźne opowiedzenie się po stronie Tajwanu. Dzięki stałej łączności między grupą wizytującą Tajpej a Siódmą Flotą będziemy mogli wszystko monitorować i odpowiednio szybko reagować na zmianę sytuacji – powiedział niepewnie Martin Dempsey.

– A jeśli Chińczycy postanowią wykonać jakiś idiotyczny ruch i, nie daj Boże, sprowokują wymianę ognia? Nasi ludzie pójdą na dno. Nie dadzą rady całej flocie – odparł Armitage.

– Możemy połączyć te działania – wtrącił John Brennan. – Jeśli zainstalujemy odpowiednie komórki wywiadu elektronicznego na Tajwanie, będziemy mogli monitorować całe wybrzeże. Posiadamy drony, które są w stanie wdrzeć się dziesiątki kilometrów w głąb terytorium przeciwnika bez obawy wykrycia przez chińskie stacje radiolokacyjne. Będziemy wiedzieć o wszystkim.

– Czy to jest wykonalne? – zapytał Armitage. – Jeśli wyślemy te dwa okręty i uruchomimy program wywiadu pod auspicjami CIA, będziemy mieć przewagę?

Jego podwładni spojrzeli po sobie porozumiewawczo. Forsowali różne pomysły, ale wiele z nich mogło być realizowanych symultanicznie i bezkolizyjnie, a co więcej, uzupełniać się wzajemnie.

– Tak, panie prezydencie – odpowiedział Joe Biden. Reszta poparła go skinieniami głów.

– To będzie możliwe – dodał Martin Dempsey.

– Nie można było tak od razu? – zapytał Albert Armitage. – Zróbmy to.

Departament Stanu, Waszyngton DC, USA | 13 kwietnia 2023, godzina 17:48

Joe Biden usiadł w swoim głębokim skórzanym fotelu i potarł porane zmarszczkami czoło. Cały dzień spędził pomiędzy Gabinetem Ovalnym a korytarzami Kapitolu i Departamentu Stanu. Dopiero teraz, po szczegółowych ustaleniach, mógł sięgnąć po słuchawkę.

Numer wybrał z pamięci aparatu. Kilkukrotnie w ciągu ostatnich dni rozmawiał z premierem Republiki Chińskiej. Zwykle trwające długie minuty rozmowy były ciągiem obietnic i zapewnień, że już lada dzień rząd w Tajpej otrzyma realne propozycje i plany konkretnych działań. Nie mogli przeciągać tej sytuacji w nieskończoność. Czas grał na niekorzyść Ameryki.

Dyspozytornia przekierowała rozmowę przez węzeł komunikacyjny, przefiltrowała i przeskanowała na wypadek podsłuchu. Dopiero później działanie rozpoczął program szyfrujący i zagłuszający urządzenia zdolne do przechwycenia rozmowy. Głos premiera Mao Tsou sekretarz stanu usłyszał po niespełna minucie.

– Dobry wieczór, panie premierze – powiedział Biden serdecznie i odchylił się w swoim fotelu.
– Dobry wieczór, panie sekretarzu. Miło znów pana słyszeć – odparł Tajwańczyk. Biden był pewien, że po drugiej stronie globu premier odruchowo skinął głową.

– Wiem, że od dłuższego czasu może się panu wydawać, iż wodzimy was za nos. Ciągłe przeciągające się rozmowy, ustalenia... Zdaję sobie sprawę, jak to wygląda – powiedział sekretarz stanu.
– Nadszedł czas działań, panie premierze.

– Zamieniam się w słuch – odparł Mao Tsou.
– Przed chwilą zakończyliśmy spotkanie z prezydentem Armitage'em. Naturalnie dotyczyło ono naszej umowy oraz wsparcia, o jakie prosił rząd w Tajpej – zaczął Biden. Sięgnął po szklankę wody i upił niewielki łyk. – Doszliśmy do wniosku, że w obecnej sytuacji i przy prowokacyjnej polityce Chińskiej Republiki Ludowej Ameryka musi zdecydowanie bardziej zaanonsować swoje przyjacielskie stosunki z Tajwanem.

– Proszę kontynuować – powiedział Tsou. Pauza Amerykanina jak widać nie zrobiła na nim odpowiedniego wrażenia.

– Wraz z najwyższym dowództwem wojskowym i przedstawicielami administracji uznaliśmy, że najlepszym wyjściem z impasu będzie kurtuazyjna wizyta okrętów Siódmej Floty na Tajwanie. – Joe Biden przejechał dłonią po lakierowanym blacie biurka. – Dwie nasze fregaty w ciągu najbliższych dni powinny wypłynąć z Japonii. Dzięki temu zabiegowi jednoznacznie pokażemy, że tajwańskie bezpieczeństwo jest jednym z naszych żywotnych interesów, i nie złamiemy żadnych porozumień zawartych między Pekinem i Waszyngtonem.

– Rozumiem, panie sekretarzu. Cieszymy się z tej wizyty. Jak długo okręty pozostaną w naszych portach? – zapytał Mao Tsou.

– Z pewnością tak długo, jak będą trwały negocjacje i finalizacja porozumienia. Obecność amerykańskich wojsk w Republice Chińskiej będzie oczywiście jednym z punktów dalszych rozmów – zapewnił Joe Biden. – Jednocześnie chcielibyśmy zacieśnić współpracę naszych wywiadów. Nie możemy do końca przewidzieć zachowania Xi Jinpinga. Przewaga informacyjna w połączeniu w obecnością naszych okrętów na wodach Tajwanu skutecznie ostudzi prowokacyjne zapędy chińskich wojskowych.

– Bardzo dobrze, panie sekretarzu. Długo kazał nam pan czekać na tę decyzję. Mam szczerą nadzieję,

że nie myli się pan i pomoc, jaką oferuje Ameryka, pozwoli zachować pokój na Tajwanie – powiedział Tsou. Jego słowa padały powoli, jakby w myślach ważył wartość każdego z nich.

– Jestem pewien, że tak właśnie będzie. Republika Chińska ma wielkiego sojusznika, nie pozwolimy, żeby pański naród ucierpiał – kontynuował Biden.

– Nasi wojskowi skontaktują się z Pentagonem, żeby uzgodnić wszelkie szczegóły. – Mao Tsou był wyraźnie poirytowany. Joe Biden nie mógł mu się dziwić. Ustalenia dotyczące gwarancji bezpieczeństwa ze strony USA przeciągały się od tygodni. Po tak długiej dyplomatycznej batalii dwa okręty były liczbą znacznie poniżej tajwańskich oczekiwań.

– Oczywiście, panie premierze. Pentagon z pewnością udzieli wszystkich niezbędnych informacji.

– Dziękuję, panie sekretarzu. Przekażę pana słowa prezydentowi i parlamentowi – powiedział Mao Tsou.

Joe Biden uznał to za koniec rozmowy. Spodziewał się, że konwersacja nie zajmie więcej czasu niż wypalenie papierosa. Odłożył słuchawkę na widełki i wstał z fotela. Do Białego Domu zadzwoni już z samochodu, przynajmniej dzisiaj miał zamiar położyć się przed północą.

Pałac Prezydencki, Warszawa, Polska | 14 kwietnia 2023, godzina 09:49

Kancelaria Prezydenta skontaktowała się z Kremlm kilka minut przed dziewiątą. Sprawdzenie kalendarza Władimira Putina, dostosowanie do niego prośby polskiego prezydenta i ustanowienie szyfrowanego łącza zajęło nie więcej niż godzinę. Henryk Żuławski siedział w swoim fotelu i bębnił palcami o blat biurka. Powiadomiono go, że połączenie zostanie nawiązane przed dziesiątą. Spojrzał na zegarek. Na papierosa za mało czasu, na drugą kawę za wcześnie. Skrzywił usta i wpatrywał się w ciemny ekran w oczekiwaniu na rozmowę.

Monitor ożył po niespełna minucie. Żuławski już wiedział, że Putin nie jest zadowolony ze zmiany porannego grafiku. Odezwał się, gdy tylko łącze się ustabilizowało. Obaj nie dbali o kurtuazję.

– Panie prezydencie, dzień dobry. Chciałbym porozmawiać z panem o naszych ludziach na Tajwanie.

– Witam – powiedział Putin i ledwie zauważalnie skinął głową. – To jest ta pilna sprawa? Poruszaliśmy już ten temat. Konkluzja była jasna, skupiamy się na Kaukazie i Europie. Jeśli trzeba będzie ewakuować misję z Tajpej, zajmiemy się tym. Żadne niepokojące sygnały do nas nie dotarły.

– Kilka godzin temu otrzymaliśmy informację, że Amerykanie postanowili wysłać swoje okręty na Tajwan. Możliwe jest również wsparcie wywiadowcze, a to zaogni sytuację. Chińczycy na pewno już o tym wiedzą, a jeszcze dzisiaj będą o tym mówić wszystkie agencje prasowe – kontynuował Żuławski.

Władimir Putin oblizał wargi i pomasażował dłonią policzek. Przeczytał raport, jak tylko wszedł rano do swojego gabinetu. Rzeczywiście, Amerykanie poczynali sobie dość odważnie, szczególnie przed zbliżającymi się manewrami chińskiej floty. Nie sądził jednak, podobnie jak znaczna większość analityków GRU, by Chińczycy chcieli prowokować. Wywiad uznał, że działania Chin będą miały na celu odroczenie podpisania umowy Tajwanu z USA i następnie przerodzą się w kampanię lobbingsową, której celem będzie zbliżenie sektorów energetycznych kontynentu i wyspy i ostatecznie podpisanie z Tajwanem takiej samej umowy, jakiej oczekują Amerykanie. Choć szczerze wątpił, żeby Armitage był na tyle głupi, by tego nie widzieć, równie sceptycznie podchodził do plotek o możliwej konfrontacji zbrojnej.

– Czytałem raport – potwierdził Putin. – Amerykańskie okręty nie podnoszą zagrożeń dla naszych dyplomatów.

– Teraz nie, ale obaj dobrze wiemy, że Chińczycy nie odpuszczą. Być może czeka nas kryzys na skalę światową, po co zostawiać w takich czasach naszych ludzi poza granicami Przymierza?

– Jeśli zajdą nieprzewidziane okoliczności, dyplomaci zostaną ewakuowani. Samolot możemy z Władywostoku wysłać niemal w każdej chwili – powiedział Putin.

– Dlaczego nie zrobić tego zawczasu? – zapytał Żuławski.

– Żeby nie wprowadzać paniki. Jak pan myśli, jak zareaguje świat, jeśli dowie się, że Przymierze ewakuowało swoją misję dyplomatyczno-handlową z Tajwanu? – zapytał Rosjanin. – Nie jest pan już głową średniej wielkości kraju w Europie Środkowej. Jako część Przymierza Polska tworzy globalną potęgę, a każdy nasz ruch jest skrupulatnie obserwowany i analizowany. Jeśli jako pierwsi wycofamy naszych ludzi z Republiki Chińskiej, tylko zaognimy sytuację.

– Panie prezydencie, tu chodzi o ludzi... – Henryk Żuławski pochylił się do monitora. – Nie możemy ich narażać.

– Nikt nie mówi, że będziemy ich narażać. Wyciągniemy ich, jeśli sytuacja się skomplikuje – odparł Putin.

– Wtedy może być już za późno.

– Wyciągniemy ich, choćby na Tajwanie lądowali już chińscy spadochroniarze – powiedział stanowczo Rosjanin. – Panie prezydencie, skupmy się na tym, co jest teraz żywotnym interesem dla sojuszu. Nasi ludzie są bezpieczni, gwarantuję to panu.

– Proszę mi wybaczyć, ale będę zmuszony ponownie podnieść tę kwestię podczas najbliższej konferencji rady – odparł Polak. – Tam są moi rodacy i moim obowiązkiem jest zapewnienie im maksymalnego bezpieczeństwa.

– Rozumiem. Czy to wszystko? – zapytał Putin.

Rozmowa zakończyła się kilka sekund później. Henryk Żuławski wstał od biurka i zaklął siarczyście. Liczył na to, że w prywatnej rozmowie uda mu się wpłynąć na rosyjskiego prezydenta. Nic bardziej mylnego. Żuławski wiedział już, że potrzebuje sojuszników, by przekonać radę do działania.

Wyszedł na niewielki taras i zaciągnął się cienkim papierosem. Na razie nie chciał motywować swojego zaangażowania jako sprawy czysto osobistej. Szefa misji handlowo-dyplomatycznej znał jeszcze z czasów pracy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Kilka lat wspólnego dzielenia gabinetu związało ich nie tylko zawodową komitywą, ale również szczerą przyjaźnią, która przetrwała mimo różnych dróg kariery. Obawiał się, że ktoś prędzej czy później użyje tego jako argumentu przeciw niemu. Znajomość Żuławskiego z szefem misji nie była żadną tajemnicą. Musiał zdobyć sojuszników, tylko w ten sposób mógł przeforsować swoje stanowisko. Czekala go seria rozmów telefonicznych z pozostałymi członkami Przymierza. Wybór węgierskiego prezydenta na pierwszego rozmówcę był bardziej niż oczywisty. Wyrzucił niedopałek i wrócił do biurka.

Wiadomości TVN24 | 14 kwietnia 2023, godzina 19:06

Chiński MSZ jest wyraźnie zaniepokojony wrogimi działaniami Stanów Zjednoczonych Ameryki na Pacyfiku. Podczas swojego wystąpienia minister Wang Yi powiedział, że decyzja o wysłaniu na Tajwan dwóch okrętów z tak zwaną kurtuazyjną wizytą jest niczym innym jak eskalacją napięcia na Morzu Południowochińskim. Twierdzi on, że Amerykanie robią, co w ich mocy, by naruszyć trwałą pokój i harmonię, jaką we wzajemnych relacjach wypracowały kraje Pacyfiku. Jednocześnie minister Yi zapowiedział, że w przypadku eskalacji i jawnie wrogich działań Chin będą musiały zareagować. Minister przestrzegł prezydenta Alberta Armitage'a oraz jego gabinet przed pochopnymi i potencjalnie tragicznymi w skutkach działaniami w rejonie Morza Południowochińskiego. W dalszej części wystąpienia szef chińskiego MSZ ponownie skrytykował dążenie rządu w Tajpej do zagwarantowania sobie stałej obecności amerykańskiej armii na wyspie. Jak powiedział minister Yi, takie działania z pewnością wpłyną negatywnie na proces utrzymania pokoju na najważniejszym szlaku handlowym świata. Dla TVN24 – Ludmiła Gajda.

Biały Dom, Waszyngton DC, USA | 16 kwietnia 2023, godzina 18:27

Albert Armitage czekał na Brennana od niemal godziny. Szef CIA miał przedstawić mu raport dotyczący postępów we współpracy wywiadowczej amerykańskich agencji z ich tajwańskimi odpowiednikami.

– Wchodź, śmiało – zachęcił gościa, który pojawił się w drzwiach gabinetu.

– Dobry wieczór, panie prezydencie – odpowiedział Brennan.

– Skąd ten oficjalny ton, John? – zaśmiał się Armitage. – Jak długo się znamy?

– Zdecydowanie za długo, Albercie – odparł już niemal całkowicie łysy Brennan. Ostatnie kępki siwizny znaczyły ciemne nieregularnymi płatami.

– Język wciąż masz cięty. Siadaj. – Armitage wstał zza biurka i wskazał Brennanowi kanapę. Sam zajął miejsce po przeciwnej stronie, tuż za dzielącym obu mężczyzn niskim stolikiem. – Napijesz się herbaty? Kazałem zaparzyć.

– Czemu nie. – Szef CIA wyduł usta i podniósł porcelanowy talerzyk z delikatną niczym pajęczyna filiżanką.

– Dobrze, więc mów, co masz. Jak wygląda sytuacja? – zapytał prezydent, rozsiadając się wygodnie.

John Brennan odstawił napar i sięgnął po skórzaną aktówkę z wytłoczonym logo agencji. Zajrzał do środka i wyłuskał teczkę związaną elastyczną gumką. Przesunął dokument po blacie stolika. Prezydent machnął ręką lekceważąco.

– John, darujmy to sobie. Wolę usłyszeć nowiny od ciebie, te wszystkie raporty to bezduszne statystyki. Nawet jakbym czytał o wymordowaniu połowy Waszyngtonu, nie poczułbym szczególnych emocji. Głos ma stokroć większą siłę niż tekst.

Szef CIA zaciął usta w kreskę, po czym uśmiechnął się zagadkowo. Spodziewał się, że Albert Armitage będzie oczekiwał ustnej relacji. Pociągnął niewielki łyk doskonałej herbaty i oblizał wargi.

– No dobrze, to przejdźmy od razu do konkretów – zaczął. – Nasze dwie fregaty rakietowe klasy Perry jutro rano wypłyną z bazy morskiej w Jokosuce. Droga na Tajwan zajmie im mniej więcej czterdzieści pięć godzin. Chińczykom się to nie podoba. Gardłują w mediach i wysyłają tony not protestacyjnych. Na razie nie zdecydowali się na bardziej radykalne kroki.

– Myślisz, że mogą próbować wywinąć jakiś numer?

– Gdybym nie pamiętał tego, co zrobili z Rosją i Iranem, to powiedziałbym, że skończy się na dyplomacji. – Brennan rozłożył ręce. – Ale niestety pamiętam. Oni są nieprzewidywalni, niemniej dobrze wiedzą, że w walce na morzu to my mamy przewagę.

– Co, jeśli przyjdzie im do głowy ostrzelać nasze okręty? – zapytał Armitage.

– Dempsey z radością zamiecie ich pod dywan. Ale szczerze wątpię, żeby zdecydowali się na otwartą konfrontację. Głupi nie są, zdają sobie sprawę, jak niewielkie szanse powodzenia ma kampania przeciwko Siódmej Flocie.

– Co z ich wywiadem? Działają na wyspie?

– Oczywiście, że tak – powiedział Brennan, kiwając głową. – Tak jak się spodziewaliśmy, chińskie lobby na Tajwanie uaktywniło się jak nigdy wcześniej. Kampania antyamerykańska wśród bardziej radykalnych polityków trafia na podatny grunt. Zaczynają sobie przypominać, jak kilkakrotnie odwracaliśmy się od nich, byle tylko ugłaskać Pekin.

Albert Armitage skrzyżował ręce na piersi i wbił wzrok w filiżankę wystygłej już herbaty. Wyglądało

na to, że Chińczycy chcą wygrać ten cichy konflikt, zdobywając dusze i serca pobratymców z Republiki Chińskiej. Brennan i rzesze analityków ostrzegali go przed takim scenariuszem. Wszyscy jak jeden mąż uważali również, że od tej chwili należało działać w błyskawicznym tempie.

– Czas nie jest naszym sojusznikiem – powiedział Armitage sentencjonalnie. – Musimy skontaktować się z Tajpej i jak najszybciej podpisać umowę. Chciałbym, żeby miało to miejsce na pokładzie jednego z naszych okrętów.

– Obawiam się, że Chińczycy mogą to źle odebrać... Może lepiej będzie, jeśli nie rozdrażnimy ich do reszty? – zapytał niepewnie Brennan.

– Nie, John. – Prezydent wsparł się na kolanach i wstał z miejsca. Przeszedł kilka kroków i stanął plecami do gościa. Milczał przez dłuższą chwilę, wywołując u Brennana poczucie lęku wymieszane z odrobiną fascynacji. Ameryka długo musiała czekać na lidera jego pokroju. – Koniec z niedrażnieniem dla świętego spokoju. Nie drażniliśmy w Iranie i do czego nas to doprowadziło? Kilkanaście tysięcy zabitych i Bóg jeden wie ilu rannych. Długo trwaliśmy w apatii, ale ten czas dobiegł końca. Były lata, kiedy na nasze skinienie upadały rządy, a Biały Dom stanowił centrum globalnej polityki. Kojarzył się z demokracją, siłą, sprawiedliwością, a nie sekstaśmami, korupcją, chaosem i pozał się Boże Secret Service. Nadszedł czas, żeby zwrócić temu narodowi należne mu miejsce. Zaczniemy na Pacyfiku, a potem... – Albert Armitage odwrócił się do Brennana. Jego twarz nie wyrażała absolutnie żadnych emocji. – Potem zrobimy to wszędzie tam, gdzie o nas zapomnieli.

Szef CIA skinął delikatnie głową. Przełknął ślinę i wpatrywał się w posągową postać prezydenta, nie wiedząc, jak się zachować. Miał przed sobą człowieka z wizją, która mogła wynieść Amerykę do roli światowego lidera lub pogrążyć świat w płomieniach. Był pewien, że Armitage się nie zatrzyma. Jedyne, co pozostawało, to ruszyć jego śladem.

– Oczywiście, panie prezydencie. Porozmawiam na ten temat z agencjami bezpieczeństwa na Tajwanie. Będziemy potrzebowali zabezpieczenia wywiadowczego z ich strony.

– Dobrze. – Armitage rozchmurzył się i podszedł do biurka. Oparł się o krawędź blatu i zabębnił palcami. – Ale wstrzymaj się z tym jeszcze. Chciałbym o tym porozmawiać z Dempseyem i resztą. Poza tym osobiście powiadomię prezydenta Czianga o tych planach. Ty zapewnij bezpieczeństwo na wyspie.

– Naturalnie, jesteśmy w stałym kontakcie z rządem Republiki Chińskiej. Choć mają teraz znacznie więcej problemów z chińską agenturą, z pewnością wyasygnują odpowiednie środki.

– Dobrze, jeśli oni nie dadzą rady, to my to zrobimy. Jeśli mam tam wysłać Biena i sekretarza z Departamentu Energii, muszę mieć pewność, że wszystko pójdzie gładko.

Kolejne polecenia wydawane przez prezydenta Johna Brennana przyjmował machinalnie. Po prostu siedział i kiwał głową, ilekroć Armitage kończył swoją wypowiedź. Kiedy ten skończył, szef CIA siedział jeszcze przez dłuższą chwilę i udawał, że delektuje się smakiem całkiem zimnej już herbaty. Chciał zadać to pytanie już od dłuższego czasu i uznał, że nie będzie ku temu lepszej okazji.

– Panie prezydencie, czy mogę o coś zapytać? – powiedział niepewnie.

– Oczywiście, John, śmiało. – Armitage zachęcił go ruchem dłoni.

– Czy czasami pan się boi, panie prezydencie? Czy nie czuje pan obawy, że możemy iść w złym kierunku?

Albert Armitage złapał się pod boki i zacisnął usta. Doskonale wiedział, jaki sens miało pytanie zadane mu przez dowodzącego agencją wywiadu człowieka. Nie pamiętał nawet, ile razy zadawał je sobie sam, spoglądając w lustro podczas wieczornej toalety.

– Nie, John. Nie boję się. Przez ostatnie lata pędziliśmy na złamanie karku prosto ku samozniszczeniu i zapomnieniu. Codziennie powtarzam sobie, że jeśli uda mi się zmienić nasz kurs choć odrobinę, to będziemy mieli większą szansę trafić na most niż w przepaść.

Kraków, Polska | 17 kwietnia 2023, godzina 13:08

Jastrzębski odebrał telefon od Andrieja Bołkońskiego w łazience. Jak się okazało, Andriej wylądował właśnie w Balicach, a Kraków poprzysiągł uczynić jednym z punktów na mapie tygodniowej przepustki. Nie widzieli się od dobrego miesiąca, podczas którego Bołkoński razem ze swoimi specjalsami zawitał w kilka ciekawych miejsc. Było więc o czym opowiadać. Jastrzębski bez namysłu zgodził się na spotkanie w większym gronie. Na rynku mieli do nich dołączyć Wojtek z Natalią Wiertow. Naturalną dla Jakuba była więc propozycja wysunięta w kierunku Ludmiły.

– Ludmiła! – zawołał, stając w drzwiach pokoju.

– Tak?

– Właśnie dzwonił do mnie Andriej. Jest w Krakowie i chciałby się spotkać. Pójdiesz ze mną?

– Ten Rosjanin, który...? – zapytała, leżąc na kanapie przed laptopem.

– Mhm. – Jastrzębski skinął głową. – Będzie też mój kumpel z czasów ABW i jego dziewczyna. Nie będziesz musiała słuchać cały czas naszego głędzenia.

– No dobrze, możemy iść – odpowiedziała.

Zwykle gdy Jakub lub ktokolwiek inny wspominał o wydarzeniach w Armenii, Ludmiła robiła się nieswoja i przygaszona. Kilka razy zdarzyło jej się płakać, choć minęło już dobrych kilka miesięcy od zakończenia terapii. Ilekroć Jakub rozmawiał w jej towarzystwie po rosyjsku, wychodziła do innego pokoju. To wszystko minęło po kilku miesiącach wspólnego mieszkania. Ludmiła zrozumiała, że te tragiczne wydarzenia już na zawsze w niej zostaną, wiedziała, że uciekanie od wspomnień niewiele zmieni. Spróbowała więc zmierzyć się z demonami. Pytała Jastrzębskiego o szczegóły tamtej akcji, o to, czy się wtedy bał. Chciała wiedzieć, co czuł tamtego dnia, kiedy co chwila musiał pociągać za spust. Zaczęła przysłuchiwać się rozmowom, jakie prowadził. Po kilku tygodniach efekty znacznie przekraczały te wypracowane przez psychiatrów. Jakub tylko dlatego zaproponował jej udział w spotkaniu.

Na rynek dotarli piechotą po dłuższym spacerze. Własne nogi okazały się najlepszym środkiem lokomocji. Jastrzębski nie pamiętał, czy jadąc samochodem przez Kraków, zdołał kiedykolwiek wrzucić trójkę. Na skrzyżowaniach i przystankach komunikacji miejskiej zaczynał rozumieć terrorystów. Podczas jednej z wizyt u generała Kozaka zaproponował wykorzystanie do ćwiczeń masek gazowych w celu zapobieżenia uduszeniu smogiem. Mimo tego kochał to miasto i każdą jego ulicę.

Z Bołkońskim umówił się przed wejściem do obowiązkowego punktu na turystycznej trasie dawnej stolicy. Godziny popołudniowe w lokalu przy Rynku Głównym 27 pozwalały jeszcze na znalezienie miejsca na rozmowę bez zdzierania gardła. Jastrzębski wysłał przyjacielowi wiadomość z informacją o dotarciu do celu. Jak się okazało, reszta czekała już w środku.

– Jakub, aleś wyrósł! – zawołał Andriej, wstając od stolika.

– Ano, dobrze jadłem – odpowiedział Jastrzębski i uściśnął Rosjanina. – Poznajcie się, to Ludmiła.

– Jakub sporo o tobie opowiadał. Właściwie to nie opowiadał od dłuższego czasu o niczym innym – zaśmiał się Bołkoński. – Ludmiła, pozwól. To jest Natalia, a to jej internacjonalistyczny narzeczonny, Wojtek.

– Narzeczonny?! – zapytał Jastrzębski. – Wojtek, coś ty narobił?

– Podjąłem męską decyzję, Kuba. Biorąc pod uwagę reputację i aparycję twojej... partnerki, nie powinieneś zwlekać z pójściem w moje ślady – odciął się Wojtek.

Spotkanie okazało się nadzwyczaj udane. Jakub z Bołkońskim dywagowali ściszymi głosami nad losami świata, snując coraz bardziej apokaliptyczne wizje. Po czwartym kuflu stwierdzili, że to wszystko i tak nie ma sensu, a polityka to nic innego jak chuj, dupa i kamieni kupa. Wojtek okazał się dla kobiet

zdecydowanie bardziej trafionym kompanem. Dość łatwo nawiązał kontakt z Ludmiłą, oboje łączyła pasja do zgłębiania tajników inżynierii społecznej. Wojtek, wciąż pracownik cyfrowego departamentu ABW, zajmował się analizą wyników pracy mediów, czyli także Ludmiły. Natalia nie była co prawda tak zafascynowana metodami manipulacji, ale wieloletnia praca dla GRU pozwoliła jej poznać nieco temat i co pewien czas wtrącała jakąś merytoryczną uwagę.

Zasiedzieli się aż do głównego wydania wiadomości. Na jednym z telewizorów podwieszonych pod sufitem prezenter przejętym głosem czytał ciąg informacji. Jastrzębski i Bołkoński ożywili się wyraźnie. Jakub odwrócił się do barmana i zapytał, czy może nieco pogłodzić. Mężczyzna skinął głową. W lokalu nie było zbyt wielu gości, środek tygodnia nie zachęcał do wielogodzinnych biesiad. Jeszcze zanim ich uszu dobiegł głos spikera, zrozumieli, co było tematem numer jeden. Obraz zamiast studia ukazywał potężne sylwetki amerykańskich i chińskich okrętów wojennych. Wrażenie potęgować miały migawki z manewrów obu stron, podczas których zasypywano nieistniejącego przeciwnika dziesiątkami rakiet i torped.

– Oświadczenie chińskiego MSZ było łatwe do przewidzenia – mówił spiker. – Chińczycy stanowczo potępiają wysłanie na Tajwan amerykańskich okrętów i twierdzą, że niepotrzebnie zaogni to sytuację na Pacyfiku. Minister Wang Yi nazwał ten gest czystą prowokacją, szczególnie przed zbliżającymi się dorocznymi manewrami chińskiej floty na Morzach Wschodnio- i Południowochińskim. Resort wezwał na dywanik amerykańskiego ambasadora z żądaniem wyjaśnień tych działań bez porozumienia ze stroną chińską.

– To się porobiło... – stwierdził Wojtek, poprawiając kanciaste okulary.

– Ciszej! – syknął Bołkoński.

– Szef chińskiego MSZ zapewnił również, że jawnie wrogie działania Ameryki nie pozostaną bez odpowiedzi. Jako dowód minister Yi zacytował polecenie wydane Sztabowi Generalnemu Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, w którym zezwolił na prowadzenie lotów patrolowych na granicy przestrzeni powietrznej Tajwanu. Według prezydenta Xi Jinpinga rząd musi zrobić wszystko, aby zapewnić narodowi chińskiemu odpowiedni poziom bezpieczeństwa...

Chwilę później urywki z pokazów możliwości chińskich sił powietrznych zastąpił zoom na twarz prezentera. Jastrzębski machnął ręką, a barman przyciszył telewizor, który wyraźnie psuł nastrój kilkorgu innych gości lokalu.

Wywiadowcy spojrzeli po sobie porozumiewawczo. Żaden nie chciał odezwać się jako pierwszy. Ostatecznie to Bołkoński wypuścił powietrze ze świstem i przetarł usta dłonią.

– Nie wygląda to najlepiej – mruknął.

– Myślisz, że mogą nas w to zaangażować? – zapytał Jastrzębski.

– Nie mam pojęcia, ale coś czuję, że na górze będą próbować wyrwać dla siebie odrobinę tortu... – odparł Rosjanin.

– Kurwa – skwitował Jastrzębski i skrzyżował wzrok z Ludmiłą. Dziewczyna była przerażona.

Keelung, Republika Chińska | 18 kwietnia 2023, godzina 10:30

Komandor Dirk Cheney odebrał ostatni meldunek. Uśmiechnął się z satysfakcją i odłożył mikrofon. Obawiał się tego rejsu. Mimo złych przeczuć, które nie opuściły go nawet w tej chwili, udało im się dotrzeć na Tajwan bez żadnych przeszkód. Chińczycy co prawda krążyli nad obiema jednostkami w odległości kilkunastu mil morskich, ale w porównaniu z ciasnotą towarzyszącą działaniom na wodach Zatoki Perskiej było to przyjemnym urozmaiceniem.

– Sir, delegacja już czeka – powiedział pierwszy oficer, stając przed Cheneyem.

– Dziękuję – odparł komandor i skinął głową.

Porucznik Stuart Jones stał jeszcze przez chwilę jakby w oczekiwaniu na dalsze rozkazy. Komandor szybko się zmytygował. Wejście do portu w Keelung miało być okazją do celebracji międzynarodowej współpracy.

– Tak... Wydaj ludziom rozkazy, za dziesięć minut chcę ich widzieć na nabrzeżu równo jak od linijki.

– Tak jest, sir! – Stuart Jones dopiero teraz odwrócił się na pięcie i puścił w eter serię poleceń przekazywanych dalej niczym echo.

Dirk Cheney obrzucił spojrzeniem pomost bojowy. Wszystko wyglądało doskonale. Przycumowali w wojskowej części miejskiego portu, jednego z największych na wyspie. Stacjonowało tu kilka okrętów tajwańskiej marynarki, które w porównaniu z najnowszymi nabytkami amerykańskiej floty reprezentowały minioną epokę.

Komandor zostawił na obu krążownikach szkieletową obsadę, niezbędną do funkcjonowania i szybkiej reakcji na każde zagrożenie. Cheney pamiętał odprawę w Japonii. Płynęli przygotowani na kontakt z chińską flotą i lotnictwem. Sonary, czujniki i radary pracowały pełną parą od wyjścia w morze aż do teraz. Uśpione w wyrzutniach rakiety mogły w kilka sekund przechwycić wrogi pocisk lub rozproszyć nieprzyjacielską eskadrę.

Wyszedł na pokład. Wiał dość silny, ciepły wiatr, a błękitne niebo przecinały pojedyncze strzępy chmur. Cheney spojrzał w górę. Był spięty.

– Sir, wszystko gotowe, Tajwańczycy czekają – powiedział Jones, podchodząc do komandora.

– Już idę – odparł Cheney i uśmiechnął się do pierwszego oficera. – Chodźmy, chcę mieć to za sobą.

Stuart Jones zmarszczył brwi i ruszył za komandorem. Dziwił się tej zmianie w zachowaniu dowódcy. Zwykle optymistyczny, zadowolony z siebie i wszechwiedzący oficer teraz przypominał własny cień.

Zeszli wąską kładką na nabrzeże, gdzie w dwóch równych rzędach stało kilkudziesięciu członków załogi amerykańskich fregat. Tuż obok znajdował się oddział reprezentacyjny tajwańskiej armii. Dirk Cheney podszedł do piątki oficjeli ubranych w skrojone na miarę garnitury, wśród których rozpoznał ministra spraw zagranicznych. Szósty pojawił się jakby znikąd. Wysoki jak na Tajwańczyka, wciśnięty w śnieżnobiały mundur i kanciaste okulary, przypominał bardziej akademickiego wykładowcę niż oficera floty.

– Komandorze Cheney – zaczął Tajwańczyk – w imieniu marynarki wojennej Republiki Chińskiej oraz prezydenta Czianga witam pana oraz pańskich ludzi na Tajwanie. Jesteśmy niezmiernie wdzięczni, że pański rząd usłyszał nasze prośby. – Admirał floty Republiki Chińskiej, słynny na Pacyfiku Lee Hsi-Ming, pochylił się nieznacznie. Jego śladem poszli urzędnicy z ministrem Kim-Kuo na czele.

– Panie admirale, panie ministrze – odpowiedział Cheney, przełykając ślinę. Nie lubił takich pompatycznych uroczystości. Przypłynął tu jako gwarant bezpieczeństwa, a nie atrakcja turystyczna. –

Wypełniamy nasz sojuszniczy obowiązek. Republika Chińska zawsze była bliska Ameryce, teraz dajemy temu wyraz.

Celebracja trwała jeszcze kilkanaście minut. Tajwańczycy paradnym krokiem zniknęli gdzieś za załomem jednego z budynków, Amerykanie wrócili na pokłady fregat. Lee Hsi-Ming zamienił kilka słów z Cheneyem, ponownie podziękował i zapewnił o wdzięczności, po czym oddalił się w jedynie sobie znanym kierunku. Komandor szepnął kilka słów Jonesowi, który kiwnął głową i wrócił na okręt.

– Panie komandorze, zakończyliśmy już oficjalną część uroczystości. Nie chcieliśmy rozgłosu, było więc krótko i skromnie – powiedział minister Kuo i uśmiechnął się usłużnie. – Chciałbym to panu zrekomensować i zaproponować wspólny lunch. Jestem pewien, że pański pierwszy oficer poradzi sobie z dowodzeniem przez najbliższe dwie godziny.

– Cóż... Przekazałem Jonesowi rozkazy – odpowiedział Cheney, przecierając perłace się od potu czoło. – Myślę, że Tajwan znacznie zyskał na bezpieczeństwie, więc możemy pozwolić sobie na odrobinę swobody.

– Doskonale! – Kuo uśmiechnął się szeroko. – Zapraszam.

Nim ruszyli ku zaparkowanym nieopodal rządowym limuzynom, niebo rozerwał potężny huk. Cheney z najwyższym wysiłkiem powstrzymał się, by nie skulić się przy ścianie mijanego właśnie magazynu. Mięśnie zadrżały mu na całym ciele. Uniósł głowę, czekając na świst prującej powietrze rakiety. Skarcił się w duchu, gdy spostrzegł, jak nad nieodległymi dachami uniósł się znany mu dobrze, aerodynamiczny kształt. F-35B wzbił się na nieco wyższy pułap, dysza silnika poruszyła się, zmieniając wektor, a samolot najpierw powoli, potem coraz szybciej pomknął ku pobliskim wzgórzom.

– Piękne maszyny – powiedział Kuo. – Nasi aniołowie stróże.

– Piękne, ma pan rację – uśmiechnął się Cheney i rozluźnił zaciśnięte pięści. Krople potu skapnęły z koniuszków palców na rozgrzany beton.

ROZDZIAŁ II

Wzgórze Jukuan, Pekin, Chiny | 25 kwietnia 2023, godzina 22:07

Willowe osiedle na obrzeżach Pekinu było szczelnie otoczone kordonem strażników i najnowocześniejszymi urządzeniami zabezpieczającymi. Okolicznych mieszkańców nie dziwił już widok rzędu limuzyn, które znikają za kutą bramą w asyście trajkoczących kogutami motocykli. Olbrzymie budynki należące do pekińskich oficjeli skrywał gęsty zagajnik z krętymi drogami prowadzącymi do poszczególnych posiadłości. Tym razem wszystkie pojazdy zaparkowały na owalnym parkingu wysypanym drobnym żwirem. Posiedzenie najbliższych współpracowników Xi Jinpinga odbywało się w tajemnicy nawet przed częścią administracji i rządową agencją prasową. Kierownictwo kraju miało podjąć jedną z najważniejszych decyzji ostatnich lat. Prezydent nie chciał, by spotkanie przyciągało ciekawskich.

Siedzieli tak już od ponad godziny. Otuleni papierosowym dymem słuchali przeciągającego się wykładu szefa sztabu generała Fanga Fenghui. Xi Jinping oraz mniej obeznani w wojskowej nomenklaturze współpracownicy spodziewali się większej liczby konkretów. Do tego czasu doczekali się jednak serii kryptonimów, nazw kodowych, współrzędnych i terminów dyslokacji na wybrzeżu kolejnych transz sił lądowych, niezbędnych do zabezpieczenia przyczółków i wyjścia z ofensywą w głąb wyspy. Prezydent długo zachowywał cierpliwość.

– Jak zamierzacie, generale, odciągnąć uwagę Amerykanów od Tajwanu? Dotarły tam ich dwa okręty, wątpię, żeby spuścili je z oczu – powiedział spokojnym tonem.

Fang Fenghui chrząknął z wyraźnym niezadowoleniem, po czym uśmiechnął się usłużnie i stuknął końcem wskaźnika w zawieszony na statywie laminowany arkusz mapy sztabowej.

– Długo zastanawialiśmy się, co mogłoby sprawić, by amerykańska flota przestała się nami interesować – zaczął Fenghui, po czym wskazał obszar na mapie. Przez wysoką komnatę przebiegł pomruk zdziwienia. Mężczyźni szybko zaczęli wymieniać uwagi i kręcić głowami z niedowierzaniem. – Tak, towarzysze. Najskuteczniejszym i najprostszym sposobem skierowania amerykańskiej siły poza Tajwan jest konflikt w strefie zdemilitaryzowanej na granicy obu Korei. Reżim Kim Dzong Una w końcu może okazać się przydatny.

– Zdajecie sobie sprawę, że przy otwartym konflikcie Korea Północna nie ma szans na zwycięstwo? – zapytał Xi Jinping, wskazując dłonią mapę. – Pozbawi nas pan nie tylko bufora, ale doprowadzi do jeszcze większego zmilitaryzowania półwyspu.

– Niekoniecznie, panie prezydencie. Nasz scenariusz zakłada wykreowanie kilku incydentów, które w konsekwencji doprowadzą do konfliktu zbrojnego o średniej intensywności – odpowiedział szef sztabu. – Już tłumaczę. Nasz wywiad jest gotowy do spotkania z wysokimi przedstawicielami administracji Una w celu przekazania fałszywych materiałów na temat zwiększenia aktywności wojsk Korei Południowej w pasie przygranicznym. Jednocześnie możemy wypuścić do koreańskiej sieci odpowiednie materiały prasowe, potwierdzające tę tezę. Nikt nie pozna się na fałszywce. Kiedy napięcie wzrośnie, nasz wywiad będzie w stanie wykreować kilka incydentów zbrojnych w strefie zdemilitaryzowanej. Dzięki stałemu strumieniowi sfabrykowanej informacji wywiadowczych oraz wymianie ognia na granicy Koreańczycy sami uwierzą w zagrożenie i uderzą na Południe. Naturalnie będziemy cały czas kontrolować przebieg koreańskiej mobilizacji i kierować napięcie we właściwym kierunku.

– Rozumiem, generale. Co później? Ma pan jakieś plany zatrzymania pochodu Koreańczyków z Południa? – zapytał prezydent.

– Odczywiście. Tę część przedstawi generał Lu Szeniu. – Fang Fenghui wskazał dłonią na szczupłego oficera.

Lu Szeniu spojrział na prezydenta. Na jego trójkątnej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

– Panie prezydencie. – Generał skłonił się delikatnie. – Kiedy konflikt wejdzie w fazę niekorzystną dla Korei Północnej, zaczniemy naciskać na Kim Dzong Una w celu wstrzymania walk i wprowadzenia zawieszenia broni. Będziemy to motywować bezpieczeństwem współistnienia obu narodów na półwyspie. Przeistoczenie się granicznych potyczek w otwarty konflikt kosztowałoby życie milionów.

– A jeśli ten szaleniec zdecyduje się na użycie broni jądrowej? Mają rakiety, które są zdolne razić cele Południa – wtrącił premier Li Keqiang. Został posadzony daleko od Xi Jinpinga i potraktowany jak niechciany gość. Przełknął tę zniewagę i zdusił w sobie chęć zemsty. Przynajmniej na jakiś czas.

– Koreańskie rakiety są gotowe do odpalenia w kilka minut po uzupełnieniu zbiorników z paliwem. Liczymy na to, że już w początkowej fazie konfliktu koreańskie siły powietrzne wraz ze wsparciem Amerykanów zneutralizują większość mobilnych wyrzutni i silosów – kontynuował szef III Departamentu.

– Jednak jeśli Północ miała by wystrzelić swoje pociski, planujemy na wodach terytorialnych Korei Północnej umieścić kilka naszych okrętów, które będą mogły przechwycić rakiety tuż po odpaleniu.

– Korea Południowa z pewnością jest zabezpieczona na wypadek takiego ataku. Mogą samodzielnie przechwycić pociski z Północy – odparł Ma Xiaotian.

– Zgadza się, panie generale. Chcemy jednak podwoić środki ostrożności. Udany atak nuklearny na Koreę Południową nie wchodzi w grę. Doprowadziłby do całkowitego upadku reżimu i anulował strefę buforową, jaką jest dla nas Korea Północna – odpowiedział Lu Szeniu.

– Tak czy inaczej, siły zbrojne Kim Dzong Una przestaną istnieć... – parsknął dowódca sił powietrznych Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

Pozostali wojskowi pokiwali zgodnie głowami. Przepaść technologiczna, jaka dzieliła Koreę Północną i Południową, była szacowana na jakieś dwadzieścia pięć lat rozwoju. Już w zakresie technologii cywilnej oznaczało to gigantyczne zapóźnienie, a w przypadku armii – niemalże inną epokę.

– Jeśli będziemy trzymać rękę na pulsie i odpowiednio sterować konfliktem, nie dojdzie nawet do przekroczenia przez Południe strefy zdemilitaryzowanej – Fang Fenghui poparł generała Szeniu.

– Wierzy pan w to? – zapytał premier.

– Pozostaje również opcja znacznie bardziej radykalna. – Lu Szeniu zniżył konspiracyjnie głos. – Mamy w Pjongjangu oddział specjalny, który w każdej chwili może wyeliminować Kim Dzong Una. Mamy także przygotowanych następców.

Ponowny szmer wypełnił tonący w siwej zawieszinie pokój. Plan zaprezentowany przez szefa III Departamentu był szalenie ryzykowny i jednocześnie przerażająco łatwy do zrealizowania. Indoktrynowane od kołyski dzieci, które później stawały na czele armii i organizacji rządowych, były ślepo posłuszne ukochanemu przywódcy. Buntowników czekał pluton egzekucyjny lub w najlepszym razie obóz koncentracyjny daleko na północy kraju. Manipulacja kadrą dowódczą była dziecinnie łatwa, tym bardziej że wywiady obu krajów utrzymywały dość zażyłe stosunki.

– Pan mówi poważnie? – Li Keqiang poprawił okulary i skupił wzrok na lisiej twarzy wywiadowcy.

– Tak jest, panie premierze – odpowiedział Szeniu.

– Cóż, może pozbycie się tego imbecyla nie byłoby takie głupie. – Keqiang pokiwał głową.

Pomieszczenie wypełniła wymowna cisza. Kilkanaście par oczu zwróciło się teraz na prezydenta – to on ostatecznie decydował o zatwierdzeniu operacji. Prezydent był wyraźnie poruszony planami generała Szeniu. Siedział wyprostowany w fotelu i patrzył prosto na mapę. Zdawał sobie sprawę z wagi decyzji, jaką musi podjąć. Plan koreański rzeczywiście mógł na dobre odwrócić uwagę Ameryki od Tajwanu, ale jednocześnie stanowił ogromne zagrożenie dla samych Chin. Reżim Kim Dzong Una zawsze uważał za lokalny koloryt, a nie liczące się w regionie państwo. Kraj istniejący na krawędzi ubóstwa był skansenem najbardziej prymitywnych cech dyktatury. Wywołanie konfliktu mogło raz na zawsze pogrzebać reżim Una

i otworzyć drogę do właściwego wykorzystania północnej części półwyspu.

– Generale Fenghui, generale Szenu – powiedział Xi Jinping – jak duże jest ryzyko, że ten plan się nie powiedzie? Chcę szczerą odpowiedź, jak duże jest ryzyko, że Korea Północna użyje broni atomowej. Skąd pewność, że Seul nie pójdzie za ciosem i jego armia nie posunie się aż do naszej granicy?

– Panie prezydencie, jesteśmy pewni, że w przypadku wystrzelenia pocisków będziemy mogli je przechwycić w początkowej fazie lotu. – Lu Szenu nieznacznie kiwnął głową. Poza ustami jego twarz przypominała nieruchomą maskę. – Nasze działania są ukierunkowane na lokalne wymiany ognia i sporadyczne rajdy. Seul, choć doskonale uzbrojony i wyszkolony, nie będzie chciał wojny totalnej. Wystarczy im złamanie nacierających wojsk i utrzymanie status quo. Nie muszą zdobywać Pjongjangu, by czuć się wygranymi. Z drugiej strony, Kim Dzong Un dobrze wie, że konwencjonalnie nie jest w stanie położyć na łopatki Korei Południowej. Aktywnie wspieranej przez siły lądowe USA oraz amerykańskie lotnictwo.

– A jeśli pójdą? – zapytał prezydent. – Jeśli przekroczą strefę zdemilitaryzowaną i granicę Korei Północnej?

– Wtedy wyeliminujemy Kim Dzong Una. To jedna z dwóch sytuacji, która może sankcjonować obalenie rządu i przejęcie rządów przez przygotowanego następcę.

– Zakładam, że tą drugą opcją jest próba odpalenia pocisków jądrowych?

– Zgadza się.

Prezydent zagryzł wargi i spojrzał na leżące przed nim dokumenty. To się mogło udać, chiński wywiad mógł przez jakiś czas systematycznie podsycać panikę w szeregach koreańskiej wierchuszki. W końcu by pękli, ze strachu. Umiejętnie sterowany konflikt doprowadziłby do sytuacji wręcz doskonałej. Amerykanie wysłaliby nad półwysep całą dostępną flotę powietrzną, by jak najszybciej zdusić obłąkane zapędy Pjongjangu. Xi Jinping był pewien, że w działaniach wzięłaby również udział flota.

Ryzykował, ale wyczuwał geniusz przedsięwzięcia. Nie mogli zaprzepaścić takiej szansy. Tajwan pozostałby całkowicie odsłonięty. Mogliby wejść w obronę jak gorący nóż w masło. Nim Amerykanie by się zorientowali...

– Zgadzam się. – Xi Jinping skinął głową na znak aprobaty. Kąciki ust na lisiej twarzy generała Szenu uniosły się nieznacznie. Fang Fenghui odetchnął z ulgą i oblizał spierzchnięte wargi. – Powiedźcie mi, generale, co z samą wyspą? Jak zamierzacie zaatakować Tajwan?

– Dziękuję, panie prezydencie. – Szef sztabu przeniósł wzrok na mapę i przesunął wskaźnik na południe, ku podłużnemu kształtowi okolonemu niebieskimi symbolami. – Wraz z rozpoczęciem operacji koreańskiej aktywujemy naszych uspionych agentów na Tajwanie. Dzięki środkom finansowym oraz kontaktom w środowiskach skrajnie nacjonalistycznych będziemy mogli wzniecić rozruchy i demonstracje na tle antyamerykańskim. Na wyspie wciąż jest wiele osób pamiętających wycofywanie się Amerykanów z korzystnych dla Tajwanu umów. Odwrócili się od nich w kwestii bezpieczeństwa i teraz możemy to wykorzystać.

– Demonstracje będą jednak tylko przykrywką. – Lu Szenu ponownie włączył się do rozmowy. – Prawdziwym celem naszych grup sabotażowych będzie seria ataków na maszty telekomunikacyjne, elektrownie i sieci wodociągowe. Chcemy sparaliżować społeczeństwo i wywołać panikę wśród służb porządkowych.

– To będzie krok bezpośrednio poprzedzający rozwinięcie naszej floty oraz uderzenie z powietrza – kontynuował Fang Fenghui. – Admirał Wu Szengli oraz generał Ma Xiaotian przedstawią szczegóły, ja pozwolę sobie zarysować tylko ogólny szkic.

Szef sztabu przesunął wskaźnik na wschód od wyspy i stuknął kilka razy o laminowaną płachtę.

– Gdy tylko nasz sztab otrzyma potwierdzenia od grup sabotażowych, okręty zainicjują manewr zamykania pierścienia wokół wyspy. Jednocześnie rozpocznie się skoordynowany atak raketowy,

połączony z uderzeniem sił powietrznych na wybrane cele. – Fenghui stuknął szpicą w północny skraj Tajwanu. – Pierwsza fala ataku z powietrza wykorzysta pociski EMP, których zadaniem będzie wyłączenie energii elektrycznej w newralgicznych punktach. Spowoduje to spotęgowanie chaosu i zmusi rząd do rozproszenia swoich sił i opanowania tłumów. Zgodnie z naszymi założeniami w ciągu pierwszych godzin wyeliminujemy znaczną część floty, sił powietrznych oraz systemów obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej przeciwnika. Otworzy nam to drogę do desantu spadochronowego i morskiego oraz utworzenia przyczółków.

– Jakie siły chcecie zaangażować? – zapytał prezydent. Czuł drżenie rąk. Świat nie widział tak skoordynowanego ataku od czasu amerykańskiej inwazji na Iran.

– Wszystkie okręty, które będą brały udział w manewrach, plus maszyny pokładowe na lotniskowcach. Siły powietrzne będą reprezentować trzy dywizjony wielozadaniowe. Łącznie ponad setka okrętów i dwieście samolotów. Do tego trzy pułki spadochroniarzy, trzy brygady piechoty mor... – Fang Fenghui zamilkł, widząc uniesioną dłoń Xi Jinpinga.

– Rozumiem, panie generale, liczby pozostawmy tej bardziej szczegółowej części odprawy. Co się stanie, kiedy nasze bomby i rakiety spadną na Tajwan? – zapytał prezydent.

Nieruchoma do tej pory twarz generała Lu Szeniu zdrząła. Szef III Departamentu uśmiechnął się szerzej niż zwykle i spojrzał prosto na przewodniczącego.

– Wtedy rozpętamy piekło.

Pałac Prezydencki, Warszawa, Polska | 26 kwietnia 2023, godzina 19:02

Tadeusz Kempieński zatrzymał się przed wejściem do gabinetu Henryka Żuławskiego i oparł o kremową ścianę. Czujne oko sekretarki wyłapało odstępujące od normy zachowanie premiera.

– Wszystko w porządku, panie premierze? – zapytała.

– Tak, tak. Bieganie po pałacowych korytarzach nie jest już dla mnie... – odpowiedział delikatnie drżącym głosem.

– Wezwać lekarza? – Uniosła słuchawkę telefonu.

– Nie, proszę się nie martwić, to tylko zadyszka. – Kempieński uśmiechnął się i powstrzymał ją uniesioną dłonią.

Kobieta posłusznie odłożyła telefon, wciąż jednak taksowała wzrokiem premiera, który teraz już wyprostowany poprawiał krawat i marynarkę. Zapukał i poczekał na zaproszenie.

– Cześć... Wszystko w porządku? Błady jesteś jak ściana – stwierdził prezydent, podchodząc do Kempieńskiego.

– Tak, daj spokój. Jestem przemęczony. – Premier odpowiedział na uścisk dłoni i usiadł na przygotowanym wcześniej fotelu.

– Na pewno? Może zobaczyłby cię lekarz? To tylko chwila. – Prezydent wskazał dłonią stojący na biurku telefon.

– Henryk, rozmawiajmy – powiedział stanowczo Kempieński.

– No dobrze – odparł Żuławski i usiadł tuż obok. – Jutro mamy konferencję z radą. Chciałbym ponownie wspomnieć o naszych ludziach na Tajwanie. Tam się naprawdę robi niebezpiecznie.

– Czyli o Bieleckim? – zapytał premier z uśmiechem.

– Nie chodzi tylko o niego, nie chcę narażać całej misji na niepotrzebne ryzyko. Czemu wszyscy węższą w tym prywatę?

– Ja to wiem, ty to wiesz, ale dla większości twoje działania wydają się motywowane osobistymi pobudkami. Tego nie zmienisz – odpowiedział Kempieński.

– Ale mogę spróbować zmienić ogład sytuacji. Potrzebujemy sojuszników.

Tadeusz Kempieński kiwnął głową. Ostatnie doniesienia faktycznie nie napawały optymizmem. Amerykańskie okręty cumujące na Tajwanie wywołały falę krytyki i oburzenia w Chinach. Loty patrolowe chińskich myśliwców niebezpiecznie zbliżyły się do granicy tajwańskiej przestrzeni powietrznej. Zaniepokojenie Henryka Żuławskiego nie było w tej sytuacji niczym nadzwyczajnym.

– Rosjanie z uporem maniaka próbują skierować całą naszą uwagę na Europę Zachodnią i Kaukaz. – Premier skubnął wąsa i potarł zroszone potem czoło. – Niełatwo będzie ich przekonać.

– Jeśli uda nam się przekonać choć część Rady, to już będzie coś. Kiedy zwrócimy uwagę na Tajwan, być może unikniemy tragedii – przekonywał Żuławski.

– Myślisz, że coś się wydarzy? – zapytał premier.

– Nie wiem, Tadeusz... Ale mam dziwne przeczucie, że to, co teraz obserwujemy na Pacyfiku, to początek. Coś się święci. – Prezydent wstał z fotela i podszedł do okna. Ogród tonął w półmroku kończącego się dnia.

– Wywiad przekazał jakieś nowe informacje? – zapytał premier.

– Nic nowego. Chińczycy fruują tam i z powrotem. Amerykańskie załogi na okrętach w Keelung

trzymają palce na spustach dwadzieścia cztery godziny na dobę. Lada dzień z baz morskich wypłyną dziesiątki okrętów, które wezmą udział w dorocznych manewrach chińskiej floty.

– Możemy spróbować ponownie porozmawiać z pozostałymi. Każdego dnia sytuacja się zaognia, może w świetle nowych faktów zmienią nastawienie – stwierdził Kempieński.

– Dość mam już tych rozmów – syknął Żuławski i odwrócił się do gościa. – Putin nie dostrzega poza Zachodem żadnego potencjalnego zagrożenia. Raz już zapatrzył się na Europę i Chińczycy zajęli mu połowę kraju...

Tadeusz Kempieński pokiwał głową na znak aprobaty. Rosjanie konsekwentnie od kilku lat tłamsili Starą Unię, żyjąc w przekonaniu, że klęska Chin zmusiła Xi Jinpinga do zaprzestania jakichkolwiek agresywnych kroków. Fakty, jakie spływały kanałami wywiadowczymi, przeczyły temu od dobrych kilku miesięcy. Już kilka lat temu, kiedy Chińczycy w spektakularny sposób zajęli Teheran, wielu przywódcom otwały się oczy. Oni wciąż byli zagrożeniem, życzeniowe myślenie o Chinach jako upadłym mocarstwie nie sprawdzało się.

– Nie mamy innego wyboru. Ewakuujemy placówkę tak czy siak. Putin nie jest idiotą, dobrze wie, że misja to nie tylko dyplomacja i handel, ale również wywiad.

– Jeśli się spóźnimy, będziemy ewakuować trupy, wolałbym unikać rozmowy z żoną Radka. Zobaczysz, Chińczycy coś zmagstrują, oni pamiętają, oni wciąż rosną w siłę. Trzeba było rozwiązać tę sprawę raz a dobrze, kiedy była ku temu okazja. Teraz odbije nam się to czkawką – zakończył prezydent.

– Nie mamy innego wyjścia. Musimy to załatwić drogą mediacji i przekonać Rosję do szybkiej ewakuacji – odpowiedział premier po dłuższej chwili. – Chyba że ewakuujemy tylko naszych i tylko naszymi środkami.

– Nie... – Żuławski zaprzeczył ruchem głowy. – Wszyscy muszą wrócić. Putin musi to zrozumieć. To jest kilkanaście osób, które w razie czego zostaną tam całkiem same.

– Rozumiem. Zajmę się tym – odpowiedział Kempieński. Prezydent widział, jak premier z grymasem bólu wstaje z fotela.

– Jasne, ale najpierw zobaczy cię lekarz. Jest tutaj, w pałacu. Zaraz zadzwonię. – Henryk Żuławski szybkim krokiem podszedł do biurka i podniósł słuchawkę telefonu.

– Ale Henryk... Nie ma potrzeby – protestował premier.

– Jest. Potrzebuję cię w pełni sił, a nie ledwo stojącego na nogach. Gramy o dużą stawkę.

Pjongjang, Korea Północna | 28 kwietnia 2023, godzina 08:25

Kilka opiętych w brudnozielone mundury postaci pochylało się nad stołem, oświetlanym rzędem jarzeniówek. Rozmowa była więcej niż ożywiona, rozrzucone na blacie czarno-białe zdjęcia satelitarne co chwila wędrowały z rąk do rąk. Mężczyźni w czapkach o gigantycznych rondach nie dowierzali temu, co widzieli, i zerkali ukradkiem na dwie siedzące w rogu pomieszczenia osoby.

Pułkownicy wywiadu Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej w spokoju obserwowali naradę wysokich rangą wojskowych. Koreańczycy byli wyraźnie zbici z tropu. Doskonale wiedzieli, że Południe posiada w bezpośrednim sąsiedztwie strefy zdemilitaryzowanej spore siły, ale to była obustronna, cicha umowa. Dostarczone przez Chińczyków zdjęcia podawały ten stan w wątpliwość. Opatrzone wczorajszymi datami obrazy przedstawiały kolumny setek pojazdów wojskowych, stanowiska artylerii, dziesiątki gotowych do przyjęcia maszyn helipadów. Wszystko ledwie kilka kilometrów od ciągnącego się przez cały półwysep szczelnego pasa zasieków i pól minowych. Koreańczycy byli przekonani, że Południe przygotowuje się do inwazji.

Wyglądało na to, że w końcu doszli do konsensusu. Jeden z wojskowych odszedł od stołu i ruszył szybkim krokiem ku siedzącym na fotelach postaciom. Chińczycy wstali.

– Za chwilę te zdjęcia zobaczy nasz przywódca – powiedział niski generał o pociągłej twarzy i porowatej, niezdrowej cerze. Nie widząc należytej reakcji, mężczyzna ciągnął: – Podejmie on decyzję o dalszych działaniach i poprowadzi nasz wspaniały naród ku zwycięskiej kampanii.

– Czyli już wiecie, co się wydarzy? – zapytał Chińczyk ubrany w ciemną skórzaną kurtkę.

– Jego umysł jest najjaśniejszy na tym świecie. To, co nasz ukochany przywódca uzna za właściwe, zostanie wypełnione z gorliwością przez cały naród – odpowiedział generał sztucznie podniosłym tonem.

– Nie wątpię, towarzyszu generale – odparł Chińczyk. – Mogę zapewnić, że to niejedyne dowody, jakie będziemy mogli przekazać na wasze ręce. Nasze satelity wciąż monitorują sytuację, obawiamy się możliwych incydentów zbrojnych na granicy. Będziemy przekazywać informacje na bieżąco.

– Dziękujemy, przyjaźń między naszymi narodami jeszcze nigdy nie była tak silna – odparł Koreańczyk, spoglądając gościowi prosto w oczy.

– Musicie jednak pamiętać o tym, że nie tylko my obserwujemy. Amerykanie z pewnością pilnie przyglądają się waszym instalacjom nuklearnym, silosom i jednostkom pierwszego rzutu. Jeśli mogę coś doradzić, zasugerowałbym przywódcy, żeby wstrzymał się z otwartą mobilizacją i przerzutem wojsk. – Pułkownik chińskiego wywiadu zrobił marsową minę i spojrzał na swojego towarzysza, który potwierdził jego słowa skinieniem głowy.

– Mamy pozostać bezbronni? – zapytał Koreańczyk.

Chińczyk oblizał wargi i spojrzał na generała. Byli bezbronni tak czy inaczej. Gdyby tylko Południe rzeczywiście zechciało uderzyć na nich z całą mocą, reżim Kim Dzong Una rozpadłby się jak domek z kart. Nie mieli szans wygrać w konwencjonalnej wojnie, a straty mogłyby sięgnąć setek tysięcy, jeśli nie milionów ludzi.

– W żadnym wypadku, nasi analitycy uważają, że Koreańska Armia Ludowa powinna skupić się na uzupełnieniu amunicji, przeglądach technicznych maszyn i niewielkich przerzutach świeżych jednostek nad granicę – odparł Chińczyk.

– Będziemy próbowali jak najdokładniej określić kierunki, na których mogą zaatakować Koreańczycy

– do rozmowy włączył się milczący do tej pory towarzysz chińskiego wywiadowcy. Ubrany w stalowoszary garnitur bardziej przypominał jednego z szanghajskich biznesmenów niż oficera wywiadu. – Dzięki temu wasze siły będą mogły skupić się w najbardziej newralgicznych miejscach.

– A jeśli zaatakują, zanim uda nam się rozwinąć obronę? Musimy działać stanowczo – oponował koreański generał. – Jeżeli imperialiści uderzą, musimy być gotowi. Ostateczną decyzję i tak podejmie nasz najwyższy przywódca.

– Naturalnie, towarzyszu generale. Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna będzie mogła liczyć na realną pomoc z naszej strony. Otrzymacie od nas wsparcie, które pomoże przechylić szalę zwycięstwa. Wojna jest kwestią tygodni – odparł ubrany w kurtkę wywiadowca.

Generał zasalutował i odwrócił się do czekających na niego oficerów. Wszyscy wyglądali niemal identycznie. Chińczycy oddali salut i poczekali, aż delegacja koreańskiego wywiadu opuści pomieszczenie. Na zewnątrz na dwójkę mężczyzn czekał samochód, który miał dostarczyć ich na lotnisko. Kilka godzin temu jako jedni z nielicznych przemierzali korytarze nowego międzynarodowego terminalu pod Pjongjaniem.

Wyszli na deszcz po kilku chwilach. Wsiedli do terkoczącego na niskich obrotach samochodu oddelegowanego z chińskiej ambasady. Ulice były niemal całkowicie puste. Gdyby nie kilka pojazdów miejskich zakładów oczyszczania i ciężarówek z patriotycznymi hasłami na burtach, ruch byłby niemal zerowy.

– Złapali przynętę – powiedział mężczyzna w garniturze.

– Widzą w nas przyjaciela, nie ma się czemu dziwić – odparł jego towarzysz.

– Kiedy rozpoczną się transporty?

– Za kilka dni, najpierw musimy dostarczyć więcej dowodów na koncentrację sił Korei Południowej.

Na lotnisko zajechali w kilkanaście minut. Podobną odległość w Pekinie lub Seulu pokonywaliby przynajmniej godzinę. Absolutna dyktatura potrafiła mieć swoje dobre strony.

Przebili się przez pustawy terminal i ruszyli do punktu odprawy. Mimo iż przebywali w teoretycznie zaprzyjaźnionym kraju, posługiwali się fałszywymi paszportami i nosili cywilne ubrania. Samolot czekał już na płycie postojowej. Niewielki bus podwiózł Chińczyków pod rejsowego Airbusa. Wspięli się po schodach i chwilę później mościli w wygodnych fotelach pierwszej klasy. Mężczyzna w biznesowym garniturze odwrócił się do kolegi.

– Nie upilnujemy ich, jeśli Un sięgnie po broń jądrową – stwierdził.

– Owszem – padła odpowiedź. – Nie upilnujemy.

– To może doprowadzić do zagłady obu Korei.

– Posłuchaj. – Pułkownik, wyraźnie zirytowany rozmową, odłożył rozłożoną przed chwilą gazetę. – Nasi ludzie w ambasadzie tylko czekają na sygnał. Zlikwidują tego szaleńca w kilkanaście minut. Możemy przechwycić rakiety i zrobimy to. Przestań biadolić. Korei Północnej już nie ma, tylko on jeszcze o tym nie wie.

Tajpej, Republika Chińska | 29 kwietnia 2023, godzina 12:53

Amerykański samolot przyziemił delikatnie na pasie tajwańskiego lotniska. Białe pióropusze dymu z palonych opon zawibrowały w strumieniach wystrzeliwanego przez silniki powietrza. Boeing zatrzymał się na płycie postojowej kilkanaście metrów od czerwonego dywanu, rozciągniętego na szarym betonie. Wzrost silników powoli się wyciszał. Nim na dywanie pojawiła się dwójka gości, cały perymetr został obstawiony przez mrowie ludzi w czarnych garniturach. Agenci Secret Service, posągowi jak mityczni tytani, obserwowali swoje sektory w poszukiwaniu potencjalnego zagrożenia.

Joe Biden oraz sekretarz energii Edgar Miles pojawili się u szczytu schodów. Wyprostowani i uśmiechnięci zeszli na dół, smagani ciepłym, porywistym wiatrem. U dołu schodów czekała już tajwańska delegacja z ministrem spraw zagranicznych Kim-Kuo na czele. Kilku pozostałych, wyższych rangą urzędników oraz przedstawicieli sił zbrojnych stało za jego plecami.

– Panie sekretarzu stanu, sekretarzu energii. – Kim-Kuo skłonił się nieznacznie. W jego ślady poszli urzędnicy poza Lee Hsi-Mingiem, który powolnym ruchem uniósł urękawiczoną dłoń do ronda czapki. – Witamy w Republice Chińskiej.

– Dziękuję, panie ministrze – odpowiedział Joe Biden, ściskając dłoń Tajwańczyka. – Pogodę macie znacznie lepszą niż w Waszyngtonie. Może pomyślę o tym, żeby zostać tu na dłużej.

– Nie będziemy protestować, panie sekretarzu – odparł Kim-Kuo.

Śledzeni przez dziesiątki obiektywów przeszli dywan i minęli barierki odgradzające delegację od tłumy dziennikarzy. Eskortowani przez szczelny krąg agentów podeszli do rządowych limuzyn, zawczasu podstawionych na płytę lotniska. Joe Biden, Edgar Miles, minister Kim-Kuo oraz admirał Hsi-Ming zajęli miejsca na szerokiej kanapie wypełniającej wnętrze limuzyny. Wymienili serdeczne uśmiechy. Wyraźnie podekscytowany minister Kim-Kuo próbował podtrzymać niezobowiązującą rozmowę.

– Jak minęła panom podróż? Mam nadzieję, że nad oceanem nie wiało zbyt mocno? – zapytał.

– To była przyjemna podróż, a przynajmniej w porównaniu z naszym przelotem nad Andami, kiedy wpadliśmy w takie turbulencje, że mało nie zwróciłem śniadania – zaśmiał się Biden.

– Dzięki Bogu nie musiałem wtedy z tobą lecieć, John. Nienawidzę samolotów. Jeśli człowiek miałby latać, to dostałby skrzydła – odparł Edgar Miles.

– Cóż, trudno się z panem nie zgodzić – odpowiedział z uśmiechem minister Kim-Kuo.

– Idąc tym tropem, powinniśmy wciąż biegać z maczugami. – Admirał skrzyżował ramiona na wąskiej piersi.

Minister zaśmiał się nerwowo, a Joe Biden i Edgar Miles wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Limuzyny wyjeżdżały właśnie z lotniska w asyście policyjnych motocykli i opancerzonych MRAP-ów. Kolumna zwolniła wyraźnie przed bramą, przez ryk silników zaczął się przebijać jednostajny szum.

– Coś się dzieje? – zapytał Biden, wyglądając przez szybę.

– To tylko demonstranci... – odpowiedział minister. – Nie są agresywni, nie możemy jednak zakazać zgromadzeń.

– Czego chcą? – zapytał sekretarz stanu.

– To nacjonałści, uważają, że nasz kraj nie powinien powierzać swojej przyszłości nikomu innemu poza samym sobą – odpowiedział Kim-Kuo i przygryzł dolną wargę.

– Czyli innymi słowy, każą nam się wynosić do diabła – skwitował Joe Biden.

– W rzeczy samej... – jęknął minister.

Kolumna minęła bramę lotniska i chwilę później mknęła autostradą w stronę centrum. Zostawili za sobą kilkudziesięcioosobową grupę wyposażoną w kolorowe transparenty. Biden widział, jak grozili wyciągniętymi ku pojazdom pięściami. Nie spodziewał się takiego przywitania, choć doskonale zdawał sobie sprawę z historii relacji między Ameryką i Tajwanem. Były czasy, kiedy w imię dobrych stosunków z Pekinem poświęcano lukratywne kontrakty z rządem w Tajpej. Nie chciano wówczas drażnić tygrysa.

Eskortowani przez policyjne motocykle wyraźnie zwolnili. Biden widział przez szybę białą bramę memorialną zwieńczoną granatowymi, wygiętymi ku górze dachami. Pięciu portali między bramą i placem Wolności strzegła pełna kompania reprezentacyjna tajwańskich sił zbrojnych. Na czerwonym dywanie, prowadzącym do najwyższego z łukowatych przejść, czekał już prezydent Cziang otoczony swiątą jednakowych, niskich postaci. Kolumna zatrzymała się i drzwi limuzyny otwarły się bezszelestnie. W mieście nie wiał nawet delikatny zefir, powietrze stało nagrzewane promieniami wiosennego słońca. Joe Biden oraz Edgar Miles w asyście wianuszka agentów Secret Service wyszli z samochodu i pomachali ku zebrany nieco dalej dziennikarzom. Kanonada fleszy oślepiła jasnym blaskiem. Biden jako oficjalny przewodniczący delegacji wszedł po niskich schodkach i ruszył na spotkanie tajwańskiego prezydenta. Miles dreptał małymi krokami tuż za sekretarzem. Spotkali się pod centralnym przejściem bramy memorialnej.

– Panie prezydencie – powiedział Biden, ściskając kościstą dłoń Czianga.

– Witamy w Republice Chińskiej. Czy zechciałby pan towarzyszyć mi w krótkim spacerze? – zapytał prezydent nieco toporną angielszczyzną. Widząc delikatne zakłopotanie na twarzy Bidena, Tajwańczyk natychmiast pospieszył z wyjaśnieniami: – Pan Miles będzie bezpieczny z moim ministrem spraw zagranicznych oraz szefem resortu energii. Myślę, że nie będą narzekać na brak tematów do rozmów.

Sekretarz stanu obrócił się nieznacznie i spojrzał na Milesa. Ten skinął głową, dając znak, że nie ma nic przeciwko takiemu programowi wizyty. Biden uśmiechnął się i wrócił spojrzeniem do Tajwańczyka.

– W takim razie chodźmy, panie prezydencie.

Minęli bramę i weszli na szeroki plac, prowadzący ku trójstopniowej piramidzie. Zwieńczeniem konstrukcji była utrzymana w tradycyjnym stylu, stonowana kolorystycznie budowla, mauzoleum Czang Kaj-szeka, ojca założyciela demokratycznych Chin. Gmach, monumentalny, a zarazem lekki i ulotny, zrobił duże wrażenie na amerykańskim gościu.

– Podpiszemy umowę jak najszybciej – powiedział Cziang. – Nie powinniśmy dłużej zwlekać. Pekin wykonuje niebezpieczne ruchy, a ja chcę mieć pewność, że mój kraj nie ma się czego obawiać.

– Oczywiście, panie prezydencie – odpowiedział Joe Biden. Liczył na to, że podrygi Chińczyków tylko przyspieszą finalizację umowy. – Sekretarz Miles będzie zachwycony, całą drogę opowiadał, jak bardzo liczy na współpracę.

– Okręty muszą tu zostać, dopóki nie rozpoczniemy wypełniania dalszych warunków umowy. – Prezydent Cziang nie podzielał zachwytu swojego towarzysza. Dobrze wiedział, jak bardzo naraża Tajwan. Tak bliska współpraca z Ameryką była dla Pekinu jak prztyczek w nos. – Mam nadzieję, że wasza infrastruktura wywiadowcza pojawi się na wyspie niezwłocznie?

– Naturalnie, panie prezydencie – odparł Biden. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. – CIA jest gotowa do wprowadzenia ludzi i sprzętu na wyspę tuż po podpisaniu umowy.

– Dobrze...

Stanęli u podnóża schodów. Potężne postumenty zachodziły jeden na drugi, tworząc wysokie na kilka metrów stopnie piramidy. Flagi wiły się wzdłuż masztów, co chwila muskane ledwie wyczuwalnym wiatrem. Cziang stanął na pierwszym stopniu schodów i spojrzał na budowlę.

– Wywalczył dla nas wolność. Gdyby nie on, dzisiaj byłibyśmy niczym innym jak tylko kolejną prowincją – powiedział prezydent. – Wyglądamy tak samo jak oni, dzieli nas nieco ponad sto kilometrów cieśniny, ale nie jesteśmy tymi samymi ludźmi. Wie pan, o czym mówię?

– Jesteście niezależni, prowadzicie własną politykę i przede wszystkim kultywujecie tradycję narodu o nieprzerwanej od tysięcy lat państwowości. Poddaństwo w tej sytuacji nie wchodzi w grę. Doskonale pana rozumiem – odparł Joe Biden.

– Obawiam się, że mogę tę wolność pogрузić. Nawet jeśli z waszą pomocą skutecznie odstraszymy przeciwnika, będziemy żyć w ciągłym strachu. Będziemy czekać dnia, kiedy wymyślą broń zdolną do przebicia naszej obrony.

– Ameryka nie zostawi... – odpowiedział bez wahania Biden. Zamilkł jednak, widząc nieco uniesioną dłoń Czianga.

– Wiem, wiem... Nie zostawicie nas w potrzebie. Wiem o tym. Ale to wcale nie poprawia mi humoru. Gdzie znajdziemy czas na czerpanie korzyści z naszej współpracy, jeśli w każdej minucie istnienia będziemy drżeć o przyszłość? – zapytał Cziang.

– Pozwoli pan, że będę całkowicie szczery. – Amerykanin wyprostował się i spojrzał na mauzoleum. – My szanujemy to, co udało wam się zbudować. Jesteście wielkim narodem, który od dziesięcioleci mężnie staje przeciwko niezwykle agresywnemu sąsiadowi. Taki kraj zasługuje na wsparcie. Gwarantuję panu, że bez nas ten monument nie przetrwa dekady, a pańskie poświęcenie pójdzie na marne.

– A jeśli się z wami sprzymierzymy? Co nam to zagwarantuje? – zapytał Cziang.

– Jeśli Chińczycy zniszczą wyspę, my zniszczymy Chiny.

Tajwańskie flagi załopotwały w słońcu, poderwane porywistym podmuchem. Nad wyspą zaczynała się burza.

Tajpej, Republika Chińska | 30 kwietnia 2023, godzina 16:47

Powrót z uczelni zajmował mu zwykle nie więcej niż godzinę. Zanim wsiadał do pociągu szybkiej kolei, odwiedzał kiosk, czasami robił drobne zakupy lub wpadał ze znajomymi na coś mocniejszego do akademickiego baru. Niemal każdego dnia zachodził też do jednej z licznych w Tajpej pralni chemicznych. Potem kierował swoje kroki do położonej poniżej parteru suszarni. Całkiem spore, dobrze wentylowane pomieszczenie zwykle tonęło w mroku. Właśnie dlatego Wen Jiabao miał tam swoją skrzynkę kontaktową. Wiele wywiadów już dawno porzuciło tę staroświecką, nostalgiczną metodę przekazywania informacji. III Departament wciąż hołdował wiekowej tradycji. Prawda, skrzynki kontaktowe zawsze wiązały się z ryzykiem. Wen Jiabao potrafił jednak docenić pozytywne strony tego rozwiązania. W dobie globalnej sieci informatycznej nawet najlepsze zabezpieczenia mogły zostać złamane. Człowiek był bardziej elastyczny niż komputer.

Student upewnił się, że w suszarni nie ma poza nim nikogo innego, i precyzyjnie się między wielkimi prakosuszarkami. Wąską szczelinę w nieotynkowanej ścianie doskonale maskowała naderwana listwa. Jiabao złapał palcami twardy kształt i wyciągnął wąską szkatułkę. Szybko otworzył ją ukrytym w kieszeni kluczykiem i wyjął zawartość. Pendrive zniknął w kieszeni wraz z kluczem. Szkatułka ponownie zajęła miejsce za luźną listwą.

Wen Jiabao spakował kilka koszulek i bieliznę do jednorazowej torby i ruszył na górę. Pożegnał się z portierką i wyszedł na ulicę. Do najbliższej stacji doszedł po kilku minutach. Pociąg przyjechał punktualnie, jak każdego dnia. Trzy kwadransy później dotarł do niskiego budynku, wciśniętego między bar rybny i sklepik z akcesoriami wędkarskimi. Fasada była równie brudna jak okna i gdyby nie framugi odcinające się kształtami od frontu, przypominałaby litą skałę. Okolicę wypełniał fetor oprawianych ryb. Dla Jiabao było to doskonałe sąsiedztwo. Dzięki złej sławie dzielnicy nie musiał się obawiać znajomych i zmniejszał niemal do zera zagrożenie dekonspiracją.

Wszedł na pierwsze piętro i otworzył skrzypiący zamek. Niewielkie, niezbyt czyste mieszkanie było duszne i ciemne. Wen Jiabao nie dbał o sterylne warunki nigdzie poza laboratorium. Wrzucił świeże ubrania do rozklekotanej, zabudowanej szafy i usiadł na kanapie o trudnym do rozpoznania, wyblakłym kolorze. Sok pił prosto z kartonu, szklanki już dawno przestały być przezroczyste. Otworzył spoczywającego na stoliku laptopa i przetaił klawiaturę dłonią. Pyłek uniósł się w powietrzu, by po chwili rozpląnąć wewnątrz pokoju. Wen Jiabao odłączył kabel sieciowy i odpiął zasilacz. Zalogował się do systemu i wyjął z kieszeni opalizującego pendrive'a. Na chwilę wstał z kanapy i podszedł do regału, na którym w równych stosikach spoczywało kilkadziesiąt książek. Jiabao sięgnął do plastikowego radia i uruchomił odbiornik. Do tej pory niewidoczne antenki wysunęły się z obudowy. Wcisnął jeden z licznych guzików i wrócił na kanapę. Radio nie emitowało z głośnika żadnego dźwięku, anteny pracowały jednak pełną parą. Obudowana na wzór taniego radia zagłuszarka blokowała wszelkie próby zdalnego połączenia się z laptopem i urządzeniami komunikacyjnymi, jakimi dysponował Wen Jiabao.

Wywiadowca wsunął pendrive'a w port USB i uruchomił ukryty na jednej z partycji program. Niezwykle zaawansowany algorytm łączył się z podpiętym nośnikiem i wysyłając odpowiednie paczki danych, uniemożliwiał samozniszczenie zawierających się na nim plików. Jednocześnie kolejne pakiety informacji pozwalały na odszyfrowanie zakodowanej wcześniej wiadomości. Po kilkudziesięciu sekundach na ekranie monitora zaczęły się wyświetlać kolejne okna. Wen Jiabao uśmiechnął się.

– No proszę, co my tu mamy... – powiedział, popijając słodzony chemią sok.

Szybko przejrzał otrzymane materiały. Początkowa ciekawość zaczynała przeradzać się w fascynację, leniwe bicie serca wyraźnie przyspieszyło. Rozkazy były zwięzłe i zajmowały nie więcej niż jedną dziesiątą wszystkich materiałów. Reszta zawierała mapy, nazwiska, terminy i dane dostępne do licznych kont, na których znajdowały się setki tysięcy dolarów. Zgodnie z wytycznymi pieniądze miały zostać wykorzystane na łapówki, bieżące wydatki i wsparcie dla skrajnie nacjonalistycznych środowisk. Narodowcom już teraz nie w smak było porozumienie między Ameryką a Tajwanem.

Wen Jiabao wyciągnął pendrive'a z gniazda i włożył do popielniczki. Kilka sekund później nośnik pyknął metalicznie, spomiędzy łączy i wtyku wydobyła się wąska strużka szarego dymu. Był pewien, że kilkunastu jemu podobnych ludzi na wyspie czuło w tej chwili to samo: rodzące się gdzieś w żołądku podniecenie.

Wywiadowca zapamiętał najważniejsze dane i ustalił w głowie plan działania na kilka pierwszych godzin. Znał ludzi, których wymieniały rozkazy, siatkę znajomości budował sobie od początku studiów. Przekonywał, brał udział w pikietach, pomagał, przekazując drobne informacje na temat możliwych nalotów tajwańskiej policji. Nacjonałiści uważali go za jednego ze swoich, choć szanowali brak zaangażowania w bardziej radykalne akcje. Teraz Jiabao miał w rękach szansę, by rząd usłyszał ich wołania.

Wen Jiabao zaśmiał się, dopił sok i wyrzucił karton do kosza. Wyłączył radio, zamknął laptopa i sięgnął po luźną kurtkę. Miał przed sobą kilka wizyt. Chaos, żadne inne słowo nie budziło w nim tak ekstatycznych emocji. Obiecał sobie, że już wkrótce dzięki niemu i tym, o których istnieniu nie miał pojęcia, doprowadzi Tajwan na próg piekła.

Pałac prezydencki, Tajpej, Republika Chińska | 2 maja 2023, godzina 12:34

Zajęli miejsca przy bogato zdobionym, ciężkim stole. Edgar Miles z namaszczeniem usiadł na ociekającym złotem fotelu. To był jego wielki dzień. Największy kontrakt amerykańskiego sektora energetycznego od dekad. Jeden podpis miał ustawić Milesa w pozycji pioniera wykorzystania zjawiska zimnej fuzji. Miał szczerą nadzieję poznać dzisiaj człowieka odpowiedzialnego za ten niebywały sukces. Zasmuciła go wieść, że profesor Lin Biao odmówił udziału w uroczystości. Kiedy Amerykanin zapytał o powód odmowy, zauważył, że dwójka Tajwańczyków wymienia porozumiewawcze spojrzenia i spuszcza głowy.

Siedzieli we czwórkę, przed każdym w zdobionych delikatnymi, chińskimi motywami kałamarzach spoczywały przygotowane specjalnie na tę okazję pióra. Zgromadzeni w wysokiej sali bankietowej oficjele i dziennikarze w napięciu oczekiwali momentu podpisania porozumienia. Plotki o dacie finalizacji umowy pojawiły się w mediach już jakiś czas temu, nikt jednak nie zdecydował się na potwierdzenie informacji. Dopiero przed dwiema godzinami oficjalny komunikat Kancelarii Prezydenta w Tajpej potwierdził to, co większość uznała już za pewnik.

Drzwi za plecami uśmiechniętych i rozluźnionych polityków otwały się z łoskotem. Przez szeroki korytarz do pomieszczenia weszło kilku mężczyzn ubranych w idealnie skrojone garnitury. Każdy trzymał w białych rękawiczkach oprawione w skórę teczki z wyłoczonymi godłami Republiki Chińskiej i Stanów Zjednoczonych Ameryki. Zatrzymali się jak na komendę, pół kroku za siedzącymi przy stole. Każdy pochylił się nad ramieniem polityka i położył przed nim otwartą teczkę.

– Piszmy historię – zaśmiał się Joe Biden, unosząc pióro. Odpowiedziały mu zduszone szepty zebranego w sali tłumu.

Amerykanie wykonali zamaszyste gesty i z zadowoleniem odłożyli pióra do marmurowych kałamarzy. Prezydent Cziang i minister spraw ekonomicznych perfekcyjnie wykaligrafowali sygnatury. Teczki przez krótką chwilę wędrowały z rąk do rąk, by ostatecznie wrócić do czwórki sekretarzy w białych rękawiczkach. Joe Biden i Edgar Miles wstali ze swoich foteli i uściśniły dłonie Czianga oraz ministra ekonomii. Aparaty rozbłysły dziesiątkami fleszy, pierwsze brawa przebiły się przez coraz głośniejsze rozmowy. Prezydent w towarzystwie ministra i gości obszedł stół i zatrzymał się za jedną z czterech mównic. Oparł dłonie na lakierowanym pulpicie i podniósł wzrok na dziennikarzy.

– Dzisiaj Republika Chińska oficjalnie przestaje się bać – powiedział Cziang, a pałac prezydencki wypełniła burza oklasków.

Wiadomości TVN24 | 2 maja 2023, godzina 17:32

Wypowiedzi ekspertów są więcej niż optymistyczne. Podpisanie umowy między Stanami Zjednoczonymi Ameryki i Republiką Chińską nazywają „nowym rozdaniem na Pacyfiku”, które w bliskiej przyszłości może zmienić układ sił i powstrzymać rosnące aspiracje Chin w regionie. Jednocześnie mówi się nie tylko o współpracy na polu energetycznym. Wykorzystanie energii zimnej fuzji ma w przyszłości doprowadzić do znacznie większego zaangażowania i współpracy gospodarczej między oboma krajami. Sami Amerykanie są niezwykle zadowoleni z finalizacji umowy i wierzą, że dzięki tej współczesnej symbiozie uda się w przyszłości doprowadzić do radykalnego zmniejszenia cen energii. Podobne nadzieje żywią przedsiębiorcy, którzy już żyją wizją korzyści wynikających z niewyczerpanej i taniej energii.

Jedynymi niezadowolonymi z decyzji rządu Republiki Chińskiej wydają się Chińczycy z kontynentu. Minister spraw zagranicznych Wang Yi wystosował oficjalne oświadczenie, w którym rząd w Pekinie stanowczo potępia wrogie według niego działania zarówno Ameryki, jak i Republiki Chińskiej. Minister Yi uważa termin podpisania porozumienia za jawną prowokację. Dla przypomnienia dodał, że dzisiaj rozpoczynają się doroczne manewry chińskiej floty na Pacyfiku. Po raz pierwszy w manewrach uczestniczą oba lotniskowce chińskiej marynarki wojennej, siły powietrzne i część sił lądowych na chińskim wybrzeżu. Łącznie w ćwiczeniach weźmie udział ponad osiemdziesiąt okrętów oraz setka samolotów i śmigłowców. Amerykanie oraz Tajwańczycy sprzeciwiają się manewrom, które odbywają się dosłownie kilka mil morskich od granic wód terytorialnych Republiki Chińskiej. Tajwańczycy obawiają się incydentów szczególnie teraz, kiedy Chińska Republika Ludowa z niewygodnego sąsiada stała się realnym zagrożeniem. Dla TVN24 – Ludmiła Gajda.

Biały Dom, Waszyngton DC, USA | 2 maja, godzina 20:48

Biały Dom od wielu miesięcy nie był miejscem tak szczerej radości. Podpisanie umowy z Tajwańczykami świętowano na każdym kroku. Nie tylko amerykańscy przedsiębiorcy widzieli w zimnej fuzji swoją szansę. Dla Alberta Armitage'a to było jednak coś więcej niż nowe źródło zysku. Przed Ameryką pojawiła się szansa, by raz na zawsze zatrzymać ekspansję Chin na Pacyfiku i zapewnić sobie bezpieczne zaplecze do operacji w innych częściach świata. Tania energia była niczym innym jak skutkiem ubocznym. Niezatapialny lotniskowiec w postaci Tajwanu oraz Japonia staną się buforem i linią obrony, której Chińczycy nie będą w stanie złamać – to stanowiło sedno umowy podpisanej przez Bidena i Czianga. Od chwili objęcia prezydentury było to największe zwycięstwo Armitage'a.

Prezydent minął na korytarzu dwójkę uśmiechniętych urzędników i pozdrowił ich uniesioną ku górze dłonią. Wszyscy mieli za sobą pracowity czas i mogli pozwolić sobie na odrobinę nonszalancji. Armitage miał nadzieję spędzić najbliższe kilkanaście minut w Gabinetcie Ovalnym. Jego dzień pracy dobiegał końca, a nic tak nie koło nerwów jak chwila samotności w najważniejszym pomieszczeniu na świecie.

Mijał właśnie gabinet Elizabeth Hawk. Kobieta musiała wyczuć jego obecność, bo pojawiła się na korytarzu niczym duch. Wystarczyło jedno spojrzenie, by dobry humor prezydenta rozpląnął się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Elizabeth? – zapytał Armitage, mrużąc oczy.

– Panie prezydencie, czy możemy porozmawiać? – Doradczyni do spraw bezpieczeństwa narodowego zmarszczyła czoło. Lata pracy w Białym Domu poorwały jej twarz liniami zmarszczek, kąciki ust wypełniły drobne pajęczynki. Tylko jej jasne jak słoma włosy wciąż pozostały takie same.

– Coś się stało? – Armitage przekrzywił głowę. Chwila zapomnienia w Gabinetcie Ovalnym pozostała już tylko marzeniem.

– Proszę wejść, panie prezydencie. – Hawk otworzyła szerzej drzwi swojego gabinetu i wskazała fotel. Jasne obicia mebli i ciepłe światło lamp tworzyły przytulną atmosferę. Ustawione przy ścianach regały pełne książek zapraszały, by sięgnąć po którąś z pozycji i zatopić się w lekturze.

– Elizabeth, możesz mi powiedzieć, o co chodzi? – zapytał Armitage wyraźnie zniecierpliwiony. Zamiast usiąść, oparł się plecami o ścianę i skrzyżował ramiona na piersi.

– Rozmawiałam dzisiaj z generałem Dempseyem i Johnem Brennanem – zaczęła Hawk. Nie usiadła za biurkiem, póki prezydent stał, chciała go mieć na wysokości wzroku. – Chińczycy zaangażowali w manewry pokaźne siły, zdecydowanie większe niż rok temu. Dwa lotniskowce, kilkanaście niszczycieli, masa drobnych. Do tego kilka jednostek desantowych, ponad setka samolotów i śmigłowców, nawet siły lądowe wyszły z baz. Część z nich kieruje się właśnie w stronę wybrzeża.

– Tak, słyszałem o tym, Elizabeth. Raport, jaki dla mnie dzisiaj przygotowałaś, zawierał te wszystkie informacje. Wspominałaś nawet o podrygach Kim Dzong Una – parsknął Armitage i przeczesał dłonią siwe włosy.

– Zgadza się, panie prezydencie, o Korei za chwilę. Nie podobają mi się ruchy chińskiej floty – powiedziała Hawk i uruchomiła ekran zawieszony na jednej ze ścian gabinetu. – Proszę spojrzeć, zgrupowali się w dwa duże związki, każdy w sile grupy uderzeniowej lotniskowca. Obie wzmocnione kilkoma dodatkowymi jednostkami. Cieśnina Tajwańska roi się od okrętów desantowych i kutrów rakietowych. Kilka brygad, uważanych przez nas za elitarne, opuszcza właśnie swoje bazy i zmierza na wschód.

– Chińczycy mają tam sporo poligonów – odparł Armitage. Mapa wyświetlana na ekranie mieniła się dziesiątkami czerwonych punktów. Chińskie manewry rzeczywiście były gigantyczne. – Sugerujesz, że

robią to samo co przed wojną z Rosją?

Prezydencka doradczyni przygryzła dolną wargę i spojrzała na mapę. Konsultowała swoją teorię zarówno z szefem Kolegium, jak i z Brennanem. Dempsey o dziwo nie wyśmiał jej od razu, choć przez całą rozmowę zachowywał chłodny dystans. Ostatecznie postanowił zlecić szybką analizę Pentagonowi i wrócić do Hawk, jak tylko będzie miał więcej danych. John Brennan, który wciąż stał na czele CIA, był zdecydowanie bardziej sceptyczny. Doskonale znał ruchy Chińczyków i miał niemal stuprocentową pewność, że mobilizacja i wypuszczenie w morze prawie całej floty to nic innego jak prężenie mięśni. Jego argumenty nie były pozbawione sensu. Amerykanie przez lata budowali na Pacyfiku strefy wpływów, sojusze oraz zamorskie twierdze, wypełnione ludźmi i sprzętem. Chińczycy zapłaciliby gigantyczną cenę za otwarty konflikt z tą potęgą. Wierzył w to każdy Amerykanin, z prezydentem na czele.

– Chciałabym się mylić, panie prezydencie. Niestety, nawet pobieżna analiza, którą zlecił Martin Dempsey, wykazała, że Chińczycy już teraz dysponują na wodach Pacyfiku siłą, która w dwadzieścia cztery godziny jest w stanie wykonać taki manewr. – Elizabeth uniosła pilota i przełączyła mapę na kolejną.

Mrowie czerwonych punktów, które do tej pory trzymały się wód międzynarodowych lub operowały w małej odległości od chińskich wybrzeży, uformowało niemal idealne półkole. Szczelna blokada odgradzała Tajwan od strony Japonii, otwartego Pacyfiku w centrum i Filipin od południa. Kordon stanowiło kilkadziesiąt wzajemnie współpracujących jednostek, zgrupowanych w idealnie zgrane organizmy.

– Dwadzieścia cztery godziny? – zapytał Armitage, przyglądając się mapie.

– Tak, panie prezydencie, oni mogą to zrobić. Generał Martin... – kontynuowała Elizabeth Hawk.

– Połącz się z nim, Brennan ma też być obecny – przerwał jej Armitage.

– Teraz? – zapytała niepewnie i podeszła do biurka.

– Tak, Elizabeth, teraz. Chcę to mieć wyjaśnione jak najszybciej.

Zorganizowanie telekonferencji zajęło Elizabeth nie więcej niż kilka minut. W tym czasie Albert Armitage przechadzał się po przytulnym gabinecie. Rzadko miał okazję rzucić okiem na miejsce pracy Hawk, zwykle ich kontakty ograniczały się do Gabinetu Ovalnego. Ze zdziwieniem przyjął do wiadomości, że Elizabeth jest zapaloną łuczniczką. Oprawione w ramkę zdjęcie przedstawiało kobietę w sportowym kombinezonie z wyciągniętą przed siebie ręką. Spoczywający w otwartej dłoni złoty medal podtrzymywał na oko dziesięcioletni chłopiec. Tuż obok Elizabeth stał postawny, szeroki w barach męczyzna trzymający kolorowy łuk bloczkowy. Armitage uśmiechnął się. Kiedyś sam uprawiał sport. Koszykówka była jego żywiołem.

– Generał Dempsey i dyrektor Brennan są na linii – powiedziała Elizabeth, wskazując na telefon i mobilny głośnik konferencyjny.

– Panowie, dobry wieczór – powiedział Armitage, podchodząc do biurka.

– Panie prezydencie – odpowiedzieli zgodnie.

– Pani Hawk przedstawiła mi przed chwilą dość niepokojącą informację na temat możliwości ruchów chińskiej floty podczas trwających właśnie manewrów. – Armitage odwrócił się na chwilę i jeszcze raz spojrzał na wyświetlaną na ekranie mapę. – Widzą to panowie?

– Z całym szacunkiem dla pani Hawk, taki scenariusz jest niezwykle trudny do zrealizowania. Nie mówiąc już o całkowitym zaskoczeniu – powiedział bez wahania Brennan. – Żeby zamknąć Tajwan w pierścieniu, Chińczycy potrzebują od kilkunastu do kilkudziesięciu godzin. Dobrze znamy obszar, na którym trwają ich ćwiczenia. Jeśli postanowią ruszyć poza jego granice, będziemy o tym wiedzieć w czasie rzeczywistym. Poza tym tajwańska marynarka wojenna nieustannie patroluje wody terytorialne, a ich radary przeczesują niebo. Mamy tam również swoje jednostki, jesteśmy doskonale poinformowani. Grupa naszych ludzi rozpoczęła już pracę wywiadowczą na wyspie...

– No właśnie – wtrącił Armitage. – Mamy tam dwa nasze okręty i ludzi. Zgłaszali incydenty?

– Tak, panie prezydencie – odpowiedział Dempsey. – Chociaż nie wychodzą one poza skalę notowaną przed manewrami. Chińczycy straszą swoją obecnością zarówno nas, jak i Tajwańczyków. Chcą pokazać swoją siłę, choć muszą się zgodzić, że ich obecne działania są nieco bardziej agresywne niż dotychczas.

– Czyli ryzyko konfliktu istnieje? – zapytał Albert Armitage.

Elizabeth Hawk spuściła wzrok na przypominający rozgwiadę głośnik. Na łączu zapadła pełna napięcia, przeciągająca się niebezpiecznie cisza. Prezydent spojrział na doradczynię, po czym powiedział:

– No, panowie? Tylko bez zbędnego pieprzenia.

– Szczerze wątpię, panie prezydencie. Jesteśmy świetnie poinformowani, śledzimy każdy okręt i każdy chiński samolot – odparł John Brennan. – Mamy ich jak na dłoni, możemy zareagować w każdej chwili.

– Martin? – zapytał prezydent.

– Zgadzam się z Johnem, ale tylko połowicznie. Owszem, monitorujemy każdy ruch Chińczyków, mamy nad nimi przewagę informacyjną. Ale jeśli przyjdzie co do czego, nie będziemy mieć czasu, żeby zmontować odpowiednią grupę uderzeniową. Powinniśmy się przygotować zawczasu. – Martin Dempsey mówił powoli, jakby rozważał każde wypowiedziane słowo. – Siódma Flota może operować na całym Pacyfiku. Możemy zmontować odpowiednią grupę w kilka godzin. Jeśli chcemy być krok przed Chińczykami, musimy przyspieszyć. Oni depczą nam po piętach niemal na każdym obszarze.

– Generał Dempsey ma rację – potwierdziła Hawk. – Mamy czas, żeby móc przeanalizować sytuację i przygotować odpowiednie kroki zaradcze.

– Panie prezydencie, wydaje mi się, że nie powinniśmy w tej chwili... – John Brennan ostro przerwał wypowiedź doradczyni. W tej samej chwili głośne piknięcie i czerwona lampka na telefonie Hawk oznajmiły o przychodzącym połączeniu na szyfrowanej linii.

– Elizabeth? – zapytał Armitage.

– Właśnie dostaliśmy wiadomość z Pentagonu – powiedział Martin Dempsey. – Analiza sytuacji na granicy obu Korei.

– Przełącz na głośnik, Elizabeth. – Armitage wskazał na wciąż migającą czerwoną lampkę na plastikowej obudowie.

Kobieta podeszła do aparatu i wcisnęła odpowiedni guzik. Oddechy Martina Dempseya i Johna Brennana zastąpione zostały przez nieznaną do tej pory głos. Armitage powstrzymał gestem Elizabeth przed wyjawieniem tożsamości pozostałych słuchaczy.

– Pani Hawk. Mamy analizę, którą pani zamówiła. – Musiał mieć nie więcej niż dwadzieścia kilka lat. W tonie wyraźnie słyhać było świeżość i witalność. Mężczyźni, którzy słuchali jego wypowiedzi, mogli tylko mu zazdrościć.

– No i jak to wygląda? – zapytała.

– Nie najlepiej. Wygląda na to, że Koreańczycy podciągają pod granicę prawie wszystko, co mają...

Okolice Kaesong, Korea Północna | 4 maja 2023, godzina 07:36

Major Tin Gok wyjął pomiętego papierosa z paczki. Tłącą się wciąż zapalną rzucił na ziemię i przydusił butem. Skończył obchód dywizjonu kilkanaście minut wcześniej. Zawsze to robił, choć teoretycznie mógł połączyć się z poszczególnymi bateriami i odebrać meldunek. Polubił jednak te spacerki i choć przechodził wówczas kilka kilometrów, wiedział, że owocowało to szacunkiem podwładnych.

Stał teraz w progu swojego kontenera dowodzenia i ćmił kiepskiej jakości tytoń. Koreańczycy z Południa coś kombinowali, co chwila tuż przy strefie zdemilitaryzowanej przelatywały koreańskie samoloty lub drony zwiadowcze. Atmosfera była niepokojąca, nad granicę ścigały setki, jeśli nie tysiące żołnierzy. Tylko dzisiaj tuż obok pozycji dywizjonu potężnych D-20 przedfilowało kilkadziesiąt ciężarówek i BTR-ów. Codziennie ze sztabu pułku dochodziły nowe meldunki, jeden gorszy od drugiego. Jego ludzie żyli w ciągłej niepewności, plotki o wprowadzeniu najwyższej gotowości bojowej huczały w każdej baterii. Obawa przed dywersantami z Południa zmusiła majora do rozstawienia dodatkowych czujek i wzmocnienia patroli. Kilkuosobowa grupa przechadzała się między kontenerami i zaparkowanymi pod siatkami pojazdami. Tin Gok wciąż miał przed oczami obraz, jak poprzedniego dnia cały dywizjon na baczność słuchał emitowanego przez radio przemówienia samego Ukochanego Przywódcy, Kim Dzong Una. Takie wydarzenia były dla prostych artylerzystów czymś niemal mistycznym.

Major zaciągnął się po raz ostatni i wyrzucił niedopałek między grudy ziemi. Rozchodzona niezliczoną liczbą stóp droga przypominała koślawe, miniaturowe kaniony, które znikają gdzieś ponad szczytem niewielkiego wzgórza.

Ukryty przed wzrokiem dywizjon haubic był dodatkowo dobrze okopany, podobnie jak chroniąca go piechota i rozmieszczone w newralgicznych miejscach zestawy ZU-23-2. Major był dumny ze swoich ludzi, oni byli dumni ze swojego dowódcy, idealny układ. Wszyscy jak jeden mąż służyli chwale wielkiej Korei Północnej i idei Dżucze. Samodzielni, samowystarczalni, niezwyciężeni, powtarzał im to każdego dnia, jednemu po drugim.

Rozmyślenia majora przerwał dzwonek telefonu. Trzech żołnierzy, którzy siedzieli nad biurkami wewnątrz kontenera, popatrzyło w stronę samotnego mebla w rogu pomieszczenia. Major westchnął i ruszył ku swojemu stanowisku. Minął sztabowców, szeroką mapę, rozwieszoną na jednej ze ścian, i sięgnął po słuchawkę.

– Major Tin Gok, dwudziesty pierwszy dywizjon artylerii... – Oficer nie dokończył, natychmiast stanął na baczność i ścisnął mocniej słuchawkę. Wyprostował zwykle zgarbioną sylwetkę, zmarszczki zniknęły na wypełnionej emocjami twarzy. Obecni w sztabie żołnierze jak na komendę zerwali się ze swoich miejsc. – Towarzyszu generale. Tak, słucham uważnie. Oczywiście, natychmiast. Niech żyje Ukochany Przywódca!

Tin Gok odłożył nabożnie słuchawkę na widełki. Poprawił mundur i otarł pot z czoła. Telefon od dowódcy dywizji był pierwszym w życiu majora kontaktem z tak wysoko postawionym oficerem. Trójka sztabowców patrzyła z przerażeniem na Goka. Wiedzieli, co za chwilę usłyszą.

– Do wszystkich baterii, pełna gotowość bojowa! Na granicy doszło do incydentów zbrojnych, przygotować się do otwarcia ognia w każdej chwili! Podstawić mi samochód, teraz! – wykrzyczał Tin Gok i natychmiast ruszył ku wyjściu.

Dojeżdżali do Jinhua. Miasto było ostatnim przystankiem przed ostatecznym celem podróży. Zapakowani do zwykłych wagonów pasażerskich czuli zdecydowanie większy komfort niż podczas podróży do Mongolii przed siedmioma laty. Przedziały były wygodne i dobrze przewietrzone, niemal wydawało się, że jadą na wycieczkę. Sprzęt rozmieszczono w kolejnych taborach, setki pojazdów i dziesiątki ton sprzętu załadowano na lawety i zakryto brezentowymi płachtami. Choć oficjalnie nie kryto się z dołączeniem do manewrów kilku brygad wojsk lądowych, sztab wolał nie ujawniać wszystkich zabawek, jakie towarzyszyły zmierzającym na wschód żołnierzom.

Kapitan Chon przetarł oczy. Spojrzał na zegarek, dochodziła pierwsza po południu. Dawno nie spał tak dobrze, rytmiczne klekotanie kół o szyny działało jak kołysanka. Ziewnął przeciągle i spojrzał na swoich towarzyszy. Wszyscy w przedziale spali. Kapitan ostrożnie wstał ze swojego miejsca i przecisnął się między szóstką śpiących żołnierzy. Otworzył drzwi na korytarz, gdzie od razu uderzył go smród tanich papierosów. Nie tylko on wpadł na podobny pomysł. Uśmiechnął się, widząc przynitowany do słupka między oknami znaczek zakazu palenia. Na korytarzu stało przynajmniej dwudziestu żołnierzy. Mieli na sobie świeżo odprasowane uniformy w cyfrowym kamuflażu. Pozdrowili kapitana skinieniem głowy. Prawie wszyscy służyli w jego plutonie. Niektórych pamiętał jeszcze z Iranu, weteranów kampanii rosyjskiej mógł policzyć na palcach jednej ręki. Ci żołnierze dowodzili teraz drużynami. Jeden z nich właśnie podszedł do Chona.

– Kapitanie. – Porucznik Kim stanął obok i wyciągnął z górnej kieszeni munduru papierosy. Otworzył paczkę i wycelował w stronę Chona.

– Nie... Albo dobra, daj – odpowiedział Chon i wyciągnął tytoniową tubkę. Chwilę później obaj stali przy uchylonym oknie, wypuszczając na zewnątrz kłęby błękitnawego dymu.

– Jak tam, kapitanie? Trochę się pan zdrzemnął – powiedział Kim, uśmiechając się krzywymi zębami.

– Pociągi zawsze tak na mnie działały. To klekotanie usypia lepiej niż trzygodzinny marszobieg – odparł Chon.

– Teraz to się nabiegamy. Spore pagórki tu przy wybrzeżu. – Kim wskazał na rozpościerające się na horyzoncie zielone wzgórza. – Zdrowo nas przeorają.

– Na szczęście mamy ze sobą transportery. Poza tym manewry to tylko zabawa, jedyne niebezpieczeństwo, jakie może nam tu grozić, to przeziębienie i nuda. Ćwiczyć będzie piechota morska, my i pancerniacy najwyżej trochę postrzelamy. – Chon wziął ostatniego macha i strzelił niedopałkiem przez okno.

– Niektórzy znowu wieszczą zawieruchę – powiedział Kim, zniżając głos. – Że niby możemy się wybierać za cieśninę.

Kapitan pokiwał głową, również słyszał plotki o możliwej inwazji na Tajwan. Nie chciał przyznawać się przed Kimem ani nikim innym, że po cichu liczył na kolejną wojnę. Po Iranie objawy stresu pourazowego nasiliły się. Dopóki Chon był w linii, nie odróżniał się niczym od pozostałych żołnierzy, reagował szybko, podejmował decyzje, które pozwoliły ocalić życie wielu jego ludzi. Po powrocie zachowywał się, jakby spuszczone z niego powietrze. Niby wszystko było w porządku, ale w oczach ziała pustka, a bezsensowność potrafiła doprowadzić do szału. Kiedy któryś z oficerów przypadkiem trafił na Chona śpiącego pod kadłubem ZBD, klamka zapadła.

Ponad rok zajęło wojskowym psychologom wyciągnięcie Chona z matni. PTSD nie zaatakowało go tak dotkliwie jak dziesiątki tysięcy innych weteranów poprzednich kampanii. Dla wielu przygoda z wojną zakończyła się samobójstwem lub rodzinnymi dramatami. Nieliczni byli w stanie wrócić do służby, Chon był jednym z nich, choć nie pozbył się wszystkich konsekwencji. Głód adrenaliny był nienasycony i to on kazał wierzyć kapitanowi, że po dotarciu na poligon otrzymają rozkaz zaokrętowania.

– Słyszałem. Nie przejmuj się tym, Kim. – Chon odwrócił się od okna i oparł plecami o ściankę

korytarza. – To straszak. Będziemy siedzieć na transporterach tuż przy plaży, żeby na Tajwanie nie znali dnia ani godziny.

– Może ma pan rację, kapitanie... – stwierdził Kim, zamykając okno.

Stali jeszcze chwilę na korytarzu, obserwując stłoczone przy oknach grupki żołnierzy. Nie wyglądali na szczególnie przejętych krążącymi po brygadzie plotkami. Część śmiała się, co chwila odpalając kolejnego papierosa. Zupełnie jak na przedniej imprezie, pomyślał Chon. Do wagonu weszła dwójka podoficerów, odróżniali się od reszty oznaczeniami oraz kamuflażem. Miny również mieli nietęgę. Kapitan rozpoznał kompanię łączności. Zatrzymali się przy oknie obok i wyciągnęli po papierosie. Chon wymienił z porucznikiem porozumiewawcze spojrzenia.

– Nauczyłeś się już? – zapytał jeden z dwójki łącznościowców.

– Daj spokój... Tego jest cała książka. Co im strzeliło do łbów, żeby dostarczać nam to dopiero teraz? – odparł drugi. Ten był zdecydowanie bardziej poirytowany. Piechociarze stali odwróceny tyłem, Chon i Kim nie chcieli płoszyć okazji do usłyszenia nieco bardziej rzetelnych informacji.

– Bywało już podobnie. Pamiętasz, jak przed wyjazdem do Ira... – kontynuował pierwszy polubownym tonem.

– Ciszej! Pomyśl, zanim będziesz dalej paplał. To jest tajne, głąbie! – Kolega nie przebierał w słowach. Niemal krzyknął.

– Wszystkim dadzą te kody... Nie rozumiem, o co ci chodzi? Nie wyzywaj się na mnie, że ci się służba nie podoba – odburknął urażony podoficer.

– Nie uprzedzaj faktów, będziesz dzięki temu spokojniej spał. Wierz mi...

Chwilę później łącznościowcy poszli do swojego, zapewne przepelnionego wagonu. Kim spojrzał na kapitana zdeorientowanym wzrokiem. Nowe kody nie oznaczały niczego dobrego. Mogły oczywiście być próbą jeszcze większego urealnienia manewrów, ale takie atrakcje nie zdarzały się zbyt często.

– Co pan myśli, kapitanie? – zapytał porucznik, wskazując brodą plecy oddalających się korytarzem łącznościowców.

– To nie musi nic znaczyć, Kim. Dobrze wiesz, że czasami wrzucają nam takie niespodzianki na ćwiczeniach – odpowiedział Chon i wzruszył ramionami.

– Cholera... – skwitował Kim. – Robi się coraz ciekawiej.

– Zgadzam się. Robi się coraz ciekawiej... – odpowiedział Chon. Odwrócił się do okna i spojrzał na pobliskie wzgórza, które otaczały Jinhua. Odwrócił twarz od przyjaciela z jeszcze jednego powodu. Uśmiech, który pojawił się na twarzy, był przeznaczony tylko dla niego.

Biały Dom, Waszyngton DC, USA | 6 maja 2023, godzina 10:58

Zdjęcia satelitarne przeskakiwały po ekranie jedno po drugim. Czarno-białe obrazy można było pomylić z kronikami lotniczych ujęć z czasów drugiej wojny światowej. Zapelnione ciężarówkami drogi, niekończące się kolumny piechoty, które podążały równoległe do pojazdów. Rozłożone na granicy lasów baterie wielkich haubic i symetryczne formacje czołgów oraz transporterów. To wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak ponad osiemdziesiąt lat wcześniej. Wykonane w wysokiej rozdzielczości zdjęcia poza samym obrazem przekazywały coś jeszcze. Przez te osiemdziesiąt lat nic się nie zmieniło. Absolutnie nic.

Albert Armitage był już wyraźnie znużony. Dziesiątki razy siedział w tym samym fotelu, oglądając podobne prezentacje. Zmieniały się tylko flagi, roślinność lub rzeźba terenu. Podczas drugiej wojny w Zatoce Perskiej widział to wszystko przez wizjery swojego wozu dowodzenia lub z pokładu śmigłowca. Tam czuł, że żyje. Kolejne slajdy nie były niczym innym jak grą komputerową, bajką dla dużych chłopców, którzy chcieli pobawić się w wojnę bez wychodzenia z domu.

– Seul jest bardziej niż zaniepokojony. Tak dużej liczby żołnierzy Pjongjang nie przerzucał nad granicę od zakończenia wojny koreańskiej z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku – powiedział Martin Dempsey, wskazując kolejne zdjęcie. Tym razem skala szarości przedstawiała kanciaste sylwetki

wieloprowadnicowych systemów artylerii raketowej M-1991. – Koreański wywiad szacuje, że w ciągu ostatnich kilku dni Północ przerzuciła nad granicę niemal sto tysięcy żołnierzy. Doszło również do kilku mniejszych incydentów. Kilka godzin temu jeden z patroli w strefie zdemilitaryzowanej został ostrzelany przez północnokoreańskie moździerz.

– Zaatakują? – zapytał Armitage.

– Wszystko wskazuje na to, że może dojść do potyczek. Nie możemy jednak powiedzieć, że z całą pewnością wybuchnie otwarty konflikt. Starcia na granicy lub ostrzały zdarzały się już wcześniej, ale wówczas nie obserwowaliśmy aż tak dużej koncentracji wojsk. Korea Północna, wbrew temu, co o niej sądzimy, dobrze wie, jakimi możliwościami dysponuje Południe. Zwycięstwo Pjongjangu w tej wojnie jest bardzo mało prawdopodobne.

– Nie zapominajmy, że Koreańczycy dysponują bronią atomową. Wiemy, że udało im się zminiaturyzować ładunki i nośniki. Mają głowice na okrętach podwodnych. – Elizabeth Hawk wskazała długopisem na ekran. – Jeśli Korea Południowa odpowie chociażby nalotami na instalacje jądrowe, nie mamy pewności, że Północ powstrzyma się od wystrzelenia rakiet. Co więcej, wydaje mi się, że w przypadku bezpośredniego zagrożenia jest to wielce prawdopodobne.

– Koreańczycy dysponują odpowiednimi środkami do przechwycenia rakiet balistycznych – odparł przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów. – Skuteczność koreańskich systemów dorównuje naszym. Uważam, że sprawa atomowego odwetu ze strony Korei Północnej...

– Nie lekceważmy tego. – Albert Armitage poprawił się w fotelu i sięgnął po szklankę wody. – Kim jest szalony, doradców może głupich nie ma, ale co trzeźwiej myślących zdążył już rozstrzelać. Jeśli decyduje się na przerzut tak dużej liczby ludzi nad granicę, chce osiągnąć jakieś cele. Koreańczycy z Południa mogą odeprzeć regularną armię, ale wtedy reżim sięgnie po swojego asa w rękawie.

– Wystarczy, że jedna rakiet spadnie na Seul. Będziemy mieć drugi Isfahan – zakończyła Hawk i skinęła głową.

John Brennan, który do tej pory w milczeniu obserwował wymianę zdań, przygryzł wargę. Koreańska komórka CIA poszła w analizach o krok dalej. Ryzyko atomowego odwetu ze strony Korei Północnej oceniano na czterdzieści pięć procent już po pierwszym nalocie na terytorium reżimu. Co więcej, szanse na to, że głowice uderzą w cel...

– Dwadzieścia procent – powiedział Brennan, spoglądając na prezydenta i pozostałych zebranych. – Według naszych analiz istnieje dwudziestoprocentowe ryzyko, że koreańskie rakiety dosięgną celu. Szacujemy, że Pjongjang posiada około pięćdziesięciu głowic. Nie trzeba wykonywać wymyślnych obliczeń...

– Dziesięć detonacji – powiedział Armitage, bawiąc się kryształową szklanką. – Ilu cywilów może zginąć? Zakładam, że Kim rozkazał wzięcie na cel obiektów cywilnych.

– Przy dziesięciu eksplozjach powyżej miliona zabitych – odpowiedział Brennan. Elizabeth Hawk zakryła usta otwartą dłonią. – Rannych kilka razy więcej. Spora część z nich zmarłaby potem na chorobę popromienną.

– Jak możemy przeciwdziałać? – Albert Armitage spodziewał się podobnej liczby. Nie zrobiła na nim szczególnego wrażenia.

– Uderzenie lotnicze na znane obiekty jądrowe, silosy, mobilne wyrzutnie i okręty podwodne. Innego wyjścia nie widzę – odpowiedział Brennan.

– Koreańczycy ani my nie znamy dokładnych lokalizacji wszystkich wyrzutni. To mogą być setki celów... – odparł Dempsey. – Mamy współrzędne reaktorów i ważniejszych zakładów oraz silosów. Ale mobilne wyrzutnie to jak szukanie igły w stogu siana, nie wspominając o okrętach podwodnych. Koreańczycy działają zbyt szybko, nie zdążymy zlokalizować wyrzutni do czasu ewentualnego ataku.

– Kiedy może to nastąpić? – zapytał Armitage.

Trójka zebranych w sali odpraw popatrzyła po sobie porozumiewawczo. Najpotężniejsza machina

wywiadowcza świata nie miała zielonego pojęcia, kiedy Pjongjang chce uderzyć na Południe. Brennan otrzymywał kilka raportów dziennie, dziesiątki pilnych depech i alertów. Wszystkie były niejasne, zwodnicze, wzajemnie się wykluczały. Hermetyczność i całkowite odizolowanie północnokoreańskiej administracji od świata zewnętrznego sprawiały, że wyłuskanie rzeczowych informacji o planach Kim Dzong Una było niemal niemożliwe.

Brennan próbował różnych sztuczek. Wywiad elektroniczny okazał się najskuteczniejszym z możliwych. Przechwytywanie przekazów radiowych, maili z wewnętrznej, armijnej sieci oraz stały nasłuch wojskowych częstotliwości dawały jaki taki obraz sytuacji. Najważniejsze decyzje zapadały jednak za zamkniętymi drzwiami pałacu Kima w Pjongjangu. Tam informacje mógł zdobyć tylko człowiek, a ani Seul, ani Waszyngton nie liczyły na realne skutki wykorzystania metody HUMINT w bezpośrednim towarzystwie koreańskiego satrapy. Wniosek, jaki wypływał z przeanalizowanych materiałów, był daleki od optymistycznego.

– W każdej chwili... Mogą zaatakować w każdej chwili – odpowiedział Martin Dempsey, marszcząc czoło. – Jesteśmy w stałym kontakcie z Seulem. Próbujemy koordynować naszą pracę tak bardzo, jak to tylko możliwe.

– Wciąż liczą na naszą pomoc?

– Tak, panie prezydencie. Seul zwrócił się do nas z prośbą o zapewnienie dodatkowego wsparcia z powietrza. Oni chyba rzeczywiście są przekonani, że dojdzie do wojny...

– Nie możemy zostawić ich samych. Siódma Flota ma możliwości, które w znacznym stopniu mogą wpłynąć na siłę uderzeniową Korei Południowej – wtrąciła Elizabeth Hawk.

– Nie możemy całej Siódmej Floty przesunąć w rejon Półwyspu Koreańskiego, wciąż możemy mieć na karku Chińczyków... – dodał John Brennan.

– Właśnie, a propos Chińczyków – powiedział Martin Dempsey i podszedł do laptopa ustawionego na niewielkim stoliku tuż obok projektora.

Generał postukał palcami w klawiaturę i wykonał kilka ruchów po touchpadzie. Zdjęcia satelitarne zniknęły z ekranu, zastąpione przez granatową tapetę z logo Pentagonu. Szef Kolegium kliknął dwukrotnie w ikonę kolejnej prezentacji. Zdjęcia satelitarne sprzężone ze sztabowymi mapami i naniesionymi sygnaturami chińskich jednostek ponownie wypełniły biały ekran.

– Na morzu zachowują się dość przewidywalnie. Manewry nie odbiegają od założeń, które przekazali nam przed ćwiczeniami, chociaż ich lotnictwo coraz częściej ociera się o tajwańską przestrzeń powietrzną.

– Sondują ich? – zapytał Armitage nieznacznie ożywiony. Chińczycy nieco bardziej frapowali prezydenta niż szalenie z bronią jądrową, szczególnie jeśli mogło się okazać, że rakiety detonują jeszcze na ziemi.

– Możliwe. Aczkolwiek wciąż twierdzimy, że Chińczycy chcą jedynie zaznaczyć swoją obecność i wysłać nam komunikat, że będą mieszać w kontaktach z Tajwanem – powiedział Dempsey, wciąż stojąc przy komputerze. Kolejne slajdy musiał przełączać ręcznie. Zdjęcia przechwyconych przez Tajwańczyków J-10 oraz J-11 budziły zdecydowanie większe emocje niż rzesze koreańskich piechurów.

– Niekoniecznie – wtrącił Brennan. – Nasi agenci na Tajwanie od dłuższego czasu obserwowali miejscowy wywiad. Próbowaliśmy zrozumieć ich sposób myślenia o potencjalnym przeciwniku.

– Infiltrowaliśmy sojusznika? – zapytała Hawk.

– Nie mieliśmy innego wyjścia. Przy tak dużej operacji dyplomatyczno-gospodarczej, jaką była umowa o współpracę przy technologii zimnej fuzji, musieliśmy sprawdzić stabilność tamtejszych struktur – odparł szef CIA z rozbrajającą szczerością. – Nie pierwszy raz zresztą...

– Dajmy spokój etyce, bywają sytuacje, kiedy należy legitymować bardziej inwazyjne metody – wtrącił Albert Armitage, widząc karcący wzrok Elizabeth Hawk.

– Chińczycy zapewne myślą tak samo – mruknęła.

John Brennan westchnął ciężko. Nie miał zamiaru komentować uszczypliwej wypowiedzi Elizabeth. Dość czasu spędził z tą chorobliwie moralną kobietą, by wiedzieć, że nie odpuści.

– Generał Dempsey ma rację w jednym, w powietrzu Chińczycy sprawdzają nerwy tajwańskiej armii i naszych marynarzy – rzekł Brennan. – Ale prawdziwe zamiary mogą skrywać na lądzie – dodał sentencjonalnie.

– Co masz na myśli, John? – zapytał prezydent.

– Chińczycy przerzucili na poligony na wybrzeżu ponad sto tysięcy żołnierzy. Nasze dane wywiadowcze potwierdzają również, że chińskie bazy powietrzne prowadzą intensywne przeglądy i naprawy maszyn. Zauważyliśmy również ruchy w dywizjonach raketowych. Mogą się do czegoś szykować, panie prezydencie. – Brennan zniżył głos dla podkreślenia wagi słów.

– Nie mamy twardych dowodów na to, że Pekin chce zaatakować Republikę Chińską, John. Sianie paniki nie jest teraz dobrym pomysłem – odparł Dempsey.

– Będziemy czekać, aż nam Kitajce zatopią okręt? To będzie odpowiedni dowód? – zapytał Brennan z przekąsem. – Myślicie, że Xi Jinping wystąpi przed ONZ-em i powie: hej, za tydzień wypowiemy wam wojnę? Nie widzicie, co się zaczyna dzieć w tajwańskich miastach? Co chwila jakieś demonstracje albo inne wiece, to czysta dywersja.

– Przesadzasz, John... – warknął Dempsey.

– Panowie – chrząknął Albert Armitage.

Coraz głośniejsza dyskusja ucichła, jakby ktoś wyciszył fonię. Nawet Elizabeth, choć wtrącała się sporadycznie, teraz zamarła w oczekiwaniu na słowa prezydenta.

– Czy jesteśmy w stanie podzielić jednostki podległe Siódmej Flocie tak, żeby zabezpieczyć Republikę Chińską i jednocześnie móc wesprzeć z powietrza Koreę Południową? Jeśli dojdzie tam do eskalacji działań, musimy w pierwszej kolejności zniszczyć wszystkie możliwe instalacje programu atomowego. Resztą zajmą się Koreańczycy na lądzie. – Albert Armitage złączył dłonie w piramidkę i patrzył przed siebie. Sprawiał wrażenie, jakby poza nim w pomieszczeniu nie było nikogo więcej. – Mamy bazy sił powietrznych w Japonii, na Okinawie. Możemy trzymać Chińczyków w szachu i wyasygnować siły odpowiednie do uderzenia na Koreę Północną. Jeśli się zacznie, upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu.

– Możemy stworzyć lotną, kilkuokrętową grupę uderzeniową wspieraną przez maszyny bazujące na Okinawie i wyspach macierzystych – wtrącił Dempsey niepewnie. – Lecz wciąż nie widzę powodów...

Przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów urwał w pół zdania i spojrzał na ekran laptopa. Zmarszczył brwi, widząc nową wiadomość opatrzoną klauzulą podwyższonej tajności. Nim odczytał krótki raport, wpisał do systemu kod autoryzujący.

– Coś się stało? – zapytał Armitage, przekrzywiając głowę.

– Chyba powinniśmy się pospieszyć... – powiedział Dempsey. – Chińczycy wysłali z Tiencin trzy fregaty i jeden niszczyciel. Płyną w stronę wód terytorialnych Korei Północnej.

Okolice Kaesong, Korea Północna | 8 maja 2023, godzina 05:47

Telefon zastał majora Goka podczas porannego rytuału palenia papierosa. Oficer, wyraźnie rozdrażniony, zaciągnął się jeszcze raz i zdusił niedopałek w szklanej popielniczce. Chwycił słuchawkę w kościstą dłoń i przyłożył do ucha.

– Major Tin Gok... – zdążył powiedzieć, nim w słowo wszedł mu człowiek po drugiej stronie linii. – Tak. Oczywiście... Za chwilę, tak, natychmiast wydam rozkazy. Niech żyje Ukochany Przywódca i Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna!

Tin Gok wysłuchał do końca rozkazu i nabożnie, powoli odłożył słuchawkę na widełki. Krzyknął donośnie, wywołując w kontenerze dowodzenia miniaturowe tornado. Sztabowcy, którzy do tej pory siedzieli przy biurkach i skrzętnie klepali w małe klawiatury, teraz zerwali się na równe nogi.

– Najwyższy Przywódca wydał rozkaz. Otworzyć ogień do wybranych celów! Niech żyje wolna Korea!

Kilka minut później, kiedy Tin Gok stał na progu swojego kontenera i ćmił kolejnego papierosa, nad dolinami przetoczył się grom. Najpierw pojedynczy, jakby urywany, potem rozlał się w dziesiątkach i setkach jemu podobnych. Kanonada potężnych dział rosła z każdą sekundą. Major czuł, jak jego dłonie drżą. Kiedy na niebie pojawiły się zwiewne sylwetki myśliwców MiG-23, Tin Gok z rozkoszą przymknął oczy. Wiedział, że choć przez chwilę jego życie będzie miało znaczenie.

Legendarny posterunek i przejście graniczne w Panmundzombie od dziesięcioleci owiane były złą sławą. Punkt-symbol podziału jednego narodu, szaleństwa i wolności, która coraz częściej przybierała absurdalne, groteskowe wręcz formy. Dla tego miejsca miały jednak właśnie nadejść nowe, wspaniałe czasy utraconej chwały. Ziemia w Panmundzombie miała ponownie spłynąć krwią.

Pierwsze eksplozje przyjęli jak coś naturalnego, manewry i ćwiczenia zdarzały się dość często. Strażnicy unieśli co prawda głowy w górę w oczekiwaniu na łuny odległych wybuchów, ale poza tym nie przejęli się zbytnio. Oficer dowodzący wartą zniknął w niewielkiej budce, by zadzwonić i ustalić, która jednostka ma obecnie poranne strzelania. Nie zdążył nawet podnieść słuchawki. Pocisk detonował dosłownie nad jego głową, zasypując obszar w promieniu kilkudziesięciu metrów gradem stalowej subamunicji. Połowa warty zniknęła w różowej mgiełce, rozerwana na strzępy. Beton i mniej odporne budynki rozpadły się w drzazgi, siejąc na wszystkie strony ostrymi odłamkami.

Południowokoreański szeregowiec powracający właśnie z toalety zobaczył, jak kilka ładunków równa z ziemią pomalowane na jaskrawy błękit budynki. Jego koledzy nawet nie zdążyli krzyknąć, po prostu zniknęli.

Chwilę później ława eksplozji zaczęła przesuwać się na północ, w jego stronę. Oddalony o nieco ponad sto metrów od posterunku i linii demarkacyjnej do tej pory mógł czuć się bezpieczny. Krzyknął, kiedy poczuł na ramieniu żelazny uścisk.

– Łap za karabin! Walcz! – krzyczał mu ktoś do ucha. Postawił go na nogi i wcisnął leżącego tuż obok K2. Szeregowiec rozpoznał sierżanta, zastępcę dowódcy plutonu, który z wrzaskiem rzucił się w stronę eksplozji. Tuż za nim do ataku runęło kilkunastu innych żołnierzy.

Szeregowiec widział, jak rozbiegają się w szeroką tyralierę i chowają za niskim murkiem. Udało się

wszystkim poza jednym. Pechowiec dobiegał do murka jako ostatni. Detonacja pocisku artyleryjskiego miała miejsce kilkanaście metrów powyżej poziomu gruntu. Uwolnione stalowe kulki dosłownie ucięły mu nogi. Żołnierz pacnął na twarz, zadygotał i znieruchomiał.

Ostrzał ustał. Dym powoli się rozwiewał. Szeregowiec, który do tej pory stał przy drzewie i ścisnął przy piersi karabin, ruszył do przodu i w długich susach doskoczył do skruszonego nawałą murka. Nim na dobre umilkł huk eksplodujących pocisków, powietrze wypełnił kolejny dźwięk. Krzyk setek gardeł zlewał się w jeden nienawistny ryk. Potem ich zobaczyli. Most bez powrotu, legendarne przejście między obiema Koreami, zaroił się od czerwonych sztandarów.

Porucznik Ming przekrzywił delikatnie drążek sterowania i maszyna łagodnie położyła się przez lewe skrzydło, wykonując skręt. Kolumny liczb płynęły przed oczami pilota, informując o zmianie kursu i pułapu. Trzymali się wyznaczonego szlaku jak sznurka, Tajwańczycy reagowali coraz ostrzej. Każdego dnia dochodziło do przechwyceń, niebezpiecznych spotkań lub ostrzeżeń drogą radiową.

Para dwusilnikowych J-11B nieznacznie zmieniła kurs. Wciąż znajdowali się nad biorącymi udział w manewrach okrętami chińskiej floty. Teoretycznie byli bezpieczni, choć Minga doszły sygnały, że Tajwańczycy namierzali samoloty, które niebezpiecznie zbliżały się do granic przestrzeni powietrznej. Gra nerwów dochodziła do kulminacyjnej fazy, w której jeden błąd mógł wywołać niepohamowaną lawinę wydarzeń.

– Wachlarz Jeden Dwa, tu Wachlarz Jeden Jeden, zbliżamy się do granicy strefy ćwiczeń. Przygotować się na możliwy kontakt – powiedział Ming i uruchomił sensory oraz datalink. Kołujący nad zgrupowaniem okrętów KJ-500 skanował przestrzeń powietrzną w promieniu ponad pół tysiąca kilometrów. Bez większych problemów mógł przesłać obu myśliwcom dane dotyczące obecności sojuszników i potencjalnych wrogów. Ming dzięki temu nie musiał uruchamiać swojego radaru i zwiększał szanse na w miarę niezauważony lot.

– Przyjąłem, Wachlarz Jeden Jeden. Kontynuuję lot na stałym pułapie. Prędkość bez zmian, datalink uruchomiony – zameldował skrzydłowy porucznika. – Trochę dzisiaj ciasno. Widzę kilka śmigłowców i samolotów, część nasza.

– Potwierdzam, Wachlarz Jeden Dwa. Cztery F-CK-1 kierują się z południa wyspy w stronę japońskiej Jonaguni. Odległość trzysta czterdzieści kilometrów. Mogą chcieć się z nami pobawić. Trzymaj prędkość i kurs – odpowiedział Ming, widząc na swoim ekranie cztery pulsujące punkty. Komputer pokładowy potrzebował ułamka sekundy, by dopasować sygnaturę odbicia do wprowadzonych do pamięci parametrów jednego z tajwańskich myśliwców.

Lot trwał bez większych zakłóceń. Strefę manewrów chińskiej floty opuścili około minuty temu i teraz przecinali powietrze w przestrzeni międzynarodowej. Zmierzali prosto na południe, ku wysuniętym najbardziej na północ przylądkom zbuntowanej prowincji. Celem lotu nie był atak, oba myśliwce prawdopodobnie nie zdążyłyby nawet wystrzelić swoich rakiet. Tajwańczycy chcieli trzymać rękę na pulsie i właśnie to było celem patrolowego lotu porucznika Minga. Chińczycy od kilku dni testowali szybkość reakcji potencjalnego przeciwnika. Sprawdzali, jak daleko mogą się posunąć, i choć gra była śmiertelnie niebezpieczna, płynąca z niej nauka mogła ocalić dziesiątki pilotów. Ming wiedział, że było warto. Zawsze powtarzał sobie, że podniebne batalie nad Rosją przeżył tylko dzięki poświęceniu innych i sprawności swojej maszyny.

– Minęliśmy punkt Charlie, zmiana kursu za sześćdziesiąt sekund – powiedział Ming.

– Przyjąłem, Wachlarz Jeden Jeden. Tajwańczycy chyba nas namierzają, zmienili kurs – odpowiedział skrzydłowy.

Ming spojrział na wskazania radaru, rzeczywiście wyglądało na to, że tajwański klucz wykonał ostry skręt i obrał kurs kolizyjny. Przy prędkościach dochodzących do półtora tysiąca kilometrów na godzinę

spotkają się za kilka minut. Porucznika dziwiło, że Tajwańczycy wysforowali się poza swoją przestrzeń powietrzną i granicę wód terytorialnych. Zmienił częstotliwość i połączył się z samolotem wczesnego ostrzegania.

– Wieża, tu Wachlarz Jeden Jeden, widzimy na radarach cztery tajwańskie myśliwce. Odległość dwieście sześćdziesiąt kilometrów, kierują się prosto na nas. Kontakt wzrokowy za T minus sto osiemdziesiąt – powiedział Ming, spoglądając na przyrządy pokładowe. – Jakie rozkazy?

– Wachlarz Jeden Jeden, tu wieża. Widzimy na radarze cztery obiekty zaklasyfikowane jako tajwańskie myśliwce. Jesteście w międzynarodowej przestrzeni powietrznej, kontynuujcie lot według wcześniejszych wytycznych – odpowiedział kontroler przesadnie spokojnym tonem.

– Wieża, tu Wachlarz Jeden Jeden, proszę o pozwolenie na dynamiczną zmianę kursu.

– Wachlarz Jeden Jeden, tu wieża, kontynuujcie według wcześniejszych wytycznych – powtórzył kontroler.

– Odległość dwieście piętnaście. Kurs bez zmian, lecą prosto na nas.

– Kontynuować, poruczniku. Meldujcie na bieżąco.

Ming przełączył kanał i zaklął siarczyście. Skrzydłowy w lot pojął, jaka była odpowiedź podniebnego centrum kontroli lotów.

– Nie mamy pozwolenia... – bardziej stwierdził, niż zapytał. – Zeszliśmy poniżej dwustu kilometrów. Wygląda na to, że nie odpuszczą.

– Lecimy zgodnie z wytycznymi. Uzbroidź rakiety. Nie namierzać, powtarzam, nie namierzać. – Ming wybrał z dostępnych środków rakiety PL-12 i uzbroił pociski.

Odległość zmniejszała się dramatycznie, sto osiemdziesiąt kilometrów zmieniło się w niemal sto pięćdziesiąt. Jeszcze nieco ponad minuta i obie strony będą mogły odpalić rakiety. Ming ponownie przełączył się na kanał kontrolera. Tajwańczycy postanowili zagrać *va banque*, a on nie miał zamiaru ginąć gdzieś na środku Pacyfiku.

– Wieża, tu Wachlarz Jeden Jeden, sto czterdzieści kilometrów do obiektów. Proszę o pozwolenie na zmianę kursu – powiedział Ming.

– Czy Tajwańczycy zachowują się wobec was wrogo, Wachlarz Jeden Jeden? – zapytał kontroler.

– Wieża, tu Wachlarz Jeden Jeden, jesteśmy sto trzydzieści kilometrów od klucza tajwańskich myśliwców. Spotkamy się w międzynarodowej przestrzeni powietrznej. Tajwańczycy doskonale zdają...

Systemy pokładowe J-11 ożyły alertem oznajmiającym o namierzeniu przez wrogą maszynę. Porucznik Ming złapał drążek i pchnął z całej siły. Skrzydłowy porucznika nie czekał na rozkaz. Obie maszyny zanurkowały w nadziei, że uda im się zgubić namiar, jaki brały na nich cztery F-CK-1.

– Wieża, tu Wachlarz Jeden Jeden, Tajwańczycy nas namierzili. Zmieniam kurs, zawracamy, powtarzam, zawracamy. Misja przerwana! – krzyczał Ming. Kolumna liczb oznaczająca pułap maszyny pędziła w dół z prędkością błyskawicy.

– Przyjąłem, Wachlarz Jeden Jeden, wracajcie. – Głos kontrolera zmienił się nie do poznania. Eksplozją energii mógł konkurować z komentatorami sportowymi. – Zerwać kontakt, natychmiast zerwać kontakt!

– Próbuje! – krzyknął Ming.

Samoloty straciły niemal połowę pułapu w kilkanaście sekund. Porucznik przyciągnął drążek do siebie i przechylił maszynę w szerokim łuku. Krew uderzyła do głowy, przed oczami pojawiły się kolorowe kleksy. Spojrzał na ekran radaru. Tajwańczycy musieli uznać, że wykonali swoje zadanie. Nieznacznie zwiększyli dystans dzielący obie grupy i lecieli teraz równolegle do pary chińskich myśliwców. Czerwona dioda i wyświetlający się na HUD-zie alert zniknęły. Chmury rozwiały się, ukazując mieniącą się miliardem refleksów, spokojną taflę oceanu.

– Wachlarz Jeden Jeden, tu Wachlarz Jeden Dwa, namierzanie przerwane. Udało się... – powiedział skrzydłowy słabnącym głosem.

– Przyjąłem, Wachlarz Jeden Dwa, kurs powrotny. Prędkość tysiąc dwieście, pułap pięć tysięcy. Wracamy do domu, Wachlarz Jeden Dwa, wracamy do domu...

Biały Dom, Waszyngton DC, USA | 8 maja 2023, godzina 15:59

Elizabeth Hawk nie wierzyła własnym oczom. Od wczesnych godzin porannych siedziała przed komputerem, co chwila odbierając telefony. Gabinet opuszczała tylko w krótkich przerwach na toaletę lub kolejne spotkanie. Wydarzenia na Półwyspie Koreańskim wywołały prawdziwe trzęsienie ziemi. Bezpieczna linia między Waszyngtonem i Seulem nie zamierała ani na chwilę. Dziesiątki raportów, które spływały do gabinetu prezydenckiej doradczynie do spraw bezpieczeństwa, zalewały Elizabeth niczym tsunami.

– To straszne... – powiedziała sama do siebie, widząc kolejnego maila z zespołu analiz CIA.

Hawk przeleciała wzrokiem przez tekst, czasami tylko przetykany nowymi zdjęciami satelitarnymi dostarczonymi przez ludzi z Langley. Obraz, jaki wyłaniał się z raportu i wizualizacji, był przerażający. Spodziewali się zbrojnych incydentów, już w ciągu ostatnich godzin doszło do kilku mniej intensywnych wymian ognia, ale nic nie zwiastowało wówczas katastrofy. Po obu stronach padło kilku zabitych i rannych, odezwały się moździerze. Widzieli to już niejednokrotnie. Wydawało się, że napięcie lada chwila sięgnie zenitu i zacznie spadać. Aż do teraz. Pjongjang uderzył niemal równocześnie w kilkunastu miejscach strefy zdemilitaryzowanej, potężna nawała artyleryjska zmiotła posterunki. Wyrwy natychmiast wykorzystwały koreańskie siły specjalne, które zdobyły przyczółki i zabezpieczyły przejścia przez strefę. Zaraz za nimi szły czołgi i piechota. Według najnowszych danych na terenie Korei Południowej mogło być już ponad dziesięć tysięcy żołnierzy z Północy. Kolejni przelewali się właśnie przez utworzone wcześniej korytarze i przygotowywali do dalszej ofensywy.

Południe odpowiedziało zbrojnym odwetem. Koreańskie samoloty już kilkadziesiąt minut po pierwszych wystrzałach zbombardowały pierwsze cele na północ od legendarnej linii Kansas–Wyoming. Wciąż jednak obawiano się użycia przez Północ broni jądrowej. Amerykańskie i koreańskie agencje stawały na głowie, by zlokalizować jak najwięcej mobilnych wyrzutni i wspólnie z marynarką określić pozycję koreańskich okrętów podwodnych.

Telefon na biurku Elizabeth rozdzwonił się po raz kolejny. Podniosła słuchawkę do ucha, jednocześnie wciąż czytając raport. Zdziwiła się, słysząc głos Johna Brennana.

– John? – zapytała, odrywając wzrok od ekranu laptopa.

– Jest źle... – powiedział żałobnym tonem.

– O mój Boże, wystrzelili rakiety. – Elizabeth przełknęła ślinę. Wiedziała, że to było kwestią czasu.

– Nie, na szczęście jeszcze nie – uspokoił ją szybko. – Ale mamy na głowie równie duży problem. Północ rozpoczęła ostrzał artyleryjski Seulu. Wnioskując po obecnych zniszczeniach, przynajmniej setka dział i wyrzutni rakiet. Jest pełno ofiar wśród ludności cywilnej.

– Prezydent rozmawiał już z Seulem? – zapytała Hawk.

– Za chwilę ma telekonferencję. Zwołał na później spotkanie, jadę już do Białego Domu. Widzimy się za kilkanaście minut, chyba znowu włączymy się do gry.

Hawk odłożyła słuchawkę i ukryła twarz w dłoniach. Było kilka minut po czwartej, a ona ledwo trzymała się na nogach. Wydrukowała najnowszy raport z danymi i poszła po kawę. Dokumenty przeglądała już w drodze do kuchni, podkładając filiżankę pod ekspres i wracając do swojego gabinetu. Tylko cud lub niezwykła zręczność pozwoliły jej uniknąć zderzenia z którymś z biegnących gdzieś urzędników.

John Brennan czekał na nią oparty o drzwi gabinetu. Elizabeth przywitała go wymuszonym

uśmiechem.

– Cześć, Elizabeth – powiedział, unosząc dłoń w geście pozdrowienia.

– John – odparła. – Mamy już iść?

– Jeszcze kilka minut. – Szef CIA spojrział na swojego rolexa. – Chyba nie tylko ty dzisiaj źle spałeś.

Czułem, że coś się wydarzy...

– Powinieneś zmienić branżę, John. Wróżbiarstwo kwitnie.

– Daj spokój... – Brennan machnął ręką. – Wystarczy, że Ryan Sinclair opowiada mi o jakichś gusłach w tej swojej durnej grze.

– Wciągnął go wirtualny świat – odparła Hawk.

– Dobra, chodźmy. Gromy posypią się na nas tak czy siak, a ja wolałbym mieć to z głowy. Prezydent powinien już kończyć.

Ruszyli chwilę później. Korytarze Białego Domu roiły się od pracowników prezydenckiej administracji. Poranny szok postawił na nogi cały personel, rujnując porządek dnia. Przełożono lub anulowano niemal wszystkie zaplanowane wcześniej spotkania, urlopy poszły w zapomnienie, a przepustki wymazano z systemów.

Do łukowatego korytarza i wtopionych w ścianę drzwi Hawk i Brennan doszli po kilkudziesięciu krokach. Agent Secret Service zmierzył ich wzrokiem i skinął na przywitanie. Odpowiedzieli tym samym.

– Dzień dobry, panie dyrektorze. Pani Hawk – powiedział agent. – Prezydent zaprasza, generał Dempsey jest już w środku.

– Dempsey... Czyli już postanowione – mruknął Brennan.

Albert Armitage oraz Martin Dempsey rozmawiali ściszymi głosami. Szef Kolegium tłumaczył coś, gestykulując, podczas gdy prezydent stał oparty o biurko ze skrzyżowanymi na piersi rękoma. Dempsey odwrócił się do przybyłych i przywitał ich delikatnym uśmiechem.

– Elizabeth, John.

Wymienili uściski dłoni.

– Widzę, że sprawa już zamknięta – stwierdził szef CIA.

– Prezydent Armitage skończył przed chwilą rozmowę z prezydent Park Geun-hye. Od niemal dwóch godzin na Seul spadają pociski i rakiety. Mają kilkuset zabitych i rannych.

– To było do przewidzenia, Martin... – powiedział Brennan, mijając generała.

– Dziękuję za przybycie – powiedział Armitage, rozkładając ręce. – Siadajcie, nie potrwa to długo, ale dzisiaj, jeśli możecie siedzieć, to siedźcie.

Trójka zebranych w Gabinetce Owalnym zajęła posłusznie miejsca na kanapach. Elizabeth Hawk odłożyła filiżankę chłodnej już kawy na jeden ze stolików. Albert Armitage zaciął usta w kreskę i stanął ponad nimi.

– Korea Południowa jest w stanie wojny. Otwartej wojny, bo przecież to nie byle graniczny incydent. Prezydent Park Geun-hye powiadomiła mnie o kilkunastu przyczółkach, z których komuniści prowadzą dalszą ofensywę na południe. W tej chwili to kilkanaście do dwudziestu tysięcy żołnierzy. Przypominam, że od rozpoczęcia walk minęło dziesięć godzin. – Albert Armitage zrobił krótką pauzę. Swoim zwyczajem zaczął powoli przechadzać się za plecami podwładnych. – Straty wśród cywilów idą w setki, Południe jest w trakcie mobilizacji. Tak jak się spodziewaliśmy, priorytetem Seulu jest zniszczenie instalacji jądrowych, silosów i mobilnych wyrzutni rakiet balistycznych. Marynarka szuka koreańskich okrętów podwodnych. To wyścig z czasem.

– Poprosili o wsparcie? – zapytał Brennan.

– Właśnie do tego zmierzam. – Armitage uspokoił szefa CIA gestem dłoni. – Wiem, że powinienem to najpierw skonsultować z wami, ale rozmawialiśmy o tym już tyle razy... Powiedziałem prezydent Geun-hye, że nasze lotnictwo skoordynuje wraz z koreańskimi pilotami jeden, potężny atak na znane nam obiekty strategiczne na terenie Korei Północnej. Naszym zadaniem teraz będzie weryfikacja jak

największej liczby celów.

Martin Dempsey nie wydawał się zaskoczony, spodziewał się takiego rozwoju sytuacji już po poprzednich spotkaniach. Ryzyko otwartego konfliktu między Koreami było więcej niż prawdopodobne, a Ameryka nie mogła sobie pozwolić na porzucenie azjatyckiego sojusznika.

Pozostała dwójka popatrzyła po sobie porozumiewawczym wzrokiem. Interwencja nie była czymś zaskakującym, czego nie dało się powiedzieć o tempie prezydenckich działań.

– Kiedy Koreańczycy chcą atakować? – zapytał Brennan.

– Najszybciej jak się da, ich lotnictwo prowadzi obecnie naloty na kolumny transportowe i środki obrony przeciwlotniczej. Myślę, że to bardziej kwestia godzin niż dni – odparł Armitage.

– Jesteśmy w stanie tak szybko skoordynować uderzenie? Co, jeśli pominiemy jakiś silos lub wyrzutnię? Będziemy gotowi odeprzeć kontratak? Nikt chyba nie sądzi, że Kim powstrzyma się przed wyrzuceniem rakiet – zauważył szef CIA z rozbajającym uśmiechem.

– Testowaliśmy nasz system obrony przeciwrakietowej niejednokrotnie. Będziemy gotowi, John, możesz być tego pewien – odpowiedział Martin Dempsey spokojnym tonem. – Wiem, jak obronić mój kraj, dlatego w pełni popieram decyzję prezydenta.

– Kongres już wie? – zapytała Hawk.

– Zaraz się dowie, za chwilę idę na spotkanie. – Albert Armitage spojrział na zegarek, po czym poprawił nieco za bardzo wystające spod garnituru mankiety koszuli.

– Pozostaje jeszcze jedna kwestia, panie prezydencie – rzekł John Brennan sentencjonalnie.

– Słucham?

– Tajwan.

John Brennan widział, jak szczyry uśmiech na szlachetnym profilu Dempseya powoli blednie. Jeszcze wczoraj wieczorem to właśnie nadaktywność chińskiego lotnictwa, coraz liczniejsze antyamerykańskie demonstracje i potężna flota tuż pod nosem Tajwańczyków były dla Białego Domu zmartwieniem numer jeden. Konflikt koreański niczego nie zmieniał, Chińczycy czekali na okazję, by wyrzucić presję na Tajpej. Armitage doskonale wiedział, że nie chcąc z niej teraz skorzystać, popełniliby katastrofalny błąd.

– Grupa manewrowa Siódmej Floty jest gotowa do działania? – zapytał Armitage.

– Intensywność koreańskiego ataku na Południe i prośba Seulu wymusi na nas pewne modyfikacje...

– zaczął Dempsey. – Niemniej Koreańczycy chcą atakować jak najszybciej. Przerzucenie naszych samolotów na ewentualny front południowy będzie kwestią kilku dni. Gdyby oczywiście Chińczycy postanowili zaatakować teraz, a wszyscy dobrze wiemy, że jest to mało prawdopodobne.

– Mogą chcieć wziąć byka za rogi – odparł Brennan. – Jak zobaczą, że odpuszczamy na Tajwanie...

– Mamy tam dwa nasze okręty, Chińczycy zastanowią się, zanim spróbują nas uszczypnąć – stwierdził prezydent.

– Założę się o każdą stawkę, że już się zastanowili. Jeśli się nie sprężymy, mogą narobić nam niezłego bajzlu – odpowiedział Brennan.

– Stale obserwujemy ruchy chińskiej floty, działają zgodnie z założeniami ćwiczeń, aktywność lotnictwa to testowanie naszych nerwów. Robią to wszystkie armie świata... – dodała Elizabeth Hawk.

– Dziękuję wam bardzo za rady – przerwał Armitage, unosząc dłonie w porozumiewawczym geście.

– Kolegium Połączonych Szefów Sztabów zapewniło mnie, że jesteśmy w stanie uderzyć na Kima i jednocześnie zabezpieczyć Tajwan. Mamy gotową grupę manewrową Siódmej Floty. Wiem, że wszyscy mamy się czym martwić, ale nie popadajmy w paranoję. Dostaliśmy szansę, by zrobić porządek na Pacyfiku, i to raz a dobrze. Tylko głupiec by jej nie wykorzystał, dlatego liczę na wasze wsparcie i pomoc. Razem możemy urzeczywistnić to wszystko, o co tyle czasu walczymy. Zróbmy to, bo drugi raz fortuna może się już do nas nie uśmiechnąć.

Kreml, Moskwa, Rosja | 9 maja 2023, godzina 19:05

Defilada jak co roku wywołała pożądane wrażenie. Święto rosyjskiej mocarstwowości i polityki historycznej obchodzone z pompą godną ceremonii otwarcia igrzysk olimpijskich. Niemal dwadzieścia tysięcy żołnierzy, w tym delegacje krajów Przymierza oraz kilku dawnych aliantów. Setki pojazdów wojskowych, dziesiątki samolotów i śmigłowców. Zgrana co do sekundy logistyczna wirtuozeria, której pozazdrościć mógł cały świat.

Henryk Żuławski oglądał paradę z trybuny honorowej, u boku najznamienitszych gości zaproszonych do rosyjskiej stolicy. Obok niego i Władimira Putina stali prezydenci krajów Przymierza, wszyscy dumni, jakby własnymi rękoma zatykali sztandary na gruzach Berlina. Polak również nie krył dumy, czuł jednak pewien niesmak, widząc w oddali wykonany z brązu pomnik kniazia Pożarskiego i kupca Minina. Kolejne rzędy wypełniali zagraniczni goście, wśród których tym razem zabrakło przedstawicieli Korei Północnej oraz Chińskiej Republiki Ludowej. Żuławski zauważył, że Rosjan nieszczególnie martwiła absencja Chińczyków. Zaskoczeniem za to były uśmiechnięte twarze amerykańskiego ambasadora oraz ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii. Żuławski coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Stara Unia zaczyna pękać w szwach.

Po kilku godzinach stania w pełnym słońcu z radością przywitał ostatni klucz myśliwców, które przedefilowały nad rozgrzany placem Czerwonym. Kilkanaście minut później kolumna rządowych limuzyn opuściła Kreml i ruszyła na obowiązkowe tournée po najważniejszych wydarzeniach kulturalnych związanych z obchodem Dnia Zwycięstwa. Spaską Basznię minęli ponownie dopiero o zachodzie słońca. Chłodny wiatr zastąpił skwar, dając ciału odrobinę wytchnienia. Henryk Żuławski przystanął na schodach prowadzących na górne piętra pałacu kremlowskiego. Władimir Putin w towarzystwie ukraińskiego i kazachskiego prezydenta czekali już na szczycie i rozmawiali ściszymi głosami, co chwila spoglądając na Polaka.

– Musimy to przeforsować... – powiedział Żuławski do węgierskiego prezydenta, który nieco wolniej pokonywał kolejne stopnie schodów. – Antal, to przestaje być zabawne. Dzisiaj w Tajpej wybuchły zamieszki, aresztowano kilka osób, sporo zostało hospitalizowanych.

– Wiem, Henryk. Też uważam, że powinniśmy zabrać naszych z wyspy. Wiem, że masz tam swojego przyjaciela, i popieram twoje stanowisko, ale z drugiej strony... – powiedział lekko zdyszany Antal Bokori. Lata odcisnęły na nim swoje piętno. – Wiesz, jak to wygląda, decyduje rada. Sami nie mamy środków, żeby wyciągnąć ludzi z Tajwanu.

– Musimy przekonać Putina i resztę. Przecież to się może zawalić w każdej chwili...

– Porozmawiamy na górze, Henryk – odparł Antal Bokori i z westchnieniem wspiął się na kolejny schodek.

Żuławski postać jeszcze chwilę, wpatrując się w urzędników i dyplomatów, którzy towarzyszyli delegacjom. Poczekał, aż minister spraw zagranicznych zrównał się z nim, po czym ruszyli w górę.

Niewielka, wysoka sala kominkowa tonęła w przyjemnym półmroku. Ogień huczał, rozlewając po pomieszczeniu kojące ciepło. Henryk Żuławski siedział w pamiętającym czasy ostatniego cara fotelu. Filizanka rosyjskiego czaju z konfiturą parowała w dłoni. Rozmowy toczyły się głównie wokół defilady i pokazu siły rosyjskiego wojska, chwalono też wyborne alkohole i doskonałą herbatę, którą serwowano od samego rana z tradycyjnych tulskich samowarów.

– Mogę o coś zapytać? – Polak zwrócił się do rosyjskiego prezydenta, przyciągając uwagę zebranych

w pokoju dygnitarzy.

– Chyba wiem, jaką kwestię chce pan poruszyć – odparł Władimir Putin, wyciągając dłonie w stronę płomieni.

– Sytuacja na Tajwanie zaczyna wymykać się spod kontroli. Szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę ostatnie wydarzenia na Półwyspie Koreańskim – zaczął prezydent. – Przypominam, że dzisiaj doszło w Tajpej do zamieszek. Nie demonstracji czy pikiety, ale zamieszek. Byli aresztowani i ranni.

– Wszyscy dostaliśmy te wiadomości – odpowiedział Petro Poroszenko. – Wojna w Korei wybuchła niespodziewanie, co rzeczywiście może być niebezpieczne dla regionu.

– Zgadzam się z prezydentem Żuławskim. Do tej pory, muszę przyznać, miałem nadzieję na uspokojenie nastrojów i uniknięcie medialnego rozgłosu – dodał Władimir Putin. – Niemniej pan Żuławski ma rację. Wydarzenia na Półwyspie Koreańskim i coraz bardziej agresywne wystąpienia tajwańskich demonstrantów zmieniają postać rzeczy. Pacyfik stał się strefą zagrożoną.

– Jest coś, co powinniśmy wiedzieć, panie prezydencie? – zapytał Żuławski, poprawiając się w fotelu. Filizanka z parującym naparem wylądowała na bogato rzeźbionym stoliku pośrodku pokoju.

Kilka par oczu zwróciło się automatycznie w stronę Rosjanina. Władimir Putin uśmiechnął się kącikiem ust i uniósł filizankę. Nagła zmiana stanowiska rosyjskiego prezydenta zaskoczyła nie tylko Polaka. Antal Bokori i Dalia Grybauskaite przerwali rozmowę i w napięciu wyczekiwali na dalszą część wypowiedzi Rosjanina. Putin, do tej pory największy przeciwnik niepotrzebnego szumu wokół Tajwanu, teraz wydawał się zmieniać swoje stanowisko o sto osiemdziesiąt stopni.

– Na przestrzeni kilku ostatnich dni odnotowaliśmy sporą aktywność amerykańskiej Siódmej Floty na wodach Japonii. Do tego należy dołączyć doniesienia o licznych incydentach w tajwańskiej przestrzeni powietrznej z udziałem chińskich pilotów. O demonstracjach, które zaczęły zamieniać się w zamieszki, wspominał już pan Żuławski. To wystarczające przesłanki, by wysłać na Tajwan kogoś, kto będzie trzymał rękę na pulsie.

– Mówiliśmy o tym już jakiś czas temu, panie prezydencie. Potrzebowaliśmy jasnych dowodów, że sytuacja na Pacyfiku się pogarsza – dodał Kazach. – Odnowienie konfliktu między Koreami, coraz ostrzejsze tarcia w Cieśninie Tajwańskiej... Teraz nie mamy już wątpliwości...

Żuławski zauważył, że ostatnie słowa wywołały na twarzy rosyjskiego prezydenta nieprzewidziany skurcz mięśni.

– Od jak dawna zakładacie, że między Chinami i Tajwanem wybuchnie wojna? – zapytał Polak.

– Nasz wywiad podejrzewa, że chińskie manewry mogą być maskaradą dla przygotowań do desantu na wyspę – odpowiedział Putin, gromiąc spojrzeniem kazachskiego prezydenta.

– Jak długo analizujecie sytuację? – zapytał Węgier wyraźnie poruszony usłyszczanymi przed chwilą informacjami.

– Dysponujemy tymi samymi informacjami, panie prezydencie – odpowiedział Putin zmienionym głosem. Nie cieszyło go przedwczesne wyjawienie podejrzeń analityków GRU. – Nasi ludzie wyciągnęli po prostu dalej idące wnioski. Konflikt był możliwy od samego początku, Amerykanie grają w bardzo ryzykowaną grę.

– Chińczycy wykorzystają zamieszanie na półwyspie. Szansa na zagarnięcie technologii zimnej fuzji sama wpadła im w ręce. Amerykanie będą teraz zajęci zatrzymaniem komunistów na Północy – dodał Poroszenko, kiwając głową.

– Musimy ewakuować naszych ludzi jak najszybciej – powiedział Henryk Żuławski. – Nie rozumiem, dlaczego musieliśmy czekać z tą decyzją tak długo... Tym bardziej jeśli pańscy analitycy dysponowali informacjami, które mogły przyspieszyć proces decyzyjny.

– To nie są potwierdzone dane, dlatego też uważam, że nie powinniśmy ewakuować naszych ludzi od razu. – Władimir Putin nie podzielał rozemocjonowania Polaka. Mówił spokojnie, jakby relacjonował

wyścig staruszek do cerkiewnych wrót. – Proponuję wysłanie na Tajwan oddziału Radegast, niech monitorują sytuację na bieżąco. W przypadku realnego zagrożenia w ciągu kilku minut wyślemy z Władywostoku samolot, który zabierze całą delegację z Tajpej do Rosji.

Prezydenci przytaknęli na znak zgody. Dla większości zgromadzonych wewnątrz sali kominkowej kremlowskiego pałacu słowa gospodarza brzmiały niczym rozkaz. Ostatecznie to Rosja była największym beneficjentem i najsilniejszym graczem Przymierza. Choć nie wszystkim podobał się taki układ.

– Zgadzam się – powiedział Antal Bokori, unosząc dłoń. Jego wzrok tylko na chwilę spotkał się ze spojrzeniem Żuławskiego. Węgierski prezydent przymknął oczy i skinął głową, Polak zrozumiał. Musiał uznać, że takie rozwiązanie jest lepsze niż żadne.

– Ktoś jest przeciw? – zapytał Władimir Putin. Żaden ze zgromadzonych w pokoju przywódców nie zaoponował. Rosjanin uśmiechnął się nieznacznie. – Przegłosowane, jeszcze dzisiaj powinniśmy wydać odpowiednie dyspozycje sztabowi w Kijowie. Radegast powinien znaleźć się na Tajwanie jak najszybciej.

Po chwili rozmowy wróciły na weselsze tory. Ponownie komentowano potknięcie oficera prowadzącego kompanię reprezentacyjną ukraińskiej armii. Zachwycono się debiutującym na defiladzie polskim Gepardem, a największe poruszenie wywołały głębokie dekolty dziewczyn, które od wczesnych godzin porannych ćwiczyły na scenie nieopodal trybuny honorowej współczesną aranzację legendarnej Katuszy. Nawet Henryk Żuławski zapomniał na chwilę, że o życiu jego rodaków decyduje kilka minut rozmowy.

Tajpej, Republika Chińska | 10 maja 2023, godzina 18:47

Wen Jiabao narzucił kaptur i wtopił się w tłum. Kilkusetosobowa manifestacja zakręcała na bulwar Ketagalan, rozlewając się na całej szerokości wielopasmowej arterii. Antyamerykańskie transparenty i nacjonalistyczne sztandary powiewały na silnym wieczornym wietrze. Co jakiś czas przez okrzyki przebijał się klakson zatrzymanego przez pochód samochodu. Policyjne motocykle niczym cerbery towarzyszyły tłumowi, odgradzając demonstrantów od licznych gapiów i przechodniów.

Chińczyk był pod wrażeniem zorganizowania i liczby pikietujących. Wystarczyło zaledwie kilka tysięcy dobrze ulokowanych dolarów, by zepchnięte do tej pory na margines życia politycznego skrajnie prawicowe ugrupowania wypełzły na powierzchnię. Fundusze działały cuda, w dłoniach krzykaczy pojawiły się megafony, kolorowe syreny, profesjonalnie drukowane transparenty i płonące amerykańskie flagi. Tłum szedł sprawnie, pilnowany przez własnych porządkowych w kamizelkach odblaskowych, spełniał wszelkie wymogi prawne. Wen Jiabao był z siebie dumny. Wiedział, że w innych miastach zorganizowano podobne pikietki i łącznie na Tajwanie na ulice wyszło kilka tysięcy niezadowolonych z podpisanej umowy ludzi. To była pierwsza tak dobrze skoordynowana akcja demonstracyjna. Wen Jiabao, podobnie jak kilkunastu jemu podobnych, liczył na efekt domina. Demonstracje były zaplanowane w kilkudniowych odstępach, według jego obliczeń za tydzień liczba pikietujących powinna powiększyć się dziesięciokrotnie. Szczególnie jeśli dojdzie do nieprzewidzianych wypadków.

Czoło demonstracji dotykało już ogrodzonego kordonem policji i barierki placu, który oddzielał kompleks prezydencki od rozemocjonowanego tłumu. Tutaj funkcjonariusze byli zdecydowanie bardziej stanowczy niż ich zmotoryzowani koledzy. Kompania opancerzonych i uzbrojonych w szerokie tarcze policjantów trwała w oczekiwaniu na dalszy rozwój wydarzeń. Kilka radiowozów blokowało wyloty ulic i kierowało ruch okrężną drogą. Wen Jiabao wiedział, że zbliża się punkt kulminacyjny. Wyciągnął z kieszeni telefon i wybrał wpisany wcześniej numer. Nie czekał, aż rozmówca odbierze połączenie. Chwilę później, wyklinając na dym z racy, zaczął przeciskać się ku fłance pikietki.

Poczuł, jak ukryty w kieszeni na piersi telefon zaczął miarowo drgać. Otworzył zatrask i wyluskał zużytego smartfona, którego kupił w drodze na dzisiejszą służbę. Numer znał na pamięć. Kiwnął głową i schował telefon do kieszeni, nie musiał odbierać. Rozejrzał się po kolegach, byli spięci, czuł to. Od dawna nie mieli przed sobą tak dużego tłumu: kilkanaście setek zdesperowanych, dobrze zorganizowanych młodych ludzi, którzy choć sprawiali wrażenie niegroźnych, w każdej chwili mogli wpaść w szal.

Poprawił nieco przekrzywiony hełm z pleksiglasową przyłbicą. Uniósł do ramienia wiszącą przez pierś strzelbę gładkolufową i zwolnił bezpiecznik. Głowa najwyżej dwudziestoletniego chłopaka w żółtym kasku budowlanym i kominiarce pojawiła się między przyrządami celowniczymi. Odległość do celu wynosiła najwyżej trzydzieści metrów, nie miał szans spudłować. Nie chciał zabić, gumowy pocisk wystrzelił z lufy i uderzył prosto w plastik kasku. Głowa chłopaka odskoczyła do tyłu, impet uderzenia powalił go w tłum. Na ułamek sekundy nad skrzyżowaniem zawisa kłująca w uszy cisza.

Wen Jiabao usłyszał wystrzał, zanim jeszcze wyrwał się poza największy ścisk. Chaos, jaki

ekspłodował chwilę później, zamienił plac i skrzyżowanie w istną hekatombę. Dzięki przekazany przez Jiabao dolarom demonstranci dobrze wiedzieli, co robić. Pierwszy kamień poleciał w stronę kordonu już kilkanaście sekund po tym, jak chłopak osunął się nieprzytomny na asfalt.

Chińczyk wydostał się z tłumu w ostatniej chwili. Fala paniki dotarła do miejsca, gdzie przed chwilą stał, kilkanaście sekund później. Jiabao cudem uniknął uderzenia grubym jak znak drogowy drzewcem nacjonalistycznego sztandaru. Kolejne kamienie dudniły o bruk i tarcze. Nerwy zaczynały puszczać również policji, kolejne białe chmurki dymu pojawiały się u wylotów luf. Tłum otrząsnął się z pierwszego szoku i napierał na barierki, chcąc przedrzeć się do kordonu. Ktoś biegł wzdłuż bulwaru i wrzucał do koszy na śmieci odpalone petardy. Detonacje raz po raz wprawiały kubły w drgania, płonące śmieci uniesione rozprężonym ciśnieniem fruwały w powietrzu. Doskonały chaos, pomyślał Jiabao, coraz bardziej oddalając się od zamieszek. Kiedy zniknął między drzewami przylegającego do bulwaru parku, słyszał brzęk upadających barierek. Tłum przedarł się przez ogrodzenia i starł z żywą ścianą.

Do mieszkania Wen Jiabao dotarł kilkadziesiąt minut później, kiedy bitwa pod pałacem prezydenckim dobiegała już końca. Chińczyk zamknął za sobą drzwi i usiadł na tapczanie. Otworzył laptopa, po czym wstukał w wyszukiwarkę adres serwisu informacyjnego. Tak jak się spodziewał, główną stroną zajmowało zdjęcie płonącego radiowozu. Jak głosił nagłówek, demonstranci starli się z funkcjonariuszami, w ruch poszły pałki, kamienie i koktajle Mołotowa. Jiabao kliknął ikonę oznaczoną jako wideo. Obraz buforował się przez kilka sekund, by ożyć wrzaskami i hukem tłuczonego szkła.

– Jesteśmy zaledwie sto metrów od schodów pałacu prezydenckiego. Jak państwo widzą... – prezenter przerwał, przebiegając między przepychającymi się samochodami – trwa tu regularna bitwa. Przynajmniej kilkudziesięciu demonstrantów przerwało policyjny kordon, podpaliło dwa policyjne radiowozy i dotkliwie pobiło przynajmniej dziesięciu funkcjonariuszy.

Wen Jiabao uśmiechnął się pod nosem. Film trwał dobrych kilkanaście minut, podczas których operator kamery uchwycił moment salwy gumowych kul, a przynajmniej kilkunastu najbardziej agresywnych demonstrantów skuliło się na asfalcie. Później potężny mężczyzna w kominiarce dosłownie zmiotł uderzeniem kija bejsbolowego jednego z odzianych w pancerz funkcjonariuszy. Nagranie kończyło się szeregiem aresztowań i szarpanin, w tle grzmiały syrenami karetki.

– Aresztowano osiem osób, ponad dwadzieścia zostało rannych i jest właśnie przewożonych do szpitali – kontynuował reporter. – Po raz pierwszy społeczeństwo tak gwałtownie zareagowało na podpisanie umowy z rządem Stanów Zjednoczonych. Choć bez wątplenia należy potępić ten akt agresji, z drugiej strony nasuwa się pytanie, czy tak spektakularnie fetowany kontrakt nie stanie się dla rządu początkiem znacznie większych kłopotów.

Wen Jiabao wyłączył wideo i przejrzał jeszcze kilka podobnych nagrań. Wyglądało na to, że mimo aresztowań zdecydowanie większa liczba internautów opowiedziała się po stronie zaatakowanej demonstracji. Chińska agentura postarała się, żeby pierwszy strzał był doskonale udokumentowany. Pikieta okazała się wielkim sukcesem, tym większym, że na głównej stronie portalu właśnie pojawiła się informacja o zamieszkach w innych częściach wyspy.

Wiadomości TVN24 | 11 maja 2023, godzina 12:18

Lampka ON AIR zapaliła się kilka minut po rozpoczęciu bloku reklamowego. Ludmiła Gajda przejrzała w tym czasie najnowsze doniesienia z frontu koreańskiego. Wbudowany w blat stołu ekran jarzył się z kolei linijkami tekstu dotyczącego coraz ostrzejszych demonstracji na Tajwanie. Dziennikarka skinęła głową na realizatora.

– Witam po przerwie – powiedziała. – Zaczynamy od najnowszych wieści z frontu walk w Korei Południowej. Wojska reżimu w Pjongjangu nieustannie prą na południe. Jak donoszą źródła w Ministerstwie Obrony Korei Południowej, artyleria przeciwnika nieustannie ostrzeliwuje Seul oraz inne miasta, które znajdują się w jej zasięgu. Południowokoreańskie wojska próbują powstrzymać wroga do czasu stworzenia jednolitej linii obrony. Według najnowszych doniesień największe postępy Północna Korea uzyskała na kierunku seulskim. Oddziały północnokoreańskie mają znajdować się już niespełna dwadzieścia kilometrów od miasta. Rząd jest jednak przekonany, że miasto jest przygotowane do obrony, i wciąż trwa przerzut wojska w celu wzmocnienia garnizonu. Siły powietrzne Korei Południowej wraz z samolotami amerykańskiej Siódmej Floty rozpoczęły również kampanię intensywnych bombardowań obiektów jądrowych oraz celów o znaczeniu strategicznym na terenie Korei Północnej. Już po pierwszych nalotach pojawiło się w mediach oświadczenie północnokoreańskiego przywódcy Kim Dzong Una, w którym padają żądania natychmiastowego zaprzestania bombardowań i umożliwienia połączenia się obu Korei pod sztandarem Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej.

Gajda wiedziała, że realizator przełączył obraz. Zasiadający przed telewizorami widzowie mogli podziwiać teraz gejzery wyrzucanych w powietrze resztek budynków. Północnokoreańska artyleria waliła salwą za salwą, zmiatając z powierzchni ziemi całe kwartały. Nieoficjalnie mówiło się, że od rozpoczęcia wojny na południe od strefy zdemilitaryzowanej śmierć poniosło już pięć tysięcy osób.

Migawki przeniosły się teraz na pokład amerykańskiego lotniskowca USS „Ronald Reagan”, z którego jeden za drugim startowały F-35C. Ultranowoczesne maszyny dowiodły już swojej skuteczności na perskim i azerskim niebie. Korea Północna nie była dla nich żadnym wyzwaniem. Samoloty pokładowe wykonywały po kilka nalotów dziennie i do tej pory Amerykanie nie zanotowali żadnych strat.

Realizator wskazał na Gajdę i zaczął odliczać czas do wejścia na antenę. Zielony napis ponownie rozjarzył się przed oczami Ludmiły.

– Przenosimy się teraz na Tajwan, gdzie od kilku dni trwają demonstracje przeciwko podpisaniu umowy z Amerykanami. Rząd w Tajpej jest zdziwiony i poruszony tą falą sprzeciwu. Jednocześnie Tajwańczycy zapewniają, że kontrakt ma na celu radykalną redukcję kosztów produkcji energii oraz będzie bodźcem rozwojowym w skali regionalnej, jak i globalnej. Rzecznik tajwańskiego MSW poinformował również, że jeśli w nadchodzących dniach dojdzie do zamieszek porównywalnych z tymi z wczoraj, będzie zmuszony wprowadzić na terenie całej wyspy stan wyjątkowy. Dla przypomnienia, podczas kilkunastu wystąpień w największych miastach Tajwanu doszło do starć z policją. Aresztowanych zostało ponad dwadzieścia osób, a pięćdziesiąt zostało rannych. Młodzi Tajwańczycy sprzeciwiają się w ten sposób decyzji rządu o podpisaniu umowy, która ich zdaniem oddaje za bezcen dekady prac nad technologią zimnej fuzji.

Wydanie zakończyło się kilka minut później. Ludmiła pozbiierała zadrukowane kartki, rozpuściła włosy i wyszła ze studia. Ból głowy dokuczał jej od samego rana, ale dopiero teraz znalazła chwilę, by przejść do kuchni i popić tabletkę wodą. Zaskoczona zobaczyła na korytarzu Jakuba rozmawiającego z jedną z jej koleżanek. Nigdy nie odwiedzał jej w pracy, sama tego nie chciała.

- Jakub? – zapytała, podchodząc.
- Ludmiła, cześć. Masz chwilę?
- Co się stało? – Widziała, że to nie jest zwykła niespodzianka.
- Siądźmy gdzieś na chwilę, musimy porozmawiać.

Kuchnia była niemal pełna. Pora lunchu obowiązywała w każdej korporacji w tych samych godzinach. Tuż po dwunastej do designerskich pomieszczeń wtaczały się tabuny pracowników, którzy ścierali się następnie w bojach o dostęp do jednej z dwóch mikrofalówek.

Usiedli przy wolnym stoliku.

– Ludmiła... – zaczął najłagodniej, jak potrafił.

– Na długo? – zapytała, wchodząc mu w słowo.

– Nie wiem. Kilka dni, może dłużej – odparł z gorzkim uśmiechem. Znała go dobrze, nie musiał mówić. Wystarczyły sekundy, by odgadła, jak wiele będzie go kosztować ta rozmowa. Pierwszy raz, od kiedy razem zamieszkali, miał wyjechać na misję bojową.

– Gdzie? Korea? – Delikatne dłonie zadrżały. Nie uрониła łzy, była twarda, Kaukaz ją zahartował.

– Tajwan. Mamy ewakuować naszych dyplomatów. Łatwa robota. Jak zdecydują się działać, wystarczy jeden dzień. – Grał niewzruszonego. Wiedział, jak zaboli ją ta pierwsza rozłąka. To nie było szkolenie. Choć nie jechał na wojnę, Tajwan był istną beczką prochu.

– Ja pierdolę... – skwitowała.

– Zgadzam się.

– Kiedy wylatujesz? – zapytała.

– Dzisiaj. Właśnie jadę do mieszkania wziąć kilka rzeczy. To tylko kilka dni, bez strachu, dobrze? – zapytał, kładąc swoją chropowatą dłoń na jej ręce. – Bez strachu.

– Bez strachu... – powtórzyła.

Siedzieli tak jeszcze kilka minut. Ból głowy zniknął, ale Ludmiła nie wiedziała, czy to dzięki kojącym właściwościom tabletki. Chciała wierzyć, że tak, że to wcale nie przerażenie na myśl o wyjeździe Jakuba zamaskowało bolesne pulsowanie. Wyszli na korytarz, Jastrzębski objął ją i przycisnął do piersi. Dopiero teraz poczuł, jak drży, i usłyszał cichy szloch. Nie popędział jej, dał czas, nie potrzebowała go dużo, była dzielna.

– Powodzenia, Kuba... – powiedziała, wycierając rozmazany tusz. – Za chwilę wchodzę na antenę, a widzisz, muszę się nieco poprawić.

– Jasne, Ludka – odpowiedział z uśmiechem. – Zadzwoń z lotniska.

– Zadzwoń. Będę czekała na sygnał, że bezpiecznie dotarliście na Tajwan.

– Dam znać, nie martw się. Kocham cię.

– Wiem – odparła z uśmiechem i odwróciła się na pięcie.

Odprowadził ją wzrokiem do załomu korytarza. Chwilę później sam wyszedł na wiosenne powietrze. Miał nadzieję, że pożegnanie nie będzie dla niego aż tak ciężkie. Nie mogło być trudniejsze niż pociągnięcie za spust. To tylko kilka dni, przecież ani się nie obejrzy, a zapuka do drzwi.

Rzucił papierosy dobrych kilka lat temu. Jak tylko wyszedł na ulicę, ruszył ku najbliższemu kioskowi.

Pałac prezydencki, Tajpej, Republika Chińska | 11 maja 2023, godzina 14:03

Prezydent Cziang nie odzywał się ani słowem. Siedział za swoim hebanowym biurkiem i obracał w dłoniach filiżankę z cienkiej jak papirus porcelany. Była pusta i zimna, herbata zostawiła na nieskazitelnej bieli brązowe zacieki. Zgodził się na telekonferencję z ministrem spraw zagranicznych, szefem resortu obrony oraz zwierzchnikiem wywiadu tylko i wyłącznie z powodu absencji tego ostatniego w Tajpej. Cziang nie uznawał prymatu technologii w ludzkim życiu, nie bał się jej, wręcz przeciwnie. Uważał, że bez postępu rodzaj ludzki stałby się gatunkiem z góry skazanym na wymarcie. Zachował jednak zdrowy rozsądek, tak bardzo potrzebny w dzisiejszych czasach. Spotkania twarzą w twarz były jednym z jego świętych rytuałów, często nie podejmował nawet z pozoru błahych decyzji bez osobistych konsultacji. Tłumaczył to chęcią uniknięcia sytuacji, której towarzyszyłby brak emocji i poczucia odpowiedzialności za podejmowane decyzje.

Tym razem technologia okazała się zbawienna. Prezydent trzymał kościstą dłoń na klatce piersiowej. Serce omal nie wyrwało mu się z piersi i łomotało niczym młot pneumatyczny. Nie wierzył.

– Jest aż tak źle? – zapytał. Przez krótką chwilę głośniki wydawały z siebie tylko jednostajny, ledwie słyszalny szum.

– Nie notowaliśmy takiej aktywności od przynajmniej kilkunastu lat – odpowiedział minister obrony. Kuang Chi ostrzegał przed tym od dłuższego czasu, lecz nieprzeciętna nonszalancja chińskich pilotów początkowo była brana tylko i wyłącznie za próbę projekcji siły. Do czasu. – Odnotowaliśmy koncentrację ponad trzydziestu okrętów desantowych, jednorazowo są w stanie przetrzucić na brzeg do piętnastu tysięcy ludzi.

– Panowie poważnie rozważają możliwość chińskiej inwazji na wyspę? – zapytał ponownie Cziang. Wizja tysięcy zaprawionych w bojach żołnierzy lądujących na ciemnych tajwańskich plażach wywoływała na plecach mroźny dreszcz.

– Panie prezydencie... – kontynuował Kuang Chi – na poligonach wzdłuż chińskiego wybrzeża ćwiczy ponad sto tysięcy ludzi i setki pojazdów. Wywiad CIA potwierdza, że wciąż trwa przerzut kolejnych oddziałów na wschód. Amerykanów niepokoją również demonstracje...

– Nie tylko ich – odpowiedział prezydent. – Nie spodziewaliśmy się takich rozruchów. To już kilkanaście tysięcy ludzi na całej wyspie. Sondáže poprzedzające podpisanie umowy nawet nie wspominały o radykalnym sprzeciwie ze strony społeczeństwa. Nasze siły porządkowe nie są przygotowane na codzienne batalie z demonstrantami. Jak im się udało tak dobrze przygotować?

Pytanie zawisło w powietrzu. Pierwsze wystąpienia miały miejsce ledwie kilka dni wcześniej. Nikt nie traktował ich poważnie. Kilkadziesiąt, a potem nieco ponad setka demonstrujących osób wykrzykujących antyamerykańskie hasła była traktowana jako lokalna atrakcja podczas powrotu z pracy. Kiedy pikiety zaczęły pojawiać się w kolejnych miastach, a przed pałacem prezydenckim w Tajpej doszło do regularnej bitwy, władze zrozumiały, że mierzą się z doskonale zorganizowaną operacją.

– Nie jesteśmy w stanie jednoznacznie tego stwierdzić, ale mamy pewne podejrzenia... – odezwał się Czen Bian, szef Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, najpotężniejszej tajwańskiej agencji wywiadowczej. Jego głos był spokojny, zdania wypowiadał powoli, analizując każde słowo. – Wysoki stopień zorganizowania, logistyka, dowodzenie, bo trzeba tu mówić o dowodzeniu, noszą znamiona ingerencji sił trzecich.

– Co ma pan na myśli? – zapytał Cziang.

– Wysoce prawdopodobne jest, że demonstracje mogą być inspirowane przez prywatny sektor gospodarczy kontynentalnych Chin. Jeśli mówimy tu o prywatnym sektorze, doskonale wiemy, jak głęboko jest kontrolowany przez organa rządowe. Innymi słowy, jeżeli nasze przypuszczenia się potwierdzą, będziemy mogli jednoznacznie stwierdzić, że zamieszki są inspirowane przez rząd Chińskiej Republiki Ludowej.

– Sabotują nas? To chce pan powiedzieć? – Prezydent nachylił się nad mikrofonem.

– Tak, panie prezydencie. To oczywiście nie są potwierdzone informacje, mają jednak charakter jednej z najbardziej prawdopodobnych wersji wydarzeń – odparł Czen Bian.

– Co możemy zrobić? – zapytał Cziang.

– Przede wszystkim prowadzić dalsze analizy i rozpocząć zakrojoną na szeroką skalę operację przeciwdziałania chińskiej agenturze na naszym terytorium – powiedział szef Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. – Każdy nasz krok wymierzony przeciwko Pekinowi będzie odbierany jako prowokacja. Chyba że będziemy mieć w rękach dowody. Wówczas dojdzie do typowej wojny wywiadów, poza mediami i wieczornym wydaniem wiadomości.

– Mamy na to czas? – Prezydent przerażony wizją chińskiej inwazji nie stawiał szpiegowskich gier na czele stawki. – Nie powinniśmy ogłosić mobilizacji? Przygotować się do odparcia przeciwnika? Szukać pomocy w Ameryce?

Prezydent Cziang pamiętał, jak niechętnie Amerykanie zgodzili się na zapis o ścisłej współpracy wojskowej. Doskonale wiedzieli, że już samo to sformułowanie obrodzi notami protestacyjnymi, ochłodzeniem stosunków i w najlepszym przypadku drobnymi polityczno-militarnymi incydentami na Pacyfiku. Dla Republiki Chińskiej ten zapis był niczym zbawienie. Tajwan mógł rozpocząć zakrojone na szeroką skalę rozmowy o modernizacji armii, zakupie nowoczesnego sprzętu i udziale amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego w tworzeniu systemu bezpieczeństwa tego wyspiarskiego kraju. Teraz prezydent Cziang widział w tym krótkim zapisie szansę na ocalenie suwerenności. Dobrze wiedział, że siły zbrojne, którymi dysponował Tajwan, nie miały najmniejszych szans na powstrzymanie inwazji. Mogli kąsać, drażnić, zadawać straty, ale zwycięstwo było czymś nieosiągalnym.

– Dokładnie tak, panie prezydencie, musimy polegać na sojusznikach. Powinniśmy jak najszybciej skontaktować się z Amerykanami. Mają na wyspie dwa swoje okręty, będą musieli ich bronić – skomentował Kuang Chi.

– Albo dowiemy się, że je wycofują – mruknął szef wywiadu. – Amerykanie nie będą chcieli zadzierać z Chińczykami. Nie dadzą się wplątać w kolejny otwarty konflikt na Pacyfiku. Przypominam, że cała ich uwaga jest skierowana na Koreę, tam są ich samoloty i piechoty morska. Chińczycy dobrze wiedzieli, kiedy zacząć.

– Tym bardziej powinniśmy teraz skupić się na obronie kraju. Konsultowałem się już w tej sprawie ze sztabem, generałowie są zgodni, należy rozpocząć procedurę przygotowawczą. Chińczycy mają nieco ponad sto kilometrów do przebycia, będziemy mieć minuty na reakcję. Nie możemy zwlekać – przekonywał minister obrony. Choć nie widział prezydenta, ten przytakiwał mu, kiwając głową nad mikrofonem telefonu.

– Zgadzam się z ministrem Chi. Jeśli inwazja jest tak prawdopodobna, musimy być gotowi na uderzenie. Ogłosić cichy alarm we wszystkich jednostkach, niech trzymają najwyższą gotowość bojową – perorował Cziang. – Rozpocząć rozmieszczanie naszych F-35 na zapasowych lądowiskach. Nasza marynarka wojenna powinna być gotowa w każdej chwili wyjść w morze. Ta wyspa ma się stać twierdzą dla nas i grobem dla najeźdźcy.

– Pozostaje jeszcze kwestia demonstracji. Pod pałacem pikietuje kilkanaście tysięcy osób, cały czas dołączają kolejne grupki. Sytuacja jest niespokojna, w każdej chwili może dojść do kolejnych walk – do rozmowy włączył się minister spraw wewnętrznych.

– Możemy użyć żandarmerii, wesprą policję w działaniach prewencyjnych...

– Panie prezydencie, to nie jest stan wyjątkowy... Nie możemy ot tak wyprowadzić wojska na ulicę. Musimy uchwalić... – kontynuował szef MSW.

– Jeśli policja nie zmusi demonstrantów do rozwiązania zgromadzeń, będziemy musieli wprowadzić stan wyjątkowy. Czasy są niespokojne, u naszych granic czyha potężna bestia, gotowa w każdej chwili rzucić się nam do gardeł. Nie mamy już czasu na półśrodki – odparł Cziang.

– Popieram – rzucił minister Kuang Chi.

– Przekażcie te ustalenia komendzie głównej. Mają przekonać ludzi do pójścia do domów, w przeciwnym razie będziemy musieli użyć siły. Niech wiedzą, że to dla ich dobra. – Cziang zachował zimną krew, choć dobrze wiedział, że próbuje przekonać również samego siebie. Bał się i był świadom, że jego działania mogą doprowadzić do tragicznych w skutkach konsekwencji.

– To szybko może obrócić się przeciwko nam. Przemoc to broń obosieczna, zaczniemy pacyfikować tłumy, radiowozy zapłoną, a szpitale zapełnią się rannymi – dodał Czen Bian.

– Nie mamy innego wyjścia – odrzekł prezydent. – Jeszcze dzisiaj gabinet premiera skontaktuje się z Amerykanami w celu przypomnienia o protokole dołączonym do umowy o zimnej fuzji.

– Nie będą umierać za Tajwan – powiedział szef wywiadu.

– Ale za energetyczną dominację będą ginąć tysiącami – skwitował Cziang.

Kwatera główna CIA, Langley, USA | 12 maja 2023, godzina 08:37

Kawa była okropna. Ryan Sinclair czuł między zębami każde źle zmielone ziarenko. Nie miał jednak czasu na kolejną wizytę przy ekspresie i w głębi duszy liczył na to, że John Brennan okaże choć odrobinę gościnności i zaproponuje filiżankę wybornej arabiki.

Telefon od zwierzchnika nie zdziwił go. Brennan wezwał swojego podkomendnego na spotkanie już poprzedniego dnia. Miewał też zwyczaj przypominania zaproszonym o spotkaniu kwadrans przed umówioną godziną. Podnosiło to poziom adrenaliny u podwładnego i nadawało nawet zwykłemu briefingowi podniosły charakter.

Ryan Sinclair spojrzął na zegarek i skrzył w korytarz. Był tuż przed czasem. Postawił papierowy kubek na niewielkim stoliku i uniósł zaciśniętą dłoń ku górze. Strażnik oraz sekretarz stojący za szerokim kontuarem przyzwalająco skinęli głowami. Sinclair odpowiedział uśmiechem i zapukał.

– Wejść – usłyszał z drugiej strony. Zielona dioda na potężnym zamku zamigotała, klamka poddała się ciężarowi. – Witaj, Ryan. Siadaj.

– Dzień dobry, John – odpowiedział wywiadowca, po czym rozpiął guzik marynarki w klasycznym kolorze navy blue i usiadł w miękkim fotelu.

– Może kawy? – zaproponował szef CIA. – Jak każdego poranka wyselekcjonowane, najprzedniejszego sortu ziarna. Zmielone na gładko, czarna rozkosz.

– Z przyjemnością, John – odparł Sinclair, przełykając ślinę. – Mam ten raport, o który prosileś, chciałbym...

– Spokojnie, Ryan. Te same dane otrzymałem pocztą, poczytam sobie, jak już pójdziesz. Dobrze wiesz, że zawsze wolałem rozmowę. Papier kłamie, jest neutralny, możesz ubrać w piękne słowa najgorsze gówno i sprzedawać jak świeże bułeczki.

– Cóż, znamy się nie od dziś...

– A jeszcze dłużej siedzimy w tej branży – skwitował Brennan.

Krótkie milczenie przerwał gospodarz gabinetu, wzywając przez interkom sekretarza, który już kilka chwil później pojawił się z dwiema filiżankami aromatycznego naparu. Gabinet utonął w ciszy. Dopiero po dobrych kilku minutach John Brennan oderwał wzrok od czerni napoju i przeniósł ostre spojrzenie na swojego gościa.

– Prezydent wpadł na pomysł dostarczenia na Tajwan naszych ludzi. Nie CIA, chce wzmocnić tamtejsze siły naszymi specjalsami lub nawet regularnymi oddziałami piechoty morskiej – powiedział.

– Jeśli dobrze pamiętam, sekretarz stanu oraz szef Kolegium starają się odwieść prezydenta od tego zamiaru – odparł Sinclair.

– Zgadza się, próbują. – Brennan pokiwał głową i upił kolejny łyk kawy. – Cieszę się, że prezydent Armitage jest tak wojowniczy, ale obawiam się, że kiedyś może przesadzić. Już i tak zbyt intensywnie zajął się Koreą Północną.

– Słyszałem o raportach, nasi piloci mają tam prawdziwy poligon. – Sinclair zdobył się na porozumiewawczy uśmiech.

– Straciliśmy jednego Super Horneta, drugi został uszkodzony. Wykonaliśmy już ponad setkę nalotów, każdy przynajmniej po cztery maszyny. To rzeź. Koreańczycy z Północy nie mają już czym latać, wszystkie ośrodki, które Un wykorzystywał do produkcji broni jądrowej, leżą w gruzach. Stanowiska artylerii kopcą w niebo słupami dymu. – Brennan mówił coraz szybciej, brutalność i tempo nalotów nawet na nim

zrobiły wrażenie. Bombardowania w Syrii, Iraku lub Iranie to była zupełnie inna historia. Persowie posiadali obronę powietrzną, o jakiej Korea Północna mogła tylko marzyć, kilkadziesiąt wraków amerykańskich samolotów i śmigłowców po dziś dzień czerniało w palącym słońcu. Kraj Kim Dzong Una nie miał takich możliwości i płacił za agresję najwyższą cenę. – Dzisiaj nasze samoloty zapuściły się nad Pjongjang, zniszczyliśmy jeden z miejskich garnizonów. Przenosimy wojnę daleko na ich terytorium.

– Podobno na lądzie nie jest tak kolorowo. Koreańczycy z Południa jeszcze nigdzie nie zatrzymali uderzenia – odparł Sinclair. – Mogą zamknąć Seul w okrążeniu.

– Nie ma szans. Miasto otrzymało silne wsparcie, ściągnęli do stolicy kilka dodatkowych brygad. To twierdza. – Szef CIA machnął ręką, nie wierzył, by wojska Północy były w stanie okrążyć stolicę i rozpocząć oblężenie Seulu. – Owszem, weszli w nich jak w masło, mają na południe od granicy niemal dwieście tysięcy swoich ludzi, ale to za mało, żeby rzucić Seul na kolana.

– Nasi weszli już do walki na lądzie?

– Tak, kilka godzin temu doszło do pierwszej poważnej potyczki. Jeden z naszych batalionów piechoty starł się z Koreańczykami kilka kilometrów na północ od Paju. – Brennan powiedział to jakby od niechcenia. Lądowa kampania przeciwko wojskom Kim Dzong Una nie była tak bezproblemowa jak walki powietrzne. Tutaj przytłaczająca przewaga liczebna wroga wywoływała panikę. Do tej pory opinia publiczna nie wiedziała, jak zakończyła się pierwsza bitwa Amerykanów na koreańskim lądzie.

– Wycofaliśmy się? – zapytał Sinclair. Grymas, jaki pojawił się na twarzy szefa CIA, wystarczył za odpowiedź.

– Straciliśmy ponad dwudziestu ludzi, kilkunastu leży w szpitalach. Ponoć ci z Północy nie przerwali natarcia mimo ostrzału artyleryjskiego i ataków z powietrza. Stracili dwie setki ludzi, ale zdobyli tę pieprzoną dziurę. Nasi musieli się wycofać, wyobrażasz sobie?

– Co na to prezydent?

– Słyszałem jego komentarz. W wymowie bardzo podobny do przemówień pewnego niemieckiego wodza z poprzedniego wieku...

Ryan Sinclair uśmiechnął się półgębkiem. Albert Armitage znacznie różnił się od poprzednich amerykańskich przywódców. Aparycją mógł konkurować o tytuł najbardziej męskiego z przedstawicieli gatunku. Usposobieniem i charakterem dorównywał samemu diabłu. Republikanin z krwi i kości, obrońca podstawowych amerykańskich wartości i swobód. Jednocześnie rasowy hazardzista, który nie wahał się rzucić przeciwko Koreańczykom własnych wojsk, podczas gdy nieco bardziej na południe szykowała się kolejna draka.

– No dobrze, Ryan. Mów, co jest w tym raporcie – powiedział Brennan i odsunął pustą filiżankę.

– Jesteśmy już w stu procentach pewni, że antyamerykańskie demonstracje w największych miastach Tajwanu to nie byle jakie zbiegowiska. Nawet najbardziej twórczy i dobrze zorganizowani opozycjoniści nie mieliby funduszy i możliwości, żeby uruchomić całą machinę – stwierdził Sinclair. – Wszystkie nasze podejrzenia wskazują, że za całym przedstawieniem stoją Chińczycy. Zarówno tajwańskie, jak i nasze agentury meldują o wysokiej aktywności chińskiego wywiadu w regionie.

– Wszyscy tam są teraz aktywni, Ryan. Każdy dostrzega szansę na kawałek tortu... – odpowiedział Brennan lekko znudzonym głosem. – Poza tym Chińczyków podejrzewaliśmy już jakiś czas temu. To właśnie im najbardziej zależy na anulowaniu umowy.

– Obawiamy się jeszcze jednego, John... – powiedział Sinclair niepewnym głosem.

– Rozmawialiśmy już o tym, Ryan. Prezydent nie chce o tym słyszeć, wierzy, że jeśli na Tajwanie są nasze okręty, wyspa jest nietykalna. Swoją drogą, coraz częściej myślę, że moje czarnowidztwo jest nieco na wyrost. Chińczycy dobrze wiedzą, ile może ich to kosztować.

– Ale wiedzą też, ile mogą zyskać – odparł Sinclair. – Najnowsze dane wskazują na to, że może dojść do aktów sabotażu na Tajwanie. Jeśli Chińczykom uda się wprowadzić na wyspie chaos, może być już za późno.

Potężna klatka piersiowa szefa CIA unosiła się w rytm wciągane powietrza. Sinclair, kilku wysokich rangą wojskowych i doradców wielokrotnie forsowało scenariusz chińskiej inwazji na Tajwan. Albert Armitage nie przykładał do tych opinii większej wagi, szczerze wierzył, że obecność amerykańskich okrętów na redzie, jawne wsparcie CIA i polityczny protektorat usadzą jajogłowych w Pekinie na miejscach. Takiemu postępowaniu nie można było odmówić logiki, Amerykanie stosowali je od dziesięcioleci. Bywały chwile, kiedy nawet bezkompromisowi Rosjanie musieli ustąpić pola gwiazdistemu szandarowi. Nikt do tej pory nie odważył się przekroczyć dawno wytyczonych granic. Sinclair był przekonany, że Chińczycy nauczeni porażką w wojnie z Przymierzem spróbują ponownie. Cel i moment wybrali idealnie.

– Jak chcesz to powiedzieć prezydentowi? – zapytał Brennan.

– Najlepiej wprost. Chińczycy wyprowadzili w morze dwa duże zgrupowania, każde z nich jest w stanie samodzielnie słać tajwańską flotę. Drugie w tym czasie może stworzyć kordon, który skutecznie odseparuje nas od wyspy.

– Hola, hola, Ryan. – Brennan powstrzymał podwładnego gestem dłoni. – Takie analizy zostaw Pentagonowi. Powiedz mi lepiej, przyjacielu, czym chcesz przekonać prezydenta do odstąpienia od nalotów na Koreę Północną i przerwania sił na kierunek tajwański.

– Nie mam zamiaru sugerować prezydentowi przerwania wszystkich samolotów. Poza tymi, które stacjonują na „Reaganie”, mamy też myśliwce na wyspach macierzystych – zaczął Sinclair. – Mamy gotowy Task Force, który tak czy siak został zmontowany do operowania na kierunku tajwańskim. Możemy kilka okrętów wraz z, powiedzmy, eskadrą F-35 przerzucić na Okinawę. To bardzo blisko Tajwanu, a daje nam znacznie większe pole manewru w bezpośredniej bliskości chińskiej floty.

– Przypominam, że na samym Tajwanie mamy dwa nasze okręty, obecność kolejnych może tylko zaostrzyć sytuację – zauważył Brennan.

– Moim skromnym zdaniem powinniśmy je ewakuować. Jeśli mam rację, a daj mi Panie Boże w niebiesiech, bym się mylił, Chińczycy nie będą patrzeć na bandery – odparł Sinclair.

– Założmy, że jest to wykonalne, przerzucamy część naszego nowego zgrupowania bojowego i kilkanaście samolotów na Okinawę. Cała operacja potrwa zapewne kilka dni, nawet jeśli prezydent wydałby rozkaz teraz – powiedział Brennan, zataczając dłonią łuk. – Ale niech będzie. Czym przekonamy prezydenta? Zamieszki nie zrobiły na nim większego wrażenia, naruszanie przestrzeni powietrznej Tajwanu przez chińskie samoloty również, nerwowe meldunki z naszych okrętów też nie przyniosły rezultatu. Obawiam się, że podejrzenia co do sabotażu na wyspie mogą okazać się niewystarczające... – zakpił Brennan, wykrzywiając usta.

– Możemy wykorzystać ogromną ambicję naszego ukochanego przywódcy – odpowiedział Sinclair z pokerowym wyrazem twarzy.

– To znaczy?

– Przymierze wysłało na Tajwan siły specjalne. Będą zapewne ewakuować swoich dyplomatów. Dobrze wiedzą, do czego mogą być zdolni Chińczycy, już to przerabiali.

– Radegast jest na Tajwanie? – Brennan zmarszczył brwi.

– Powinni właśnie lądować. Oni działają, John. Nie chciałbym, żebyśmy zostali w tyle. Jeśli Chińczycy zdecydują się zaatakować Tajwan, odsiecz naszej floty i lotnictwa dotrze na paradę zwycięstwa.

John Brennan zasepił się. Wydał usta i zabębnił palcami o lakierowany blat biurka. Przymierze było solą w oku amerykańskiego prezydenta. Przerzucanie do Europy nowych sił, przedłużenie dzierżaw niemieckich baz powietrznych i negocjacje z krajami Europy Zachodniej w sprawie zacieśnienia współpracy w ramach NATO nie wróżyły niczego dobrego.

Armitage marzył o tym, by utrzyć nosa rywalom lub przynajmniej patrzeć im na ręce nawet wówczas, gdy udawali się za potrzebą. Argument w postaci międzynarodowej jednostki specjalnej, która

rozpocząła operację na wyspie, mógł trafić do prezydenta. Nawet jeśli Radegast nie zagrażał bezpośrednio amerykańsko-tajwańskiej umowie, oznaczał zaangażowanie Przymierza. Tego Armitage nie odpuści.

– Pójdę z tym do prezydenta – powiedział szef CIA, po czym umilkł na chwilę. Zastanawiał się kilka sekund. – Pójdiesz ze mną, to twój raport. Przynajmniej nie tylko ja zbiorę cięgi.

Lotnisko Songszan, Tajpej, Republika Chińska | 12 maja 2023, godzina 08:51

Transportowiec przyziemił jak rzucona z pierwszego piętra beczka. Gdyby nie mocno zaciśnięte zęby, Jastrzębski z pewnością odgryzłby sobie język. Rosjanie uczulali go na załogę samolotu. Lądował już na przeróżnych pasach startowych, w tym na ubitej szutrem afrykańskiej ziemi. Owszem, najadł się wówczas strachu, ale gruchnięcie o pomarańczowy piach było niczym w porównaniu z lądowaniem na tajwańskim lotnisku.

– Mój Boże, kto to pilotuje? – zapytał na otwartym kanale.

– Major Kuriakin. On tak zawsze... – Bołkoński machnął ręką. Rosjanin siedział po drugiej stronie kabiny transportowej.

– Mało sobie języka nie odgryzłem!

– Oj tam, oj tam... – fuknął Bołkoński.

– Panowie, przygotować się do wyjścia. Pojazdy powinny już na nas czekać – powiedział Preiss, kończąc rodzące się na ogólnym kanale dyskusje. Dopóki byli w powietrzu, mogli rozprawiać choćby o cycuszkach córki prezydenta. Na ziemi sprawy miały się zupełnie inaczej.

Potężny Ił-76MD-90A zwolnił ciąg, bucząc potężnymi silnikami. Maszyna kołowała z pasa na płytę postojową. Jastrzębski obrócił się na wąskim siedzisku i spojrzał w owalne okno. Nad Tajpej unosiła się zbita warstwa ołowianych chmur, odległe iglice wieżowców ginęły w pierzastych obłokach.

Pojazdy rzeczywiście stały już nieopodal jednego z terminali. Ił wykonał ostatni zakręt, po czym zatrzymał się. Załoga samolotu przeszła przez komorę ładunkową, specjaliści kolejno odpinali pasy i prostowali wymęczone kilkugodzinnym lotem kości. Rampa drgnęła, wpuszczając do ciemnego wnętrza promienie światła. Jastrzębski, ubrany w mundur polowy, poczuł na ciele podmuch ciepłego, dusznego wiatru. Zaklął pod nosem. Nienawidził takiej pogody, nie było ani parno, ani sucho. Przeczesał dłonią krótko ostrzyżone włosy i założył czapkę.

Rampa opadła na asfalt z głośnym łoskotem. Jastrzębski po kilku latach służby w Radegaście przyzwyczał się już do tego, że kiedy lecą rosyjskim samolotem, musi on być najcięższy i najgłośniejszy. Kiedy ćwiczą na rosyjskim poligonie, to z jednego końca na drugi jest daleko jak z Zakopanego do Sopotu.

Wychodzili na płytę gęsiego, w dwóch rzędach. Dowództwo na zamku w Bobolicach zdecydowało o wysłaniu na Tajwan dwóch zespołów.

Preiss wysforował się do przodu, gdzie czekało kilku mężczyzn w ciemnych, idealnie skrojonych garniturach. Dwóch wysokich agentów stało nieruchomo niczym greckie posągi. Raz na jakiś czas mocniejszy podmuch wiatru mierzwił starannie ułożone włosy. Trzeci z mężczyzn, niski i korpulentny, nie musiał udawać ważniejszego, niż jest. Szef misji handlowo-dyplomatycznej Radosław Bielecki wyszedł na spotkanie Preissa. Komandos przewyższał dyplomatę o głowę, ale w szerokości ramion to polityk był górą. Aż klasnęło, kiedy chwycił wyciągniętą na powitanie prawicę kapitana.

– Witamy na Tajwanie, kapitanie Preiss – powiedział z miętym akcentem. Radosław Bielecki był rodowitym lublinianinem i choć znaczną część politycznej kariery spędził w Warszawie, nie udało mu się całkowicie wyzbyć kresowych naleciałości. Kiedy zawodowe drogi Bieleckiego i Żuławskiego się rozeszły, nie szukał protektoratu. Przez lata skakał od placówki do placówki i wyrabiał sobie markę. Objęcie misji na Tajwanie uznał za osobisty sukces.

– Dziękuję! – odparł Preiss, przekrzykując wiatr i gasnące turbiny ła.

– Bardzo rzucało? – zapytał dyplomata. – Tutaj każde lądowanie to jak walka o życie. Wieje jak jasna cholera!

– Bywało gorzej – odparł Preiss z uśmiechem. – Ale widoki macie tu niezłe.

– Ano, wyspa piękna. Prosto z gór można zjechać do oceanu. Choć teraz... nie radzę podróżować po wyspie. – Bielecki stanął w miejscu i wskazał nieodległe dachy miejskiej zabudowy. – Wszędzie kontrole, policja na każdym skrzyżowaniu. Jeszcze te zamieszki i chińskie manewry. Jakby tylko czekali, aż komuś puszcza nerwy.

– Skoro już jesteśmy przy bezpieczeństwie, to dobrze byłoby się poznać. – Preiss skinął na podążających za nimi komandosów.

Kapitan w oszczędnych słowach przedstawił oficerów dowodzących poszczególnymi sekcjami oraz podopiecznych. Wszyscy jak jeden mąż byli weteranami rodzimych sił specjalnych. Najnowszym nabytkiem oddziału był porucznik Siergiej Gromow. Niegdysiejszy kapitan specnazu Południowego Okręgu Wojskowego Federacji Rosyjskiej był niezwykle ciekawą osobą. Zasłużony w walkach przeciwko islamistom podczas powstania na Kaukazie widział zbyt wiele, by trzymać głowę na kłódkę. Podczas jednej z kolejnych wizyt okręgowych oficjeli nie wytrzymał i dał w pysk komuś postawionemu wyżej od siebie. Zdegradowany do stopnia porucznika wywinął się od tury tylko i wyłącznie dzięki swoim zasługom podczas walk w Groznm. Dowództwo okręgu postanowiło pozbyć się niewygodnego specjals, jednocześnie nie marnując funduszy, które przeznaczono na jego wyszkolenie. Oddelegowanie do Radegastu okazało się zbawienne dla obu stron.

Po wymianie uścisków rąk specjalsi zaczęli wsiadać z ciężkimi plecakami do wnętrza wozów. Zbudowane na australijskiej licencji Pegazy grzały potężne, niemal trzystukonne silniki. Tuż obok stały dwa rosyjskie Falkatusy oraz trzeci, sześciokołowy pojazd, który w razie nieprzewidzianych problemów miał pomieścić ewakuowanych dyplomatów.

Wyruszyli w konwoju kilka chwil później. Nim wyjechali poza obręb lotniska, obie maszyny transportowe Przymierza szykowały się już do drogi powrotnej. Port lotniczy oddalony był od centrum miasta o ledwie kilka kilometrów. Otoczony niskimi budynkami wyglądał jak placek wrzucony między betonowe bryły miejskiej zabudowy. Ogromny ślimak, na który wjechali, poprowadził ich zawijasami na jedną z wielopasmowych arterii tajwańskiej stolicy. Jastrzębski, siedzący w drugim Pegazie, był pewien, że gdyby nie asysta policyjnych radiowozów, każdy z pojazdów kolumny pojechałby w innym kierunku. Do tej pory wydawało mu się, że to gliwicki węzeł jest najgorszym, co mogłoby mu się przytrafić. Tajwańskie estakady górowały jednak nad śląskim spaghetti niczym górskie pasmo.

Tajpej było zupełnie inne, niż wyobrażał sobie Jastrzębski. Dobrze wiedział, że Tajwan to technologiczne zagłębie producentów sprzętu komputerowego i kuźnia najnowszych technologii. Spodziewał się czegoś w rodzaju nowego Tokio, gdzie siatkówka przepala się od samego patrzenia na wszechobecne neony. Nic bardziej mylnego.

– Patrz, „Angel” – powiedział Jastrzębski, przyklejając nos do pancерnej szyby. – Myślałem, że tu będą same wieżowce.

– Mhm... – mruknął podoficer.

– Tośmy sobie porozmawiali – odparł Jastrzębski, przenosząc wzrok na specjals.

– Racja, niby jesteśmy już prawie w centrum, a ledwie minęliśmy kilka budynków wyższych niż pięć pięter – rzucił „Whiskers”. Jako snajper obserwował otoczenie pod kątem potencjalnych punktów ogniowych.

– Ale porządek to tu mają. Patrz, trzy pasy w jedną stronę, a wszyscy jadą przepisowo jak w mordę strzelił. – Jastrzębski wskazał brodą mijane toyoty, nissany i resztę kolorowej mozaiki światowych marek. – U nas toby zaraz się jakiś Janusz znalazł, który by musiał pokazać, jaki z niego mistrz kierownicy.

– Chyba dojeżdżamy – odpowiedział snajper.

– Hm? – zapytał Jastrzębski.

– Wysokie budynki.

Zjechali z trójpasmówki tak gwałtownie, że Jastrzębski instynktownie czekał, że o drzwi zaczną bić kule. Skręcili pod wysoki, przypominający piramidę schodkową stalowo-szklany biurowiec. Policyjna asysta zniknęła, niemniej dalszą drogę wskazali im oczekujący na podjeździe pracownicy ochrony. Kolumna wyraźnie zwolniła, minęła podniesione szlabany i skierowała się ku zjazdowi na podziemny parking.

Bez trudu odnaleźli miejsca przeznaczone dla misji Przymierza. Kilka czarnych jak kir SUV-ów z chorągiewkami krajów członkowskich stało tuż obok siebie w jednym z kątów drugiego poziomu podziemnego garażu. Radosław Bielecki oraz jego dwóch pomocników wysiadło z prowadzącego kolumnę Falkatusa. Podziękowali Preissowi uściskami dłoni i wymienili kilka kurtuazyjnych zdań. Chwilę później komandos wydał polecenia dowódcom grup bojowych. Jastrzębski zarzucił plecak na ramię i pomógł koledze dźwignąć jedną ze skrzyń z wyposażeniem. Bielecki już czekał, by pokazać drogę do wind.

Rozlokowani w pokojach przylegających bezpośrednio do kwater dyplomatów mieli czas uporządkować sprzęt i uruchomić elektronikę. Zbieranie danych wywiadowczych posiadało dla dowództwa równie wysoki priorytet jak ewakuacja misji. Laptopy, anteny, sensory i czujniki rozlokowali na każdej wolnej przestrzeni obszernych pokojów.

– Będzie sielanka? – zapytał Jakub Czechowski, medyk sekcji. Zrzucił z ramion potężny plecak wypełniony tajemniczymi substancjami i sprzętem medycznym.

– No nie wiem... – powiedział Jastrzębski, opierając się o parapet i spoglądając z góry na wypełnioną samochodami ulicę. Smartfon milczał w kieszeni spodni, wiadomość do Ludmiły wysłał już jakiś czas temu. Miał nadzieję, że na Tajwanie obejdzie się bez problemów z łącznością.

– Eee, nie będzie tak źle. Zobacz, ile jechaliśmy z lotniska. Damy znać do ewakuacji. Za dwie godziny mamy samolot i będziemy w powietrzu. Szast-prast i po sprawie. – Sanitariusz klepnął dłońmi w uda.

– Mhm, chyba że w powietrzu coś pójdzie nie tak – mruknął były oficer ABW.

Jakby na potwierdzenie jego pochmurnego nastroju niebo rozdarł wyraźny, przeciągły huk. Komandosi, do tej pory skupieni na uruchomieniu systemów wywiadu elektronicznego lub pochyleni nad swoimi MSBS-ami, podnieśli wzrok. Jastrzębski drgnął i spojrzał w niebo. Dwie pary tajwańskich myśliwców przecięły ołowiane niebo dosłownie kilkanaście metrów nad dachem budynku. Powoli zwiększały pułap i zakreślały ku południowo-zachodnim krańcom miasta. Od tej chwili podobne widoki miały im towarzyszyć każdego dnia.

Zakazane Miasto, Pekin, Chiny | 13 maja 2023, godzina 14:24

Siedzieli w wysokiej sali, która od lat pełniła funkcję miejsca podejmowania najważniejszych decyzji w Państwie Środka. To tutaj zdecydowano o uruchomieniu wielkiej operacji wymierzonej przeciwko zniechęconej od wieków Rosji. Nieco później, kiedy okazało się, że zajęcie bogatych w złoża syberyjskich nizin nie powiodło się, uznano, że należy znaleźć inny rezerwuwar surowców. Irańska zawierucha spadła im niczym manna z nieba. Skostniała pod rządami Hillary Clinton Ameryka dała się wyprowadzić w pole niczym pierwszoroczny uczeń. Panowali nad wodami Zatoki Perskiej już czwarty rok, dźwigając z kolan zdruzgotane mocarstwo, na które ostrzyła sobie zęby Arabia Saudyjska. Gdyby nie stały kontyngent chińskich wojsk i znaczna modernizacja perskiej armii, nic nie powstrzymałoby Saudów przed błyskawiczną inwazją. Korzyści płynące z panowania nad newralgiczną zatoką liczone nie tylko w tankowcach. Stabilny Iran był bramą do Europy i Afryki, gdzie Chińczycy od lat prowadzili nie do końca transparentne interesy.

Teraz bogato zdobiona sala, pamiętająca zasiadających w niej cesarzy, miała po raz kolejny stać się świadkiem wiekopomnej decyzji.

– Flota jest gotowa? – zapytał Xi Jinping, spoglądając na ogorzałe twarze najwyższych rangą oficerów.

– Tak jest, panie prezydencie – odpowiedział admirał Wu Szengli, lekko skłaniając białą jak śnieg głowę. – Nasze okręty rozpoczęły manewr, który zakończy się blokadą Tajwanu. Okręty desantowe, które dokują w portach na kontynencie, są gotowe do przyjęcia oddziałów lądowych.

– Wszystkie są sprawne? – zapytał prezydent. Wiadomość sprzed kilku tygodni o licznych usterkach, uszkodzeniach i przeciągających się remontach rozsierdziła go nie na żarty. Owszem, po kampanii rosyjskiej i nałożonych sankcjach flota utraciła swój priorytet. Xi Jinping uznał, że w pierwszej kolejności należy odbudować siły powietrzne. Zdiesiątkowane na rosyjskim niebie myśliwce, bombowce i pozostałe maszyny prezentowały sobą połowę niegdysiejszej siły bojowej. Kosztem pozostałych rodzajów sił zbrojnych szybko udało się odbudować podniebną potęgę. Flota musiała poczekać, aż do teraz.

– Jeden z okrętów desantowych wciąż ma niewielkie problemy z układem napędowym. Niemniej dowódca jednostki zapewnił mnie, że może bez przeszkód operować na wodach Cieśniny Tajwańskiej – odparł Szengli. Wolał nie wspominać, że okręt Typ 071, jeden z sześciu, jakimi dysponowała marynarka wojenna Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, jeszcze dzisiaj rano miał problem z odpaleniem turbin.

– Dobrze... – Xi Jinping nie był przekonany co do szczerości admirała, ale teraz było już za późno na odwołanie operacji. Prezydent wiedział jednak, że jeśli z jakiegoś powodu podległa admirałowi jednostka opóźni zdobycie wyspy, Wu Szengli pożegna się z piastowanym od lat stanowiskiem. – Czy Amerykanie będą nas niepokoić?

Pytanie zawisło w powietrzu niczym grobowy całun. Do tej pory skupieni wyłącznie na ustawicznym bombardowaniu Korei Północnej Amerykanie nie przywiązywali szczególnej wagi do manewrów chińskiej floty. Owszem, wyglądało na to, że japońskie porty ożywiły się nieco, a zwiad satelitarny zameldował o ruchach, które można było odczytać jako próby utworzenia grupy uderzeniowej. Nic jednak nie wskazywało na to, że siły te mogą w dużym stopniu zagrozić operacji. Aż do wczorajszego wieczoru. Jak na komendę liczba lotów bojowych, jakie wykonywały amerykańskie Hornety z pokładu USS „Ronald Reagan”, zmniejszyła się o połowę. Tuż przed spotkaniem odpowiedzialny za wywiad

satelitarny generał Zuhai zameldował do sztabu generalnego o zaledwie dziesięciu misjach bojowych. Oznaczać to mogło tylko jedno.

– Obserwujemy pewną niepokojącą aktywność... – zaczął niepewnie Szengli.

– Słucham, admirale. – W głosie prezydenta dało się wyczuć niemą groźbę. Siedzący tuż obok Jinpinga generał Fang Fenghui drgnął ledwie zauważalnie.

– Od wczorajszych godzin wieczornych zauważyliśmy znaczny spadek lotów bojowych, prowadzonych z pokładu lotniskowca USS „Ronald Reagan”. – Wu Szengli oblizał spierzchnięte ze strachu wargi. – Na chwilę obecną nie jesteśmy w stanie stwierdzić, jaki jest powód takich działań. Liczba lotów spadła o niemal sześćdziesiąt procent w porównaniu ze stanem sprzed czterdziestu ośmiu godzin.

– Może nie mają już czego bombardować w Korei? – zapytał z przekąsem premier Li Keqiang. Odsunięty na boczny tor sprawował funkcję czysto reprezentacyjną. Brak realnej władzy i jednocześnie uwielbienie ze strony narodu pozwalały mu na nieskrępowane wyrażanie własnych opinii.

– Niestety, panie premierze – odpowiedział admirał. – Pozostałe amerykańskie i koreańskie maszyny kontynuują kampanię bez zmian. Latają na okrągło.

– Że też Un nie zdecydował się jeszcze na broń jądrową. Zdaje się, że stracił już grubo ponad dwadzieścia tysięcy ludzi – zauważył Keqiang. – Nie licząc rannych, oczywiście.

– Nie zebraliśmy się tutaj, by omawiać strategię koreańskich generałów – zaznaczył Xi Jinping, gromiąc premiera spojrzeniem.

– Skrajna niekompetencja i brak planu działania może doprowadzić półwysep do najgorszego – odparł Keqiang.

– Właśnie dlatego umieściliśmy nasze okręty na wodach terytorialnych Korei Północnej – uciął admirał Wu Szengli. Widząc, że premier wzruszył ramionami, dowódca floty wrócił spojrzeniem do prezydenta. – Wygląda na to, że amerykański lotniskowiec może zawiesić swoje zaangażowanie w walkę.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – zapytał Jinping.

– Wiemy, że Amerykanie stworzyli na wszelki wypadek coś w rodzaju mobilnej grupy uderzeniowej. Do tej pory brakowało im lotniskowca jako ostatecznego argumentu. Nasi analitycy twierdzą, że USS „Ronald Reagan” może wkrótce ponownie zawinąć do Jokosuki, by tam dołączyć do pozostałych okrętów grupy.

Xi Jinping nie zmienił wyrazu twarzy. Od samego początku spodziewał się, że Amerykanie w końcu się obudzą. Ryzyko było w kalkulowane w plan, nie pozostało im nic innego, jak przeciwdziałać.

– Jak bardzo mogą nam zagrazić? – zapytał prezydent.

– Wywiad satelitarny poinformował o ośmiu okrętach, które w każdej chwili mogą zostać wysłane w morze. Krążownik typu Ticonderoga, dwa niszczyciele Arleigh Burke, dwa okręty do zwalczania min typu Avenger, jeden atomowy okręt podwodny typu Los Angeles oraz drugi, którego wciąż nie zidentyfikowaliśmy. Do grupy prawdopodobnie należy również jeden z okrętów rakietowych klasy Perry. – Wu Szengli zawiesił głos. Pozwolił swojemu rozmówcy przetrwać usłyszane przed chwilą informacje. Nie zauważył jednak szczególnej zmiany na niewzruszonej twarzy prezydenta. Po kilkunastu sekundach milczenia podjął przerwany wątek. – Uważamy, że lotniskowiec „Ronald Reagan” może wkrótce dołączyć do zgrupowania.

– Kiedy grupa osiągnie zdolność bojową?

– Jeśli lotniskowiec rozpocząłby dzisiaj rejs powrotny, za trzy dni będą mogli wyruszyć z Jokosuki na południe – odpowiedział bez wahania Szengli.

– Jak możemy przeciwdziałać? Oczywiście jeśli dojdzie do zagrożenia atakiem ze strony Amerykanów. – Xi Jinping wyraźnie zaznaczył ostatnie słowa.

– Grupa północna naszej floty będzie mogła stawić czoła Amerykanom. Wyasygnowaliśmy również

dodatkowy dywizjon lotnictwa, który może związać walką amerykańskie maszyny – odparł admirał. – Na pokładzie „Ronalda Reagana” znajduje się kilkadziesiąt myśliwców typu Super Hornet. Mimo że są starsze od naszych J-15 o ponad dekadę, mogą poważnie zagrozić naszym samolotom.

Prezydent zasepił się nieco, co po wielu godzinach absolutnego spokoju można było wziąć za zły omen. Generałowie i admirałowie nie zwrócili na ten grymas większej uwagi. Xi Jinping był dla nich nieprzenikniony niczym burzowa chmura. Złączył dłonie, przecierając pomarszczoną, zrogowaciałą skórę.

– Siły lądowe są gotowe do zaokrętowania? – zapytał, spoglądając na generała Fenghui.

– Tak jest, panie prezydencie – odpowiedział dowódca wojsk lądowych, pochylając głowę. – Wszystkie korpusy są na poligonach, w każdej chwili możemy rozpocząć procedurę. Zaokrętowanie pierwszego rzutu i przygotowanie pozostałych powinno potrwać nie więcej niż trzy dni. Admirał Szengli przekazał mi meldunek, że piechota morska może lądować na tajwańskich plażach choćby dzisiaj.

– Bardzo dobrze. Niech trwają na stanowiskach. – Xi Jinping wciąż gładził porowate dłonie. – Siły specjalne na wyspie są gotowe do działania?

Pytanie skierowane do generała Szeniu, odpowiedzialnego za operacje specjalne na wyspie, tylko przez krótką chwilę pozostawało bez odpowiedzi.

– Oczywiście, panie prezydencie. Możemy zacząć działać w każdej chwili. – Generał odpowiadał krótkimi, urywanymi zdaniami. – Zamieszki, które wywołaliśmy, wciąż przetaczają się przez Tajpej i największe miasta Tajwanu. Chaos tylko zwiększa szanse powodzenia.

– Niech zaczną dzisiaj w nocy – powiedział prezydent.

– Tak jest.

– Panie prezydencie? – zapytał Fang Fenghui, spoglądając prosto w ciemne oczy przywódcy.

– Słucham, generale.

– Te dwa amerykańskie okręty, które stacjonują w Keelung. Mogą stawiać opór.

– Nawet jeśli zestrzelą nasz samolot czy ostrzelają któryś z okrętów – Xi Jinping uniósł dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym – nawet wtedy żaden z was nie wyda rozkazu do zatopienia czy choćby ostrzelania amerykańskich jednostek.

Oficerowie popatrzyli po sobie zdezorientowani. Wszyscy jak jeden mąż liczyli się z możliwością starcia z obiema jednostkami. Patrząc na proporcje sił, Amerykanie nie mieli dużych szans. Zupełnie inaczej wyglądało to z punktu widzenia propagandowego. Zniszczenie obu okrętów wiązałoby się z otwartą konfrontacją z całą VII Flotą. Admirałowie i generałowie byli zdziwieni tym bardziej, że dosłownie przed kilkoma minutami podjęto decyzję o ewentualnym zdmuchnięciu amerykańskiej grupy uderzeniowej z powierzchni oceanu.

– Panie prezydencie... Obawiam się, że nie do końca rozumiem – rzucił Wu Szengli i odciągnął palcem kołnierz koszuli od szyi.

– Amerykanie nie poświęcą swoich ludzi w bezsensownym boju – powiedział Xi Jinping. – Będą chcieli wyciągnąć załogi z kotła. Dali nam wielką szansę, towarzysze... Wykorzystamy ją.

Pałac prezydencki, Tajpej, Republika Chińska | 13 maja 2023, godzina 18:51

Mocne światła policyjnych kogutów odbijały się w oknach i kreśliły na ścianach niewyraźne kleksy. Kordon kilkunastu radiowozów, przetykany metalowymi barierkami, skutecznie odgradzał skandujący tłum od skwerów na dziedzińcu pałacu. Demonstracje już dawno przestały być pokojowe, a starcia pikietujących z policją gościły w każdym wydaniu wiadomości. Nikt jednak nie zdecydował się na brutalne rozpedzenie zbiorowisk. Groźba chińskiej agresji wisiała nad wyspą jak miecz, walka z najeźdźcą i tysiącami rozjuszonych demonstrantów byłaby samobójstwem. Rząd wciąż wierzył, że przynajmniej na wyspie sprawę uda się załagodzić. Liczono na poważniejsze wsparcie Ameryki, a obecność amerykańskich żołnierzy na tajwańskiej ziemi byłaby sygnałem nie tylko w stronę Chin.

Cziang czekał na telefon z niecierpliwością. Zaciągnął ciężkie zasłony. Nie chciał rozmawiać z amerykańskim prezydentem, patrząc na migotające za oknami policyjne światła. Widok kilku tysięcy zgromadzonych za kordonem ludzi nie skłaniał Czianga do utrzymania twardego stanowiska. Nie chciał się rozpraszać, dzisiaj to on miał być tym, który wyjdzie z inicjatywą.

Usiadł przy stoliku, na którym spoczywał tradycyjny telefon. Obrotowy cyferblat wyłożono masą perłową, staromodna słuchawka pokryta była najwyższej próby złotem. Cziang za nic nie zamieniłby tego aparatu na futurystyczny w kształtach plastik. Uśmiechnął się, słysząc charakterystyczne brzęczenie. Sięgnął po słuchawkę i oblizał spierzchnięte usta.

– Dobry wieczór, panie prezydencie – zaczął Tajwańczyk.
– Prezydencie Cziang. Proszę wybaczyć opóźnienie – odparł Albert Armitage.
– Rozumiem, proszę się nie przejmować. Nasza profesja jak mało która wymaga elastyczności – odpowiedział Cziang.
– Trafił pan w samo sedno, panie prezydencie.

Tajwańczyk odczekał kilka sekund. Amerykanin zaśmiał się gardłowo, chcąc zapewne rozładować narastające napięcie.

– Wiemy, co wyrabiają Chińczycy u waszych granic. – Armitage znów mówił z powagą. – Podziwiamy waszą cierpliwość, ale wszystko ma swoje granice. Ogromna liczba incydentów, do jakich dochodzi z udziałem samolotów bojowych oraz okrętów Chińskiej Republiki Ludowej, wywołuje coraz większe zaniepokojenie nie tylko moje, ale również Pentagonu. Szczególnie w świetle ostatnich doniesień na temat znacznej aktywności chińskiego wywiadu. Jeśli raporty o inspirowaniu zamieszek przez chińską agenturę potwierdzą się, pociągniemy Chiny do odpowiedzialności przed ONZ.

Cziang zmarszczył brwi. Jeszcze nie dalej jak kilka dni temu rozmowa z amerykańskim prezydentem ocierała się o granice kłótni. Teraz w głosie Alberta Armitage'a słyszał przeprasające tony.

– Naturalnie, panie prezydencie. Nasze siły porządkowe robią wszystko, co w ich mocy, żeby powstrzymać niepotrzebny rozlew krwi. Obecnie próbujemy zebrać dowody świadczące przeciwko Chinom. – Cziang chwycił wiatr w żagle. Być może stanowisko tajwańskiego rządu wreszcie trafi do uszu Amerykanina. – Postawiliśmy nasze wojska w stan najwyższej gotowości. Niepokoją nas coraz śmielsze ruchy chińskiej floty. Obawiamy się aktów sabotażu na wyspie. Nie możemy udawać, że jest inaczej, panie prezydencie. Znaleźliśmy się na krawędzi wojny.

– Pentagon jest niestety podobnego zdania... – Amerykanin wyraźnie zniżył głos. Cziang miał przez chwilę wrażenie, że zmiana jest aż nadto teatralna. – Odbyliśmy ostatnio z Kolegium Połączonych Szefów Sztabów oraz CIA serię poważnych rozmów. Zdecydowaliśmy o rozszerzeniu działań naszej wysuniętej

grupy operacyjnej.

Cziang przełknął ślinę. Armitage mówił dokładnie to, co tajwański rząd życzył sobie usłyszeć. Bez żadnych negocjacji, bez sporów, bez dodatkowych ustępstw. Tajwańczyk nie mógł wymarzyć sobie lepszego przebiegu tej rozmowy.

– Panie prezydencie, jesteśmy w każdej chwili gotowi skoordynować działania naszych flot. Siły powietrzne Republiki Chińskiej oraz pozostałe rodzaje wojsk są zdolne do wspierania amerykańskiej Siódmej Floty – powiedział ceremonialnie prezydent Cziang.

Albert Armitage milczał przez chwilę. Wiedział, że tajwański rząd od dłuższego czasu lobbował za wysłaniem na Tajwan znacznie poważniejszego wsparcia niż dwa okręty. Najnowsze informacje dostarczone przez CIA i wschodzącą gwiazdę agencji, Ryana Sinclaira, niebezpiecznie zbliżały się do czarnych scenariuszy Pentagonu. Chińczycy najprawdopodobniej dążyli do ograniczonej konfrontacji, której skutkiem miało być wyrwanie Tajwanu z amerykańskich rąk. Armitage nie mógł sobie na to pozwolić, nawet kosztem rzucenia na kolana reżimu Kim Dzong Una.

– Jeszcze dzisiaj niewielka grupa naszych okrętów wyruszy w stronę Okinawy. Dołączy tam do sił powietrznych stacjonujących na wyspie. Wraz z dwiema jednostkami, które kotwiczą w tajwańskich portach, będą stanowić szpicę naszych sił na Pacyfiku – powiedział Armitage. – Pozostałe okręty Siódmej Floty będą czekać na sygnał w Jokosuce. Chińczycy będą musieli pomyśleć dwa razy, zanim rzucą się do walki.

– Panie prezydencie, czy Pentagon rozważał rozmieszczenie w Republice Chińskiej jakiegokolwiek kontyngentu lądowego? – zapytał Cziang, idąc za ciosem.

Na linii zapadła trwająca zaledwie kilka sekund cisza.

– Prezydencie Cziang – zaczął Armitage – właśnie nieoficjalnie wypowiedzieliśmy Chinom wojnę. Niejako oddałem pod pańskie rozkazy zespół bojowy lotniskowca. Będziemy bronić oceanu, wyspę musi pan obronić sam.

Piknięcie oznajmiło zakończenie połączenia. Prezydent Cziang odłożył powoli słuchawkę na widełki. Wstał z fotela i podszedł do zasłoniętego okna. Jednym zdecydowanym ruchem odrzucił karmazynowe zasłony na bok. Tłum zgęstniał, w stronę policjantów poleciały pierwsze butelki i kamienie. Cziang uśmiechnął się, delikatnie unosząc kąciki ust. Tak długo na to czekał, znosił ciosy ze strony mediów i skrajnej opozycji. Mając za sobą Amerykę, obiecał zrobić porządek. Jak każdy dobry gospodarz, postanowił zacząć od podwórka.

Ponownie podniósł słuchawkę i wykręcił na cyferblacie właściwy numer. Na połączenie czekał zaledwie kilka sekund.

– Połączyć z naczelnikiem policji – powiedział zdecydowanie. Naczelnik zgłosił się chwilę później.
– Nie będziemy tego dłużej tolerować, rozpędzić te zbiegowiska.

ROZDZIAŁ III

Elektrownia Feitsui, Tajpej, Republika Chińska | 13 maja 2023, godzina 22:58

Noc była ciepła i bezwietrzna. Nieco ponad kilometr dalej szumiała wzburzona u stóp tamy woda. Elektrownia Feitsui była jednym z licznych celów nocnej operacji. Wen Jiabao nie mógł doczekać się powrotu do mieszkania i przejrzenia serwisów informacyjnych.

Zrobił jeszcze kilka kroków i stanął, opierając się ramieniem o pień wysokiego drzewa. Postać, która towarzyszyła Chińczykowi, zatrzymała się ułamek sekundy później. Jiabao odwrócił się i wykonał kilka gestów, postać odpowiedziała skinieniem głowy i zamarła, unosząc do ramienia ciemny kształt. Wytlumiona lufa MP5 błysnęła czernią. Wen Jiabao spotkał swojego partnera dopiero w punkcie kontaktowym. Wcześniej nie mieli pojęcia o swoim istnieniu, wykonywali zadania w odizolowaniu od reszty agentów na wyspie. Być może minęli się kilkukrotnie podczas inspirowanych demonstracji i zamieszek. Kto wie, może nawet kontaktowali się ze sobą i przekazywali informacje, nie mając pojęcia, że należą do tej samej siatki. Tak było bezpieczniej.

Razem przeszli z punktu zbornego do zakonspirowanego lokalu, gdzie czekała na nich broń i materiały niezbędne do wykonania zadania. Potem była już tylko nudna, milcząca podróż poza stolicę, w stronę gór. Dalej ruszyć mieli na własnych nogach.

Jiabao poprawił chwyt na krótkiej rączce taktycznej podczepionej pod szynę pistoletu maszynowego. Do celu mieli nie więcej niż dwieście metrów przez gęsty zagajnik. Według planów za kilka chwil powinni natknąć się na ogrodzenie. Wysoka trawa szeleściła pod sportowym obuwiem Jiabao. Tuż po wykonanym zadaniu mieli jak najszybciej wtopić się w tłum, a wojskowe odzienie mogło spalić przykrywkę przy spotkaniu z pierwszym lepszym patrolem policji.

Wysoka na niemal trzy metry siatka wyrosła przed Jiabao już po kilkudziesięciu krokach. Wspomagane zabetonowanymi w ziemi, grubymi rurami ogrodzenie u szczytu wieńczył rozciągnięty drut kolczasty. Dokładnie tak, jak się spodziewali. Wen Jiabao zatrzymał towarzysza gestem dłoni i przyklęknął przy siatce. Niewielki palnik, który do tej pory spoczywał w jednej z kieszeni, pojawił się w jego dłoni. Wycięcie odpowiedniej wielkości dziury zajęło mu niespełna minutę. Na teren elektrowni weszli chwilę później.

Zaszyli się między kilkoma krzewami i niskimi drzewkami. Mieli stąd doskonały widok na asfaltową drogę, prowadzącą do odsuwanej w bok bramy i jazgoczących bloków transformatorów. Na pozostałych członków grupy nie musieli długo czekać. Łuna świateł samochodowych zamajaczyła na horyzoncie, zanim na dobre rozłożyli się na pozycjach. Niewielki van toczył się powoli w górę krętej drogi, by ostatecznie zatrzymać kilka metrów przed stalową bramą. Dwójka strażników, którzy do tej pory siedzieli w niewielkiej stróżówce, ożywiła się wyraźnie. Jeden otworzył drzwi i wolnym krokiem zbliżył się do pojazdu. Jiabao zauważył załadowany pistolet maszynowy, który obijał się rytmicznie o pierś strażnika. Zamieszki, jakie wybuchły w miastach Tajwanu, wymusiły na ochronie szczególnie ważnych obiektów podniesienie standardów bezpieczeństwa. Wydanie ochroniarzom broni automatycznej było koniecznością.

Podczas gdy pierwszy ze strażników zrównywał się z vanem, drugi podnosił do ucha słuchawkę telefonu. To był sygnał. Jasny błysk i brzęk przebijającej się przez szybę kuli zatrzymał pierwszego strażnika w pół kroku. Kolejnego już nie wykonał. Jego kolega w stróżówce otrzymał trafienie prosto w czoło, nim pierwszy ochroniarz zdążył paść na ziemię. Boczne drzwi samochodu otworzyły się z trzaskiem. Czwórka czarnych postaci wyskoczyła na asfalt i podbiegła do bramy. Jiabao nie zwlekał ani

sekundy dłużej, wraz z towarzyszem zerwali się na równe nogi i ruszyli do stróżówki. Jiabao dopadł do ściany i skierował broń w stronę kompleksu. W tym czasie drugi agent majstrował już przy konsoli wewnątrz pomieszczenia. Brama drgnęła, po czym odsunęła się wzdłuż ogrodzenia. Van zawył silnikiem i wtoczył się na teren elektrowni.

– Alarm wyłączony, kamery zapętlone, mamy sześć minut, zanim się zorientują – powiedział towarzysz Jiabao.

– Bierzmy się do roboty – odparł Chińczyk, zaglądając do stróżówki.

Czwórka agentów, która wybiegła z vana, rozstawiła się w newralgicznych miejscach i wycelowała broń, kryjąc swoje sektory odpowiedzialności. Jiabao skinął na towarzysza. Skuleni przebiegli niewielki plac i zatrzymali się za betonowym cokołem, na którym spoczywał pierwszy z transformatorów. Towarzysz Jiabao zrzucił plecak i rozpiął kieszeń. Uzbroidł pierwszy z ładunków i zamontował na płaskiej blasze transformatora. Kolejny ładunek spoczął w dłoniach Jiabao. Ten przeszedł kilka kroków z gotową do strzału bronią i umieścił bombę na kolejnym urządzeniu. Rozmieszczenie i uzbrojenie ładunków na kilku potężnych transformatorach zajęło im nie więcej niż trzy minuty. Wciąż mieli zapas, by ewakuować się z zagrożonego obszaru.

– Dobra, zwijamy się – powiedział Jiabao, wracając do towarzysza.

– Ruszajmy – odpowiedział agent i zarzucił pusty plecak na ramię.

Ochrona zorientowała się w mistyfikacji po siedmiu minutach. Któryś z bardziej uważnych strażników przed monitorami dostrzegł powtarzalność w ruchu koron drzew i niewielkiej łuny, która systematycznie, co kilkadziesiąt sekund pojawiała się w górnym rogu obrazu. Wszczęcie alarmu zajęło znacznie dłużej niż zwykle, ponieważ uszkodzona aparatura nie od razu powiadomiła odpowiednich ludzi o potencjalnym zagrożeniu dla obiektu. Ostatecznie strażnicy pojawili przy odsuniętej bramie niemal kwadrans po pierwszym strzale.

Podczas oględzin budki strażniczej, bramy oraz ogrodzenia nikt nie zwrócił uwagi na niewielkie przedmioty podczipione przy transformatorach. Zapalniki czasowe zakończyły swój bieg z cichym piknięciem. Dziesięć niewielkich eksplozji rozerwało transformatory, które dostosowywały napięcie do mocy linii przesyłowych. Zmiażdżone siłą wybuchów rozleciały się na kawałki, sypiąc w powietrze setkami świszczących odłamków. Charakterystyczny szum elektrowni umilkł parę sekund później. Nie minęło kilka minut, jak telewizory, komputery i lampy zgasły w kilkunastu tysiącach mieszkań w Tajpej.

Emily Huang była wzorową matką i pracownicą jednej z tajwańskich korporacji. Mimo późnej pory i czterech dodatkowych godzin spędzonych nad zaległymi płatnościami stała nad kuchnią, przygotowując córce świeżą zupę na kolejny dzień. Mała Chen była dla niej całym światem. Mająca rok dziewczynka rosła jak na drożdżach, co chwila przyprawiając rodziców o ból głowy. W porównaniu ze starszym o pięć lat Davidem Chen była wcielonym diabłem. Yang, mąż Emily, rwał sobie włosy z głowy za każdym razem, gdy mała Chen w przypiływie artystycznego szaleństwa tworzyła wymyślne obrazy na dopiero co przywiezionej od tapicera kanapie. Choć Yang zapierał się, że marzy mu się drugi chłopiec, pokochał Chen od pierwszego wejrzenia. Uroda maleństwa wycisnęła na ciosanej twarzy Davida pierwsze łzy od czasu zakupu konsoli najnowszej generacji. Emily była pewna, że mała Chen stała się dla swojego ojca częścią duszy.

Bulion bulgotał wesoło, podczas gdy Emily przeglądała najświeższe wiadomości z modowej blogosfery na ekranie smartfona. Zacytana nie zauważyła nawet, jak do kuchni wczłapał zaspany Yang w wymiętym białym T-shircie.

– Co ty tu jeszcze robisz? – zapytał Yang, obejmując Emily. – Znowu szafiary?

– To już nie są szafiary... Lifestyle, tak to się teraz nazywa, chociaż i tak już odchodzi do lamusa –

odparła Emily, muskając ustami zarost męża.

– To o czym teraz będą pisać? Jakim papierem najlepiej wycierać tyłek? – zapytał z przekąsem.

– Ty nic nie rozumiesz... – westchnęła teatralnie. Chciała jeszcze coś powiedzieć, jednak słowa w gardle zatrzymała jej ciemność, która w ułamku sekundy spowiła kuchnię. – Co jest?

– To chyba nie korki... Spójrz, cała ulica nie ma światła. Pewnie coś strzeliło w elektrowni. – Yang podszedł do okna i rozchylił żaluzje.

Przed chwilą jasna, rozświetlana ledowymi lampami ulica teraz tonęła w całkowitym mroku. Widział już, że niektórzy sąsiedzi włączyli latarki i wyglądali przez okna równie zaniepokojeni co Emily. Awarie prądu zdarzały się ostatnimi czasy coraz częściej.

– Ciekawe, ile im zejdzie z naprawą? – rzuciła kobieta.

– Do rana nie ma co liczyć na prąd. Lepiej zostaw już ten telefon, inaczej zaśpimy do pracy.

– Racja... – powiedziała, wygaszając ekran. – Szkoda zupy...

– Daj spokój, chodź do łóżka. – Przytulił ją mocno i pocałował w czoło. – Nie ma co panikować, poza tym...

– Tak? – zapytała z łobuzerskim uśmiechem.

– Nie ma prądu, nic nie będzie nas rozpraszać. A do świtu jeszcze ładnych kilka godzin – odpowiedział i pociągnął ją za rękę do sypialni.

Kwatera główna CIA, Langley, USA | 14 maja 2023, godzina 08:06

– Ja pierdolę... – Ryan Sinclair pomasaował czoło dłonią. Odłożył na biurko teczkę z raportem i sięgnął do klawiatury laptopa. Zaśmiał się sam do siebie, wstał od biurka i podszedł do szerokiego okna.

Czuł, że to się tak skończy. Ostrzeżenia, jakie słał na samą górę przez szefa CIA, rozбивały się o Alberta Armitage'a jak wzburzone morze o skały. Dziesiątki analiz, scenariuszy rozwoju sytuacji i symulacji okazały się zupełnie nieważne. Ryan pamiętał rozmowę sprzed kilkunastu godzin, jaką prowadził z szefem tajwańskiej sekcji CIA. Już wtedy powiedziano mu, że w najbliższych dniach może dojść do aktów jawnego sabotażu na strategicznych obiektach tajwańskiej gospodarki i infrastruktury cywilnej. Nie minęło kilka godzin, gdy otrzymał raport o kilkunastu atakach na elektrownie, sieci wodociągowe i systemy telekomunikacji. Wszystko coraz bardziej się zazębiało, elementy układanki wskakiwały na swoje miejsca.

Ataki sprzed kilku godzin tylko potwierdziły czarne scenariusze analityków Centralnej Agencji Wywiadowczej. Seria uderzeń na cywilną infrastrukturę pozbawiła prądu kilkadziesiąt tysięcy gospodarstw domowych, niemal połowa z tej liczby została odcięta od dostaw wody. Zniszczono również kilka masztów telekomunikacyjnych, co spowodowało paraliż sieci bezprzewodowej na sporych obszarach wyspy. Do wybuchu ogólnonarodowej paniki wystarczył już tylko jeden niewielki impuls. A potem...

Smartfon, leżący jako przycisk na teczce z raportem, zawibrował i zaświecił ekranem. Sinclair zmełł w ustach przekleństwo, podszedł do biurka i sięgnął po aparat. Zmarszczył brwi, widząc dobrze znany numer. Z szefem tajwańskiej sekcji rozmawiał niespełna pół doby temu, od tamtego czasu wymienili wiele maili dotyczących sytuacji na wyspie. Telefon musiał oznaczać sytuację o podwyższonym ryzyku. Sinclair przesunął kciukiem po ekranie i odebrał połączenie.

– Halo? – zapytał, spoglądając w komputer. Żaden alert nie migał złowróżbną czerwienią.

– Pojawił się nowy problem – powiedział dowódca tajwańskiej sekcji CIA.

– Mów. – Agent zmrużył oczy i oparł się dłonią o brzeg biurka.

Chwilę później Ryan Sinclair zbladł, przymknął oczy i zacisnął mocniej dłoń. Kiwał głową, słysząc kolejne zdania wypowiedziane przez dowódcę sekcji. Kiedy ten skończył, Sinclair wypuścił powietrze z płuc i otworzył oczy.

– Kiedy to się zaczęło? – zapytał.

– Około dwóch godzin temu. Potrzebowaliśmy czasu, żeby sprawdzić obliczenia. Zdarzało się im już kilka razy opuszczać obszar manewrów, zwykle były to jednak kilkuminutowe wycieczki. Teraz operują poza wydzieloną częścią akwenu od ponad trzech kwadransów – usłyszał w odpowiedzi.

– Myślisz, że oni to zrobią? Muszę powiadomić Brennana, potrzebuję twojej oceny.

– Ryan, znasz moje zdanie. Powtarzałem ci to od dobrych kilku dni. Wiem, że próbowałeś przekazać to wyżej.

– Odpowiedz, Tim, nie mamy teraz czasu na przechwałki.

– Tak, Ryan. Myślę, że oni właśnie rozpoczynają blokadę Tajwanu.

Hotel Grand Hyatt, Tajpej, Republika Chińska | 14 maja 2023, godzina 11:16

Byli znudzeni. Kolejne dni upływały im na analizie zebranych przez wywiad danych, przekazywaniu ich szefostwu misji dyplomatycznej i oczekiwaniu. To uczucie było najgorsze. Wszyscy zbyt długo siedzieli w wojennym biznesie, by liczyć na pokojowe rozwiązanie sprawy. Wieści o atakach na infrastrukturę cywilną przyjęli, wstrzymując oddech. Byli przekonani, że tuż po otrzymaniu raportu z Bobolic przyjdzie powiadomienie o starcie samolotu. Nic bardziej mylnego. Krótka rozmowa ze sztabem jednostki zakończyła się lakonicznym stwierdzeniem: „Czekać na dalsze rozkazy”. Preiss dobrze wiedział, co to oznacza – dowództwo nie miało pojęcia, jak rozwinie się sytuacja. Naruszenia przestrzeni powietrznej, podejrzane ruchy chińskiej floty poza obszarem ćwiczeń, skoordynowane ataki na elektrownie i anteny telekomunikacyjne – inwazja była naturalnym następstwem, a każda godzina oddalała Radegast od wykonania powierzonego im zadania.

– Co my tu jeszcze robimy? – zapytał Jastrzębski, siedząc w fotelu. – Pół miliona ludzi bez prądu, prawie drugie tyle bez ciepłej wody, telefony świrują. Czy oni tam na górze powariowali?

– No, ciekawie to nie wygląda – odparł „Padre”, po czym skrzyżował ramiona na piersi i zmierzył pokój krokami.

– To jak igranie z ogniem. Przecież to jest, kurwa, pewne, że Chińczycy ruszą na Tajwan. Teraz nie mają już wyjścia, jeśli nie zaatakują, stracą twarz – kontynuował Jastrzębski.

– I co? Podejmiesz taką decyzję? – zapytał Preiss. Sytuacja irytowała go tak samo jak resztę, nie mógł jednak ścierpieć biadolenia podwładnego.

– Nie chcę czekać, aż mi się hotel na łeb zawali. Powinniśmy ich stąd wywieźć tego samego dnia, którego wylądowaliśmy – odparł Jastrzębski.

– Pewnie nie chcą się paniki. Pomyślcie, co by zaczęli wypisywać na świecie – powiedział medyk Czechowski. – Kryzys w Cieśninie Tajwańskiej, Przymierze ewakuuje misję handlowo-dyplomatyczną. Czy stoimy na krawędzi wojny?

Komandosi pokiwali głowami w milczeniu. Dla nich sprawa była bardziej niż prosta. Jeśli występuje zagrożenie, dokonują ekstrakcji do wyznaczonego punktu. W sztabie i prezydenckich gabinetach sytuacja wygląda zgoła inaczej. Decyzja o ewakuacji jednej z najważniejszych placówek na Tajwanie mogłaby pociągnąć za sobą daleko idące konsekwencje. Chcąc nie chcąc, Przymierze utrzymywało bliskie relacje z Republiką Chińską jako przeciwwagą dla potęgi Chin. Ewakuacja oficjeli mogłaby zostać odebrana przez Tajpej jako opuszczenie, bądź co bądź, ważnego sojusznika w Azji. Żadna ze stolic Przymierza nie mogła sobie pozwolić na taki scenariusz. Nawet mimo przekonania, że po umocnieniu się Ameryki na Tajwanie Przymierze straci swoją uprzywilejowaną pozycję. Zarówno Jastrzębski, jak i reszta dobrze wiedzieli, w jaki sposób rozumują ich mocodawcy.

– To jest po prostu nie tak. Ja tylko o tym mówię. – Jastrzębski uniósł dłonie w porozumiewawczym geście. – Wysłali nas tu po to, żebyśmy mogli robić swoje. Zamiast tego siedzimy na tyłkach i cholera wie, czy tam na górze zdecydują się na jakiś ruch, zanim nad wyspą zaczną fruwać Chinole. Chyba wszyscy jesteście na tyle przytomni, żeby stwierdzić, że wszystko właśnie do tego zmierza.

– Wiesz, że wtedy musieliby walczyć z amerykańską flotą? To nie przelewki, wątpię, żeby rzucili się na pełnoskalowy konflikt. – Siedzący za pancernym laptopem „Angel” podniósł wzrok znad komputera. – Szacunek dla ruskiej floty, dawali radę Chińczykom. Ale US Navy to jednak nieco wyższa liga, do tego mają świetne lotnictwo. Pokazali nad Iranem, że z nimi łatwo nie jest. Myślisz, że Chińczycy zdecydują

się na taki krok?

– A spodziewałeś się, że siedem lat temu zaatakują Rosję?

Rozmowa szybko się urwała, nikt bowiem nie przypuszczał, że wystarczy kilka lat, by całkowicie przetasować globalną scenę polityczną. Alianse traciły na ważności, niektóre przestały istnieć, a zwaśnione do tej pory narody spróbowały wejść na drogę współpracy.

Jastrzębski postanowił wykorzystać ciszę, jaka opanowała pomieszczenie, w którym siedzieli komandosi. Wstał z fotela i wyszedł na korytarz. Radegast zajmował całe skrzydło, dzięki czemu nie musiał się martwić, że przypadkiem natknie się na kogoś z gości. Oparł się plecami o ścianę i wyjął z kieszeni telefon. Otworzył okno wiadomości i wybrał odbiorcę. Nie musiał obawiać się, że ktokolwiek przechwyci wiadomość wysyłaną do Ludmiły i określi na tej podstawie lokalizację użytkownika. Radegast, podobnie jak wszystkie jednostki specjalne krajów Przymierza, został włączony do programu zapewniającego niemal struprocentowe bezpieczeństwo przekazywania informacji. Bez przecieku z wewnątrz złamanie zabezpieczeń było przez producentów uważane za niemożliwe.

– No cześć – powiedział sam do siebie, wstukując kolejne litery. Wysłał wiadomość i schował aparat ponownie do kieszeni.

Nie czekał na odpowiedź. Wiedział, że nim wiadomość od Ludmiły trafi do jego telefonu, przejdzie przez dziesiątki filtrów, analiz i programów zabezpieczających, co zwiększy czas odbioru o kilka minut.

Nie chciał wracać do Preissa i reszty. Poza „Padre” wszyscy wydawali się ślepo podążać za rozkazami. Jastrzębski mimo kilku lat służby w Radegaście nie potrafił całkowicie zapomnieć o starych przyzwyczajeniach. Cień ABW ciągnął się za nim jak przyklejony do podeszwy mokry liść. Ciężko było oduczyć się nawyków.

Stał tak jeszcze kilka chwil. Skrzydło było zupełnie ciche, nie licząc odgłosów dobiegających z sąsiednich pokojów, zajmowanych przez pozostałych operatorów Radegastu. Jastrzębski usłyszał głos Andrieja i uśmiechnął się półgębkiem. Odepchnął się od ściany i ruszył ku drzwiom. Nie zapukał, nacisnął klamkę i wszedł do niewielkiego przedpokoju.

– Wesoło tu macie – powiedział, widząc czwórkę specjalsów siedzących wokół niskiego stolika.

– Lada moment mogą nam na głowy spaść bomby. Mamy siedzieć i się zamartwiać? Czy to by pomogło? – zapytał Andriej Bołkoński, wstając zza stolika i wychodząc na spotkanie Polakowi.

– W zasadzie racja – odpowiedział Jastrzębski.

– Siadaj. – Bołkoński wskazał wolne krzesło.

Jastrzębski przez chwilę przysłuchiwał się dyskusji czwórki komandosów. Dwóch Rosjan, Ukrainiec i Węgier wydawali się na tyle pochłonięci rozmową, że nie zwracali na Polaka szczególnej uwagi. Jastrzębski też się nie narzucał, poczuł w kieszeni wibrowanie telefonu. Uśmiechnął się, odczytując wiadomość. Ludmiła tęskniła i wyrażała to nad wyraz dosadnie.

– Ej, Jastrząb, a ty co myślisz? – „Kruszyna” wlepił w Polaka wąskie oczy.

– O czym? – Jastrzębski schował telefon do kieszeni.

– Widziałeś ostatniego Bonda? – zapytał „Kruszyna”.

– No widziałem, byłem z Ludmiłą w kinie. Całkiem fajny, nie sądziłem, że po Craigu dobrym wyborem będzie...

– Eee tam, to nie jest ważne. Powiedz mi, czy nie myślisz, że te filmy wydają się coraz mniej realistyczne? – „Kruszyna” jeszcze bardziej zmrużył oczy. – Za Craiga chociaż kilka razy pokazali, jak on coś je, chyba nawet brał prysznic. A tutaj? Gość gania po syberyjskiej tajdze, a zaraz potem leci do Japonii i nikt się nie skrzywi, jak mija go w metrze. Przecież on powinien walić jak moje majtki po selekcji. Nie wspominam już o tym, że jego Walther ma samoładujący się magazynek.

– Poważnie posądzasz filmy o Jamesie Bondzie o brak realizmu? – powiedział Jastrzębski zdezorientowany.

– To poważna sprawa, Jakub – dodał Bołkoński, wydymając usta.

Jastrzębski nie zdążył odpowiedzieć. Choć uważał pytanie za absurdalne, po głębszym namyśle musiał przyznać „Kruszynie” rację. Nowa produkcja o przygodach agenta Jej Królewskiej Mości rzeczywiście była przerysowana do granic możliwości. Nim wyartykułował swoje poparcie dla tezy Rosjanina, radio ustawione na biurku w rogu pokoju odezwało się z trzaskiem.

– Wszyscy do Cytadeli. Odprawa, są nowe instrukcje – usłyszeli beznamiętny ton Preissa.

Dywagacje nad perystaltyką i potliwością Jamesa Bonda musiały zostać przerwane, co swoją drogą nie zasmuciło żadnego z komandosów. Jastrzębski spojrzał na gotowe do założenia zestawy operacyjne specjalsów. Podobnie jak w ich pokoju plecaki, kamizelki, egzoszkielety i broń były zgrupowane w stosy. Potrzebowali mniej niż pięciu minut, by móc wejść do boju.

– Myślisz, że coś się zaczęło? – zapytał Bołkoński w korytarzu.

– Wybuchów nie słychać, a znając naszych decydentów, powiedzieliby nam, że Chińczycy zaatakowali Tajwan, dopiero po paradyzie zwycięstwa w Tajpej. Liczę tylko, że pozwolą nam w końcu wykonać swoją robotę.

– Pozwolą, Kuba. Tuż po paradyzie zwycięstwa – odpowiedział Rosjanin, wykrzywiając usta w kwaśnym uśmiechu.

Pałac prezydencki, Tajpej, Republika Chińska, | 14 maja 2023, godzina 13:31

Straty wywołane serią ataków znacznie przekraczały pierwotne założenia. Poza ogromną liczbą osób pozbawionych energii elektrycznej i ciepłej wody doszło do najgorszego. Demonstracje, które zwykle pod koniec wystąpienia do tej pory przybierały formę zamieszek, teraz stawały się nimi od samego początku. Nie pozostawało nic innego, jak wprowadzenie na całej wyspie stanu wyjątkowego. Od kilku godzin policję wspierały oddziały żandarmerii. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta, prezydent Cziang miał pewność, że wybuch wojny jest już tylko kwestią czasu. Dzięki wsparciu ze strony Ameryki mógł obronić się przed wojskami inwazyjnymi i jednocześnie skierować służby porządkowe przeciwko protestującym. Dobrze wiedział, że polubowne rozwiązania nie przyniosą pożądaných rezultatów. Opanować sytuację mogła tylko tępa siła.

– Udało nam się przywrócić energię elektryczną w ponad tysiącu lokali mieszkalnych i domów. Kolejne kilka tysięcy mieszkań znów ma ciepłą wodę, na szczęście uszkodzenia były mniejsze, niż nam się wydawało – referował minister spraw wewnętrznych Jack Woo. – Najdłużej potrwa naprawa sieci telekomunikacyjnej. Trzy anteny zostały doszczętnie zniszczone. Na chwilę obecną transfer danych wzięły na siebie pozostałe wieże, ale wszystkie są przeciążone.

– Gdzie są amerykańskie okręty? – zapytał Cziang, przeczesując siwe włosy.

Jack Woo otworzył usta, by odpowiedzieć na pytanie prezydenta. Dopiero po chwili zorientował się, że adresatem był mężczyzna siedzący po prawej. Nagła zmiana tematu zdziwiła ministra Woo tylko na chwilę. Podczas codziennych spotkań los cywilów coraz częściej schodził na dalszy plan.

– USS „Ronald Reagan” dotarł do Jokosuki, gdzie połączył się z pozostałymi okrętami Siódmej Floty. Wydzielona grupa czterech jednostek jest na wysokości wyspy Amami, sto mil na północ od Okinawy – odpowiedział Kuang Chi, splatając dłonie na kolanach. – Wraz z dwoma krążownikami typu Ticonderoga, które cumują w Keelung, jesteśmy w stanie stawić opór Chińczykom.

– To już pewne, że zaatakują? – zapytał Cziang.

– Wszystko wskazuje na to, że tak. Ich flota wykonuje manewr, który może sugerować chęć stworzenia czegoś w rodzaju blokady wyspy – kontynuował minister Chi z całkowitym spokojem. – Jeśli nikt im nie przeszkodzi, powinni odciąć nas od Okinawy za dwadzieścia cztery godziny.

– Co wtedy?

– Na wschodnim wybrzeżu Chin zaobserwowaliśmy dwanaście gotowych do wyjścia w morze okrętów desantowych – powiedział Chi i oblizał wargi. – Wygląda na to, że trwa zaokrętowanie piechoty i sprzętu.

– Nie obronimy się... – mruknął Jack Woo. – Nie wiemy, ilu okrętów nie wykryliśmy. Pamiętają panowie pierwsze godziny inwazji na Rosję? To była rzeź, niszczyli wszystko na swojej drodze.

– Nie jesteśmy Rosjanami, panie ministrze – odparł Cziang. – Przygotowaliśmy się, nasze wojska są w pełnej gotowości bojowej.

Minister obrony nieznacznie spuścił głowę i poprawił się na krześle. Mobilizacja wcale nie przebiegała tak gładko, jak przedstawiano w raportach. O ile siły powietrzne prezentowały wysoki poziom, pozostałe rodzaje sił zbrojnych miały znacznie większe problemy. Flota podwodna Republiki Chińskiej niemal nie istniała. Podpisany przed kilku laty kontrakt na dostawę nowych okrętów podwodnych wciąż był w trakcie realizacji. Jak do tej pory marynarka wojenna Tajwanu otrzymała dopiero jedną jednostkę. Na powierzchni nie wyglądało to o wiele lepiej. Tajwańczycy mogli

przeciwstawić chińskiej flocie około dwudziestu pięciu okrętów różnych typów, z czego większość była w służbie od niemal trzydziestu lat.

Pozostawały również wojska lądowe, a te, choć bardzo dobrze wyszkolone i zmotywowane, w dużej mierze posiadały sprzęt, który nie przewyższał osiągnięciami konstrukcji przeciwnika. Najmłodszy pojazd w parku maszynowym tajwańskich sił lądowych miał na karku dopiero piętnaście lat, ale nie był w stanie wykonywać wszystkich zadań jednocześnie. Ośmiokołowy CM-32 doczekał się co prawda kilku wersji, w tym niszczyciela czołgów, ale mimo wszystko nie miał wielkich szans w pancernym pojedynku. Decydenci dobrze zdawali sobie sprawę z jakości posiadanego sprzętu oraz resursów. Wiedzieli również, że głównie górzysta i silnie zurbanizowana wyspa nie nadaje się do szerokich pancernych szarż. Dlatego najsilniejszym argumentem tajwańskiej armii w starciu z Chińczykami była znajomość terenu oraz doskonałe wyszkolenie w walce miejskiej. Sztab liczył na zadanie agresorowi jak największych strat i zmuszenie do rozmów pokojowych. Każdy inny finał kampanii oznaczał dla Tajpej koniec marzeń o niepodległości.

– Siły powietrzne będą naszym głównym argumentem – stwierdził Cziang.

– Większość eskadr jest gotowa do rozpoczęcia działań. Wszystkie F-35 zostały przebazowane na lądowiska zapasowe. Pozostałe maszyny możemy w każdej chwili poderwać w powietrze. Monitorujemy wszystkie ruchy chińskiej floty oraz lotnictwa. Dzięki pomocy CIA wiemy również o zaokrętowaniu sił lądowych przeciwnika – powiedział jednym tchem minister Chi.

– Nasza flota jest w stanie choć na chwilę zatrzymać przeciwnika? – zapytał prezydent.

– Nie, mamy za mało okrętów, każda próba wyjścia na otwarte morze skończyłaby się dla nas tragicznie. Chińczycy wykorzystali dany im czas. Jediną realną opcją przejęcia inicjatywy jest skoordynowanie z Amerykanami uderzenia na północne zgrupowanie chińskiej floty.

– Chcecie zaatakować? Czym? – zapytał Jack Woo wyraźnie poirytowany odsunięciem go na margines dyskusji. – Mamy zaledwie cztery niszczyciele i kilka krążowników. Chińczycy zmiotą nas, zanim odpalimy rakiety. Musimy skupić się na ratowaniu cywilów. Według badań ludność jest coraz bardziej przerażona, nie bawi jej widok myśliwców nad głowami i czołgów na ulicach.

– Jeśli nie obronimy wyspy, ratowanie cywilów nie ma sensu – zaproponował minister obrony, krzyżując ramiona na piersi.

– Stan wyjątkowy został zaakceptowany przez parlament. Nasz kraj przechodzi właśnie jeden z najpoważniejszych kryzysów, ograniczenie swobód obywatelskich nie jest podyktowane żądzą władzy lub inwigilacji. Musimy skupić się na zewnętrznym wrogu, który stoi u naszych bram, proszę to zrozumieć, panie ministrze. – Prezydent Cziang pochylił się nad biurkiem i stukał wyprostowanym palcem wskazującym w lakierowany blat.

Gabinet wypełniła grobowa cisza. Nawet Kuang Chi, który w duchu się śmiał, nie odważył się odezwać ani słowem. Cziang powoli, jak cofający się tygrys, wrócił na swoje miejsce i poprawił zmierzwioną lekko fryzurę.

– Uznaje mnie pan za despotę, panie ministrze. Kto wie, może ma pan rację. Nie jestem taki sam jak mój ugodowy poprzednik – perorował Cziang. – Ale szczerze wierzę, że w chwili próby, takiej próby, przed jaką właśnie stoi Republika Chińska, musimy kierować się racją stanu. Kiedy opadnie bitewny kurz, a nad Tajpej nie będzie powiewał czerwony sztandar, będzie pan miał wolną rękę. Ale nie teraz, nie teraz, panie ministrze.

Jack Woo pokiwał głową na znak zgody i powolnym, na pozór niedbałym ruchem wytarł spoczone dłonie o garniturowe spodnie.

– Panie ministrze, kiedy możemy spodziewać się ataku? – zapytał Cziang i przeniósł wzrok z roztrzęsionego Woo na Kuanga Chi.

– Do czterdziestu ośmiu godzin. Oczywiście, jeśli to nie jest kolejny straszak i pokaz siły ze strony chińskiej marynarki.

Cziang skinął i spuścił głowę. Jeszcze kilkadziesiąt sekund wcześniej najeżony jak lew, teraz przypominał zaszczute i bezbronne zwierzę.

– Co możemy teraz zrobić? – zapytał.

– Rozpocząć mobilizację, i tak zbyt długo z tym zwlekaliśmy. Powinniśmy również wydać rozkazy flocie, aby była gotowa do ewentualnego uderzenia na kierunku północnym – wyliczał Chi, zaplatając w powietrzu palec o palec. – Uważam, podobnie jak sztab, że obrona na plażach nie ma żadnego sensu. Casus Iwo Jimy pokazał nam, że głęboka i rozbudowana obrona może zadać przeciwnikowi znacznie większe straty niż zmasowanie ognia na samym desancie.

– Dobrze, dobrze. Proszę wdrożyć odpowiednie procedury – powiedział Cziang, kiwając głową. – Chciałbym prosić jeszcze o jedną rzecz. Wezmę odpowiedzialność na siebie, ponieważ to, co planuję, może stać się ostatecznym przyczynkiem do wojny.

Obaj ministrowie spojrzeli na siebie niepewnym wzrokiem. Jack Woo wolał nawet nie myśleć, jaki plan zrodził się w umyśle Czianga.

– Skonsultowałem to już z kilkoma wyższymi rangą generałami oraz sztabem generalnym – zaczął Cziang. – Powinniśmy utworzyć strefę buforową wokół wyspy. Taki zabieg powinien wyznaczyć jasną granicę, której nie mogą przekraczać samoloty oraz okręty chińskiej marynarki wojennej. Każde naruszenie tej strefy zostałoby odebrane jako wrogi akt przeciwko Republice Chińskiej.

– Jak głęboka powinna być ta... strefa? – zapytał minister obrony. Podobny pomysł zrodził się lata temu podczas ostatniego kryzysu. Wówczas zarzucono plan w obawie przed pełnoskalową inwazją. Jak widać, tym razem prezydent uznał, że i tak nie ma nic do stracenia.

– Pięćdziesiąt mil morskich – odparł prezydent.

– Cieśnina w najszerszym punkcie ma niespełna sto czterdzieści mil, w najwęższym nieco ponad siedemdziesiąt. Incydenty są nad wyraz prawdopodobne – zauważył Kuang Chi.

– Nie możemy dłużej kulić ogona, panie ministrze. Moją propozycję popiera większość generalicji. Musimy pokazać, że jesteśmy silnym krajem, nie damy się zastraszyć. Jeszcze dzisiaj mam zamiar wygłosić orędzie do narodu i ratyfikować utworzenie strefy zakazu lotów.

Jack Woo przełknął ślinę i uśmiechnął się gorzko. Potarł zroszone kroplami potu czoło i spojrzał prosto w zaciętą twarz prezydenta Czianga.

– Panie prezydencie, proszę chociaż pozwolić na ewakuację obcokrajowców – powiedział. – Nie są niczemu winni. Nasz MSZ może wydać odpowiednie oświadczenie, wciąż mamy na Tajwanie wielu dyplomatów.

– Dobrze, zajmijmy się tym. Skontaktuję się z ministrem Kim-Kuo. Tymczasem, panowie... – Cziang złączył dłonie jak do chrześcijańskiej modlitwy – szykujmy się.

ROZDZIAŁ IV

Baza Sił Powietrznych Daiszan, Chiny | 14 maja 2023, godzina 18:47

Porucznik Lin usiadł wygodnie w głębokim fotelu i spojrzął na trzy ciekłokrystaliczne ekrany, które wieńczyły jego stanowisko. Sprawdził kontrolki, uruchomił aparaturę i sięgnął do drążka sterowniczego. Założył słuchawki i przyciągnął mikrofon do ust.

– Meduza Trzy Siedem, zgłaszam gotowość do lotu – powiedział. Ekrany przed jego stanowiskiem ożyły.

– Meduza Trzy Siedem, tu wieża. Czas rozpoczęcia misji: szósta pięćdziesiąt. Macie pozwolenie na inicjację procedury startowej.

– Przyjąłem, wieża. Rozpaczynam procedurę startową – odpowiedział Lin i wcisnął kilka przycisków. Jeden z ekranów przygasł, po czym wyświetlił kolumny liczb i komend. Porucznik skupił się jednak na centralnym monitorze. Widział na nim delikatnie chwiejące się na wietrze drzewa i odległe budynki Daiszan.

Ustawiony w jednym z dwóch rzędów bezzałogowy statek powietrzny BZK-005 drgnął. Silnik uruchomił się z głuchym wyciem, by po chwili wejść na wyższy ciąg. Niewielkie śmigło w tylnej części kadłuba nabierało rozpędu. Dron ruszył z płyty postojowej i powoli wtaczał się na pas startowy. Podwójny ogon, łączony poziomym statecznikiem, chwiał się w górę i w dół pod wpływem nierówności nawierzchni.

Porucznik Lin siedział w jednym z kontenerów pilotów i manewrował drążkiem, ustawiając maszynę w linii prostej z drogą startową.

– Meduza Trzy Siedem, gotowy do startu, wszystkie systemy sprawne – zameldował.

– Przyjąłem, Meduza Trzy Siedem, macie zgodę na start.

– Zrozumiałem, wieża, startuję. – Lin kiwnął głową na potwierdzenie i pchnął wolant do przodu. Obraz na monitorze zaszumiał. Dzięki wysokiej rozdzielczości przekazywanej wizji Lin widział każdą nierówność pasa startowego. Dron przyspieszał, zielony symbol, który pojawił się na głównym ekranie, oznajmił porucznikowi, że maszyna może oderwać się od ziemi. Lin przyciągnął drążek do siebie.

– Wieża, tu Meduza Trzy Siedem, jestem w powietrzu, wchodzę na kurs. – Porucznik nieznacznie przekręcił drążek i dron natychmiast położył się przez prawe skrzydło.

– Widzę was, Meduza Trzy Siedem. Macie wolną drogę, udanego lotu.

Lin uśmiechnął się, odsłaniając pożółkłe od tytoniu zęby. Wszystko wyglądało tak, jakby rzeczywiście przecinał przestworza. Możliwość wzbicia się na pułap kilku tysięcy metrów fascynowała go tym bardziej, że ciało spoczywało w wygodnym fotelu ledwie kilka kroków od wieży kontroli lotów.

Dron opuścił obszar bazy powietrznej i wyspy Daiszan. Kierował się teraz na południe, wzdłuż nieregularnej, pociętej półwyspami i zatokami linii brzegowej wschodnich Chin. Porucznik Lin pokonywał tę trasę dziesiątki razy, szczególnie w ciągu ostatnich tygodni, kiedy relacje między Chinami i Tajwanem drastycznie się pogorszyły. Kolejny rutynowy lot zwiadowczy nie zwiastował szczególnych atrakcji. Zazdrościł bardziej doświadczonym kolegom, którzy wykonywali loty nad Koreą Południową i amerykańskimi okrętami. BZK był dronem, który służył w chińskiej flocie od ponad dekady. Zwiadowcy nad Koreą mieli zaszczyt jako pierwsi wzbic się w powietrze dopiero co przyjętymi na stan, zmodernizowanymi Boskimi Orłami. Lin wciąż musiał latać swoim kaszalotem.

Porucznik ziewnął przeciągle. Choć kontener zawierał miejsca dla sześciu pilotów, był sam. Nie musiał się więc martwić o drwiący wzrok kolegów i regulamin. Autopilot mógł wykonywać za niego

robotę jeszcze przez niespełna pół godziny. Lin wykorzystał ten czas, otworzył puszkę pepsi i delektował się intensywnym smakiem. Przekazane mu wcześniej raporty na temat utworzenia przez Tajpej strefy buforowej traktował z przymrużeniem oka. Chińskie drony i samoloty już niejednokrotnie w ciągu ostatnich tygodni kołowały w tajwańskiej przestrzeni powietrznej. Poza jednym poważnym incydentem nic się nie wydarzyło. BZK nie był też szczególnie duży, a jego skuteczna powierzchnia odbicia impulsów radarowych została znacznie ograniczona. Lin wątpił, żeby Tajwańczycy mogli go namierzyć i zestrzelić pięćdziesiąt mil od wybrzeża.

– Meduza Trzy Siedem, tu wieża. Jesteście piętnaście mil od granicy strefy buforowej – usłyszał w słuchawce głos kontrolera.

– Wieża, tu Meduza Trzy Siedem, przyjąłem. Kontynuuję do granicy strefy – odpowiedział i instynktownie chwycił za drążek sterowniczy. Dron przecinał powietrze na wysokości niemal ośmiu tysięcy metrów. Przy prędkości rzędu stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę osiągnie strefę zagrożenia za niespełna dziesięć minut.

– Przyjąłem, Meduza Trzy Siedem. Nie przekraczaj założonego czasu obserwacji w strefie.

– Tak jest, wieża. Bez odbioru.

Zaczynała się najciekawsza część. Lin odłożył pustą już prawie puszkę i sprawdził wskazania czujników. Systemy działały bez zarzutu, a wiatr szedł pod skrzydła, co dodatkowo stabilizowało lot. Obraz z kamery przedstawiał granatową, spokojną tafelę oceanu. Lin zauważył też trzy okręty rodzimej marynarki wojennej, które ciągnęły za sobą spieniony kilwater.

Porucznik oblizwał wargi i poprawił chwyt na drążku. Wolną ręką wyłączył autopilota i przejął kontrolę nad maszyną. Do granicy strefy zostało mu nie więcej niż półtorej mili. Uruchomił optoelektroniczne systemy obserwacji, teraz sensory powinny wychwycić każdy tajwański okręt w promieniu wielu mil. Oprogramowanie zainstalowane wewnątrz drona w ułamku sekundy mogło zeskanować zauważony na oceanie kształt i przypasować do typu okrętu w bazie danych. Tuż po identyfikacji dane były przesyłane do Daiszan, gdzie dalszą obróbką zajmował się zespół analityków.

– Wieża, tu Meduza Trzy Siedem, wleciałem do strefy buforowej. Rozpaczynam zwiad, datalink uruchomiony. Brak sygnałów o namierzeniu – zameldował porucznik, wpatrując się w główny ekran swojego stanowiska.

– Meduza Trzy Siedem, tu wieża, przyjąłem. Kontynuuj misję.

– Tak jest, wieża.

BZK szybował tuż przy granicy strefy, założenia operacji zwiadowczej opierały się na twardych wyliczeniach pułapu, prędkości oraz czasu obserwacji w zagrożonej strefie. Lin miał jeszcze niespełna siedem minut, by zawrócić i bezpiecznie posadzić drona na lądowisku w Daiszan.

Bezzałogowiec porucznika był nie dalej niż milę po tajwańskiej stronie, gdy główny ekran rozjarzył się czerwienią, ostrzegającą przed namierzeniem. Lin poczuł, jak czoło pokrywa mu delikatna rosa. Złapał mocniej drążek, popchnął wolant maksymalnie do przodu i szarpnął, kładąc maszynę przez prawe skrzydło. Tracona łokciem puszka pepsi spadła na podłogę, na posadzce pojawiła się ciemna plama. Słuchawki jęczały w ostrzeżeniu przed obramowaniem wrogą wiązką radarową. Lin wiedział, że jego maszyna jest zbyt wolna, by móc wymanewrować pocisk, pozostawała mu jedynie próba ucieczki.

– Meduza Trzy Siedem, zostałem namierzony. Milę po tajwańskiej stronie strefy buforowej. Przerywam misję, powtarzam, przery... – Nie dokończył. Spokojne wody oceanu i czerwony, pulsujący symbol zniknęły z ekranu zastąpione przez śnieżący obraz.

– Meduza Trzy Siedem, powtórz.

– Wieża, Meduza Trzy Siedem został zestrzelony. Misja nieudana. Powtarzam, Meduza Trzy Siedem został zestrzelony w tajwańskiej strefie buforowej.

Biały Dom, Waszyngton DC, USA | 14 maja 2023, godzina 21:01

Powiedzieć, że gabinet Elizabeth Hawk zalała fala raportów i teczek, to mało. Prezydencka doradczyni do spraw bezpieczeństwa dosłownie tonęła w ilości danych, jakie spływały do Białego Domu. Komórki CIA w Korei Południowej, Chinach i całej Azji huczały od plotek. Postępujące ruchy chińskiej floty, sił powietrznych oraz dziesiątek tysięcy żołnierzy na wybrzeżu zaczęły wzbudzać strach. Słowo zaniepokojenie już dawno wypadło z używanego przez Hawk słownika.

Dosłownie przed kilkunastoma minutami odebrała kolejną wiadomość z Półwyspu Koreańskiego. Po kilkudniowych ciężkich walkach siłom amerykańsko-koreańskim udało się zatrzymać przeciwnika na przedmieściach Seulu. Wielu komentowało to jako pyrrusowe zwycięstwo, bowiem niemal dwadzieścia procent zabudowy miasta legło w gruzach, a straty wśród cywilów były ogromne. Mimo to wszystkie doniesienia i analizy wskazywały na przejmowanie inicjatywy przez siły Korei Południowej. Ryzyko uderzenia atomowego ze strony reżimu Kim Dzong Una zmalało niemal do zera. Nasycenie systemów obrony przeciwrakietowej oraz brutalność kampanii powietrznej pierwszych dni konfliktu zrównały z ziemią wszystkie ważniejsze obiekty programu atomowego Korei Północnej. Jediną szansą Koreańczyków była mobilna wyrzutnia lub wystrzelenie rakiety z pokładu okrętu podwodnego, czego większość analityków nie brała pod uwagę ze względu na koreańskie problemy techniczne.

Tak czy inaczej, reżim z Północy przechodził do defensywy, a jedynym realnym zmartwieniem sztabowców pod Seulem był drugi rzut wojsk północnokoreańskich, który w sile niemal dwustu tysięcy ludzi i setek pojazdów zbliżał się do linii frontu. Nieco gorzej uzbrojony niż elitarne dywizje, które wykrawały się w ciągu pierwszych dni wojny, wciąż stanowił zagrożenie. Seul miał jednak śmiały plan powstrzymania drugiej fali komunistycznego ataku. Zgromadzone tuż przy linii frontu rezerwy mogły w każdej chwili uderzyć z przyczółków i zamknąć przeciwnika w kotłach. Albert Armitage był zachwycony, dni reżimu Kim Dzong Una wydawały się policzone. Wszyscy dobrze wiedzieli, że Seul nie zatrzyma się na linii demarkacyjnej.

Nie wszędzie było jednak tak dobrze. Pętla wokół Tajwanu zacieśniała się, Chińczycy perfekcyjnie wykorzystali zamieszanie na półwyspie, Elizabeth uważała, że zaszli od tyłu nie tylko Tajwan. Do tego zastali tajwańskie siły obronne ze spuszczoneymi spodniami. Wydawało się, że nawet Pentagon zapomniał o dwóch okrętach, które do tej pory kolebały się na redzie tajwańskiego portu. Co prawda Elizabeth pamiętała, że w stronę Okinawy wypłynęła grupa okrętów VII Floty, ale gest ten wydawał się bardziej kurtuazyjny niż obliczony na realne działanie. Sześć okrętów US Navy nie miało szans przebić chińskiego kordonu. Hawk wolała nawet nie myśleć o chińskich eskadrach, które nieustannie patrolowały niebo nad Pacyfikiem. Wystarczyłoby jedno uderzenie, by zmieść z powierzchni oceanu amerykańskie okręty i otworzyć sobie drogę do desantu na wyspę. Potrzebny był już tylko pretekst, incydent...

Telefon omal nie doprowadził jej do zawału. W doskonale wytłumionym biurze terkot aparatu rozdzwonił się jak seria z karabinu maszynowego. Poczwała, jak serce łomocze jej o żebra. Sięgnęła po słuchawkę.

– Elizabeth Hawk – powiedział najspokojniej, jak potrafiła.

– Cześć, Hawk, tu Ryan.

– Co tym razem, Sinclair? – zapytała z udawanym przekąsem. Od niemal tygodnia wszystkie telefony, jakie odebrała od pupilka Johna Brennana, zwiastowały coraz mroczniejsze scenariusze.

– Wiesz, że Tajwańczycy narzucili wszystkim swoją strefę buforową?

– Ryan... Powiedz, o co chodzi, mam tu masę raportów – odpowiedziała zrezygnowana. – Nie mam ani czasu, ani ochoty na gierki.

– Kilkadziesiąt minut temu Tajwańczycy zestrzelili nad strefą chińskiego drona zwiadowczego. Bez żadnego ostrzeżenia, zawzięli się. – Sinclair parsknął, wypowiadając ostatnie słowa. Elizabeth wiedziała, że w ten sposób odreagowuje stres. Niezdrowy, patologiczny wręcz sarkazm był niezbitym dowodem na to, że agent CIA znajduje się na skraju wyczerpania.

– Słucham? – zapytała Elizabeth, przytrzymując się biurka.

– Słyszałaś, Hawk. – Zawsze zwracał się do niej po nazwisku. Doradczyni była pewna, że w jego tonie w takich sytuacjach pobrzmiewała nuta delikatnej pogardy. – Tajwańczycy się wkurwili. Mówiłaś, że Jinping potrzebuje pretekstu. Nieuznawana przez Chiny strefa buforowa i zestrzelenie w niej drona zwiadowczego... Lepiej nie mogli tego wymyślić.

– Mój Boże... Oni to zrobią, Ryan. – Elizabeth odchyliła głowę w geście bezradności.

– Owszem.

– Muszę iść do Armitage'a, muszę mu to natychmiast powiedzieć.

– Biegnij, właśnie wyjeżdżam z Brennanem z kwatery.

Nie powiedziała nic więcej. Skinęła nieznacznie głową i odłożyła słuchawkę z trzaskiem. Zerwała się z fotela, założyła wymięty żakiet i poprawiła fryzurę. Wypadła na korytarz z milionem myśli w głowie. Bóg jeden wiedział, czy w tej chwili na Tajpej nie spadają już pierwsze rakiety, a oba amerykańskie okręty nie idą na dno. Być może od chińskich wybrzeży oderwały się okręty desantowe, które zmierzają ku tajwańskim plażom, a z pokładu lotniskowców startowały kolejne obwieszone bombami maszyny.

Tajwan był małą wyspą, silnie zurbanizowaną. Wyspa stanowiła dom dla dwudziestu czterech milionów ludzi. Oni nie mieli dokąd uciec, w przypadku intensywnych bombardowań czekała ich rzeź.

Przebiegła korytarz i zatrzymała się przed drzwiami Gabinetu Ovalnego. Opanowała zadyszkę i strzepnęła dłonie, by zniwelować drżenie. Nim Ryan Sinclair i John Brennan dotrą do Białego Domu, minie przynajmniej pół godziny. Choć od kwatery głównej CIA dzieliło ich niespełna dziesięć mil, waszyngtońskie korki skutecznie utrudniały komunikację nawet eskortowanej na kogutach rządowej kolumnie.

Agent Secret Service, który czuwał przy drzwiach, zapukał. Odczekał umowne kilka sekund, po czym nacisnął klamkę, otwierając przed Elizabeth przejście do gabinetu.

– Elizabeth – powiedział Armitage z uśmiechem. Worki pod oczami, brak marynarki oraz krawata zdradzały równie intensywne i pozbawione odpoczynku dni. – Mów, nie silmy się na kurtuazję.

– Tajwańczycy zestrzelili nad strefą buforową chiński bezzałogowiec. Boję się, że to może być pretekst. Rozmawiałam z Ryan Sinclairem, jest w drodze razem z dyrektorem Brennanem – wyrzuciła Hawk jednym tchem.

Armitage kiwnął głową, jakby ta informacja była przez niego od dawna oczekiwana. Żadnego zaskoczenia, raczej zadowolenie z własnej predykcji zdarzeń.

– Od dłuższego czasu nie można było tego zatrzymać, Elizabeth – odpowiedział. – Myśleliście, że nic nie robię, że wysłałem nasze dwa okręty wraz z załogami na pewną śmierć. Nie, musiałem minimalizować straty. Nie mogłem pozwolić, by nasze siły wykrwawiły się ku uciesze rządu w Tajpej. Będziemy walczyć wtedy, kiedy będzie to oznaczało zwycięstwo. Nie wcześniej.

Wojciech Miemiec, jak każdej nocy, spędzał czas przed solidnym, wojskowym komputerem podłączonym do stosu elektroniki. Nocna warta przed monitorem należała do najbardziej nużących obowiązków podczas pobytu na Tajwanie. Miemiec, nazywany przez kolegów „Minionem”, trwał w

fotelu już drugi dzień z rzędu. Rekrutował się z Formozy, jego żywiołem było morze, a domem stara niemiecka torpedownia. Ślęczenie godzinami przed ekranem laptopa doprowadzało go do szewskiej pasji.

Sięgnął po telefon, który do tej pory spoczywał uśpiony na blacie stolika. Odblokował ekran i stuknął kciukiem w ikonę jednej z popularnych gier platformowych. Zaklął pod nosem, widząc, że ostatni z wystrzelonych ptaków rozbił się tuż przed poturbowanym prosiakiem.

Czekając, aż poziom ponownie się załaduje, spojrzął na ekran. Do skrzynki dotarła nowa wiadomość. „Minion” wygasił telefon i otworzył maila. Pomiął standardowy wstęp i przeszedł do krótkiej, ledwie kilkudzaniowej notki. Tym razem zaklął na głos.

Obudzenie reszty i zwołanie dowódców zajęło mu minutę. Zaspani, z lepiącymi się od resztek snu oczami rozsiedli się na krzesłach, szafkach i stolikach. Miemiec vel „Minion” stał pośrodku z komputerem i tłumaczył znaczenie wiadomości, którą otrzymali ze sztabu w Bobolicach.

– Zestrzelenie tego drona może być dla Chińczyków doskonałym pretekstem. Sztab uważa, że ryzyko konfliktu jest ogromne – powiedział.

– No, panowie, nie ma co dłużej czekać na wieści z Kijowa. – Bołkoński wstał z krzesła i skrzyżował ramiona na piersi. – Zanim porozumieją się z radą, zejdzie pewnie cały dzień. Powinniśmy wywołać kod alarmowy, już i tak zbyt długo z tym zwlekamy.

– To będzie samowolka, Andriej – odpowiedział „Angel”, trąc dłoń.

– Jaka samowolka? Po to dali nam kod alarmowy, żeby w przypadku bezpośredniego zagrożenia móc ominąć procedurę – zachnął się Bołkoński.

– Niby nic się jeszcze nie wydarzyło... – Jastrzębski ziewnął przeciągle. – Ale z drugiej strony, kto po nas przyleci, jeśli na Tajpej zaczną spadać bomby? – zapytał.

Pytanie zawisło w powietrzu. Kilku dowódców sekcji pokiwało w milczeniu głowami, inni nawet nie drgnęli. Wszyscy chcieli jak najszybciej opuścić wyspę i owszem, mieli ku temu odpowiednie narzędzia. Jednak pominięcie drogi służbowej, w przypadku gdy awantura rozejdzie się po kościach, mogłoby oznaczać konsekwencje nie tylko dla dowódcy, ale i dla całej jednostki, która notabene oficjalnie nie istniała. Nikt nie chciał nadwyręzać bliskich kontaktów republiki z Przymierzem, szczególnie podczas jawnego kryzysu.

Preiss milczał. Stał z dłońmi schowanymi w kieszeniach spodni i patrzył w podłogę. Nie uniósł wzroku nawet wówczas, kiedy wiedział, że zogniskował na sobie spojrzenia wszystkich zgromadzonych w pomieszczeniu operatorów.

– Rozpocznijcie procedurę alarmową – powiedział, nie zmieniając pozycji. Jego wzrok wciąż przebijał miękki dywan, którym wyłożona była podłoga. – Nie możemy dłużej narażać cywilów. To się może zacząć w każdej chwili.

– Ale... – zaczął „Angel”.

– Przykro mi to mówić – Preiss jako formalny dowódca wszedł w słowo podwładnemu – ale Bołkoński ma rację. Jeśli wyślemy sygnał alarmowy za późno, utkniemy tu. Musimy ewakuować ich jak najszybciej. „Minion”, rób swoje, zawiadom naszych. Przygotować sprzęt. Za kwadrans widzimy się na korytarzu, ja dzwonię do Bobolic.

Pokój opustoszał w kilka chwil. Kiedy grafenowa kamizelka przyjemnie obciążyla korpus, a dłonie chwyciły oszynowanego MSBS-a, Wojciech Miemiec poczuł, że w jego żyłach ponownie zaczyna płynąć krew.

Zakazane Miasto, Pekin, Chiny | 15 maja 2023, godzina 04:37

Tym razem Xi Jinping nie chciał zapeszać. Nie ogłaszał rozpoczęcia inwazji w wielkiej sali podziemnego centrum dowodzenia. Nie chciał obserwować potężnych ekranów i dziesiątek ludzi, którzy wpatrzni w monitory śledzili ruchy poszczególnych korpusów i dywizji. Zamiast tego zaszył się w swoim gabinecie, ostoi spokoju i samotności. Bezpośrednie dowodzenie zostawił generałom, w tym Fangowi Fenghui, szefowi sztabu. Czekał tylko na telefon.

Palenie rzucił dawno temu, głównie ze względu na podupadające zdrowie. Fala zachodniej mody na zdrowy tryb życia przeszła przez społeczeństwo niczym tsunami. Nawet nie zauważył, kiedy połowa jego gabinetu przerzuciła się z papierosów na gumy do żucia lub zajadała nerwowo wszelkiego rodzaju przekąski. Nie rozumiał tego trendu, a choć lekarza słuchał pilniej niż matki, zawsze trzymał w szufladzie biurka paczkę. Tak na wszelki wypadek.

Sięgnął po kartonik i zerwał banderolę. Usta poczuły znajomy dotyk filtra, uśmiechnął się, kiedy tytoń zasyczał delikatnie od żaru. Pierwszy kłęb siwego dymu wypuścił z namaszczeniem. Delektował się smakiem doskonałej mieszanki, skomponowanej z kilkunastu luksusowych gatunków.

Przez pierwsze kilka sekund udawał, że nie słyszy terkoczącego na biurku telefonu. Ceremoniał był teraz najważniejszy. Po słuchawkę sięgnął dopiero, kiedy zdusił niedopałek w kryształowej popielniczce.

– Panie prezydencie – usłyszał głos generała Fenghui. W tle szumiały rozmowy pozostałych i systematyczne stukanie palców w klawiaturę. Jinping przypomniał sobie atmosferę pracy w sztabie, cień porażki na zimnych, rosyjskich stepach wciąż był w nim obecny. – Wszystkie siły są gotowe do rozpoczęcia ataku. Czekamy tylko na pana rozkaz.

Xi Jinping uśmiechnął się do wspomnień. To samo usłyszał siedem lat temu, kiedy setki samolotów bojowych i rakiet przekraczało granicę rosyjskiej przestrzeni powietrznej. Szło im doskonale i były takie dni, kiedy sztabowcy nie wierzyli w meldunki. To miasto padło bez jednego wystrzału, ta brygada się poddała, lotnisko zniszczone wraz z całym pułkiem Suchojów na płycie postojowej. Wszystko skończyło się w ciągu kilku dni. Determinacja Rosjan i groteskowy wręcz sojusz państw Europy Środkowo-Wschodniej doprowadziły marzenia Jinpinga na skraj przepaści. Potem wystarczyło już tylko lekkie pchnięcie.

– Panie prezydencie? – zapytał Fenghui po kilkunastu sekundach ciszy. – Nasze siły...

– Słyszałem, generale – odparł Jinping. – Niech się zacznie.

Wystartowali kilkanaście minut przed resztą dywizjonu. Pozostałe maszyny dopiero grały silniki na płycie postojowej lub wjeżdżały na pas startowy. Tamci mieli tylko dokończyć dzieła. Sztych uderzenia miały zadać właśnie te pojedyncze maszyny, które wystartowały z kilku baz powietrznych w głębi chińskiego terytorium. Major Mun Xinjao był dumny, że prowadził do boju jeden z kluczy najnowocześniejszych myśliwców, jakie kiedykolwiek dominowały na azjatyckim niebie.

Klucz czterech maszyn J-20B w niewielu aspektach przypominał myśliwce, które wślawiły się misjami bojowymi w Rosji. Zmodyfikowany płatowiec wciąż charakteryzował się układem kaczki i niewielkimi statecznikami w dziobowej części kadłuba. Na tym podobieństwa się kończyły. Wprowadzone do służby przed dwoma laty myśliwce posiadały niemal całkowicie nową awionikę oraz

wyposażenie. Powiększono komory uzbrojenia, co umożliwiło przenoszenie nowych rodzajów pocisków. Wymianie uległa przede wszystkim awionika, świeżo ukończone testy najnowszego radaru typu AESA zadowolili wojskowych. Ponad dwa tysiące modułów składających się na radar mogło jednocześnie śledzić kilkanaście celów na dystansie dochodzącym do czterystu kilometrów. Znacznie zmodernizowano również elektrooptyczny system namierzania oraz urządzenia służące do śledzenia obiektów w podczerwieni. Wszystko to napędzane było dwoma turbinowymi silnikami WS-15, które zapewniały przyspieszenie do ponad dwóch tysięcy kilometrów na godzinę. Teoretycznie do wykonania zadania powierzonego majorowi Xinjao nie trzeba było wysłać tak zaawansowanych maszyn. Pociski X-100, które spoczywały w komorach uzbrojenia, były wyposażone w lokalizatory GPS i naprowadzały się zgodnie z danymi geograficznymi. Nie wymagały uruchamiania wszystkich futurystycznych sensorów umieszczonych wewnątrz kadłuba samolotu.

– Jadeitowy Królik Jeden do wszystkich. Rozpocząć procedurę uzbrojenia pocisków. Czas do linii granicznej T minus sto osiemdziesiąt – powiedział Mun Xinjao, spoglądając na jeden z trzech ciekłokrystalicznych ekranów zainstalowanych w kokpicie. Pozycja jego klucza odświeżała się w czasie rzeczywistym. Wlatywali właśnie nad wody Cieśniny Tajwańskiej.

– Przyjąłem, Jadeitowy Królik Jeden, rozpoczynam procedurę – odpowiedzieli kolejno członkowie formacji.

– Jadeitowy Królik Jeden do wszystkich – powiedział major. – Pastuch melduje o aktywności tajwańskiego lotnictwa nad wyspą i strefą buforową. Odpalamy z granicy zasięgu i zawracamy. Naszym zadaniem jest nieangażowanie się w walki powietrzne – dodał. Pamiętał cichy pomruk zawodu, kiedy odczytał na odprawie rozkaz o zakazie ataków na tajwańskie lotnictwo.

– Przyjąłem, Jadeitowy Królik Jeden.

Major wybrał z listy właściwe pociski i uzbroił głowicę. Łącznie ataku miało dokonać dwadzieścia maszyn, zgrupowanych w czterech kluczach. Główną bronią pilotów nie były jednak rakiety powietrze–powietrze, a enigmatyczne X-100. Chińczycy, zdruzgotani uderzeniem impulsem elektromagnetycznym tuż przed kontrofensywą Przymierza w Rosji, postanowili wyciągnąć wnioski. Już niespełna trzy lata później pierwsze prototypy rodzimej broni elektromagnetycznej były gotowe do testów. Przez lata udoskonalane, teraz miały udowodnić swoją wartość nad tajwańskimi miastami.

– Jadeitowy Królik Jeden do wszystkich. Czas do odpalenia T minus trzydzieści. Natychmiastowy zwrot tuż po odpaleniu. Pastuch wskazuje na liczne cele w strefie buforowej. Tajwańczycy wykryli nasze maszyny zwiadowcze. – Major nie odrywał wzroku od ekranów. Daleko na horyzoncie lśniła już wschodząca ku górze pomarańczowa słoneczna tarcza. – T minus dziesięć.

Mun poprawił chwyt na drążku i oblizał wargi. Nadeszła jego chwila.

Palec wskazujący naparł na spust.

– Jadeitowy Królik Jeden do wszystkich. Odpalać!

Komory otwarły się tylko na ułamek sekundy. Każdy z myśliwców wypuścił po dwa pociski X-100 i natychmiast wykonał zwrot przez lewe skrzydło. Żaden z pilotów nie widział, jak ogniki pędzą z zawrotną prędkością ku coraz jaśniejszemu horyzontowi.

Komandor Szen pokiwał głową i podniósł wzrok na pierwszego oficera. Podobnie jak reszta kadry stał w niewielkim odstępnie od dowódcy okrętu w oczekiwaniu na ostateczne dyspozycje.

– Rozumiem – powiedział Szen i po raz kolejny skinął głową na potwierdzenie. – Wykonuję.

Terminal łączności z dowództwem ożył, wypływając wąski, zadrukowany meldunek. Komandor sięgnął po kartkę i przejechał wzrokiem po kolejnych liniijkach. Westchnął przeciągle i spojrzął przed siebie.

– Wszyscy na stanowiska. Rozpoczynamy „Pierścień Ognia”!

Komandor Szen wsparł się na dłoniach i spojrzął na szeroki ekran. Wkomponowany w pulpit przedstawiał najbliższe otoczenie oraz wskazywał pozycje bliźniaczych okrętów. Cztery jednostki typu 093A spoczywały do tej pory na dnie okalających Tajwan wód. Teraz ponadstumetrowej długości potwory ożyły.

– Rakiety gotowe do odpalenia – powiedział jeden z oficerów przy konsoli kierowania pociskami manewrującymi.

– Odpalać! – odparł Szen. Spojrzął w boczny ekran, na którym wyświetliły się kolejne symbole oznaczające komory pocisków. – Zebrać potwierdzenia od pozostałych okrętów. Mają zameldować wystrzelenie swoich ładunków.

– Tak jest! – zameldował kolejny z oficerów.

– Jedyńka poszła, dwójka poszła... – Oficer na stanowisku kontroli uzbrojenia wyliczał kolejne rakiety, które w chmurze ognia opuszczały tuby.

Komandor Szen kiwał głową w rytm, jak kolejne DF-10A zmieniały kolor na zielony. Wystrzelenie całego zapasu dwunastu pocisków zajęło zaledwie pół minuty. Każdy z nich przeciął wzburzoną tafłę oceanu i w ognistym podmuchu opadł tuż nad powierzchnię, by po chwili przeciąć powietrze w drodze ku swojemu przeznaczeniu.

Nie minęło kilka minut, jak do okrętów podwodnych dołączyły oba zgrupowania chińskiej floty oraz lotnictwo. Setki bomb i pocisków runęły ku wyspie w jednym, konkretnym celu, nocne niebo nad Tajwanem przybrało ognistą barwę.

Komandor Szen był pewien, że nawet dwieście metrów pod powierzchnią oceanu słyszy krzyk przerażenia.

Kiedy zgasły światła, Emily Huang zaczynała właśnie malować sobie oczy. Yang zwykle patrzył na nią w takich sytuacjach z niezmiennym zdziwieniem. Uważał, że kobieta tak piękna jak ona, o cerze jak z alabastru i doskonałych proporcjach twarzy, nie potrzebuje żadnych upiększaczy. Kiedy wychodzili na wspólną kolację, mocno podkreślone oczy Emily przyciągały zwykle spojrzenia większości zgromadzonych w restauracji gości, łącznie z kelnerem.

Emily zakłęła cicho, wbijając sobie pędzelek w kącik oka.

– Szlag! – syknęła. – Yang, wybiło korki?

– Nie wiem... Zaraz sprawdzę! – usłyszała w odpowiedzi. Chwilę później usłyszała głośny stuk dobiegający z kuchni i sapnięcie Yanga.

– Żyjesz? – zapytała, wychodząc po omacku z łazienki.

– Pierdolony stołek... – mruknął, przechodząc do przedpokoju. Snop światła latarki grał na ścianach i meblach zaciemnionego domu.

Yang otworzył plastikową pokrywę puszek i poświecił po bezpiecznikach. Wyglądało na to, że wszystkie są sprawne, żaden nie był osmolony i nie wydzielał charakterystycznej woni spalonej instalacji. Mruknął, przełączając kolejne bezpieczniki, bez efektu. Zamknął puszkę i stał przez kilka sekund, oświetlając plastikową pokrywę.

– Dziwne... Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Może znowu w elektrowni nawalili? – rzucił.

– Zobacz, czy u sąsiadów jest to samo – powiedziała Emily, zakrywając nagie ciało połami szlafroka. – Ja pójdę do dzieci.

– OK – odpowiedział Yang i ruszył ku kuchni z szerokimi, panoramicznymi oknami.

Emily wzięła drugą latarkę i wspięła się po drewnianych schodach na piętro. Nie dobiegł jej żaden

dźwięk, dzieci zapewne wciąż smacznie spały. Budzili je dopiero w okolicach szóstej, dzięki temu mieli godzinę spokoju dla siebie. Wspólna kawa i toaleta były dla nich rytuałem, którego nigdy sobie nie odmawiali. Naturalnie poza weekendami, wtedy poranki wydłużali do maksimum, kiedy nie sposób było już zagłuszyć małej Chen.

Na piętrze przystanęła na kilka sekund, by upewnić się, że... Sama nie wiedziała, co ją tak przestraszyło. Skrzypnięcie deski czy może odległy, zduszony huk, który doszedł jej uszu. Winę zrzuciła na wyobraźnię, która w ciemnościach płata ludziom figle. Zajrzała do pokoju Chen, dziewczynka spała w łóżeczku jak zaczarowana. Emily uśmiechnęła się mimowolnie, spoglądając na niewinną twarzączkę córki.

Podobnie było w pokoju Davida. Sześciolatek spał w najlepsze, co chwila pochrapując jak mały parowóz. Jak zawsze spał całkiem odkryty, kołdra zwisała z łóżka, zwinięta w skopany stopami rulon. Emily walczyła kiedyś z tą oniryczną aktywnością, ale po kilku latach dała za wygraną. Zamiast tego znalazła pośrednie rozwiązanie. Piżamie z nadrukiem pełnej zbroi imperialnego szturmowca mały David nie mógł się oprzeć.

Zakończyła obchód i trzymając się poręczy, zeszła na dół. Yang stał przy oknie w kuchni z wyłączoną latarką. Przez żaluzje obserwował podjazd i sąsiednie domy.

– Słyszałeś ten huk, Yang? – zapytała, kiedy stanęła tuż obok męża.

– Tak, to chyba był transformator. Musiał porządnie rąbnąć. Światła nie ma chyba w całej dzielnicy – odpowiedział. – Co u dzieci?

– Śpią.

– Davida nie obudzi nawet lokomotywa. Mam nadzieję, że w przedszkolu jest światło, inaczej trzeba będzie zadzwonić do... – Yang urwał, widząc, jak Emily stuka zawzięcie w czarny ekran smartfona. – Co jest?

– Yang, telefon mi nie działa. Wczoraj ładowałam, niemożliwe, żeby bateria padła. – Zmarszczyła czoło, zawsze tak robiła, kiedy coś ją niepokoiło.

– Na pewno? Może ładowarka była wypięta? – zapytał Yang i poszedł do sypialni. Jego telefon na pewno miał pełną baterię, skończył go ładować, zanim położyli się spać. Yang podniósł aparat z szafki i wcisnął guzik na obudowie. Zero reakcji, kilkukrotne przytrzymanie włącznika dało taki sam efekt. Włożył smartfona do kieszeni spodni i wrócił do kuchni. – Mój też nie działa.

Kolejny huk, tym razem znacznie bliższy, sprawił, że zatrzymał się w pół kroku. Emily pisnęła cicho i podbiegła do męża.

– Co się dzieje, Yang? – zapytała, ściskając go za rękę.

– Nie wiem... – odpowiedział bez przekonania.

Kolejne gromy dolatywały ich uszu. Gdzieś na sąsiednim podjeździe zaczął wyc samochodowy alarm. Następne grzmoty były coraz głośniejsze i oboje usłyszeli płacz Chen, dobiegający z piętra. Chwilę później na schodach załomotały bose stopy Davida.

– Mamo! Co się dzieje?! Czy to Chińczycy? – zapytał mały szturmowiec, trąc piąstką zaspane oczy.

– O mój Boże... – stęknął Yang i skoczył do przedpokoju. Nim Emily zdążyła zareagować, usłyszała trzask drzwi.

– Yang! – krzyknęła. Nie czekała na odpowiedź, złapała Davida za rękę i pobiegła z nim na górę do pokoju Chen. Wzięła córkę na ręce i zeszła do przedpokoju. David nie odstępował jej ani na krok. Był wystraszony, czuła, jak trzyma rączką jej szlafrok. Mała Chen płakała w jej ramionach i oplatała rękami szyję.

Yang stał na ganku. Nawet nie zamknął za sobą drzwi.

Jaśniało.

Grzmoty były już na tyle silne, że każdy kolejny wywoływał drgania w żołądku. Alarmy rozdzwoniły się we wszystkich stojących na podjazdach samochodach. Ludzie wylegli przed domy, wszyscy patrzyli w

jednym kierunku. Emily podążyła za ich wzrokiem.

Centrum Tajpej i rysujące się na horyzoncie wybrzeże tonęły w kłębach ciemnego dymu. Pomruki okazały się eksplozjami spadających z nieba rakiet i bomb, jasne błyski co chwila rozrywały się nad dachami drapaczy chmur i dalekim portem. Emily zakryła usta, zapomniała o płaczu Chen i przyklejonym do nogi Davidzie. Wysoko na mieniącym się kolorami różu niebie przesuwały się dziesiątki czarnych punktów. Dopiero po kilku chwilach rozpoznała znajome z telewizji kształty. Kiedy spod kadłubów odrywały się kolejne pociski, poczuła, jak po jej policzkach płyną łzy.

Hotel Grand Hyatt, Tajpej, Republika Chińska | 15 maja 2023, godzina 05:50

Ciężkie wojskowe buty łomotały o beton hotelowej klatki schodowej. Windy przestały działać dosłownie kilkadziesiąt sekund wcześniej. Hotel pogrążył się w porannym półmroku, pozbawione elektryczności systemy zatrzymały się. Elektryczne zamki w drzwiach puściły z głuchym trzaskiem. Mieli nadzieję, że za chwilę uruchomi się zasilanie awaryjne – zostali poinformowani, że Grand Hyatt dysponuje generatorami zapewniającymi kilkadziesiąt godzin normalnego funkcjonowania obiektu. Nic takiego nie miało miejsca. Preiss, który przeczuwał, co się stało, natychmiast skierował cywilów i operatorów Radegastu do klatki schodowej.

– Po co ten pośpiech, panowie? – pytał co chwilę Radosław Bielecki.

– Misja znalazła się w niebezpieczeństwie – odpowiadał Preiss, popychając dyplomatę, by ten przyspieszył.

– Ale co się dzieje?! – krzyknął Bielecki. – Przecież tylko prądu nie ma. Wielkie mi rzeczy.

– Nie wiem, czy pan zauważył, ale nie uruchomiły się generatory – powiedział kapitan.

– A bo to wszystko i tak chińskie. – Dyplomata machnął ręką.

Droga do podziemnego garażu zajęła im kilka minut. Operatorzy musieli posiłkować się latarkami. Nie działało nawet awaryjne oświetlenie dróg ewakuacji. Musieli zorientować się w sytuacji jako jedni z pierwszych. Dopiero kiedy otwierali pancerne drzwi do garażu, ich uszu dobiegły z góry krzyki spanikowanych ludzi. Kolejni goście wbiegali do całkowicie pozbawionej światła, wąskiej klatki schodowej.

Operatorzy kierowali się do sekcji, w której czekały na nich SUV-y i pojazdy Radegastu. Kiedy dobiegli do zajmowanych przez czarne maszyny miejsc parkingowych, niemal wszyscy dyplomaci wyglądali jak po pokonaniu maratonu. Byli doskonale przygotowani do międzynarodowych batalii o kontrakty i kularowych pojedynków. Żaden jednak nie miał czasu lub chęci, by zadbać o formę i zdrowie. Purpurowe twarze i klejące się do czoła włosy dobitnie świadczyły o zerowej kondycji. Kapitan Preiss przeczuwał, że dla niektórych taki stan rzeczy mógł okazać się zgubny, szczególnie jeśli mroczna wizja Polaka stanie się prawdą. Wolał wiedzieć to od razu.

– „Padre”, weź dwóch ludzi i sprawdźcie wyjazd z parkingu. – Preiss wskazał na byłego członka Jednostki Wojskowej Komandosów i wydał krótki rozkaz.

– Tak jest – odpowiedział operator. Chwilę później trójka specjalsów zniknęła za betonową kolumną.

Preiss zaklął, widząc, jak jego ludzie otwierają samochody kluczykami. Żaden z pilotów nie działał, co tylko potwierdzało domysły kapitana. Podobnie sytuacja miała się z wysokimi Pegazami i rosyjskimi wozami Falkatus. Polak zobaczył kątem oka, że Jastrzębski i Bołkoński idą w jego stronę. Obładowani sprzętem bardziej przypominali cyborgi niż ludzi. Testowany w warunkach bojowych wstępny egzozkielet opinał tylko biodra i łączył się z panelami na nogach operatora. Dzięki temu użytkownik mechanicznego szkieletu mógł bez większego problemu przenosić na plecach ciężary dochodzące do kilkudziesięciu kilogramów. Podczepione do stalowej obręczy na biodrach były niemal niewyczuwalne dla nosiciela. Nie była to jednak najbardziej spektakularna cecha egzozkieletu. Operator maszyny mógł w pełnym rynsztunku dorównywać prędkością olimpijskim sprinterom.

– Preiss – powiedział Bołkoński konspiracyjnym tonem – patrz, nie mogą odpalić samochodów. Żaden z naszych podopiecznych nie jest w stanie włączyć telefonu, nasze prywatne komórki też leżą i kwiczą. Coś mi to przypomina.

– No nie pierdol? – skwitował Preiss, zaciskając zęby. – Jeśli Chińczycy użyli impulsu, będziemy musieli zaiwaniac na lotnisko piechotą.

– Samolot będzie tutaj za niespełna godzinę – dodał Jastrzębski, poprawiając zintegrowany z HUD-em hełm. – Jeśli Kijów już wie, zawrócą go.

– Zawrócą tylko i wyłącznie w przypadku chińskiej inwazji na wyspę – odpowiedział Preiss.

– Jak myślisz, po co by im był impuls? Wyłączyliby sobie pół wyspy dla zwały albo z nudów? – Jastrzębski parsknął, co przez balistyczny hełm zabrzmiało jak odkręcanie butelki wody gazowanej.

– Zaraz się przekonamy. – Preiss spojrzał w górę. Miał nadzieję, że tylko on zauważył ledwie widoczną mgiełkę tynku, która opadała ku ziemi.

„Padre” wraz z dwójką operatorów zjawiał się w garażu chwilę później. Rzeczywiście byli szybcy, pomyślał Preiss. Widział, z jaką lekkością omijali rzędy samochodów. Wszystko z ponad dwudziestoma kilogramami wyposażenia, egzoszkieletem i karabinem w dłoniach.

– No i jak? – zapytał Preiss.

„Padre” pokiwał głową. Odsłonił HUD i spojrzał ponad ramieniem dowódcy. Dyplomaci ledwie żyli, kilkanaścioro kobiet i mężczyzn dyszało ciężko lub ocierało czoła jednorazowymi chusteczkami.

– Chyba się zaczęło. Bombardują, nad miastem krąży pełno samolotów, Tajwańczycy musieli poderwać swoje maszyny. Pełno dymu, to wygląda fatalnie – zameldował „Padre”. – Wątpię w sens kierowania się w stronę lotniska.

– Kurwa... – Preiss zaklął siarczyście. – „Padre”, spróbujcie skontaktować się ze sztabem. Tak, wiem, że Chinole z pewnością będą zagłuszać komunikację, ale spróbuj. Muszą wiedzieć, że żyjemy. Dzięki Bogu, że dostarczyli nam przed odlotem radiostację odporną na impuls.

– Tak jest. – „Padre” skinął głową i wrócił do swojej grupy.

– Andriej, pogadaj z szefem misji. Musi wiedzieć, co się dzieje, niech przygotuje swoich ludzi do dłuższej przeprawy.

– Jasne – odpowiedział Bołkoński i ruszył w stronę grupki przerażonych ludzi.

– A ty chodź ze mną. Chcę to zobaczyć na własne oczy – powiedział Preiss do kapitana i nie czekając na potwierdzenie, ruszył ku wyższym piętrům garażu.

Hełm Jastrzębskiego, podobnie jak reszty oddziału, wyposażony był w aktywne systemy foniczne. Niewielkie mikrofony wbudowane w konstrukcję mogły wyłumić szумы i trzaski, ale doskonale zbierały wszelkie inne odgłosy otoczenia. Mógłby przysiąc, że do uszu dochodziły dźwięki strzelającego pod butami pyłu. Im bliżej powierzchni byli, tym głośniejsze wydawały się odgłosy eksplozji. Jastrzębski był pewien, że przez dudnienie bomb przebijał się jeszcze jeden dźwięk: krzyk.

Pierwszy poziom parkingu zaczynał spowijać dym. Pociski musiały spadać coraz bliżej. Gdyby nie wbudowane w hełm sensory umożliwiające mapowanie zadymionych pomieszczeń, musieliby poruszać się po omacku. Bez problemu znaleźli drogę do wyjazdu na powierzchnię. Jastrzębski stanął jak wryty.

Przynajmniej połowa widocznych ponad dachami wieżowców dymiła z płonących ran. Widział, jak co chwila gdzieś o miasto rozbijają się kolejne ładunki, ciągnąc za sobą szare warkocze spalin. Chińczycy walili ze wszystkiego, co posiadało odpowiedni zasięg.

– Patrz na tych ludzi... – powiedział Preiss, wskazując dłonią na oddaloną o kilkadziesiąt metrów ulicę. Porzucone samochody pozbawione zasilania zajmowały każdy wolny metr wielopasmówki. Zdezorientowani ludzie rozbiegli się z wrzaskiem we wszystkie strony. Wpadali na siebie i tratowali w panicznej ucieczce przed spadającą z nieba śmiercią.

– To rzeź, nie wojna – skwitował Jastrzębski.

– Zrobiją wszystko, żeby zająć tę wyspę. Nie mamy co liczyć na ewakuację samolotem. Lotnisko przypomina już pewnie durszlak. – Kapitan wskazał na niebo. Dziesiątki smug kondensacyjnych przecinało niebo w śmiertelnym tańcu. Co chwila na szarzącym od dymu niebie rozbłyskiwała jasna jak słońce eksplozja. Tam nie było pardonu. – Oby tylko nasi zdążyli zawrócić.

– Co teraz, Preiss? – zapytał Jastrzębski, poprawiając chwyt na karabinie. – Jesteśmy w samym środku tego gówna.

– Oho, jak trwoga, to do Boga – zakpił dowódca. – Najpierw połączymy się ze sztabem. Oni muszą nas stąd jakoś wyciągnąć. Do tego czasu najlepiej będzie zamelinować się w jakiejś dziurze.

– Nie damy rady uciec piechotą. Widziałeś, jak oni wyglądają po kilkuminutowym biegu w dół klatki schodowej? – zapytał Jastrzębski i kiwnął głową w głąb garażu.

– Od tej chwili walczą o życie, a nic tak nie poprawia kondycji jak depcząca po piętach śmierć.

Preiss odwrócił się i ruszył ku podziemiom. Zobaczył to, co chciał, nie potrzebował dłuższych oględzin. Jastrzębski ruszył za nim ze spuszczoną głową. Po chwili obaj zniknęli w gęstej zawieszynie umierającego miasta.

Tajpej, Republika Chińska | 15 maja 2023, godzina 06:14

– Dostałem! Jastrząb Trzy dostał! Silniki zniszczone, straciłem sterowność! – krzyczał jeden z pilotów eskadry Jastrzębi.

– Katapultuj się! – zawołał pułkownik Ban Tsai, ściągając drążek do siebie. Odwrócił głowę przez lewe ramię.

F-CK-1/D Jastrzębia Trzy pikował w dół jak worek ziemniaków. Płonące silniki rozlewały pożar na kadłub i skrzydła. Pilot katapultował się w ostatniej chwili. Ładunki pirotechniczne wystrzeliły fotel w powietrze, spadochron otworzył się z łopotem wiatru. Przynajmniej ten ocalał, pomyślał Tsai.

Wylecieli z bazy Taitung niespełna godzinę temu. Położona na cyplu na wschodnim wybrzeżu, była jedną z najlepiej ufortyfikowanych baz powietrznych na całej wyspie. Broniona przez kilka baterii systemów przeciwlotniczych i przeciwrakietowych na razie opierała się huraganowym chińskim nalotom. Spokojny lot potrwał zaledwie kilka minut. Eskadra wspierana przez parę F-35 miała niepostrzeżenie podejść pod formację kilkunastu chińskich transportowców, które zmierzały nad południowe wybrzeże Tajwanu. Prawie się udało. Chiński AWACS wykrył tajwańskie myśliwce na kilkadziesiąt sekund przed odpaleniem rakiet. To wystarczyło, by eskorta w postaci dwóch kluczy J-10 wysforowała się do przodu. Dzięki danym przekazywanym przez samolot wczesnego ostrzegania obie formacje odpaliły pociski niemal jednocześnie. Pierwsza salwa pozbawiła eskadrę Tsaia dwóch maszyn. Chińczycy stracili jedną więcej, pułkownik był pewien, że po zestrzeleniu kolejnej będą mogli wziąć się do ociężałych transportowców. Szło jak po sznurku, F-CK-1 strąciły kolejne chińskie myśliwce, podczas gdy jeden z F-35 wyeliminował AWACS-a. Choć doznali sporych strat, Tsai wciąż dysponował dziesięcioma maszynami. Namierzył pierwszy z transportowców i wtedy wszystko trafił szlag.

Chińczycy dobrze wiedzieli, w jaki sposób ich zbuntowani rodacy będą próbowali utrzymać się na niebie. Tajwan posiadał zbyt mało amerykańskich maszyn, by móc stworzyć kilka odrębnych formacji złożonych wyłącznie z F-35. Zamiast tego sztab przydzielił po kluczu do każdej z istniejących eskadr i liczył, że dzięki wsparciu w walce elektronicznej oraz potężnym radarom tajwańskie siły powietrzne zyskają nową jakość. Założenie było jak najbardziej słuszne, o czym przekonali się chińscy piloci z pierwszego rzutu. Teraz przyszedł jednak czas na odwet. Klucz J-20B, wspierany przez kilka przechwytyjących jedenastek, pojawił się na radarach w ostatniej chwili. F-35 zareagowały jako pierwsze. Oderwały się od formacji i wypuściły uśpione w komorach rakiety. AMRAAM-y natychmiast złapały cel i kierowane wskazaniem radaru zmierzały ku przeznaczeniu. Pozostałe tajwańskie maszyny musiały podejść znacznie bliżej. Skuteczny zasięg sześćdziesięciu kilometrów rakiet TC-2 wymuszał jak najszybsze skrócenie dzielącego ich od Chińczyków dystansu.

– Jastrząb Trzy katapultował się. – Ban Tsai usłyszał głos skrzydłowego.

– Potwierdzam – powiedział pułkownik i zwiększył prędkość. Od chińskiego J-11 dzieliło go już tylko nieco ponad sześćdziesiąt kilometrów.

– Czarny Jastrząb Jeden do wszystkich – powiedział pilot F-35. – Czarny Jastrząb Dwa został zniszczony, nasze straty przekroczyły połowę stanu. Przerwywamy misję, wracamy do bazy. Powtarzam, oderwać się od przeciwnika, misja przerwana.

– Tu Jastrząb Jeden, transportowce są już nad wyspą! Zaraz zrzucą desant! – krzyknął Tsai i skulił się w fotelu. Kilkanaście metrów nad kokpitem śmignęła właśnie jedna z tajwańskich rakiet. Szerokim zakolem wzbijała się ku błękitnemu niebu i roztrzaskała tuż nad płatowcem wrogiego J-11. Chiński samolot nie wytrzymał uderzenia, paliwo zapaliło się w ułamku sekundy, doprowadzając do eksplozji zbiorników. Pilot nie miał szans.

– Tu Czarny Jastrząb Jeden, przerwać misję, nasze siły są za małe do zniszczenia wrogiej formacji. – Nick Cziang siedzący w wytłumionym kokpicie ultranowoczesnej maszyny wydawał się całkowicie pozbawiony emocji. Wystarczyła jedna godzina, by eskadra zmniejszyła się do połowy stanu, a ten Tajwańczyk amerykańskiego pochodzenia już robił w gacie, pomyślał Tsai. Nie dość, że nie osiągnęli zamierzonego celu, to jeszcze mieli zmykać z podkulonymi ogonami. Ban Tsai miał dość tego fircyka, musiał słuchać go na lądzie, ale w powietrzu nikt nie mógł mu przeszkodzić. – To koniec, Jastrząb Jeden, ratuj swoich ludzi.

– Jastrząb Jeden do wszystkich. Wracamy do bazy... – powiedział Tsai i poczekał, aż ocalali podwładni potwierdzą odbiór rozkazu. Wiedział, że taki dzień kiedyś nadejdzie. – Natychmiast oderwać się od przeciwnika. Kurs na Taitung.

Pułkownik widział, jak poszczególne maszyny wykonują ostre zwroty lub pikują w dół, by zgubić pędzące za nimi rakiety. Chińczycy nie dawali za wygraną, ich formacja rozbiła się na pojedyncze maszyny, które zawzięcie ścigały spanikowanych pilotów F-CK-1. Nim podjął decyzję i wyłączył radio, słyszał jeszcze mordercze okrzyki jednego ze swoich pilotów. Tsai poznał ten skowyt, Jastrząb Dziewięć. Katapultował się dokładnie w tej samej sekundzie, w której chińska rakietka wbiła się w kadłub jego samolotu. O dziwo odłamki ani fala uderzeniowa nie zmiażdżyły go, było znacznie gorzej. Oderwany siłą wybuchu fragment poszycia odciął nogi pilota na wysokości kolan. Umarł, nim jego ciało opadło na spadochronie między płonące budynki niewielkiego miasteczka.

Pułkownik przymknął oczy. Napał na drążek. Chiński myśliwiec, który dołączył do transportowców, musiał być świadom zagrożenia. Odbił od formacji i wyskoczył w górę. Tsai doskonale wiedział, co chciał zrobić przeciwnik. Zwiększył ciąg do maksimum i poderwał własną maszynę ku niebu. J-11 znajdował się na granicy zasięgu, przy tej prędkości i dystansie było niemal pewne, że pocisk może zgubić cel. Musiał jeszcze poczekać.

– Chodź tu, skurwysynu... – powiedział sam do siebie. Przełożył palec wskazujący na spust. Jeszcze kilka sekund. – Mam cię...

J-11 zmienił kurs, położył się przez prawe skrzydło i szedł szerokim łukiem, w nadziei, że uda mu się wejść na ogon myśliwego. Tsai przeczuwał, że chiński pilot podejmie taką decyzję. Skręcił ostro i ustawił dziób dokładnie tam, gdzie powinien być przeciwnik. Według radaru dystans zmalał do czterdziestu kilometrów. Pułkownik obniżył lot. Czuł, jak przeciążenie wciska jego ciało w fotel, a uprząż zaczyna uwierać przez kombinezon. Niemal dwa machy, maksymalna prędkość, jaką na dopalaczach mógł osiągnąć tajwański myśliwiec. Kilometry dzielące go od Chińczyka znikwały w zastraszającym tempie. Podczerwień złapała namiar, rakietka TC-1 zwolniła zaczepy. Podmuch gazów przesłonił na sekundę kokpit.

– Teraz mi już nie uciekniesz! – powiedział Tsai przez zaciśnięte zęby.

Pilot prowadzący J-11 zgubił pierwszą raketę, lecz zbliżająca się z flanki TC-1 nie dała mu żadnych szans na reakcję. Pocisk był już w terminalnej fazie lotu, nawet wystrzelone w desperacji flary nie mogły zmienić wyniku potyczki. Kilkunastokilogramowa głowica rozerwała się tuż przy poszyciu, dewastując konstrukcję. Samolot dosłownie złamał się w pół, siejąc na wszystkie strony ostrymi jak brzytwa odłamekami.

Ban Tsai zawył w zachwycie i przyciągnął z całej siły drążek. Nie myślał o powrocie do bazy. Wiedział, że nie ma już pod skrzydłami żadnej rakiety, a automatycznym działkiem mógłby co najwyżej zestrzelić kilka kołujących nad wybrzeżem mew. Ale czy to był problem? Pułkownik siedział w kilkutonowym odrzutowym pocisku. Wystarczyło tylko dobrze naprowadzić się na cel.

Formacja transportowców zrobiła dokładnie to, co przewidziano na błyskawicznej odprawie. Pod eskortą myśliwców miały dolecieć nad tajwańskie bazy powietrzne na zachodnim wybrzeżu i dokonać desantu. Zadaniem spadochroniarzy miało być utrzymanie umocnionych punktów obrony do czasu przybycia głównych sił od strony wybrzeża. Tsai był blisko, a jakimś cudem chińscy piloci wydawali się

nie interesować samotnym bandytą. Ich formacje rozlały się po niebie w morderczym zwarciu z niedobitkami tajwańskich sił powietrznych. Lepszej okazji nie mógł sobie wymarzyć.

Pułkownik Ban Tsai skręcił drążek i zwrócił maszynę ku chińskim transportowcom. Desant trwał, setki spadochronów jeden za drugim zakrywały niebo ciemnymi kleksami opadających ku ziemi żołnierzy. Tsai uśmiechnął się, wycelował HUD ku najbliższej maszynie i ponownie uruchomił dopalacze. Zerwał maskę ciśnieniową, przeszkadzała mu. A przecież tak bardzo chciało mu się śmiać.

Czuła, że umiera. Nigdy nie była tak bardzo przerażona. Życie wymykało jej się z rąk, wszystko waliło się w gruzy. Yang coś do niej krzyczał, wiedziała to, ale nie słyszała słów. Dopiero kiedy wyrwał jej z rąk opakowanie leków przeciwbólowych i wrzucił do plecaka, zrozumiała, czego od niej chciał. Nie wytrzymała. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa, osunęła się wzdłuż szafki kuchennej prosto na zimne płytki. Yang zaklął i podbiegł do żony.

– Emily. Musisz wziąć się w garść, rozumiesz? – powiedział, łapiąc ją za ramiona. – Dzieci... Nie możemy... Kurwa. Po prostu spakuj te leki, ja pójdę do dzieci.

– Mhm. – Pokiwała głową i wciągnęła powietrze. – Dobrze, ja spakuję. Idź, zaraz będziemy gotowi.

– Kocham cię, Emily. Wszystko będzie dobrze. – Yang uśmiechnął się i pocałował ją w czoło. Jej krótko ostrzyżone włosy lepiły się do skóry. Nie wiedziała, czy da radę.

Wsparała się na dłoniach i wspięła na równe nogi. Niewielki plecak leżał na blacie, tuż obok stał koszyczek z lekarstwami. Zawsze zostawało im coś po przeziębieniu, grypie lub innej infekcji. Nigdy nie myślała o tym, że musi regularnie uzupełniać apteczkę. Teraz wkładała do plecaka listki leków przeciwzapalnych, w których zostały po dwie, trzy tabletki. Tyle razy Yang mówił, że powinni kupić sobie apteczkę na wszelki wypadek, a ona za każdym razem go wyśmiewała.

Słyszała, jak David rozmawia z ojcem w salonie. Wiedziała, że czekają tylko na nią. Zasunęła plecak, odwróciła się w stronę wyjścia z kuchni. Atak paniki uderzył ją jak kafar prosto w splot słoneczny. Tysiące myśli rozerwało się pod czaszką. O tej godzinie właśnie kłóciłyby się z koleżanką o miejsce przy nowym ekspresie do kawy w biurowej kuchni. David zapewne przysypiałby na lekcji, mała Chen spokojnie wpatrywałaby się w bajkę w żłobku, a Yang... Po raz kolejny wciskałby komuś specjalną ofertę tylko dla niego, szytą na miarę. Pamiętała, że miara niemal zawsze była zdecydowanie za duża, jak na portfel klienta. Ale zdarzali się tacy, którzy dla dobrej lokalizacji byli w stanie wiele zaryzykować. Prowizja z takiej sprzedaży zapewniała im wakacje na jednej z licznych pacyficznych wysepek.

To się właśnie skończyło. Przepadło wraz z pierwszą bombą, która rozbiła się o tajwańską ziemię. Wszyscy mówili, że to tylko kwestia czasu. Nie wierzyła, wyparła ze świadomości te słowa. To przecież nie było możliwe za jej życia, może dzieci, wnuki albo jeszcze później. Ale wtedy będą już potęgą. Chińczykom nie opłaci się inwazja, a ona będzie mogła wieść spokojne, szczęśliwe życie.

Prysło. Zniknęło.

Emily Huang, osoba, która poza śmiercią bała się tylko konfrontacji z innymi ludźmi, właśnie była zmuszona walczyć o swoje życie.

– Emily! – usłyszała krzyk z salonu.

– Idę! – odpowiedziała, a pewność głosu zaskoczyła ją samą.

– Musimy się zbierać... Pamiętam ze szkoleń, że w przypadku niebezpieczeństwa najbliższy punkt zborny jest...

Huk dosłownie zdławił słowa w gardle. Potężny rumor przetoczył się nad domem, ściany zadrżały, szyby załomotały w oknach, jedna z nich pękła i rozpadła się na kawałki. Chen wrzeszczała wniebogłosy, David wcisnął się między dwa skórzane fotele i zakrył uszy. Yang przykucnął, instynktownie tuląc do piersi córeczkę. Emily oddychała ciężko i trzymała się framugi. Poczowała, jak nogi pulsują od nadmiaru

adrenaliny.

– Musimy uciekać, musimy uciekać. Bierz Davida! – Yang zerwał się na równe nogi i pobiegł do przedpokoj.

– Przeżyjemy... – wyszeptała Emily i podeszła powoli do syna. Płakał, oddychał szybko, przyciskał dłonie do uszu i patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. – Chodź, David. Musimy iść.

Złapał wyciągniętą do niego dłoń, jakby była ostatnim ratunkiem. Emily odpowiedziała na ten gest uśmiechem. Był dzielny, był z jej krwi, zawsze wierzyła, że będzie silniejszy od niej.

Yang z plecakiem i nosidełkiem przerzuconym przez pierś czekał oparty o szary od pyłu samochód. Patrzył na nią w nadziei, że doda jej otuchy. Był równie przerażony jak ona sama, Emily doskonale o tym wiedziała. Mimo wszystko czuła moc bijącą z jego spojrzenia. Skinął na nią. Odpowiedziała delikatnym ruchem głowy.

Wybiegli na ulicę. Yang zwolnił kroku, widok paraliżował. Już wiedział, skąd ten huk, tylne stateczniki samolotu wciąż wystawały z dachu. Myśliwiec roztrzaskał piętro sąsiedniego domu i zdemolował parter, ze wszystkich okien buchał czarny dym i płomień. Yang znał ludzi, którzy tam mieszkali, jeszcze kilka dni temu widzieli się z nimi podczas weekendowej posiadówki. Yang stał z sąsiadem przy oknie, z którego wystawało teraz pogięte skrzydło chińskiego myśliwca.

– Emily... To dom Sin i Sebastiana – powiedział, odwracając do niej twarz.

– Nie żyją, Yang. Chodź.

Emily odwróciła się na pięcie i ruszyła w przeciwnym kierunku. Usłyszała za sobą kroki Yanga. Zdziwiło ją, że tak szybko porzuciła myśl o pomocy przyjacielom z sąsiedztwa. Przez chwilę poczuła ulgę, że Yang nie oponował, wiedziała, że w końcu przekonałby ją do sprawdzenia płonącego domu. Kto wie, może ktoś jednak przeżył i musieliby go taszczyć jak... balast? – pomyślała.

Na ulicach panował absolutny chaos. Grupki ludzi biegały we wszystkich kierunkach. Emily widziała, jak ktoś przypadkiem trącił ramieniem staruszkę. Kobieta nie dała rady utrzymać równowagi, padła jak długa na trawnik przed domem. Nikt nie pomógł jej wstać, krzyczała, wołała o pomoc. Emily zacisnęła oczy, odwróciła głowę w drugą stronę. Biegła dla małej Chen, dla Davida i Yanga, musiała.

– Emily! – usłyszała za sobą głos męża. – Poczekaj!

Zatrzymała się.

– Patrz... – Wskazał jej kolejne formacje samolotów, które przetaczały się przez szare od dymu niebo.

Podmuch eksplozji rzucił ją prosto w krzaki. Przerażona poczuła, że wypuściła dłoń syna. Nim zdążyła wstać, Yang złapał ją za ramię i pociągnął do siebie.

– Biegnij! – Jej mąż krzyczał jak nigdy wcześniej.

– Gdzie? – Biegła przed siebie, nie wiedziała, który kierunek jest dobry. Ogień, wszędzie ogień i ogłuszający huk.

– Tunel! Do tunelu!

Odbiła się od furgonetki, która stała w poprzek drogi. Zobaczyła czarną plamę przed sobą. To musi być wylot tunelu, pomyślała Emily. Rzuciła się tam, nie patrząc, czy ma za sobą dzieci i męża. Biegła, biegła po życie, teraz już tylko dla siebie. Udało jej się, zatrzymała się dopiero na jednej ze ścian głęboko w tunelu. Dobiegli do niej dobrą minutę później. Emily odwróciła się do męża, po czym ukryła twarz w dłoniach. Przecież sam mówił, żeby bieć. Dlaczego tak patrzy, przecież musiałam się ratować, dlaczego? – pytała samą siebie.

Widziała, widziała to spojrzenie. Zostawiła go samego z dwójką dzieci, nawet nie sprawdziła, czy za nią biegną. Nie poznawała siebie, zostawiła rodzinę, by ratować swoje życie. Zwinęła się w kłębek, nie chciała, by Yang na nią patrzył, brzydziła się siebie. Brzydziła się tego, że gdyby miała wybierać, wybrałaby własne ocalenie.

Keelung, Republika Chińska | 15 maja 2023, godzina 07:16

Komandor Dirk Cheney nie był osobą impulsywną. Słynął z opanowania i chłodnej kalkulacji, emocje nie były według niego dobrym doradcą, szczególnie jeśli dowodziło się dwoma okrętami typu Ticonderoga. Prawdopodobnie tylko dzięki niemu załoga obu jednostek wciąż trzymała nerwy na wodzy.

Chiński atak zastał ich podczas porannej odprawy. Choć otrzymywali regularnie doniesienia o ruchach chińskiej floty, uderzenie przyjęli z niedowierzaniem. Sztab w Tajpej zapewniał, że dzięki informacjom wywiadowczym i stałemu nadzorowi nad cieśniną oraz przestrzenią powietrzną będą w stanie odstraszyć Chińczyków od agresywnych kroków. Cheney uśmiechał się, słysząc te zapewnienia, i tak jak przewidział, rzeczywistość zrewidowała możliwości Tajwańczyków.

Atak bronią elektromagnetyczną wywołał panikę wśród ludności cywilnej i służb porządkowych. Policja została w dużej mierze pozbawiona łączności z obywatelami, radiowozy odmówiły posłuszeństwa, ewakuacja mieszkańców zagrożonych stref przynosiła marne efekty. Chwilę później do gry weszły pociski manewrujące i lotnictwo. Tajwańczycy dwoili się i troili, ale przewaga była po stronie atakującego. Nie minęła godzina, jak większość systemów przeciwlotniczych oraz liczących się w boju samolotów została zniszczona lub poważnie uszkodzona. Cheney wiedział, że Chińczycy zapłacili wysoką cenę za panowanie w powietrzu, ale w przeciwieństwie do zbuntowanych rodaków mogli sobie na to pozwolić.

– Udało się nawiązać połączenie ze sztabem? – zapytał Cheney, podpierając się pod boki.

– Jeszcze nie, sir. Chińczycy zagłuszają chyba całą wyspę... – odpowiedział Stuart Jones, pierwszy oficer na pokładzie krążownika. – Może powinniśmy posłuchać Tajwańczyków? W naszej okolicy do tej pory nie spadła ani jedna bomba.

Cheney wydał wargi. Nim urwała się łączność z tajwańską marynarką, komandor otrzymał prośbę o jak najszybsze wyjście w morze. Sztab w Tajpej uważał, że oba okręty wciąż są w stanie połączyć się z grupą bojową, która stacjonowała na oddalonej o niespełna czterysta mil Okinawie. Tajwańczycy zdawali się nie zwracać uwagi, że między amerykańskimi jednostkami operowało kilkadziesiąt gotowych do walki chińskich okrętów.

– Sir! Jest połączenie, jakość kiepska, ale lepiej teraz nie będzie – powiedział jeden z marynarzy do porucznika Jonesa. Ten skinął głową i sięgnął do terminala komunikacyjnego, zabudowanego w pulpicie pomostu bojowego.

– Panie komandorze. – Stuart Jones podał słuchawkę dowódcy.

– Dziękuję – odparł Cheney. – Komandor Cheney z USS „Antietam”.

Przez kilkadziesiąt sekund pomost bojowy wypełniała cisza, przerywana zdawkowymi odpowiedziami komandora. Ten co kilka chwil spoglądał na poszczególnych członków załogi, jakby rozmowa tyczyła się właśnie ich.

– Oczywiście, rozumiem. Będziemy czekać na dalsze rozkazy – powiedział Cheney i oddał słuchawkę Jonesowi. Wziął głęboki oddech. – Jak dobrze wiemy, Tajwan stał się obiektem zmasowanego ataku chińskich sił zbrojnych. Na chwilę obecną nie mamy szczegółowych danych na temat sytuacji taktycznej tajwańskich wojsk. Pewne jest jedno, Tajwańczycy są w odwrocie, w ciągu ostatniej godziny stracili sporą część floty, sił powietrznych oraz systemów obrony przeciwlotniczej. Nasz rząd jest w stałym kontakcie z Tajpej oraz... z Pekinem.

Przez pomost bojowy nie przeszedł nawet pojedynczy szmer. Chcieli lub nie, ich życie zależało w

dużej mierze od zdolności dyplomatycznych polityków. Dobrze wiedzieli, że wpadli w gówno po uszy i każdy niespokojny ruch może być tym ostatnim.

– Otrzymaliśmy również informację, że Siódma Flota wysłała swoje okręty w morze. Nie tylko te, które stacjonują na Okinawie – zaznaczył Cheney. – Tak jest, panowie, Siódma Flota płynie w naszym kierunku. Dopóki nie otrzymamy kolejnych informacji ze sztabu marynarki, cumujemy jak do tej pory. To wszystko, wracać do zadań.

Komandor odczekał kilka sekund, aż marynarze wrócą do obserwacji przyrządów i zajmą się wymianą zdań na temat tego, co usłyszeli. Przemówienie transmitowano również na bliźniaczy USS „Chancellorsville”. Cheney spodziewał się więc krótkiej konferencji z dowodzącym drugim krążownikiem.

Tymczasem spojrzął na Jonesa i nachylił się nieznacznie w jego stronę.

– Tajwańczycy dostają solidne baty, Stuart – powiedział komandor. – Stracili prawdopodobnie połowę lotnictwa, kilkanaście okrętów poszło na dno. Większość systemów obrony dalekiego i średniego zasięgu poszła w cholerę, w miastach panuje chaos. Podobno Chinole zrzucili desant spadochronowy nad najważniejszymi lotniskami.

– Spadochroniarze? – zapytał Jones zdumiony. Operacja wygląda na dopracowaną w najmniejszych szczegółach.

– Do tego siły specjalne, które operują bezpośrednio na tyłach Tajwańczyków.

– Oni naprawdę to robią... – odparł porucznik konspiracyjnym tonem. – Teraz została im już tylko...

– Tak, Stuart, w stronę wyspy płynie właśnie flota inwazyjna.

Hotel Grand Hyatt, Tajpej, Republika Chińska | 15 maja 2023, godzina 07:38

Tynk sypał się na głowy coraz częściej i coraz obficie. Bombardowanie nie ustawało, a dobiegające z zewnątrz odgłosy dartego metalu świadczyły tylko o jednym. Co kilka minut kolejne maszyny były strącane z nieba. Nie mieli wątpliwości, kto jest górą w tym starciu, przewaga Chińczyków była przytłaczająca.

Dyplomaci doszli do siebie już jakiś czas temu, co chwila podchodzili do Preissa lub któregoś z komandosów w nadziei uzyskania nowych informacji. Podczas krótkiej, trwającej ledwie kilka chwil komunikacji ze sztabem połączonych sił w Kijowie nie udało im się ustalić niczego. Preiss otrzymał tylko potwierdzenie tego, o czym dobrze wiedział. Samolot transportowy, który miał zabrać całą grupę z zagrożonego obszaru, został zawrócony nad Morzem Wschodniochińskim. Wyspa znalazła się w oblężeniu.

– Udało ci się wznowić połączenie? – Jastrzębski stanął nad „Minionem”, który od dobrych kilkunastu minut manipulował przy terminalu łączności.

– Ciężko... – odpowiedział operator, kręcąc głową. – Dobrze zagłuszają.

– Dasz radę? Nie możemy siedzieć tu do usranej śmierci.

– Próbuję. Daliśmy antenę na zewnątrz, może teraz się przebiję.

– Dobra, daj znać, jak ich złapiesz. – Jastrzębski wyprostował się i spojrzał w głąb garażu.

Nie mieli pojęcia, jak długo zostaną pod hotelem. Już na samym początku Preiss wydał rozkaz do zamknięcia bramy wjazdowej i zabezpieczenia wejść na klatki schodowe. Rozwiązanie zostało przyjęte chłodno, dobrze wiedzieli, co dzieje się na zewnątrz. Wielu ludzi mogło chcieć schronić się właśnie tutaj, choćby kilka metrów poniżej piekła, które rozgrywało się na powierzchni. Jastrzębski szybko odgonił natrętną myśl, sięgnął po telefon i stuknął kilkukrotnie w ekran. Ludmiła z pewnością wiedziała o wszystkim, wystarczyło, że włączyła pierwszy lepszy kanał informacyjny lub odpaliła przeglądarkę. Poza tym z racji swojego zawodu i tak z pewnością miała więcej informacji niż reszta społeczeństwa.

– Jastrząb, Bołkoński i „Padre”, pozwólcie no! – zawołał Preiss i wykonał zapraszający ruch ręką.

Podeszli do dowódcy, który rozmawiał na boku z Radosławem Bieleckim. Mężczyzna gestykulował i wyglądało na to, że rozmowa męczy go w równym stopniu co niedawna przebieżka w dół klatki schodowej.

– Panowie... – zaczął dyplomata – wiem, że z naszej ucieczki samolotem nici. Rozmawiałem z kolegami i koleżankami, wiem, że nie tak dawno nie wyglądałem na zaniepokojonego, ale proszę mi wierzyć... Traktuję sytuację bardziej niż poważnie.

– Proszę przejść do rzeczy – powiedział Preiss i skrzyżował ramiona na piersi.

– Tak... – Bielecki potarł spocone dłonie. – Dobrze wiemy, w jakim znaleźliśmy się położeniu... Ale znam swoich ludzi, pracuję z nimi już jakiś czas. Kapitan Preiss powiedział mi, że prawdopodobnie będziemy musieli opuścić miasto o własnych siłach.

– Zgadza się. – Preiss skinął delikatnie głową.

– Obawiam się, że dla części z nas może to być wysiłek ponad możliwości. – Bielecki jękał się i płatał, co daleko odbiegało od zwyczajowej pewności siebie polskiego dyplomaty. – Wiemy, jak poradzić sobie z krnąbrnymi politykami, ale proszę wybaczyć... Nikt z nas nie ma czasu na sport.

– Po to nas przysłano, mamy zapewnić państwu bezpieczeństwo. – Jastrzębski nie do końca rozumiał, o co tak właściwie chodziło szefowi misji. Dla pewności wołał poratować się standardową formułką.

– Tak, oczywiście – odpowiedział Bielecki. – Obawiam się jednak, że jeśli nie będziemy mieć do dyspozycji pojazdu, wielu z nas się podda. Nie wszyscy będą w stanie przedzierać się przez bombardowane miasto. Część może się załamać, a to grozi narażeniem nas wszystkich, kto wie, co wtedy... – Dyplomata zamilkł, widząc ostre spojrzenie Bołkońskiego.

– Chcecie ich zostawić? – zapytał Rosjanin przez zaciśnięte zęby. – Kurwa, nie wierzę.

– Panie kolego... – zaczął Polak z teatralnym uśmiechem.

– Ja ci dam kolegę... – Bołkoński poczerwieniał na twarzy i ruszył na bladego jak ściana dyplomate.

– Chcesz spierdolić? Jak baba? Co ja mówię! Baba ma więcej odwagi niż ty, capie!

– Andriej... – „Padre” błyskawicznie przyblokował Rosjanina wyprostowanym ramieniem. – Daj spokój. Co ci to da?

Bołkoński sapał jak gotowy do korridy byk. Gdyby nie silne ramię komandosa, dyplomata musiałby z pewnością liczyć swoje zęby. Preiss uśmiechnął się tylko kącikiem ust, spodziewał się podobnej reakcji.

– Skurwiel... – Bołkoński szarpnął się i odszedł kilka kroków do tyłu. Nawet na sekundę nie spuścił wzroku z Bieleckiego.

– Po co nas wołałeś? – zapytał Jastrzębski, co kilka chwil spoglądając na czerwonego z wściekłości przyjaciela.

– Facet w jednym ma rację – powiedział Preiss.

Bielecki stał w miejscu, pilnowany przez dwójkę komandosów. Obaj postanowili odczekać chwilę, nim rozwścieczony oficer nie odejdzie jeszcze kilku kroków.

– Nie damy rady wydostać się z miasta bez samochodu, najlepiej kilku. – Preiss zatrzymał się przy potężnej betonowej kolumnie. – Będą chcieli nas stąd wyciągnąć, ale na pewno będziemy musieli uciec z Tajpej. Boję się, że jak zrobi się gorąco, któryś może wprowadzić w życie to, o czym mówił Bielecki.

– Daj spokój, Preiss... – zachnął się Jastrzębski. – Przecież to cipki, komu oni mogą zrobić krzywdę?

– To, że siedzieli ostatnie lata za biurkiem, wcale nie oznacza, że kiedy będą musieli walczyć o życie, nie staną się nieprzewidywalni.

Jastrzębski odwrócił głowę w stronę grupki kilkunastu osób skulonych w ciasnym kręgu między czarnymi SUV-ami. Co chwila spoglądali niepewnie w górę. Sufit sypał szarym pyłem, czasami coś strzeliło, złamało się. Sam zastanawiał się, czy garaż wytrzyma kolejne godziny nawały. Wyglądali na przerażonych, pozbawionych złudnego poczucia bezpieczeństwa, jakie dawała codzienna rutyna. Jastrzębski nie wyobrażał sobie, że ci przerażeni do szpiku kości mężczyźni i kobiety mogli przeobrazić się w pozbawione sumienia bestie.

– Kapitanie! – krzyknął „Minion”, wrywając Jastrzębskiego z zamyślenia. Preiss podniósł głowę i spojrział w stronę specjalsa. – Jest połączenie.

– Dobra robota – odpowiedział Preiss i wcisnął odpowiedni guzik na niewielkim panelu przytroczonym do przedramienia. Indywidualna stacja komunikacyjna przechwyciła transmisję i przekierowała połączenie z radiostacji „Miniona”. – Orchidea do Faros, zgłaszam się. – Faros, jak nazwano sztab w Kijowie, szybko potwierdził korespondencję radiową i Preiss przeszedł do meldunku.

Pozostali operatorzy Radegastu stali w oczekiwaniu na rozkazy. Wszyscy przyzwyczajeni byli do działania. Nieustanny ruch, zmierzanie od celu do celu było ich drugą naturą. Bezczynność deprimowała, sprawiała, że tracili rozeznanie, pewność siebie. Wydawało się, że oczekiwanie w równej mierze co specjalsów dołowało również dyptomatów.

Preiss zakończył połączenie. Odwrócił się od „Miniona”, po czym podszedł do komandosów. Nie zwoływał odprawy dowódców grup, nie miało to większego sensu, tak czy siak, wszyscy jechali na jednym wozie.

– Republika Chińska znalazła się pod silnym ostrzałem rakietowym wojsk Chińskiej Republiki Ludowej. Na niebie rządzi chińskie lotnictwo – zaczął kapitan. – Co więcej, otrzymałem informacje, że w stronę wyspy kieruje się flota inwazyjna, dojdzie zatem do desantu i walk lądowych.

– Jak uciekniemy? Kto nas stąd zabierze? – zapytał jeden z dyplomatów.

– Proszę się opanować. – Preiss uniósł dłonie w uspokajającym geście. – Są państwo pod opieką najlepszych ludzi, jakich mogło wysłać Przymierze. Sztab w Kijowie jest właśnie w trakcie opracowywania planu ewakuacji. Spodziewamy się, że w ciągu następnych kilku godzin otrzymamy szczegółowe instrukcje.

– Kilka godzin?! Przecież pogrzebią nas tutaj żywcem! – Kobieta w przyprószonej pyłem garsonce wrzasnęła rozdzierająco.

– To solidny budynek. Jesteśmy daleko od linii brzegowej – kontynuował Preiss. – Chińczycy mają przewagę, ale proszę mi wierzyć, że nasi gospodarze przygotowywali się do tego scenariusza od dziesięcioleci. Będą walczyć do końca, minie sporo czasu, zanim Chińczycy pojawią się w centrum Tajpej.

– A jeśli nie zdążymy? Oni nienawidzą Rosjan. Jak się dowiedzą, kim jesteśmy... – Kolejny z cywilów pokręcił głową z rezygnacją.

– Dawno nas już tu nie będzie. Proszę o spokój, wszyscy się stąd wydostaniemy. Do tego czasu to miejsce jest najbezpieczniejszym, jakie możemy sobie zapewnić.

Jakby dla kontrastu konstrukcją wstrząsnęła potężna eksplozja. Fala białego pyłu oderwała się od stropu i opadła wolno, pokrywając ich kolejną warstwą.

Bunkier pod pałacem prezydenckim, Tajpej, Republika Chińska | 15 maja 2023, godzina 08:01

Ukrył twarz w dłoniach, pomasażował obolałe oczy. To wszystko miało potoczyć się zupełnie inaczej. Nie spodziewał się, że Chińczycy uderzą, nie po tym, co usłyszał od Alberta Armitage'a. Widział raporty, amerykańska flota wyszła w morze, na Okinawie stacjonował zespół kilku okrętów. Lotniskowiec wraz z całą potęgą VII Floty mógł w każdej chwili ruszyć ku wyspie. Mimo wszystko Chińczycy zaatakowali i nie wyglądało na to, żeby mieli się zatrzymać.

Pierwsze meldunki były przerażające. Wszystko zaczęło się nieco ponad trzy godziny temu. Sto osiemdziesiąt minut wystarczyło, by pozbawić ponad milion osób dostępu do energii elektrycznej i komunikacji. Armia straciła w tym czasie kilkadziesiąt samolotów bojowych, śmigłowców, kilkanaście okrętów i Bóg jeden wie ilu ludzi. Większość baz powietrznych została zbombardowana lub ostrzelana pociskami manewrującymi. Cziang wahał się, czy przebazowanie F-35 na zapasowe lądowiska bojowe nie będzie oznaką paranoi. Prawdopodobnie tylko dzięki tej decyzji wciąż mogli stawiać jakikolwiek opór w powietrzu. Floty nie mieli jak uratować, choć kilku jednostkom udało się wyjść w morze, podwodni myśliwi tylko na to czekali. Niewielkie grupy tajwańskich okrętów szybko padły ofiarą torped i kierowanych pocisków. Na powierzchni pozostała garstka jednostek, które nie mogły skutecznie obronić nawet samych siebie. Wszystko się sypało, to wcale nie miało tak się skończyć.

– Panie prezydencie... – powtórzył po raz kolejny Yen Ying, szef sztabu tajwańskich sił zbrojnych.

– Tak, tak. Proszę mówić dalej, generale. – Cziang złączył dłonie na wysokości ust i spojrzał na Yinga.

Szef sztabu sięgnął ponownie po plik kartek i tablet, który spoczywał tuż obok teczek. Kanał informacyjny ze sztabem był uruchomiony non stop, dane wyglądały coraz gorzej.

– Jesteśmy w trakcie przerzutu sił na wyznaczone pozycje. Ćwiczyliśmy to setki razy, nasze siły lądowe dyslokują się na odcinkach – referował Ying. – Tak jak się spodziewaliśmy, flota desantowa została rozbita na trzy zgrupowania. Zadaniem północnego będzie zdobycie przyczółka do uderzenia na Tajpej. Centralne wysadzi desant, który zabezpieczy front od hrabstwa Miaoli aż po Chiayi. Południowy front będzie próbował zdobyć miasto Tainan i pozostałą część wyspy.

Generał sięgnął po tablet i zamaszystym ruchem przesunął interaktywną mapę, która pojawiła się na szerokim ekranie zawieszonym na przeciwległej ścianie. Podział na fronty poszatkował Tajwan na trzy nierówne części.

– Rozumiem, że to jest przedstawione w czasie rzeczywistym? – zapytał prezydent.

– Tak jest – odpowiedział szef sztabu. – W skład każdego ze zgrupowań wchodzi od dwunastu do osiemnastu okrętów. Łączna liczba okrętów floty desantowej to czterdzieści pięć jednostek różnego typu.

– Czterdzieści pięć? – Cziang otworzył szerzej oczy. – Jak wielu...

– Pierwsza fala to z całą pewnością oddziały piechoty morskiej. Szacujemy, że w ciągu pierwszych minut na naszej ziemi wyląduje do dziesięciu tysięcy wrogich żołnierzy, wspieranych przez kilkadziesiąt pojazdów oraz śmigłowce szturmowe i lotnictwo – zakończył Ying.

Prezydent wypuścił powietrze z płuc z głuchym sapnięciem. Czen Bian, szef agencji wywiadu, oblizał tylko wargi i spojrzał na dłonie. Choć przygotowywali się latami, usprawniali plany operacyjne, równie dobrze mogli siedzieć z założonymi rękoma. Nie opadły jeszcze rampy amfibii, a oni już stracili gros swoich sił. Opór wydawał się bezcelowy już na samym początku. Cziang wiedział, że będą walczyć do upadłego, kapitulacja oznaczała koniec słodkiego snu o niepodległości. Tajwańczycy woleli zginąć, niż

dostać się pod but.

– Pamiętam nasze plany na taką ewentualność. – Cziang odgonił czarne myśli i położył dłonie na stole. – Nie będziemy bronić plaż szczególnie mocno, prawda? Wciągniemy przeciwnika do miast.

– Zgadza się, panie prezydencie. – Szef sztabu skinął głową. – Jeśli wydamy Chińczykom walną bitwę, będziemy mogli pożegnać się z naszymi siłami. Musimy przyjąć taką samą taktykę, jaką Irańczycy stosowali podczas amerykańskiej inwazji przed pięcioma laty. Nasze brygady lądowe podzielone są na bataliony, które mogą w niezależny sposób operować na obszarach miejskich. Wszystkie zostały wyposażone w środki do walki zarówno w dzień, jak i w nocy. Komunikacja i rozpoznanie powietrzne zostały rozdystrybuowane do stopnia kompanii i niżej. Podczas symulacji elastyczność wojsk wypadła wręcz znakomicie. Wystarczy kilka godzin, by kilka walczących oddzielnie batalionów skupić na symultanicznym ataku bądź obronie wybranego obszaru. Pod względem sieciocentryczności i współdziałania przewyższamy Amerykanów. Jeśli Chińczycy wejdą do miast z tą samą taktyką co w Rosji, urządzimy im piekło.

– Proszę wybaczyć, ale wciąż nie zakończyliśmy ewakuacji miast. Wiele rejonów jest całkowicie pozbawionych prądu i łączności. Są miejsca, gdzie nie dotarła jeszcze policja. Nie możemy już teraz wciągnąć przeciwnika do walki w miastach. Ofiary w ludności cywilnej będą gigantyczne. – Minister spraw wewnętrznych Jack Woo ożywił się. Jako członek gabinetu doskonale wiedział o działaniach obronnych na wypadek inwazji. Liczył jednak na to, że wojskowi utrzymają wybrzeże do czasu ewakuacji najbardziej zagrożonych obszarów. Raporty, które spływały do niego za pośrednictwem komendy policji, były zatrważające.

– Najeźdźcy nie będą czekać, aż wywieziemy cywilów na wschód, panie ministrze – odpowiedział generał Ying. – Lada moment pierwsza fala desantu zostanie wysadzona na wybrzeżu.

– Drogi ewakuacyjne przebiegają w bezpośredniej bliskości lotnisk zajętych przez chińskich spadochroniarzy. Nawet gdyby sztab zmienił rozkazy... Nawet wówczas na tyłach powstałby chaos. Skupiając się na obronie plaż, rozmienilibyśmy nasze siły na drobne i w rezultacie nie obronilibyśmy ani wybrzeża, ani dróg ewakuacji – dodał Czen Bian.

– Proponuje pan zostawić ich samych sobie? Te kilkanaście milionów ludzi, którzy w przerażeniu nie wiedzą, gdzie uciekać? Bez wsparcia, bez pomocy służb porządkowych? – Jack Woo nie wierzył w to, co słyszał. – Puściecie czołgi przeciwko uciekającym rodakom?

– Niepotrzebna dramaturgia... – skwitował szef agencji wywiadu. – Dobrze wiedzą, co mają robić. Ćwiczenia przeprowadzane są co kwartał.

Jack Woo spuścił głowę. Ostatnie doniesienia przeczyły wszystkim wynikom ćwiczeń przeprowadzonych na przestrzeni ostatnich lat. Brak energii, który uziemił zarówno cywilów, jak i służby porządkowe, pogrzebał nadzieję na skuteczną i sprawnie przeprowadzoną ewakuację. Streszczenie, które minister odebrał tuż przed wejściem do sali odpraw, mówiło o problemach w ponad połowie punktów zbornych. Policja borykała się ze skutkami ataku impulsem elektromagnetycznym, który skutecznie uziemił radiowozy i spalił sporą część sprzętu komunikacyjnego. Cywile z kolei dali ponieść się głównemu grzechowi sytuacji kryzysowych, panice. Dziesiątki tysięcy ludzi gnało na złamanie karku, często nie mając pojęcia, w którą stronę się kierują. W rezultacie ledwie ułamek spodziewanej do tego czasu liczby cywilów pojawił się w wyznaczonych wcześniej strefach ewakuacji.

– Nie, panie dyrektorze. Oni nie wiedzą, na ulicach panuje chaos. Policja ledwie daje sobie radę z przegrupowaniem po ataku impulsem – kontynuował minister. – Minęły ponad trzy godziny od ataku, powinniśmy ewakuować do tego czasu kilkadziesiąt tysięcy osób z ostrzeliwanych przez Chińczyków obszarów. Wiedzą panowie, ilu do tej pory dotarło do punktów zbornych?

Żaden z adresatów nie odpowiedział na pytanie. Wpatrywali się w ministra ze zmieszaniem. Spodziewali się, jakie spustoszenie mogły wywołać impulsy.

– Dziesięć tysięcy, dziesięć – powtórzył Jack Woo. – Połowa z tej liczby została wsadzona na

ciężarówki i wyjechała na wschód. Co się stanie, jeśli nasi żołnierze zetną się z Chińczykami przy tych punktach? Któraś ze stron odpuści? Poczekaj? Najpierw zaczęliśmy pałować rodaków, a teraz będziemy do nich strzelać?

Prezydent Cziang przesunął wzrok na szefa sztabu. Oskarżenia rozbijały się o generała jak fale o skałę. Wydawał się w ogóle niewzruszony coraz ostrzejszym tonem ministra. Dostało się nawet samemu prezydentowi, lecz ten przełknął tylko ślinę i zacisnął mocniej dłoń. Owszem, wydał rozkaz pacyfikacji protestów, ale robił to, by jak najszybciej zakończyć wewnętrzne spory i przygotować kraj na odparcie ewentualnej agresji.

– Panie ministrze – zaczął Ying, powoli cedząc słowa – cieszy mnie, że tak bardzo przejmuję się pan losem naszych rodaków. Pana zadaniem jest koordynacja ewakuacji i zapewnienie cywilom bezpiecznych dróg ucieczki na wschód wyspy. Wie pan, co jest moim obowiązkiem?

– Zamieniam się w słuch – parsknął Woo.

– Kiedy uda się panu przetransportować te setki tysięcy zdesperowanych obywateli na wschodnie wybrzeże, co dalej? – zapytał generał, unosząc krzaczaste brwi. – Policja weźmie się za chińskie śmigłowce? Strąci rakiety? Zniszczy czołgi? Kto będzie bronił cywilów, jeśli wytracę swoich ludzi na obronie plaż? Japończycy próbowali powstrzymać w ten sposób Amerykanów na Pacyfiku. Jak to się dla nich skończyło, wszyscy wiemy. Iran wyciągnął wnioski z konfliktów, w których brała udział Ameryka. Pomimo ogromnej przewagi technologicznej, wywiadowczej i o niebo wyższego potencjału bojowego Amerykanie stracili tam kilkanaście tysięcy żołnierzy.

– W Iranie... – wtrącił Jack Woo.

– Jeszcze nie skończyłem. – Generał podniósł głos. – Moim obowiązkiem jest dopilnowanie, żeby ten naród przetrwał. Jeśli mam to zapewnić kosztem dwudziestu, pięćdziesięciu czy stu tysięcy zabitych cywilów, to ja to zrobię.

Sala odpraw zamarła. Jack Woo siedział z rozchyłonymi ustami, podczas gdy pozostali członkowie gremium wymieniali porozumiewawcze spojrzenia. Prezydent Cziang ani drgnął. Prezydentura ograniczała możliwości reakcji, nie mógł otwarcie przyznać się, że popiera ofiarę z tysięcy na poczet ocalenia milionów.

– Jeśli panowie pozwolą, chciałbym teraz wrócić do kolegów ze sztabu i kierować dalszymi działaniami. Mam wojnę do wygrania. – Generał był czerwony jak burak. Wywód zaczął opanowany niczym pokerzysta, lecz im dłużej brnął w dyskusję, tym więcej emocji wkładał w wypowiedzane słowa. – Panie prezydencie?

– Panie generale, jest pan wolny. Chyba że ktoś ma jeszcze jakieś pytania do szefa sztabu – odparł Cziang. Tak jak się spodziewał, nikt nie zareagował.

Generał założył czapkę i ukłonił się nieznacznie w stronę gospodarza. Cziang odprowadził wzrokiem Yinga i poczekał, aż śluza ponownie się zamknie. Odczekał kilka sekund, po czym zwrócił się do pozostałych w środku mężczyzn.

– Panie ministrze Woo, drodzy koledzy. Pomóżmy generałowi.

Cieśnina Tajwańska | 15 maja 2023, godzina 08:49

Musiał trzymać się uchwytu, by nie uderzać co chwila hełmem o strop. Wnętrze doku transportowego Typ 071 przypominało wirującą pralkę. Cztery poduszki desantowe powoli wypływały na otwarte wody, strzelając na lewo i prawo białymi bałwanami. Chon poczuł silne uderzenie, kiedy jego poduszki rozbił falę wywołaną przez poprzednika. Wszystko zaczynało się na nowo.

Tuż po powrocie z gorących piasków Iranu porucznik Chon został odznaczony przez samego dowódcę dwudziestej grupy armijnej w Kaifeng. Niedługo później przyszła promocja do szkoły oficerskiej i awans do stopnia kapitana. Chon przyjął skok na kolejny szczebel kariery z entuzjazmem znacznie mniejszym, niż oczekiwało tego dowództwo. Terapia świeżego kapitana wciąż była w toku, co skrupulatnie zatajano przed wyższymi organami partyjnymi. Bohater z Rosji oraz pogromca Amerykanów na perskich pustyniach nie mógł zmagać się z PTSD.

Poduszki zakręcał. Kapitan Chon czuł to wyraźnie, przytrzymał się uchwytu w swoim wozie dowodzenia. Cztery desantowce mieściły na pokładach po dwa bojowe wozy piechoty typu ZBD20. W projektowaniu następcy wyjątkowo udanej konstrukcji oznaczonej jako ZBD97 czerpano z poprzednika wszystko, co najlepsze, i łączono z innowacyjnymi rozwiązaniami chińskich ekspertów. Inżynierowie z Norinco wyposażyli nowy pojazd w aluminiowy pancerz wzmacniany ceramiką i włóknem szklanym, który jako żywo przypominał swój południowokoreański odpowiednik. Dodatkowo bewup ochraniały szerokie panele pancerza reaktywnego. Bezzałogowa wieżyczka kryła pod kanciastymi płytami działko kalibru trzydziestu milimetrów, przyrządy obserwacyjne, wyrzutnie granatów dymnych oraz cztery kierowane pociski HJ-9A. Kadłub wraz z wieżyczką ochraniały pasywne i aktywne systemy obrony, które mogły przechwycić nadlatujące ze wszystkich kierunków pociski.

– Dziesięć mil do brzegu. Silny ostrzał tuż przed podejściem do desantu – usłyszał kapitan w zestawie komunikacyjnym zamontowanym pod kevlarowym hełmem. – Przerzucam dane do systemu.

Chon nie odpowiedział. Dowódca batalionu nie oczekiwał zresztą potwierdzenia odebrania wiadomości. Zrobił to za oficerów system. Kiedy tylko na ekranie przy stanowisku Chona pojawiły się kolumny danych i mapa sytuacyjna, system wysłał potwierdzenie odebrania paczki danych.

– Klinga do wszystkich – powiedział Chon, przełączając się na kanał dowódców plutonów. – Dziesięć mil do wybrzeża. Dowództwo melduje o silnym ostrzale tuż przy plażach. Prosto z poduszki ruszamy do wyznaczonych sektorów, jak najszybciej przedostać się do dostępnych osłon. Piechota morską powinna nam już zrobić miejsce.

– Tu Szytych Jeden, przyjąłem – odpowiedział porucznik Kim. Jedyne wciąż żywe przyjaciel kapitana również zyskał na perskiej przygodzie. Awansowany na dowódcę plutonu trzymał pieczę nad kilkudziesięcioma ludźmi, teraz stłoczonymi w ciasnych przedziałach desantowych bewupów.

Poduszki przecinały fale z prędkością pięćdziesięciu węzłów. Do desantu zostało im nie więcej jak kilkanaście minut. Chon siedział nerwowo na miejscu dowódcy i wpatrywał się w ekran. Oddałby wiele, by móc choć na chwilę wyjrzeć na zewnątrz, gdzie z pewnością zobaczyłby słupy dymu nad wyspą i odległe ogniki eksplozji.

Spojrzał na burtę swojego wozu dowodzenia. Wybebeszony przedział desantowy zajmowali podlegli mu sztabowcy. Skupieni na monitorach co chwila ocierali spocone czoła. Nie mogli nic zrobić, do czasu zjazdu na ląd byli bezbronni. Jeden z podoficerów odpowiedzialny za łączność kątem oka złowił wzrok dowódcy.

Kapitan Chon skinął w jego stronę. Chłopak odpowiedział tym samym i uśmiechnął się nieznacznie. Niby nic wielkiego, prosty gest, a potrafił podnieść na duchu i tchnąć w ciało pokłady energii.

– Cztery mile do plaży. – Chon usłyszał głos dowódcy poduszkiowca. – Przygotujcie się, za chwilę wejdziemy w strefę bezpośredniego ostrzału. Desant za siedem minut.

– Przyjąłem. Jak to wygląda na zewnątrz? – zapytał Chon.

– Proszę zobaczyć – odparł dowódca i udostępnił kapitanowi obraz z kamery dziobowej.

Wyraźnie widać było zarys nieregularnej linii brzegowej i odległych szczytów, które zajmowały centralną część wyspy. Bładoniebieskie niebo ginęło w szarości i czerni kłębow smolistego dymu, które wyrastały jeden za drugim wzdłuż tajwańskiego wybrzeża. Wideo pozbawione było fonii, ale feeria błysków na horyzoncie dopełniała upiornego wrażenia. Chonowi to wystarczyło, zerwał połączenie z kamerą i przełączył się na kanał kompanii.

– Klinga do wszystkich. Sześć minut do desantu, jesteśmy w strefie bezpośredniego ostrzału. Przygotować się do opuszczenia poduszkiowców – powiedział najspokojniej, jak potrafił. Pojedyncze huki odległych eksplozji zaczęły przebijać się przez miarowy szum silników desantowca.

– Sztych Trzy... – Porucznik umilkł, jakby transmisję ucięto nożem. Chon przełknął ślinę.

– Klinga do Sztychu Trzy, zgłóście się – powiedział Chon i spojrzał na ekran taktyczny. Modlił się w duchu, by czerwień, która zalała sygnaturę trzeciego plutonu, była tylko usterką systemu. – Sztych Trzy, zgłóście się – powtórzył kapitan.

– Klinga, tu Sztych Jeden, Sztych Trzy dostał. Dostaliśmy potwierdzenie – odezwał się porucznik Kim. – Porządnie oberwali, poduszkiowiec stoi w płomieniach, toną. Nie widzimy żadnego ruchu na pokładzie.

– Tarcza do wszystkich – do rozmowy włączył się dowódca batalionu. – Nie przystępować do akcji ratunkowej. Wszystkie oddziały mają jak najszybciej znaleźć się na wybrzeżu. Próby ewakuacji ocalałych stwarzają zbyt duże zagrożenie dla reszty desantu.

Chon przygryzł wargę. Połowa plutonu, dwa pojazdy i niemal dwudziestu żołnierzy, a nikt nawet nie zwrócił na nich uwagi.

– Klinga do Tarczy, przyjąłem – powiedział Chon po chwili. Wyłączył się z kanału i westchnął. Jeszcze nawet nie zdążył postawić stopy na wrogiej ziemi.

Znajdowali się tuż przy plaży. Morze było wzburzone ciągłymi fontannami detonujących pocisków. Tajwańczycy walili w brzeg ze wszystkich luf. Poduszkiowce obróciły się o sto osiemdziesiąt stopni i ze zgrzytem zaryły o zwirową plażę tuż przy płonącym porcie Taizhong. Rampa opadła powoli, odsłaniając pobrużdżone wciąż dymiącymi kraterami wybrzeże.

– Klinga do wszystkich! – krzyknął Chon. – Opuścić poduszkiowce, natychmiast skierować się do wyznaczonych sektorów.

– Klinga, tu Sztych Jeden, przyjąłem – odpowiedział Kim. – Pierwszy pluton zajmuje pozycje.

Bewup wytoczył się w płytkie wody. Chon usłyszał, jak fale rozbijają się o cielsko ZBD. Ostrzał nasilał się z każdą sekundą. Kapitan uznał, że mimo przytłaczającej przewagi sił inwazyjnych w powietrzu Tajwańczycy wciąż dysponowali solidnym rozpoznaniem. Przeniesienie ognia z zajętego przez piechotę morską portu na ujście rzeki Dadu zajęło obrońcom ledwie kilka minut.

Kierowca czynił cuda, by wyrwać się z plaży i znaleźć najbliższą osłonę. Brzeg nie był wysoki, ale poorana kraterami ziemia sprawiała, że ZBD podskakiwał jak kowboj podczas rodeo. Chon sprawdził obraz z kamer zainstalowanych na kadłubie. Oddalony o niespełna kilometr most rażony celnym ogniem chińskich myśliwców walił się w gruzy.

Kapitan przełączył kamerę na przód kadłuba. Obraz podskakiwał i chwiało się na wszystkie strony wraz z całym pojazdem. Chon cudem wypatrzył przez dym zarys barierek oddzielającej drogę od brzegu rzeki. Szybko sprawdził mapę taktyczną i porównał z obrazem kamery. To była ich szansa.

– Kierowca! – rzucił na wewnętrznym kanale pojazdu. – Jedź prosto, przebij się przez barierek na trasę. Po drugiej stronie powinno być boisko i budynki szkoły. Tam się ukryjemy.

– Przyjąłem. Jedziemy prosto – odpowiedział kierowca ZBD.

– Klinga do wszystkich. – Chon pstryknięciem ponownie wbił się na częstotliwość kompanii. – Przebijamy się przez ulicę. Po drugiej stronie powinna znajdować się szkoła oraz kilka domów w luźnej zabudowie. Tam wysadzimy piechotę. Wyrwamy do przodu.

– Sztych Jeden, przyjąłem! – odpowiedział Kim, chwilę później potwierdzenia odebrania rozkazu spłynęły od reszty dowódców. Wszystkich, poza Sztychem Trzy, którego ludzie zalegli już na dnie cieśniny.

Ulica nie wyglądała lepiej od brzegu rzeki. Część czarnych od płomieni barierek leżała na pobrużdżonej jezdni. Szkoła rzeczywiście majaczyła po drugiej stronie, choć z jej oryginalnego uroku nie zostało już wiele. Niemal z każdego okna wydobywał się dym, częściowo zawalony dach prawego skrzydła zasypał murawę boiska gruzem. Transportery nie miały większego problemu z pokonaniem ogrodzenia z siatki.

– Klinga do wszystkich, wysadzić desant między budynkami. Sprawdzić perymetr, ostrożnie. Pamiętajcie, że jesteśmy na wrogiej ziemi, Tajwańczycy mogli zaminować budynki.

– Sztych Cztery, przyjąłem. Wysadzam piechotę na północnym skraju szkoły. Sprawdzimy podjazd – odpowiedział dowódca czwartego plutonu.

– Przyjąłem, Sztych Cztery. Pamiętajcie, że mamy wesprzeć prawą flankę brygady piechoty morskiej. Nie przechodźcie od razu do ofensywy. Będą próbować wciągać nas między zabudowania, takie pułapki...

– Klinga, tu Sztych Jeden, byliśmy w Rosji, pamiętamy – wtrącił porucznik Kim. – Czwarty pluton zabezpiecza lewą flankę kompanii, mamy jeden uszkodzony pojazd. Dostaliśmy odłamkiem w optykę systemu kierowania ogniem.

Chon zamilkł na chwilę. Kim miał rację, miał pod sobą w dużej mierze weteranów piekła, jakie sprawiła im Matuszka Rassija. Skuteczność i determinację potwierdziły działania w Iranie. Nie mógł trafić na bardziej doświadczonych ludzi. Uśmiechnął się gorzko sam do siebie.

– Klinga do wszystkich. Wysadzić desant, sprawdzić perymetr i meldować o gotowości do dalszych działań.

Ekran taktyczny kompanii mienił się kolorową mozaiką sygnatur poszczególnych pojazdów. Wciąż posiadali dziewięć bewupów, w tym jeden z uszkodzonym systemem kierowania ogniem. Jakies kilkaset metrów na wschód od ich pozycji powinna właśnie lądować kolejna kompania zmechanizowana. Na północy widniał port. Zajęty przez piechotę morską miał być jednym z trzech głównych przyczółków dla pozostałych sił inwazyjnych.

Pierwszy wybuch wziął za kolejny pocisk artyleryjski, który rozerwał się gdzieś nieopodal jego pozycji. Dopiero kiedy w słuchawkach odezwał się dowódca drugiego plutonu, Chon zorientował się, że kompania stała się celem bezpośredniego ataku.

– Sztych Dwa do Klingi. Sztych Dwa Trzy został namierzony. Pocisk przechwycił system obrony. Desant wysadzony, sprawdzamy perymetr.

– Klinga do wszystkich, uruchomić kamuflaż – zakomenderował Chon.

Irańskie doświadczenia nie poszły w las. Jeszcze zanim w Teheranie na dobre okrzepła nowa władza, chińscy inżynierowie poznali każdą śrubkę i przewód futurystycznego amerykańskiego pancerza. Kilka lat intensywnych i kosztownych prac zaowocowało stworzeniem unikalnej w skali chińskich wojsk konstrukcji. Adaptiv doczekał się brata bliźniaka, podobnego w niemal każdym aspekcie. Choć technologicznie Chińczycy wciąż gonili za Amerykanami, dzięki potężnym nakładom pieniężnym i cyberszpiegostwu udało im się skonstruować wydajny i spełniający wszystkie wymagania produkt.

Kapitan Chon przełączył kamery na podczerwień. Wystarczyło kilkanaście sekund, by kanciaste sylwetki pojazdów rozmyły się w miejskim krajobrazie. Tajwańczycy musieli być blisko, załogi mimo teoretycznej niewykrywalności wciąż meldowały o wielkokalibrowych pociskach rykoszetujących o pancerze bewupów.

Musieli zlokalizować gniazda obserwatorów jak najszybciej. Chon był pewien, że jeszcze kilkadziesiąt sekund, a na głowy spadnie im deszcz granatów mózdzierzowych. Szybko wydał rozkazy, spieszona piechota wspierana przez działka transporterów pokryła ogniem najbliższe zabudowania, gdzie mogli ukrywać się Tajwańczycy. Gęsty dym i narastająca kanonada dały czas niewielkiemu oddziałowi pierwszego plutonu na wykonanie szybkiego skoku między gęste krzewy. Przylegający bezpośrednio do kompleksu szkoły skwer jednym z boków przytulał się do osiedla domów i niskich apartamentowców. Chon był pewien, że to tam ukryli się tajwańscy obserwatorzy.

– Szytych Jeden do Klingi – usłyszał kapitan. Drużyna piechoty była zdana na siebie. Jeśli wpadliby w pułapkę, nie miałyby nawet czasu zorganizować ognia osłaniającego. – Widzimy osiedle, przebijamy się przez skwer.

– Przyjąłem, Szytych Jeden. Jeśli namierzycie obserwatora, nie wchodźcie w kontakt ogniowy... – Chon umilkł. Detonacja niekierowanego pocisku szarpnęła pojazdem jak zabawką. Był pewien, że kostki kamuflażu pofrunęły we wszystkich kierunkach, odsłaniając pancierz zasadniczy. Będzie musiał się wycofać, inaczej Tajwańczycy wezmą go na cel w pierwszej kolejności. – Jeśli namierzycie obserwatora, dajcie znać plutonowi wsparcia. Położą na nich ogień do czasu wezwania lotnictwa – powtórzył.

– Klinga, tu Szytych Jeden, przyjąłem.

Krzewy i niskie drzewa zaczepiały o mundury i elementy wyposażenia. Wydzielona przez porucznika Kima drużyna celowo unikała asfaltowych ścieżek. Prowadzeni przez sierżanta piechurzy zdawali sobie sprawę, że jeśli Tajwańczycy gdzieś postawili miny, to właśnie na podejściach do alejek. Dotarcie na skraj skweru zajęło im kilka minut mozolnego przebijania się przez gęstą roślinność.

Nie dalej jak kilkanaście metrów od pozycji drużyny przez dym przeszły graniaste kontury apartamentowców i pojedynczych domów. Wyglądały na całkowicie opuszczone. Część była naruszona ostrzałem, kilka pojazdów pozostawionych na podjazdach i wąskich uliczkach płonęło.

– Panie sierżancie... – powiedział jeden z szeregowców. Chłopak przyciskał nerwowo kolbę swojego QBZ-95 do ramienia. – Jak będziemy przebiegać, będą nas mieć jak na tacy.

– Nie będziemy... – odpowiedział weteran walk w rosyjskich miastach i uśmiechnął się tryumfalnie. – Spójrzcie. To chronione osiedle, widzicie te słupy?

Żołnierze jak jeden mąż odwrócili głowy we wskazanym przez sierżanta kierunku. Wysoka lampa uliczna pozbawiona była szklanego klosza, który roztrzaskał się o asfaltową jezdnię. Mniej więcej w trzech czwartych wysokości uwagę zwracały dwie kamery monitoringu. Jedna z nich obróciła właśnie obiektyw w stronę skraju skweru. Sierżant był pewien, że Tajwańczycy będą oszczędzać swoje zasoby ludzkie i wykorzystają infrastrukturę. Podoficer pamiętał taką taktykę z Rosji, nigdy nie zapomni bitwy o Kazań.

– Rozwalcie kamery – powiedział sierżant i sam złożył się do strzału.

Ogień stał się bardziej chaotyczny, nieprecyzyjny. Choć Tajwańczycy wciąż walili do nich z odległych gniazd oporu, ostrzał zaczął być prowadzony bardziej na wiat.

– Klinga, tu Szytych Jeden, zadanie wykonane. Tajwańczycy wykorzystywali kamery monitoringu do obserwacji naszych pozycji. Widać nie sięgnął ich impuls – zameldował porucznik Kim.

– Przyjąłem, Szytych Jeden – odpowiedział Chon. – Niech wasza drużyna wraca na pozycje. Druga kompania wpadła na Tajwańczyków na skrzyżowaniu, półtora kilometra na północny wschód od nas.

Ruszamy z odsieczą.

Biały Dom, Waszyngton DC, USA | 15 maja 2023, godzina 10:02

Albert Armitage złączył dłonie i zacisnął palce. Czuł na sobie wzrok Martina Dempseya, Elizabeth Hawk i nieco rozbiegane spojrzenie Johna Brennana. Wiedział, że Joe Biden patrzy gdzieś ponad nim, niósł na barkach ten sam ciężar odpowiedzialności co prezydent.

Mógł się tego spodziewać, przede wszystkim mógł posłuchać Elizabeth, kiedy ta przekazywała mu coraz mroczniejsze wiadomości. Wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. VII Flota miała aż nadto czasu, by dotrzeć na Tajwan i utrzyć nosa Chińczykom. Na szczęście nie wszystko było stracone. Tak jak przewidywał, oba amerykańskie okręty cumujące na redzie w Keelung pozostały nietknięte. Grupa operacyjna VII Floty czekała na Okinawie. Pozostałe okręty mogły ruszyć na południe w każdej chwili. Pozostawało tylko jedno pytanie.

– Zdążymy? – zapytał Armitage, wciąż podziwiając fakturę ręcznie tkanego dywanu.

– Jeśli zareagujemy natychmiast, uda nam się – odpowiedział Martin Dempsey, który rozpoznał intencje prezydenta w ułamku sekundy.

– Przepraszam, ale z czym mamy zdążyć? – zapytała Elizabeth Hawk, mrużąc oczy.

– Elizabeth, przyznaję, że mogłem przykładać większą wagę do twoich ostrzeżeń. Nie jestem bezmyślnym republikaninem, choć opozycja robi, co może, by postawić mnie w takim świetle – zaczął Armitage, podnosząc wzrok. – Ale teraz nie możemy się wahać. To już nie czas na dyskusje. Nasze okręty na Tajwanie są zagrożone, nie pozostawimy na śmierć setek naszych marynarzy. Uważam, że powinniśmy jak najszybciej wysłać Siódmą Flotę do przełamania chińskiej blokady.

Oczy prezydenckiej doradczynie rozszerzyły się niebezpiecznie. Gospodarz Białego Domu właśnie zaproponował wypowiedzenie wojny drugiemu najpotężniejszemu państwu na świecie. Reakcje pozostałych sprawiały wrażenie, jakby dzielali pogląd prezydenta.

– Panie prezydencie, chce pan zaatakować chińską flotę? Nasze okręty nie poniosły żadnej szkody podczas ostrzału Tajwanu – powiedziała Hawk. – Owszem, kontakt z komandorem Dirkiem Cheneyem jest bardzo utrudniony, ale możemy założyć, że gdyby Chińczycy chcieli uderzyć na nasz zespół, już by tego dokonali.

– Elizabeth, jak to będzie wyglądało? Zostawimy naszych na pastwę losu? – zapytał Joe Biden. Sekretarz stanu stał oparty o ścianę ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. – Jak wytłumaczysz to społeczeństwu i Kongresowi?

– To może przekształcić się w pełnoskalową wojnę na Pacyfiku. Przypominam, że wciąż jesteśmy zaangażowani w wojnę koreańską. Kim jest w defensywie, a odpowiedzialność za fronty niemal w całości przejął Seul, ale... Musimy postawić sprawę jasno, mamy tam za mało sił, żeby kontynuować walkę przeciwko Korei Północnej i jednocześnie uderzyć na chińską flotę – odpowiedziała Elizabeth.

– Wygląda na to, że nie docenia pani naszej marynarki wojennej. – Martin Dempsey włączył się do rozmowy, obdarzając doradczynię gorzkim uśmiechem. – Przeprowadziliśmy wstępne symulacje już kilka tygodni temu. Jesteśmy w stanie przebić się przez chińską flotę i stworzyć korytarz niezbędny do ewakuacji naszych okrętów.

– Wie pan, czym to się może skończyć? – zapytała. – Chińczycy nie zaatakowali nas nie bez powodu.

– Nie zrobią tego. – Dempsey machnął ręką i spojrzał ukradkiem na prezydenta.

– Czy ja o czymś nie wiem? – zapytał Armitage, po czym przeszył szefa Kolegium mroźnym spojrzeniem.

Martin Dempsey wyduł wargi. Wątpił, żeby Chińczycy posunęli się do takiego kroku, choć zapis stanowił jeden z najgłośniejszych punktów chińskiej białej księgi bezpieczeństwa narodowego, podpisanej wiosną tego roku. Krótki fragment znacznie zmieniał ryzyko nawet niewielkiego konfliktu czy incydentu z udziałem Chińskiej Republiki Ludowej. Przygotowany przez sztab generalny w Pekinie stanowił o nowej jakości w polityce zewnętrznej Chin. Jego treść była brutalnie dosadna. Jeśli jakiegokolwiek państwo jako pierwsze podejmie działania mające na celu zagrożenie bezpieczeństwu narodowemu Chińskiej Republiki Ludowej, może spotkać się z uderzeniem prewencyjnym z wykorzystaniem broni jądrowej.

Albert Armitage właśnie sobie o tym przypomniał.

– Jasna cholera... Zrobili to celowo – powiedział w eter.

– Zgadza się, panie prezydencie – potwierdziła Elizabeth Hawk. – Jeśli pan generał uważa, że możemy bez konsekwencji uderzyć konwencjonalnie na chińską flotę, to grubo się myli.

– Nie my zaczęliśmy tę awanturę – odparł Dempsey. – Chińczycy zaatakowali naszego bliskiego sojusznika, co było bezpośrednim następstwem podpisania przez nasze kraje umowy energetycznej. Nie mogą użyć wobec naszych sił broni jądrowej, ponieważ Tajwan już jest strefą wojny. Nie mamy zamiaru atakować chińskiej ziemi.

– Oni spojrzą na to zupełnie inaczej – prychnęła Hawk. – Dla Chińczyków Tajwan jest...

– Nie zostawimy swoich ludzi na pewną śmierć, Elizabeth. Postradałaś zmysły, chcesz, żeby dostali się do chińskiej niewoli?! – Dempsey podniósł głos, przerywając wypowiedź prezydenckiej doradczynie.

Gabinet Owalny wypełniła ciężka cisza. Brennan i Biden wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Dotychczas przysłuchiwali się słownej potyczce pozostałych zebranych w pokoju.

– Nigdzie w ten sposób nie dojdziemy – powiedział Armitage. – John, masz pomysł, jak możemy obejść zapis Chińczyków? Może wykorzystamy pomysł Martina? Rzeczywiście zaatakowali Tajwan po podpisaniu umowy, szczuli od samego początku. Poza tym mamy dowody na inspirowanie zamieszek przez chiński wywiad i akcje sabotażowe. To nie będzie agresja, tylko obrona wiernego sojusznika.

– Teoretycznie powinno im to związać ręce, w praktyce bardziej działa na nas... – odpowiedział Brennan. – Nie możemy być pewni, w jaki sposób Chińczycy zareagują na wysłanie całej Siódmej Floty w morze.

– Kiedy odpalą rakiety, będzie już za późno na rozmyślanie – powiedziała Elizabeth Hawk.

– Mimo wszystko pozostawienie naszych ludzi i okrętów na wyspie jest nie do przyjęcia. Równie dobrze moglibyśmy już teraz napisać do Chińczyków, że mogą sobie zrobić z naszymi jednostkami, co im się podoba – zaproponował Dempsey. – Jeszcze raz powtarzam, to nie my uderzyliśmy jako pierwsi. Pekin sam wytrącił sobie swój argument z rąk. Każda godzina, jaką zmarnujemy na rozważania, przybliży nasze załogi do porażki i niewoli.

– Kiedy ostatnio mieliśmy kontakt z Cheneyem? – zapytał Armitage.

– Godzinę temu, panie prezydencie. – Martin Dempsey rzucił okiem na najświeższe dane, wyświetlane na służbowym laptopie. – Pentagon twierdzi, że cała wyspa jest zagłuszana przez chińskie systemy walki elektronicznej. Próbuje wykorzystywać nasze samoloty rozpoznawcze i drony do przełamania blokady komunikacyjnej. Do tego czasu możemy polegać jedynie na wywiadzie powietrznym i satelitarnym.

– Jak to wygląda? – Armitage obliznął wargi. W gruncie rzeczy podjął już decyzję. Problemy, z którymi zmagali się wewnątrz kraju, zaczynały rzutować na słupki poparcia.

Polityka antyimigracyjna co prawda doprowadziła do zahamowania fali nielegalnych imigrantów z Meksyku i krajów Ameryki Łacińskiej, z drugiej strony jednak strona, coraz bardziej polaryzowała społeczeństwo. Nie wszyscy Amerykanie tak wyobrażali sobie dobrą zmianę w Białym Domu. Ameryka rosła w siłę, to był fakt niezaprzeczalny. Polityczna i gospodarcza obecność rysowała się na terenach do tej pory dziewiczych, a gospodarka odbijała się od dna. Przypieczętowana umowa z Tajwańczykami

miała być perłą w koronie pierwszych lat prezydentury Alberta Armitage'a. Bez niej nie mógł kontynuować od dawna uknutego planu. Musiał ocalić Tajwan.

– Chińczycy otoczyli wyspę dość szczelnym pierścieniem. Co prawda utrzymują spory dystans od brzegu i naszych okrętów, ale zasięgiem przenoszonego uzbrojenia mogą zagrozić większości celów na wyspie oraz Cheneyowi – odpowiedział Dempsey.

– Rozumiem, że komandor nie miał kontaktu z Chińczykami?

– Nie, panie prezydencie. – Przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów pokręcił przecząco głową. – Komandor zameldował, że od rozpoczęcia inwazji nie otrzymali żadnej wiadomości od chińskiej floty.

Albert Armitage skinął. Spodziewał się tego, w świetle zapisu o prewencyjnym ataku jądrowym Chińczycy będą wodzić ich za nos tak długo, aż zajmą całą wyspę i zmuszą Tajpej do kapitulacji. Nie mógł do tego dopuścić.

– Panie generale. – Prezydent wstał ze swojego fotela. – Chcę, żeby przygotował pan plany i obliczył, ile czasu potrzebuje Siódma Flota do przebicia się przez chińskie okręty.

– Tak jest, panie prezydencie.

– Brennan. – Armitage wycelował palec wskazujący prosto w pierś szefa CIA. – Zrób wszystko, żeby dowiedzieć się, na ile atak nuklearny na naszą flotę jest możliwy. Masz się dowiedzieć absolutnie wszystkiego. Od tego zależą tysiące istnień, John, postaraj się.

Dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej kiwnął głową na potwierdzenie.

– Elizabeth, Joe... Nie podejmę tej decyzji choćby bez kilku prób. – Armitage wykonał w powietrzu nieokreślony ruch ręką. – Skontaktujcie się z chińskim MSZ-em, Ministerstwem Obrony, Kancelariami Premiera i Prezydenta. Dowiedźcie się, czego oni chcą. Jeśli odbijecie się od ściany, jeszcze dzisiaj oczekuję, że zorganizujecie mi rozmowę z Jinpingem.

– Biorę się do roboty, panie prezydencie – odpowiedziała Hawk i wstała z kanapy.

– Joe, wyko... – Armitage urwał w pół zdania.

Pukanie do drzwi było tak irracjonalne, że prezydent zaniemówił. Wyraźnie i kilkakrotnie zaznaczył, żeby przez najbliższą godzinę przekierowywać wszystkie telefony i komunikacje do sekretariatu. Jeszcze większe zdziwienie u zebranych wywołało wtargnięcie do gabinetu prezydenckiego sekretarza bez żadnego zaproszenia. Mężczyzna w doskonale skrojonym garniturze wydawał się nieprzejęty oniemiałymi twarzami.

– Panie prezydencie – powiedział sekretarz grobowym głosem – prezydent Xi Jinping na pierwszej linii.

Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych Przymierza, Kijów, Ukraina | 15 maja 2023, godzina 10:34

Samolot, który miał ewakuować Radegast wraz z misją handlowo-dyplomatyczną, wylądował już we Władywostoku. Tajwan znalazł się pod szczelną blokadą chińskiej floty, na wyspie desantowało się już kilkanaście tysięcy żołnierzy Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Trwał tam teraz bezpardonowy bój o każdą piędź ziemi i każde skrzyżowanie. Gdzieś w samym sercu tego piekła byli oni. Operatorzy i kilkunastu przerażonych cywilów. Generał Jabłoński siedział razem z planistami, którzy opracowywali optymalną operację ewakuacji. Zadanie było karkołomne.

Odrzucili już pomysł wysłania śmigłowców. Testy niewidzialnego dla radarów wirolotu wciąż trwały, a wysłanie prototypowej maszyny na niemal samobójczą misję było absolutnie bezsensowne. Do kosza trafił również pomysł dogadania się z Amerykanami, o Chińczykach nawet nie wspominali. Nim doszłoby do porozumienia, Tajwan stałby się dymiącą kupą gruzów. Szybko zrezygnowano również z interwencji powietrznej w celu odblokowania tej drogi ewakuacji. Zaangażowanie odpowiednich sił i środków trwałoby tygodniami, nie wspominając o ryzyku wywołania kolejnej wojny z Chinami lub pogorszenia już i tak tragicznych relacji z Ameryką.

– Jasna cholera... – powiedział sam do siebie generał Jabłoński. – Kończą nam się opcje.

– Panie generale. – Do Polaka podszedł jeden z oficerów. Potarł spocone czoło, po czym wręczył mu kilka spiętych ze sobą kartek. – Wydaje nam się, że to może być jedyna realna możliwość.

– Pokaż, co tu macie – odparł kwaśno Jabłoński. Przez kilka chwil śledził kolejne linijki tekstu, które układały się w karkołomny plan wyciągnięcia Radegastu i cywilów z ogarniętej wojenną zawieruchą wyspy. Jabłoński zagwizdał w podziwie.

Nim zdążył odezwać się do oficera, do dusznego pomieszczenia wszedł rażnym krokiem Walerij Żyła. Rzucił trzymaną pod pachą czapkę na najbliższe wolne biurko i z uśmiechem ruszył ku Polakowi. Zwarli dłonie w potężnym uścisku.

– No i jak? Spisaliśmy już naszych dzielnych chłopców na straty? – zapytał jowialnie.

– Generale Żyła, wygląda na to, że nasi planiści wpadli na pewien pomysł... – odpowiedział Jabłoński, wyciągając plik kartek w stronę Rosjanina.

Ten sięgnął po dokument i zmarszczył brwi. Przez kilka minut między trójką oficerów panowała całkowita cisza.

– Wy mówicie poważnie? – zapytał Żyła, spoglądając na planistę.

– Konsultowaliśmy się ze sztabem Radegastu w Bobolicach. W zasadzie to był ich pomysł... – Oficer wydał wargi i spuścił nieznacznie wzrok. – Twierdzą, że są przygotowani do przeprowadzenia takiej operacji, jeśli tylko zapewnimy im współpracę ze strony floty.

– Oni tam chyba oszaleli. – Żyła pokiwał głową z niedowierzaniem. – Flota Oceanu Spokojnego wie?

– Tak jest, panie generale. Dowództwo floty jest zgodne co do możliwości przeprowadzenia takiej ewakuacji. Posiadają również okręt zdolny do przebicia się przez blokadę Chińczyków – odpowiedział planista.

– Cóż... – Żyła skrzyżował wzrok z równie nieprzekonanym Jabłońskim. – Co pan o tym myśli?

– Jeśli twierdzą, że dadzą radę, a flota jest w stanie dostarczyć im okręt... – Jabłoński podrapał się w skroń. – To chyba wypada powiadomić Preissa, że rozwiązaliśmy problem.

Walerij Żyła skinął potwierdzająco. Kolejne kilkadziesiąt minut upłynęło zaangażowanym w operację oficerom na konsultowaniu szczegółów z sekretariatem Rady Przymierza, dowództwem Floty Oceanu

Spokojnego i samym komandorem dowodzącym okrętem „Wielkie Łuki”. Po nieco ponad godzinie dowództwo Radegastu oraz wielonarodowy sztab w Kijowie byli pewni – nic lepszego nie wymyślą. Zielone światło od rady dostali już po kilkunastu minutach. „Wielkie Łuki” mogły wyjść z bazy w każdej chwili. Ostateczny rozkaz sformułowano tuż po dwunastej w południe. Pozostało przekazanie dobrej nowiny na Tajwan.

Do uruchomienia połączenia wykorzystano bezzałogowy statek powietrzny, który krążył kilkanaście tysięcy metrów na wschód od Tajwanu. Wzmocniony sygnał przebił się przez chińskie systemy zagłuszania i trafił do odbiornika ukrytych w centrum Tajpej komandosów.

– Dobrze was słyszeć, Faros. – Jabłoński rozpoznał szumiący i niewyraźny głos kapitana Preissa.

– Faros do Orchidei, mamy dla was nowe rozkazy – powiedział oficer łącznikowy, co chwila obserwując wahania siły sygnału. Nie mógł zagwarantować, że uda im się utrzymać połączenie odpowiednio długo. Pewni mogli być tylko bezpieczeństwa. Program zabezpieczenia komunikacji dla sił specjalnych wszystkich krajów Przymierza pochłonął miliardy dolarów. – Ewakuacja nastąpi drogą morską. Rosyjski okręt podwodny „Wielkie Łuki” dotrze do wschodniego wybrzeża Tajwanu za T minus sto dziesięć godzin. Powtarzam, ewakuacja za T minus sto dziesięć godzin. Miejsce ewakuacji zostanie wam przesłane do terminali taktycznych wraz z danymi na temat czasu do przybycia jednostki ewakuacyjnej. Potwierdź, Orchidea.

Przez kilka sekund na łączu panowała absolutna cisza. Oficer zmarszczył brwi i spojrzał na wskazania urządzeń. Połączenie nie zerwało się, transmisja danych wciąż trwała. Dane dotyczące ekstrakcji z pewnością znalazły się już po drugiej stronie pomostu. Sygnalizował to komunikat, który wyświetlił się na komputerze łącznościowca.

– Faros do Orchidei, odbiór.

– Orchidea do Faros, potwierdzam. Ewakuacja za T minus sto dziesięć god...

Połączenie zostało zerwane. Sygnał umilkł w ułamku sekundy, krzywa, która do tej pory mieściła się w przedziale stabilnego transferu, opadła całkowicie. Oficer łącznikowy domyślał się, co było tego przyczyną. Podjechał na biurowym fotelu do stanowiska obok i potwierdził przypuszczenia u kolegi w węgierskim mundurze.

– Panie generale – zwrócił się do Żyły i Jabłońskiego – nasz dron nad Oceanem Spokojnym został zestrzelony. Straciliśmy połączenie.

– Wysłać następny, musimy mieć z nimi kontakt – odpowiedział Żyła i ruszył ku wyjściu z pomieszczenia.

Tajpej, Republika Chińska | 15 maja 2023, godzina 13:25

Pomruki eksplozji wydawały się odleglejsze, jakby docierały do świadomości przez grubą szybę. Emily zastanawiała się, czy to jej słuch zaczął zawodzić, czy po prostu przyzwyczaiła się do detonacji.

Skulona w rogu tunelu wcisnęła się między porzucone samochody. Przez kilka godzin nie odezwała się ani słowem. Kiedy Yang prosił ją o pomoc przy małej Chen, pomagała. Gdy chciał na chwilę wyjść przed tunel i sprawdzić, jak wygląda sytuacja, pilnowała córki i syna. Kiwała tylko głową, jak posłuszny rozkazom robot. Yang szedł wtedy, co chwila obracając się w stronę żony i dzieci. Nienawidziła tego spojrzenia. Zupełnie jakby czekał, aż odepchnie dzieci i pogna przed siebie, byle dalej, byle tylko uratować życie. Czuła się, jakby wylano na nią wiadro pomyj. Nie przeproszała, nie miała już siły ani ochoty.

– Emily – powiedział Yang, stając nad żoną. Znowu ten sam wzrok.

Kiwnęła głową. Jej mąż ani drgnął, stał w tym samym miejscu i patrzył na nią. Był brudny, skóra lśniła od potu. Wcześniej biała koszula teraz straszyla czarnymi smugami i żółtymi plamami.

– Emily – powtórzył. – Musimy iść. Najbliższy punkt zborny jest w szkole policyjnej. To ledwie kilometr, góra półtora. Nie możemy tu siedzieć w nieskończoność.

Podniosła wzrok. Widziała żal, był zawiedziony, nie takiej żony oczekiwał. Usprawiedliwiała się sama przed sobą. Jak mógł ją oceniać w takiej sytuacji? To było przerażenie, nie wiedziała, co robi. Mimo wszystko jednak on zadbał o Davida i małą Chen.

– Słyszysz mnie? – zapytał.

Pokiwała głową. Nie odważyła się odpowiedzieć.

– Emily... – Kucnął. Odruchowo przycisnęła kolana do piersi. Nie czuła się godna jego dotyku. Dłonie zatrzymały się w połowie drogi do ramion, ciasno opinających podkulone nogi. – Musisz się pozbierać. To też twoje dzieci, nie zostawisz ich samych.

Wstał i odszedł kilka kroków. David siedział oparty o koło ciężarówki i trzymał dziewczynkę na rękach. Spojrzał na ojca i uśmiechnął się. Yang schylił się do Davida i wziął Chen na rękę.

Emily wstawała powoli. Musiała podeprzeć się o zderzak samochodu, żeby się wyprostować. Omiotła spojrzeniem najbliższą okolicę. Tunel był ciemny i zatechły. Poza nimi wewnątrz liczącego nieco ponad sto metrów przejazdu zgromadziło się kilkadziesiąt rodzin. Wszyscy tak samo jak oni co chwila spoglądali w czarny strop. Dudnienie nie milkło, wielu ludzi wyglądało na zmęczonych dalszym czekaniem. Jakby liczyli, że Chińczycy w końcu trafią i zawałą tunel. Ból trwałby przecież tylko chwilę. Emily, podobnie jak Yang, zawsze myślała, że naród żyjący w cieniu potężnego przeciwnika będzie przygotowany. Lata indoktrynacji, przeświadczenia o słuszności dokonanych wyborów zahartują ducha i ciało. Myślała, że odwagę można kształtować, można jej się nauczyć jak każdej innej umiejętności. Wystarczyło kilka godzin, by jej ułożone życie legło w gruzach, tak samo jak szacunek dla samej siebie. Na wierzch wypłynęła prawdziwa natura, atawistyczna żądza przetrwania.

Yang szedł pierwszy, jedną ręką trzymał Davida, drugą podtrzymywał małą Chen, która nieświadoma gehenny wodziła zmęczonym wzrokiem od twarzy do twarzy. Płacz wyczerpał ją całkowicie.

Emily trzymała się z tyłu, jak służka idąca pokornie kilka kroków za swoim panem. Zbliżając się do wyjścia na ulicę, zmrużyła oczy, wzrok przyzwyczajony do mroku cierpiał w zetknięciu z jasnym światłem.

– Gdzie idziecie? – usłyszała z boku. – Przecież was zabiją! Dzieci wam nie szkoda?!

– Nie słyszycie bombardowania? – rzucił ktoś inny.

– Oszaleli... Dajcie im umrzeć, tak jak chcą.

– Ludzie! – krzyknął Yang, stając w miejscu. – Nie możemy tu zostać. Musimy uciekać z miasta, na terenie szkoły policyjnej jest punkt ewakuacji. Przecież dobrze wiecie, wszyscy mieliśmy te same szkolenia.

– Daj pan spokój... – machnął ręką mężczyzna w skórzanej kurtce. – Poważnie myślisz, że ktoś tam na nas czeka? Przecież policji już nie ma, wojska już pewnie też nie ma, nikt nam nie pomoże.

– Tu jesteśmy bezpieczni, po co ryzykować? – zapytała kobieta w średnim wieku. Przytulona do równie przerażonego mężczyzny oddychała płytko. Sama nie wierzyła we własne słowa.

– Właśnie, po co ryzykować? – powtórzył ktoś inny.

Chwilę później głośy zlały się w jeden tumult. Nikt nie chciał opuszczać pozornie bezpiecznego schronienia. Walki toczyły się daleko, bomby spadały gdzie indziej. Choć większość była zbyt przerażona, by wyściubić nos z tunelu, po cichu wierzyli, że armia ostatecznie wygra i przywróci spokój na wyspie. Tylko nieliczni milczeli, wahali się.

– Chodź, Emily – powiedział twardo Yang i ruszył przed siebie.

Zasłana porzuconymi samochodami ulica pięła się ku górze, po czym zakręcała w prawo i kluczyła między willami wschodnich przedmieść Tajpej. Emily doskonale wiedziała, gdzie powinni iść. Mijała szkołę policyjną każdego ranka podczas drogi do pracy.

Na niebie wciąż trwała walka, setki smug przecinało się na tle szarego od dymu nieba. Świst odpalanych pocisków i grzmot przelatujących nisko samolotów towarzyszyły im od początku inwazji.

Przez kilkanaście pierwszych minut marszu przedmieścia wydawały się całkowicie opustoszałe. Yang spoglądał nerwowo na Emily, by skontrolować, czy żona wciąż idzie jego śladem. Zdawała sobie sprawę, jak trudno będzie jej odzyskać zrujnowane w jednej chwili zaufanie.

Minęli małe osiedle absurdalnie drogich apartamentowców. Cztery kilkukondygnacyjne budynki świeciły teraz pustkami. Kilka szyb nie wytrzymało fali uderzeniowej pobliskich eksplozji. Ręcznie tkane zasłony powiewały na wietrze jak wisielcy. Emily pamiętała, że prosiła kiedyś Yanga o umówienie spotkania z developerem. Ich domowi niczego nie brakowało, mieli niewielki ogródek, na czym najbardziej im niegdyś zależało. Apartament był zachcianką, kaprysem, do którego spełnienia dążyła od miesięcy. Teraz mogłaby po prostu skręcić i wejść do każdego z nich. Przesuwana brama była otwarta, a budka ochroniarza pusta.

– Emily... – zawołał Yang. – Pospieszmy się. Weź Chen, proszę. – Wyraźnie zaakcentował ostatnie słowo.

Kiwnęła głową.

Doszli do skrzyżowania. Yang zatrzymał się w miejscu jak porażony. Emily przycisnęła mocniej Chen, dziewczynka zaczęła płakać. Zapomniała, że od rana jej nie karmiła, nie mieli przy sobie niczego do jedzenia. Chciała odezwać się do męża, zapytać, dlaczego nie idzie dalej. Powód zauważyła chwilę później. Radiowóz był całkowicie czarny. Gdyby nie kogut na dachu, auta nie byłoby sposób odróżnić od dziesiątek innych, które mijali. Drzwi kierowcy i pasażera były otwarte. Ten drugi musiał zdążyć, kierowca nie miał tyle szczęścia. Coś, co spowodowało pożar, musiało uderzyć od przodu, bo maska była zerwana, a części silnika walały się rozrzucone w promieniu kilkunastu metrów. Policjant kierujący radiowozem wisiał zaplątany w pas bezpieczeństwa. Zwęglona skóra popękała, z ran sączyła się galaretowata wydzielina. Pozbawiona włosów głowa wyglądała jak wrzucony do ogniska kalafior. Białe zęby przebijały się przez czarną tkanę, z ust lała się ledwie zauważalna strużka krwi. Emily poczuła, jak nogi się pod nią uginają. Wolną ręką zasłoniła usta. Jak zahipnotyzowana patrzyła na spękane od żaru ciało.

Yang stanął przed Davidem i obszedł radiowóz szerokim łukiem. Robił, co mógł, by zasłonić widok. Na próżno, David biały jak ściana co chwila zerkał w stronę spalonego pojazdu.

Chen płakała coraz głośniej. Emily tuliła córeczkę do piersi, próbowała ją rozweselić. Dziewczynka była głodna, śpiąca, zmęczona, Emily dobrze o tym wiedziała. Po raz kolejny poczuła chęć ucieczki. Ta

myśl przerażała ją zdecydowanie bardziej niż widok zwęglonych zwłok. Przyspieszyła kroku, niemal równając się z Yangiem. Mąż spojrział na nią obojętnym wzrokiem.

– Już niedaleko – powiedział. – Na pewno na nas czekają.

Emily skinęła głową na potwierdzenie. Chciała w to wierzyć.

Huk eksplozji zdawał się cichnąć, Emily uznała, że albo Chińczycy postanowili przenieść ogień gdzie indziej, albo... obrona zaczęła zwyciężać. Myśl o tym tak ją uradowała, że przestał jej nawet przeszkadzać płacz małej Chen. Chciała podbiec do męża, złapać go za dłoń, przeprosić za wszystko, a potem namiętnie pocałować. Zamiast tego zobaczyła, jak Yang zwalnia kroku, by ponownie stanąć w miejscu. Z łomoczącym w piersi sercem podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

Szkoła policyjna przypominała rumowisko. Powybijane okna straszyły językami płomieni, osmalona fasada pełna była różnej wielkości przestrzelin. Zawalone dachy budynków działały jak kominy, wyrzucając w powietrze tłuste kłęby czarnego dymu. Policja próbowała przygotować punkt ewakuacji. Kilka betonowych zapór stało w poprzek ulic, a radiowozy rozstawione na skrzyżowaniu miały zapewne kierować ludzką rzekę we właściwym kierunku. Wszystko mogło zadziałać, gdyby nie kilka bomb i rakiet, które całkowicie zrujnowały jedyną nadzieję Emily i jej rodziny. Rozrzucone na wszystkie strony ogniki grały na wietrze, przenosząc się na kolejne elementy zdewastowanego kompleksu. Emily nie próbowała nawet liczyć ciał, które zaścięły ulicę przed bramą i plac apelowy.

Po kompleksie snuły się setki ogłuszonych eksplozjami cywilów. Przypominali horde żywych trupów, które wiedzione głodem błakają się po wyludnionych miastach w poszukiwaniu ocalałych.

Podobnie jak oni szukali ratunku w powtarzanych co kilka miesięcy procedurach i ćwiczeniach. Kto wie czy nie skończyliby tak samo? Jak wydmuszki czekające na śmierć w płomieniach.

Nadzieja pękła jak bańka mydlana. Dla Emily tego było już za wiele. Podeszła do męża i przytuliła brudny policzek do jego ramienia.

– Przepraszam, Yang... – wyszeptała. – Uratuj nas.

Hotel Grand Hyatt, Tajpej, Republika Chińska | 15 maja 2023, godzina 15:01

Oczekiwanie wykańczało nie tylko cywilów. Komandosi, słócenzi w podziemnym garażu, mieli czekać po dziurki w nosie. Spędzili już na dolnych poziomach parkingu niemal pół dnia. Dla zabicia czasu patrolowali poszczególne kondygnacje lub sprawdzali, czy przez zabezpieczone zawczasu przejścia nie prześlizgnął się żaden intruz. Preiss wysłał też kilku ludzi na poszukiwania prowiantu i wody. Jak się okazało, podziemny garaż został wyposażony w automaty z napojami i przekąskami. Dość szybko zebrali zapasy coca-coli, rogalików, batonów i ciastek zbożowych. Na początek dobre było i to.

Jastrzębski przeżuwał właśnie pakowanego próżniowo croissanta, spoglądając na plan miasta, rozłożony na masce jednego z SUV-ów. Zakreślona markerem droga, jaką musieli pokonać, by wyrwać się z miasta, przypominała spaghetti.

– Inaczej tego nie wykombinujemy – powiedział Preiss, odrzucając marker na maskę. – Trzeba będzie iść tunelami metra, to najbezpieczniejsza droga. Składy nie kursują, światła w tunelu raczej nie zobaczymy.

– Racja, łażenie po powierzchni jest zbyt ryzykowne. Na ulicach jest pewnie pełno wojska – powiedział Andriej Bołkoński, uderzając palcem wskazującym w najbliższe skrzyżowanie na mapie. – Dobrze, że mamy ze sobą Artema. Kto jak kto, ale na metrze to on się powinien znać.

Zebrani przy masce komandosi parsknęli. Artem, specjals z rosyjskiej jednostki Wypieł, przewrócił oczami i puknął się kilkukrotnie palcem w hełm.

– Oj tam, na żartach się nie znasz – obruszył się Bołkoński.

– Żarty na bok, jak mawiał król Dezmod... – Preiss uniósł dłoń, ucinając chichot. – Dane, które otrzymaliśmy przed zerwaniem kontaktu z Kijowem, wskazują, że nasza sytuacja nie jest tak zła, jak wcześniej zakładaliśmy...

Pakiet informacji wywiadowczych, który spłynął do Preissa i reszty zespołu, poza szczegółami na temat ewakuacji zawierał również ogólny raport sytuacyjny dla Tajwanu. Według analityków Radegastu uderzenie impulsem elektromagnetycznym w tajwańską infrastrukturę odniosło tylko połowiczny sukces. Wyglądało na to, że Chińczycy odcięli od elektryczności część Tajpej oraz dwa duże miasta na wschodnim wybrzeżu wyspy. Oczywiście te działania wystarczyły, by wywołać popłoch wśród przerażonych cywilów i sparaliżować część służb porządkowych. Nie wszyscy jednak znaleźli się w zasięgu impulsu. Dane satelitarne, jakie otrzymał Radegast, wskazywały na to, że jeśli grupie Preissa uda się przedostać do zachodnich przedmieść stolicy, powinni bez problemu znaleźć środek transportu, którym dostaną się do Jilan. Najważniejszym czynnikiem był jednak czas. Chińska ofensywa posuwała się do przodu z każdą minutą. Najświeższe dane mówiły o niemal dwudziestu tysiącach żołnierzy, którzy zabezpieczyli przyczółki dla pozostałych sił. Chińskie jednostki specjalne oraz spadochroniarze zajęli kilka tajwańskich lotnisk, co znacznie utrudniło organizację obrony w głębi wyspy. Jeśli zbyt długo zamarudzą w Tajpej, może się okazać, że będą musieli przebijać się przez pierścień oblężenia.

– Kiedy powinniśmy ruszać? – zapytał Jastrzębski tuż po tym, jak Preiss skończył omawiać raport sytuacyjny.

– Zegarek mówi, żeby spieprzać stąd choćby zaraz – odpowiedział kapitan. – Ale z drugiej strony... – Wskazał na dyplomatów.

– Będą musieli przebierać nogami tak czy siak, może lepiej, jak zaczną pędzić – rzucił Bołkoński.

– Poczekajmy do zmierzchu. Większość oświetlenia w mieście poszła w cholere, będziemy mogli

przemieszczać się niezauważenie. Mamy przewagę. – Preiss wskazał na zamontowane w hełmach HUD-y.

– My tak, ale oni... – rzekł Bołkoński i skinął brodą w stronę cywilów.

– Jakoś będą musieli sobie poradzić – odparł Preiss, rozkładając ręce. – Jak dla mnie to mogą jechać choćby na rowerach.

– Czyli w nocy... – podsumował Jastrzębski. – Łatwo nie będzie.

– Nikt nie mówił, że to będzie spacer po parku – odpowiedział Preiss.

Przedmieścia Taizhong, Republika Chińska | 15 maja 2023, godzina 18:48

Zmierzch nadawał scenerii jeszcze bardziej upiorny charakter. Za dnia jedynymi śladami toczących się walk było czarne od dymu niebo, głuche pomruki eksplozji lub świszczące nad głowami kule. Jednak dopiero pod wieczór wojna prezentowała swoje oblicze w najbardziej spektakularny sposób. Ognie, które do tej pory były ledwie widoczne jako odległe błyski, rozpoczynały swój potępińczy taniec wśród czarnych od sadzy zgłiszcz. Feeria czerwonych odcieni grała na ostrych krawędziach postrzępionych i zawalonych budynków. Przez wyrwane siłą wybuchów okna huczały języki płomieni. Wydawać się by się mogło, że majaczące w oddali miasto jest w rzeczywistości mozaiką milionów gwiazd, które nocą łączą się w ogniste galaktyki.

Chon obserwował ten wieczorny spektakl z nieukrywaną fascynacją. Doskonale zdawał sobie sprawę, że ten cudowny, jasny łuk na północy to nic innego jak płonące osiedla. Mimo to wpatrywał się zafascynowany, jak kolejne detonacje powiększają nierówny kleks ognia. Dawno nie czuł się tak dobrze, świadomość absolutnej nieprzewidywalności losu działała kojąco. Tajwańczycy nieco przystopowali z ostrzałem, co wcale nie oznaczało, że przestali walić w ogóle. Nie było minuty, żeby gdzieś nieco dalej na tyłach, w przeoranej artylerią porcie nie rozbłysła nowa kula pożaru.

Przez pierwsze kilka godzin obsługa nie nadążała z przeładowywaniem systemu obrony przeciwraketowej. Przypominające miniaturowe Katusze na rusztowaniu zestawu były w stanie przechwytywać również pociski artyleryjskie i moździerzowe. Okazało się jednak, że jest ich za mało, by wyłapać wszystkie. Wynikiem tego było kilkanaście dopalających się na portowych placach transporterów, ciężarówek i czołgów. Obrońcy doskonale wiedzieli, którzy najeźdźcy będą kierować sprzęt w głąb lądu. Wstrzelali się już po pierwszej salwie, a Chińczycy szybko namierzali baterię artylerii lub grupę moździerzy odpowiedzialną za atak. Mimo to każdy taki ostrzał zostawiał za sobą przynajmniej kilkanaście ofiar i zniszczony sprzęt. Lepiej było dopiero dalej, za portem. Tam przestrzeń i gęsta zabudowa pozwalały na ukrycie się chociażby w piwnicy, a wciśnięte między budynki pojazdy miały szansę uchronić się przed bezpośrednim trafieniem.

Kapitan Chon siedział na frontowym panczeru swojego ZBD. Oparty o wieżyczkę był doskonałym celem dla snajperów, których w ruinach kryło się bez liku. Co chwila słyszał, że ten oficer nie żyje, a tamten ledwo uszedł śmierci, bo pocisk przeorał mu bark zamiast serca. Chon nie przejmował się tym. Był też absolutnie pewien, że kuszenie losu, jak wmawiał mu Kim, jest wymysłem bojaźliwych wypierdków, którzy wierzą, że rzeczywiście mają wpływ na swoje życie. Nie miało dla niego znaczenia, czy będzie spacerował po otwartej przestrzeni, czy przytulał się do dna okopu, w każdej chwili mógł umrzeć.

- Kapitanie... – usłyszał za sobą.
- Słucham, sierżancie? – zapytał Chon. Podoficer przywarł plecami do panczerza transportera.
- Szeregowy Lijong – sierżant skrzywił się wyraźnie – właśnie zmarł.
- Rozumiem – odparł Chon. – Dziękuję, wracajcie na stanowisko. Możemy ruszać w każdej chwili, a ciało... Ciało wyślijcie na tyły.
- Tak jest. – Sierżant skinął głową i ostrożnie, powoli wycofał się poza stanowisko bewupa.

Chon westchnął przeciągle, spojrzął ostatni raz na odległe ognie i wskoczył do wnętrza transportera. Klimatyzacja działała na pełnych obrotach, a oni mimo zastrzeżeń pootwierali włazy, lecz wewnątrz wciąż panował straszliwy zaduch. Kapitan usiadł na swoim miejscu i sprawdził dane na ekranach.

Kompania ulokowana między budynkami niewielkiej strefy przemysłowej na razie mogła czuć się bezpiecznie. Od dłuższego czasu nie spadł na nich żaden wrogi pocisk. Nie mogło to jednak trwać w nieskończoność. Chon nie widział do tej pory ani jednego tajwańskiego żołnierza i tym bardziej irytował go fakt, że w ciągu kilku pierwszych godzin stracił niemal jedną trzecią stanu osobowego.

– Tarcza do wszystkich – zabrzmiało w słuchawkach systemu komunikacji. – Otrzymaliśmy nowe rozkazy. Dowództwo brygady otrzymało informacje o ważnym punkcie przerzutowym tajwańskiej armii na wschód od naszych pozycji. Przesyłam dane.

– Tarcza, tu Klinga, przyjąłem, potwierdzam odbiór – odpowiedział Chon i stuknął w ekran.

Plik wykonawczy pakietu danych natychmiast wprowadził zmiany do sytuacji taktycznej batalionu. Odległa o dwa kilometry stacja kolei miejskiej zmieniła kolor na czerwony. Jednocześnie na mapie pojawiły się sygnatury wykrytych przez rozpoznanie jednostek wroga, które zajmowały wyznaczony obszar. Dwie kompanie piechoty zmechanizowanej ukrywały się między zabudowaniami tak samo jak podwładni Chona. Kilkanaście transporterów i pluton tajwańskich czołgów M60A3 TTS. Choć były to konstrukcje z poprzedniej epoki, dla transporterów wciąż stanowiły spore zagrożenie. Termiczne przyrządy obserwacyjne AN/VSG-2 bez większego problemu mogły wykryć chińskie pojazdy z uszkodzonym kamuflażem. Wtedy jedynym ratunkiem będą aktywne systemy ochrony. Nawet czołowy pancerz ZBD nie oprze się stuściomilimetrowemu ładunkowi.

– Rozpoczynamy natarcie za kwadrans. Uderzenie poprzedzi ostrzał rakiety z okrętów, bezpośrednie wsparcie zapewnią nam śmigłowce szturmowe – kontynuował dowódca batalionu. – Pamiętajcie, że przed nami dwa kilometry otwartego terenu, Tajwańczycy będą nas mieć jak na dłoni. Wykorzystajcie rzeźbę terenu oraz okoliczne zabudowania.

– Przyjąłem, Tarcza – odpowiedział Chon. Jednym kliknięciem nałożył na mapę siatkę topograficzną. Kapitan skrzywił się z niesmakiem. Tajwańczycy będą ich mieli podanych na tacy. Teren wydawał się płaski jak stół, jedyną nadzieję na ukrycie się przed pociskami nieprzyjaciela stanowiły losowo rozsiane domy i niskie magazyny. Chon na szybko wyznaczył trasy dla poszczególnych plutonów i rozesłał dane do wozów dowodzenia. – Klinga do wszystkich, cały batalion za dziesięć minut rusza do przodu. Przesyłam dane wraz z wyznaczonymi kierunkami ataku dla poszczególnych plutonów. Artyleria zaraz zacznie koncert, z powietrza będą nas wspierać śmigła.

– Przyjąłem, Klinga – odpowiedział porucznik Kim. – Płasko tu...

– Będziecie mogli się wykazać, Szytych Jeden – podsumował Chon. – Wykorzystajcie zabudowania.

Pierwsze pociski spadły na odległą o dwa kilometry stację niespełna pięć minut później. Wystrzelone z okrętów kierowane rakiety raz po raz wbijały się w budynki, wyrzucając w powietrze fontanny gruzu. Jasne płomienie rozlewały się w mroku, rysując przedziwne kształty. Chon widział na czarno-białym ekranie czarne kontury stref gorąca. Zimne, białe konstrukcje znikwały, pożerane przez fale ciepła.

Tuż po raketach odezwały się działa pokładowe chińskich niszczycieli. Eskortą dla desantowców trwała na swoich pozycjach, zabezpieczając szlak przed wrogimi okrętami podwodnymi i skąpymi tajwańskimi siłami powietrznymi. Stumilimetrowe automatyczne armaty były w stanie wysłać ku celowi kilkadziesiąt ładunków na minutę. Chon z nieukrywaniem podziwem patrzył, jak grad niekierowanych pocisków rozszarpuje na strzępy gruzowisko. Ze względu na maksymalną donośność rozrzut pochłoniął znaczną część torowiska i kilka przyległych do stacji domów. Dachówki i części elewacji fruwały we wszystkich kierunkach.

Ostrzał zaczął przenosić się na zachód, salwa granatów dymnych detonowała kilkadziesiąt metrów przed stacją. Wielospektralna zawiesina była najlepszym, co mogli zafundować kanonierzy. Dopóki wiatr nie rozwieje zasłony, powinni czuć się w miarę bezpieczni.

– Tarcza do wszystkich. Ruszamy! – Dowódca batalionu krzyknął w słuchawkach Chona.

Kapitan przekazał rozkaz i jego ZBD wyrwał do przodu, miażdżąc pod gąsienicami resztkę ściany, za którą ukryty był pojazd. Pozostałe bewupy rozbiły się na poszczególne plutony i na pełnym gazie pręły

przed siebie, by jak najszybciej zmniejszyć odległość do celu lub znaleźć dogodną kryjówkę.

Nad pojazdami pojawili się podniebni strażnicy. Salwa niekierowanych rakiet kalibru pięćdziesięciu siedmiu milimetrów dokończyła dzieła zniszczenia, siejąc na lewo i prawo stalową śmiercią. Stacja przestała istnieć, zrównana z ziemią przypominała teraz spieczoną do gołej skały odległą planetę. Chon szczerze wątpił, żeby ktokolwiek uszedł z życiem z takiego piekła. Mimo wszystko Tajwańczycy zaczęli się jednak odgryzać.

Serie wielkokalibrowych pocisków przeszły białą mgłę dziesiątkami jasnych punktów. Chwilę później do kanonady dołączyły pojedyncze AT-4. Niekierowane pociski przeciwpancerne wystrzeliły w stronę chińskich transporterów. Większość rozbiła się o grunt lub budynki, które akurat stały na przeszkodzie. Mimo gęstej zasłony dymnej część ocalałych obrońców utrzymała nerwy na wodzy. Odległość nieco poniżej półtora kilometra była dla głowic AT-4 bliską graniczną, trzy ZBD musiały zdać się na APS, który wyłapał pociski i wypuścił przeciwladunki. Nadlatujące rakiety rozerwały się z hukiem kilkanaście metrów przed skaczącymi na wybojach bewupami.

– Klinga do wszystkich, wysadzić desant, jak tylko osiągnięcie linii zasłony dymnej. Posuwać się jak najszybciej do przodu. Śmigłowce... – Chon zamarł. Spojrzał w ekran. Cztery Z-19, które wyprzedziły jego kompanię, rozbiły formację, tworząc na niebie pawie ogony. Wystrzelone w niebo flary rozświetliły nieboskłon, wyuczony odruch ocalił tylko dwa śmigłowce. Odpalone daleko za stacją rakiety natychmiast złapały cel. Na nic zdało się gwałtowne obniżenie pułapu i zwiększenie prędkości. Pierwsza z rakiet trafiła prosto w silnik, płomień ogarnął drugi motor. Kolejna rakietka nie pozostawiła pilotowi żadnych szans. Śmigłowiec rozleciał się na kawałki, które opadały teraz ku ziemi. Trawiony płomieniem kadłub gruchnął o ziemię, wzbijając w powietrze chmurę pyłu. Drugi śmigłowiec zniknął z pola widzenia chwilę później. Trafiony dwiema raketami spadał, krążąc wokół własnej osi. Chon nie słyszał huku, ale był pewien, że takiego uderzenia nie przeżył żaden z dwójki załogantów. – Dwa śmigłowce stracone. Powtarzam, straciliśmy dwa śmigła. Otworzyć ogień w stronę stacji.

– Szytych Jeden, przyjąłem. Wykonuję – usłyszał w odpowiedzi.

Bewupy odezwały się jak na komendę. Krótkie, mierzone serie poszybowały przez rozwiewającą się już zasłonę dymną i rozbiły się o gorący od eksplozji gruz. Czający się wciąż w rumowisku Tajwańczycy przyglęśli do ziemi, przyciśnięci ostrzałem. Klapy przedziałów desantowych pojazdów opadły na siłownikach. Piechota natychmiast rozsypała się w tyralierę i pod osłoną ZBD ruszyła przez mgłę. Chon spodziewał się, że teraz odezwą się działa armat czołgowych. Już słyszał w głowie kolejne meldunki od porażonych ładunkami załóg. Zmarszczył brwi. Minęła niespełna minuta, a żaden z pojazdów nie meldował nawet namierzenia wroga wiązką laserową.

– Klinga do wszystkich. Meldować o aktywności przeciwnika. – Chon sprawdził obraz taktyczny.

– Szytych Dwa do Klingi – usłyszał dowódcę drugiego plutonu. – Jesteśmy na terenie stacji. Brak aktywności przeciwnika.

– Wycofali się? – zapytał Chon.

– Wysłałem zwiad, Klinga – odpowiedział Szytych Dwa.

Kilkudziesięciu żołnierzy wyposażonych w noktowizory rozbiło się na mniejsze grupki, przeszukując płonące zgliszczka. Kapitan Chon odczekał kilkanaście minut, krótkie serie i komendy umilkły już jakiś czas temu. Podpiął zestaw komunikacyjny pod przenośne radio, sięgnął po spoczywający na stojaku QBZ-95 i szedł po rampie.

Swąd drażnił nozdrza, od ostrego zapachu spalonego mięsa aż zakręciło mu się w głowie. Wyjął chusteczkę z kieszeni i przyłożył do ust. Po czołgach i transporterach nie było nawet śladu. Dowódcy plutonów meldowali co chwila o ciałach tajwańskich żołnierzy rozerwanych na kawałki ostrzałem.

– Kapitanie Chon. – Głos porucznika był zniekształcony, drżał.

– Klinga do Szytychu Jeden, meldujcie. – Chon zaakcentował nazwę kodową pododdziału.

– Klinga... – zmitygował się Kim. – Musicie to zobaczyć.

Chon skinął na kilku żołnierzy, którzy ubezpieczali jeden z transporterów. Meandrował między zgliszczami we wskazanym przez Kima kierunku. Przeszli zrujnowanymi schodami w stronę peronów. Swąd zwęglonego mięsa był coraz wyraźniejszy, kłuł w nozdrza mimo przyciśniętej do nosa chusteczki.

Kim stał na szczycie schodów. Gogle noktowizyjne nie były tu potrzebne. Płomienie wyraźnie rozświetlały peron. Chon zatrzymał się obok bladego jak ściana Kima. Spojrzał we wskazanym kierunku. Oba perony były wypełnione tłącym się jeszcze kłębowiskiem ciał. Kapitan przełknął ślinę i podszedł kilka kroków bliżej krawędzi. Odrzucił chusteczkę i zaklął. Żadne ze zmasakrowanych ciał nie miało na sobie munduru.

Biały Dom, Waszyngton DC, USA | 15 maja 2023, godzina 19:52

Prezydent miarowo kiwał głową. Zaplanowana na pół godziny rozmowa z koreańską prezydentem przeciągała się już o ponad dwadzieścia minut. Rozkazy, jakie otrzymała VII Flota oraz amerykańskie siły powietrzne na terenie Korei Południowej, nie podobały się decydentom z Seulu. Armitage wcale im się nie dziwił, południowokoreańskie wojska właśnie przekraczały linię demarkacyjną, wsparcie z powietrza ze strony Amerykanów z pewnością przyspieszyłoby kampanię. Pentagon zdecydował inaczej.

– Rozumiem pani stanowisko, pani prezydent – powiedział spokojnie Albert Armitage. – Doskonale zdajemy sobie sprawę, że wasze siły przeniosły wojnę na terytorium przeciwnika. O ile mi jednak wiadomo, południowokoreańskie siły powietrzne nie poniosły dużych strat. Według naszych analiz jesteście w stanie zapewnić sobie przewagę powietrzną i wsparcie dla oddziałów na lądzie we własnym zakresie. Amerykańskie samoloty nie są niezbędne do wyeliminowania zagrożenia. Musimy skupić się na Chińczykach. Tajwan od kilkunastu godzin jest regularnie bombardowany, na wyspie wylądowało już kilkadziesiąt tysięcy chińskich żołnierzy.

– Rozumiem, że zabezpiecza pan swoje interesy, panie prezydencie – odpowiedziała Koreanka z przekąsem. – Chciałabym tylko przypomnieć, że na chwilę obecną to właśnie reżim Kim Dzong Una grozi użyciem broni jądrowej. Pekin nie wygłasza takich deklaracji. Nie chciałabym też wspominać, że pan i pański rząd zobowiązaliście się wesprzeć Koreę Południową w obronie kraju.

– Z całym szacunkiem, ale przez ostatnie tygodnie broniliśmy koreańskiego nieba. Co więcej, nasze samoloty zapuszczały się z waszego polecenia daleko nad terytorium Korei Północnej – kontynuował Armitage, wyraźnie zmęczony rozmową. – Bombardowaliśmy cele strategiczne, stanowiska obrony przeciwlotniczej, kolumny transportowe. Byliśmy do waszej dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę. Teraz sytuacja uległa zmianie.

– Nie może pan tak po prostu odwołać wszystkich amerykańskich maszyn – zaproponowała Park Geun-hye.

– Ta decyzja nie została podjęta z dnia na dzień, pani prezydent – odparł Armitage. Koreanka zaczynała coraz bardziej go irytować, Amerykanin resztką sił powstrzymywał się, by nie cisnąć słuchawką w kąt. – Wasz sztab od kilku dni otrzymuje wiadomości o możliwym wycofaniu samolotów. Proszę zrozumieć, pani prezydent, nie spodziewaliśmy się wojny na dwa fronty. Proszę wybaczyć śmiałość, ale wasze wojska mogą zmieść Kim Dzong Una z powierzchni ziemi. A Tajwańczycy nie będą w stanie samodzielnie obronić wyspy. Potrzebują naszej pomocy.

– Proszę nie mydlić mi oczu, panie prezydencie – odpowiedziała kwaśno Koreanka. – Pańskie działania nastawione są tylko i wyłącznie na supremację w Azji. Umowa z Tajwanem to zysk, dla którego jest pan w stanie poświęcić tysiące koreańskich żołnierzy. Jesteśmy najwierniejszym z amerykańskich sojuszników na Dalekim Wschodzie. Nawet nam należy się limitowane wsparcie?

– Pani prezydent, ja dobrze wiem, co działo się na mojej warcie. – Armitage powoli cedził słowa. – Doskonale się też orientuję, co robił pani rząd pod koniec kadencji Clinton. Władza w Ameryce się chwiała, Teheran przejęli Chińczycy, w Europie formowała się nowa siła. Można było poczuć, jak grunt chwieje się pod nogami...

Wściekły głos po drugiej stronie linii umilkł, zastąpiony przez jednostajny szum. Koreanka nie odezwała się ani słowem, ale Armitage wiedział, że rozmówczyni wciąż tam jest.

– Właśnie taka jest polityka, pani prezydent. Nim na dobre rozpocząłem pracę w Białym Domu,

byliście już po kilku turach rozmów z Przymierzem. Strategiczne partnerstwo, tak? – zaśmiał się Armitage. – Szybko chcieliście zmienić protektorat, nawet nasze bazy byście im oddali. Ale nie można wam się przecież dziwić, prawda? Chiny nie dały rady Rosji, ale wspierając Koreańczyków z Północy, mogły pogonić was do morza. Ma pani coś do powiedzenia?

– Hm... – Park Geun-hye odchrząknęła, dając sobie kilka sekund więcej do namysłu.

– Tak też myślałem – powiedział Armitage twardo. – Amerykańskie samoloty dołączą do Siódmej Floty w Japonii. Żegnam, pani prezydent.

Odłożył słuchawkę, aż zadzwoniło. Armitage prychnął pod nosem i wykrzywił usta w pogardzie.

– Głupia pizda... – powiedział sam do siebie, po czym ponownie sięgnął po słuchawkę telefonu, wcisnął odpowiedni guzik i poczekał, aż sekretarka odbierze połączenie. – Martin jeszcze czeka? Dobrze, poproś go.

Martin Dempsey wparował do gabinetu niczym chmura gradowa. Posępny, z zaspanymi, przekrwionymi oczami przypominał swój cień. Albert Armitage zmarszczył brwi, wpatrując się w szefa Kolegium. Pomyślał, że każdemu przyda się po wszystkim przynajmniej kilka dni urlopu.

– Martin? Wszystko w porządku? – zapytał.

– Nie do końca, panie prezydencie – odpowiedział generał. – Otrzymaliśmy dziwną wiadomość z Chin. Nie wiemy, co o tym myśleć, dlatego wolałem przyjechać osobiście.

Albert Armitage sięgnął po wydruk podany mu przez najwyższego dowódcę amerykańskich sił zbrojnych. Pierwszy raz od dobrych kilku miesięcy nie wiedział, co powiedzieć.

– Kiedy to przyszło? – zapytał. Adrenalina zaczęła szybciej krążyć w żyłach, uderzyła w skronie niczym kowalski młot.

– Przed dwiema godzinami – odparł Dempsey.

– Dopiero teraz z tym do mnie przychodzisz?

– Wciąż analizujemy treść... – Generał widział, jak oczy prezydenta rozszerzają się.

– Przecież to kilka linijek tekstu. Co wy tam analizujecie?!

– To może być... pułapka, nie wiemy. Nigdy wcześniej nie otrzymaliśmy podobnej wiadomości z Pekinu.

– Może dlatego, że nigdy wcześniej Chińczycy nie mieli w szachu naszych okrętów, Martin? Pomyślałeś o tym? – zapytał Armitage, po czym odrzucił kartkę na biurko. – Oni poważnie chcą to zrobić? Chcą odeskortować nasze okręty na wody międzynarodowe, tak żebyśmy mogli przejąć je bez narażania na incydenty?

– Nie wiemy... Po zakończeniu analizy tekstu będziemy kontaktować się z chińskim Ministerstwem Obrony – odpowiedział Dempsey.

– Nie, nie, nie. – Prezydent pogroził palcem wskazującym. – Siadaj na dupie i czekaj.

Albert Armitage po raz kolejny w ciągu ostatnich godzin sięgnął po telefon, co skwitował głuchym westchnieniem. Wcisnął guzik i połączył się z sekretarką.

– Julia, wezwij mi tu wszystkich. Tak, tak jak ostatnio. Na kiedy? – Zawahał się i spojrzał na Dempseya. – Na w tej, kurwa, chwili.

Bunkier dowodzenia, Tajpej, Republika Chińska | 15 maja 2023, godzina 20:18

Kolejne sektory mapy taktycznej zmieniały kolor na czerwony. Chińczycy posuwali się do przodu powoli, ale systematycznie. Tajwańska obrona skupiona na głównych kierunkach natarcia robiła, co w jej mocy, by powstrzymać walec czołgów, śmigłowców i ludzi. Jak do tej pory na próżno.

Prezydent Cziang pokiwał głową ze zrozumieniem. Nie miał pretensji do dowódców i sztabowców. Sam aprobował przygotowywane przez nich plany, czasami aktualizacje trwały całymi miesiącami. Bezpieczeństwo było filarem istnienia kraju, osobiście doglądał pilnych dla tego sektora spraw i niejednokrotnie brał czynny udział w negocjacjach. Wizytował jednostki wojskowe, bacznie przyglądał się manewrom, wiedział, że zrobili wszystko, co mogli, by zminimalizować ryzyko inwazji i przygotować obronę. Wiedział również, że to zawsze było za mało.

– Jak długo jeszcze wytrzymamy? – zapytał Cziang, podnosząc wzrok na Yen Yinga. Generał potarł spoczone czoło i ledwie zauważalnie przygryzł dolną wargę.

– Pięć dni, maksymalnie tydzień. Przy obecnej intensywności walk i aktywności przeciwnika w powietrzu nie utrzymamy się dłużej niż tydzień – odpowiedział szef sztabu. Generał zerknął kątem oka na dowódców poszczególnych rodzajów sił zbrojnych. Wszyscy skinęli na potwierdzenie. – Prowadzimy mobilizację, ale jest za późno. Powinniśmy zająć się tym znacznie wcześniej, mogliśmy działać według najczarniejszego scenariusza.

– Mamy się jeszcze bronić? – zapytał minister spraw wewnętrznych Jack Woo. Początkowo największy krytyk strategii sztabu, teraz widział ją jako jedyną możliwość ocalenia choć części rodaków. – Podzielimy los Penghu? Te wysepki praktycznie przestały istnieć w ciągu pierwszych dwóch godzin.

– Broni mamy pod dostatkiem, panie ministrze. Wysp i tak nie mieliśmy szans obronić. Stacjonowało tam ledwie kilka batalionów. Na macierzystej wyspie Chińczykom tak łatwo nie pójdzie. Nie zmienia to faktu, że naszym największym wrogiem wciąż jest przestrzeń – odpowiedział Yen Ying. – Tajwan można objechać w dobę, obrona to tak naprawdę seria pojedynczych batalii, toczonych o każde miasteczko i dzielnicę. Tracimy znacznie więcej ludzi w wyniku wybuchów instalacji gazowej, w zawałach, zapadających się ulicach i tunelach. Musimy postawić sprawę jasno, zginie wielu cywilów, już teraz ofiary idą w setki, jeśli nie tysiące zabitych. To będzie drugi Stalingrad.

– Pięć tysięcy, panie generale – powiedział minister. – Zanim rozpoczęliśmy posiedzenie, dostałem raport o pięciu tysiącach zabitych cywilów. Minęło dopiero nieco ponad dwanaście godzin.

– Ofiar będzie znacznie więcej. Chińczycy mają określony cel. – Generał wstał zza stołu i sięgnął po laserowy wskaźnik. Nienawidził tych prezentacji, wydawały mu się całkowitym marnotrawstwem czasu. – Do teraz stworzyli trzy główne przyczółki do dalszej ofensywy. Na południu straciliśmy Kaohsiung wraz z największym portem na wyspie. Nasze jednostki wycofały się z miasta na wschód i stworzyły linię obrony na przedmieściach. Musieliśmy to zrobić, ponieważ groziło nam okrążenie. Obecnie nasza defensywa na południu ciągnie się od miasta wzdłuż drogi numer osiemdziesiąt osiem, przez Pingdong, dalej na wschód do gór. Wciąż nie udało nam się odzyskać baz powietrznych pod Pingdong, ale tutaj notujemy postępy. Mimo wsparcia z powietrza i dostaw zaopatrzenia chińscy spadochroniarze oddają nam teren. Od momentu desantu do teraz odzyskaliśmy tam jedną trzecią utraconego obszaru.

– Jakie mamy straty? – zapytał prezydent.

– Dotychczas na południowym odcinku frontu straciliśmy około siedmiuset ludzi, dwa tysiące jest rannych. Większość to ofiary ostrzału artyleryjskiego lub nalotów. Wysokie straty notujemy jednak w

sprzęcie...

Dane były szczątkowe, wciąż nie mogli nawiązać kontaktu ze sztabem Dowództwa Obrony Hua-Tung oraz kilkoma brygadami. Straty wśród tajwańskiej piechoty morskiej były niedoszacowane, a każdy kolejny meldunek przyprawiał o zawroty głowy. Yen Ying oraz minister obrony Kuang Chi nie mogli udzielić prezydentowi szczegółowych odpowiedzi. Najbardziej klarowne dane dotyczyły lotnictwa oraz marynarki wojennej. Te dwa sektory obrony oberwały najmocniej. Zostało im ledwie kilka sprawnych okrętów, które zmierzały właśnie na wschód od wyspy, w nadziei, że uda im się przegrupować i dołączyć do Amerykanów. Nie lepiej było wśród sił powietrznych. Optymistyczne szacunki mówiły o czterdziestu ośmiu zdolnych do walki samolotach, z czego większość stanowiły F-35 na lądowiskach bojowych. Wystarczyło czternaście godzin, by trzy czwarte myśliwców zniknęło z tajwańskiego nieba.

Zebranie danych wśród sił lądowych było prawdziwym wyzwaniem. Pierwsza fala chińskiego uderzenia zarzuciła dowództwa poszczególnych korpusów i centrów obrony dziesiątkami pocisków manewrujących i bomb. Przeciwnik dysponował doskonałym rozpoznaniem, co skutkowało częściowym paraliżem poszczególnych podsystemów obrony. Tajwańczycy potrzebowali dobrych dwóch godzin, by rozpocząć skoordynowane działania na lądzie. Tyle wystarczyło. Trzy przyczółki inwazji rozrastały się niczym rak, pożerając kolejne miasteczka i punkty oporu.

Najlepiej wyglądała sytuacja w centrum. Co prawda Chińczycy otwarli wąski kanał między portem a zajmowanym przez spadochroniarzy lotniskiem, ale obrońcy doskonale wiedzieli, że jedyną drogą wyrwania się z przyczółka było Taizhong. Dziesiąty Korpus wsparty trzema brygadami rezerwy liczył z górą pięćdziesiąt tysięcy ludzi i setki pojazdów. Przy umiejętnym dowodzeniu i koordynacji działań mogli urządzić Chińczykom krwawą łaźnię.

Najsilniejsze uderzenie wyprowadzono na północy, na kierunku Tajpej. Chińska doktryna złamania woli zakładała jak najszybsze zdobycie stolicy i zdelegalizowanie bądź wyeliminowanie obecnych władz. Pekin uważał, że paraliż systemu dowodzenia i ciągłości istnienia państwa przyspieszy kapitulację. Tam właśnie skierowano najbardziej elitarną brygadę piechoty morskiej oraz gros weteranów z Rosji i Iranu. Do tego dochodziły nieustanne ataki z powietrza i morza, które nie pozwalały Tajwańczykom na pozatykanie wszystkich luk w obronie. Chińska taktyka dotychczas sprawdzała się, forpocza sił inwazyjnych dotarła już do przedmieść Taojuan. Chińczycy coraz mocniej zaciskali kleszcze. Cziang dobrze wiedział, że czas był dla najeźdźców kluczowym czynnikiem. Xi Jinping musiał zdążyć, zanim na północy uformuje się grupa uderzeniowa VII Floty.

Prezydent wysłuchał sprawozdania, nie przerywając generałowi ani razu. Co kilka chwil kiwał głową, co tylko zachęcało szefa sztabu do kontynuowania wywodu.

– Te grupy, nazwijmy je dywersyjnymi... Wszyscy dobrze wiemy, że to chińskie siły specjalne – powiedział Cziang. – Mogą zagrozić obronie stolicy?

– Niestety tak, panie prezydencie – odpowiedział Yen Ying. – W ciągu ostatnich godzin odnotowaliśmy przypadki kilkunastu ataków w różnych częściach miasta. Jeden z nich miał miejsce na dworcu głównym, zaledwie kilometr stąd. Zginęło kilku policjantów i trzech żołnierzy. Atakujący stracili jednego człowieka, reszta rozplynęła się w tłumie spanikowanych ludzi. Oni chcą wprowadzić chaos, panie prezydencie, i na razie świetnie im idzie.

– Obrona to jedyne, co możemy zrobić? Nie możemy atakować?

– Rozważaliśmy taki scenariusz. Chińczycy mają na naszej ziemi nie więcej niż czterdzieści do czterdziestu pięciu tysięcy żołnierzy. Wciąż mamy przewagę liczebną – odparł Ying chłodnym tonem. – Ale kontratak byłby samobójstwem.

– Dlaczego? – zapytał Jack Woo. Jeśli pamięć go nie myliła, siły zbrojne republiki liczyły niemal trzysta tysięcy żołnierzy. To kilkukrotna przewaga. – Moglibyśmy zepchnąć ich do morza i potopić jak kocięta. Dlaczego nie przejdziemy do ofensywy, póki jeszcze możemy?

– Nie możemy, panie ministrze – odparł szef sztabu. – Chińska przewaga w powietrzu jest

przytłaczająca. Przechodząc do ofensywy, pozbylibyśmy się reszty swoich samolotów, śmigłowców, dronów, prawdopodobnie ostatnich baterii obrony przeciwlotniczej, nie wspominając o sprzęcie lądowym. Nasze czołgi to przestarzałe konstrukcje. Nie będą mogły podjąć wyrównanej walki z chińskimi Typ-96 czy jeszcze nowszymi Typ-99. Nawet gdybyśmy rzeczywiście zmusili agresora do obrony na plażach, stracilibyśmy do sześćdziesięciu procent sprzętu lądowego i kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Poza tym zwycięstwo nie gwarantuje, że Chińczycy nie wylądują z drugim i kolejnym rzutem. Wtedy zostaną nam już tylko butelki z benzyną.

Jack Woo wzruszył nieznacznie ramionami. Podobne gesty bezradności co chwila pojawiały się u pozostałych zgromadzonych. Chińczycy zagonili ich w kozi róg i zmusili do obrony na wszystkich frontach. Jedyłą i ostatnią nadzieją były amerykańskie siły, które zbierały się wokół japońskiej wyspy Okinawa.

– Mamy nowe informacje od Amerykanów? – zapytał prezydent.

– Tak, nowy meldunek otrzymaliśmy kilkanaście minut przed spotkaniem. Czekamy jeszcze na potwierdzenie ze strony Pentagonu. Musieliśmy wysłać wiadomość zwrotną, żeby potwierdzić to, co otrzymaliśmy za pierwszym razem. Chińczycy zagłaszają wszystkie kanały komunikacji, chcą nas odciąć od Amerykanów nie tylko flotą – podsumował generał.

– No i jakie są wieści? – rzucił Kim Kuo. Minister spraw zagranicznych co kilka chwil wyłamywał palce w nerwowym odruchu. – Płyną? Pomogą nam?

– Za kilka godzin powinni rozpocząć procedurę przerzutu swoich sił powietrznych z Półwyspu Koreańskiego do Japonii – odpowiedział szef sztabu. – Część samolotów uderzeniowych zostanie przebazowana na Okinawę, reszta będzie operowała z wysp macierzystych. Siódma Flota jest w ruchu. Pomogą nam, panie ministrze. – Ying spojrział ze sztucznym uśmiechem na Kuo.

– Kiedy możemy spodziewać się pierwszych działań ze strony Amerykanów? – Cziang oparł łokcie o blat i splótł dłonie w uścisku. – Proszę podać realny termin, panie generale. Teraz jest już za późno na pobożne życzenia.

Yen Ying westchnął i spuścił nieco wzrok. Jeśli informacje od Amerykanów się potwierdzą, obrońcy będą musieli czynić cuda, by uratować wyspę. Wizja kapitulacji z każdą godziną stawała się coraz bardziej realna.

– Najwcześniej mogą wejść do walki za czterdzieści osiem godzin – odpowiedział generał. – Biorąc pod uwagę, przez co będą musieli się przebić, żeby dać nam rzeczywiste wsparcie, możemy spodziewać się Amerykanów nad Tajwanem za cztery dni. Jeśli spóźnią się choćby o dobę... gra skończona.

Pierwszy pocisk zrykoszetował na pancerzu wozu dowodzenia. Mimo że posuwał się kilkadziesiąt metrów za resztą kompanii, Tajwańczycy musieli wymacać również jego. Natarcie batalionu zatrzymało się, zanim na dobre rozgrzali silniki. Tajwańska obrona, dobrze wstrzelana i rozlokowana, przykryła ogniem całe przedpole. Stały wszystkie kompanie i plutony. Pojawiły się również czołgi widma, których próżno szukali na stacji kolejowej kilka godzin wcześniej.

Batalion odpoczywał wśród rumowiska niespełna godzinę. Dokładnie tyle zajęło jednostkom tyłowym spalenie fosforem ponad setki martwych cywilów, zamordowanych podczas szturmów. Sztab brygady nakazał natychmiast sprawdzić telefony wszystkich żołnierzy biorących udział w natarciu i wykasować zdjęcia lub filmy dokumentujące proceder. Chon widział przynajmniej kilku ludzi ze swojej kompanii, którzy nagrywali biały płomień spopielający kłębowisko ciał. Wydanego dowódcem plutonów polecenia nie traktował priorytetowo. Skoro zameldowali, że sprawdzili urządzenia, nie miał zamiaru marnować czasu na audytowanie pododdziałów. Ucieszył się, kiedy dostali rozkaz do wymarszu. Śwąd palonych ciał przebijał się nawet przez filtrowaną klimatyzację wewnątrz ZBD.

Podczas gdy Chon czekał, aż armia zatrze ślady zbrodni, sąsiedni batalion wyprowadził natarcie na jeden z węzłów komunikacyjnych, dwa kilometry dalej na wschód. Uderzenie zmusiło Tajwańczyków do odwrotu i otworło drogę dla Tarczy. Zadanie wydawało się banalnie proste: batalion miał uderzyć na dzielnicę niskich domów i budynków usługowych, a następnie wyprzeć przeciwnika z przylegającego do zabudowy cmentarza. Zakładano, że w ciągu maksymalnie dwóch godzin batalion zredukuje wybrzuszenie w linii frontu i przygotuje się do dalszej ofensywy. Po godzinie udało im się zająć ledwie kilka skrzyżowań, a natarcie stanęło w miejscu.

– Moździerze gotowe? – zapytał Chon, odwracając się w stronę jednego z żołnierzy na stanowisku łączności.

– Nie mogę się połączyć – odpowiedział szeregowiec, po czym wrócił do wywoływania plutonu moździerzy kalibru sześćdziesięciu milimetrów. – Może stracili radio.

– Chuj by to jasny strzelił! – wrzasnął Chon i uderzył pięścią w pancerz nad głową. Sytuacja kompanii była patowa, utknęli na częściowo otwartym terenie, między jedną ścianą budynków a drugą. Sąsiednie oddziały wdały się w morderczą walkę o każde skrzyżowanie. Mimo wsparcia z powietrza większość kierowanych bomb zawałała kolejne budynki, nie czyniąc większej szkody wgrzyzionym w ziemię obrońcom. Wycofać się również nie było gdzie, ponieważ punkt, z którego wystartowali z natarciem, znajdował się ledwie dwieście metrów za wozem dowodzenia.

Chon spojrział na ekran taktyczny i oddalił nieco obraz, który obejmował teraz również skrajne plutony bliźniaczych kompanii. Bojowe wozy piechoty rozsypały się w nieregularną linię i nieustannie ostrzeliwały odległe o kilkaset metrów budynki. Piechota ulokowała się wzdłuż rowu melioracyjnego, przecinającego w poprzek kierunek natarcia kompanii. Jeden z plutonów, który mozolnie przebijał się skrajną ulicą dzielnicy, przesunął się nieco do przodu. Między budynkami mieli się gdzie ukryć. Pozostałe oddziały co chwila obrywały pociskami z jednorazowych granatników, moździerzy i broni maszynowej. Potrzebował wsparcia swojego plutonu moździerzy. Jeśli nie przydusi Tajwańczyków ogniem, będą tak siedzieć do końca świata.

Jeden z plutonów Chona przebił się do kolejnego skrzyżowania, na lewej flance zdobyli nieco terenu, to samo na prawej. Tutaj kompania oznaczona jako Jelec sięgnęła sporego zakładu produkcyjnego i wyglądało na to, że będzie w stanie zaflankować obrońców, którzy przydusili Chona do ziemi.

– Jelec, tu Klinga, zgłóście się – powiedział, przyciskając mocniej mikrofon do ust. Odgłosy kanonady przebijały się nawet mimo zakrywających uszy słuchawek.

– Jelec do Klingi, zgłaszam się – padła odpowiedź. Dźwięk był przytłumiony, sąsiednia kompania prowadziła równie silny ogień co ludzie Chona.

– Jesteście w stanie wyprowadzić uderzenie lub nakierować ostrzał moździerzowy na tę pozycję? Przesyłam dane. – Chon zaznaczył na ekranie obszar, po czym przesłał koordynaty do wozu dowodzenia kompanii Jelec.

– Dane pobrane, Klinga, sprawdzam. – Przez kilkanaście sekund dowódca kompanii milczał. Chon wyraźnie słyszał odległe detonacje i długie serie z wielkokalibrowych karabinów maszynowych. – Jelec do Klingi. Starliśmy się z silnym ugrupowaniem przeciwnika na południowy wschód od przesłanej pozycji. Dopóki nie zneutralizujemy przeciwnika, nie będziemy w stanie zaatakować wskazanego celu. Możemy tam tylko podrzucić kilka salw moździerzowych.

– Jelec, tu Klinga, przyjąłem – odpowiedział Chon. – Jak szybko jesteście w stanie przenieść ogień moździerzowy na cel?

– Minuta i pierwsze granaty pójdą w niebo, Klinga.

– Przyjąłem. Jesteśmy waszymi dłużnikami, Jelec. Bez odbioru. – Kapitan przełączył się na kanał kompanii i stuknął w ekran. – Klinga do wszystkich. Za minutę bliźniacza kompania położy ogień moździerzowy na celu przed nami. Jak tylko pierwsze granaty spadną na budynki, podrywacie się do

ataku tak jak na początku. Wozy prowadzą ogień z działek i zdalnych stanowisk strzeleckich. Pamiętajcie, żeby wykorzystać teren i nie zatrzymywać się. Musimy skrócić dystans, już teraz zostajemy w tyle.

– Klinga, tu Sztych Jeden, przyjąłem – odpowiedział Kim.

– Klinga, tu Sztych Cztery, mam trzech rannych i jednego zabitego. Skupili na nas ogień z ręcznych wyrzutni i granatników automatycznych! – Dowódca czwartego plutonu musiał krzyczeć, żeby przebić się przez kakofonię eksplozji i terkotu trzydziestomilimetrowych działek. – Jak tylko wyściubię nos za osłonę, rozwalą nas na kawałki.

Chon przygryzł wargę i przyjrzał się rozlokowaniu czwartego plutonu na mapie taktycznej. Pod najcięższy ostrzał dostali się już na samym początku natarcia. Nie było pojazdu, który miałby w stu procentach sprawny pancerz termiczny. W maszynach kończyła się również amunicja, trzydziestomilimetrowe działka odpowiadały na ostrzał coraz rzadziej.

– Klinga do Sztychu Cztery – powiedział Chon. – Ruszycie na mój znak, pozostałe plutony dadzą wam osłonę i skupią na sobie ogień nieprzyjaciela. Jak tylko wydostaniecie się spomiędzy zabudowań, macie ruszyć wzdłuż autostrady numer dwanaście i dojechać do zabudowań przy ulicy Gouji. Musicie wyprzeć przeciwnika i ostrzelać z flanki. Przydusicie skurwysynów do ziemi, a my zrobimy resztę.

– Klinga, tu Sztych Cztery, przyjąłem. Ruszamy na wasz sygnał – odpowiedział niepewnym głosem dowódca czwartego plutonu.

Pierwsze granaty moździerzowe rozerwały się na nadwyrężonych dachach kilka sekund później. Ukryta wewnątrz piechota wydawała się tego nie zauważać. Dopiero druga salwa wywołała pożądany przez Chona skutek, kanonada na chwilę przycichła.

– Klinga do wszystkich, naprzód! – krzyknął kapitan.

Te kilka sekund względnego spokoju wystarczyło, by trzy plutony wyskoczyły zza osłon i ruszyły do ataku. ZBD wyrzuciły w powietrze strumienie spalin, silniki zaryczały. Gdyby nie termowizja, Chon mógłby śledzić tylko nieregularne cienie grające na ścianach płonących budynków i nieustanne błyski wystrzałów. Dochodziła północ, mijał pierwszy dzień inwazji.

Kolejna salwa granatów moździerzowych wyrzuciła w powietrze fontanny gruzu. Tajwańczycy, początkowo zdezorientowani, szybko uświadomili sobie, że lekkie moździerze nie są w stanie poważnie zagrozić umocnieniom.

– Sztych Cztery, ruszajcie!

– Przyjąłem, Klinga – odpowiedział porucznik, a pierwszy z jego ZBD skoczył do przodu, plując nieregularnymi seriami w stronę tajwańskich pozycji.

Większość światowych specjalistów uważała, że amerykańskie czołgi M60 to prehistoria. Tajwańczycy korzystali z nich od kilkudziesięciu lat, a konstrukcje właśnie miały dowieść swej wartości. Dwa ukryte daleko za pierwszą linią potwory poczekały, aż chińskie bewupy wyjadą na otwartą przestrzeń. Armaty gruchnęły z jasnym błyskiem.

Kapitan Chon początkowo wziął czarną plamę za eksplozję kolejnej tajwańskiej rakiety lub granatu. Dopiero kiedy czołowy bewup Sztychu Cztery zmienił kolor sygnatury, Chon zaniemówił.

– Tu Sztych Jeden, wpadliśmy pod ciężki ostrzał! Potrzebujemy wsparcia, jeden z pojazdów został unieruchomiony!

– Klinga, Klinga! Palimy się! Pomo... – Transmisja zaszumiała i trzasnęła. Chon patrzył w ekran, jeden z pojazdów drugiego plutonu dostał prosto w przedni pancerz. Kostki kamuflażu rozleciały się na wszystkie strony jak klocki. Kapitan widział płonącego kierowcę, który próbował w panice precyzyjnie się przez właz i stoczyć w trawę. Długa seria z karabinu maszynowego przeorała pancerz i zdmuchnęła ciało między krzewy.

– Klinga, tu Sztych Cztery, nie możemy dalej atakować, mam dwóch zabitych i pięciu rannych. Musimy wrócić na pozycje – zameldował dowódca czwartego plutonu.

Chon przymknął na chwilę oczy. Nie mieli szans zdobyć tej dzielnicy bez wsparcia z powietrza lub chociaż ciągłego ognia własnego plutonu moździerzy. Kapitan wcisnął guzik nadawania na kanale ogólnym.

– Klinga do wszystkich, odwrót. Wracać na pozycje – wycedził przez zęby. – Spróbujemy wezwać wsparcie.

Pojazdy zaczęły się cofać, piechota, która zalegała w wysokiej trawie między autostradą a pierwszymi zabudowaniami, czołgała się, przyciskając twarze do ziemi. Tajwańczycy poczuli w żyłach zwycięstwo, zryte granatami i pociskami rumowisko zaroilo się od wystrzałów i wizgu odpalanych granatników.

Wystarczyło półtorej godziny, by kompania Chona straciła bezpowrotnie kolejny pojazd. Między kępami trawy zaległo też przynajmniej kilku zabitych. Rannych wolał nie liczyć, sprawdził tylko na szybko stany wyjściowe podległych plutonów. Pokiwał głową z niedowierzaniem. Tak szybko nie tracił ludzi nawet w Rosji, jeszcze jeden dzień i zostanie z połową żołnierzy. Bez namysłu sięgnął po karabin, przepiął słuchawki do zestawu komunikacyjnego i ruszył ku tylnej rampie.

– Panie kapitanie? – zapytał jeden z podwładnych, patrząc na dowódcę zaniepokojonym wzrokiem.

– Wsparcie, szeregowy. Idę po pierdolone wsparcie.

Hydrauliczne ramiona opuściły rampę, do wnętrza bewupa jak fala wtoczyło się przegniłe i śmierdzące śmiercią powietrze.

Tajpej, Republika Chińska | 16 maj 2023, godzina 00:03

Spodziewali się, że przeprawa przez centrum Tajpej będzie niczym brodzenie po pas w bagnie. To, co zobaczyli na powierzchni, przypominało Brueglowską scenerię „Szalonej Małgorzaty”. Miasto oświetlane łunami pożarów wyglądało jak przedsionek piekła. Żaden z członków Radegastu nie był przygotowany na chaos i panikę, które zaserwowała im tajwańska stolica. Nawet najbardziej krwawe materiały prasowe z obleganych przez Chińczyków rosyjskich miast wydawały się zdjęciami niewielkiej powodzi lub pożaru.

Już na samym początku uderzyło ich całkowite nieskoordynowanie ewakuacji miasta. Preiss był pewien, że Tajwańczycy jako naród żyjący w ciągłym strachu przed nieuniknionym będą doskonale przygotowani na chińską inwazję. Rzeczywistość błyskawicznie zrewidowała te przypuszczenia. Zdecydowaną większość centrum skrywały ciemności, jedynym źródłem światła były rozprzestrzeniające się pożary i reflektory transporterów opancerzonych, które przebijały się w stronę wybrzeża. By pokonać kilkupasmową aleję przecinającą dzielnicę wysokościowców, musieli skorzystać z przejścia podziemnego. Tak jak się spodziewali, kilkudziesięciometrowy tunel okazał się prowizorycznym schronem dla ponad setki przerażonych cywilów. Stłoczeni pod ścianami przyciskali do piersi kwilące dzieci lub rzeczy. Żaden z komandosów się nie zatrzymał, gdy któraś z kobiet łąpała go za ramię lub część oporządzenia. Cieszyli się, że taktyczne HUD-y zasłaniały czerwone ze wstydu twarze.

– Jasna cholera, w filmach inaczej to wygląda – Jastrzębski usłyszał głos „Miniona”. Operator, do tej pory zaprawiony w operacjach specjalnych wśród pustyń Bliskiego Wschodu, po raz pierwszy miał przyjemność przemierzania ogarniętej chaosem miejskiej dżungli.

– Spodziewałeś się pustych ulic czy laski z mieczem i dwoma golasami na łańcuchu? – zapytał „Kruszyna”.

– To nie jest śmieszne... Widzisz tych ludzi?

– Instykt, „Minion” – do rozmowy włączył się Preiss. – Zrobią wszystko, żeby się uratować.

Rzeka wrzeszczących ludzi przelewała się z wylotów ulic prosto na szeroką blokadę odgradzającą arterię od szpitala. Gęsty kordon policji i żandarmerii wojskowej blokował tysiącom spanikowanych cywilów dostęp do przepełnionej lecznicy. Sporych rozmiarów parking migotał dziesiątkami kogutów jak choinka w Boże Narodzenie. Tędy z pewnością się nie przeciwniemy, pomyślał Jastrzębski.

– Większość okien jest ciemna, tutaj też musieli oberwać impulsem – stwierdził Polak.

– Nie ma szans, żebyśmy tędy przeszli – dodał Bołkoński. Razem z dwójką specjalsów zamykał wężyk, którym przemieszczali się od dobrych dwóch godzin. – Musimy zrobić konkretne kółko.

– Antracyt Jeden ma rację – powiedział Jastrzębski. Choć komunikacja między poszczególnymi operatorami była teoretycznie w stu procentach bezpieczna, nazwy kodowe obowiązywały bez wyjątku. – Cywile nie rzucają się w oczy, ale my się nieco wyróżniamy, nie chciałbym wejść Tajwańczykom pod lufy.

– Orchidea do wszystkich. Obchodzimy, przesyłam dane z nową trasą. – Preiss przykucnął u wylotu wąskiej uliczki między dwoma blokami mieszkalnymi. Ukryty za przewróconym kontenerem na śmieci obserwował napierający tłum i coraz bardziej nerwowych policjantów. Żandarmi stojący w wieżyczkach Humvee wodzili lufami po newralgicznych punktach. Cywile byli poranieni, obszarpani i brudni, ale przede wszystkim towarzyszyło im jedno uczucie. Paralizujący strach, przerażenie na samą myśl o tym, że mogą skończyć jak sąsiad lub przechodzień przypadkowo zabity przez raketę, bombę lub spadającą z wieżowca elewację.

– Przyjąłem, Orchidea, odbieram dane – odparł Bołkoński. Chwilę później przez kanał przeleciały

potwierdzenia od reszty komandosów.

Jastrzębski spojrzął na przymocowany do przedramienia terminal. Dane zostały przesłane. Przerzucił obraz na HUD i porównał z obecną trasą. Skrzywił się, widząc, że będą musieli nadrobić dobre półtora kilometra. Niby nic, ale ostatnie dwie godziny spędzili na mozolnym przebijaniu się przez zapchane wojskiem i cywilami centrum. Pokonali w tym czasie nieco ponad kilometr. Do świtu mieli ledwie pięć godzin, Jastrzębski liczył na to, że do punktu docelowego dotrą jeszcze przed wschodem słońca.

– Orchidea do wszystkich, zbieramy się – zakomenderował Preiss.

Zawrócili do niewielkiego placyku, który w rzeczywistości stanowił kwadratowy parking dla okolicznych mieszkańców. Kilka samochodów wciąż stało na swoich miejscach. Impuls musiał zastać jednego z kierowców w trakcie wyjazdu na ulicę, ponieważ koreański sedan stał niemal w poprzek dojazdu do parkingu. Po właścicielu nie było śladu.

Jako pierwsi placyk przesadzili trzej operatorzy zwiadu. Niczym duchy przemknęli na drugą stronę, co chwila przerzucali lufy z lewa na prawo, płynnie zmieniając sektory odpowiedzialności. Kilka sekund później na HUD-zie Jastrzębskiego pojawiła się ikona symbolizująca bezpieczną drogę. Polak spojrzął na towarzyszy. Skinęli głowami.

– Antracyt Jeden, ruszamy razem z pierwszą grupą, osłaniajcie nas – powiedział Polak i przycisnął kolbę MSBS-a do ciała. – Jazda!

Grupka cywilów tłoczyła się tuż obok nich. Jastrzębski zatrzymał się na chwilę i skinął na kobietę w pomiętej garsonce. Zbiegli do garażu tak, jak stali, nikt nie miał nawet czasu, by zabrać kurtkę z pokoju.

– Będzie dobrze, proszę biec – powiedział Polak. Niewielkie głośniki na zamkniętym hełmie doskonale przewodziły dźwięki na zewnątrz.

Blondynka uśmiechnęła się cierpko i skulona jak pod ostrzałem ruszyła w ślad za odważniejszymi kolegami. Przeprowadzenie przez parking zajęła im nie więcej niż dwie minuty. Podczas gdy zamykająca grupa właśnie dobiegała do pozostałych, Preiss wraz z dwójką komandosów sprawdzał już wyjście na ulicę.

– Antracyt Jeden, jesteśmy na pozycji, możemy ruszać dalej – zameldował Bołkoński. Jastrzębski odwrócił się w jego stronę. Rosjanin zakochał się w zamkniętym hełmie od pierwszego wejrzenia. Już kilka dni później przyozdobił pancerny czub podobizną żelaznej maski komiksowego playboya.

– Antracyt Jeden, tu Orchidea, przyjąłem. Przed nami sześćdziesiąt metrów wzdłuż ulicy, potem wejdziemy w park. Wygląda na to, że... – Preiss urwał. Jastrzębski zamarł na ułamek sekundy. Kapitan musiał coś zauważyć. – Dwa pojazdy jadą w naszą stronę. Wygląda na zwykły patrol, ośmiu ludzi, po czterech na każdy samochód. Dajmy im przejechać.

Zbiornicze mikrofony były w stanie wychwycić terkot silnika znacznie wcześniej niż ludzkie ucho. Jastrzębski i reszta szybko przekazali cywilom ostrzeżenie i polecieli zachowanie absolutnej ciszy. Dyplomaci przykucnęli przy ścianach. Tajwańskie pojazdy przedelfilowały przez ulicę, omiatając reflektorami okoliczne okna i bramy. Dopiero gdy z pola widzenia zniknęły ostatnie czerwone światełka wojskowych Humvee, komandosi rozluźnili spięte mięśnie. Nikt ich nie zauważył.

– Orchidea do wszystkich, przechodzimy przez ulicę. Las jest tuż przed nami. – Preiss zgięty w pół zatrzymał się u wylotu bramy. Kilkudziesięcioosobowa grupa ludzi musiała zmierzać w stronę szpitala uniwersyteckiego. Współczuł im, zamiast ratunku znajdują tam tylko blokady i wymierzone prosto w pierś lufy karabinów.

Między pierwsze drzewa weszli kilka minut później. Szli gęsiego, niewielkie grupy podopiecznych przetykane były parami operatorów. Oni widzieli wszystko, cywile musieli polegać na wskazywanej przez komandosów drodze. Co chwila któryś potykał się o wystające korzenie lub wpadał na gałąź. Przeprowadzenie szła jak krew z nosa.

– Cholerny las... Przecież to jest środek miasta! – warknął idący przed Jastrzębskim mężczyzna.

– Tubylcy dobrze kombinują. Zamiast równać las z ziemią, żeby posadzić park, zostawiają takie zielone enklawy. Nie to co u nas... – odparł Jastrzębski. – Patrz pod nogi.

- Może chociaż jakąś latarkę bym dostał.
- Chcesz, żeby ci łeb odstrzelili? – zapytał Polak.

– Bładź... – zaklął Rosjanin.

Naturalny park porastał dość strome wzgórze. Żeby przedostać się na drugą stronę, co chwila pokonywali porośnięte krzewami pagórki i jary. Jastrzębskiego zaskoczyło zróżnicowanie terenu. Wiedział, że Tajwan to w dużej mierze góry, ale tym razem musiał przyznać rację Rosjaninowi.

– Orchidea do wszystkich, do skraju lasu mamy sześćset metrów. Zbliżamy się do terenów laboratorium wojskowego tajwańskich sił zbrojnych. Las na tym obszarze z pewnością jest monitorowany, musimy zachować wzmożoną czujność – powiedział Preiss.

– Antracyt Jeden, przyjąłem – odparł Jastrzębski. Spojrzał na wyświetlacz, obszar, który rozciągał się na północny wschód od ich pozycji, został oznaczony jako skrajnie niebezpieczny. Komandos nie zwrócił na to wcześniej uwagi. Słyszał o laboratorium i wiedział, że będą przechodzić tuż obok, ale nigdy nie uznałby takiej placówki za ekstremalnie niebezpieczną. Przełączył się na kanał wewnętrzny i wyciszył głośniki. – Jest coś z tym laboratorium, o czym nie wiemy?

Przez kilka sekund na łączu panowała złowieszcza cisza.

– Tajwańczycy pracują tam nad bronią biologiczną i chemiczną na wypadek... Cóż, na wypadek chińskiej inwazji. Zapewne chcą jej użyć na kontynencie – powiedział Preiss.

– Zajebicie... – skomentował Bołkoński. – Chińczycy im tego nie rozwalili? Przecież musieli wiedzieć o lokalizacji tego miejsca.

– Widać dobrze się maskują – skwitował Preiss. – Koniec gadania. Wejdziemy na to wzgórze, ominiemy ich.

Łącze zamarło. Wspinaczka w całkowitych ciemnościach była wyczerpująca. Gdyby nie wspomagany egzozkielet, musieliby iść niemal na czworakach. Podejście było nad wyraz strome. Niejednokrotnie musieli wpychać lub wciągać wyczerpanych marszem dyplomatów. Dla nich kilkugodzinna wędrówka musiała być katorgą.

Zatrzymali się dopiero na szczycie.

– Mają elektryczność – zameldował „Padre”. Przycupnął na skraju wzniesienia i położył się między kępami mchu porastającego owalne kamienie.

Reszta komandosów rozstawiła się w okręgu, obserwując perymetr. Dzięki doskonałej optyce i sensorom mogli wychwycić intruza w promieniu kilkudziesięciu metrów.

Jastrzębski zajął wysuniętą nieco do przodu skalną półkę i przytulił się do zwałonego pnia. Daleko między drzewami jaśniał rozświetlony reflektorami i osłonięty folią budynek. Cały obszar otoczony był szczelnym kordonem transporterów opancerzonych i mrowiem wojska w kombinezonach przeciwchemicznych. Jastrzębski obserwował, jak do ciężarówek transportowane są cylindryczne pojemniki. Zaklął pod nosem, widząc, że poza chemikaliami żołnierze przewożą na paki przywiązanych do szpitalnych łóżek ludzi.

– Jasna cholera... – usłyszał na łączu.

– Patrzcie – odezwał się Bołkoński.

Na jednym z łóżek rzucał się przypięty solidnymi pasami mężczyzna. Rozebrany do pasa mógł pochwalić się nad wyraz rozwiniętą muskulaturą. Skórzane obejmy ledwie trzymały, a łóżko kolebało się we wszystkie strony. Do pacjenta podbiegło kilku żołnierzy i wycelowało lufy karabinów prosto w pierś. Odkoczyli, gdy z nadgarstków pacjenta wysunęły się długie, potrójne ostrza.

– Wolverine? – parsknął jeden z komandosów.

– Ja pierdołę! Czy ja, kurwa, śnię?! – krzyknął Bołkoński.

– Orchidea do wszystkich, nic tu po nas. Zbieramy się – zakomenderował Preiss.

Wyszli między zabudowania, robiąc spore kółko. Do stacji metra mieli teraz dobry kilometr. Cywilów było na ulicach coraz więcej, taszczyli ze sobą wielkie plecaki i torby. Trzymali się za ręce, byle tylko nie zgubić się w gęstniejącym tłumie. Radegast wraz z dyplomatami kilkakrotnie musiał zatrzymać się, by przepuścić kierowanych przez policyjne konwoje uciekinierów. Pochody przypominały obrazy z biblijnych przypowieści lub filmów dokumentujących tragedię drugiej wojny światowej.

Stacja metra była częściowo zniszczona. Już z daleka widzieli, że ochraniający zejście na peron dach tlił się na chodniku. Rozerwana na kawałki wiata rozrzucona została w promieniu kilkunastu metrów. Na dole wcale nie było lepiej, skruszone detonacjami schody musieli pokonywać niczym kozice górskie. Choć zagrożenie nie minęło, Preiss zdecydował się wydać cywilom latarki. Kilka minut ryzyka mogło opłacić się znacznie bardziej niż tuzin urzędników z połamanymi i skręconymi kostkami.

– Orchidea do wszystkich, mamy problem... – powiedział Preiss.

– No, to teraz zacznie się zabawa – mruknął „Angel” z przekąsem.

Skład metra musiał znaleźć się w promieniu działania impulsu elektromagnetycznego. Hamulce, system kierowania, wszystko musiało wziąć w łeb. Rozpędzona kolejka wbiła się na peron, kosząc po drodze kilka betonowych kolumn, podtrzymujących strop, i rzędy ławek dla oczekujących. Zejście do tunelu było całkowicie zablokowane. Jastrzębski stanął przy przewróconym na bok wagonie i zaparł się plecami o nadkruszoną kolumnę. Przyciągnął nogę do ciała i z całej siły kopnął w rozsuwane drzwi wagonu. Egzoszkielet wzmocnił cios, który wyrwał metalową śluzę z prowadnic, drzwi uderzyły o przeciwległą ścianę wagonu i strzaskały plastikowe siedzisko.

– No, te egzoszkielety w końcu na coś się przydadzą – skomentował, odwracając się do reszty komandosów.

Tajpej, Republika Chińska | 16 maja 2023, godzina 02:48

Spędzili wśród gruzów kilka godzin, w nadziei, że pomoc dotrze do nich lada moment. Przez chwilę nawet w to wierzyli, przecież rządzący nie mogli porzucić ich na pastwę losu. Zmęczeni, zrezygnowani i przytłoczeni otaczającą ich rzeczywistością siedzieli w osłupieniu wśród tańczących na wietrze ogni. Jakimś cudem udało im się wygrzebać z magazynu dla uciekinierów nieco butelkowanej wody i pakowanego próżniowo prowiantu. Posmakowało nawet małej Chen, dziewczynka przełykała kolejne porcje nafaszerowanej chemią żywności bez słowa sprzeciwu. Yang karmił ją, siedząc na zawalonej kolumnie, która podtrzymywała strop szkoły policyjnej. Garstka ludzi, którzy pozostali wraz z nimi na miejscu, krzątała się bezmyślnie lub zbiła w niewielkie grupki i rozmawiała po cichu. Wszyscy doskonale wiedzieli, że nie mogą zostać tutaj w nieskończoność.

– Emily! – zawołał Yang. Chen skończyła jeść i natychmiast usnęła. Malutka główka opadła mu na pierś.

– Hm? – odpowiedziała, trąc brudną dłońią twarz. Otworzyła zaspane oczy i poruszała palcami u stóp. Krew ledwie krążyła w jej nogach. David spał skulony w kłębek, z głową na jej kolanach.

– Musimy ruszać. Tutaj zaraz skończą się zapasy. Gdzieś musi być jeszcze jakiś punkt, może tamtego nie zniszczyli.

– Nawet nie wiemy, gdzie to może być... – odparła. Przekrwione z niewyspania oczy szczypały przy każdym mrugnięciu. – Znowu będziemy im to robić? – Poglaskała Davida po przyciętych krótko włosach. – Będą oglądać te same sceny, kto wie czy nie gorsze?

– Jeśli tu zostaniemy, na pewno będą je oglądać – odpowiedział. – Chen tu nie przeżyje, Emily, umrze. Nie możemy karmić jej wojskowym żarciem, które i tak pewnie jutro się skończy.

– Nie możemy iść do centrum. Widziałeś ten dym?

– Wiem, ale to – Yang zatoczył ramieniem łuk – nie może być jedyny punkt ewakuacyjny w naszym rejonie. Przecież tu mieszkały... mieszkają dziesiątki tysięcy ludzi. Musi być więcej takich miejsc.

– Są – usłyszeli niski, ciężki głos.

Mężczyzna wyłonił się z mroku i kucnął tuż obok Yanga, który odruchowo osłonił ciałem córkę. Emily położyła dłoń na plecach śpiącego Davida.

– Są inne miejsca – powtórzył mężczyzna. Ubrany w bluzę mundurową i dzinsy wyglądał jak bohater postapokaliptycznego filmu. Wygolone na skroniach włosy układały się w amatorskiego irokeza. Zapadnięte policzki i wydatne kości policzkowe nadawały mu upiorny wygląd. – Wszystkie wyglądają tak samo jak to. Tak się dzieje, gdy nasz rząd sprzedaje się wielkiemu sojusznikowi.

Emily i Yang wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Protestowaliśmy, chcieliśmy się dogadać, ba, nasi przedstawiciele próbowali nawet zorganizować debatę z gabinetem premiera – wyliczał mężczyzna. – I wiecie co? Zaczęli do nas strzelać jak do chorych psów. To ma być nasz rząd? Nasi obrońcy? Nie potrafili nawet przeprowadzić ewakuacji cywilów. Widzieliście te ciała.

– Niemożliwe, żeby wszędzie było tak samo. Przecież mamy potężną armię, ćwiczenia co kilka miesięcy – odpowiedział Yang. – Szykowali się, to nie ich wina, że Chińczycy mają nad nami przewagę. Robili, co mogli.

– Pierdolisz pan... – syknął tajemniczy mężczyzna i przeczesał dłońią oklapniętego irokeza. Yang cofnął głowę między ramiona. – Chińczycy już byli na morzu, a my co? Prezydent i reszta siedzieli jak te ciule w swoich gabinetach, mając nas, naród, za nic. Sprzedali się Ameryce jak tania dziwka. Gdzie ta obiecana pomoc? Gdzie amerykańskie wojska? Ja panu powiem gdzie, w dupie. Nie mamy już dokąd

uciekać. Dwie godziny temu byłem w kampusie uniwersytetu przy moście Fuhe, tam miał być mój punkt zborny. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję przyłączyć się do armii. Dobra. – Mężczyzna uniósł dłonie w przeproszającym geście. – Rzuciłem kamieniami w policję, ale jak już mi Chinol włązi z butami na podwórko, to wiadomo, że będę bronił domu. Zdziwisz się, panie naiwny, ale dziękuję niebieskim, że mi nogę pałą przetrącili. Jakbym tam dokuśtykał trzy minuty wcześniej, toby mnie teraz zeskrobywali z asfaltu. Bomby przypierdoliły prosto w kampus, nawet nie podchodziłem bliżej. Jak zobaczyłem, że autobus rozpada się w powietrzu na dwie części, stwierdziłem, że szukanie kolejnego punktu zbornego nie ma sensu.

– Co pan teraz zamierza? – zapytała Emily półgłosem.

– Hm... – Mężczyzna zadumał się i spojrzał gdzieś w górę. – Będę się bronił, dałem radę policji, dam radę i Chinolom. Pójdę do partyzantki.

– Do partyzantki? – Yang zmarszczył brwi. – Przecież Chińczycy nie dadzą wam żyć.

– No coś pan? Poważnie? – Mężczyzna parsknął pogardliwie. – Mam tu siedzieć jak ten ćwok i czekać na zbawienie? To tak nie działa. Wam też radzę się stąd zabierać, niektórzy, jak widzę, poszli już po rozum do głowy.

Jedna z grupek wstała z zajmowanych miejsc i w pośpiechu pakowała do plecaków i toreb błyszczące foliowe opakowania. Mieli zdecydowanie więcej prowiantu niż reszta. Yang odwrócił wzrok i spojrzał na Chen. Wcześniej nawet nie pisał, kiedy wydarli mu z rąk kilka opakowań kurczaka w sosie.

– Idziemy do kampusu. Tam jest armia – powiedział samozwańczy przywódca grupy. – Nie będziemy tu czekać, aż Chińczycy znowu zrzucą bomby.

Emily widziała, jak mięśnie na twarzy mężczyzny z irokezem drgnęły. Nie odezwał się, patrzył na tęgiego i pucółowatego urzędniczynę, który postanowił zgrywać takiego samego ważniaka jak w pracy.

– Idziecie? – zapytał tamten.

– Nie... – odparł ten z irokezem. – Nie idziemy.

– Jak chcecie. – Urzędnik wzruszył ramionami i odwrócił się do nowych podwładnych. – Wasza strata, nie będziemy za wami płakać.

Emily poczekała, aż grupka przejdzie przez zdruzgotaną wybuchami, pokruszoną ścianę i zniknie za załomem. Dopiero wtedy spojrzała na mężczyznę z irokezem.

– Dlaczego im nie powiedziałeś? – zapytała.

– A co mnie to obchodzi? – prychnął. – Jeśli słuchają się takiego imbecyla, to chuj mnie to interesuje. No, na mnie już czas.

Wstał, otrzepał wytarte na kolanach džinsy i poprawił nieco za dużą bluzę mundurową. Zarzucił plecak i oblizał wargi.

– Idźcie na południe, uciekajcie z miasta. Tutaj nie spotka was już nic dobrego – powiedział. – Macie dzieci, więc nie będę namawiał, żebyście przyłączyli się do mnie. Może i nie jestem szczególnie wygadany, ale żaden ze mnie kutas. Zabierajcie dzieci i spieprzajcie stąd. Niedługo nie zostaną tu nawet zgliszcza.

Wyruszyli jeszcze przed świtem. Zbudzony w środku nocy David pomarudził nieco, ale był już na tyle duży, by choć w niewielkim stopniu rozumieć sytuację. Wiedział, że nie powinien sprawiać problemów, nie, jeśli jego rodzice wyglądali, jakby zobaczyli ducha. Małą Chen przewiązali w nosidełku. Yang trzymał ją na piersi, choć Emily protestowała. A jeśli będą do nich strzelać? Yang nie był w stanie odpowiedzieć na to pytanie.

Zgodnie z radą przyszedłego partyzanta ruszyli na południe. Mieszkali w Tajpej od zawsze, dobrze znali miasto i wiedzieli, którędy najszybciej wydostać się poza gęstą zabudowę. Nie mieli pomysłu na kolejny etap, ale oboje zgodzili się, że za miastem powinno być bezpieczniej, a chińskie wojska będą musiały przebić się przez całe Tajpej, by móc im zagrozić.

Miasto wydawało się opuszczone, nie przypominało stolicy sprzed niespełna doby. Wtedy ludzie

łumnie wychodzili na ulicę i podnosili oczy ku niebu. Z nieukrywaną fascynacją i przerażeniem obserwowali podniebną bitwę, która rozgrywała się wysoko nad ich głowami. Teraz huk silników odrzutowych przetaczał się nad nimi co kilka chwil, odległe grzmoty wybuchów tonęły w odgłosach stawianych kolejno kroków.

– Emily – powiedział Yang i zwolnił nieco kroku, by mogła się z nim zrównać. – Wiem, gdzie powinniśmy iść.

– Słucham – odparła.

– Dom lotniskowy w Keelung. – Spojrzał na nią z uśmiechem. – Że też wcześniej o tym nie pomyślałem. To na północy wyspy, na obrzeżach miasta, dookoła las, tam będziemy bezpieczni.

Emily przez chwilę milczała, zmarszczyła wąski nos, co zawsze towarzyszyło jej podczas intensywnego myślenia. Może ma rację? – pomyślała. Dom lotniskowy rzeczywiście był nieco na uboczu. Nawet jeśli szlag trafił tam elektryczność, w lodówce trzymali głównie puszkowaną żywność, która może wytrzymać nawet kilka miesięcy. Mieli też niewielką studnię. Tak, to może się udać, stwierdziła w duchu.

– Dobry pomysł, Yang. Jest tylko jeden problem.

– Jak się tam dostaniemy?

– Właśnie, to dobre trzydzieści kilometrów stąd. No i musielibyśmy wrócić do centrum... – Przygryzła wargę.

– Podśledzałem jedną rozmowę. – Yang konspiracyjnie zniżył głos. – Podobno elektryczność padła tylko w Tajpej, reszta wyspy wciąż powinna mieć prąd.

– Jesteś pewny? – zapytała.

– Nie... – odpowiedział Yang nieco zrezygnowanym głosem. – Ale muszę trzymać się jakiejś nadziei. Może uda nam się znaleźć jakiś działający samochód albo trafimy na wojsko. Będziemy mogli pojechać wzdłuż wybrzeża, na północ. Byłoby znacznie bezpieczniej, niż cisnąć się przez centrum Tajpej.

– Wiem, Yang, wiem.

Zbliżyli się do wysokiej estakady. Autostrada, która przebiegała na potężnych filarach powyżej osiedla, zakręcała na wschód i kilkaset metrów dalej znikła w wydrążonym w zboczu góry tunelu. Już z daleka widzieli, że konstrukcja jest wyraźnie uszkodzona. Yang zszedł na szeroki chodnik i zatrzymał się przy porzuconej furgonetce jednego z dostawców telewizji. Oczy Yanga rozszerzyły się, dał znak dłonią, by Emily i David schowali się za samochód.

– O co chodzi? – Emily szepnęła mu do ucha.

– Tam, pod autostradą. – Wskazał przez szybę na dopalający się pośrodku drogi wrak. – Samolot, musiał się tutaj rozbić. Tam chyba jest nasze wojsko, widzę kilka pojazdów.

– Tutaj? – zapytała. Spojrzała przez szybę drzwi pasażera. Myśliwiec, spadając, zahaczył o estakadę i rozpadł się na kawałki, zasypując drogę resztkami. – Yang, oni nie żyją, oni leżą na ulicy.

– Co? – zapytał i zmrużył oczy.

Cztery transportery opancerzone, które Yang wziął za patrol tajwańskiego wojska, były w rzeczywistości jednym z plutonów, który miał zabezpieczyć pobliski most. Pilot uszkodzonego myśliwca próbował się ratować, silnik odmówił jednak posłuszeństwa i maszyna runęła jak kamień. Jedyne, co mógł zrobić, to katapultować się, naprowadziwszy wcześniej dziób maszyny na autostradę, a nie na domy. Ocalił kilka rodzin, jednocześnie pozbawiając mężów i żon kilkanaście innych. Samolot wbił się dokładnie w środek plutonu. Cienki pancierz transporterów nie miał szans w starciu z rozpędzoną kilkutonową maszyną. Uderzenie rozpruło jeden z wozów na kawałki, a eksplozja zmiotła piechurów jak liście na wietrze. Nikt nie miał prawa przeżyć takiego uderzenia.

– Patrz, jeden chyba żyje, czołga się... – powiedziała Emily. Zaniemówiła, widząc, jak do ранego żołnierza podbiega nagle chłopiec. Już w biegu ściąga niewielki plecak i wyjmuje butelkę wody. Dopiero kiedy Yang trzasnął pięścią w karoserię i rzucił się w pogoń, zrozumiała, że nad ledwie żywym

żołnierzem klęka jej syn.

Yang dopadł do Davida i zdecydowanym ruchem odciągnął od zmasakrowanego mężczyzny. Obaj przewrócili się na zimny asfalt, wyciągnięta ku butelce ręka opadła zrezygnowana na poranione ciało. Emily dobiegła do nich chwilę później.

Nie był młody, musiał mieć dobre czterdzieści lat. To, że wciąż żył, zakrawało na cud. Urwana w kolanie lewa noga znaczyła asfalt na bordowo. Na ramieniu i kamizelce taktycznej przebijały się krwawe plamy, podarty w niektórych miejscach mundur ukazywał głębokie rany, z których sączyła się krew. Emily zasłoniła usta i zgięła się wpół. Na twarzy żołnierza malowało się niewyobrażalne cierpienie.

– Błagam... – zarzęził ledwie słyszalnie. Yang, który do tej pory trzymał kurczowo syna, teraz rozluźnił chwyt. David odkręcił butelkę i przyłożył żołnierzowi do ust. Mężczyzna zakrztusił się po pierwszym łyku, ciało zadrżało spazmatycznie. Yang klęknął za nim. Nie miał pojęcia, jak mu pomóc.

– Co możemy dla ciebie zrobić? – zapytał łamiącym się głosem. Emily patrzyła na nich sparaliżowana strachem. – Proszę, jak ci pomóc?

Żołnierz wykręcił rękę i próbował sięgnąć do uda, gdzie w przytroczonej do panelu kaburze wciąż spoczywał pistolet. Spięte z bólu mięśnie nie były w stanie wykonać polecenia. Yang powoli, ostrożnie odpiął kaburę i wyjął solidnego Hecklera. Podał żołnierzowi, ale ten pokręcił tylko głową, strużka spienionej krwi pociekła mu po brodzie.

– Weź... – powiedział. – Gdzie... Dokąd idziecie?

– Do Keelung. Chcemy uciec z miasta. Tam powinno być bezpiecznie. – Yang mówił jak katarynka.

– Nie... – odpowiedział żołnierz. – Keelung nie... – rozkaszał się ponownie.

– Nie? – zapytał Yang. – Dlaczego?

– Chińczycy... – odpowiedział żołnierz. – Bombardują. Pinglin, przy jeziorze. Tam będzie obóz, tam będą kierować...

Yang poczuł, jak serce omal nie wyrywa mu się z piersi. Żołnierz zamrugał kilkukrotnie i skupił wzrok na bladej ze strachu twarzy Yanga.

– Pinglin, tam. Weźcie pistolet, będzie wam potrzebny.

– Gdzie jest pana oddział? Musi pan trafić do szpitala, stracił pan dużo krwi – powiedział Yang.

Żołnierz wykrzywił usta w grymasie, który zapewne miał być uśmiechem. Zakrztusił się krwią, która lała się z ust wąską strużką. Złapał Yanga za ramię i spojrzał na niego najprzytomniej, jak potrafił.

– Uciekajcie, uciekajcie – mówił żołnierz. – Ale najpierw mnie zabij.

Yang poczuł, jak żołądek podchodzi mu do samego gardła.

Zakazane Miasto, Pekin, Chiny | 16 maja 2023, godzina 06:39

Odpowiedź otrzymali w zakładanym czasie. Treść wiadomości również nie odbiegała od przewidywań. Amerykanie nie mieli innego wyjścia, nie poświęciliby obu załóg i okrętów. Marynarka cieszyła się w USA najwyższym szacunkiem i stanowiła najważniejszy filar militarnej potęgi Ameryki. Decyzja o zgodzie na chińską eskortę była jedynym logicznym wyjściem z sytuacji.

– Gdzie chcą dokonać przejęcia? – zapytał Xi Jinping i podparł policzek na otwartej dłoni. Tej nocy przespał ledwie pięć godzin, co w jego wieku było dalece niewskazane.

– Zaproponowali wody międzynarodowe nieopodal japońskiej wyspy Miyakojima w prefekturze Okinawa – odpowiedział admirał Wu Szengli. – Zabezpieczają się, na wypadek gdybyśmy chcieli zwabić ich w pułapkę.

– Mogliśmy się spodziewać, że nie zgodzą się na przekazanie załóg w obrębie naszej blokady – dodał minister obrony Czang Wanquan.

– Powinniśmy się przygotować... Na wszelki wypadek. Nie możemy ufać Amerykanom w stu procentach – powiedział prezydent. – Musimy działać na chłodno, być może uda nam się teraz uniknąć konfrontacji, ale prędzej czy później będzie musiało do tego dojść. Północna grupa floty powinna być przygotowana, że w każdej chwili może znaleźć się na pierwszej linii frontu.

– Oczywiście, panie prezydencie. – Admirał Szengli skinął nieznacznie głową. – Przygotowywaliśmy się do ewentualnej konfrontacji z Siódmą Flotą. Procedury mogą zostać uruchomione w każdej chwili.

– Myślicie, że coś może się wydarzyć? – zapytał Jinping.

Oczywiście, że o tym myśleli. USS „Ronald Reagan” spędzał sen z powiek nie tylko dowódcem chińskiej floty. Kilkadziesiąt Super Hornetów, które bazowały pod pokładem, zagrażało chińskim bazom morskim, wypełnionym po brzegi wojskiem i zaopatrzeniem dla walczących na Tajwanie. Wystarczył jeden zmasowany nalot, by pozbawić kilka brygad niezbędnego do walki wyposażenia. Admirałowie i generałowie nie mogli również zapominać o samolotach walki elektronicznej, śmigłowcach do zwalczania okrętów podwodnych i podniebnych zwiadowcach. Pozostawała także potężna eskorta. Wszyscy najwyżsi rangą dowódcy poszczególnych rodzajów wojsk mówili jednym głosem. Walka z grupą bojową lotniskowca to jak inwazja na samowystarczalną twierdzę. Jedynym pocieszeniem był fakt, że Chińczycy dysponowali na morzu podobną potęgą i zawsze mogli oddelegować do walki dodatkowe siły.

– Nie możemy jednoznacznie odpowiedzieć, że mimo przejęcia przez Amerykanów obu krążowników nie dojdzie do żadnych incydentów. Siódma Flota zmierza w stronę Okinawy, to potężna siła, która jest w stanie zagrozić całemu północnemu zgrupowaniu naszej floty – odpowiedział Wu Szengli.

– Nie jest to szczególnie pocieszające – mruknął Xi Jinping. – Będziemy mogli ich zatrzymać?

– Tak, z pewnością – odparł Szengli zdecydowanie. – Zatrzymamy ich, ale szacunkowo możemy stracić do pięćdziesięciu procent stanu północnego zgrupowania.

– Ponad dwadzieścia okrętów?

– Zgadza się, panie prezydencie.

– Jaki będzie to miało wpływ na naszą operację na Tajwanie? – zapytał Jinping. Wizja bezpowrotnej utraty tak dużej liczby okrętów wywołała na jego ciele nieprzyjemny dreszcz. – Jeśli dobrze pamiętam, tajwańska marynarka nie stanowi dla nas obecnie większego zagrożenia?

– Nawet jeśli Amerykanie zadadzą nam poważne straty i zmuszą flotę do wycofania się, wciąż zachowamy pełną zdolność operacyjną na wyspie – odpowiedział szef sztabu Fang Fenghui. – Najważniejsze jest zabezpieczenie szlaków przerzutowych z kontynentu na Tajwan. Te są chronione przez osobną, wydzieloną grupę okrętów. Nawet w najczarniejszym scenariuszu, po zagładzie naszego północnego zgrupowania, Amerykanie nie odważą się zbliżyć do naszych wybrzeży, a co więcej, wejść w cieśninę. Nasylenie obroną powietrzną i przeciwokrętową jest zbyt duże, by sztab Siódmej Floty się na to zdecydował. Nie ukrywajmy tego, północne zgrupowanie floty od samego początku miało stanowić przeszkodę dla Amerykanów.

– Paradoksalnie zgoda Amerykanów na odeskortowanie okrętów na wody międzynarodowe może okazać się dla nas niezwykle hojnym darem – dodał admirał. – Morale Tajwańczyków upadnie, kiedy dowiedzą się, że ich największy sojusznik ułożył się z nami w kwestii swoich załóg.

– Chyba że chodzi im wyłącznie o to, by zapobiec masakrze swoich ludzi – powiedział Jinping. – Mogą zechcieć uderzyć na nas, gdy tylko oba krążowniki wyjdą poza zasięg naszych rakiet.

– Będziemy przed tym zabezpieczeni, panie prezydencie – powiedział admirał z delikatnym uśmiechem.

– Skoro tak pan uważa, admirale. – Prezydent skinął głową. – Wracając do Tajwańczyków. Postępy naszej ofensywy są obiecujące, martwi mnie jednak front centralny. Wciąż nie udało wam się zająć przedmieść Taizhong, a bez opanowania tego miasta nie będziemy mogli zająć pozostałych rejonów w centrum wyspy.

Szef sztabu westchnął ledwie zauważalnie. Środkowy odcinek frontu od kilku godzin właściwie zamarł. Mimo intensywnego ostrzału artyleryjskiego i bombardowań Tajwańczycy trzymali pozycje na przedmieściach Taizhong, zadając Chińczykom spore straty. Doszło tam również do pierwszej poważnej bitwy pancernej. Batalion tajwańskich M48 starł się z kompanią pojazdów Typ-96 wspieranych przez piechotę zmechanizowaną i śmigłowce szturmowe. Pewne łatwego zwycięstwa załogi chińskich czołgów nie doceniły swojego przeciwnika. Doskonale zgrane tajwańskie pojazdy zmusiły Chińczyków do skrócenia dystansu. Mobilne sekcje przeciwpancerne tylko na to czekały, z jedenastu czołgów Typ-96 do końca starcia przetrwało sześć. Ciężar zdobycia tajwańskich pozycji musiała przyjąć na swoje barki piechota wspierana przez bewupy i śmigłowce. Unieruchomione ogniem artylerii M48 stały się łatwą zdobyczą. Ostateczny szturm tajwańskich pozycji pochłonął niemal dwadzieścia pojazdów i setkę zabitych. Sztabowcy wyobrażali sobie pierwsze dwadzieścia cztery godziny inwazji w znacznie jaśniejszych barwach.

– Wciąż naciskamy na Tajwańczyków. Dzięki precyzyjnemu ogniovi artylerii oraz bardzo dobrej koordynacji działań naszych sił lądowych i lotnictwa wciąż wypieramy przeciwnika z zajętych terenów – odpowiedział Fang Fenghui. Admirał Wu Szengli przełknął ślinę, dobrze wiedział, że prezydent nienawidzi wyuczonych zawczasu formułek. – Na wyspę powinny właśnie docierać kolejne oddziały, które będą mogły dołączyć do ofensywy. Uważamy...

– Panie generale. – Xi Jinping uniósł dłoń, jego twarz wyrażała niewzruszony spokój. – Proszę mi powiedzieć, jak daleko jesteśmy za harmonogramem?

– W tej chwili? – zapytał szef sztabu. Nie doczekawszy się odpowiedzi, oblizał wargi i zmarszczył czoło. Spóźniali się. – Na froncie północnym idziemy jak w szwajcarskim zegarku, osiągnęliśmy północne przedmieścia Tajpej...

– W centrum, panie generale.

– Około dziesięciu godzin, panie prezydencie.

– Wiecie, że minęła doba i powinniście już sięgać centrum Taizhong. Bez zabezpieczonego centrum operacja może przedłużyć się o kilka dni. – Xi Jinping nieznacznie zmienił pozycję w wygodnym fotelu. Fenghui czuł na sobie świdrujący wzrok prezydenta. – Jeśli Amerykanie zobaczą, że zaczynamy zwalniać albo co gorsza, że ofensywa się zatrzymała... Nie muszę panom przypominać, co wówczas może się

wydarzyć. Zakładam, że chcieliby panowie tego uniknąć.

Skinęli głowami jak jeden mąż. Doskonale wiedzieli, że prezydent czytał symulacje i scenariusze rozwoju sytuacji. Tajwan był zbyt ważny, by mógł z niego zrezygnować. Wystarczył jeden błąd, by upokorzeni jankesi wzięli odwet i wymierzili morderczy cios. Jinping chciał uniknąć tego za wszelką cenę, nie mógł wydać wojny Ameryce, jeszcze nie.

– Oczekuję, że zajmiecie tę wyspę jak najszybciej, każda godzina opóźnienia podnosi ryzyko. Świat już zaczął wieszać na nas psy, czas gra wybitnie na naszą niekorzyść. Amerykanie muszą odpuścić lub zaatakować pierwsi. Zrozumieliście? – zapytał.

Głowy dowódców ponownie wykonały poddańczy gest.

– Dobrze, cieszę się. – Prezydent złączył nieco pulchne dłonie na blacie biurka. – Odpowiedzcie Amerykanom, niech nasz MSZ wystosuje odpowiednie oświadczenie i skontaktuje się z Departamentem Stanu w Waszyngtonie. Albo się ich pozbędziecie, albo czeka nas największa bitwa morska w historii.

Metro pod Tajpej, Republika Chińska | 16 maja 2023, godzina 09:48

Tunel był uszkodzony. Kolejka, którą właśnie mijali, musiała wypaść z torowiska znacznie wcześniej. Zwały betonu zajmowały całą szerokość gigantycznej tuby. Pogiete wagony przypominały ogromną aluminiową stonogę, która zamarła w nienaturalnej pozycji. Preiss wraz z czołową sekcją grupy zatrzymał się kilka metrów przed tarasującym tunel wagonem. Kabina maszynisty wbiła się w betonową ścianę. Człowiek, który kierował składem, nie miał najmniejszych szans. Preiss wyraźnie widział też, że podobny los podzieliła spora część pasażerów. Pędzący z ogromną prędkością podziemny pociąg nagle stracił zasilanie i sterowność. Wypadł z torowiska, zamieniając się w ogromną sokowirówkę. Preiss widział krwawe zacieki na burtach i pleksiglasowych szybach.

– Szlag... – powiedział, kręcąc głową. – „Kojot”, „Ahmed”, sprawdźcie, czy da się przejść na drugą stronę.

Operatorzy skinęli głowami i podeszli do zdruzgotanego wagonu. Zakleszczone drzwi ustąpiły dopiero po solidnym kopniaku. Uderzenie poniosło się echem we wszystkich kierunkach.

– Spróbujcie przejść na drugą stronę nieco ciszej – powiedział Preiss i ruszył w stronę pozostałych komandosów i skupionych w grupkach cywilów.

– Tak jest – odpowiedział „Kojot”, po czym wskoczył do środka wagonu.

– Orchidea do wszystkich, czekamy na sprawdzenie wagonów i dalszej drogi. Obstawić pozycje, uruchomcie skanery. – Preiss zatrzymał się przy dwójce operatorów oznaczonych przez system jako „Padre” i Bołkoński.

– Przyjąłem, Orchidea, Antracyt Dwa wykonuje. – „Padre” poderwał się z miejsca i ruszył ku końcowi zgrupowania. Jedną ręką sięgnął do zasobnika na panelu bocznym Tytana i wyłuskał kulisty przedmiot, niewiele większy od dojrzałego grejpfruta. Położył kulę obok torowiska i wcisnął wkomponowany w obudowę przycisk. Zielona dioda zamrugła, oznajmiając gotowość drona do pracy. – No mały, dajesz – powiedział „Padre” sam do siebie.

Kulisty dron bezszelestnie potoczył się w mrok tunelu. Przez kilka chwil słyszeli jeszcze, jak maszyna podskakuje na wyboju lub betonowym złomku. Przeseryjna konstrukcja jak widać miała jeszcze pewne wady oprogramowania i nie rozpoznawała wszystkich przeszkód. „Padre” pamiętał, że podczas testów dron nazwany pieszczotliwie BB8 bez problemu pokonywał slalom z pustych butelek po piwie.

„Padre” spojrzał na zainstalowany na przedramieniu terminal. Podstawowa funkcja drona działała bez zarzutu. Były operator JWK z uśmiechem śledził, jak na ekranie rysuje się trójwymiarowa, szczegółowa mapa tunelu. Skaner zainstalowany w BB8 rozpoznawał każdą odnogę i załom, był w stanie wychwycić nawet szczyrby w betonie. „Padre” zauważył też kilka śladów termicznych, które dron zaklasyfikował jako szczury. Po kilku chwilach Polak miał pełny obraz pięciuset metrów tunelu, który właśnie minęli. Wyglądało na to, że nikt nie szedł ich śladem.

– Orchidea, tu Antracyt Dwa, tunel czysty – zameldował „Padre”.

– Przyjąłem, Antracyt Dwa, widzę skan na ekranie. Zaraz ruszamy, możesz sprowadzić drona z powrotem – usłyszał w odpowiedzi.

– Przyjąłem, Orchidea. – „Padre” uruchomił zdalnie komendę powrotu do bazy i po chwili BB8 bez problemu wjechał na wyciągniętą dłoń komandosa.

Dwójka komandosów, którzy przed kilkoma minutami zniknęli we wnętrzu wagonu, zbliżała się niespiesznie z opuszczonymi karabinami. Zatrzymali się kilka kroków przed Preissem. Kanciaste hełmy

balistyczne w połączeniu z egzozkieletem wpasowanym w system Tytan przywodziły na myśl futurystyczne produkcje filmowe.

– Przez wagon można przejść – powiedział „Kojot” grobowym głosem. – Dalej skład przytulił się do jednej ze ścian tunelu, będzie miejsce, żeby iść gęsiego. Ale szczerze mówiąc... – „Kojot” zawiesił głos.

– Bardzo źle? – zapytał Preiss.

– Nie wiem, czy dadzą radę, to wygląda jak rzeźnia pod koniec zmiany.

– Nie mamy wyboru. – Preiss wzruszył ramionami. – Jakoś będą musieli to wytrzymać.

Jastrzębski widział, jak kapitan podchodzi do ochranianej przez jego sekcję grupki dyplomatów. Preiss przykucnął tuż obok Radosława Bieleckiego i powoli, ze szczegółami wykladał plan na najbliższe kilka minut. Twarz Polaka już w noktowizji była niesamowicie blada, a kiedy Jastrzębski przełączył się na obraz termiczny, zobaczył, jak krew odpływa z twarzy, zostawiając ciemne plamy. Neutralny do tej pory korpus rozjarzył się ciepłą bielą. Bielecki był przerażony.

– Czyś pan zwariował?! – wrzasnął Bielecki. – Wagon trupów? Tu są kobiety! Ludzie, dobrze się czujecie?

– Proszę się uspokoić. To jedyna bezpieczna droga, wagon jest krótki, po prostu przejdziemy na drugi koniec i ponownie zejdziemy do tunelu. To będzie minuta, może nawet nie – uspokajał Preiss.

– Niech to jasna cholera... – warknął dyplomata.

– Radek, ja nie przejdę, ja nie dam rady... – powiedziała jedna z urzędniczek, po czym wczepiła się brudnymi paznokciami w ramię Bieleckiego.

– Ludzie, opanujcie się – do rozmowy dołączył mężczyzna w średnim wieku. Ubrany w ciemny garnitur i niegdyś białą koszulę nie wyróżniał się z tłumu niczym szczególnym, ot, przeciętny urzędniczyna na zamorskiej placówce. Zwykle milczący, teraz postanowił wyrzucić z siebie narastającą frustrację. Preiss kojarzył ten portret psychologiczny, na co dzień spokojny i opanowany, typowy introwertyk. Dałby się okraść i pobić dla świętego spokoju, ale u każdego istniała niewidzialna granica, po której przekroczeniu taka osoba zaczynała być nieprzewidywalna i śmiertelnie niebezpieczna. – Oni narażają swoje życie, żebyśmy wyszli z tego gówna cali, a wy się przejmujecie trupami! Ja pierdołę! Ruszcie dupy i włączcie do tego wagonu! – Urzędnik zerwał się na równe nogi i szybkim krokiem ruszył do pogiętej kolejki. Jeden z komandosów stanął mu na drodze w ostatniej chwili.

– Spokojnie... – powiedział „Angel” i zatrzymał mężczyznę wyciągniętą na wysokości piersi dłonią.

– Musimy iść. Nie będą na nas czekać w nieskończoność – powiedział Preiss do pozostałych. – Nie możemy dłużej zwlekać.

Radosław Bielecki potarł spocone czoło i westchnął przeciągle. Dłonie mrowiły, serce waliło jak młotem.

– Tak, tak, macie rację – odpowiedział. – Chodźmy już.

– Nie, ja nie idę... Ja nie dam rady! – krzyczała uczepiona Bieleckiego kobieta.

– Miejmy to za sobą! – wrzasnął Polak i szarpnął ręką. Kobieta upadła na beton ze szlochem.

Preiss pomógł jej wstać i podał wodę. Piła łapczywie, wylewając połowę zawartości butelki na torowisko.

– Dziękuję... – powiedziała po rosyjsku. Preiss skinął głową.

– Ruszajmy – odparł.

Kapitan przekazał dowodzenie pierwszej grupy „Padre”, a sam pilnował, by cywile płynnie podchodzili do wagonu. Po drugiej stronie czekała już dwójka komandosów. Jastrzębski stanął tuż za kilkoma urzędnikami, którzy szeptali między sobą krótkimi, urywanymi zdaniem. Znał to, dla zabicia strachu mogliby rozmawiać o wszystkim. Powoli zbliżali się do czarnej dziury w miejscu wejścia do wagonu. Co kilka chwil z wnętrza kolejki dobiegał pisk przerażenia lub głośny płacz. Mógł tylko się domyślać, co widzieli w środku. Zrównał się z Preissem tuż przed drzwiami. Skinęli na siebie porozumiewawczo. Dowódca klepnął w ramię poprzedzającą Jastrzębskiego kobietę, ta złapała za

krawędź drzwi i podciągnęła się do wejścia.

– Kurwa... – pisnęła łamiącym się głosem.

Jastrzębski wszedł do środka tuż za nią i ponownie przełączył się na noktowizję. Wnętrze wagonika nawet na kontrastowej termowizji przypominało jasną, zimną plamę. Już po pierwszym kroku wiedział wszystko.

Na pierwszym siedzeniu przy drzwiach, wychylone przez barierkę, zwisało ciało pozbawione połowy głowy. Wyrwana siłą uderzenia pleksiglasowa szyba przefrunęła na tył wagonu, raniąc śmiertelnie przynajmniej kilka osób. Przejście między siedzeniami było zawałone tysiącami kryształów strzaskanego szkła, zgniecionym plastikiem i fragmentami ciał. Jastrzębski dziękował w duchu inżynierom z WAT-u i akademii imienia Gagarina za filtry powietrza. Poza wszystkimi znanymi gazami bojowymi hełm mógł wyfiltrować z powietrza odór rozkładających się ciał. Współczuł cywilom, dla których jedynym ratunkiem przed przyprawiającym o mdłości smrodem był rękaw marynarki lub żakietu.

Do końca wagonu doszli, brodząc we krwi niemal po kostki. Jastrzębski naliczył przynajmniej dwadzieścia zmasakrowanych ciał, ale ku jego zdziwieniu większość ofiar stanowili młodzi mężczyźni, którzy powinni właśnie siedzieć na pierwszej linii frontu. Stał, widząc, jak kobieta przed nim chwytła za poręcz i spuszcza głowę. W ostatniej chwili złapał wymiotującą urzędniczkę. Kobieta zgięła się w pół, torsje trwały dobre kilkadziesiąt sekund. Nie odezwał się, wołał nie wiedzieć, co musiała przeżywać dyplomatka przyzwyczajona do czystych, komfortowych pomieszczeń.

– Dała pani radę – powiedział do niej, kiedy zeskoczyła na torowisko po drugiej stronie i usiadła na betonowej bryle. Nie odpowiedziała.

Kwadrans później cała grupa ruszyła dalej. Zostawili za sobą aluminiowe cmentarzysko. Krótkie rozmowy, które prowadzili między sobą do tej pory dyplomaci, umilkły. Do docelowej stacji metra powinni dojść już za kilkanaście minut. Jastrzębski co kilka chwil zerkał na przedramię, mapę przerzucił z HUD-a na ekran terminala. Przed oczami wołał mieć tylko obraz z kamer noktowizyjnych i zintegrowany z MSBS-em punkt celowniczy.

– Orchidea do wszystkich, zbliżamy się do punktu docelowego. Antracyt Dwa, sprawdź stację – powiedział Preiss.

Chwilę później „Padre” ponownie zatrzymał się z kulistym dronem w dłoni.

Skan nie wykazał szczególnych uszkodzeń w strukturze stacji, wykrył za to obecność kilku ludzi na peronie. Dron zaklasyfikował grupkę jako cywilów, nieuzbrojonych, nie stwarzali żadnego zagrożenia.

Wysłana na rozpoznanie sekcja z grupy Preissa nie zdołała nawiązać kontaktu z cywilami. Gdy tylko zobaczyli zbliżające się postaci, z krzykiem rzucili się do ucieczki na powierzchnię.

Jeszcze zanim weszli na sam peron, mikrofony Jastrzębskiego wychwyciły charakterystyczny terkot, który dobiegał z góry. Dyplomaci usłyszeli go chwilę później, gdy wyczerpani zajmowali puste ławki na peronie. Część była zbyt zmęczona i zobojętniała, by zwrócić uwagę na dolatującą z powierzchni kanonadę.

– Wygląda na to, że gdzieś trwa wymiana ognia – powiedział Preiss na ogólnym kanale. – Trzeba sprawdzić, jak wygląda sytuacja. Tutaj wychodzimy na powierzchnię i musimy przeskoczyć do kolejnej nitki metra. Jaśmin Jeden, przygotuj ptaszka.

– Przyjąłem, Orchidea – odpowiedział Bołkoński. Sięgnął do niewielkiego pokrowca na plecach podwładnego. Miniaturowy dron składał się z zaawansowanej kamery, głowicy optoelektronicznej obudowanej wokół czterech ultracichych wirników. Jastrzębski uruchomił drona, który uniósł się kilka centymetrów powyżej otwartej dłoni operatora.

Dron sterowany z poziomu naręcznego terminala powoli przesunął się w powietrzu w stronę klatki schodowej prowadzącej na powierzchnię. Jastrzębski udostępnił obraz Preissowi oraz dowódcom poszczególnych sekcji.

Ustawił kamerę na tryb dzienny. Wejście do stacji musiało być częściowo zawałone, lecz mimo braku

elektryczności klatka schodowa z każdym pokonywanym metrem robiła się jaśniejsza. Promienie światła przebijały się coraz częściej, ukazując naruszone eksplozjami ściany. Szerokie kafle ozdabiające zejście na peron leżały na schodach, rozbite na mniejsze kawałki. Witryny z reklamami straszyły podartymi plakatami i popękаныmi szybami. Blżej poziomemu gruntu zmniejszył prędkość i skierował drona pod w połowie zawalony dach nad zejściem na stację. Zbliżył obraz, lokalizując źródło wystrzałów.

– Jaśmin Jeden, widzę pięciu cywilów ostrzeliwujących się z tajwańskimi żołnierzami. Jest ich... około dziesięciu, widzę też kilka ciał, przynajmniej trzy w mundurach – zameldował Bołkoński.

– Przyjąłem, Jaśmin Jeden, możesz zidentyfikować cywilów? – zapytał Preiss, spoglądając na swój terminal.

Rosjanin jeszcze bardziej zbliżył obraz. Cywile ubrani byli głównie w dżinsy, skórzane kurtki lub bluzy. Przysięgłby, że każdy ma pod spodem kamizelkę kuloodporną. Sposób, w jaki się poruszali i współdziałali, mógł wskazywać tylko na jedno.

– Dobrze wyszkoleni, obyci z bronią i polem bitwy. Broń zaklasyfikowana jako MP5, zapewne pochodzi z tajwańskich magazynów – powiedział Bołkoński. – Gdybym miał zgadywać, to chińskie siły specjalne, zapewne jedna z grup sabotażowych. Dwieście metrów stąd jest szkoła policyjna. Mam ją oznaczoną jako jeden z punktów ewakuacyjnych. Prawdopodobnie ten obiekt był celem.

– Przyjąłem. Obserwuj dalej, nie będziemy interweniować. Tajwańczycy powinni dać sobie radę.

Bołkoński skinął głową na potwierdzenie. Skrzywił się nieco, widząc, jak kolejny żołnierz pada na asfalt ścięty celną serią z pistoletu maszynowego. Reszta zaległa plackiem na widok rzuconego w ich stronę granatu. Detonacja spowiła scenerię szarym dymem, sabotażyści najwyraźniej chcieli zerwać kontakt. Wykorzystali chwilową dezorientację przeciwnika i odskoczyli za kolejny samochód. Jeden spóźnił się o mniej niż sekundę. Jego bark eksplodował rażony potężnym pociskiem. Mężczyzna przeleciał przez maskę, oderwana ręka leżała kilka metrów dalej. Jastrzębski zmarszczył brwi, nie przypominał sobie, by któryś z Tajwańczyków dysponował bronią takiego kalibru. Uniósł drona wyżej, wypuszczając go ponad dach. Z bocznej uliczki wyjechał właśnie kołowy pojazd opancerzony. Wieżyczka operatora karabinu maszynowego obróciła się w stronę podziurawionych kulami samochodów. Długa seria przeorała szyby i karoserię. Tajwańczycy zerwali się na równe nogi i ostrożnie, osłaniając się wzajemnie, zaczęli podchodzić do przeciwnika. Wieżyczka ponownie wypuła długą serię, sabotażyści nie mogli się wycofać ani atakować. Każdy ruch oznaczał zatrucie śmiertelną dawką ołowiu. Potoczyły się granaty błyskowe, jasne detonacje oszołomiły Chińczyków. Dwóch spróbowało się odgryźć, wyszkoleni do neutralizowania efektów flashbanga wychylili się zza zasłony, puszczając krótkie, mierzone serie. Kolejny z Tajwańczyków padł ze zmiażdżoną twarzą. To było jednak na tyle z bohaterkiej obrony, żołnierze otwarli ogień, powalając kolejnego przeciwnika i raniąc następnego. Grupa straciła realną wartość bojową. Wyglądało na to, że przyduszeni ogniem przez żołnierzy i samochód opancerzony zdecydowali się na zakończenie walki. Poganiani przez Tajwańczyków odrzucili broń i wyszli z ukrycia.

– Chyba po wszystkim. Tajwańczycy pojмали trójkę sabotażystów – zameldował Bołkoński.

– Jak tylko ich zaborą, wychodzimy na powierzchnię i gonimy do drugiej nitki – powiedział Preiss.

– Przyjąłem.

Tajwańczycy skuli rozbrojonych sabotażystów i poprowadzili w stronę toczącego się powoli V-150. Amerykański transporter zatrzymał się, ze środka wyskoczył na ulicę oficer i stanął przed trójką jeńców. Bołkoński był pewien, że dowódca kłóci się z podwładnymi, a tematem ostrej wymiany zdań są zbici w grupkę jeńcy. Oficer machnął ręką w stronę pobliskiej furgonetki. Żołnierze początkowo zawahali się, lecz ostatecznie wykonali rozkaz.

Jeńcy zniknęli we wnętrzu pojazdu, poganiani przez oficera żołnierze zamknęli tylne drzwi furgonetki, strzaskany zamek zastąpili kilkoma grubymi trytytkami. Rosjanin zorientował się, co się dzieje, w tym samym czasie co jeńcy. Furgonetka zakołysała się na kołach, drzwi wybrzuszyły się od uderzeń i kopnięć.

Wieżyczka V-150 obróciła się powoli, działko wzięło cel. Długa seria zmieliła cienką karoserię i zamkniętych w środku Chińczyków. Kołysanie ustało.

– Jasna cholera... – powiedział Bołkoński

– Widziałem, Jaśmin Jeden, chyba staliśmy się świadkami zbrodni wojennej – mruknął Preiss. – Poczekajmy, aż odjadą.

Kilka minut później po Tajwańczykach nie było śladu. Grupa Preissa wyszła na powierzchnię i od razu skierowała się na południe, ku stacji Jingmei. Żaden z komandosów nawet nie spojrzął w stronę podziurawionej jak durszlak furgonetki.

Pentagon, Waszyngton DC, USA | 16 maja 2023, godzina 12:01

Nie lubił korzystać z wind, zdecydowanie bardziej preferował przemieszczanie się klatkami schodowymi. Od zawsze powtarzał, że tylko schody pozwalają zweryfikować to, jak bardzo się komuś spieszy. Dempseyowi się spieszyło. Zdyszany otworzył drzwi na korytarz i ruszył slalomem między umundurowanymi postaciami. Poza źle przyrządzonymi żeberkami nienawidził tylko jednej rzeczy, spóźnienia. Spojrzał na zegarek, powinien być w sali odpraw dobre trzy minuty temu. Niby nic, ale osobisty kodeks nieco ucierpiał.

Machnął identyfikatorem strażnikowi i poczekał, aż dioda na rozsuwanych drzwiach zmieni kolor na zielony. Przeszedł przez służbę, w biegu poprawił marynarkę munduru i nacisnął klamkę. Głównodowodzący poszczególnymi rodzajami sił zbrojnych rozmawiali, zajmując fotele wokół owalnego stołu.

– Dzień dobry, panowie – powiedział Dempsey. – Proszę wybaczyć spóźnienie.

– To tylko trzy minuty, Martin. Nie przesadzasz? – zapytał admirał Steven Georgetown. Postawny mężczyzna o zmanierowanym głosie uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze wiesz, że punktualność to...

– Tak, tak, Martin, największa cnota – przerwał admirał, unosząc dłonie w przeproszającym geście.

– Dokładnie tak, Steven. – Dempsey wycelował palec wskazujący w pierś admirała. – No dobrze, to co mamy? Liczę, że uda nam się zadowolić prezydenta.

Przez twarze członków Kolegium Połączonych Szefów Sztabów przemknęły kwaśne uśmiešky. Albert Armitage wprowadził w armii niemałą rewolucję, całkowicie przetasowując rejony zainteresowania Pentagonu. Kosztowało to już miliardy dolarów, a zanosilo się na kolejne bająnskie sumy.

– Atak możemy przeprowadzić dopiero po przejęciu okrętów eskortowanych przez Chińczyków. Jakikolwiek wcześniej wykonany ruch może narazić załogi na niebezpieczeństwo – powiedział admirał Georgetown.

– To się rozumie samo przez się – skomentował Dempsey. – Chińczycy spodziewają się, co knujemy?

– Szczerze wątpię, generał Carter wspominał, że podczas lotów patrolowych naszych dronów zwiadowczych nie wykryto zmian kursu chińskich okrętów. Cały czas trzymają szczelny pierścień wokół Tajwanu – odpowiedział admirał.

– Zgadza się, dodatkowo przekazano mi najświeższe obrazy satelitarne, które wykazały, że w ciągu ostatnich godzin z północnej grupy chińskiej floty oderwały się trzy fregaty typu 054A. To prawdopodobnie eskorta dla naszych krążowników – powiedział generał James Carter. Dowódca sił powietrznych siedział sztywno, jakby połknął kij. Szpakowate włosy strzygł na krótko, usta jak zawsze zacinał w wąską kreskę. Twarz bez wyrazu, tak myślał o nim Dempsey.

– Mam nadzieję, że komandor Chenney nie ma pojęcia o naszych planach? – zapytał Dempsey. Chińczycy już niejednokrotnie udowodnili, że potrafili przechwycić teoretycznie zabezpieczoną komunikację. Ostatnio dotyczyło to samolotu zwiadowczego, który przekazywał informacje hinduskiemu sztabowi w New Delhi. Sprawy udało się wyciszyć, ale niesmak pozostał.

– Naturalnie, ryzyko przecieku ograniczyliśmy do absolutnego minimum – zapewnił Steven Georgetown.

Martin Dempsey pokiwał głową z zadowoleniem. Teraz pozostało tylko przyjrzeć się wynikom pracy

sztabowców i analityków. Zebrali się, by przeanalizować symulację, którą przygotował wydzielony zespół planistów. Kilkanaście osób niemal bez przerwy badało dostępne materiały wywiadowcze i opracowywało optymalny scenariusz wydarzeń. Jednak w porównaniu z poprzednimi konfliktami tym razem marynarka nie mogła wyjść z konfliktu cało.

Dempsey przewidywał, że flota poniesie największe straty od czasu drugiej wojny światowej. Słynna US Navy po raz kolejny będzie musiała zaważczyć o supremację na Oceanie Spokojnym. Podobnie jak ostatnim razem, Amerykanie trafili na godnego siebie przeciwnika.

– Widzieliście już symulację? – zapytał Dempsey.

Admirał Georgetown skinął głową potwierdzająco. Poza dowódcą floty, z której w większości wywodził się zespół analityków, wszyscy zobaczą plan operacji po raz pierwszy.

– Możemy zaczynać? – zapytał szef Kolegium.

– Oczywiście. Pozwolicie, że przedstawię symulację osobiście. Uprzedzając pytania, tak, to również element zabezpieczenia – powiedział admirał.

Steven Georgetown wstał z fotela i podszedł do laptopa. Wstukał kilka komend i trójwymiarowy projektor rozświetlił stół, ukazując lewitujące w powietrzu logo Pentagonu. Chwilę później hologram rozmył się, a wizualizację sztabu amerykańskich sił zbrojnych zastąpiła szczegółowa mapa Azji i sporej części Oceanu Spokojnego. Dziesiątki symboli oznaczających chińskie i amerykańskie okręty rozdzieliły ocean na dwie strefy. Dempsey z dezaprobatą przyjął fakt, że czerwonych ikon było zdecydowanie więcej.

Chińska flota opłotła Tajwan niczym trujący bluszcz, dwie potężne grupy okrętów rozciągały się od południowych granic wód terytorialnych aż po północne rejony, niebezpiecznie zbliżając się do japońskich wysepek. Obie grupy liczyły łącznie niemal setkę gotowych do boju okrętów. Takiej armady Pacyfik nie widział od czasów amerykańskiej operacji na Okinawie. VII Flota miała przed sobą jedno z najtrudniejszych zadań w historii. Północne zgrupowanie już na hologramie wyglądało na śmiertelnie niebezpieczne. Lotniskowiec „Liaoning” dysponował potężną eskortą złożoną z niszczycieli rakietowych oraz mrowia mniejszych fregat i okrętów podwodnych, których pod powierzchnią było zapewne równie wiele jak rekinów.

Pozostałe okręty operowały w niewielkich formacjach, składających się najczęściej z dwóch lub więcej niszczycieli oraz kilku jednostek do walki z okrętami podwodnymi i fregat. Dempsey widział również liczne kutry rakietowe, skonstruowane w układzie katamaranów. Wiedział, że choć rozmiarami nie odbiegały od cywilnego holownika, siłą ognia i manewrowością mogły zawstydzić niejednego okręt w swojej klasie. Niebo nad flotą patrolowały nieustannie eskadry samolotów i śmigłowce wyposażone w ciągnięte pod wodą sonary. Dla niewprawnego oka chińskie zgrupowanie wyglądało jak mur nie do przebiccia.

– Nie wygląda to najlepiej – westchnął Dempsey, pochylając się nad hologramami. – Do tego jest całkiem blisko chińskiego wybrzeża. Ile czasu będą potrzebować, żeby wysłać kilka eskadr? Piętnaście minut?

– Dwadzieścia, Martin – odpowiedział Georgetown.

– Samoloty wroga to nasze najmniejsze zmartwienie – odezwał się James Carter. – Poza kilkudziesięcioma Super Hornetami, które bazują na „Reaganie”, przerzuciliśmy na Okinawę trzy eskadry F-35. To łącznie ponad sześćdziesiąt maszyn, z taką siłą możemy rzucić Chińczyków na kolana.

– Siódma Flota dostanie takie wsparcie, o jakim rozmawialiśmy? – zapytał Dempsey.

– Tak jest. – Carter skinął głową.

– Dobrze, jak to sobie wyobrażacie? – zapytał szef Kolegium.

– Proszę spojrzeć. – Steven Georgetown wskazał na zajmujący stół hologram.

Sygnatura lotniskowca USS „Ronald Reagan” wypuściła w powietrze kilkadziesiąt mniejszych, jasnych punktów. Nieco dalej zza horyzontu wyłoniła druga grupa podobnych symboli. Obie gromady

zbliżały się do siebie, by połączyć się w jedno potężne zgrupowanie kilkanaście mil na południe od wybrzeży Okinawy. Mniej więcej w tym samym czasie amerykańskie niszczyciele typu Arleigh Burke wypuściły z komór setki pocisków Tomahawk Block IV. Wprowadzone przed dwoma laty do czynnej służby mogły z powodzeniem eliminować cele nawodne przy niewielkim ryzyku wykrycia i zestrzelenia. Lewitujące zaledwie kilka metrów nad powierzchnią wody dynamicznie zmieniały kurs, co jeszcze bardziej utrudniało namierzenie i wyeliminowanie pocisku z walki. Swoje pociski wypuściły też okręty klasy Ticonderoga i pozostałe jednostki. Mrowie rakiet z prędkością dochodzącą do pięciuset pięćdziesięciu mil na godzinę nieubłaganie zbliżało się do chińskiej armady. Chwilę później spod pylonów Super Hornetów odczepiły się przeciwokrętowe pociski dalekiego zasięgu AGM-158C. Superzaawansowane ładunki zostały również wystrzelone przez niektóre F-35, a te natychmiast po zwolnieniu pocisków wykonały zwrot i rozpoczęły drogę powrotną nad Okinawę. Chwilę później doszło do nieuniknionego. Chińska flota odpowiedziała, kolejne okręty uwalniały z wyrzutni rakiety typu HQ-9. Mogące przechwytywać cele na dystansie do dwustu kilometrów pociski z zawrotną prędkością zbliżały się do masy amerykańskich rakiet. Pierwsze Tomahawki i wystrzelone z samolotów ładunki zniknęły z hologramu, lwią część wciąż pędziła ku chińskim okrętom.

– Jak wiele naszych pocisków się przebiję? – zapytał Dempsey. Mniej więcej w tym samym czasie Chińczycy wystrzelili kolejne salwy pocisków średniego zasięgu.

– Od trzydziestu do pięćdziesięciu procent ma szansę trafić w cele. To wciąż sporo – odparł admirał Georgetown. – Pociski DK-10A, które właśnie przechwytyją nasze rakiety, nie powinny stanowić dużego zagrożenia. Proszę spojrzeć, komputer podał, że na ponad czterysta naszych pocisków salwa zestrzeliła ledwie trzydzieści siedem. Teraz zostały im już tylko rakiety krótkiego zasięgu i chiński odpowiednik AEGIS.

– „Liaoning” musi iść na dno. To chluba chińskiej marynarki. Nie chcę go więcej widzieć na powierzchni – rzekł Dempsey, krzyżując ramiona na piersi.

Rakiety zbliżały się do chińskich okrętów w coraz mniejszej liczbie. Co chwila któryś z jasnych punktów gasł bezpowrotnie, zestrzelony przez serię systemu AEGIS lub raketę krótkiego zasięgu. Niemal połowa sięgnęła celu. Szesnaście sygnatur zmieniło kolor na czerwony w jednej sekundzie. Pomarańczowych i żółtych pojawiło się ponad dwadzieścia. „Liaoning” dostał sześciokrotnie, nie miał szans utrzymać się na wodzie. Podobnie jak szesnaście innych okrętów został wyeliminowany z walki.

– Mniej niż dwadzieścia w pełni sprawnych okrętów. Za jednym zamachem wyeliminowaliśmy ponad połowę północnego zgrupowania floty. Jestem pod wrażeniem – powiedział Dempsey. – Co z kontratakami? Chińczycy nie puszczą tego płazem.

– Według naszych analiz przeciwnik nie będzie chciał reagować od razu. Takie straty to szok. Jesteśmy pewni, że nim wystrzelą w nas swoje rakiety, spróbują się przegrupować. Jedynym zagrożeniem może być chińskie lotnictwo, ale właśnie dlatego zostawiliśmy nad Okinawą jedną eskadrę F-35 – odparł admirał.

– To pewne dane? Możemy z tym iść do prezydenta?

Poszczególni dowódcy rodzajów sił zbrojnych przytaknęli. Wizja niemal całkowitego unicestwienia chińskiej potęgi przy minimalnych stratach pociągała każdego.

– Tak, Martin. Możesz powiedzieć prezydentowi, że przywrócimy Ameryce dominację nad Pacyfikiem – odparł Steven Georgetown.

Taidong, Republika Chińska | 16 maja 2023, godzina 14:48

Poczuł, jak kadłub drgnął nieznacznie, gdy silnik ożył z charakterystycznym pomrukiem. Ekipa naziemna zakończyła ładowanie broni ledwie kilka minut temu. Testy systemu przeprowadził, zanim jeszcze na dobre zamknęły się komory uzbrojenia. Nick Cziang zdążył się już do tego przyzwyczać. Krótkie, kilkuminutowe odprawy rozpoczynały się na kwadrans przed startem. Nie miał pojęcia, kiedy przyjdzie mu po raz kolejny lecieć do walki.

- Czarny Jastrząb Jeden, systemy sprawne. Możemy zaczynać.
- Wieża do Czarnego Jastrzębia Jeden, przyjąłem. Macie zielone światło – usłyszał głos kontrolera.
- Przyjąłem, wieża, startujemy.

Po zniszczeniu obu baz powietrznych w Taidong ocalałe z pogromu F-35 tajwańskich sił powietrznych rozsiano po okolicy na zapasowych lądowiskach. Rząd wysłuchał nalegań wojskowych i podczas zakupu od Amerykanów nowych samolotów zdecydowano się na maszyny pionowego startu. Prawdopodobnie tylko dzięki temu Tajwańczycy wciąż dysponowali jakimkolwiek lotnictwem.

Klucz F-35 uniósł się nieznacznie i wysunął ponad dachy porzuconego zakładu przemysłowego. Zawczasu przygotowany jako jedna z zapasowych baz, był w pełni przystosowany do obsługi czterech myśliwców: od tankowania, poprzez serwisowanie, aż po uzupełnianie uzbrojenia. W promieniu kilkunastu kilometrów od Taidong było pięć takich baz. Na chwilę obecną cztery wciąż zachowały zdolność operacyjną.

– Czarny Jastrząb Jeden do wszystkich. Wchodzimy na kurs, cel zbliża się do wybrzeża – powiedział Cziang, gdy pozostałe dwa samoloty wzbily się ponad kombinat i ruszyły do przodu. – Minimalny pułap, prędkość poniżej przelotowej. Zawis nad punktem Alfa. Zachować całkowitą ciszę radiową, używamy tylko i wyłącznie systemu MADL. Musimy wykonać to zadanie, Jastrzębie. – Już na odprawie poinformowano Czianga, że z całego spektrum ultranowoczesnej awioniki do tej operacji będzie potrzebny tylko jeden element. System MADL był niczym innym jak zaawansowanym protokołem wymiany danych. Dzięki niemu dane o pozycji nieprzyjaciela przekazywane przez sojusznicze jednostki były niemal niewykrywalne, a przepustowość łącza pozwalała na skrócenie czasu potrzebnego do przekazania informacji do minimum. Bez uruchamiania sensorów, bez radaru, bez elektrooptycznego namierzania przeciwnika. Dzięki temu rozwiązaniu F-35 rzeczywiście stawał się niemal niewidzialny.

- Przyjąłem, Czarny Jastrząb Jeden – odpowiedzieli obaj skrzydłowi.

Maszyny przedelfilowały nad dachami niewielkich osiedli i koronami drzew. Cziangowi wydawało się, że jeszcze chwila, a do wlotów powietrza zaczną wpadać liście. Do celu mieli niespełna pięćdziesiąt kilometrów. Przy obecnej prędkości zajmie im to ledwie kilka minut. Pułap zapewniał względne bezpieczeństwo, podobnie jak minimalny zakres odbicia wiązek radarowych.

Zainstalowany wewnątrz kokpitu system na bieżąco korygował tor lotu i wznosił maszynę na wyższy pułap. Określona wcześniej wysokość była aktualizowana wraz z coraz wyższym poziomem gruntu powyżej linii morza. Pilot musiał jedynie co jakiś czas sprawdzać, czy system reaguje poprawnie i nie nastąpiła żadna usterka. Nick Cziang zastanawiał się, czy rzeczywiście jego obecność w kokpicie jest w ogóle potrzebna. Mógł iść o zakład, że wystarczyłoby tylko kilka nowych algorytmów, by przerobić F-35 na zdalnie sterowanego drona.

– Czarny Jastrząb Jeden do wszystkich – powiedział Cziang, spoglądając na dane, jakie wyświetliły się na owiewce hełmu. – Dwanaście kilometrów do punktu Alfa, prędkość minimalna. Przygotować się do zawisu. Wprowadzić dane celu do komputera.

– Czarny Jastrząb Trzy, przyjąłem.

– Czarny Jastrząb Cztery, wprowadzam dane.

Nick Cziang uruchomił MADL i kilka sekund później koordynaty celu znalazły się w komputerze pokładowym, który przekazał je do uśpionych w komorach uzbrojenia pocisków JSM. Specjalnie przystosowane do przenoszenia w F-35 mogły z powodzeniem razić cele na dystansie do dwustu osiemdziesięciu kilometrów. Teraz jednak nie musiały pokonać nawet połowy tej odległości.

Samoloty wyhamowały nad skalistym szczytem. Niegdyś musiała tędy płynąć rzeka. Żleby przypominały wyschnięte koryta, pełne hałd otoczek. Gdyby nie wiszące kilka metrów nad ziemią śmiertcionośne maszyny, sceneria byłaby jak wyjęta z bajki.

– Czarny Jastrząb Jeden do wszystkich, przygotować się do odpalenia. Na mój znak. – Cziang po raz ostatni sprawdził wprowadzone do systemu dane. Chiński okręt desantowy Typ 071 nieubłaganie zbliżał się do wybrzeża w okolicach Kaohsiung. Potężna jednostka była zdolna przenieść na pokładzie pełen batalion piechoty zmechanizowanej. Gra była warta świeczki. – Odpalać!

Komory uzbrojenia mignęły. Wystarczył ułamek sekundy, by silniki pocisków uruchomiły się i wystrzeliły ładunki. Głowice namierzyły okręt chwilę później. Robota Czianga i jego klucza była zakończona, teraz wszystko zależało od szybkości reakcji eskorty desantowca.

– Czarny Jastrząb Jeden do wszystkich, wracamy, zadanie wykonane. – Lider pchnął manetkę do przodu, zwiększając ciąg. Maszyna uniosła się nieznacznie i wykonała skręt o sto osiemdziesiąt stopni. Bliźniacze maszyny zmieniły kurs chwilę później. – Czarny Jastrząb Jeden do wieży. Zadanie wykonane, wracamy do bazy.

Cziangowi odpowiedziała głucha cisza. Nie zakłócenia ani szum zagłuszanego sygnału, tylko martwa, nienaturalna cisza.

– Czarny Jastrząb Jeden do wieży, zgłóście się – powtórzył Cziang. Brak odpowiedzi mógł być spowodowany dziesiątkami różnych okoliczności. Nick obawiał się jednak, że doszło do najgorszego. Przełączył się na kanał klucza. – Czarny Jastrząb Jeden do wszystkich. Baza nie odpowiada, powtarzam, baza nie odpowiada. Wracamy po kursie, prędkość przelotowa, pułap sto. Uzbroidź Sidewindery, możliwy kontakt z nieprzyjacielem. Uruchamiam radary i udostępniam dane.

Cziang zmienił wektor ciągu, dysza silnika wróciła do poziomu. Maszyny wystrzeliły do przodu jak strzały. Drzewa i skalne szczyty migają pod kadłubem jak w kalejdoskopie. Przy prędkości dochodzącej do tysiąca kilometrów na godzinę usterka systemu utrzymania pułapu groziła natychmiastową śmiercią. Taidong ukazało się na horyzoncie już po niespełna dwóch minutach. Kilka sekund później radary wykryły odchodzącą na północ formację chińskich J-11D. Najnowsze konstrukcje z rodziny J-11 mogły z powodzeniem konkurować z amerykańskimi F-15 Silent Eagle lub rosyjskimi Su-35. Cziang wiedział, że pięć takich maszyn było dla jego klucza sporym zagrożeniem, ale mimo wszystko wydał jedyny słuszny rozkaz.

– Czarny Jastrząb Jeden do wszystkich, zwiększyć prędkość do tysiąca pięciuset, pułap siedemset. Namierzam przeciwnika, odpalać, jak tylko dystans zejdzie do dwudziestu pięciu kilometrów.

– Przyjąłem, Czarny Jastrząb Jeden. Cele namierzone, zwiększam prędkość i pułap.

Chińczycy musieli się zorientować. Systemy ostrzegania zainstalowane w kadłubach zawyły i rozjarzyły się czerwienią. Złamali szyk, rozbijając się na pojedyncze czarne punkty. Tajwańczycy mieli do dyspozycji tylko sześć Sidewinderów. Jeśli wszystko pójdzie po ich myśli, strącą ich za jednym zamachem. Dystans zmniejszył się nieubłaganie. Choć chińscy piloci złamali szyk, nie mieli pojęcia, z której strony nadchodzi niebezpieczeństwo. Część z nich wybrała najgorsze z możliwych rozwiązań i wykręciła dziobem prosto ku nadlatującym Tajwańczykom.

– Czarny Jastrząb Trzy, odpalam. Schodzę z kursu.

– Czarny Jastrząb Cztery, rakiety poszły. Zawracam.

Cziang nie zwlekał ani sekundy dłużej. Namierzył dwa odchodzące na pełnym ciągu J-11 i odpalił rakiety. Pociski pomknęły ku celowi, przecinając powietrze z prędkością niemal trzech machów. Chińczycy czynili cuda, by uniknąć trafienia. Zagłuszanie bombardowało niebo fałszywymi impulsami, a flary rysowały świetliste pawie ogony. Dla dwójki lecących na czołowe zderzenie Chińczyków było za późno. Rakiety rozerwały kokpity, doprowadzając do całkowitego zniszczenia obu maszyn. Namierzone przez Czianga samoloty miały nieco więcej szczęścia. Jeden z pilotów ocalał skórę dzięki połączeniu wszystkich środków przeciwdziałania. Choć flary nie mogły uchronić go przed Sidewinderem w wersji C, zagłuszanie sprawdziło się znakomicie. Półaktywne naprowadzanie rakiety zwariowało, doprowadzając do detonacji dobre sto metrów za celem. Ostatni z Chińczyków zarobił prosto w bok kadłuba. Samolotem szarpnęło, ale konstrukcja wytrzymała. Pilot omal nie połamał sobie rąk, próbując posadzić maszynę na pokładzie „Liaoninga”. Ostatecznie musiał się katapultować, silniki odmówiły posłuszeństwa kilka mil przed lotniskowcem.

– Czarny Jastrząb Jeden do wszystkich. Lecimy do Guangfu. Tutaj nie mamy już czego szukać – zakomenderował Cziang.

– Przyjąłem, Czarny Jastrząb Jeden. Melduję sprawność systemu i potwierdzam trafienie. Upolowaliśmy trzy z pięciu maszyn. Reszta uciekła – powiedział skrzydłowy.

– Szkoda naszych na dole... – mruknął ostatni z pilotów.

Czarny słup dymu nad zakładem przemysłowym zauważyli już podczas namierzania przeciwnika. Pięć chińskich jedenastek zrównało zapasową bazę z ziemią wraz z przyległymi do kombinatu budynkami. Nie ocalały nawet podziemne zbiorniki z paliwem, które teraz buchały w niebo słupami ognia i dymu. Niepełny krąg nad bazą dał im obraz ogromu zniszczeń. Śmierć była szybka. Chińczycy nadlecieli niespodziewanie, z niskiego pułapu zasypując niczego niespodziewających się żołnierzy lawiną ognia i stali. niesprawiedliwy koniec, bez szans na obronę i ucieczkę.

Cziang wątpił, by ktokolwiek z obsługi naziemnej miał szanse przeżycia chińskiego nalotu. Szkoda, pomyślał Nick. Po raz kolejny będę musiał uczyć się nowych imion.

Tajpej, Republika Chińska | 16 maja 2023, godzina 17:00

Zatrzymał się nagle. Złożył się do strzału w ułamku sekundy i jak robot przyjął odpowiednią postawę, kierując lufę w stronę źródła dźwięku. Termowizja nie wykrywała niczego podejrzanego. Chłodny tunel zakręcał kilkadziesiąt metrów przed nim, szarości obrazu nie zakłócał żaden cieplejszy obszar.

– Orchidea do wszystkich, zatrzymać się – usłyszał pod hełmem. – Antracyt Dwa, wysyłaj drona.

– Przyjąłem, Orchidea. Dron jest w drodze – odpowiedział przytłumionym głosem.

Kulisty skaner zjechał z dłoni operatora i potoczył się wzdłuż torowiska. „Padre” odprowadzał maszynę wzrokiem, póki ta nie zniknęła za zakrętem. Spojrzał na przedramię, impulsy odbijały się od ścian tunelu, rysując na ekranie trójwymiarową mapę. Odnogi wyglądały na puste, podobnie jak przejścia techniczne i niewielkie załomy. Mimo to wszyscy łącznie z cywilami musieli usłyszeć ten krzyk.

„Padre” sprawdził pozycję drona. Do peronu, na którym mieli wyjść na powierzchnię, zostało nie więcej niż trzysta metrów. Ciemna mapa tunelu rozjarzyła się czerwienią nieco ponad dwieście metrów przed peronem. Szeroki zjazd, zapewne do tunelu technicznego, wypełniało kilkanaście postaci. „Padre” zatrzymał drona. Do zidentyfikowania potencjalnego zagrożenia wystarczyło kilkanaście sekund. Impulsy wysyłane przez kulę odbijały się od powierzchni, identyfikując broń i wyposażenie przeciwnika. Uruchomił mikrofon, rozmowy, które między sobą prowadzili, mogły pomóc w identyfikacji. Interfejs drona w kilka sekund rozpoznał chiński dialekt i przekonwertował głosy na dedykowany urządzeniu angielski.

– Chcecie go zostawić? – zapytał jeden z mężczyzn.

– Dobrze wiedział, na co się pisze, będzie dla nas tylko balastem – odparł znacznie głębszy głos.

– Uratował ci dupsko! – warknął pierwszy.

– Musimy się ruszać, za chwilę odjedzie kolejna kolumna. Jeśli mamy zdążyć, nie mamy czasu na kłótnie – do rozmowy włączył się kolejny głos. Ten był spokojny, „Padre” od razu rozpoznał dowódcę. – Sprawdźcie sprzęt, kolumna nie może opuścić miasta. Jemu... zabierzcie dokumenty i wszystko, co może nas z nim powiązać. Potem zastrzelcie.

„Padre” kiwnął głową, wiedział więcej, niż się spodziewał. Wydał dronowi polecenie ukrycia się w najbliższej odnodze tunelu. Dla skanera odległość nie grała tak ważnej roli jak brak przeszkód. Dron wcisnął się w wąską szczelinę, zasypując mężczyzn impulsami. Choć niewidoczni w mroku, byli wystawieni jak na dłoni.

– „Padre” do wszystkich – powiedział komandos. – Dron wykrył trzynaście obiektów, czterysta metrów przed nami, zajmują zjazd do tunelu technicznego, sto osiemdziesiąt metrów przed wejściem na peron. Mężczyźni, wszyscy uzbrojeni w broń maszynową. Udało mi się przechwycić rozmowy, chyba planują atak na jakiś konwój na powierzchni. Prawdopodobnie w grę może wchodzić zagrożenie cywilów. Obstawiam chińskie siły specjalne.

– Orchidea do Antracyta Dwa, przyjąłem – powiedział Preiss. – Jest szansa przejścia inną drogą?

– Nie. To ostatni peron, dalej już nie zajdziemy. – „Padre” pokręcił głową.

– Trudno, w takim razie...

– Uderzymy w dwóch zespołach po pięciu operatorów – kontynuował Preiss. – Pójdziemy po przeciwnych stronach tunelu. Pamiętajcie, że Chińczycy to światowa czołówka, na pewno rozstawili pułapki na wylocie tunelu. Antracyt Dwa, sensory wykryły jakieś urządzenia?

– Nie, BB8 niczego nie znalazł. – Jastrzębski usłyszał w aktywnych słuchawkach wyraźny głos komandosa. – Brak min pułapek i czujników ruchu. Rozstawili czterech ludzi na czujkach. To dla nich chyba tylko przystanek, mogą mieć jednego rannego.

– Dobrze. Granaty błyskowe, jedna grupa bierze prawą stronę tunelu, druga lewą. Wymiatamy cele i idziemy na peron. Nie powinno to zająć więcej niż minutę – powiedział Preiss. – Antracyt Dwa, bierzesz swoich, Jaśmin Jeden, dobierz sobie czterech ludzi. Zostanę z cywilami. Pamiętajcie, żeby użyć namierzania celów. Wykorzystajcie przewagę, jaką daje wam egzozskielet.

– Tak jest – odpowiedzieli komandos.

Jastrzębski ścisnął mocniej swojego MSBS-a. Zawsze przed akcją bojową czuł narastającą adrenalinę. To samo przeżywał przed każdym skokiem ze spadochronem. Miał ich już na koncie ponad setkę, a mimo to serce za każdym razem próbowało wyrwać się z piersi. Sprawdził egzozskielet i sprawność systemów namierzania. Holograficzny celownik na pancernym HUD-zie wędrował za lufą. Wszystko wyglądało świetnie. Karabin przeładowany, rozszerzona rzeczywistość w pełni sprawna, odpowiednie ruchy wykonują się same, dobrze o tym wiedział.

Ruszyli wzdłuż ścian tunelu, zostawiając za sobą kilku operatorów jako zabezpieczenie i grupę cywilów. Ludzie, poinformowani o zbliżającej się potyczce, skulili się w odnogach i załomach tunelu. Zmęczenie dawało o sobie znać coraz bardziej, zapasy wody i jedzenia były na wyczerpaniu, a minęło dopiero półtorej doby.

Grupa Bravo, w której szedł Jastrzębski, zatrzymała się jakieś sto metrów przed wejściem do tunelu technicznego. Bliźniacza grupa po drugiej stronie torowiska wysunęła się gąsienicą do przodu. To oni mieli zacząć przedstawienie.

– Bravo Jeden do wszystkich – powiedział Bołkoński. – Zaczynamy, zaraz pójda granaty. Przygotować się do wymiany ognia.

– Przyjąłem, Bravo Jeden, czekamy na sygnał – odparł „Padre”.

Byli gotowi. Sekcja Bravo wysunęła się do przodu, mikrofony bez problemu wychwytywały głosy kilku rozmawiających ze sobą mężczyzn.

– Bravo Jeden, widzimy przeciwnika, dwóch mężczyzn, uzbrojeni w broń automatyczną. Zdejmujemy ich i wchodzimy – zameldował Bołkoński.

Krótkie, pojedyncze błyski wyrosły na końcu tłumików dźwięku. Jastrzębski widział, jak obie postaci sabotażystów padają na ziemię. Chwilę później po torowisku potoczyły się granaty błyskowe. Kamery zainstalowane przy hełmach operatorów na ułamek sekundy przyciemniły obraz, redukując efekt oślepienia. Sekcja Bravo ruszyła ku tunelowi, grupa Jastrzębskiego odruchowo przyspieszyła kroku. Byli już kilka metrów od załomu i wejścia do tunelu.

Bez dwóch zdań mieli do czynienia ze specjalsami. Granaty ogłuszyły tylko kilku przeciwników, reszta wydawała się całkowicie niewzruszona. Natychmiast przyjęli pozycje strzeleckie lub ukryli się za przeszkodami. Krótkie mierzone serie o włos mijały szturmujących pozycje komandosów. Jastrzębski wychynął zza zakrętu tuż za „Padre”, który powalił pierwszego przeciwnika. Trafiony prosto w twarz mężczyzna złożył się jak szwajcarski scyzoryk. Jastrzębski wziął na cel kolejnego z sabotażystów dokładnie w tym samym momencie, w którym zobaczył błysk u wylotu lufy. Szarpnięcie omal nie zważyło go z nóg. Czuł się tak, jakby ktoś rzucił mu prosto w pierś młotem kowalskim. Zachwiał się i oparł plecami o ścianę. Kamizelka wytrzymała trafienie, ale przeciwnik zdążył się ulotnić. Złamany szyk sekcji Alfa rozpadł się na pojedyncze sylwetki, które jeden po drugim dobijały chiński oddział.

– Jaśmin Jeden do wszystkich, dostałem, kurwa...! – krzyknął Bołkoński. – Powtarzam, Jaśmin Jeden dostał.

– Przyjąłem, Jaśmin Jeden, ewakuujemy cię – odpowiedział „Padre”. Nim skończył mówić, kolejne trzy pociski wbiły się w pierś chińskiego komandosa.

Jastrzębski spróbował zlokalizować rannego Rosjanina. Strzelanina cichła, ostatni z wciąż żywych Chińczyków wychylił się zza betonowej osłony na ułamek sekundy za długo. Dwa pociski minęły cel, trzeci wbił się w czoło, odłupując kawałek czaszki. Tunel był czysty.

– Antracyt Dwa do wszystkich, meldować o stanie – powiedział „Padre”. Kilka sekund później okazało się, że poza Bołkońskim nikt nie zanotował poważniejszych obrażeń. Kilku komandosów oberwało podobnie jak Jastrzębski. Jednego uratował zamknięty pancerny hełm. – Jaśmin Trzy, melduj o stanie dowódcy.

– Jaśmin Trzy do Antracyta Dwa. Dowódca lekko ranny, ale dopóki go nie opatrzę, nie będzie mógł samodzielnie iść. Potem też może być ciężko.

Jastrzębski oderwał się od ściany i podszedł do ściany głównego tunelu, gdzie na brzuchu leżał Bołkoński. Czechowski, jeden z medyków Radegastu, kucnął nad sapiącym Rosjaninem, jego hełm leżał tuż obok.

Nim Jakub zdążył podejść i spojrzeć na purpurową twarz przyjaciela, na miejsce dotarła reszta, prowadzona przez Preissa.

– No i jak z nim? – zapytał kapitan.

– Dostał w dupę, klasyczny postrzał. Kula minęła panel ochronny egzoszkieletu i przebiła mięsień. Miał szczęście, że tor lotu był prostopadły do ciała. Pocisk przebił oba półdupki i poleciał dalej – zreferował medyk, jednocześnie przytrzymując szarpiącego się Bołkońskiego.

– Co tak wierzgasz? Nigdy nie byłeś ranny? – zapytał Preiss.

– No kurwa, wyobraź sobie, że nie byłem! – warknął Bołkoński.

– Nie drzyj się tak, cholera wie, czy nie ma ich tu więcej – rzucił Czechowski. – Kula w dupie to jak milion dolarów. Zaraz cię załatamy, wrzucimy drągi w krwiobieg i będziesz jak nowy. Do ewakuacji wytrzymasz.

Bołkoński zaklął pod nosem. Preiss nie wierzył, żeby ten potężny Rosjanin, weteran walk na Bliskim Wschodzie i tuzinów operacji specjalnych, po raz pierwszy doświadczył bólu postrzału. Kapitan przykucnął nad Bołkońskim i klepnął go w umięśnione ramię.

– Posłuchaj – powiedział ojcowskim głosem – każdy ból to dla człowieka nowe doświadczenie, z wyjątkiem bólu dupy. Wyjdiesz z tego.

Kilka minut później opatrzony i naszprycowany stymulantami Bołkoński stał oparty o ścianę tunelu. Wysłana na zwiad sekcja weszła na peron i przeczesała przylegający bezpośrednio do stacji teren. Obrazy, które dostarczył z powierzchni dron, nie napawały optymizmem. Xindian była najbardziej na południe wysuniętą stacją metra w Tajpej. Do tej pory przemieszczali się przez niemal opustoszałe miasto. Tutaj wydawało się, że ludzka rzeka nie ma końca. Droga numer dziewięć była jedyną arterią, która mogła zapewnić cywilom względne bezpieczeństwo i ewakuację na wschód wyspy. Wśród setek żandarmów i policjantów jak żywa fala przeciskały się dziesiątki tysięcy zdesperowanych cywilów. Wojsko czyniło cuda, by opanować spanikowaną tłumy, wszystkie te wysiłki były jednak z góry skazane na niepowodzenie. Co chwila jakaś grupka ruszała biegiem, wywołując żywą lawinę. Ludzie tratowali się i miażdżyli, byle jak najszybciej uciec przed depreczającą im po piętach śmiercią.

Jedynym pocieszeniem dla Radegastu i dyplomatów był kojący uszy dźwięk, którego z utęsknieniem wyczekiwali od niemal dwóch dni. Wywiad się nie mylił, klaksony stojących w gigantycznym korku samochodów nie milkły nawet na sekundę.

Międzynarodowe wody terytorialne, Pacyfik | 17 maja 2023, godzina 05:03

Kilkadziesiąt mil dalej nie było śladu po atmosferze wojny. Łagodne wody Oceanu Spokojnego mieniły się w promieniach wschodzącego znad widnokładu słońca. Dziób okrętu rozbijał fale z kocią gracją, błękitne bałwany pieniały się, tworząc szeroki kilwater. Do miejsca spotkania mieli nie więcej niż piętnaście mil. Za godzinę będzie po wszystkim.

– Stuart – komandor Dirk Cheney spojrział na pierwszego oficera – jakiś kontakt z naszymi?

– Nie, panie komandorze. Od ostatniej wiadomości cisza, Chińczycy również nie odebrali żadnego sygnału – odpowiedział Stuart Jones, pochylając się nad jednym z monitorów na mostku.

Cisza radiowa między dwoma amerykańskimi okrętami a zespołem, który miał odebrać okręty Cheney'a, była jednym z podstawowych warunków, jakie postawili Chińczycy, godząc się na przekazanie jednostek. Kierując się ograniczonym zaufaniem, na bieżąco monitorowali sygnały przychodzące i wychodzące z obu niszczycieli. Chiński dowódca przekazał im treść komunikatu sprzed pół godziny. Amerykanie czekali już w miejscu spotkania, do przejęcia przez nich okrętów Cheney'a miało dojść kilka minut przed szóstą rano. Wszystko szło jak z płatka i właśnie to martwiło komandora. Dwie potęgi tak blisko siebie – to nie mogło dobrze się skończyć.

Cheney podszedł do rzędu okien na mostku i podniósł do oczu lornetkę. Komandor po raz pierwszy w karierze miał możliwość z tak bliska przyjrzeć się niszczycielowi typu 052D oraz dwóm fregatom 054A. Niszczyciel szedł niespełna pół mili za Amerykanami, podczas gdy fregaty przecinały fale na flankach potencjalnych przeciwników. Cheney odruchowo przeliczył klapy wyrzutni na dziobie okrętu, trzydzieści dwie tuby mieściły wewnątrz całkiem przyzwoite w osiągnięciach rakiety systemu HQ-16. Pociski o zasięgu dochodzącym do dwudziestu pięciu kilometrów mogły z powodzeniem zatrzymać zarówno wrogi samolot, jak i pocisk manewrujący. Fregata była ponadto wyposażona w cztery pociski typu Cruise, torpedy, wyrzutnie rakiet oraz sprzężoną armatę kalibru siedemdziesięciu sześciu milimetrów. Idący za nimi niszczyciel dysponował podobnym, choć znacznie liczniejszym arsenałem. Nawet gdyby na własną rękę postanowili wywinąć Chińczykom jakiś numer, szansa, że wyjdą z tego cało, była bliska zera.

– Komandorze, mamy połączenie z chińskim niszczycielem – powiedział pierwszy oficer i podał mu słuchawkę.

Dirk Cheney odwrócił się od szyby i podszedł na stanowisko dowodzenia. Sięgnął po słuchawkę.

– Dziękuję. – Cheney skinął głową i przyłożył aparat do ucha. – Komandor Dirk Cheney.

Chiński oficer po drugiej stronie szybko zreferował treść rozmowy z amerykańskim zespołem czekającym na północy. Za kilkanaście minut Cheney dotrze do punktu, w którym będzie kontynuował podróż samotnie. Chińska eskorta zatrzyma się dziesięć mil od swoich amerykańskich odpowiedników.

– Rozumiem, panie komandorze. Będziemy czekać na kolejny kontakt. Dziękuję... – powiedział Cheney cierpko. Odłożył słuchawkę na terminal, po czym uniósł w dłoni mikrofon. – Za kwadrans zostawimy za sobą chińską eskortę. Przepłyniemy dziesięć mil, gdzie przejmie nas amerykański zespół okrętów Siódmej Floty. Panowie, wracamy do domu, wybaczcie, że robimy to w takich okolicznościach.

Stuart Jones kiwnął z uznaniem w stronę komandora. Był przy dowódcy od samego początku i nigdy w niego nie zwątpił. Nawet gdy musiał praktycznie oddać okręty w ręce Chińczyków i czekać na rozwój wydarzeń. Wiedział, co czuje. Gdyby tylko mógł, Cheney rozkazałby rozerwać przeciwnika gołymi rękami. Jeden z najbardziej doświadczonych dowódców amerykańskiej floty wracał na bezpieczne wody

przeegrany. Poniósł porażkę bez jednego wystrzału, tak napiszą o nim jutro gazety, pomyślał Stuart.

– Stuart – powiedział Cheney, przywołując do siebie pierwszego oficera ruchem dłoni. – Powiedz ludziom, żeby trzymali rękę na pulsie. Za cholerę nie ufam Chińczykom, a wolałbym, żebyśmy nie zostali zastani z ręką w nocniku.

– Tak jest, panie komandorze – odpowiedział Jones. – Ludzie są gotowi do działania.

– Trochę późno, co, Stuart? – zachnął się komandor. – Nasi sojusznicy tłuką się na Tajwanie, Siódma Flota pewnie wyszła w morze ze wszystkimi okrętami. Jak znam życie, pościgali lotnictwo z całego Pacyfiku, a my co? Siedzieliśmy cicho jak mysz pod miotłą, podczas gdy reszta szykowała się do wojny. Boże, tęsknię za Zatoką Perską.

– Uratował nas pan, komandorze – odparł Stuart Jones bez wahania. – Gdyby wydał pan rozkaz ataku, może udałoby nam się zatopić jeden czy dwa chińskie okręty. Ale reszta posłałaby nas na dno w mgnieniu oka. Ludzie o tym wiedzą, nie mają do pana żalu. – Oni może i nie, ale ja... – Komandor urwał, widząc czerwoną lampę przy terminalu telefonu. Podszedł do aparatu i podniósł słuchawkę. – Komandor Dirk Cheney, słucham. Rozumiem, kontynuujemy na ustalonym kursie. Dziękuję za wspólną podróż, panie komandorze. – Cheney uśmiechnął się pod nosem i odłożył słuchawkę na widełki. Przez kilka sekund wpatrywał się w monitory pomostu bojowego, by ostatecznie skupić wzrok na wyczekującym rozkazu pierwszym oficerze. – Stuart, ruszamy. Chińczycy zatrzymują się i czekają. Pełna gotowość bojowa i niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Edward Ingalls przygryzł trzymaną między zębami wykałaczkę. Oba niszczyciele pod wodzą Dirka Cheneya oderwały się właśnie od chińskiej eskorty i zmierzały w ich stronę. Wyglądało na to, że rzeczywiście chcieli zachować się honorowo. Pieprzone żółtki, pomyślał Ingalls.

Dowodził zespołem uderzeniowym złożonym z pięciu okrętów. US Navy postanowiła pokazać swoją potęgę już podczas tak delikatnej sytuacji jak przekazanie eskortowanych przez Chińczyków marynarzy Dirka Cheneya. Dwa krążowniki rakietowe typu Ticonderoga wsparte przez trzy niszczyciele klasy Arleigh Burke mogły w kilkadziesiąt sekund zmieść z powierzchni oceanu trzy chińskie jednostki. Gdzieś wysoko krążył też dron zwiadowczy, który w każdej chwili mógł wezwać wsparcie z powietrza. Na Okinawie czuwała eskadra gotowych do lotu F-35. Pokonanie dystansu dzielącego wyspę od pozycji Ingallsa zajęłoby im kilka minut.

– Połączcie mnie z Cheneyem – powiedział Ingalls, przygryzając wykałaczkę. – Nie są już pod chińską protekcją.

– Tak jest, sir – odparł oficer łączności i wybrał odpowiednią częstotliwość. Po kilkunastu sekundach słuchawka spoczęła w dłoni komandora.

– Komandorze Cheney, tu komandor Ingalls. Dobrze was słyszeć, jesteście już bezpieczni. Dzieli nas już tylko siedem mil, nasz obserwator ma z wami kontakt wzrokowy. – Ingalls powoli cedził słowa, wpatrując się w widnokrąg. – Witamy w domu. Dobrze się spisaliście.

Ingalls zamienił jeszcze kilka kurtuazyjnych zdań z Cheneyem, po czym zakończył połączenie. Wciąż gryząc wykałaczkę, spojrzął na oficera łączności.

– Połącz mnie z resztą okrętów. Czas zakończyć to przedstawienie. Wydadź też polecenie eskadrze na Okinawie. Mają być gotowi do startu w każdej chwili.

– Tak jest, sir. Łączę z okrętami zespołu – odpowiedział czarnoskóry oficer.

– Ingalls do wszystkich. Przygotować procedurę namierzania. Jak tylko okręty Cheneya przekroczą granicę pięciu mil od naszej pozycji, odpalamy pociski w stronę wcześniej wyznaczonych celów. Utrzymujemy stałą łączność radiową. Ogień na mój znak – zakomenderował Ingalls, wyłączył przycisk

nadawania i przez kilka chwil przytrzymał jeszcze słuchawkę przy piersi.

Kolejni oficerowie meldowali o uzbrojeniu pocisków i pomyślnych testach systemów obrony. Był przekonany, że Chińczycy spróbują się odgryźć. Na pewno nie wyjdą ze starcia zwycięsko, ale mogą pokąsać. Po niespełna dwóch minutach wszystkie pięć okrętów zameldowało o gotowości do otwarcia ognia.

Ingalls spojrział na ekran radaru. Jednostki Chenneya były milę od granicy. Jeszcze tylko chwila.

Chińczycy zmniejszyli prędkość do minimum, powoli przygotowywali się do zmiany kursu i drogi powrotnej. Choć podobnie jak Amerykanie przeczesywali obszar wokół okrętów wszystkimi dostępnymi sensorami, chyba nie wierzyli, że coś rzeczywiście może pójść nie tak.

– Sir, okręty komandora Chenneya przekroczyły granicę pięciu mil – zameldował pierwszy oficer. Dowódca zgrupowania kiwnął potwierdzająco w jego stronę.

– Ingalls do wszystkich. Odpalić pociski. Powtarzam, odpalić pociski.

Kłapy wyrzutni otworzyły się, płomienie odpalanych rakiet buchnęły ponad pokład. Jeden po drugim pociski wylatywały z komór, ciągnąc za sobą warkocze jasnego dymu. Formacja wystrzeliła łącznie trzydzieści pocisków, po dziesięć na każdy okręt. Przy odległości niespełna piętnastu mil morskich ładunki dotrą do celu w mniej niż minutę od odpalenia. Chińczycy mieli sekundy, żeby zareagować, a w tej chwili każdy błąd oznaczał śmierć.

– Panie komandorze! – krzyknął operator jednego z radarów. – Radar wykrył odpalenie pocisków z pokładu okrętów komandora Ingallsa! Trzydzieści pocisków, lecą prosto na Chińczyków!

Dirk Cheney zamarł. Odpalili pierwsi, jego operator radaru nie meldował o wrogich zamiarach chińskich okrętów. Trzy przeciwko pięciu, nie miałoby szans wygrać potyczki bez strat. Grupa Ingallsa miała co prawda przewagę, ale po co? Cheney i jego ludzie byli bezpieczni, Chińczycy właśnie szykowali się do wykonania zwrotu.

– Sir? – zapytał Stuart Jones. – Chińczycy otwarli ogień. Strącają nasze pociski. Co robimy? Mogą wziąć nas na cel?

– Panie komandorze! – krzyknął ponownie operator radaru. – Chińczycy zestrzelili ponad połowę rakiet. Niszczyciel zaliczył dwa trafienia, wciąż utrzymuje się na wodzie, ale chyba nabiera wody. Obie fregaty są poważnie uszkodzone, odpowiednio trzy i cztery trafienia. Toną.

– Dirk – powiedział pierwszy oficer. – Chińczycy zaraz otworzą ogień.

– Natychmiast połączyć mnie z chiń...

Komandor nie zdążył. Ziemia zatrzęsała mu się pod nogami, a świat zawirował. Lecąc w dół, przywalił czubkiem głowy prosto w wystającą obudowę monitora na pomoście bojowym. Zanim upadł, jego umysł zasłoniła czarna jak noc mgła.

Chińczycy chcieli załatwić sprawę jak najszybciej. Zgodzili się na wymianę na wodach międzynarodowych. Przyjęli też do wiadomości, że Amerykanie wyślą na spotkanie silniejszą grupę okrętów. Byli w stanie podjąć to ryzyko, choć nazwanie ich lekkomyślnymi stanowiłoby wielki błąd.

Kilka godzin przed wyjściem z portu, gdy morze było jeszcze wzburzone nocnymi prądami, niewielka grupa chińskich płetwonurków bez większego problemu podpłynęła do okrętów. Zainstalowanie na kadłubach kilku min zajęło im niespełna kwadrans. Amerykańskie okręty pokryte były specjalną warstwą, która uniemożliwiała wykorzystanie min magnetycznych, te zwyczajnie nie trzymały się kadłuba. Chińscy inżynierowie znaleźli jednak rozwiązanie. Wykorzystanie specjalnej substancji powodowało, że mina dosłownie przyspawowała się do okrętu. Detonator znalazł się w rękach dowódcy zespołu eskorty. Do ostatnich chwil wahał się, czy pozbawić życia Amerykanina i jego podwładnych. Gdy pociski rozerwały kadłub i zdruzgotały nadbudówkę, niepewność zniknęła. Nim wydał ostatnie tchnienie, wcisnął guzik

detonatora.

Seria eksplozji wyrwała w poszyciach krążowników cztery dziury o średnicy mniej więcej jednego metra. Usunięcie takich zniszczeń wymagało natychmiastowej interwencji specjalistów. Oba okręty znajdowały się na pełnym morzu. Szanse, że dopłyną do Okinawy, były bliskie zera. Jedynym ratunkiem był zespół Ingallsa.

Edward Ingalls z zadowoleniem przyjął meldunki, które spłynęły z okrętów jego zespołu. Obie chińskie fregaty właśnie szły na dno, niszczyciel jeszcze utrzymywał się na wodzie, ale jego wartość bojowa spadła do zera. Wątpił, by byli w stanie dopłynąć do wybrzeża. Kilkanaście pocisków, które zdążyli wystrzelić, zostało z powodzeniem przechwycone przez system AEGIS. Rakiety strąciły próbę kontruderzenia bez większego problemu. Pierwszy cios został zadany, teraz kolej na resztę floty.

– Sir, pierwszy oficer z USS „Antietam” na linii. – Oficer łączności wyglądał na przestraszonego.

– Co się stało? – zapytał Ingalls, zanim jeszcze odebrał słuchawkę z rąk podwładnego. – Komandor Edward Ingalls.

Meldunek o prawdopodobnym zdetonowaniu pod pokładem ładunków wybuchowych zmroził krew w żyłach Ingallsa. Jeśli to, co mówił przedstawiający się jako Stuart Jones porucznik, było prawdą, oba okręty pójdą na dno w ciągu kilkunastu minut.

– Rozumiem, panie poruczniku. Ruszamy natychmiast. – Ingalls rzucił słuchawkę na konsolę pomostu dowodzenia. Sięgnął po mikrofon i przełączył się na kanał ogólny zespołu. – Ingalls do wszystkich, okręty komandora Dirka Chenneya nabierają wody. USS „McC Campbell” i USS „Lassen”, macie natychmiast podjąć akcję ratunkową i przejąć załogi obu okrętów. Chiński niszczyciel zawrócił, nie stanowi już dla nas zagrożenia. Wyciągnijcie ich.

Akcja ratunkowa trwała niemal godzinę. Gdy wysłane przez Ingallsa okręty dotarły do tonących, kadłuby ledwie wystawały ponad poziom oceanu. Mrowie kamizelek ratunkowych kołysało się na niespokojnych wodach oceanu. Pokłady „McC Campbella” i „Lassena” usiane były przemoczonymi do suchej nitki marynarzami. Ingalls osobiście dopilnował, by nieprzytomny Dirk Chenney jak najszybciej znalazł się pod odpowiednią opieką. Nie wiedział jeszcze, że Pacyfik wraz z okrętami zabrał ze sobą ponad trzydziestu amerykańskich marynarzy.

– Sir... – powiedział pierwszy oficer, zrównując się z przechodzącym przez pokład komandorem.

– Słucham? – zapytał grobowym głosem Ingalls.

– Nasze radary wykryły zbliżające się w naszą stronę chińskie samoloty. Przynajmniej jedna eskadra. Są sto pięćdziesiąt mil od nas. – Pierwszy oficer zaciął usta w kreskę w oczekiwaniu na reakcję dowódcy.

– Łączcie z Okinawą, mają startować – odparł Ingalls. – Niech się zaczną.

ROZDZIAŁ V

Taizhong, Republika Chińska | 17 maja 2023, godzina 06:54

Wypalony do gołego metalu wrak tajwańskiego czołgu stał na samym środku skrzyżowania. Gdzieś między gruzem wciąż dymiły ciała zabitych. Bój o Taizhong przypominał najbardziej krwawe epizody drugiej wojny światowej. Drugi Stalingrad – jak mawiała znaczna część żołnierzy zaangażowanych w zdobywanie miasta.

Chon przebił się wraz z kompanią i całym batalionem przez przedmieścia i zdobył cmentarz. Kiedy po pierwszych szturmach ruszył samotnie szukać swojego plutonu wsparcia ogniowego, radio ożyło dziesiątkami meldunków. Wystarczyło kilka minut, a batalion miał do dyspozycji wsparcie haubic, artylerii rakietowej, lotnictwa i śmigłowców szturmowych. Jeśli rozkaz do ataku przyszedłby godzinę później, prawdopodobnie udałooby się uratować znacznie więcej istnień. Przy takiej nawale ognia wykurzyli Tajwańczyków w kilkanaście minut. Na oplakiwanie zabitych w bezsensownych szturmach nie było już czasu. Dowództwo natychmiast rzuciło ich dalej, do walki o kolejny punkt oporu tajwańskiej obrony.

Zluzowali ich niespełna cztery godziny temu. Natarcie prowadziła teraz piechota morska, wspierana przez oddziały zmechanizowane. Całkowita dominacja w powietrzu pozwoliła na niczym nieskrępowane prowadzenie misji bezpośredniego wsparcia ogniowego. Choć Tajwańczycy wciąż dysponowali licznymi zestawami typu MANPAD, chińscy piloci trzymali wysoki pułap, co skutecznie uniemożliwiało zestrzelenie.

Cofnęli się ledwie kilkaset metrów za linię walk. Chińscy marines wraz z lądowymi kolegami próbowali od kilku godzin przejąć kontrolę nad bramą do centrum miasta. Ślimak łączący drogi numer jeden i dwanaście stał się areną zażartych walk całych batalionów, które co chwila wypierały się z zajętych wcześniej pozycji. Ilekroć Chińczycy zajmowali kolejne punkty oporu, doskonale wstrzelani Tajwańczycy raz po raz zarzucali atakujących tonami granatów artyleryjskich i niekierowanymi raketami. Niewielkie grupki obrońców, ukryte w zgliszczach kwartałów, co chwila pojawiały się na tyłach Chińczyków, wywołując zamęt i panikę.

Dłonie znowu zaczynały drżeć. Serce zwiększyło częstotliwość uderzeń. Kiedyś to była tylko bezsenność. Po okrojonej do minimum terapii psycholodzy wmówili mu, że teraz wszystko jest w porządku. Miesiąc wizyt miał wystarczyć, by zatrzeć gehennę czteromiesięcznej wojny z Rosją. Kiedy powrócił z Iranu, nikt się nim nawet nie zainteresował, w boju spędzili tam ledwie kilka dni. Teraz to znowu wracało, nie wiedział dlaczego, przecież walczył, nie miał przestojów, nie odesłali go rannego na tyły. Wszystko powinno być w porządku. Przecież to nie mogło się pogłębiać, pomyślał kapitan Chon.

– Nie śpisz? – zapytał Kim, przysiadając obok kapitana. Zimna ściana przy wejściu do szpitala Weteranów przyjemnie chłodziła plecy.

– Nie dają spać – odpowiedział Chon z uśmiechem. Złączył dłonie, by ukryć coraz silniejsze drżenie. Kim udał, że wcale tego nie widzi, teraz to i tak nie miało znaczenia.

– Myślisz, że dadzą radę? – zapytał Kim, wskazując na odległe o kilkaset metrów czarne słupy dymu. – Marines mieli prawie cały dzień luzu, zdobyli port, a my zrobiliśmy resztę.

– Teraz na pewno dadzą. – Chon skinął na dwupasmówkę. Pluton chrząszczących gąsienicami czołgów Typ-96A powoli przetoczył się w górę drogi. Kilka metrów nad pojazdami unosiły się dwa niewielkie drony uderzeniowe. Przypominające miniaturowe śmigłowce bezzałogowce były w stanie

zasypać wroga salwą niekierowanych rakiet. Chon pamiętał te cuda z Rosji, w walkach w mieście sprawdzały się doskonale. Szybkie, zwrotne, niejednokrotnie potrafiły zmienić wynik potyczki.

– Ładne cacka. – Kim cmoknął z uznaniem. – Ale strącić łatwo, Ruscy dość szybko się nauczyli, że postrzału z półcalówki to nie wytrzyma. Spadały jak muchy.

– Może tutaj nie zdążą się nauczyć?

– Może... – Kim przytaknął i wytarł o spodnie brudne od pyłu dłonie. – Słyszałeś, co się dzieje?

Chon odwrócił głowę w stronę przyjaciela. Czapka patrolowa w cyfrowym kamuflażu przesunęła mu się komicznie na tył głowy. Bardziej przypominał teraz rapera niż oficera chińskich sił zbrojnych.

– No? – zapytał.

– Przecież wiesz... Major musiał wam mówić – syknął Kim konspiracyjnie. – Amerykanie nas zaatakowali.

– Kim – odparł kapitan protekcyjnym tonem – jestem kapitanem, nie dowódcą brygady. Myślisz, że serio mówią mi o takich rzeczach? Nie mam pojęcia, czy Amerykanie nas zaatakowali, tutaj ich nie ma. Mnie to wystarczy.

– No i po co te nerwy? – zapytał Kim.

Chon milczał, rozmowa zaczynała powoli go irytować. Byli na wojnie, pośród morza ognia i śmierci, a ten jakby nigdy nic obrusza się na nieco ostrzejszy ton. Zupełnie jakby byli na wycieczce w parku, a nie w samym środku piekła.

Od tej strony, gdzie stacjonowała kompania Chona, biegła trzymająca podskakujący hełm postać. Po kilku sekundach kapitan poznał jednego z podoficerów. Chyba ten młody łącznościowiec, pomyślał Chon. Odruchowo sięgnął do paska, gdzie zwykle nosił przytroczone radio. Dłoń trafiła w próżnię. Kapitan zaklął pod nosem. Wyglądało na to, że czas odpoczynku dobiegał końca. Chon wstał i rozprasował dłońmi bluzę mundurową. Kim poszedł w jego ślady i stanął tuż obok.

Łącznościowiec zatrzymał się w regulaminowej odległości od dowódcy i zaszalutował. Chon odpowiedział niedbałym uniesieniem dłoni.

– Słucham – powiedział.

– Kapitanie! – zaczął podoficer. – Rozkaz z dowództwa batalionu. Kompanie Klinga i Oszczep mają natychmiast wesprzeć oddziały piechoty morskiej, które nacierają na węzeł drogowy.

– Wsparcie? – zapytał Chon.

– Dowództwo batalionu potwierdziło, że będą wspierać nas śmigłowce. Możemy również w każdej chwili połączyć się z dywizjonem artylerii piechoty morskiej – odparł łącznościowiec.

– Dziękuję, sierżancie. – Chon skinął głową. – Ruszajmy.

Linia frontu zacierała się coraz wyraźniej, im dalej wbijali się między zabudowania Taizhong. Tam, gdzie jeszcze pół godziny wcześniej trwała zażarta walka o każdy dom i skrzyżowanie, teraz rozłożyli się luzowani żołnierze. Jedni pochłaniali pakowane próżniowo racje żywnościowe, inni palili papierosy lub łapali chwilę niespokojnego snu.

Jechali kolumną, odległość do wyznaczonych pozycji nie przekraczała kilometra, nie było sensu łączyć się do przedziałów desantowych. Piechurzy szli wzdłuż bewupów, osłaniając się wzajemnie. Miasto roiło się od snajperów i niedobitków tajwańskiej armii, którzy z jakiegoś powodu postanowili się nie wycofywać. Jeszcze zanim ruszyli, Chon rozkazał wypuścić drona zwiadowczego. Niewielki samolot, wyrzucony w powietrze przez żołnierza, uniósł się z szumem silnika na pułap kilkuset metrów. Mieli teraz własne oczy i uszy, kamery o doskonałej jakości obiektywach z łatwością wyłapywały najmniejszy nawet ruch.

Chon poprawił się na miejscu dowódcy i co chwila skakał wzrokiem od monitora do monitora. Sytuacja wokół węzła nie wyglądała najlepiej, marines i batalion zmechanizowany utknęli na silnie bronionych punktach. Najnowsze informacje mówiły też o dwóch zniszczonych w czasie ataku czołgach. Współczuł załogom. Mimo mocnego pancerza i elektroniki zapewniającej wysoką świadomość

sytuacyjną czołg bez odpowiedniego wsparcia piechoty jest w mieście niczym innym jak trumną na gąsienicach. Ocalałe dwie maszyny wycofały się na relatywnie bezpieczną odległość i przyjęły formę mobilnych stanowisk wsparcia ogniowego. Na wiele się to nie zdało, Tajwańczycy doskonale wiedzieli, gdzie się ukryć, czołgiści po prostu orali pociskami gruzy.

– Klinga do wszystkich – powiedział Chon na ogólnym kanale kompanii. – Opuszczamy bezpieczny obszar. Pamiętajcie, my tylko wspieramy natarcie niebieskich hełmów. Trzymajmy się z tyłu i wykonujmy swoje działania.

Niebieskimi hełmami reszta armii nazywała chińską piechotę morską. Określenie to wzięło się od błękitnych plamiaków, jakich jeszcze kilka lat temu używały uważane za elitarne formacje. Teraz wyglądem nie różnili się od doborowych jednostek wojsk lądowych. Podobne mundury, te same kamizelki balistyczne, gogle, hełmy, nieco bardziej spersonalizowana broń. Ale określenie zostało.

– Przyjąłem, Klinga – odpowiedział Kim, dowodzący pierwszym plutonem. – Wyjeżdżamy spomiędzy zabudowań, zatrzymamy się na wyznaczonej pozycji w oczekiwaniu na dalsze rozkazy.

– Klinga do Sztychu Jeden, przyjąłem – odparł Chon.

Przygotowany na kolanie scenariusz zakładał, że kompania Chona dołączy do szturm na prawą flankę węzła, po czym spróbuje wejść na tyły przeciwnika i zmusić go do zerwania kontaktu w obawie przed okrążeniem. Plan był prosty, szczególnie że mogli liczyć na wsparcie z powietrza i artylerię. Kapitan nie ludził się, że wszystko pójdzie pomyślnie. Był w armii, tu nic nigdy nie szło pomyślnie.

– Klinga do wszystkich. Pamiętajcie, że wjeżdżamy na pierwszą linię. Mamy dostęp do obrazów przekazywanych z drona, nie wychylać się, czekamy na rozkaz do rozpoczęcia natarcia. Idziemy z tyłu, za marines.

Chon przełączył obraz kamery. Dron zwiadowczy krążył pół kilometra nad węzłem. Kapitan przygryzł wargę i zrobił kwaśną minę. Cud drogowej architektury przypominał rozgotowane spaghetti. Większość zjazdów z obwodnicy Taizhong była zawalona przez ostrzał lub wysadzona. Kilka filarów podtrzymujących konstrukcje straszło osmalonymi kikutami. Przez węzeł byłoby trudno teraz przejść, nie wspominając o przejechaniu jakimkolwiek pojazdem. Właśnie za tę dymiącą ruinę przyszło im oddawać życie. Chon uśmiechnął się pod nosem, walczył od dobrych sześciu lat, za każdym razem z kimś innym. Jednak im dłużej przebywał na froncie, tym bardziej zdawał sobie sprawę, w jak bezsensownych działaniach brał udział. Próbował przenieść się do jednostek specjalnych lub spadochroniarzy. Chciał rzeczywiście wykonywać zadania, które wiązały się z konkretnymi rezultatami. Za każdym razem mu odmawiano. PTSD nie istniało za bramą garnizonu, ale wewnątrz maszyny zamykało niemal każde drzwi.

– Klinga, tu Posejdon, cieszę się, że dotarliście. – Chon usłyszał głos dowódcy batalionu marines. – Artyleria właśnie ostrzeliwuje pozycje przeciwnika. Ruszamy do natarcia za dwanaście minut. Będziemy mieć wsparcie śmigłowców i dronów lądowych.

– Posejdon, tu Klinga, zrozumiałem. Prześlij kierunki natarcia i sektory działania – odparł Chon. Chwilę później pakiet danych przesłany przez majora piechoty morskiej znalazł się na terminalach dowódców plutonów.

– Na południowy wschód od naszych pozycji Tajwańczycy zawalili most na rzece. Na szczęście koryto jest niemal puste, to bardziej ściek niż rzeka. Będziemy mogli bez problemu sforsować przeszkodę – kontynuował major. – Liczę, że dzięki waszej pomocy uda nam się okrążyć Tajwańczyków.

– Zrobimy, co w naszej mocy, Posejdon. Rzeka rzeczywiście wygląda kiepsko. – Obiektów drona skupił się na zawalonej konstrukcji mostu. Profesjonalnie wysadzony złożył się jak domek z kart. Szemrząca między gruzami brudna woda musiała mieć nie więcej niż metr głębokości. Naturalna bariera, która mogła zatrzymać ofensywę na długie godziny, okazała się śmiechu warta.

– Posejdon do wszystkich. Śmigłowce wystartowały, ruszamy na sygnał „Perspektywa”. Powtarzam, hasło do ataku: „Perspektywa”. – Chon, usłyszawszy kodową nazwę natarcia, szybko wstukał w klawiaturę odpowiednią komendę. Nigdy nie miał pamięci do takich głupot.

Artyleryjska nawała wciąż trwała. Raz po raz przed chińskimi pozycjami rozrywały się potężne stupećdziesięciopięciomilimetrowe pociski. Fontanny gruzu i ziemi wylatywały wysoko w powietrze, by po chwili opaść na ziemię gęstymi falami. Piechota morska koncentrowała się przy pojazdach, które miały stanowić szpicę natarcia. Kilkanaście transporterów opancerzonych, wspieranych przez dwa czołgi i kompanię bewupów, czekało na pozycjach wyjściowych. Między ruinami węzła i zdruzgotanymi budynkami, gdzie stali Chińczycy, zaczynała rosnać zasłona dymna. Jeszcze tylko chwila.

Kierowane pociski przeciwpancerne wystrzelone ze śmigłowców przecięły nieboskłon, rażąc jednocześnie kilkanaście celów. Chon nie miał pojęcia, ile rakiet rzeczywiście trafiło w pojazdy i punkty oporu przeciwnika. Eksplozje zlały się w jedną kakofonię zniszczenia.

– Posejdon do wszystkich, „Perspektywa”, powtarzam, „Perspektywa”! – Chon usłyszał podniesiony głos dowódcy batalionu.

– Klinga do wszystkich, zaczynamy. Ruszamy do mostu – powiedział Chon na kanale kompanii.

– Szytych Jeden, przyjąłem.

– Szytych Dwa do Klingi, wykonuję.

– Szytych Cztery, ruszam do boju!

Plutony odbiły na prawą flankę i wykorzystując zrujnowane budynki, przemknęły kilkadziesiąt metrów pod osłoną płonących zgliszczy. Piechota przeskakiwała od osłony do osłony, obawiając się celnego ognia przeciwnika. Tajwańczycy w końcu musieli odpowiedzieć.

Większość pojazdów Chona musiała pożegnać się z termiczną niewidzialnością. Polowe warsztaty nie wyrabiały się z naprawami, a wystarczyło kilka celnie ułożonych pocisków, by kostka kamuflażu odpadła od pancerza. Przypominali teraz obłożone workami z piaskiem i drucianymi stelażami radzieckie wozy z Afganistanu, a nie supernowoczesne konstrukcje. Wciąż jednak mogli prowadzić wyrównaną walkę.

Pojazdy kompanii Chona w towarzystwie kilkunastu transporterów marines i ponad setki żołnierzy rozsypały się w szeroką tyralierę. Do rzeki mieli nie więcej niż dwieście metrów. Pierwsze pociski Tajwańczyków sięgnęły pojazdów tuż po wyjściu z ukrycia. Zasłona dymna jak na złość zaczynała się rozmywać, jeszcze kilka sekund i obrońcy będą mieli Chińczyków jak na dłoni. Chon sprawdził ekran taktyczny: marines docierali już do zabudowań, które bezpośrednio stykały się z zawałonym mostem. Długie serie wielkokalibrowych karabinów maszynowych, działek automatycznych i granatników orały ziemię i ciała atakujących. Przeniósł wzrok na monitor przekazujący obraz z drona. Termowizja wskazywała na obecność przynajmniej ośmiu wrogich pojazdów i kilkudziesięciu ludzi po drugiej stronie. Dobrze okopani, mogli walić w jego żołnierzy, ile wlezie. Bez wahania połączył się z dywizjonem artylerii.

– Klinga do Listonosza, ogień na te pozycje – powiedział do mikrofonu i przesłał koordynaty kanonierom.

– Listonosz do Klingi, przyjąłem – usłyszał w odpowiedzi.

– Strzelać do odwołania.

– Szytych Dwa do Klingi. Dojeżdżamy do mostu, potrzebujemy pilnego wsparcia ogniowego, straciłem dwóch ludzi. Piechota morska właśnie rozpoczyna przeprawę przez rzekę.

– Przyjąłem, Szytych Dwa, artyleria właśnie rozpoczyna ostrzał. Nie przekraczajcie rzeki, dopóki nie otrzymacie rozkazu – odpowiedział Chon.

– Przyjąłem, Klinga.

Salwa kilkunastu ładunków trafiła prosto w punkt. Obraz termiczny rozjarzył się gorącą bielą, niemal słyszał pacnięcia spadającego z nieba gruzu. Tajwańczycy nie dawali za wygraną. Furkot przelatujących tuż nad głowami rakiet i kierowanych pocisków stawiał włosy dęba. Wystarczy jedno trafienie, a pożegna się z życiem. Adrenalina buzowała w ciele. Nawet nie zauważył, kiedy znalazł się na pierwszej linii

wraz z resztą kompanii.

Artylerzyści pracowali bez ustanku. Salwa za salwą tajwański opór malał. Chon musiał przełączyć się na tryb dzienny, by móc rozróżnić szcążkowe kontury zabudowy po drugiej stronie. Zrównane z ziemią budynki płonęły żywym ogniem. Piechota morska tylko na to czekała. Błękitne hełmy w ułamku sekundy wykorzystały przerwę w ostrzale ze strony przeciwnika i ruszyły za bewupami ku rzece. Obrońcy dobrze wiedzieli, że agresor nie będzie miał innej drogi. Ukryte w korycie ładunki wyczekiwały uśpione aż do teraz. Pierwszy ZBD-97 wyleciał w powietrze, zanim na dobre zanurzył się w płytkim nurcie. Detonacja dosłownie rozerwała go na kawałki. Kierowcy pozostałych maszyn nie mieli szans się wycofać. Kolejne ładunki eksplodowały, wyrzucając w powietrze resztki maszyn i krwawe strzępy towarzyszących im ludzi. Wystarczyło kilka sekund, by cały pluton chińskiej piechoty morskiej dosłownie przestał istnieć.

– Posejdon do Klingi, natychmiast atakujcie w miejsce zniszczonego plutonu!

– Odmawiam, Posejdon. Nie wiemy, czy Tajwańczycy nie ukryli w nurcie więcej min. – Chon pokręcił głową.

– To jest rozkaz, Klinga! Jesteście pod moją komendą! – wrzasnął dowódca batalionu.

– Odmawiam, nie będę narażał swojej kompanii. Naszym zadaniem jest wsparcie waszych ludzi, nie...

– Atakować! – krzyczał major.

Chon zacisnął szczęki. Ten tępy idiota chciał wygubić jego ludzi co do ostatniego. Nawet jeśli przekroczą rzekę, z pewnością nadzieją się na Tajwańczyków. Mimo ostrzału artylerii będą walczyć do upadłego. Nim dotrą do centrum miasta, zostanie mu jedna dziesiąta stanu. Nie mógł na to pozwolić.

– Odmawiam... – powtórzył spokojnie. – Musimy poczekać na pozostałe kompanie. Jeśli zaatakujemy sami, zginiemy.

Ratunek przyszedł niespodziewanie. Kilkaset metrów dalej spomiędzy chmur czarnego dymu wyłoniły się niskie, przysadziste pojazdy. W pierwszej chwili Chon wziął je za czołgi przeciwnika, dopiero kiedy dron zidentyfikował maszyny jako sojusznicze, kapitan wyteżył wzrok.

Łądowe drony bojowe typu D-2 wyglądem przypominały połączenie niskoprofilowego czołgu i skutera śnieżnego. Dwie szerokie gąsienice młóciły grunt, wyrzucając w powietrze fontanny ziemi. Przysadzista wieżyczka, wyposażona w automatyczne działko kalibru czterdziestu pięciu milimetrów i cztery tuby z kierowanymi pociskami przeciwpancernymi HJ-12, co chwila obracała się w poszukiwaniu nowych celów. Działko pluło pociskami, rozrywając ściany i pancerze tajwańskich transporterów. Rajd kilku dronów definitywnie zakończył potyczkę. Zaskoczeni nagłym atakiem Tajwańczycy odskoczyli od swoich pozycji. Osłaniani przez kolegów sprawnie unikali ognia zdalnie sterowanych działek. Gdyby nie postawiona przez transportery i tajwańską artylerię zasłona dymna, po obsadzie mostu pozostałoby tylko wspomnienie. Prawa flanką węzła została zdobyta. Teraz należało wejść na tyły przeciwnika i zmusić go do oddania kolejnych cennych metrów linii obrony. Chon połączył się z dywizjonem artylerii.

– Klinga do Listonosza. Przerwać ostrzał, powtarzam, przerwać ostrzał, most zdobyty – powiedział.

– Listonosz do Klingi, przyjąłem. Przerwywamy ostrzał.

Huk eksplozji ucichł chwilę później. Most i przylegające budynki zostały wbite w ziemię, nie było szans, by w gruzach przetrwała choć jedna osoba. Saperzy z kompanii Chona w kilka minut wytyczyli bezpieczną przeprawę przez rzekę. Nie minął kwadrans, jak kompania była gotowa do dalszej drogi. Chon właśnie miał wydać rozkaz do przegrupowania i wyznaczyć nowy cel, gdy w słuchawce zestawu odezwał się głos dowódcy batalionu.

– Tarcza do Klingi, zgłóście się. – Głos majora był zimny jak stal.

– Klinga do Tarczy, odbiór – odparł Chon.

– Otrzymałem wiadomość od Posejdona. Wasza kompania nie kontynuuje natarcia, macie natychmiast stawić się w sztabie batalionu.

– Przyjąłem, Tarcza. Klinga nie kontynuuje natarcia, wracam do sztabu – odparł Chon zrezygnowany. Rozłączył się i zdjął hełm. Powiesił powleczonego kevlar i ukrył twarz w dłoniach. – Niech to jasny chuj... – powiedział sam do siebie.

USS „Ronald Reagan”, Morze Wschodniochińskie | 17 maja 2023, godzina 08:31

Natura nie mogła się już bardziej postarać. Na niebie widocznych było ledwie kilka wrzecioniowatych chmur, które ciągnęły się ospale po coraz wyraźniejszym nieboskłonie. Słońce weszło już jakiś czas temu i teraz pięło się coraz wyżej, rozświetlając białe obłoki. Pogoda była doskonała, nic nie mogło powstrzymać wprawionej w ruch maszyny.

– Stery działają – powiedział porucznik Hugh Tomsen. Obrócił się przez prawe, a później lewe ramię. Stateczniki obracały się zgodnie z ruchem drążka. – Hendricksen, sprawdź uzbrojenie.

– Przyjąłem, Tomsen, uruchamiam test – odpowiedział siedzący tuż za porucznikiem operator uzbrojenia. – Uzbrojenie zielone, wszystkie ładunki w pełni sprawne.

– Przyjąłem. Jesteśmy gotowi, trzeci w kolejce – odparł dowódca.

– Piękny dzień nam się trafił. Jak umierać, to tylko dzisiaj – mruknął ponuro drugi pilot.

– Wyłazi z ciebie pesymista.

– Tak się jeszcze nie bawiłem. Mamy przeciwko sobie pół chińskiej floty i cholera wie ile samolotów.

– Raz się żyje, Hendricksen.

Pokład lotniskowca opuściła już połowa stanu. Tomsen przeniósł wzrok na kolejnego F-18, który startował z łoskotem. Piękna maszyna, pomyślał.

Obsługa dwoiła się i troiła, by kilkadziesiąt maszyn opuściło pokład bez opóźnień. Co chwila kolejne samoloty wzbijały się w przestworza, dołączając do rosnącego roju. Kolorowe kamizelki i hełmy mieszały się jak w kalejdoskopie. Choć nie brali udziału w bezpośredniej walce, w dużej mierze to od ich opanowania i umiejętności zależało powodzenie operacji. Wystarczył jeden błąd, pomyłka w komunikacji, i mogło dojść do katastrofy.

– Wieża do Łabędzia Trzy, droga wolna, możecie wjeżdżać na pas – usłyszał Tomsen.

– Łabędź Trzy do wieży, przyjąłem, wjeżdżamy na pas – odpowiedział porucznik, po czym naparł nieco na wolant. Maszyna zwiększyła ciąg i powoli wtoczyła się na koniec pokładu startowego.

Tomsen ustawił dziób swojego F/A-18F równo z linią wymalowaną na pokładzie lotniskowca. Przełknął ślinę i poprawił chwyt dłoni na drążku. Jeszcze chwila, a wszystko będzie przesądzone. Od czasów inwazji na Iran nie brał udziału w żadnej misji bojowej. Był doświadczony: druga wojna w Zatoce, powietrzny blitzkrieg nad Iranem. Wiedział, jak powinien się zachować. Nic jednak nie mogło przygotować go na to, z czym będzie musiał się dzisiaj zmierzyć.

– Wieża do Łabędzia Trzy, możecie startować. Wracajcie bezpiecznie – dodał kojącym głosem kontroler.

– Przyjąłem, wieża – odpowiedział Tomsen.

Marynarz w żółtej kamizelce zamachał rękami, po czym złożył się wzdłuż pasa. Nadszedł czas.

Tomsen docisnął wolant do oporu. Katapulta strzeliła, poczuł, jak przeciążenie wbija go w miękki fotel. Nadbudówka lotniskowca została za nimi, kolorowe kamizelki mignęły przed oczami, przed sobą miał tylko znikające poniżej dziobu fale Pacyfiku.

– No to w drogę, Hugh – powiedział drugi pilot.

– Bóg z nami, Hendricksen, Bóg z nami – odparł porucznik i przechylił maszynę.

Admirał Chu Ping mierzył nerwowymi krokami pomost bojowy. Manewr rozbicia floty trwał w nieskończoność. Pierwsze meldunki o zatopieniu eskorty, która przekazała Amerykanom oba okręty, przyszły na pokład „Liaoninga” przed dwiema godzinami. Początkowo nikt nie dawał im wiary, owszem, spotkanie chińskich okrętów z Amerykanami było niezwykle ryzykowne, ale wszyscy szczerze wątpili, że któreś ze stron puszcza nerwy. Kilkanaście minut później dotarło potwierdzenie ze sztabu marynarki i od tamtej chwili wszystko zaczęło dziać się w przyspieszonym tempie.

Natychmiast podjęto decyzję o wycofaniu lotniskowca kilkanaście mil poza główne siły i przydzieleniu silniejszej eskorty. Wydzielono też dodatkowe cztery niszczyciele do północnej grupy. Osłabiło to co prawda ochronę korytarza morskiego między kontynentem a Tajwanem, ale po zneutralizowaniu niemal całego tajwańskiego lotnictwa wciąż mogli z powodzeniem bronić szlaku. Pewne było jedno: to nie koniec, a Amerykanie zrobią wszystko, by Grupa Bojowa „Północ” przestała istnieć.

– Panie admirale. – Przed Pingiem stanął tyczkowy oficer z wyciągniętą w jego stronę kartką. – Meldunek z okrętów.

Admirał rozwinął zwitek i przejechał wzrokiem po krótkim tekście. Chyba się udało, pomyślał. Nie mogli zrobić już nic więcej. Poderwali z pokładu „Liaoninga” wszystkie samoloty i śmigłowce, utworzyli z kilkudziesięciu okrętów kordon, którego nie powinien sforsować sam Bóg. Teraz mogli już tylko czekać.

– Wszystkie okręty na pozycjach... – powiedział Ping sam do siebie.

– Panie admirale? – Oficer zmarszczył brwi, nie dosłyszawszy dowódcy.

– Dziękuję za meldunek – odparł. – Jesteśmy gotowi, niech przyjdą.

Powietrzna grupa uderzeniowa oddalała się od lotniskowca z każdą sekundą. Do forpoczty chińskiego zgrupowania mieli ponad trzysta mil otwartego oceanu. Za kilka minut powinni połączyć się z dwiema eskadrami F-35, które wystartowały z Okinawy. Ponad setka samolotów, najpotężniejsza siła, jaką Amerykanie mogli zwerbować w tak krótkim czasie. W połączeniu z okrętami VII Floty mogli zrównać z ziemią armię niejednego państwa. Trafili jednak na Chińczyków i drugą marynarkę wojenną świata. Wyniku tego starcia nie dało się przewidzieć.

Informacje między poszczególnymi maszynami dystrybuowano z wykorzystaniem cichych datalinków. Łączność radiowa mogła zostać zbyt szybko wykryta przez Chińczyków, a tego nie chciał żaden z pilotów zmierzającej na czołowe zderzenie formacji. Tomsen zauważył, jak do systemu spłynęła informacja od dowódcy Łabędzi. Za równo trzy minuty dotrą do punktu oznaczonego jako Smirnoff, a tam spotkają się z Błyskawicami. Meldunek od dowódcy zawierał również lakoniczne zdanie o możliwym kontakcie z lotnictwem przeciwnika. Chińczycy doskonale wiedzieli, że prędzej czy później musiało dojść do konfrontacji.

– Hendricksen, trzy minuty do punktu Smirnoff – powiedział porucznik. – Możliwy kontakt z przeciwnikiem, uzbroić AMRAAM-y.

– Przyjąłem, pociski uzbrojone – odpowiedział Hendricksen. – Jak wrócimy, będzie co opowiadać dzieciom – prychnął. Porucznik wiedział, że drugi pilot ma nerwy napięte jak postronki. Ilekroć stres zaczynał brać górę, Hendricksen zaczynał gadać jak najęty. – Pogromcy chińskiej floty... Brzmi dumnie.

– Albo chińskiego smoka, nawet lepiej – odpowiedział Tomsen. – W sam raz na serial, po wszystkim proponuję zgłosić się do HBO.

Cała formacja leciała na wyłączonych radarach, na niskim pułapie. Choć nadzieja na skryte podejście i odpalenie rakiet była niewielka, wybrali najlepszą z możliwych opcji. Wszelkie dane otrzymywali

przez datalink z kołujących kilkanaście kilometrów nad oceanem dronów zwiadowczych. Właśnie równali się z dwoma tuzinami F-35, które nadlatywały od strony Okinawy. Punkt Smirnoff został osiągnięty, Super Hornety nieznacznie zmieniły trajektorię lotu, obierając kurs kolizyjny z chińską flotą.

Gromada leciała szeroką ławą, rozciągającą się na kilka mil, dla obserwatora, który znajdowałby się na przepływającym przez Pacyfik statku, widok musiałby być niesamowity. Prawdziwa podniebna potęga.

Łącze ponownie ożyło, dane, jakie spłynęły do maszyny Tomsena, wywołały mimowolny uśmiech na ukrytej pod hełmem twarzy.

– Spójrz na lewo – powiedział porucznik do drugiego pilota.

– Wow... – szepnął Hendricksen.

Było ich przynajmniej kilkadziesiąt. Sunęły dosłownie kilka metrów nad niskimi falami oceanu. Jedna z kilku wystrzelonych przez amerykańskie okręty salw pocisków manewrujących typu Tomahawk Block IV przecinała powietrze z prędkością dochodzącą do dziewięćset kilometrów na godzinę. Mrowie podłużnych cygar przefrunęło pod eskadrą Tomsena i pomknęło ku swoim celom.

Porucznik spojrział na ekrany rozmieszczone w kokpicie. Jego Super Hornet szedł jak po sznurku, osobiście uważał, że mimo braku zaawansowanych technologicznie nowinek to właśnie F/A-18 wciąż jest królem przestworzy w amerykańskiej flocie powietrznej.

Zostało jeszcze tylko kilkanaście minut, odpalenie pocisków miało nastąpić z odległości stu pięćdziesięciu mil od chińskich okrętów. Dystans wybrano nieprzypadkowo: według danych wywiadu zainstalowane na okrętach przeciwnika systemy obrony były w stanie razić cele oddalone maksymalnie o sto dwadzieścia pięć mil morskich, co dawało Amerykanom sporo zapasu. Dokładnie tyle wystarczy na zwolnienie zaczepów i wykonanie nawrotu. Jedynym zagrożeniem wydawało się wrogie lotnictwo. Wyglądało na to, że Chińczycy są zaskoczeni, żadna z eskadr nie meldowała o obecności przeciwnika. Podobnie jak stacje radiolokacyjne na macierzystych okrętach i AWACS-y, które nieustannie przeczesywały niebo nad Pacyfikiem.

Datalink wyświetlił kolejną porcję danych. Ostatni punkt, do którego musieli dotrzeć przed odpaleniem pocisków, znajdował się trzydzieści mil przed nimi. Drugi pilot z pewnością widział teraz tę samą informację. Checkpoint oznaczał odpalenie pocisków i początek amerykańskiej ofensywy przeciwko Chińczykom. Tomsen westchnął ciężko, adrenalina zaczynała buzować w żyłach.

– Hendricksen, pociski gotowe do odpalenia? – zapytał.

– Tak jest, pociski gotowe. LRASM-y możemy odpalić w każdej chwili – odparł drugi pilot. Porucznik wcale nie musiał pytać, wszystkie ładunki były oznaczone jako gotowe do odpalenia i Tomsen doskonale o tym wiedział. – Damy radę...

– Przyjąłem – powiedział porucznik chłodnym tonem. – Czas do odpalenia T minus sto trzydzieści.

– Tak jest.

Tomsen zacisnął szczęki i poprawił chwyt na drążku, nie chciał rozpraszać się dwie minuty przed decydującym momentem. Życie jego i Hendricksena zależało w równej mierze od technologii i zimnej krwi porucznika.

Zaznaczony na elektronicznej mapie punkt zbliżał się nieubłaganie, została minuta. Tomsen ostatni raz omiół wzrokiem wszystkie ekrany i wskaźniki. Wszystko było w porządku, nic tylko odpalać, zawrócić i spieprzać, ile fabryka dała. Już na odprawie mówili, że chiński pościg jest wysoce prawdopodobny. Tomsen przeczuwał, że powrót na pokład „Ronalda Reagana” może być znacznie trudniejszy niż zasypanie chińskiej floty setkami pocisków.

– Łabędź Jeden do wszystkich. Punkt Sobieski, powtarzam, punkt Sobieski. Odpalać pociski – powiedział dowódca eskadry.

– Przyjąłem, Łabędź Jeden, odpalać pociski. – Tomsen wziął głęboki oddech. – Hendricksen, odpalaj.

Zaczeły pylonów puściły. Dwa niemal półtonowe ładunki oderwały się od maszyny. Potężne silniki ożyły, ułamek sekundy później dym strzelił z dyszy, by po chwili rozwiać się w krystalicznie czystym powietrzu. Szerokie skrzydła rozłożyły się, stabilizując lot. Poddźwiękowe pociski pokonywały odległość dzielącą je od chińskich okrętów niemal niezauważenie. Automatycznie obniżyły pułap lotu i wydawało się, że lewitują nad falami, podtrzymywane jakąś niewidzialną siłą. Brak burego warkocza utrudniał zweryfikowanie trajektorii lotu i miejsca odpalenia.

Ich zadanie dobiegło końca, rój ponad dwustu pocisków miał uderzyć w chińską flotę kilkadziesiąt sekund po salwach Tomahawków. Piloci mogli na chwilę odetchnąć z ulgą. Teraz czekała ich droga powrotna, a Tomsen był pewien, że nie obejdzie się bez emocji.

– Łabędź Jeden do wszystkich, wykonać zwrot. Kurs na punkt Belvedere, powtarzam, obrać kurs na punkt Belvedere.

– Łabędź Trzy, przyjąłem. Wykonuję zwrot na kurs Belvedere – odpowiedział Tomsen. Przechylił drążek i poczuł, jak maszyna kładzie się przez prawe skrzydło i zmienia kierunek. Podobny manewr wykonały wszystkie Super Hornetsy jego eskadry. – Hendricksen, AMRAAM-y gotowe?

– Przyjąłem, Hugh, AMRAAM-y gotowe do odpalenia – odparł operator uzbrojenia.

– Do naszych dolecimy za jakieś dwadzieścia minut. Dobra robota, panowie.

– Dolecimy, jak drogi nie przetną nam żółtki – odpowiedział Hendricksen. – Jak tylko wylądujemy, stawiam kolejkę, stary.

– Trzymam cię za słowo, Hendricksen – uśmiechnął się Tomsen.

Nadlatujące myśliwce zostały wykryte przez samolot wczesnego ostrzegania już kilka chwil po starcie. Sztab przewidywał, że po zniszczeniu chińskiej eskorty pełne uderzenie na flotę było kwestią czasu. Nie pomylili się.

Niemal setka wrogich maszyn zbliżała się od strony Wysp Japońskich oraz pozycji zajmowanych przez VII Flotę. Chińska maszyna typu AWACS zameldowała również o wystrzeleniu przez Amerykanów bardzo dużej liczby pocisków przeciwokrętowych. KJ-2000 został natychmiast zawrócony. Amerykanie z pewnością wpisali powietrzny system wczesnego ostrzegania na priorytetową listę celów.

– Admirale. – Do Pinga podszedł chudy jak patyk oficer. – Straciliśmy kontakt z naszym KJ-2000 oraz eskortą. Prawdopodobnie zostali zestrzeleni. Tuż przed zerwaniem kontaktu dowódca klucza zameldował o wystrzeleniu w ich stronę rakiet powietrze–powietrze.

– Musieli wykorzystać Raptory, czyli jednak przebazowali je do Korei Południowej. Powiadomcie sztab o utracie eskadry zwiadowczej – odpowiedział admirał Chu Ping. – Nasze radary ich już przechwyciły?

– Jeszcze nie, panie admirale – odparł oficer.

– Powiadomcie mnie, jak tylko wykryjemy wrogie samoloty lub pociski. Co z lotnictwem? Będą gotowi? – zapytał Ping.

– Tak jest, panie admirale. Trzy minuty temu otrzymaliśmy meldunek, dywizjon pościgowy znalazł się w powietrzu. Powinni zbliżyć się do naszych pozycji za jakieś dwadzieścia dwie minuty.

– Dobrze. – Admirał skinął głową. – Przygotować się do odparcia ataku.

Oficer zsalutował i wrócił na swoje stanowisko. Admirał podszedł do jednego z monitorów na stanowisku dowodzenia. Przekazywany przez kamerę na pokładzie obraz przedstawiał pusty do ostatniej maszyny pas startowy. Wszystkie trzydzieści dwa samoloty typu J-15 kołowały wysoko nad okrętami, oczekując na sygnał do rozpoczęcia pościgu. Śmigłowce pokładowe oczekiwały w powietrzu na dalsze

dyspozycje. Część przerzucono na pojedyncze okręty, które operowały znacznie bliżej tajwańskich wód terytorialnych. Jedynie kilka, wyposażonych w sonary, patrolowało okolice chińskiego zgrupowania.

Ping podniósł wzrok powyżej pokładu. Jego flota ciągnęła się niemal po horyzont. Ponad pięćdziesiąt jednostek różnego typu. Od flagowego lotniskowca, poprzez niszczyciele rakietowe, fregaty, korwety, aż po szybkie katamarany wyposażone w wyrzutnie pocisków przeciwokrętowych. Okrętów wsparcia, technicznych, holowników nawet nie liczył. Mogli walczyć z każdym.

– Admirale. Nasze radary wykryły zbliżające się pociski! – krzyknął oficer z pomostu bojowego. – Odległość: sto dwadzieścia mil. Około... trzystu pocisków różnego typu. Prędkość: sześćset mil na godzinę. Czas do uderzenia: dwanaście minut.

– Namierzyć i otworzyć ogień – odpowiedział Ping. Szybkim krokiem podszedł do stanowiska dowodzenia. Centralny ekran kompilował obraz z radarów poszczególnych okrętów wchodzących w skład grupy. Był pewien, że nie wykryli wszystkich. Wrogich pocisków były setki, część została już zidentyfikowana jako Tomahawki, reszta wciąż pozostawała anonimowa. Ping wiedział, że jeśli zostały wystrzelone przez lotnictwo, to musiały być AGM-158C.

– Tak jest, admirale – odpowiedział oficer, chwycił słuchawkę telefonu i wydał kilka krótkich komend.

Admirał w tym czasie wpatrywał się w zbliżającą się z każdą sekundą raketową nawałę. Zegar tykał nieustępliwie.

Pierwsze rakiety opuściły komory kilka sekund później. Dziesiątki pocisków dalekiego zasięgu HHQ-9A wystrzeliło pionowo w górę, by po chwili wejść na właściwy kurs. Kolejne salwy jedna za drugą spowijały kadłuby niszczycieli szarym dymem. Kierowane radarowo pociski łapały lecące tuż nad powierzchnią oceanu cele i podobnie jak Tomahawki co chwila korygowały kurs, nie pozwalając na zgubienie namiaru.

– HHQ-9 wystrzelone, minuta do przechwycenia celów. Odległość amerykańskich pocisków od naszej formacji dziewięćdziesiąt mil – zameldował oficer.

– Pozostałe pociski gotowe do odpalenia? – zapytał Ping.

– Tak jest, panie admirale. – Oficer skinął głową.

– Odpalać, jak tylko znajdą się w zasięgu.

– Potwierdzam, odpalać na granicy zasięgu.

Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Pół minuty, dwadzieścia, piętnaście, wreszcie dziesięć sekund. Admirał Ping wstrzymał oddech. HHQ-9 zaczęły przechwytywać amerykańskie Tomahawki. Daleko na północ od chińskiej pozycji niebo zaroilo się od błysków i czarnych kleksów detonujących pocisków. Większość chińskich rakiet nie dała się zmylić unikom i dynamicznym modyfikacjom trajektorii lotu. Na głównym ekranie w ciągu kilku sekund zgasło przynajmniej pięćdziesiąt amerykańskich pocisków. Na ostateczny raport musiał poczekać jeszcze kilka sekund.

– Admirale, udało nam się przechwycić sześćdziesiąt dwa amerykańskie pociski – zameldował oficer. – Radary wykryły nowe cele, liczba obiektów: około trzystu pięćdziesięciu. Udało nam się zidentyfikować pozostałe rakiety jako AGM-158C.

– Odległość? – zapytał Ping.

– Siedemdziesiąt mil. Za półtorej minuty będziemy mogli odpalić DK-10A, pięćdziesiąt sekund później HQ-16, potem zostanie nam już tylko nasz Kindżał i systemy obrony typu CIWS.

Chu Ping skinął głową. Półtorej minuty minęło szybciej, niż myślał. Niszczyciele ponownie zniknęły w chmurze dymu. Niebo zaroilo się od pędzących ponad trzy tysiące mil na godzinę rakiet. Obie fale zderzyły się kilkanaście metrów ponad spokojnymi wodami oceanu. Tomahawki i LRASM-y tańczyły w powietrzu, chcąc uniknąć chińskich pocisków. Nie wszystkim się udało, dziesiątki detonacji rozerwało

jednostajny szum pędzących ku okrętom ładunków. Niespełna minutę później do gry włączyły się tuziny HQ-16, kontynuując dzieło zniszczenia. Część chińskich rakiet zgubiła cele i detonowała wysoko ponad ławą amerykańskich pocisków. Kilkanaście całkowicie zvariowało, zmieniając kierunek lotu lub wpadając w fale Pacyfiku. Mimo ogromnej liczby przeciwrakiet ponad połowa ładunków uparcie zmierzała ku przeznaczeniu.

– Admirale, DK-10 oraz HQ-16 zestrzeliły łącznie sto dwadzieścia sześć pocisków. Wciąż mamy na radarach około stu dziewięćdziesięciu wrogich rakiet. Odległość dwadzieścia mil. Eskadry J-15 właśnie przechwytyją pociski – zameldował oficer. Skóra koloru papierosu zbladła jak kreda. Pozostała im już ostatnia linia obrony, nie było szans, żeby myśliwce znacząco uszczupliły nadciągającą nawałę.

– Co z naszymi maszynami? – zapytał admirał.

– Mogą rozpocząć misję pościgową, admirale – odpowiedział oficer.

– Niech zaczynają. Musimy być gotowi do kontruderzenia.

– Tak jest. – Pierwszy oficer podziwiał spokój dowódcy. Za kilkadziesiąt sekund mogą zostać dosłownie zmieceni. Mimo to admirał planował kontrofensywę.

Ostatnia linia obrony floty ożyła. Rakiety krótkiego zasięgu oraz kopuły wyposażone w wielolufowe działka automatyczne rozpoczęły swój koncert. Dziesiątki rakiet wystrzeliło z wyrzutni i próbowało przechwycić manewrujące nad falami pociski. Detonacje zasnuły niebo czarnymi okręgami i błyskami płomieni. Wieżyczki obracały się we wszystkich kierunkach, plując setkami trzydziestomilimetrowych ładunków. W końcu musiało jednak dojść do nieuniknionego.

Admirał Ping widział, jak jedna z podłużnych rakiet mija detonujący Kindżał i wbija się z impetem w kadłub lotniskowca. Potężne szarpnięcie omal nie zważyło go z nóg. Nie minęło kilka sekund, jak do pierwszego LRASM-a dołączyły kolejne i huk detonacji złął się w jeden potężny grom. Kolosem rzuciło jak dziecięcą zabawką, załoga turlała się po pomoście bojowym, ekrany przygasły, iskry strzeliły feerią tysięcy jasnych ogników. Chwilę później półprzytomny Ping usłyszał złowieszczy zgrzyt. Nim zdążył spojrzeć pod nogi, podłoga zaważyła się, pochłaniając zmaltretowane ciało wraz z niemal całą nadbudówką. Duma chińskiej floty, pierwszy lotniskowiec Państwa Środka stanął w miejscu. Choć wciąż dryfował pchany siłą niesprawnych już silników, z każdą sekundą nabierał wody. Potężne wyrwy w kadłubie zamieniły się w wodospady. „Liaoning” nieubłaganie szedł na dno, a wraz z nim niespełna półtora tysiąca wciąż żywych marynarzy.

Podobny los spotkał cztery rażone kilkukrotnie niszczyciele Typ 052D. Trafione jednostki spowiły płomienie i smoliste kłęby dymu. Poszatkowane kadłuby i nadbudówki siały na wszystkie strony ostrymi jak brzytwa odłamkami. Zbiorniki paliwa detonowały, rozrywając poszycie. Kilka kolejnych niszczycieli otrzymało pojedyncze lub podwójne trafienia i jakimś cudem było w stanie utrzymać się na powierzchni. Fregaty i korwety miały znacznie mniej szczęścia. Kule ognia, które wyrosły przy zetknięciu się amerykańskich pocisków z okrętami, dosłownie zdmuchnęły dziewięć mniejszych jednostek. Po dumnych niegdyś załogach zostały unoszące się na falach strzępy. Wystarczyło kilkanaście sekund, by potężna chińska flota uszczupliła się o czternaście okrętów. Drugie tyle było poważnie uszkodzonych, stuprocentową zdolność do prowadzenia dalszej walki zachowało nie więcej niż dwadzieścia procent północnego zgrupowania chińskiej floty.

Marynarze nie wierzyli w to, co widzieli. Płomienie i gryzący gardło dym zasnuły błękitne wody Pacyfiku. Powietrze wypełnił zapach śmierci i przerażenia. Musieli się wycofać. Jeszcze jeden taki atak, a jedynym śladem, jaki po sobie zostawia, będzie plama ropy i płonące resztki. Oficerowie, którzy próbowali opanować chaos, wiedzieli, że czas gra na ich niekorzyść. Amerykanie byli świadomi skutków ataku i oczywistym było, że pójda za ciosem.

– Łabędź Jeden do wszystkich. Otrzymaliśmy informację o zbliżających się w naszą stronę wrogich myśliwcach. – Tomsen usłyszał głos dowódcy eskadry. – Około sześćdziesięciu samolotów typu J-16 oraz J-11B zmierza w naszym kierunku z południowego zachodu. F-35 odłączyły się od formacji i lecą nad Okinawę. Bierzymy ich na siebie razem z pozostałymi eskadrami.

– Łabędź Trzy do Łabędzia Jeden, jaka jest odległość do wrogiej formacji? – zapytał porucznik.

– Niespełna sto mil, lecą na naszą lewą flankę. Uruchomić radary, Łabędzie. Przygotujcie się do boju – powiedział dowódca.

Porucznik przełączył się na wewnętrzny kanał swojego Super Horneta i westchnął z rezygnacją.

– Świetnie... Czyli jednak nici ze spokojnego powrotu do domu – mruknął.

– Od początku wiedzieliśmy, że tak się to skończy – odparł Tomsen.

– Nadzieja matką głupich...

Cała formacja wykonała ostry zwrot, kierując się ku nieprzyjacielowi. Radar AESA zainstalowany w dziobie Super Horneta mógł wykryć przeciwnika wielkości myśliwca J-11 na dystansie dochodzącym do stu pięćdziesięciu mil. Tuż po uruchomieniu aktywnego radaru ekran rozświetlił się kilkunastoma potencjalnymi celami. Odległość nie przekraczała już dziewięćdziesięciu mil, Chińczycy musieli wiedzieć, że lada chwila dojdzie do starcia. Przy tej prędkości obie formacje wyminą się za nie więcej niż trzy minuty.

– Łabędź Jeden do wszystkich. Przygotować się do odpalenia rakiet. Poczekajcie, aż dystans zmniejszy się do sześćdziesięciu mil – powiedział dowódca eskadry.

– Przyjąłem, Łabędź Jeden. – Tomsen spojrział na ekran radaru. Obie formacje pruły powietrze z prędkością ponad tysiąc trzystu mil na godzinę. Nim porucznik skończył odpowiadać na rozkaz dowódcy, dystans skrócił się o kolejne kilka mil.

– Łabędź Sześć do wszystkich, Chińczycy odpalili rakiety! – krzyknął jeden z pilotów eskadry.

– Tu Łabędź Jeden, otworzyć ogień! Rozbić szyk! Przygotujcie się do walki na krótkim dystansie!

Tomsen oznaczył losowego przeciwnika i wypuścił w jego kierunku kierowany pocisk AIM-120C. Natychmiast namierzył kolejny chiński myśliwiec i wcisnął guzik na drążku. Rakiety oderwały się spod pylonów, kierowane impulsami wysyłanymi przez radar przecinały powietrze ku opromieniowanemu celom. Uruchomiona przez Hendricksena zagłuszkarka na razie skutecznie maskowała Super Horneta przed chińskimi wiązkami.

– Lecimy do góry, Hendricksen, rakiety złapały swój namiar – powiedział porucznik i ściągnął drążek do siebie.

– Przyjąłem, przełączam cię na Sparrowy – odparł drugi pilot.

Myśliwiec poderwał dziób ku górze i drastycznie zwiększył pułap. Chińska formacja rozbiła się podobnie jak Amerykanie. Na drugą, mierzoną salwę nie będzie już czasu. Jeszcze minuta, może dwie, i zetrą się w bezpardonowej walce na krótkim dystansie. Tutaj technologia nie będzie już tak ważna jak umiejętności i zimna krew pilota. Tomsen dobrze wiedział, że chińskie samoloty są bardziej zwrotne. Będą musieli nieźle się napocić, by wyjść z bitwy bez szwanku.

– Wracamy, Hendricksen. – Porucznik przyciągnął drążek maksymalnie. Spojrzął w dół, przez pleksiglasową kabinę widział mieniące się tysiącami refleksów fale Pacyfiku.

Obrócił maszynę na brzuch i pikował prosto ku oceanowi. Tak jak przewidywał, na radarze obie formacje zmieszały się w morderczym tańcu. Natychmiast namierzył najbliższą chińską maszynę i wystrzelił. Zmodernizowany pocisk AIM-7 Sparrow złapał namiar na oddalony o dziesięć mil chiński myśliwiec i pchnięty impulsem pruć powietrze, zostawiając za sobą szary warkocz. Kilka sekund później w ślad za pierwszą pomknęła druga rakietka. Chiński pilot miał nerwy ze stali. Uruchomił zagłuszanie i zasobnik walki elektronicznej. Fałszywe sygnały emitowane wokół samolotu oślepiły pierwszy z pocisków. Sparrow zmienił gwałtownie kierunek i detonował, nie wyrządzając J-16 najmniejszej szkody. Chwilę później druga rakietka poszła ostro w dół i eksplodowała tuż nad oceanem, unosząc nad fale

owalną kopułę kropolek wody.

– Noż co za skurwysyn! – warknął Tomsen sam do siebie. – Gonimy go!

– Przyjąłem, Tomsen! – krzyknął operator uzbrojenia. – Pamiętaj, zostały nam tylko dwa Sparrowy.

– Przyjąłem, Hendricksen.

Zainstalowane wewnątrz kadłuba urządzenie ostrzegania przed opromieniowaniem wiązką radarową rozjarzyło kokpit ostrzegawczą czerwienią. Głośniki zamontowane wewnątrz hełmu zapiszczały ostrzeżeniem. Tomsen jednym ruchem dłoni wyłączył fonię.

– Namierzyli nas, Hugh.

– No nie pierdol! – odpowiedział Tomsen. Położył Super Horneta przez skrzydło i zwiększył ciąg. Na ułamek sekundy pociemniało mu przed oczami.

– Wystrzelili rakiety! – krzyknął Hendricksen.

Chiński J-11B wpadł na ogon Łabędzia Trzy w odległości trzech mil. Wystrzelone z tej odległości rakiety PL-9C potrzebowały trzydziestu paru sekund, by zrównać się z maszyną Tomsena. Kierowane podczerwienią natychmiast uchwyciły ciepłość silników i nieubłagane zbliżały się w stronę Super Horneta.

– Wystrzeliwuję flary! – krzyknął Tomsen. Świetliste kaskady wyrosły za ogonem samolotu, chwilę później poszła druga salwa. Jedna z rakiet zgubiła się od razu, zmieniła kierunek i eksplodowała daleko za myśliwcem Tomsena.

– Jedna poszła, została druga – zameldował Hendricksen.

– Łabędź Trzy, tu Łabędź Dziewięć, chyba potrzebujecie pomocy. – Tomsen usłyszał pod hełmem głos znajomego pilota.

Amerykańska maszyna zaszała Chińczyka od flanki i nim ten zdążył zorientować się w sytuacji, Sparrow wbił się w kadłub, urywając jedno ze skrzydeł. J-11B runął ku falom jak płonący worek ziemniaków, pilot nie dał się przeciążeniu, kabina wystrzeliła w powietrze. Chwilę później nad oceanem pojawił się opadający ku falom spadochron.

– Strzelam ostatnimi flarami! – Tomsen odwrócił się przez ramię. Flary rozleciały się na boki, chwilę później rakietka detonowała na jednym ze świecących dipoli.

– Zgubił się... Jesteśmy bez flar, Hugh – powiedział Hendricksen.

– Wiem. Dzięki za pomoc, Łabędź Dziewięć. – Tomsen odetchnął z ulgą.

– Nie ma sprawy, Łab... – Przyjazny głos pilota dziewiątego Łabędzia umilkł w jednej sekundzie. Tomsen wychylił się i spojrzał za siebie. Super Hornet pikował ku oceanowi z zawrotną prędkością. Kabinę spowiły płomienie, dla obu pilotów było już za późno.

– Kurwa... – zaskomlał Hendricksen.

– Łabędź Jeden do wszystkich, Chińczycy wycofują się – powiedział dowódca eskadry. – Meldować o stratach.

– Łabędź Jeden, tu Łabędź Trzy, zgłaszam się. – Tomsen przełknął ślinę i oblizał spierzchnięte wargi. – Przed chwilą widziałem Łabędzia Dziewięć, na pewno nie żyją...

– Przyjąłem, Łabędź Trzy. Dobrze, że z nami jesteście – odparł lider. – Straciliśmy dziś wielu dobrych ludzi. Ale po tym, czego dokonaliście, Chińczycy zastanowią się dwa razy, nim ponownie zadrą z amerykańską marynarką. Wracamy do domu, panowie.

Tajpej, Republika Chińska | 17 maja 2023, godzina 10:42

Noc spędzili na stacji metra. Chińczycy kilkakrotnie bombardowali okolicę. Tajwańskie wojska co rusz musiały mieszać się z cywilami, by dotrzeć na linię frontu. Chińczykom wydawało się to wcale nie przeszkadzać.

Kolejna noc na ławce lub zimnej jak lód posadzce dawała się we znaki. Lwia część towarzystwa pociągała nosami. Co chwila któryś z dyplomatów kaszłał. Przeziębienie stawało się powoli plagą, zużyli już większą część zabranych z hotelu lekarstw. Komandosi dysponowali co prawda antybiotykami, stymulantami, morfiną oraz resztą niezbędnych podczas operacji specjalnej medykamentów, obawiali się jednak, że poza antybiotykiem żaden z nich nie pomoże na rozwijającą się w organizmie gripę. Potrzebowali dwóch dni, by wydostać się z miasta, i co najmniej drugie tyle, by dotrzeć na wybrzeże. Miejską dżunglę zamienili na meandrujące między górskimi szczytami kręte drogi i ścieżki. Wędrówka była wyczerpująca nawet dla operatorów Radegastu, dla nieprzywykłych do wysiłku cywilów mogła okazać się mordercza.

– Preiss... – Jastrzębski podszedł do kapitana, który przypatrywał się rzece ludzi i pojazdów przetaczających się w żółtym tempie na wschód wyspy. – Musimy się zbierać. Mamy coraz więcej chorych, jak nam się rozłoży w drodze, to trzeba będzie ich nieść.

– Wiem, zaraz ruszamy. Spróbujemy precyzyjnie się chociaż ze dwa kilometry na wschód i poszukamy apteki. Może jeszcze jakiejś nie splądrowali, to w końcu porządny naród – odpowiedział Preiss.

– Niby porządny, a nie przepuścili nawet gramofonowi – mruknął Jastrzębski, wskazując na puste miejsce, gdzie jeszcze kilka dni temu musiał stać adapter. Płyty winylowe walały się po dywanie i podeptanych ciężkimi butami panelach podłogowych. Brakowało również sporych rozmiarów telewizora, po którym został tylko jaśniejszy kontur na ścianie.

– Wszędzie znajdzie się czarna owca... – odpowiedział Preiss i wrócił do obserwacji okolicy. Przez wybite okno wpadały do pokoju drobinki pyłu, oświetlane promieniami zenitującego słońca. Kurz osiadał na hełmie balistycznym, kevlarowych naramiennikach i modułach kamizelki. Przyczepiał się do egzoszkieletu obejmującego biodra i nogi komandosa.

– Pójdę na dół, może znaleźli jakieś lekarstwa. – Jastrzębski odwrócił się na pięcie i po wąskich schodach zszedł na parter.

Kuchnia wyglądała na splądrowaną. Ktoś pootwierał szafki, a wyrwane z przewodnic szuflady leżały strzaskane na kolorowych płytkach. Cywile siedzieli skupieni w środku pomieszczenia. Część musiała przenieść się do salonu, tutaj z pewnością by się nie zmieścili. Radosław Bielecki medytował nad szklanką wody, tuż obok siedziało kilku mężczyzn. Wszyscy byli spoceni, zmęczeni, oczy świeciły im się z wyczerpania i gorączki. W normalnych warunkach wystarczyłoby kilka dni w łóżku i gorąca herbata. Tutaj niegroźna infekcja mogła okazać się równie zabójcza jak chińskie bomby i rakiety.

– Znaleźliście coś? – zapytał Jastrzębski, stając w progu kuchni.

– Nie... – odpowiedział Bielecki, kręcąc głową. Chwilę później dopadł go kolejny atak kaszlu. – Kurwa mać – skomentował, gdy wreszcie odchrząknął spływającą po gardle wydzielinę.

Polak przeszedł do salonu. W środku oprócz cywilów było kilku komandosów, w tym „Padre” i „Ahmed”. Pierwszy miał tak specyficzny sposób chodzenia, że mimo egzoszkieletu i pancernej bani na głowie rozpoznał go bez problemu. „Ahmed” z kolei jako jedyny pomalował swój mechaniczny stelaż w barwy maskujące.

– Zaraz będziemy się zwijać. Nie znaleźliśmy żadnych lekarstw – powiedział Jastrzębski.

– Zajebiecie, oni nam wykitują, zanim dojdziemy na miejsce. – „Padre” ponownie zmierzył salon

szerokimi krokami.

– Musimy szybko znaleźć jakiś środek transportu. Preiss o tym wie.

– My tu możemy siedzieć do usranej śmierci, ale oni powinni jak najszybciej opuścić wyspę – dodał „Ahmed”.

Jastrzębski nie odpowiedział, dobrze wiedział, że mają rację. Ewakuacja zamieniła się w powłóczyący nogami polowy szpital. Jeśli rozchoruje się więcej osób, będzie pozamiatane. Ślimacze już tempo zamieni się w całkowity bezruch. Okręt podwodny nie będzie na nich czekał w nieskończoność.

– Hiacynt Dwa do wszystkich. Na końcu osiedla pojawiły się trzy pojazdy opancerzone tajwańskich sił zbrojnych. Towarzyszy im około dwudziestu żołnierzy, są czterysta metrów od naszych pozycji. – Jastrzębski usłyszał spokojny komunikat jednego z operatorów rozstawionych na czujkach.

– Hiacynt Dwa, tu Orchidea, przyjąłem. Ewakuujemy się zgodnie z planem, zameldować się w punkcie Zulu – odpowiedział Preiss.

Poza czujnym okiem jednego z operatorów przed dekonspiracją uratowało ich powolne tempo tajwańskiego patrolu. Skrupulatnie przeczesywali posesję po posesji, wchodząc do każdego domu i mieszkania. Gdyby przeszli się wzdłuż ulicy, grupie Radegastu z pewnością nie udało się ewakuować bez wykrycia.

Przegrupowali się jakieś sto metrów za posesję. Preiss przezornie wybrał na postój jeden z ostatnich domów. Budynek znajdował się na niewielkim wzniesieniu, co pozwalało obserwować bezpośrednio podejście i okolicę. Przez bramę zajeżdżał właśnie pierwszy z transporterów. Żołnierze rozbiegli się po trawniku i podjeździe. Tajwańczycy wyglądali na bojowo nastawionych, z pewnością doszłoby do wymiany ognia.

– Orchidea do wszystkich. Mamy przed sobą krótki spacer, ale w trudnym terenie – zaczął Preiss. – Pół kilometra na wschód od nas zaczyna się niewielkie osiedle. Głównie domy, tak samo jak tutaj. Jest tam niewielka restauracja i sklep elektroniczny. Pozostaje mieć nadzieję, że tamtejsze apteczki nie zostały jeszcze splądrowane. Ruszamy standardowym szykiem. Jazda.

Las był bardzo gęsty. Grube konary drzew porastał zielony, puchaty mech. Wilgoć skraplała się na przygiętych do ziemi gałęziach. Pięli się powoli, uważnie stawiając każdy krok. Dla większości operatorów był to najtrudniejszy teren, z jakim mieli okazję się zmierzyć. Co kilka minut musieli robić przerwy, ponieważ dyplomaci ledwie stali na nogach. Jeden przewrócił się na śliskich kamieniach, które wyrastały między korzeniami drzew. Mężczyzna podniósł się o własnych siłach, ale Jastrzębski widział, że sprawiło mu to ogromną trudność.

Choć do głównej drogi, biegnącej równoległe do ich trasy, mieli niespełna trzysta metrów, las wydawał się cichy i opustoszały. Tajemnicy i niepokojącej aury dodawała mu mgła, lepka, ulotna zawiesina, która powoli przetaczała się między drzewami.

– Hiacynt Jeden do wszystkich. Zbliżamy się do granicy lasu. Widzę pierwsze budynki – zameldował idący na szpicy komandos.

– Przyjąłem, Hiacynt Jeden – odpowiedział Preiss. – Sprawdźcie osiedle z powietrza.

– Wykonuję – odpowiedział Hiacynt Jeden.

Podczas gdy pozostali rozłożyli się w szyku obronnym, sekcja Hiacyntów rozpoczęła rozpoznanie. Niewielki dron wystartował z dłoni operatora i przefrunął między liśćmi ponad korony drzew. Czujna kamera natychmiast zogniskowała się na niewielkim osiedlu. Spowite we mgle bardziej przypominało znaną z gry komputerowej Cichą Górę niż skrawek jednej z największych metropolii świata.

Ulice wydawały się całkowicie opuszczone, nie było również samochodów, co akurat nie zdziwiło żadnego z komandosów. Setki tysięcy uciekinierów tłoczyło się na autostradzie, kilkaset metrów poniżej osiedla. Nikt zapewne nie widział celu w schodzeniu z oznaczonej przez wojsko drogi. Bez problemu znaleźli zarówno restaurację, jak i sklep. Neonowy szyld przedstawiający dorodnego hamburgera wciąż świecił, nadając okolicy jeszcze bardziej przerażający charakter.

– Osiedle czyste. – Jastrzębski usłyszał głos komandosa.

– Przyjąłem – odparł Preiss. – Hiacynt Jeden, zabezpieczyć wejście na osiedle. Antracyt, Jaśmin, kierujcie się w stronę restauracji.

– Przyjąłem, Orchidea, kierujemy się w stronę restauracji – odpowiedział Jastrzębski.

Skinął na swoich ludzi i ruszyli w dół zbocza. Wszystko szło sprawnie. Pierwszy, a potem drugi komandos miękko zeszli po korzeniach i wylądowali na mokrej ulicy. Szczęście opuściło ich, gdy pierwszy z dyplomatów postawił stopę nie na tym korzeniu, co trzeba. Głuchy trzask, a po chwili urywany krzyk przeszył zalegającą nad osiedlem ciszę. Rosjanin w wytartym garniturze runął na asfalt jak worek ziemniaków. Zawył, jak tylko spróbował podnieść się na równe nogi. Kość w kostce chrupnęła głośno. Jeden z Hiacyntów podbiegł do cywila, przerzucił jego ramię przez plecy i pomógł wstać.

– Antracyt Jeden do wszystkich. Mamy rannego, jeden z cywilów ześlizgnął się podczas schodzenia. Prawdopodobnie skreślił kostkę, nie jest w stanie samodzielnie się poruszać.

– Antracyt Jeden, tu Orchidea, przyjąłem. Dawajcie go do restauracji. Jaśmin powinien już tam czekać – odpowiedział Preiss. Nawet przez radio słychać było, jak mocno zaciska zęby.

Restauracja w rzeczywistości bardziej przypominała bistro lub bar szybkiej obsługi. Wąskie, podłużne wnętrza, szeroka lada z krzesłami barowymi i kilka mniejszych łóży stanowiło cały wystrój lokalu. Szybko zorientowali się, że kasa została opróżniona, ale, o dziwo, grabieżcom zabrakło fantazji, by sprawdzić szafy i szuflady na zapleczu. Apteczka była na swoim miejscu.

Rannego Rosjanina położyli na blacie. Krople potu na czole i kurczowo zaciśnięte szczęki tylko potwierdzały jego cierpienie. Ból promieniował z kończyny na resztę ciała. Kiedy Czechowski dotknął buta, by rozwiązać sznurówkę, mężczyzna krzyknął rozdzierająco. Jeden z komandosów natychmiast zakrył Rosjaninowi usta.

– Skubaniec się załatwił... – powiedział Czechowski. – Przetnę sznurówki, spróbuję zdjąć but. Chłopaki – zwrócił się do dwójki operatorów, którzy przyglądali się pracy medyka – spróbujcie skombinować coś, co nada się na kule. Może da radę pójść o własnych siłach. Jeśli nie, trzeba będzie targać go na noszach...

Obaj specjalsi skinęli głowami. Szybko zniknęli na zapleczu.

Sekcja Jastrzębskiego skończyła obejście perymetru. Usiedli w jednej z łóż. Osiedle nie napawało optymizmem. Wszechobecna mgła wdzierwała się w każdą uliczkę i skrzyżowanie.

– Ponuro tu... – powiedział „Kruszyna”, stając nad komandosami. Zminiaturyzowana wersja wysłużonego już Pieczenięga zwisała mu przez pierś.

– Nigdzie nie było do tej pory takiej mgły. Dopiero w tym lesie... – odpowiedział drugi ze specjalsów i stuknął opancerzoną rękawicą w witrynę.

– Jak w tej grze, wiecie... – zaczął „Kruszyna”.

– Dobra, panowie, ja się przejdę. Zbierajcie siły – powiedział Jastrzębski i wstał z miękkiej czerwonej kanapy.

Przeszedł za kontuar, gdzie Czechowski mocował się z nogą rannego Rosjanina, i zniknął w wąskim korytarzu. Na końcu, w niewielkim magazynie, dwójka operatorów szperała w poszukiwaniu sprzętu dla medyka. Jastrzębski zatrzymał się przy zamkniętych drzwiach opatrzonej tabliczką z napisem w niezrozumiałym dla Polaka języku. Nacisnął klamkę i powoli otworzył drzwi. Kantorek był niewiele większy od kabiny z muszlą klozetową w galeriach handlowych. Jedno biurko, fotel obrotowy, wąski regał wypełniony kolorowymi segregatorami. Jastrzębski usiadł w fotelu i od niechcienia stuknął w touchpad laptopa, który otwarty stał na biurku. Ekran rozjarzył się jasną barwą. System wciąż miał połączenie z siecią. Jastrzębski przyjrzał się stronie wyświetlonej na ekranie. Szybko rozpoznał jeden z największych serwisów oferujących usługi poczty elektronicznej. Użytkownik zapomniał się wylogować. Jastrzębski uśmiechnął się pod nosem i oparł dłonie na klawiaturze.

Mieszkała właśnie kawę, gdy leżący na stoliku smartfon zawibrował. Westchnęła głośno i odsunęła telefon nieco dalej. Nie miała do tego głowy, co chwila jakieś spotkania, briefingi, telekonferencje lub ostatnie poprawki przed wejściem na wizję. Dziennie dostawała tyle maili, że mogłaby nimi obdzielić niejedną blogerkę. Od ponad dwóch dni nie miała pojęcia, co się dzieje z Kubą. Każdą wolną chwilę spędzała przed telewizorem lub monitorem komputera. To, co przedstawiały serwisy informacyjne, przerażało. Chińska inwazja na Tajwan była równie brutalna co wojna amerykańsko-irańska. Bombardowali nawet kolumny uciekinierów, szpitale, centra ewakuacji. Media ochrzciły konflikt mianem wojny depopulacyjnej. Czterdzieści osiem godzin wystarczyło, by życie straciło kilkanaście tysięcy cywilów. Rannych liczono w dziesiątkach, jeśli nie setkach tysięcy. Wielu z nich media od razu wpisywały na listy zabitych, niemal podwajając liczbę ofiar.

Telefon ponownie zawibrował, Ludmiła z przekleństwem na ustach sięgnęła po aparat. Pierwszy mail to zaproszenie na kolejne spotkanie. Kwadrans, na szóstym piętrze, sala taka i taka. Po otwarciu kolejnego telefonu niemal wyleciał jej z ręki.

Mail przyszedł z nieznanego adresu, ale z każdym przeczytanym słowem serce biło jej coraz mocniej. Czyli żyje, pomyślała, zasłaniając usta dłonią. Był w Tajpej, razem z resztą oddziału, był bezpieczny. Chciało jej się śmiać, łzy pociekły po różowych od pudru policzkach. Na końcu wiadomości prosił, żeby nie odpisywała, że skontaktuje się z nią, jak tylko będzie mógł. Zgodnie z poleceniem skasowała wiadomość. Zamknęła oczy i kilkakrotnie wypuściła powietrze z płuc. Dwa dni odbijała się od drzwi w Ministerstwie Obrony, w Krakowie odkładano słuchawkę po kilkunastu sekundach, w Bobolicach pół minuty później. Dwa dni wegetowała jak żywy trup, teraz ponownie poczuła gorącą krew w żyłach, nieobecny do tej pory uśmiech pojawił się na piegowatej twarzy.

Ludmiła Gajda zerwała się z miejsca i pobiegła do wind z wciąż parującym kubkiem kawy. Nie mogła się spóźnić, przecież za kilka minut miała spotkanie. A Jakub żyje.

Biały Dom, Waszyngton DC, USA | 17 maja 2023, godzina 12:35

Szef administracji spojrzął na telefon. Kilka maili, wiadomości, dwa nieodebrane połączenia. To wszystko w zaledwie trzy minuty, które musiał poświęcić prezydentowi podczas jego przemarszu do pokoju sytuacyjnego. Albert Armitage szedł pół kroku przed nim, jak zawsze wyprostowany, pewnym krokiem i z bystrym spojrzeniem.

– Panie prezydencie, prasa już tworzy swoje historie. Musimy powiedzieć, co się dzisiaj stało. – Szef administracji zrównał się z prezydentem. – Utniemy spekulacje. Media myślą, że rozpoczęliśmy wojnę.

Albert Armitage zatrzymał się w pół kroku i spojrzął na podwładnego. Wygiął usta w podkowę, jak zawsze, gdy przekazywane mu wiadomości nie pokrywały się z jego tokiem rozumowania.

– Seth... – powiedział spokojnym tonem. – Wojnę, w której zginęli dzisiaj nasi żołnierze, rozpoczął nie kto inny, jak żądny krwi reżim w Pekinie. Dopóki nie poznamy szczegółowych danych na temat dzisiejszego ataku, Biały Dom ma milczeć jak grób. Spotkanie z szefami Kolegium potrwa godzinę, dostaniesz wszystkie niezbędne informacje do napisania oświadczenia. Do tego czasu powiedz dziennikarzom, że dementujemy wszystkie plotki na temat udziału naszych sił zbrojnych w konflikcie. Jeśli chcą mieć aktualne dane o inwazji na Tajwan, niech zadzwonią do chińskiej ambasady.

– Tak jest, panie prezydencie. A propos Chińczyków... – zaczął szef administracji, gdy Armitage ruszał dalej.

– Tak, Seth?

– Joe Biden od kilkadziesiąt minut ma na linii chińskiego ministra. Pekin chce rozmawiać bezpośrednio z panem – odpowiedział Seth.

– Porozmawia, gdy uznam to za stosowne.

Dalszą drogę do pokoju sytuacyjnego prezydent pokonał samotnie. Minął ochronę i poczekał, aż stojący tuż przy drzwiach agent Secret Service otworzy drzwi. Albert Armitage przekroczył próg jednego z najważniejszych pomieszczeń kompleksu, ucinając gorącą dyskusję.

– Mamy jakieś dane? To na pewno Chińczycy? Któraś... – przerwał Martin Dempsey i poderwał się z fotela w ślad za pozostałymi wojskowymi.

– Co tym razem zmalowali nasi kolorowi chłopcy? – zapytał Armitage nonszalanckim tonem.

– Panie prezydencie... – Martin Dempsey oblizał wargi. – Przed niespełną trzydziestoma minutami otrzymaliśmy meldunek o odpaleniu siedmiu rakiet balistycznych z terytorium Korei Północnej.

– Co? – zapytał Armitage.

– Rakiety zostały przechwycone przez chińskie okręty, które zajmują koreańskie wody terytorialne. Dzisiaj mieliśmy je zatopić... – dodał Dempsey.

– Chińczycy przechwycili koreańskie rakiety balistyczne? – Albert Armitage zacisnął dłonie na wysokim oparciu fotela. – Żadna nie doleciała do celu?

– Tak jest, panie prezydencie – odpowiedział Dempsey. – Chińskie Ministerstwo Obrony wydało już specjalne oświadczenie w tej sprawie. Potępiają Kima i zapowiadają wyciągnięcie poważnych konsekwencji względem reżimu w Pjongjangu. To wygląda tak, jakby spodziewali się wystrzelenia tych rakiet.

– Skurwysyny... – warknął Armitage. – Oni są teraz zbawcami koreańskich cywilów, a my zniszczyliśmy im połowę floty. Sprytnie to rozegrali.

Nikt nie odpowiedział. Pokój sytuacyjny utonął na kilkanaście sekund w całkowitej ciszy. Prezydent

wolnym krokiem obszedł fotel, odsunął go od niskiego stołu i usiadł. Chińczycy rozgrywali swoją partię niemal bezbłędnie. Był pewien, że tuż po amerykańskim ataku na flotę wywiad przekazał Kimowi informacje o załamaniu na frontach lub zbliżającej się od morza inwazji na Koreę Północną. Pozbawiony rozumu pajac uznał, że najlepszym wyjściem będzie odpalenie ocalałych z pogromu ładunków nuklearnych. Chińczycy tylko czekali, aż podłużne cygara oderwą się od ziemi. Strącając z nieba zagrożenie dla milionów koreańskich cywilów, jeszcze bardziej umocnili pozycję sprawiedliwego pokrzywdzonego.

– Co o tym sądzicie? – zapytał Armitage, podpierając się łokciem na oparciu fotela.

– Sprytne zagranie, widać, że duże straty dały im się we znaki – powiedział dowódca US Navy, admirał Steven Georgetown. – Próbują nadrabiać PR-em.

– Jednak wszyscy dobrze wiedzą, że to oni rozpoczęli inwazję na Tajwan. Już teraz są oskarżani o zbrodnie wojenne. Zbyt wiele zdjęć i filmów trafiło do sieci, impuls nie wygasił wszystkiego – dodał James Carter. – Wiarygodność informacji przekazywanych przez Pekin poleciała na łeb.

– Będą próbować się dogadać, już teraz w Departamencie Stanu urywają się telefony – do rozmowy wtrącił się milczący dotąd John Brennan. – Biden dwoi się i troi, żeby grać na zwłokę, ale nie mamy się co oszukiwać, chcą rozmawiać z panem, panie prezydencie. Nasze wojska dały im popalić.

– No właśnie, panowie. – Albert Armitage wyraźnie się ożywił. – Przedstawcie mi sytuację na Pacyfiku.

Steven Georgetown sięgnął po teczkę, która leżała przed nim na stoliku. Wyjął kilka kartek i podał je prezydentowi. Sam przewertował pozostałe dokumenty. Kilka sekund później zamknięta jużteczka spoczęła na jego kolanach.

– Wyeliminowaliśmy z walki osiemdziesiąt procent stanu północnego zgrupowania chińskiej floty. Czternaście okrętów zostało całkowicie zniszczonych, drugie tyle uległo mniejszym bądź większym uszkodzeniom. Szacujemy, że osiem jednostek może ponownie wejść do służby w ciągu dwóch–trzech miesięcy. Pełną zdolność bojową zachowało siedemnaście chińskich okrętów grupy północnej – zreferował Georgetown.

– Jakie ponieśliśmy straty? – zapytał prezydent.

– Siódma Flota pozostała nienaruszona, niestety wyeliminowano jedenaście samolotów. Podczas powrotu formacji uderzeniowej wdaliśmy się w bój spotkaniowy z chińskim dywizjonem pościgowym – odpowiedział admirał. – Walka szybko przeistoczyła się w serie pojedynków na niewielkich dystansach. Straciliśmy jedenaście Super Hornetów. Naszym pilotom udało się zestrzelić dziewiętnaście wrogich maszyn.

– Co zrobią Chińczycy? – Albert Armitage był więcej niż ukontentowany wynikiem ataku. Jedenaście straconych maszyn kosztem kilkudziesięciu wrogich okrętów wyeliminowanych z walki? Kto by się nie cieszył?

– Cała północna grupa floty rozpoczęła odwrót w stronę Tajwanu. Obserwują ich nasze satelity – odpowiedział James Carter. – Zanotowaliśmy wzrost aktywności chińskiego lotnictwa, do tej pory całej grupie towarzyszyła zaledwie jedna eskadra. Poza samolotami na „Liaoningu” oczywiście. Łącznie obserwowaliśmy około czterdziestu kilku maszyn. Teraz ta liczba się podwoiła.

– Mogą stanowić dla nas zagrożenie? – zapytał prezydent.

– Będą musieli uszczuplić stan południowej grupy oraz rzucić do walki okręty odwodowe. Bez świeżych sił nie będą w stanie utrzymać blokady wyspy – odparł bez wahania Steven Georgetown. – Największe zagrożenie będzie stanowić chińskie lotnictwo oraz baterie obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej.

– Możemy sobie z tym poradzić, dysponujemy środkami, które są w stanie zneutralizować chińskie systemy bez wchodzenia w ich zasięg – obruszył się Carter. – Chińska obrona przeciwlotnicza nie jest nie do sforsowania.

– Nie zależy nam na rzezi tylko po to, żeby zneutralizować kilka wyrzutni i radarów – powiedział Georgetown. – Chińczycy będą próbować ściągnąć nas w stronę wybrzeża. Jeśli chcą uniknąć zagłady reszty floty, połączenie sił morskich i lądowych jest dla nich jedyną opcją. Dysponują pociskami hipersonicznymi, które mogą oszukać część naszych systemów obronnych.

– Panie admirale... – przerwał mu Armitage – czy zniszczenie chińskiej floty i odblokowanie Tajwanu jest możliwe? Mając do dyspozycji te siły, którymi dokonaliśmy dzisiejszego uderzenia?

Steven Georgetown westchnął ledwie zauważalnie. Oczywiście, że VII Flota była w stanie zmieść z powierzchni oceanu resztki północnego chińskiego zgrupowania. Na dobrą sprawę, koordynując swoje działania z lotnictwem, mogli również uchronić się przed większością chińskich systemów przeciwokrętowych. Admirał wciąż jednak obstawał przy swoim. Ryzyko utraty okrętów przez VII Flotę było zdecydowanie większe w bezpośredniej bliskości chińskiego wybrzeża niż na otwartym oceanie.

– Tak, panie prezydencie. Przy prawidłowym współdziałaniu marynarki wojennej oraz lotnictwa jesteśmy w stanie wyeliminować północne zgrupowanie oraz przełamać blokadę Tajwanu – odpowiedział admirał. – Wciąż jednak uważam, że powinniśmy za wszelką cenę uniknąć zbliżania się do...

– Wystarczy, panie admirale. Dziękuję. – Armitage uniósł dłoń, co oznaczało koniec dyskusji. – Proszę przygotować odpowiednie plany, nie możemy dać im się przegrupować. Użyli siły wobec naszego sojusznika, my odpowiemy tym samym. Tuż po naszym spotkaniu zadzwonię do prezydenta Czianga, niech wie, że mamy szansę uratować Tajwan.

Wojskowi wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Chińska inwazja posuwała się do przodu z każdą godziną. Choć w wielu miejscach Pekin życzyłby sobie znacznie większych postępów, dla Kolegium werdykt był już dobrze znany. Marzenia o zepchnięciu Chińczyków do morza były nierealne.

– Panie prezydencie, obawiam się, że tajwańska obrona może się załamać mimo zdjęcia blokady – powiedział Martin Dempsey. – Walki toczą się na przedmieściach Tajpej, siły inwazyjne opanowały sporą część zachodniego wybrzeża oraz południe wyspy.

– Musimy się z nimi porozumieć, panie prezydencie. Tajwan wkrótce stanie się morzem ruin. Wykorzystajmy to, że nasza flota zadała im silny cios. Będziemy mieć dobrą pozycję w negocjacjach – dodał Brennan.

– Chcecie ich zostawić? – zapytał Armitage z niedowierzaniem.

– Nie, panie prezydencie. Tajpej dobrze wie, że na lądzie przegrali swoją partię. Jeśli przyciśniemy Chińczyków teraz, mogą pójść na ustępstwa. Jeśli zgodnie z tym, co mówi admirał Georgetown, uda nam się zniszczyć całą północną grupę floty, możemy odzyskać Tajwan bez kolejnej masakry na wyspie – kontynuował szef CIA.

– Myślicie, że Chińczycy ot tak oddadzą nam wyspę? Tylko dlatego, że zniszczyliśmy ich flotę? W Rosji stracili znacznie więcej, a walczyli do upadłego – odparł Armitage.

– Będą musieli. Inaczej cała wyspa może podzielić los, który czeka chińską marynarkę wojenną. Oni dobrze wiedzą, że teraz już nie odpuścimy – zakończył John Brennan.***

Komandor Lin Su złączył dłonie na plecach i zmierzył wzrokiem stanowisko dowodzenia. Wyszli w morze przed dosłownie kilkoma minutami. Właśnie kończyli manewr zanurzania. Pokryte dźwiękoszczelnym materiałem cygaro powoli znikało w ciemnych wodach Pacyfiku. Trzy okręty podwodne Typ-039C miały wkrótce dołączyć do dwóch innych jednostek, które trzymały się w bezpiecznej odległości od amerykańskiej flotyli.

– Komandorze! – Pierwszy oficer zasalutował, stając tuż przed Su. – Manewr zanurzenia zakończony. Sto dwadzieścia metrów, zgodnie z rozkazem.

– Dziękuję – odpowiedział Lin Su i skinął nieznacznie w stronę pierwszego oficera.

Mierzące niemal osiemdziesiąt metrów okręty były jednymi z najnowocześniejszych

konwencjonalnych podwodnych myśliwych, jakimi dysponowała chińska flota. Wyposażone w nowoczesną elektronikę, sonary oraz systemy łączności mogły niepostrzeżenie podejść większość okrętów.

Niewielka wataha dysponowała łącznie siedemdziesięcioma torpedami i pociskami przeciwokrętowymi. Jeśli operacja się powiedzie, nikt nie powinien zwrócić uwagi na samotne wilki, które skradają się do ofiary.

Lin Su zatrzymał się przy głównej konsoli. Pomost bojowy wypełniał przyjemny zgiełk pracujących na stanowiskach marynarzy. Krótkie komendy przelatywały z jednego końca mostka na drugi. Jeszcze nie musieli zachowywać absolutnej ciszy, jeszcze nie, pomyślał komandor.

– Kurs dwa dziewięć zero. Wykonać – powiedział Lin Su spokojnym głosem.

– Jest kurs dwa dziewięć zero! – zameldował marynarz, po czym wprowadził do systemu odpowiednie dane.

– Przygotować się, właśnie przechodzimy do historii.

Tajpej, Republika Chińska | 17 maja 2023, godzina 14:41

Szli już dobre kilka godzin. Zostawili za sobą spowite w czarnym dymie centrum, które najbardziej ucierpiało na początku inwazji. Kiedy pierwszy raz trafili na patrol tajwańskiej armii, omal nie rzucili się do stóp żołnierzom. Wojskowi jechali właśnie w poszukiwaniu takich jak oni, zagubionych, oszołomionych wydarzeniami ostatnich dni. Wielu ludzi wciąż nie wierzyło w to, co działo się na ich oczach. Zostawali w domach lub, co gorsza, próbowali żyć, jakby nic się nie zmieniło. Żandarmeria siłą zaciągała takich na ciężarówkę.

Tysiące cywilów były kierowane przez żołnierzy zaopatrzonych w megafony. Pochód przypominał bardziej marsz żywych trupów niż składną ewakuację jednego z największych miast Azji. Ludzie szli powoli, bez życia. Ciągnęli za sobą dziecięce wózki, walizki na kółkach, część taszczyła na plecach potężne plecaki. Zazdrośnie patrzyli na tych szczęśliwców, którzy jechali w wyładowanych aż po dach samochodach. Nie wszystkich objął impuls, to wiedzieli już od dłuższego czasu. Niektórzy próbowali płacić za miejsce w wozach, inni wygrażali pięściami. Byli też tacy, dla których odmowa była tylko pretekstem do wszczęcia bójki. Tymi natychmiast zajmowało się wojsko, kilka łuf wymierzonych prosto w tors hamowało agresję największych desperatów.

– Emily, zatrzymajmy się. Chen chyba jest głodna – powiedział Yang, odchodząc na bok. Stał przy stercie poprzewracanych koszy na śmieci i drewnianych skrzynek.

– Dobrze... – powiedziała. Wraz z Davidem zeszła na bok i usiadła na schodkach, prowadzących do zakratowanych drzwi niewielkiego sklepiku zoologicznego.

– Dasz mi butelkę? – zapytał.

– Masz. – Emily wyciągnęła przed siebie brudny plastik, wypełniony rozpuszczonym mlekiem. – Tylko nie rozlej, nie chce mi się znowu tracić czasu na szukanie kolejnej apteki.

Yang wyszarpnął butelkę z dłoni Emily znacznie silniej, niż powinien. Mała Chen, zawinięta w body stylizowane na wielkanocnego króliczka, płakała cichutko. Przyssała się do smoczka, mocno zaciskając powieki.

– O co ci chodzi, Emily? – zapytał Yang. – Od tamtego... zachowujesz się, jakbym był twoim wrogiem.

– O nic mi nie chodzi...

– To co się dzieje?

– Co się dzieje? Ty poważnie mnie o to pytasz? Może nie zauważyłeś w tym swoim idealnym, moralnym świecie, ale jest, kurwa, wojna! Będziesz musiał ubrudzić sobie ręce! – krzyknęła.

– Nie mogłem go zabić. Nie możesz mnie za to winić – odpowiedział Yang. Żołnierz, od którego dowiedzieli się o miejscu lokalizacji obozu dla uciekinierów, kilka minut błagał ich, by zakończyli jego cierpienia. Yang co chwila odciągał kurek pistoletu i celował w wykręconą bólem twarz Tajwańczyka. Nie dał rady, wypuścił broń z rąk. Nawet nie zauważył, kiedy Emily podniosła pistolet. Wystrzał wyrwał go ze szpazmów, jakby dostał obuchem w tył głowy.

– Myślisz, że mnie się to podobało? – zapytała. – Ktoś musiał to zrobić, Yang. Ty byś nad nim stał do końca świata. Nie ma już zasad, nie rozumiesz tego?

– Dlatego nas wtedy zostawiłaś? – zapytał grobowym głosem. – Dlatego na samym początku pobiegłaś na złamanie karku do tunelu? Nawet się nie obejrzałaś, gdzie jest twój syn? Córka? Nie ma już dla ciebie żadnych zasad, Emily? Żadnych?

Jej twarz skurczyła się. Yang miał nadzieję zobaczyć na niej skruchę. Zamiast tego widział tylko nienawiść. Zrozumiał, że byłaby gotowa odepchnąć Davida i zerwać się ze schodów do ucieczki. Był

dalej, byle bezpieczniej. Niemal od samego początku traktowała go jak balast.

– To nie było tak, Yang. Nie masz prawa mnie w ten sposób osądzać... – cedziła przez zęby.

– A ty? Masz prawo mnie oceniać? Dlatego, że nie zabiłem człowieka?

– On i tak był już martwy.

– Czy ty się słyszysz?

Nie odpowiedziała. Nie dlatego, że nie miała przygotowanej riposty. Jej uwagę przykuło poruszenie wśród uciekinierów. Wyraźnie przyspieszyli kroku. Walizki, które do tej pory szurały kółkami po asfalcie, przewracały się i wypadały z rąk. Kierowcy samochodów, które utknęły na drodze, zwiększyli obroty silników. Tuż obok nich przebiegło trzech żołnierzy.

– Yang, coś się dzieje.

– Widzę, zabierajmy się stąd. – Rzucił butelkę w stronę Emily. Złapała niezdarnie. – Dokończymy później.

Szli wzdłuż budynków, tuż przy samych ścianach. Nauczyli się, że środek ulicy to najbardziej niebezpieczne miejsce, w jakim mogli się znaleźć. Mała Chen na rękach Yanga rozpląkała się głośno. Kilkanaście metrów przed nimi wyrastała kolejna blokada. Dwa transportery zagradzały wylot ulicy. Żołnierze, którzy zwykle leniwie obserwowali mijający ich tłum, teraz jeden za drugim wbiegali do wnętrza kanciastych pojazdów. Yang złapał jednego z nich za ramię.

– Co się dzieje? Dlaczego uciekacie? – zapytał. Żołnierz w opadającym na oczy hełmie był kilkanaście lat od niego młodszy. Wyrwał się gwałtownym ruchem i sięgnął dłonią do wiszącego przez pierś karabinu. – Hej, hej! Chcę tylko wiedzieć, co się dzieje?

– Spieprzajcie stąd... Nalot – odpowiedział tamten i wskoczył na podnoszącą się już rampę przedziału desantowego.

– Nalot... – powiedział Yang sam do siebie. Syreny rozzwoniły się głośnym ujadaniem. Odwrócił się do syna i żony. Nienawiść zniknęła z jej twarzy. Oczy zwęziły się, usta łapczywie chwytaly każdy oddech. Przerazenie brało górę. – Biegnij! Tam, w uliczkę!

Pchnął ją z całej siły, omal nie wypuszczając Chen z rąk. Emily ścisnęła Davida za rękę i pobiegła przed siebie. Po kilku sekundach nad głowami rozerwał się potężny, rozciągnięty w czasie huk. Grzmot, który z każdą sekundą narastał, by eksplodować nagłym trzaskiem. Znała ten dźwięk, nauczyła się go rozpoznawać. Bombowce.

Opętańcze wrzaski spanikowanych ludzi utonęły w ogłuszającym huku. Emily poczuła na plecach rozlewające się gorąco. Chwilę później fala uderzeniowa cisnęła nią o chodnik. Poczuła, jak dłoń Davida wysuwa się spomiędzy jej palców.

– David! – krzyknęła, nim zapadła ciemność.

Klepnięcie, potem drugie, zdecydowanie mocniejsze. Za trzecim razem policzek zapiekł ją równie mocno jak muśnięte przez płomień plecy. Otworzyła oczy, zachłysnęła się powietrzem, płuca paliły.

– Mamo! – David przytulił się do niej, przyciskając mokrą od łez twarz do piersi. Skrzywiła się z bólu.

– Co się... Uhh! – zawyła, próbując podnieść się na łokciach. Plecy i kark pulsowały bólem.

– Spokojnie, Emily – usłyszała głos. – Mocno oberwałaś. Podmuchał cię o latarnię.

– Yang? – zapytała. Szukała go wzrokiem.

– Jestem. – Pochylił się nad nią. Twarz miał brudną od sadzy, policzek chyba rozcięty. Wyraźnie napuchł wzdłuż podłużnej rany.

– Gdzie...? – Więcej nie dała rady powiedzieć, rozkaszała się, ledwie łapiąc powietrze.

– Niedaleko Akademii Historycznej. Daleko nie uciekliśmy – powiedział, uśmiechając się krzywo. – Byłem już na skrzyżowaniu. Miałem nadzieję, że po nalocie wróci tam jakieś wojsko. Dobrze, że tego nie widziałaś, Emily.

– Nie było ich? – zapytała. W końcu udało jej się wspiąć na łokcie. Przyklejony do jej piersi David

łkał.

– Nie, ale nigdy w życiu nie widziałem tylu trupów.

Wstała. Dopiero teraz udało jej się omieść pomieszczenie wzrokiem. Musieli być w jakimś warsztacie samochodowym lub stacji kontroli pojazdów. Pod brudną od zacieków ścianą stało kilka skrzynek narzędziowych. Na podwieszanych regałach piętrzyły się butelki pełne kolorowych cieczy. Rozpoznała tylko letni płyn do spryskiwaczy, taki sam woziła w bagażniku swojego samochodu.

– Yang... – Odwróciła głowę w jego kierunku, syknęła z bólu, kark palił żywym ogniem. – Pamiętam, że byłam na chodniku, zgubiłam gdzieś Davida. Jak się tu znaleźliś... – Emily ponownie dopadł atak duszącego kaszlu.

– David mi pomógł. Straciłaś przytomność, musiałem cię tu przenieść – odpowiedział, pochylając się nad czymś. – Dobrze, że trafiliśmy na ten warsztat. Właściciel wciąż tu jest, pozwolił nam się zatrzymać na jakiś czas.

– Sam mnie tu przytaszczyłeś?

– No sam, choć w zasadzie zastanawiałem się, czy warto. Wiesz, nie ma już zasad, samoloty w każdej chwili mogły wrócić – powiedział smutno.

Nie odezwała się. Yang wstał, trzymając w dłoniach zawiniątko. Dopiero teraz usłyszała ciche kwilenie córki.

– Chen nic się nie stało. Cieszy się, że zapytałaś. – Spojrzał na nią pustym wzrokiem.

Zakazane Miasto, Pekin, Chiny | 17 maja 2023, godzina 16:05

Potał zmęczoną twarz. Bruzdy były coraz wyraźniejsze, przecinały w poprzek czoło, nadając mu starczy wygląd. Wiedział, że ma już swoje lata, ostatnia dekada dodała mu na kark dwudziestkę, jak nie lepiej. Mimo to nie myślał jeszcze o emeryturze, o nie. Tak jak przysiągł, dokończy to, co rozpoczęli jego poprzednicy. Chiny rosły w siłę od dziesięcioleci, niestrudzenie pięły się ku swojemu nowemu złotemu wiekowi. Nie tylko w dziedzinie wojskowości i gospodarki. Transformację przechodziło również chińskie społeczeństwo, coraz bardziej świadome swojego globalnego oddziaływania. Przez dekady utożsamiane z podrabianiem i kopiowaniem na potęgę, Chiny coraz częściej postrzegano teraz jako centrum innowacji oraz strategiczny punkt na handlowej mapie świata. Xi Jinping szczerze wątpił, by był jeszcze na świecie ktoś, kto wciąż kojarzył Chiny ze słowem „komunistyczne”.

Teraz wszystkie spełniające się na jego oczach marzenia mogły prysnąć niczym bańka mydlana. Amerykański atak był czymś, czego obawiał się najbardziej. VII Flota pozbawiła jego marynarke wojenną kilkunastu okrętów za jednym zamachem. Co więcej, szła na południe z zamiarem definitywnego zakończenia sprawy. Jeśli Chiny jego marzeń miały przetrwać, musiał zrobić wszystko, co w jego mocy, by zatrzymać Pacyfik dla siebie.

– Jak chcecie to zrobić? – zapytał zgromadzonych przy długim stole wojskowych. Pomysł kontruderzenia był oczywistą konsekwencją kroku, który wykonali Amerykanie. Pozostawało tylko pytanie, jak przeprowadzić atak, nie dopuszczając do ponownej masakry.

– Amerykanie dobrze wiedzą, że nasze wybrzeże jest silnie nasycone środkami obrony przeciwlotniczej i przeciwokrętowej. Dlatego trzymają się w sporej odległości, cała Siódma Flota płynie tędy. Po wschodniej stronie wysp prefektury Okinawa. Za trzy do czterech godzin powinni minąć południowy cypel – powiedział admirał Szengli, przeciągając wskaźnikiem wzdłuż mapy. – W tej sytuacji największy ciężar uderzenia będzie musiało wziąć na swoje barki lotnictwo.

– Są poza zasięgiem wszystkich rakiet, które możemy wystrzelić z lądu? – zapytał prezydent.

– Poza DF-21D, tak. Chyba że bierzemy pod uwagę głowice jądrowe... – odpowiedział Fang Fenghui.

– Nie, panie generale, broń jądrowa nie wchodzi w rachubę – odparł prezydent, spoglądając z ukosa na szefa sztabu. – Jak wygląda sytuacja z tymi zabójcami lotniskowców, o których pan wspomniał?

– Przeznaczmy cały dywizjon na zniszczenie „Ronalda Reagana”. Dwanaście pocisków. Wystarczy, że przez osłonę przedrą się cztery, a lotniskowiec pójdzie na dno – odpowiedział Fenghui.

– „Ronald Reagan” ma zapewne potężną osłonę. Cała Siódma Flota jest skupiona wokół tego okrętu – odparł prezydent.

– Zgadza się, właśnie dlatego zmodyfikowaliśmy nasz scenariusz. Proszę spojrzeć, panie prezydencie. – Dalszą prezentację ponownie poprowadził admirał Wu Szengli. Minął rozwieszoną na statywie mapę i podszedł do białej płachty, na której wyświetlany był z rzutnika aktualny obraz zmagania na Pacyfiku. – Skoro Amerykanie nie chcą się zbliżyć do wybrzeża, my będziemy musieli podejść do nich.

Obraz zmienił się, kolejna grafika przedstawiała szczegółowy plan uderzenia na amerykańskie zgrupowanie. Według wyświetlanych danych na przygotowanie skoordynowanego uderzenia potrzebowali pełnych dwudziestu czterech godzin. Admirał rozgadywał się na dobre, rysując przed oczami zgromadzonych potężny cios, jaki mogli zadać amerykańskiej marynarce. Zgodnie z przewidywaniami VII Flota powinna w ciągu najbliższej doby przesunąć się kilkadziesiąt mil na południe i próbować wejść na flankę resztek

chińskiego zgrupowania. Grupa północna była w trakcie wycofywania się ku tajwańskim wodom, by jak najbardziej oderwać się od przeciwnika.

Plan admirała zakładał jednoczesne uderzenie z lądu, powietrza i morza. Odległość amerykańskiej formacji od wybrzeża zmusiła planistów do maksymalnego wykorzystania lotnictwa i tego, co zostało z północnej grupy floty. Według admirała do wykonania zadania potrzebowali dwóch eskadr bombowców typu H-6 oraz dwóch dywizjonów maszyn wielozadaniowych. Wyposażone w pociski przeciwokrętowe dalekiego zasięgu oraz broń do walki z samolotami przeciwnika powinny być zdolne do wyeliminowania większości okrętów VII Floty, wraz z flagowym „Ronaldem Reaganem”. Ostatnim aktem kontrataku miało być skryte podejście okrętów podwodnych i odpalenie kilku salw torped, które dodatkowo wprowadziłyby chaos w szeregach przeciwnika. Przy spełnieniu wszystkich założeń pozostałości VII Floty powinny wziąć nogi za pas i zapomnieć o próbach odblokowania Tajwanu.

– Mówił pan o sporych stratach. Jeśli dobrze pamiętam, Amerykanie stracili kilka swoich maszyn dopiero podczas spotkania z naszymi eskadrami pościgowymi – powiedział Xi Jinping.

– Amerykańskie systemy obrony, zainstalowane na okrętach Siódmej Floty, przekraczają zasięgiem nasze obecne pociski powietrze–ziemia – odpowiedział Szengli. – Pierwsze rakiety będziemy mogli odpalić z odległości dwustu osiemdziesięciu kilometrów od amerykańskich okrętów. Zasięg pocisków Siódmej Floty to niemal sto kilometrów więcej. Do tego dochodzi potężne wsparcie z powietrza.

– Jakie zakładamy straty? – zapytał prezydent.

– Od trzydziestu do sześćdziesięciu procent samolotów zaangażowanych w operację, panie prezydencie.

– Proszę o liczbę, admirale. – Xi Jinping zniżył głos.

– Około setki maszyn.

Jinping wziął głęboki oddech. Każdego dnia tracili samoloty i całe kompanie ludzi. Niespełna godzinę temu dostarczono mu raport, w którym alarmowano o dwóch nalotach na bazy marynarki. Amerykanie nie próżnowali: jedna zniszczona fregata w okolicach Szanghaju, trzy doszczętnie spalone magazyny w Wenzhou. Do tego dochodziła rozmowa ministra Yi z Joe Bidenem. Amerykanie ostrzegali, że kontynuowanie inwazji na Tajwan spotka się z konsekwencjami. Ostrzeżenia traktowali jako straszaki, polityczną presję w celu powstrzymania agresywnej postawy Pekinu. Jinping wiedział, że gdyby w Białym Domu wciąż urzędowała Clinton, mogliby zająć połowę Pacyfiku, a VII Flota wciąż dokowałaby w Japonii. Czasy się jednak zmieniły, a Amerykanie ponownie przedstawili swoje stanowisko. Negocjacje? Oczywiście, nawet rokowania co do stref wpływów na Tajwanie, ale tylko pod warunkiem całkowitego wstrzymania działań wojennych i wycofania sił inwazyjnych z wyspy. Kapitulacja ukryta pod pięknym płaszczem rokowań.

– Jakie mamy szanse powodzenia? – zapytał prezydent.

– Siódma Flota wraz z towarzyszącymi okrętami to zgrupowanie liczące obecnie niemal siedemdziesiąt jednostek. Wspierana przez eskadry na Okinawie liczy ponad setkę samolotów bojowych. Spora część sił powietrznych Siódmej Floty wciąż bazuje na wyspach macierzystych lub w Korei. Niemniej w każdej chwili Amerykanie mogą rozpocząć proces przebazowywania – odpowiedział admirał. – Realny scenariusz zakłada, że powinniśmy pozbawić Amerykanów od dziesięciu do osiemnastu okrętów. Kilkanaście innych powinno zostać wyłączonych z walki, lecz nie zatopionych. Innymi słowy, dostaną dokładnie to, co zgotowali naszej flocie.

– Jeśli się nie powiedzie, stracimy resztę floty. Nie wspominając o setce samolotów. Już teraz Hindusi wysłali w morze kilkanaście swoich okrętów. To samo zrobił Wietnam. Wokół naszej szyi zaciska się pętla.

– Właśnie dlatego prezentujemy ten plan. To szansa na szybkie przełamanie impasu – odparł szef sztabu. – Kampania lądowa na Tajwanie powinna dobiec końca w ciągu najbliższych dni. Rozpoczęliśmy bombardowania w głębi wyspy, każdego dnia niszczymy najważniejsze szlaki, którymi przemieszczają się

tajwańskie wojska. Nasi żołnierze są w Tajpej, w centrum przedzieramy się do śródmieścia Taizhong. Udało nam się też przerwać obronę na południu wyspy. Amerykanie nie zdążą z odsieczą.

Prezydent ściągnął usta w kreskę. Nie mieli już wyboru, dobrze o tym wiedział. Inwazja na Tajwan była ryzykiem, które podjął całkowicie świadomie. Nawet jeśli nie wierzył w część konsekwencji, które może ze sobą przynieść. Kontrola nad technologią zimnej fuzji była cenniejsza niż flota, setki samolotów i tysiące żołnierzy razem wziętych. Dawała możliwość kreowania światowej gospodarki energetycznej. Xi Jinping nie mógł przepuścić takiej okazji.

– Czy południowa grupa floty będzie w stanie zatrzymać hinduskie i wietnamskie okręty? – zapytał.

– Tak, mamy tam silną grupę, wspieraną przez lotniskowiec oraz wydzielone siły powietrzne. Nawet jeśli zdecydowaliby się zaatakować, straty będą znacznie mniejsze niż w przypadku konfrontacji z Amerykanami – odparł admirał Szengli.

– Jesteśmy o krok od zwycięstwa, panie prezydencie – dodał Fang Fenghui.

– Możecie przeprowadzić mobilizację sił, tak żeby Amerykanie nie zdążyli się przygotować?

– Wykryją większość naszych samolotów z setek kilometrów, panie prezydencie. Będą o nas wiedzieć tak czy inaczej. Mają nad nami przewagę. Niestety, w tej bitwie będziemy musieli na chwilę wrócić do starej doktryny. Ilość jest tutaj naszym największym sprzymierzeńcem – odpowiedział szef sztabu.

Xi Jinping pokiwał głową. Siedząc beczynnym, będzie tylko obserwował, jak od północy zbliżają się Amerykanie, a rozzuchwaleni Hindusi i Wietnamczycy naciskają na jego flotę na południu. Jeśli usadzi na miejscu Amerykanów, reszta pójdzie w rozsypkę. Sam doprowadził Chiny do tego miejsca i nikt poza nim nie będzie w stanie wykonać następnego kroku.

– Kiedy chcecie przeprowadzić atak? – zapytał.

– Jutro, dokładnie o piątej po południu, będziemy mogli odpalić pierwsze rakiety – odpowiedział Fang Fenghui. Już czuł narastającą w trzewiach ekscytację. Pełnoskalowa wojna z Ameryką. Do tej pory nie mierzyli się z tak potężnym przeciwnikiem. Nawet Rosja, ze swoją determinacją i straceńczym heroizmem, nie była takim wyzwaniem.

– Dobrze. – Xi Jinping pokiwał głową. – Zróbmy to.

– Tak jest, panie prezydencie. – Fang Fenghui ukłonił się delikatnie. Admirał stojący tuż obok poszedł w jego ślady.

– Tuż po ataku chcę mieć otwartą linię z Albertem Armitage'em. Będziemy mieli do pogadania – powiedział prezydent. – Co z Koreą?

Lu Szeniu oblizwał wargi i złączył dłonie na leżącej przed nim teczce. Przez kilka sekund zbierał myśli, po czym spojrzał na Jinpinga.

– Nasi agenci są gotowi do działania, panie prezydencie. Udało nam się również dotrzeć do kilku wysokich rangą generałów koreańskiego aparatu bezpieczeństwa. Mamy potwierdzenie od wielu dowódców frontowych, są po naszej stronie – zreferował szef III Departamentu.

– Zakładam, że dalsze zwlekanie może grać na naszą niekorzyść. Nie wiemy, co jeszcze wymyśli ten idiota... – podsumował prezydent.

– Ciężko temu zaprzeczyć, panie prezydencie. – Lu Szeniu skinął głową. – Kim Dzong Un wciąż wierzy w zwycięstwo, choć szaleństwo zaczyna brać nad nim górę. Wszyscy widzieliśmy, do czego jest zdolny... Nie wiemy, jak długo można go jeszcze zwodzić, ale skoro jest gotowy do użycia broni jądrowej, w każdej chwili może zwrócić się również przeciwko nam.

– To będzie jego koniec – mruknął Fang Fenghui.

– Owszem, ale nasze szanse zmaleją – odparł wywiadowca.

– Jak wiele czasu potrzebujecie do rozpoczęcia operacji? – zapytał Xi Jinping.

– Możemy zacząć za kilka godzin. To kwestia dystrybucji rozkazów. – Lu Szeniu był pewien swoich ludzi. Operację przygotowywali całymi miesiącami, swoimi agentami infekowali koreańskie środowisko partyjne od dobrych kilku lat.

– Dobrze. Działajcie, problem Kim Dzong Una ma zniknąć raz na zawsze – powiedział prezydent. – To wszystko, panowie. Jeśli nie macie żadnych uwag, jesteście wolni.

Wojskowi wyszli. Xi Jinping wstał ze swojego miejsca i powoli obszedł stół. Zawsze to robił tuż po podjęciu ważnych dla kraju decyzji. Rytuał za każdym razem przynosił szczęście. Teraz Jinping zastanawiał się, czy dla spokoju sumienia nie obejść stołu ponownie.

K-677 „Wielkie Łuki”, Morze Wschodniochińskie | 17 maja 2023, godzina 17:47

Południowokoreańską wyspę Czedżu zostawili kilkadziesiąt mil morskich za sobą. Teraz czekał ich najtrudniejszy etap wędrówki. Przedarcie się przez VII Flotę i liżącą rany północną grupę floty chińskiej graniczyło z cudem. Głębiny przeczesywały dziesiątki sonarów i czujnych oczu poszczególnych załóg. Do celu pozostało im nie więcej jak pięćset mil. Niby niewiele, przy zwykłej prędkości mogli pokonać ten dystans w jedną dobę. Dowódca jednostki był pewien, że kluczenie między wrogimi okrętami zajmie im zdecydowanie więcej czasu.

– Komandorze. – Stiepan Ilcew, pierwszy oficer na okręcie „Wielkie Łuki”, stanął tuż obok dowódcy. Nachylił się do jego ucha. – Otrzymaliśmy nowe informacje z Władywostoku. Amerykańska Siódma Flota jest w drodze na południe. Są na wysokości Okinawy, do chińskich okrętów mają nieco ponad dwieście mil. Chińska grupa skupiła się przy północnym i wschodnim wybrzeżu wyspy. Prawdopodobnie będą chcieli wykorzystać zasięg obrony przeciwlotniczej, jaką zapewniają im systemy rozmieszczone na kontynencie.

– Dziękuję, kapitanie – odpowiedział Tamir Rogoziew. Siwe włosy wystawały mu spod oficerskiej czapki. – Mamy jakieś wieści o naszych?

– Nic, komandorze – odparł Ilcew, kręcąc przecząco głową. – Według meldunków mają skontaktować się ze sztabem, jak tylko osiągną Jilan.

– Powinni tam dotrzeć w ciągu kilkunastu godzin. Nie będzie łatwo czekać na nich bez wykrycia.

– Oni o tym wiedzą, komandorze. Mają tylko jedną szansę.

Tamir Rogoziew przytaknął. Spodziewał się, że w przypadku wykrycia i odejścia od wybrzeża grupa rosyjskich specnazowców nie będzie zadowolona. Choć wydawać by się mogło, że Rosjanie nieszczególnie przykładają wagę do życia swoich ludzi, ostatnie dziesięciolecia zmieniły wiele. Jednostki specjalne przyswoiły sobie ideały braterstwa broni jako jedne z pierwszych. Gdyby tylko Rogoziew im zezwolił, popłynęliby na Tajwan wpław. Z drugiej strony, zapewne nawet nie zapytaliby o pozwolenie.

Komandor zmierzył krokami pomost bojowy. „Wielkie Łuki” weszły do służby przed czterema laty. Okręt był najmłodszą z jednostek typu Lada. Siedemdziesięciodwumetrowe cygaro było obsługiwane przez ponadtrzydziestoosobową załogę. Tym razem poza zapasami musieli jeszcze upchnąć ośmiu komandosów wielkości szaf pancernych oraz dwa pontony motorowe złożone w niewielkich kufrach. Specnazowcy zajmowali kilka pomieszczeń na tyłach okrętu i z wyjątkiem dowódcy nie pojawiali się na pomoście bojowym. Nie wchodzili też w drogę marynarzom, co niepomiernie radowało Rogoziewa. Wszystko szło pomyślnie, co z kolei napawało komandora natarczywym niepokojem.

– Komandorze. – Stiepan Ilcew ponownie nachylił się do ucha dowódcy. – Za dwie minuty dotrzemy do punktu Golf.

– Dobrze, przygotować się do zmiany kursu – odpowiedział komandor. Stanął pewnie nad wyświetlaną na stole mapą i złączył dłonie na plecach.

– Tak jest. – Pierwszy oficer skinął głową i podszedł do marynarza siedzącego za wielkim wolantem. – Kurs dwa osiem jeden za T minus sto dwadzieścia.

– Kurs dwa osiem jeden za T minus sto dwadzieścia – powtórzył marynarz.

Podwieszony zegar odmierzał kolejne sekundy czerwonymi diodami. Rogoziew obserwował

czasomierz, spoglądając co kilka chwil na mapę. Okręt przemieszczał się systematycznie na południe. Za chwilę wykonają skręt przez lewą burtę i pójda przez jakiś czas wzdłuż południowego wybrzeża Japonii. Przeniósł wzrok na zegarek. Czas minął.

– Kurs dwa osiem jeden, wykonać – powiedział pierwszy oficer.

– Kurs dwa osiem jeden, wykonuję – odparł marynarz, przekręcając wolant. Kolumny liczb przesunęły się zgodnie z poleceniem kapitana. Okręt przechylił się nieznacznie, obierając nowy kurs. – Jest kurs dwa osiem jeden.

Stiepan Ilcew powiedział coś jeszcze do marynarza. Ten skinął głową i poprawił chwyt na wolancie. Pierwszy oficer przeszedł wzdłuż stanowisk pomostu bojowego, by ostatecznie stanąć ramię w ramię z komandorem.

– Jesteśmy na nowym kursie, punkt Foxtrot osiągniemy za cztery godziny i trzydzieści cztery minuty.

– Bardzo dobrze, dziękuję, kapitanie – odpowiedział Rogoziew spokojnym głosem. – Lubicie balet, kapitanie?

– Słucham? – zapytał Ilcew zbity z tropu.

– Balet, piękny taniec. Pamiętam, jak pewnego razu udało mi się dostać bilet w Moskwie. Teatr Bolszoi, nie widziałem w życiu nic piękniejszego, wyglądali, jakby płynęli przez powietrze.

– Niestety, komandorze. Balet nigdy nie był w kręgu moich zainteresowań.

– Cóż, teraz będzie musiał – powiedział komandor z uśmiechem.

Pierwszy oficer zmarszczył brwi i spojrzał na dowódcę.

– Jeśli mamy dopłynąć na Tajwan, nagimnastykujemy się nie mniej niż tancerze.

Południowe przedmieścia Tajpej, Republika Chińska | 17 maja 2023, godzina 19:08

W okolicy Akademii Historycznej dotarli zdecydowanie spóźnieni. Według harmonogramu powinni być już w drodze do Jilan od dobrych trzydziestu minut. Preiss był coraz bardziej poirytowany. Mieli jednego rannego, który naszprycowany stymulantami kuśtykał w takim samym tempie jak reszta cywilów. Połowa czuła się źle, niektórzy mieli już gorączkę. Pozbyli się części lekarstw, a większość aptek była już splądrowana do ostatniej szuflady. Od dłuższego czasu niemal nie wyróżniali się w wynędzniałym tłumie. Gdyby zrzucili ochraniające ich pancerze, jako żywo przypominaliby kolejną gromadę uchodźców, którym udało się wydostać z piekła Tajpej. Preissa cieszyły już teraz tylko dwie rzeczy. Bołkoński, który mimo przestrzelonego na wylot tyłka był w stanie sam się poruszać, oraz rozpościerający się kilkaset metrów przed Preissem parking.

Akademia Historyczna miała być dla nich tylko jednym z punktów na mapie, krótkim przystankiem na drodze do Jilan. Sytuacja zmusiła ich jednak do całkowitego przewartościowania dotychczasowego planu. Pełen samochodów, furgonetek i ciężarówek plac był teraz dla nich kwestią życia i śmierci. Nie mieli najmniejszych szans dotrzeć na miejsce o własnych siłach. Nie z rannym i chorymi.

Preiss cofnął się kilka kroków. Wciśnięty w wąską uliczkę między budynkami oddział wodził lufami we wszystkich kierunkach. Tutaj obecność tajwańskiego wojska i policji przechodziła najśmielsze oczekiwania. Zupełnie jakby spodziewano się desantu chińskich spadochroniarzy na parking akademii.

– Orchidea do wszystkich – powiedział Preiss, opierając się o szary od brudu tynk. – Parking jest około sześciuset metrów przed nami. Będziemy musieli zdobyć przynajmniej dwa pojazdy, by móc ruszyć dalej. Antracyt Jeden, weźmiecie swoją grupę i przejdziecie na parking. Antracyt Dwa, będziecie ich ubezpieczać. Reszta zostaje tutaj. Zgłosicie się, jak tylko uda wam się zdobyć pojazdy. Będziemy czekać przy stawie, dwieście metrów za akademią.

Jastrzębski odebrał paczkę z danymi. HUD wewnątrz jego hełmu natychmiast wyświetlił miejsce spotkania.

– Przyjąłem, Orchidea – odpowiedział Jastrzębski. – Jaki mamy czas na wykonanie zadania?

– Do oporu, musicie zdobyć te pojazdy. To nasza jedyna szansa, żeby wyrwać się z tego zadupia – odparł Preiss.

– Sporo tam ludzi – dodał „Padre”. – Ciężko nam będzie przejść niezauważonym przez ten młyn.

– Właśnie dlatego zrzucacie sprzęt. Idziecie w cywilnych ciuchach – powiedział Preiss. – Robi się coraz ciemniej, wykorzystajcie naturę. Technologia nie zawsze będzie po naszej stronie.

Przez kilka sekund łącze milczało. Jastrzębski przygryzł wargę. Egzoszkielec i sprzęt dawały im niewiarygodną przewagę nad przeciwnikiem. Mogli pozostać niezauważeni, przemieszczać się szybciej, mieć większą wiedzę. Jastrzębski dopiero teraz pomyślał o tym, ile razy technologia uratowała im życie. Szczególnie w ostatnich dniach.

– Wykonać – dodał Preiss, patrząc na zastygłe postaci komandosów.

– Tak jest – odpowiedzieli.

Powietrze pachniało zgnilizną i popiołem. Delikatna mżawka tylko dodawała powietrzu zatechłego zapachu. Do tej pory Jastrzębski nie zwracał na to większej uwagi. Filtry zainstalowane w hełmie nie tylko neutralizowały gazy bojowe i chroniły przed dymem, niwelowały również drażniące nos zapachy, co pozwalało swobodnie przemieszczać się przez najbardziej cuchnące pomieszczenia.

Obie sekcje szybko pozbyły się pancerzy i egzozkietów. Wymienili się na mundury z cywilami, a sprzęt oddali pod opiekę kolegów z oddziału. Wyposażeni tylko w ukryte pod połami kurtek i marynarek karabiny mieli przedostać się na okupowany przez setki pojazdów parking.

– Orchidea do Antracytów, jak mnie słyszycie? – zapytał Preiss.

– Na pięć – odpowiedzieli zgodnie.

– Przyjąłem, Antracyty. Ruszajcie.

Padający z nieba kapuśniak szybko zmoczył włosy i odsłoniętą skórę. Schodzili powoli, ostrożnie stawiając stopy na grząskim gruncie. Porastające przedgórza lasy pełne były omszałych kamieni i wystających ponad poziom gruntu korzeni. Wystarczył moment nieuwagi, by pójść w ślady dyplomaty z usztywniaczem zrobionym z połamanego taboretu.

Niewielkie osiedle, odległe zaledwie kilkadziesiąt metrów od ściany lasu, skupiało się wokół centralnego budynku o czerwonym dachu z blachy. Kościół wyglądał na dawno nieremontowany, pomalowana na brązowo elewacja szcerniała do reszty. Choć budowla czasy świetności miała już za sobą, zamontowany na niewielkiej wieżyczce dzwon tukał się niemiłosiernie. Jastrzębski był pewien, że murowana dzwonnica za chwilę się rozleci.

Polak dotknął przyczepionego do klapy marynarki przycisku nadawania. Słuchawka wciśnięta w ucho piknęła, oznajmiając rozpoczęcie połączenia.

– Antracyt Jeden do Antracyta Dwa, przejdziemy wzdłuż ściany lasu. Lepiej, żeby żaden patrol się na nas nie natknął.

– Przyjąłem, Antracyt Jeden, będziemy szli zaraz za wami – odpowiedział „Padre”. – Dron powinien już nas obserwować. Preiss będzie nam przekazywał informacje o patrolach.

– Jakoś lepiej się czułem, mając na sobie szpej.

– Wracamy do korzeni – odparł „Padre”. – Kiedyś nie było egzozkietów i technologii jak z „Gwiezdných wojen”. Jak wstępowałem do wojska, bajerem były celowniki noktowizyjne do Beryli.

– Orchidea do Antracytów – usłyszeli przez delikatne szumy głos Preissa. – Patrol tajwańskiej policji jedzie w górę osiedla. Macie sześć minut, by zejść z pola widzenia. Trzymajcie się skraju lasu. Broń schowana, powtarzam, trzymajcie broń schowaną.

– Antracyt Jeden, przyjąłem. Jak liczny jest patrol? – zapytał Jastrzębski.

– Dwa radiowozy, obraz termiczny pokazuje sześciu ludzi.

– Przyjąłem, Orchidea. Kontynuujemy.

Zeszli na pustą ulicę. Niedaleko, przed wejściem do kościoła, zebrał się niewielki tłumek. Kilkadziesiąt kobiet i kilku mężczyzn, głównie w starszym wieku, wspinało się po szerokich schodach do wnętrza świątyni.

Przeskoczyli na drugą stronę drogi i zniknęli między niskimi domami. Puste okna z szarymi zasłonami nie sprawiały przyjaznego wrażenia. Bardziej przypominały fawele na przedmieściach Rio de Janeiro niż peryferie tajwańskiej stolicy. Zatrzymali się po trzech minutach, jazgot kogutów na dachach radiowozów był coraz bardziej słyszalny. Stali w wąskim przejściu między lasem a posesjami. Jastrzębski wychylił się zza rogu i spojrzał na ulicę. Radiowozy przetoczyły się powoli, przesuwając światła szperaczy po fasadach domów. Odczekali dodatkową chwilę, aż dźwięk syren wyraźnie przycichł.

Jastrzębski wymienił kilka krótkich zdań z „Padre”. Oba trzyosobowe zespoły ruszyły przed siebie, osłaniając się wzajemnie. Do wielopasmowej drogi numer dziewięć mieli około osiemdziesięciu metrów. Niebo było już niemal całkowicie czarne, kierunek ocenili tylko po jasnej łunie, unoszącej się nad ścianą lasu. Wciśniętą między pogórza drogę zapychały tysiące samochodów i Bóg jeden wie ilu uciekinierów. Część uchodźców była na tyle zdesperowana, że rezygnowała z dalszej drogi i próbowała szukać schronienia na osiedlach takich jak to. Sekcje Radegastu co chwila mijały powłóczące nogami grupki ludzi.

Zatrzymali się na skraju lasu. Setki osób zajmowało pobocza i zatoczki autobusowe. Wielu ludzi było

tak wyczerpanych, że zasypiało niemal na stojąco.

W podartych, brudnych ubraniach specjalsi błyskawicznie wtopili się w tłum uciekinierów. Nikt nie zwracał uwagi na trzymane za połamane kurtek dłonie. Kilka razy minęli patrole policji lub żandarmerii, które koordynowały ruch rzeszy ludzi. Wężyk samochodów zajmował dwa pasy. Jastrzębski obejrzał się przez ramię. Światła aut zaczynały się daleko na zachodzie, a kończyły za odległym o kilkadziesiąt metrów zakrętem. Wolał nawet nie myśleć o tym, ile ofiar pochłonąłby pojedynczy nalot.

– Przeciśniemy się tutaj – powiedział do pozostałych. Wskazał na wąską kładkę, która górowała nad autostradą. Budynki Akademii Historycznej majaczyły niedaleko. Mrok był coraz gęstszy, poza reflektorami samochodów i rozstawionymi co kilkadziesiąt metrów lampami na statywach okolicy nie rozświetlał nawet schowany za chmurami księżyc.

– Prowadź – odpowiedział „Padre”. Deszcz był coraz mocniejszy. Komandos wtulił głowę między ramiona, chroniąc szyję przed zimnymi kroplami.

– Na kładce jest kilku żandarmów, ale puszczają ludzi jak leci. Nie powinno być problemów.

– Przyjąłem.

Dotarcie do wąskich schodów zajęło im dobre kilka minut. Tłum gęstniał z każdą minutą, Tajpej musiało doszczętnie opustoszeć. Jastrzębski szedł tuż za plecami idących przed nim ludzi. Mężczyzna trzymający na rękach dziecko wyraźnie utykał. Dopiero kiedy Jastrzębski spojrział w dół, zauważył, że człowiek przed nim nie ma butów. Mętne światło dobiegające na kładkę wystarczyło, by zobaczyć zdartą do żywego mięsa skórę.

Kilku wojskowych, którzy kontrolowali ruch na kładce, przesuwano światło latarek po twarzach mijających ich ludzi. Jastrzębski nie miał pojęcia, czemu miała służyć ta kontrola: nie zaglądali do plecaków, toreb, po prostu świecili po twarzach. Zacisnął powieki, gdy snop białego światła prześlizgnął się po jego oczach. Minął żandarmów i zamrugał kilkakrotnie. Wzrok szybko zaadaptował się do ciemności.

Po drugiej stronie kładki ścisk wydawał się jeszcze większy. Wyglądało na to, że akademicki parking przekształcono w tymczasowe obozowisko. Zeszli na poziom ulicy i podążyli za sporą grupką, która oderwała się od tłumu. Kręty chodnik prowadził przez szpaler wysokich krzewów, pomiędzy którymi tu i ówdzie rozstawiono ławki dla spragnionych cienia wykładowców. Na parking wyszli chwilę później.

Niewielka przestrzeń, która w normalnych warunkach mogła pomieścić nie więcej niż kilkadziesiąt samochodów, była zapchana ponad setką różnego rodzaju pojazdów. Jastrzębski mijał niskie sedany, sportowe monstra warte setki tysięcy dolarów i kampery, które najbardziej przykuwały wzrok komandosa.

– Busy, tam na trawie – powiedział „Padre”, zrównał się z Jastrzębskim i skinął głową w stronę oświetlonego łuną skweru.

– Mhm, widzę. Dobra, to bierzmy się do roboty – odparł Jastrzębski. – Antracyt Dwa, weźcie tego białego, my zajmiemy się tym obok.

– Przyjąłem.

Oba zespoły precyzyjnie przeszły przez tłum i zbliżyły się do zrytego kołami skweru. Jastrzębski rozejrzał się na boki, sprawdzając otoczenie. Ludzi było pełno, większość na szczęście na tyle przerażona, że w ogóle nie zwracała na nich uwagi. Kręcili się nerwowo w miejscu, palili papierosy, wymieniali głośne uwagi. Wiele osób spało w samochodach, niektórzy z braku schronienia skupiali się pod drzewami, przykryci folią termiczną lub własnym odzieniem. Przez chwilę Jastrzębski stał, patrząc na pogrążonych w strachu Tajwańczyków.

– Hej, wiem, o czym myślisz – usłyszał głos „Padre”.

– My ich po prostu okradniemy. – Jastrzębski wzruszył ramionami.

– Lepiej my ich niż oni nas. Co ci mam powiedzieć? – zapytał „Padre”. – Musimy to zro...

– Wiem, zrobimy to i spierdalajmy z tej wyspy.

Yang przysypiał. Karmił Chen rozpuszczonym mlekiem, ale ilekroć córka przysysała się do smoczka, powieki Yanga nabierały ciężaru kowadeł. Sen musiał go w końcu przemóc, usłyszał odgłos upadającej na beton butelki. Spał mięśnie, by nie wypuścić Chen z rąk. Emily wiedziała, że mąż jest na granicy wytrzymałości. Położyła Davida spać na kawałku suchej trawy pod drzewem i podeszła do Yanga.

– Daj mi ją, spróbuj się przespać – powiedziała spokojnie. Nienawiść, którą czuła do niego od dłuższego czasu, gdzieś uleciała. Może był to wynik tego, że uratował jej życie podczas bombardowania? Opiekował się nią, gdy dochodziła do siebie w warsztacie, a potem wyręczał w większości obowiązków. Dzięki niemu dotarła aż tutaj, daleko od centrum miasta. Prawie nie słyszała już wybuchów, tylko te samoloty, jakby nigdy nie lądowały.

– Przejdę się, zobaczę, co z busami. Lepiej mieć je na oku – odpowiedział Yang, przecierając oczy. Emily kołysała już małą Chen, zawiniętą w koc.

– Na pewno? Tamten facet wyglądał na cholernie nakręconego. Jeszcze pomyśli, że chcesz mu go ukraść – odpowiedziała Emily.

– Daj spokój, pozwolił nam jechać. – Yang wstał i ziewnął przeciągle. – Zaraz wracam.

Emily skinęła głową. Gęsta korona drzewa dawała schronienie przed siąpiącym z nieba deszczem. Yang postawił kołnierz kurtki, którą zabrał z warsztatu, i poszedł wzdłuż krawężnika wyznaczającego kraniec parkingu. Tylko kilka samochodów ściśniętych na niewielkiej przestrzeni miało uruchomione reflektory. Łuna autostrady ledwie tu docierała, większość samochodów tonęła w lepkim mroku nocy.

Yang otarł mokrą od deszczu twarz. Kilka zaparkowanych jeden obok drugiego busów stało na trawie między drzewami. Minął pierwszy z pojazdów. Mieli jechać białym, pamiętał to. Próbował też zapisać w pamięci numery rejestracyjne, ale zapomniał o tym już kilka minut po rozmowie z otyłym kierowcą. Wszedł między pojazdy i zamarł.

Kierowca busa leżał między samochodami. Nad ciałem stało trzech mężczyzn z bronią w ręku. Opuszczone lufy błyskawicznie zogniskowały się na Yangu.

– Ani drgnij – usłyszał. – Nie ruszaj się i nic nie mów. Krzykniesz, dostaniesz kulkę. – Angielski napastnika był czysty jak liza. Yang nie był w stanie rozpoznać akcentu. – Jeśli zrozumiałeś, kiwnij głową.

Potulnie skinął potwierdzająco. Wyprzedzając żądania, uniósł dłonie na wysokość barków.

– Odwróć się i klękaj – powiedział jeden z trójki mężczyzn, po czym zrobił krok w stronę Yanga. Wylot lufy niemal dotknął czoła.

– Proszę... Nie...

– Zamknij się. Na kolana.

Yang poczuł, jak z ust wydobywa mu się cichy skrzek. Błoto mlasnęło na boki, gdy upadł na kolana. To koniec, pomyślał. Poczuł silne uderzenie w plecy, wyobraźnia podsuwała obraz rozrywanych mięśni i strzaskanych kości. Upadł na twarz, natychmiast wykręcono mu ręce, a nadgarstki ściągnięto boleśnie trytytką.

– Leż spokojnie, zaraz nas tu nie będzie. – Mężczyzna pochylił się tuż nad jego uchem. – Ponieważ stosujemy zasadę ograniczonego zaufania, jestem zmuszony cię zakneblować.

Poderwał do góry głowę Yanga i przeciągnął przez otwarte usta kawałek materiału. Związany na potylicy uniemożliwiał krzyk, ofiara mogła łapać powietrze płytkim oddechem, nic więcej.

Chwilę później Yang usłyszał, jak silnik busa ożywa z terkotem. Pojazd wycofał się z trawnika i wjechał na wąski przesmyk między zaparkowanymi pojazdami. Yang uderzył czołem w błoto. Był

wściekły. Szarpał się, próbował przegryźć knebel, wszystko na nic. Zrezygnowany przewrócił się na plecy i zamknął oczy, krople deszczu jedna po drugiej rozbijały się o spuchniętą twarz.

– Ale z ciebie skurwiel... – powiedział „Padre”. Siedział w kolejnym busie, tuż za Jastrzębskim. Od dobrych kilku minut czekali na możliwość wyjazdu z parkingu. Żandarmeria kierująca ruchem co jakiś czas wstrzymywała pełną sznur samochodów, dając możliwość włączenia się do ruchu.

– Wolałbyś go zastrzelić? – zapytał Jastrzębski, wrzucając pierwszy bieg. Bus ruszył powoli do przodu.

– No nie... Ale chłop mało się nie zesrał, jak kazałeś mu się odwrócić.

– Nic mu nie będzie. Kierowcy też nie. – Czuł się źle. Choć wiedział, że wymagało tego od niego powodzenie operacji, wyrzuty sumienia brały górę. Kradzież obu busów mogła oznaczać czyjąś śmierć. Najpewniej obu kierowców, ich pasażerów i tego nieszczęśnika, który przypadkiem napatoczył się podczas otwierania zamka.

– Orchidea do wszystkich, wyjechaliście z parkingu? – usłyszeli głos Preissa. Był zdyszany, musieli pokonać z cywilami kolejny kilometr do punktu zbornego.

– Antracyt Jeden do Orchidei, właśnie wyjeżdżamy. Czekamy na swoją kolejkę – odpowiedział Jastrzębski.

– Przyjąłem, Antracyt Jeden. Czekam na meldunek.

– Jesteście w punkcie zbornym, Orchidea? – zapytał Polak.

– Zostało nam dwieście trzydzieści metrów. Będziemy tam za kilka minut – odparł Preiss.

– Przyjąłem, Orchidea. Właśnie wyjeżdżamy na autostradę. Nie jestem w stanie oszacować, jak długo będziemy jechać do stawu. – Jastrzębski skręcił maksymalnie kierownicą. Na jeden z pasów autostrady wtaczał się niemal minutę. Korek przesunął się w ślimaczym tempie. – To jakiś koszmar...

– Będziemy na was czekać. Do Jilan zostało nam trzydzieści cztery kilometry. Bez odbioru.

Jastrzębski spojrział na wskaźnik paliwa. Miał jedną trzecią baku, w normalnych warunkach wskazówka zapewne nawet by nie drgnęła. Teraz obawiał się, że przy tym tempie jazdy paliwa może zabraknąć, zanim dotrą do najbliższego zakrętu.

– No dobra – powiedział sam do siebie. – To jedziemy.

Yang poczuł silne szarpnięcie za ramię. Otworzył oczy, odruchowo próbując zasłonić twarz przed ciosem. Ramiona ani drgnęły, skrępowane na plecach paliły żywym ogniem. Nie miał pojęcia, jak długo spał.

– Hej, panie! – usłyszał ojczytą mowę. – Żyjesz pan?

– Co? – zapytał Yang.

– No, to dobrze – odpowiedział mężczyzna. Yang rozpoznał ten ciężki głos. Kierowca busa. Czyli jednak żył, nie zabili go. Zapewne musieli go po prostu ogłuszyć, pomyślał Yang. – Po busie ani śladu. Nigdzie nie jedziemy. Zgnijemy w tej pierdolonej dziurze.

– Moja żona? Dzieci? – zapytał. – Pomoże mi pan z rękami?

– Znalazłem, dzieci całe – odpowiedział kierowca. Wyjął z kieszeni scyzoryk i zaczął piłować grubą trytytkę.

– A żona? Emily? – zapytał.

– Hm, cóż, z tego, co wiem, poszła załatwiać dla was transport. Całkiem niezła jest, więc długo nie będzie szukać.

Taizhong, Republika Chińska | 18 maja 2023, godzina 09:37

Centrum handlowe można byłoby uznać za opuszczone, gdyby nie kilka pojazdów i ciała, które zalegały przed głównym wejściem. Do tej pory próbowali wykonać dwa szturm, oba zostały odparte. Wysokie apartamentowce i biurowce, okalające kilkunastopiętrowy budynek centrum handlowego Sogo, były doskonałymi punktami obserwacyjnymi. Tajwańczycy, którzy bronili centrum, mieli stąd idealny widok na jedną z głównych arterii komunikacyjnych miasta. Trzy pasy w każdą stronę i prosta droga. Gorzej być już nie mogło. Tylko podczas ostatniego szturm kompania Chona straciła pięciu ludzi i kolejnego bewupa. Została mu mniej niż połowa stanu. Bez uzupełnień mogli nie przetrwać kolejnej próby zdobycia Sogo.

Zajmowali jeden z budynków elitarnej szkoły podstawowej w Taizhong. Kompleks stykał się bezpośrednio z wielopasmowym skrzyżowaniem, na którego środku ziała potężna dziura po półtonowej bombie LT-3. Rozrzucone siłą eksplozji samochody i drzewa wystawały z witryn pobliskich sklepów oraz punktów usługowych. Kilkaset metrów dalej nad miastem górowała bryła Sogo.

Chon stał na bieżni boiska. Zryta pociskami nawierzchnia jeszcze dymiła. Zewsząd dobiegały odgłosy narastającej kanonady. Gdzieś od strony centrum dolatywały gromy detonujących pocisków artyleryjskich. Taizhong atakowało łącznie pięć brygad, niemal cały korpus. Walki trwały tutaj od pierwszego dnia inwazji. Po ponad trzech dobach od wylądowania na tajwańskich plażach zdobyli zaledwie piętnaście kilometrów terenu. Walczyli o każdy budynek, każde skrzyżowanie i most. Biorąc pod uwagę intensywność walk i determinację przeciwnika, wielu sztabowców uznałoby takie zdobycze za niebywały sukces. Dla Chona były to po prostu pięćdziesięcioprocentowe straty, nic więcej. Kapitan nie pamiętał, kiedy ostatni raz pomyślał o zwycięskiej potyczce czy bitwie jako o zdobyczy. Każdy kolejny dzień był tylko i wyłącznie stratą.

– Kapitanie. – Podoficer łączności zszedł po rampie ZBD i stanął tuż obok Chona. – Dowództwo batalionu prosi na odprawę.

– Dziękuję, zaraz dołączę – odpowiedział Chon. Począł, aż łącznościowiec odwrócił się i zniknie we wnętrzu wozu dowodzenia.

Sztab batalionu mieścił się tuż za kompleksem szkoły, w częściowo naruszonym budynku Citi Banku. Chon przeszedł przez boisko. Kilkunastu żołnierzy korzystało z chwili odpoczynku na niskich trybunach. Dla snajperów byłiby łakomymi kąskami, na szczęście drony nieustannie przepatrywały kamerami okoliczne budynki. Termowizja sprawdzała się w miejskich warunkach doskonale.

Chon minął oba skrzydła szkoły i przeszedł przez bramę na wąską uliczkę. Tutaj, tuż przy murze okalającym kompleks, ustawiono w równym rzędzie sanitarki i wozy zabezpieczenia technicznego. Szczególnie narażone na uszkodzenia, opuszczały bezpieczne kryjówki tylko w wyjątkowych sytuacjach.

Budynek sztabu ulokowano w typowym biurowcu klasy A. Miał szklany front, wzmocniony stalowymi kolumnami i wykończeniami. Większość szklanej fasady wałała się po chodniku i ulicy. Wokół biurowca spadło przynajmniej kilkanaście pocisków. Kapitan minął wartowników i wszedł do środka. Parter zajmowały stanowiska planistyczne i łączności. Logistycy biegali to w jedną, to w drugą stronę, przekazując meldunki pomiędzy pionami. Chon był pewien, że dla nich chaos jest naturalnym habitatem. Pokierowany do skarbcza posłusznie zszedł klatką schodową dwa piętra niżej. Salę odpraw znalazł bez problemu.

– Kapitanie Chon. – Major skinął głową na powitanie. – Proszę siadać, za chwilę zaczynamy.

Chon rozejrzył się po skarbcu, na środku którego złożono kilka palet. Na prowizorycznym stole rozciągnięto znaną nie wiadomo gdzie mapę miasta. Major musiał zauważyć zakłopotanie podkomendnego.

– Myślę, że ten milion dolarów będzie w sam raz. – Dowódca batalionu wskazał palcem owiniętą strzechem paletę.

Chon posłusznie usiadł na pakunku. Spomiędzy porwanej folii wysypało się na beton kilkadziesiąt zielonych banknotów. Major wydawał się to całkowicie ignorować, sam deptał po przynajmniej kilkunastu tysiącach dolarów.

– Myślę, że możemy zaczynać – powiedział, gdy do skarbcza weszło jeszcze dwóch oficerów.

Chon kojarzył tylko jednego. Wysoki jak na Chińczyka mężczyzna o nieco europejskich rysach zsalutował słuźbiście. Dowódca plutonu zwiadu. Chon już wiedział, że odprawa będzie dotyczyła kolejnego szturmu.

– Oficerowie, jak dobrze wiecie, poprzednie dwa szturmy na Sogo zakończyły się porażką. Sztab brygady uznał, że dalsze ataki nie przyniosą pożądanego skutku, a doprowadzą do kolejnych bezsensownych strat – zaczął major. – Za godzinę zacznie się ostrzał artyleryjski w sektorze między ulicami Huamei, Mingji oraz skwerem Guankian. Tuż po ostrzale nalot rozpocznie klucz myśliwców. Ich zadaniem jest zniszczenie Sogo oraz sąsiadujących budynków, zajętych przez siły tajwańskie.

– Zmasowany ostrzał z ziemi i powietrza w centrum miasta? – zapytał jeden z dowódców kompanii.

– Zgadza się, kapitanie – odpowiedział major. – Jeśli martwi się pan o cywilów, to wiemy, że nie ma ich już na zagrożonym obszarze. Nawet gdyby ktoś tam został, to problem jest po tajwańskiej stronie.

– Nie zauważyłem, żeby cywile stanowili tu jakikolwiek problem... – mruknął dowódca zwiadu. Oficerowie wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Plotki o mordach, gwałtach i rabunkach rozprzestrzeniały się wśród żołnierzy lotem błyskawicy.

– Jakie będą nasze zadania? – zapytał Chon.

– Rusza cała brygada, ostrzał pójdzie nie tylko na nasz sektor. To uderzenie ma nam otworzyć drogę do ścisłego centrum. – Major uderzył pięścią w środek mapy. – Nasz batalion, po zabezpieczeniu gruzów Sogo, ma zatrzymać się na skwerze Guankian i zabezpieczyć przylegające bezpośrednio budynki. Spodziewamy się silnego oporu ze strony Tajwańczyków. Zwiad meldował o wielu pojazdach opancerzonych oraz czołgach. Możemy się również spodziewać dronów lądowych.

Przez skarbiec przetoczył się cichy pomruk. Stworzone wspólnie z amerykańskimi inżynierami drony bojowe były zmorą miejskich batalii. Szybkie, wyposażone w trzydziestomilimetrowe działko automatyczne i dwie wyrzutnie niekierowanych rakiet mogły w kilka chwil zatrzymać perfekcyjnie zaplanowaną ofensywę. Przemykały między wąskimi ulicami i porzuconymi wrakami jak duchy. Potrafiły również nakierować na chińskie oddziały ogień artyleryjski i naprowadzane laserowo rakiety. Chon spotkał się z nimi dopiero raz i to mu wystarczyło.

– Nie możemy ostrzelać skweru? Może przy okazji rozwalą drony – rzucił tyczkowany dowódca zwiadu. Oficerowie zgromadzeni wewnątrz skarbcza pokiwali z aprobatą.

– Nie. – Major pokręcił przecząco głową. – Na skwerze znajduje się muzeum Block, obiekt o dużym znaczeniu kulturowym. Sztab brygady wydał jasne rozkazy, nie bombardujemy obiektów sakralnych oraz budynków związanych z kulturą i dziedzictwem narodowym.

Zwiadowca fuknął pogardliwie i pokręcił głową. Dowódca batalionu wydawał się nie zwracać na oficera większej uwagi.

– To będzie kosztowało krew naszych ludzi – mruknął Chon. Major zmierzył go palącym wzrokiem. Nie odpowiedział na zaczepkę.

– Skoro nie ma pytań, przejdźmy do szczegółowych rozkazów – powiedział, przenosząc spojrzenie na mapę.

Nieco ponad pół godziny później Chon ponownie stanął na rampie swojego ZBD. Siedem wciąż sprawnych bewupów stało przytulonych do muru okalającego szkołę. Większość kompanii siedziała oparta o gąsienice lub gawędziła zbita w niewielkie grupki. Kapitanowi zostało sześćdziesięciu ludzi zdolnych do walki. Tym razem mieli zdobywać ruiny. Może kanonierzy i lotnicy uchronią jego żołnierzy przed nadchodzącą masakrą.

Zauważyli go, gdy zbliżał się do pojazdów. Siedzący wstali, ci, którzy byli pogrążeni w rozmowie, skinęli z szacunkiem głowami. Wielu z nich prowadził jeszcze przez syberyjską tundrę, potem wspólnie chłodzili spalone perskim słońcem karki. Teraz ledwie trzymają się nogach, mniej niż dwieście kilometrów od ojczystego kontynentu.

– Spocznij – powiedział do nich, unosząc dłoń. – Ruszamy, za dwadzieścia minut pójdzie artyleria i lotnictwo.

Nie mieli do niego żalu, jako dowódca kompanii musiał prowadzić swoich ludzi w bój, niezależnie od humorów, sytuacji i stanu oddziału. Dobrze wiedzieli, że gdyby tylko mógł, cofnąłby ich wszystkich aż do portu.

Chon usiadł na swoim miejscu i założył słuchawki, wpiął się do systemu i przełączył na kanał kompanii.

– Klinga do wszystkich. Otrzymaliśmy nowe rozkazy – powiedział, wciskając przycisk nadawania. – Za osiemnaście minut rozpocznie się ostrzał sektora Alfa przez artylerię oraz lotnictwo. Celem jest całkowite zniszczenie Sogo oraz budynków zajmowanych przez tajwańską armię. Naszym zadaniem będzie zabezpieczenie rumowiska oraz skweru Guankian.

– Tu Sztych Jeden, przyjąłem – odpowiedział porucznik Kim. – Mamy jakieś dane na temat tajwańskich sił przy skwerze?

– Sporo piechoty oraz możliwe pojazdy. Prawdopodobnie natkniemy się również na drony lądowe.

Tak jak się spodziewał, kanał wypełniły stłumione przekleństwa. Nikt z zewnątrz ich nie słuchał, mogli pozwolić sobie na odrobinę pozaregulaminowego luzu. Mieli kilkanaście minut, wystarczająco dużo, by przygotować ogołoconą kompanię do kolejnej bitwy.

Chon spojrział na ekran taktyczny. Poszczególne kompanie rozwijały się do ataku. Jego ludzie byli gotowi już po kilku minutach. Drugi z monitorów, podzielony na kilka sekcji, przedstawiał obraz z kamer na samym pojeździe. Chon stuknął palcem w prostokąt. Ekran wypełnił się powiększeniem widoku z kamery zainstalowanej na wieżyczce. Ostrzał miał się zaraz zacząć.

Pierwszy pocisk rozbił się o róg ostatniego piętra Sogo. Fontanna odłamków rozleciała się na wszystkie strony w szarej kurzawie. Kilka sekund później do celu dotarły kolejne ładunki. Ostatnie ocalałe szyby wyleciały z framug. Tysiące szklanych odłamków posypało się na ulice i wypalone do gołego metalu wraki samochodów. Wystarczyło kilka chwil, by monumentalna bryła centrum handlowego zniknęła w rosnącej chmurze ołowianego pyłu. Dziesiątki pocisków salwa za salwą równały z ziemią piętra Sogo i okolicznych budynków. Chon przełączył obraz, pojazdy ustawiły się już do wyjazdu na skrzyżowanie. Żołnierze, skuleni przy burtach, podzieleni na plutony i drużyny oczekiwali na rozkaz do szturm.

Wtedy pojawiło się lotnictwo. Cztery samoloty JH-7 przeleciały wysoko nad Taizhong. Kilkanaście kierowanych satelitarnie bomb oderwało się od pylonów. Potężne ładunki opadały, minimalnie redukując trajektorię.

Gdyby żołnierze Chona nie byli ukryci za burtami bewupów, podmuch zapewne zwałiłby ich z nóg. Trzy bomby trafiły prosto w zrujnowany ostrzałem kikut Sogo. Oddalony o dwieście metrów od pozycji Chona budynek dosłownie zniknął. Pojazd zadrżał, fala uderzeniowa omal nie zdarła wieżyczki. To, co jeszcze kilka chwil temu było resztkami centrum handlowego, teraz zamieniło się w setki tysięcy fruujących na wszystkie strony odłamków. Kratownice, marmurowe bloki, przęsła i elementy

wyposażenia złożyły się jak domek z kart. Podobny los spotkał kilkanaście mniejszych budynków, okalających kolosa. Zmiecione rozprężonym powietrzem zostały zdmuchnięte z powierzchni ziemi, jedynie zarys fundamentów i dopalające się ruiny świadczyły o tym, że w tym miejscu w ogóle coś stało.

– Tarcza do wszystkich, nacierać. – Chon usłyszał głos dowódcy batalionu. – Powtarzam, nacierać.

– Przyjąłem, Tarcza, Klinga wykonuje – odpowiedział kapitan. – Klinga do wszystkich, ruszamy.

Oznaczać cele dla pojazdów. Uważajcie na drony.

Wyjechali na wielopasmówkę, przecięli szeroki trotuar, piechota rozbiegła się w tyralierę. Poszczególne plutony kryły się wzajemnie, podchodząc do zadymionego skrzyżowania. Chon szczerze wątpił, żeby w Sogo i okolicy ktokolwiek pozostał przy życiu. Jeśli nie został zabity przez bomby, z pewnością zginął pod gruzami.

Szło gładko, pierwsze kilkadziesiąt metrów pokonali bez jednego wystrzału. Sylwetki ginęły w pyłe, żołnierze przeskakiwali od osłony do osłony. Bewupy terkotały gąsienicami, charakterystyczny klekot co chwila przerywał metaliczny jazgot miażdżonej karoserii. Jeśli jakimś cudem gdzieś wśród zgliszczy czaił się wróg, właśnie otrzymał doskonałą okazję na rewanż. Cztery bewupy rozwinęły się w równej linii na szerokości drogi. Kilkadziesiąt metrów wyżej pojawił się ostatni z dronów zwiadowczych kompanii. Wyglądało na to, że poza pożarami i oznaczonymi markerami Chińczykami w okolicy nie było żywego ducha.

– Sztych Cztery do Klingi. Zrównaliśmy się z Sogo, budynek jest całkowicie zawalony. Brak oznak obecności przeciwnika – usłyszał w słuchawce.

– Przyjąłem, Sztych Cztery, zabezpieczcie boczne uliczki – powiedział Chon.

– Wykonuję, Klinga.

– Tarcza do Klingi. Za trzy minuty dołączy do was pluton uzupełnień z Piętnastej Zmechanizowanej.

Wypoczęta jednostka, dopiero wczoraj dotarli na wyspę – odezwał się dowódca batalionu. – Zostaną włączeni w strukturę waszej kompanii, przesyłam dane komunikacyjne.

– Tarcza, tu Klinga, przyjąłem. Odbieram paczkę. – Kapitan, zdziwiony tak niespodziewanym wsparciem, wcisnął guzik odbioru. Chwilę później na liście podległych jednostek pojawiły się cztery kołowe pojazdy ZBL-09 oraz ponad trzydziestu ludzi. Przełączył się na kanał kompanii. – Klinga do wszystkich, za niecałe trzy minuty dołączy do nas wsparcie w postaci plutonu zmechów. Przyjadą od strony szkoły. Sztych Dwa, przejmą wasz sektor na prawej flance. Pojedziecie nowym szlakiem, równoległe do nas, ulicą Lane 480 Haumei. Spróbujcie znaleźć przejazd przez rumowisko, zabezpieczycie nam lewą flankę.

– Przyjąłem, Klinga – odpowiedział dowódca drugiego plutonu.

– Klinga do wszystkich, zatrzymać się do czasu dołączenia wsparcia i rotacji plutonów – dodał Chon.

Bewupy zatrzymały się kilka sekund później. Część przytuliła się do podziurawionych fasad budynków i zwałów gruzu. Dwa stanęły pośrodku wielopasmówki, kryjąc kanciaste kadłuby za wrakami samochodów. Zwały gruzu i poskręcane metalu zasypywały niemal każdy centymetr drogi, ledwo widzieli asfalt. Chon co kilka chwil przełączał się na termowizję, fale pyłu uniemożliwiały komfortową obserwację dziennymi przyrządami. Gdyby stał na zewnątrz, nie dojrzałby czubka własnego nosa.

– Klinga, tu Karwasz Trzy, wjeżdżamy na skrzyżowanie. Piechota idzie za pojazdami – powiedział dowódca plutonu zmechanizowanego.

– Witamy w Klindze, Karwasz Trzy – odpowiedział Chon. – Przejmiecie sektor Sztychu Dwa. Wykonać.

– Przyjąłem, Klinga, Karwasz Trzy wykonuje.

Byli dobrze wyszkoleni. Dwa transportery zwinnie meandrowały między zgliszciami. Kolejne dwa trzymały się kilkanaście metrów z tyłu. Piechota sprawnie przesuwała się z miejsca na miejsce. Wciąż nie natknęli się nawet na ślad przeciwnika. Sztych Dwa wycofał się na skrzyżowanie i po kilku minutach zajął wyznaczoną pozycję. Mogli ruszać dalej.

Przyczajone plutony ruszyły przed siebie. Minęli właśnie zgłiszcza Sogo. Pluton Karwasz Trzy chciał się wykazać, pewnie dlatego kilku żołnierzy wysforowało się do przodu. Chon spojrział w ekran, byli dobre kilka metrów przed transporterami, wiedział, że biegną do przewróconego na bok autobusu. Wiedział też, że jeśli wróg jest w okolicy, nie dobiegną. Wystrzelona gdzieś spomiędzy gruzów rakietą detonowała kilka kroków przed Chińczykami. Trzy skulone postaci zniknęły w chmurze dymu.

– Klinga do wszystkich. Przeciwnik przed nami, powtarzam, przeciwnik przed nami. Atakować – powiedział Chon.

– Klinga, tu Karwasz Trzy, jesteśmy pod silnym ostrzałem, straciłem kontakt z grupą zwiadu – zameldował dowódca plutonu.

– Już po nich, Karwasz Trzy. Namierzajcie wroga, będziemy przekazywać koordynaty do mózdzierzy – odpowiedział kapitan. Widział już zdecydowanie za wiele, by przejąć się śmiercią kilku ludzi, z którymi nie zamienił ani słowa.

Chwilę później kolejne smugi ręcznych granatników przeciwpancernych przebiły się przez kurzawę. Większość rozbijała się o resztki elewacji i gruzy. Niekierowane ładunki miały ich bardziej nastraszyć, niż wyrządzić realną szkodę. Piechota Chona rozbiegła się za osłony. Nie widzieli przeciwnika, kapitan był pewien, że po drugiej stronie sytuacja wygląda tak samo. Powietrze i ziemia były wciąż nagrzane, obserwacja termiczna mogła zawodzić. Wyteżył wzrok, by wśród dziesiątków ogni wyłapać ludzkie kształty. Pierwszą grupkę zlokalizował niecałe pięćdziesiąt metrów przed ich pozycjami. Drużyna piechoty okopała się w gruzach jednego z budynków za Sogo.

– Klinga do wszystkich. Przeciwnik na pozycji delta trzy trzy, tango dziewięć jeden. Uważajcie na lewą flankę, Szytch Jeden. – Chon oznaczył przeciwnika i przekazał dane do komputera Kima.

– Szytch Jeden, przyjąłem. Mocno nas przycisnęli. Przekażemy koordynaty plutonowi wsparcia – odpowiedział Kim.

– Przyjąłem, Szytch Jeden. Nie wychylajcie się, przeciwnik jest pięćdziesiąt metrów od was.

Chon widział, jak żołnierze Szytchu Jeden kulą się za hałdami gruzu i wrakami. Co chwila któryś wychylał się zza węgła i puszczał krótką serię w stronę przeciwnika. Starcie nie było intensywne, obie grupy ostrzeliwały się z niewielkiego dystansu, nikt nie wykonywał żadnych gwałtownych ruchów.

Granaty mózdzierzowe spadły jednocześnie, gdy grupka kilku Tajwańczyków przeskakiwała od okna do okna. Doskonale wiedzieli, jak zachowywać się w mieście. Pierwsza salwa zmiotła połowę ludzi, nim reszta zorientowała się w sytuacji, a druga salwa zakończyła żywot niepełnej drużyny. Kanonada nieznacznie ucichła.

– Klinga do Szytchu Jeden, przeciwnik zlikwidowany. Możecie ruszać.

– Szytch Dwa do wszystkich! Jesteśmy pod ciężkim ostrzałem! – Chon usłyszał krzyk dowódcy drugiego plutonu. Przesunął obiektyw kamery na pozycje ostrzeliwanego plutonu.

Było źle. Chon zagryzł wargi. Wysłany równoległą drogą pluton wpadł w krzyżowy ogień. Odgryzali się, ale to przeciwnik rozdawał karty. Jeśli szybko nie otrzymają wsparcia, Szytch Dwa może wkrótce przestać istnieć.

– Klinga do Szytchu Dwa. Spróbujcie oderwać się od przeciwnika, powtarzam, oderwać się od przeciwnika. Wysyłam wsparcie! – krzyknął Chon. – Klinga do Szytchu Cztery, wyślijcie jedną drużynę na pozycje Szytchu Dwa. Przebijcie się przez rumowisko. Wejdziecie przeciwnikowi na dupę.

– Przyjąłem, Klinga, wysyłam wsparcie – odpowiedział porucznik.

Kilku żołnierzy oderwało się od swoich pozycji. Wspinaczka po gruzach Sogo była równie niebezpieczna co starcie z Tajwańczykami. Wśród zasnuty dymem rozpadlin wciąż tliły się pożary. Przejsie bez zranienia graniczyło z cudem.

Szytch Dwa trzymał się resztkami sił. Co prawda plutonowi udało się oderwać nieco od przeciwnika,

ale o skoordynowanym odwróceniu nie mogło być mowy. Dziewięciu żołnierzy wsparcia wspinało się na potężną hałdę pogiętej stali. Skakali jak kozice. Wdrapawszy się na szczyt, znaleźli dogodnie miejsce do ostrzału, nie wszyscy mieli jednak szansę otworzyć ogień. Zdmuchnięta salwą niekierowanych rakiet trójka żołnierzy zniknęła wśród żelastwa. Pozostali zdążyli rzucić w stronę wroga granaty.

Dron wyjechał z wąskiej uliczki. Głowica natychmiast namierzyła skradających się od flanki Chińczyków. Salwa rakiet trafiła z morderczą precyzją. Chwilę później odezwało się działko automatyczne. Trzydziestomilimetrowe pociski bez trudu przebijały się przez kratownice. Poszarpane ciało chińskiego żołnierza potoczyło się w dół gruzowiska. Granaty rozerwały się wśród ukrytych Tajwańczyków. Krzyki bólu mieszały się z hukami wystrzeliwanych co chwila pocisków. Piątka chińskich żołnierzy cofnęła się nieco i próbowała zrobić jeszcze większe koło. Jeśli uda im się mocniej przycisnąć Tajwańczyków, Szytych Dwa będzie mógł z powodzeniem się wycofać.

Dron przejechał między tajwańskimi pozycjami i puścił krótką serię w stronę ZBD. Pociski zarykoszetowały na przednim panczerze pojazdu. Druga seria trafiła wycofującego się powoli bliźniaczego bewupa. Boczny pancierz nie wytrzymał trafienia. Cztery przestrzeleniny rozjarzyły się gorącą czerwienią. Wszyscy piechurzy walczyli na ulicy, tajwańskie pociski trafiły w pustkę. Gdyby spotkały się z ciałem, przedział desantowy zamieniłby się w rzeźnię. Kierowca skoczył do tyłu na pełnym gazie. ZBD zniknął za wielką hałdą dymiących zgłiszczy. Kolejna salwa. Rakiety ze świstem rozerwały się między walczącymi, odłamki szarpały ciała, wbijały się w płyty balistyczne.

– Anakonda do Klingi, zbliżamy się do pozycji Szytych Dwa. Za dwie minuty wejdziemy na tyły Tajwańczyków – powiedział dowódca plutonu zwiadu. Chon wstrzymał powietrze, porucznik wiódł ze sobą kilkunastu doskonale wyposażonych i wyszkolonych ludzi.

– Klinga do Anakondy. Będziecie w stanie wyeliminować przeciwnika? – zapytał.

– Właśnie do tego zmierzamy. Bez odbioru.

Szytych Dwa solidnie obrywał, piątka żołnierzy wsparcia ostrzeliwała się nieustannie z Tajwańczykami, zmuszając ich do rozdzielenia się. Nie było chwili bez rykoszetującej po gruzach serii lub detonującego w chmurze pyłu granatu. Zwiadowcy zbliżyli się od zachodu. Celnie ulokowana z odległości kilkudziesięciu metrów głowica kumulacyjna rozerwała drona na kawałki. Działko umilkło, oderwane siłą eksplozji od kadłuba pofrunęło wysoko w górę. Do gry weszli pojedynczy zwiadowcy, którzy z morderczą precyzją eliminowali kolejnych obrońców. Myśliwy zamienił się w zwierzynę. Okrążeni Tajwańczycy zaczęli wpadać w panikę, strzelali na oślep. Nie minęło kilkadziesiąt sekund, jak nad zrujnowanym kwartałem zapadła martwa cisza.

– Szytych Dwa do Klingi, udało nam się oderwać od nieprzyjaciela. Dostaliśmy wsparcie...

– Anakonda, odwalili kawał dobrej roboty – powiedział Chon, wchodząc porucznikowi w słowo.

– Tak jest, Klinga, zwiadowcy zabezpieczają skrzyżowanie. Za chwilę będziemy gotowi do dalszej drogi – odparł dowódca Szytych Dwa.

– Przygotujcie się do ataku na skwer Guankian. Tam wciąż może być nieprzyjaciel – odparł Chon. – Anakonda, zgłoś się.

– Klinga, tu Anakonda, zgłaszam się – uszu kapitana dobiegł znudzony głos zwiadowcy.

– Dziękuję.

– Nie ma sprawy, Klinga. Ruszajcie dalej i dajcie im popalić. Jakbyście trafili na problem, będziemy gdzieś w pobliżu.

Tajpej, Republika Chińska | 18 maja 2023, godzina 12:03

Amerykańskie uderzenie dawało nadzieję. Chińska flota poniosła dotkliwe straty i została zmuszona do odwrotu. Waszyngton wywiązywał się ze swojej roli i parł naprzód. Nie zahamowało to jednak ofensywy na lądzie. Chińczycy walczyli zaciekle, nie pozwalali odetchnąć obrońcom. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były istnym piekłem na ziemi. Tracili miasto za miastem, ofiary wśród cywilów liczone w dziesiątkach tysięcy, rannych było kilka razy tyle. Miliony uciekinierów parły na wschód wyspy, ale Cziang wiedział, że to niczego nie zmieni. Najnowsze raporty mówiły o wysuniętych grupach zwiadowczych, które dotarły już do Jilan i większości miast na wschodzie wyspy. Nie było dokąd uciekać.

– Panie prezydencie, można? – zapytał szef sztabu, generał Yen Ying.

– Tak? Słucham? – Cziang spojrział na generała. Zamyślił się tylko na kilka sekund. Ying patrzył na prezydenta wyczekująco.

– Wciąż jest szansa, panie prezydencie, możemy przenieść...

– Nie! – zaprotestował stanowczo. – Gdzie mnie przeniesiecie? Do kolejnego bunkra? W góry? Co to da? Chińczycy dotrą tam dzień później, najwyżej dwa. Nie, generale, zostanę w Tajpej, tu jest moje miejsce.

– Oczywiście, panie prezydencie – odpowiedział szef sztabu. Skłonił się nieznacznie, po czym sięgnął po szklanekę wody.

– Mamy jeszcze jakieś szanse? – zapytał prezydent.

Generałowie popatrzyli po sobie. Druzgoczący atak na północną grupę chińskiej floty dawał płonne nadzieje. Nawet gdyby Amerykanie jeszcze dzisiaj dopłynęli do tajwańskich wybrzeży, przeciwnik kontrolował zbyt duży obszar, by teraz odpuścić. Dalszy opór był tylko odraczaniem nieuniknionego.

Bronili się dzielnie, Szósty Korpus rozbudował linię obrony w Tajpej i na wolnych obszarach północnego Tajwanu. Uzupełnienie strat nie stanowiło problemu, prężnie działający system rezerw dosyłał na front kolejne setki żołnierzy. Problemem stawała się jednak logistyka i zaopatrzenie. Tajpej było brane w kleszcze, wiele linii transportowych zostało przerwanych, te, które wciąż były kontrolowane przez armię, całkowicie zapychali cywile. W samym mieście broniono już głównie gruzów. Na północy Tajpej Chińczycy zdobyli dzielnicę Szilin i Luzhou, po czym oparli się o linię obrony wzdłuż autostrady numer jeden. Na zachodzie nie było lepiej, część miasta znana jako Nowe Tajpej znajdowała się pod pełną kontrolą sił inwazyjnych od dobrych kilku godzin. Meldunki, jakie docierały z zajętego przez wroga obszaru, jeżyły włosy na głowie. Obozy internowania, przejściowe miejsca koncentracji, przymusowe prace przy grzebaniu zabitych i odgruzowywaniu zawałonych budynków były zaledwie ułamkiem treści, jaką zawierały raporty.

Pozostała część wyspy radziła sobie podobnie. W centrum Chińczycy naciskali już na śródmieście Taizhong, jednej z największych metropolii na Tajwanie. Tajpej straciło kontrolę nad całym zachodnim wybrzeżem, obrońcy byli coraz bardziej spychani w głąb wyspy, często walki toczyły się już w terenach górzystych. Przeniesienie bitew na wschód wydawało się tylko kwestią czasu.

– Samemu nie obronimy wyspy. Wiedzieliśmy to od pierwszego dnia wojny – powiedział minister obrony Kuang Chi. – Jednak wsparcie ze strony Amerykanów może zmienić losy tej wojny. Wystarczył jeden dzień, by zniszczyć większą część chińskiej floty na północy. Dostaliśmy informacje o pierwszych nalotach na porty i obiekty na chińskim wybrzeżu, jeszcze dzisiaj mogą się rozpocząć uderzenia na chińskie pozycje na Tajwanie – wyliczał minister.

– Naloty to za mało, żeby zahamować Chińczyków – zaproponował Kim-Kuo. Kilku wojskowych i

doradców pokiwało głowami, popierając ministra. – Bliski Wschód pokazał nam, że tylko połączone działania wojsk lądowych i lotnictwa mogą zmieniać bieg wojen. Poza tym skąd pewność, że Chińczycy nie przygotowują właśnie kontruderzenia?

– Skoro tak dobrze orientuje się pan w sztuce wojennej, może sam pokieruje pan naszymi wojskami? – zapytał Chi.

– Panie ministrze, pan dobrze wie, że bez wsparcia Amerykanów na lądzie nie wygramy tej batalii.

– Przebijają się przez chińską flotę, mogą dotrzeć do wyspy w ciągu dwóch dni.

– Chińczycy nigdy im na to nie pozwolą...

– Nikt nie będzie się ich pytał! – krzyknął Kuang Chi. – Nie wiem, czy jest pan świadom, ale w morze wyszły właśnie floty Indii i Wietnamu, jak pan myśli, jaki kurs obrały? Chińczycy zaczynają dostrzegać, że ich plan trzeszczy w szwach. Hindusi nie muszą nawet odpalać rakiet, wystarczy, że będą trzymać w szachu południową grupę chińskiej floty. Pekin w końcu zmięknie, kilka lat temu już to przerabialiśmy.

– Panowie... – Cziang uniósł nieznacznie dłoń. Żyłasta ręka zawisła kilkanaście centymetrów nad blatem jajowego stołu.

Prezydent przez krótką chwilę milczał, wpatrzony w drżącą dłoń. Czas zaczynał zbierać swoje żniwo. Kadencja odcisnęła na nim swoje piętno, nie chciał, by jego rządy zapamiętano jako ostatnie w historii republiki. Był skłonny rozpocząć rozmowy pokojowe z Pekinem, zbyt wiele się naczytał, zbyt wiele zdjęć i filmów widział w ciągu ostatnich dni. Nie chciał skazywać swojego narodu na dalsze cierpienia.

– Panie generale – zwrócił się bezpośrednio do szefa sztabu – czy dalsza walka ma jakikolwiek sens?

– Panie prezydencie, to, co mówi minister obrony, nie jest pozbawione sensu. – Szef sztabu powoli cedził słowa. – Nie wiemy, jak zareaguje Pekin, gdy na niebie pojawią się amerykańskie samoloty. Być może skłoni to Chińczyków do rozmów pokojowych, w których będziemy mieć cokolwiek do powiedzenia. – Generał zrobił krótką pauzę. – Musimy być tego świadomi, jeśli ułożymy się z Pekinem teraz, nie będziemy mieć żadnych praw. Zrobią z nas drugi Tybet, jeśli nie gorzej.

– Popieram generała, panie prezydencie – dodał minister spraw wewnętrznych Jack Woo. – Chcąc uratować ten kraj, będziemy musieli się bronić do końca.

– Jeśli Pekin nie ugnie się pod amerykańskimi bombardowaniami... – zaczął prezydent. Nie musiał kończyć. Wszyscy jak jeden mąż pokiwali głowami. Nie było nad czym dyskutować. Chińczycy byli zdeterminowani, musieli liczyć się ze stratami, jakie poniosą, walcząc na dwa fronty. By zająć wyspę, byli w stanie poświęcić dziesiątki tysięcy istnień. Dominacja na Pacyfiku była tego warta, wiedziała to każda ze stron. – Stać nas na taką ofiarę?

– Amerykanie mogą odwrócić los wojny. Powinniśmy trzymać się na pozycjach tak długo, jak to możliwe – stwierdził minister obrony. – Co powiemy naszym dzieciom, kiedy zapytają, dlaczego zniszczyliśmy wyspę?

– Jeśli damy się wszyscy zabić, nie będzie dzieci, żeby zadać to pytanie – odparł Kim-Kuo. – Panie prezydencie, musimy zdawać sobie z tego sprawę, nie wygramy tej wojny.

Cziang złączył dłonie na wysokości ust. Nigdy nie stał przed równie trudnym wyborem. Dalsza walka oznaczała tylko kolejne ofiary, zniszczenia i brak nadziei na zwycięstwo. Minister Kim-Kuo miał rację, Amerykanie są za daleko, by mogli rzeczywiście zmienić losy wojny. Rozumiał, dlaczego Kuang Chi tak bardzo wzbraniał się przed rozpoczęciem rozmów. Studiował swojego przeciwnika latami. Raporty, które otrzymywali przez ostatnie dni, tylko potwierdzały jego przypuszczenia. Złożenie broni może równać się eksterminacji, co działo się już teraz, setki cywilów umierało z wycieńczenia i ran. Chińscy sanitariusze ograniczali się tylko do przykrywania zwłok prześcieradłami, plastikowe worki przeznaczono dla poległych żołnierzy.

Cziang wiedział, jaki ma przed sobą wybór. Albo pozwoli zginąć narodowi w walce, albo zmusi go do zgięcia kolan. Tak czy siak, najprawdopodobniej czekała ich zagłada.

– Panie generale. – Cziang ponownie zwrócił się do szefa sztabu. – Jak długo jesteśmy jeszcze w

stanie wytrzymać?

– Dwa dni, może trzy, jeśli będziemy dobrze wykorzystywać nasze atuty, a Chińczycy uderzą tam, gdzie im pozwolimy – odpowiedział Yen Ying. – Chińczycy się wykrwawiają, może i mają na wyspie niemal dwieście tysięcy żołnierzy, ale ich rezerwy topnieją w oczach.

– Zupełnie jak nasze... – mruknął Kim-Kuo. Szef sztabu nie odpowiedział, zmierzył oponenta mroźnym spojrzeniem.

– Panie prezydencie, być może Tajpej upadnie, być może zostanie nam tylko skrawek wolnej ziemi na wschodzie wyspy. Ale jeśli uda nam się go utrzymać do czasu przybycia Amerykanów, warto jest zapłacić za to najwyższą cenę. – Yen Ying mówił powoli, tak by do uszu słuchaczy dotarło znaczenie każdego słowa. – Jeśli zaczniemy rozmawiać teraz z najeźdźcą, moglibyśmy równie dobrze nigdy nie sięgać po broń.

– Dwa dni – powiedział Cziang. – Tyle potrzebują Amerykanie?

– Tak jest, panie prezydencie. – Szef sztabu skinął potwierdzająco głową.

Prezydent odchylił się w fotelu. Jeśli miał umierać, chciał zrobić to na własnych warunkach. Nie klęcząc przed monumentem Czang Kaj Szeka, w oczekiwaniu na śmiertelny cios kata.

– Po zakończeniu odprawy połączcie mnie z Białym Domem. Osobiście chciałbym utwierdzić prezydenta Armitage’a w naszej niezłomności – powiedział wreszcie. – Musi wiedzieć, że liczymy na ich pomoc i że potrzebujemy jej jak najszybciej.

– Oczywiście, panie prezydencie. – Generał Ying nie potrafił ukryć triumfalnego uśmiechu. – Powiadomię również Siódmą Flotę o najważniejszych celach na wyspie. Muszą wiedzieć, co bombardować.

– Dziękuję, panie generale – odpowiedział prezydent. – Czy to wszystko? Mamy kraj do obronienia.

Wojskowi oraz ministrowie popatrzyli po sobie wyczekująco, wyglądało na to, że decyzja została podjęta. Powoli zaczęli wstawać od stołu.

Czen Bian, szef Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, zmarszczył brwi, widząc na ekranie laptopa najświeższego maila. Otworzył wiadomość. Zaledwie kilka linijek tekstu, wstrzymał oddech, czytając kolejne zdania.

– Panie prezydencie... – powiedział nieśmiało, nie odrywając wzroku od komputera. – Wygląda na to, że coś wydarzyło się w Korei Północnej.

– Słucham – odparł Cziang i wskazał na Biana nerwowym ruchem dłoni. – Proszę mówić.

– Otrzymaliśmy meldunek o walkach w okolicach pałacu w Pjongjangu. Ktoś zaatakował siedzibę Kim Dzong Una, i to nie są Koreańczycy...

Wiadomości TVN24 | 18 maja 2023, godzina 14:49

Prezydent Albert Armitage potwierdził w swoim dzisiejszym wystąpieniu, że tak długo jak chińskie wojska będą prowadzić działania zbrojne na Tajwanie, USA nie zaprzestaną operacji przeciwko chińskiej flocie. Prezydent Armitage podkreślił, że Ameryka nie może opuścić swojego sojusznika, szczególnie w tak czarnej dla jego kraju godzinie. Amerykańska marynarka wojenna oraz lotnictwo będą kontynuować natarcie tak długo, aż Pekin ustąpi lub wyjdzie z propozycją rozmów pokojowych. Albert Armitage zaznaczył, że rozmawiał dzisiaj z prezydentem Cziangiem i jest pod wielkim wrażeniem ducha walki tajwańskiego narodu. Powiedział również, że gdyby teraz demokratyczny lud amerykański pozostawił Tajwańczyków samym sobie, byłaby to największa porażka Zachodu w historii. Po wystąpieniu prezydenta na pytania dziennikarzy odpowiadał oficer prasowy, nie udało się jednak uzyskać informacji dotyczących ewentualnej operacji lądowej na Tajwanie ani potwierdzenia, że amerykańskie lotnictwo rzeczywiście przeprowadziło ataki na suwerennych terytoriach Chińskiej Republiki Ludowej.

Swoją konferencję prasową przeprowadził również minister spraw zagranicznych Chińskiej Republiki Ludowej Wang Yi. Amerykański atak na flotę nazwał barbarzyńskim i zdradzieckim. Zaprzeczył również doniesieniom o domniemanych zbrodniach wojennych, których mieliby dopuścić się chińscy żołnierze na cywilach podczas walk na wyspie. Minister Yi zapowiedział, że Chiny nie zaprzestaną działań wojennych na Tajwanie do całkowitej kapitulacji i rezygnacji prezydenta Czianga ze sprawowanej funkcji. Jak powiedział minister podczas wystąpienia, Ameryka nie może prowadzić swojej imperialnej polityki kosztem wszystkich innych narodów świata. Jeśli prezydentowi Albertowi Armitage'owi wydawało się, że Chiny będą beczynnienie przyglądać się łupieżczej polityce Waszyngtonu, to należy powiedzieć, że był w błędzie. Yi wezwał również prezydenta USA do wycofania sił z Morza Wschodniochińskiego oraz porozumienia się z Indiami oraz Wietnamem, które również wysłały swoje okręty w morze. Ostrzegł, że w przeciwnym razie Siódmą Flotę może spotkać ten sam los co tajwańską marynarkę wojenną.

Wciąż nie udało się potwierdzić informacji o walkach w Pjongjangu. Według niepotwierdzonych źródeł nieznana do tej pory grupa uzbrojonych osób miała wdrzeć się do pałacu prezydenckiego Kim Dzong Una. Nieoficjalnie mówi się o próbie zakończenia wojny przez uderzenie sił specjalnych Korei Południowej w samo serce reżimu. Bardziej radykalne teorie wskazują na zamach stanu, przeprowadzony przez grupę sfrustrowanych wojskowych, którzy uznali wojnę z Koreą Południową za przegraną. Mieliby oni wydać rozkaz likwidacji Kim Dzong Una i powołać Radę Ocalenia Narodowego, która w krótkim czasie powinna wybrać tymczasowy rząd. Wciąż nie możemy jednak potwierdzić żadnej z tych wersji. Będziemy informować państwa na bieżąco na temat rozwoju sytuacji na Pacyfiku oraz w Korei Północnej. Dla TVN24 – Ludmiła Gajda, Warszawa.

Prowincja Anhui, Chiny | 18 maja 2023, godzina 15:56

Okolicę porastały głównie gęste, pamiętające ostatnich cesarzy lasy. Prowincja pełna była wąwozów, jarów i naturalnych barier, które doskonale sprawdzały się jako kamuflaż. Nie przez przypadek Czternasty Specjalny Dywizjon Raketowy bazował właśnie tutaj.

Pułkownik Daiczeng zmierzył długimi krokami swój gabinet. Ze względu na wysoki priorytet jednostki za punkt dowodzenia musiał mu służyć barak, jeden z tych, jakie często widywano w bazach jednostek ekspedycyjnych na Bliskim Wschodzie. Mobilność była, poza siłą ognia, głównym atutem dywizjonu. Wystarczył jeden telefon, by już kilka minut później kilkusetosobowa załoga wraz z pojazdami była gotowa do drogi.

Spojrzał przez panoramiczną szybę na sztab dywizjonu. Kilkanaście stanowisk komunikacji i naprowadzania, wszystko podzielone na sektory poprzecinane wszechobecnymi ekranami. Wrócił na swoje miejsce i spojrzał na ekran komputera. Od południa nie otrzymał żadnych nowych wytycznych. Jednostka była postawiona w stan pełnej gotowości bojowej od dobrej doby. Wszystko zaczęło się tuż po amerykańskim ataku. Pułkownik przewidywał taki rozwój wydarzeń od pierwszego dnia inwazji na Tajwan. Zbyt dobrze znał Amerykanów, pamiętał miesiące spędzone na szkoleniach, konferencjach i sympozjach organizowanych na amerykańskich uczelniach.

Telefon na biurku rozdzwonił się jak opętany. Daiczeng sięgnął po słuchawkę.

– Pułkownik Daiczeng – powiedział.

– Sztab do Rawelinu. Nowe rozkazy, kod autoryzacyjny bravo delta yankee trzy siedem dziewięć jeden zulu gamma – usłyszał głos dyspozytora po drugiej stronie linii.

Pułkownik zmarszczył brwi. Nie zdziwiła go nazwa kodowa jednostki, szybko wstukał kod do komputera i potwierdził. Spodziewał się, jaki komunikat ukaże mu się na ekranie.

– Rawelin wykonuje – odpowiedział pułkownik.

– Czekać na dalsze dyspozycje. – Piknięcie oznajmiło zakończenie połączenia.

Daiczeng poprawił okulary i przyjrzał się krótkiemu rozkazowi. Kod autoryzacyjny wprowadzony do programu szyfrującego przekonwertował ciąg liczb i liter na jednozdaniową dyspozycję.

Szybko przekazał otrzymany rozkaz do stanowisk dowodzenia. Na namierzenie lotniskowca USS „Ronald Reagan” mieli tylko kilka minut. Po skalibrowaniu satelitów pozostanie już tylko czekać.

USS „Ronald Reagan”, Morze Wschodniochińskie | 18 maja 2023, godzina 16:18

Powietrze zadrżało z gorąca. Kolejny Super Hornet wystrzelił do przodu i oderwał się od pasa startowego. W kolejce już ustawiały się następne. Obsługa biegała we wszystkich kierunkach, kolorowe kamizelki mieniły się w oczach niby w kalejdoskopie. Chińczycy nie dostosowali się do amerykańskich żądań. Waszyngton nie miał wyboru, rozkaz do rozpoczęcia operacji powietrznej nad samą wyspą spłynął do admirała niespełna pół godziny temu. Szerszenie po raz kolejny miały udowodnić swoją wartość. Dowódca VII Floty, admirał Joseph Kinkaide, z dumą przyglądał się drapieżnym kształtom myśliwców. Uśmiechnął się na samą myśl o laniu, jakie sprawią Chińczykom nad Tajwanem. Dni bezkarnego bombardowania poszły w zapomnienie.

Osobiście obejrzał tylko jeden start. Razem z oficerami pokładowymi zanurzył się we wnętrzu lotniskowca i przemierzył korytarze prosto do centrum dowodzenia. Pomieszczenie, wypełnione monitorami i marynarzami, wydawało się idealnie zgranym organizmem.

– Sir! – Jeden z oficerów stanął tuż obok admirała i zasalutował. – Sto pięćdziesiąta czwarta i sto czterdziesta siódma eskadra w powietrzu. Trzysta dwudziesta trzecia właśnie rozpoczyna procedurę startową.

– Bardzo dobrze, Ben. Chcę mieć wszystkie eskadry w powietrzu – powiedział admirał, wskazując na błękitne niebo. – Chińczycy z pewnością będą próbowali się odgryźć. Za kilkanaście minut mogą mieć na ogonie pościg. Chcę mieć na taką okazję odpowiednie argumenty.

– Tak jest, sir! – odpowiedział oficer.

– Co z resztą okrętów? Poza ostatnim kontaktem z chińską fregatą cisza? – zapytał admirał, odwróciwszy się w stronę podkomendnego.

– Żadnych alarmów, sir – potwierdził oficer. – Wygląda na to, że Chińczycy skupili się na jak najszybszym złamaniu oporu Tajwańczyków na wyspie. Ich flota znajduje się w większości na północnych wodach przybrzeżnych. Dotarły do nich cztery dodatkowe okręty, dwa niszczyciele i dwie fregaty. Północna grupa chińskiej floty to obecnie dziewiętnaście gotowych do walki okrętów, kilka innych jednostek jest uszkodzonych. Mamy nad nimi ogromną przewagę.

Admirał Joseph Kinkaide zmierzył oficera karcącym wzrokiem. Rozumiał jego pewność siebie. Jeszcze wczoraj tryumfowali. Przy minimalnych stratach dosłownie zmietli chińską flotę. Sam Kinkaide do teraz uśmiechał się do wczorajszego wspomnienia. Takiego zwycięstwa amerykańska flota nie zanotowała od czasów bitwy o zatokę Leyte. Było się czym chwalić, ale do ostatecznego pokonania przeciwnika wciąż była daleka droga, Kinkaide dobrze o tym wiedział.

– Na południu wciąż dysponują drugim lotniskowcem i kilkudziesięcioma okrętami. Hindusi i Wietnamczycy mają ich tylko straszyć. Jeśli zdecydują się na atak, Chińczycy potopią ich jak ślepe kocięta – odpowiedział admirał. – Nie powinniśmy też lekceważyć sił odwodowych, jakimi dysponuje Pekin.

– Tak jest, sir... – Oficer wymruczał odpowiedź i skinął głową.

Gdzieś z głębi pomostu bojowego dał się słyszeć krzyk. Ktoś odpowiedział, przekazał komunikat dalej. Oficer stojący przed admirałem podszedł do najbliższego stanowiska i wymienił kilka zdań z marynarzem.

– Sir – powiedział, wracając do admirała – trzysta dwudziesta trzecia eskadra jest gotowa do startu.

– Niech zaczynają, Kitajce już dość nalatali się nad tą wyspą – odparł Kinkaide.

Potężne dwusilnikowe bombowce H-6K były dla chińskich sił powietrznych tym, czym dla Amerykanów legendarne B-52. Kolosy o rozpiętości skrzydeł dochodzącej do trzydziestu trzech metrów i wadze niemal czterdziestu ton wtaczały się powoli na pas startowy. Wszystkie bombowce wyposażono w ten sam zestaw środków rażenia. Cztery podwieszane pod kadłubem pociski YJ-100 pomnożone przez liczbę samolotów w eskadrze były w stanie wyeliminować flotę średniej wielkości państwa.

Pilot wtoczył się na koniec pasa. Pogoda nie nastrajała do lotu, zaczynał właśnie mżyć lekki deszcz. Wiatr wzmagął się z każdą minutą. Choć nie mieli przed sobą długiego lotu, aura z pewnością dostarczy im wielu atrakcji.

– Kondor Trzy, melduję gotowość do startu – zameldował dowódca maszyny.

– Wieża do Kondora Trzy, macie pozwolenie na start. Widzimy się za godzinę – odpowiedział kontroler.

– Kondor Trzy, startujemy.

Czterooosobowa załoga zakończyła już ostatnie testy, maszyna mogła rozpocząć rozpęd. Pilot pchnął wolant, zmodernizowane silniki D-30KP huknęły. Potężne cielsko bombowca ożyło, delikatne drgania przetoczyły się przez kadłub. Pilot czuł, jak prędkość zaczyna powoli wciskać go w fotel. Naparł na wolant jeszcze mocniej, zwiększając ciąg do maksimum. Dziób powoli uniósł się ku niebu. Maszyna oderwała się od pasa startowego, meandrująca w dole rzeka Szitang odcinała się od zielonego otoczenia bordową barwą.

– Kondor Trzy do wieży. Wspinamy się na pułap ośmiu tysięcy metrów. Dołączamy do formacji. – Pilot sprawdził wskazania przyrządów. Wysokościomierz co chwila przebijał wskazówką kolejne setki metrów.

– Przyjąłem, Kondor Trzy. Utrzymujcie stałą prędkość i kurs. Niedługo powinien was minąć trzydziesty trzeci dywizjon.

– Zrozumiałem, wieża, przechodzę na częstotliwość eskadry. Bez odbioru.

Osiem tysięcy metrów osiągnęli dopiero po kilku minutach ciągłego wznoszenia. Podwieszane pod kadłubem pociski mogły razić cele odległe o niemal osiemset kilometrów. Według wskazań satelity amerykańska formacja znajdowała się dokładnie tysiąc sto pięćdziesiąt kilometrów przed nimi. Kondora Trzy czekał krótki, ale pełen emocji lot.

Pilot sprawdził wskazania prędkościomierza. Za mniej niż pół godziny powinno być po wszystkim.

Daiczeng przechadzał się nerwowo po stanowisku dowodzenia. Wyszedł ze swojego gabinetu tuż po tym, jak wydał odpowiednie dyspozycje podwładnym. Minęło już ponad czterdzieści minut. Amerykański lotniskowiec zajmował jeden z głównych ekranów. Namierzony przez satelity wydawał się całkowicie bezbronny. Wystarczyło tylko wprowadzić odpowiednie komendy i wcisnąć apokaliptyczny, czerwony guzik.

Pułkownik zerkał co chwila na telefon i podwładnych. Maksymalnie skupieni wystukiwali na klawiaturach kolejne komendy lub czekali na nowe rozkazy. Nerwowa atmosfera udzielała się wszystkim. Jeśli mieli atakować Amerykanów, nie było czasu na wahanie.

– Pułkowniku – powiedział jeden z oficerów w cyfrowym mundurze. Wyprostował się tuż obok stanowiska łączności. – Otrzymaliśmy nowy rozkaz ze sztabu.

– Odszyfrować – polecił Daiczeng i złączył na plecach drżące z podniecenia dłonie.

– Tak jest – odparł oficer i ponownie pochylił się nad łącznościowcem.

Daiczeng w tym czasie wpatrywał się uparcie w satelitarny obraz „Ronalda Reagana” i otaczających go okrętów eskorty. Twierdza na wodzie, dziesiątki okrętów, ponad setka samolotów i śmigłowców. Siła, z którą musiał liczyć się każdy. Pułkownik Daiczeng obiecał sobie, że pewnego dnia przyłoży rękę do złamania tej potęgi. Nadchodził jego czas.

– Pułkowniku, rozkaz odszyfrowany! – krzyknął oficer. Wydarł z miniaturowej drukarki meldunek i podszedł do dowódcy dywizjonu.

– Dziękuję – odpowiedział Daiczeng i skupił wzrok na kartce. Po kilku sekundach na jego twarzy zagościł tryumfalny uśmiech. – Wprowadzić dane do wyrzutni. Zameldować o gotowości do odpalenia.

– Tak jest...

Na stanowisku dowodzenia zaroilo się jak w ulu. Poszczególni żołnierze łączyli się bezpośrednio z rozrzuconymi w terenie wyrzutniami. Kolosy uruchomiły siłowniki, by ustawić do pionu rakiety. Rozesłane wewnętrzną siecią koordynaty natychmiast wprowadzono do komputerów pokładowych rakiet DF-21D. Daiczeng spojrział na zegarek, po czym przeniósł wzrok na podwładnego.

– Wszystko gotowe, pułkowniku. Załogi meldują gotowość do odpalenia – powiedział.

– Zaczynajcie.

Spokojna zwykle okolica kilkudziesięciotysięcznego miasta Huangszan utonęła w huku odpalanych pocisków. Kapsuły, w których ukryte były rakiety, wyłoniły się z kontenerów startowych, wtedy też uruchomiły się dopalacze. Obudowy rakiet oderwały się od pocisków i spadły między drzewa. Szarpnięte eksplozją paliwa ładunki pomknęły w górę. Ogniste punkty nabierały prędkości z każdą sekundą. Mieszkańcy Huangszan mogli podziwiać lot rakiet tylko przez kilka chwil, do czasu, gdy kilkanaście ogników zniknęło w gęstych chmurach. Grzmot jeszcze przez dłuższą chwilę wprawiał w drżenie szyby.

– Wszystkie pociski odpalone, pułkowniku. Osiągnęły właśnie maksymalny pułap. Prędkość dziesięciu machów uzyskają za dwadzieścia trzy sekundy – zameldował oficer.

– Kiedy uderzą w cel? – zapytał Daiczeng.

Oficer wydał krótkie polecenie żołnierzowi, który zajmował miejsce tuż obok. Kilka sekund później młody sierżant odwrócił się w stronę pułkownika.

– Rakiety osiągną cel za pięć minut i trzydzieści jeden sekund.

– Pilnujcie lotniskowca, chcę to zobaczyć – powiedział Daiczeng, odwracając wzrok ku ekranowi.

Misje bojowe nad Tajwanem powoli dobiegały końca. Jako pierwsze na celownik zostały wzięte porty, w których nieustannie desantowały się kolejne chińskie jednostki. Amerykańskie pociski rozbiły w drzazgi kilka magazynów, baz remontowych i cumujących u wybrzeży desantowców. Piloci Super Hornetów oraz F-35 mogli się również poszczycić kilkunastoma potwierdzonymi zestrzeleniami. Joseph Kinkaide był pewien, że Tajwańczycy już dzisiaj odczują amerykańskie wsparcie.

Admirał z uznaniem słuchał kolejnych meldunków, które spływały do centrum informacji bojowej „Ronalda Reagana”. Chińczycy dostawali lanie, bezkarne loty nad wyspą dobiegły końca. Choć na wodach przybrzeżnych wciąż operowała liczna grupa chińskiej floty, wydawało się, że marynarze robią wszystko, by nie rzucić się w oczy Amerykanom.

– Sir, przyszedł kolejny meldunek – powiedział pierwszy oficer. – Sto pięćdziesiąta czwarta eskadra melduje o utracie dwóch maszyn. Samolot porucznika Whitemore’a zestrzelono z pokładu chińskiego niszczyciela. Piloci zdążyli się katapultować, mamy ich na radarze, radiolokator wciąż działa.

– Dziękuję. Jak tylko będziemy mogli, wysyłamy ekipę ratunkową – odpowiedział Kinkaide. – Jak przygotowania do uderzenia na flotę północną?

– Sir, czekamy na nasze eskadry. Lotnicy na Okinawie zameldowali już gotowość do walki. Okręty również powiadomiły nas o gotowości do dalszych działań. Będziemy musieli uzbroić ponownie Super Hornety – odparł pierwszy oficer.

– Jakież nowe wytyczne z Waszyngtonu?

– Nic, sir. Atak ma nastąpić o ósmej, tak jak ustalono.

– Dobrze...

Admirał wypuścił powietrze ze świstem. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jeszcze przed końcem dnia północny zespół chińskiej floty przestanie istnieć. Co wówczas zrobią Hindusi i Wietnamczycy? Waszyngton dał im wolną rękę, z zastrzeżeniem, że nie mają co liczyć na militarne wsparcie ze strony Ameryki. VII Flota miała jasne zadanie: odblokować Tajwan i zmusić Chińczyków do wycofania się z wyspy. Jeśli uda się to osiągnąć poprzez wepchnięcie Indii w wojnę na Morzu Południowochińskim, to tylko lepiej. Mniejsza liczba pogrzebów, krótszy czas antenowy, wykupiony przez opozycyjnych krzykaczy, same korzyści, pomyślał Kinkaide.

– Sir. Japończycy właśnie przesłali nam informacje o dużej liczbie chińskich samolotów zmierzających w stronę naszego zgrupowania. Wykrył je radar na Okinawie. – Pierwszy oficer wyglądał na wyraźnie zaskoczonego.

– Pościg za naszymi? – zapytał Kinkaide.

– Japończycy twierdzą, że wykryli przynajmniej szesnaście bombowców typu H-6, ponad dwadzieścia JH-7 oraz kilkadziesiąt myśliwców wielozadaniowych. Mogą próbować...

– Sir! – krzyknął któryś z operatorów łączności. – Koliber melduje o licznych celach zbliżających się od południa i zachodu. Prawdopodobnie Chińczycy odpalili rakiety z kontynentu. Czekam na potwierdzenie.

Joseph Kinkaide poczuł suchość na języku. Szybko kalkulował w głowie dostępne opcje. Jego eskadry dopiero zbliżały się do lotniskowca. Jeśli zaczną lądować pod ostrzałem, nie chciał nawet myśleć o potencjalnych konsekwencjach.

– Połączcie się z eskadrami w powietrzu. Chcę wiedzieć, które wciąż mają rakiety. Reszta ma natychmiast poderwać się w powietrze – zakomenderował Kinkaide. – Przekażcie do wszystkich okrętów. Natychmiast namierzyć wszystkie wrogie obiekty, które wejdą w zasięg naszej obrony przeciwlotniczej. Daję zgodę na otwarcie ognia. Powtarzam, wszystkie cele, które znajdą się w zasięgu naszych rakiet, mają zostać zestrzelone.

Siedzący za konsolami operatorzy popatrzyli po sobie niepewnym wzrokiem. Do tej pory to oni atakowali, czuli się niezwykłymi. Po raz pierwszy od opuszczenia portu w Jokosuce to załogi amerykańskich okrętów będą musiały przejść do obrony.

– Sir, Koliber ma kolejne zamiary, trzydzieści siedem J-11, odległość pięćset siedemdziesiąt kilometrów. Nadlatują z zachodu – rzucił któryś z marynarzy.

– Wrzucie wszystko na główny ekran – polecił Kinkaide.

– Tak jest, sir.

Chwilę później na wielkiej matrycy pojawił się obraz nadlatujących z różnych kierunków chińskich samolotów. Łącznie była ich już ponad setka. Większość wejdzie w zasięg rakiet RIM-174 za kilkadziesiąt sekund. Radary niszczyli i pozostałych okrętów śledziły każdy ruch Chińczyków.

– Sir! Dwanaście namiarów! Prędkość dziesięć machów, dwie minuty do uderzenia. Lecą prosto na nas! – wrzasnął inny z marynarzy. – Identyfikacja... DF-21D.

– Namierzam – powiedział natychmiast jeden z operatorów uzbrojenia. – Cele namierzone.

– Odpalać! – rozkazał Kinkaide.

Kilkadziesiąt przechwytyjących pocisków typu RIM-161 SM-3 wystrzeliło w powietrze. Ściana ognia zasłoniła przednie pokłady trójki niszczycieli Arleigh Burke. Jedne po drugich rakiety wylatywały w powietrze, by natychmiast obrać właściwy kurs. Do spotkania z chińskimi zabójcami lotniskowców zostało kilkadziesiąt sekund.

– Sir, chińskie bombowce odpaliły pociski. Około sześćdziesięciu rakiet, system identyfikuje je jako YJ-100. Odległość: pięćset sześćdziesiąt kilometrów. Czas do uderzenia: trzydzieści trzy minuty.

– Namierzyć i zestrzelić, jak tylko wejdą w zasięg – odpowiedział Kinkaide. Spojrzał na ekran. SM-3 powinny za chwilę zbliżyć się do nadlatujących z zawrotną prędkością chińskich pocisków.

Zaprojektowane jako hipersoniczne ładunki do zwalczania lotniskowców DF-21D były doskonałymi zabójcami. Dwutonowa głowica rozgrzewała się do czerwoności, energia kinetyczna, wyzwalana przy zderzeniu z dowolną przeszkodą, była porównywalna z siłą uderzenia niewielkiego meteorytu. Wystarczyło zaledwie kilka trafień, by roznieść na kawałki każdy okręt.

DF-21D płynnie zmieniały trajektorię. Terminalna faza lotu była najniebezpieczniejszym etapem, jaki musiały pokonać chińskie pociski. Amerykańskie rakiety detonowały w kulach ognia, kilka zgubiło niemiernie i pomknęło w jedynie sobie znanym kierunku. Jedna po drugiej DF-21D zniknęły z radarów, zamienione w kupę pędzącego ku oceanowi złomu. Cztery przedarły się przez amerykańską obronę. Operatorzy systemów defensywnych na pokładzie „Ronalda Reagana” czynili cuda, by ocalić lotniskowiec. Ostatnią realną szansą obrony przed DF-21D były rakiety SM-6. Wystrzelone z kontenerów mogły przechwycić pociski balistyczne w terminalnej fazie lotu, kilka sekund przed uderzeniem w cel. Radary namierzyły wrogie pociski, amerykańskie rakiety złapały swoje cele, nowe detonacje rozerwały się na ciemnym od dymu niebie. Następny zabójca lotniskowców zniknął z nieboskłonu, lecz trzy głowice kontynuowały lot. Systemy obrony krótkiego zasięgu wariowały, zainstalowane wewnątrz oprogramowanie nie było przystosowane do przechwycenia opadających ku pokładowi głowic. Chińskie pociski poruszały się zbyt szybko, by wyrzutnie rakiet krótkiego zasięgu i kopuły CIWS miały szansę namierzyć i zestrzelić nadlatujące bolidy. Zabójcy lotniskowców, choć zdziesiątkowani przez przeciwrakiety, osiągnęli zamierzony cel.

Pierwsza głowica wbiła się w pokład dokładnie w momencie, w którym do startu podchodził jeden z ostatnich Greyhoundów. Pocisk rozerwał poszycie transportowca na strzępy i zniknął pod pasem startowym. Wstrząs był potężny, wyrwana w pokładzie dziura rozmyła się w ognistej chmurze. Dwa pozostałe pociski zmiażdżyły nadbudówkę i wyrwały w kadłubie ogromną dziurę. Czekające na swoją kolej samoloty zdmuchnęło z pokładu wraz z obsługą.

Joseph Kinkaide patrzył jak urzeczony. Pierwsze uderzenie omal nie zważyło go z nóg. Drugie i trzecie rzuciło admirałem o najbliższą ścianę niczym szmacianą lalką. Ciśnienie pchanego przed głowicą powietrza zmiatało wszystko na swojej drodze. Zgnieciona blacha nadbudówki rozleciała się we wszystkich kierunkach. Anteny radarów zamieniły się w sterty poskręcane żelastwa. Pocisk przebił się przez pomost bojowy i zniknął pod pokładem, zabierając ze sobą kilkadziesiąt operatorów uzbrojenia i marynarzy, którzy służyli w sercu lotniskowca.

Nim admirał Kinkaide stracił przytomność, zobaczył jeszcze, jak na głównym ekranie pojawiają się sygnatury oznaczone jako eskadra Raptorów. Potem była już tylko ciemność i cisza.

AWACS kołował kilkanaście tysięcy metrów nad wodami Oceanu Spokojnego. Jako mobilne centrum dowodzenia mogli z powodzeniem nadzorować dwie eskadry futurystycznych Raptorów, które poderwały się z japońskich baz powietrznych i wyruszyły na pierwsze polowanie.

Myśliwce kierowały się na południe. Informację o poważnym uszkodzeniu „Ronalda Reagana”

otrzymali, będąc już kilkadziesiąt kilometrów na południe od Nagasaki. Do najbliższych okrętów VII Floty mieli wówczas ponad trzydzieści minut lotu.

Piloci Raptorów słupy dymu musieli widzieć już z daleka. Słońce schodziło coraz niżej, nadając oleistym chmurom ponury wyraz. Pojawiły się też pierwsze ogniki, właśnie nadlatywała pierwsza fala rakiet wystrzelonych z chińskich samolotów i okrętów. Pilotom maszyn przewagi powietrznej ten widok musiał zapierać dech w piersiach.

– Joker do wszystkich, przygotować się do rozpoczęcia pościgu. Jesteście nad terytorium zajęтым przez wroga. Przekazujemy informację o kilkadziesięciu samolotach przeciwnika w bezpośredniej bliskości floty – powiedział Jim Redborn, jeden z operatorów zajmujących miejsce w przepastnym wnętrzu samolotu wczesnego ostrzegania.

Chwilę później system cichej wymiany danych odebrał potwierdzenie przekazania pakietu danych do Raptorów. Myśliwce rozpoznały swoje cele i uzbroiły rakiety ukryte w komorach uzbrojenia. Teraz pozostawało tylko poczekać na przeciwnika, a ten zbliżał się z każdą sekundą.

Redborn spojrział na wskazania przyrządów. Myśliwce powinny właśnie mijać pierwsze okręty VII Floty. Jako operator jednego z licznych urządzeń na pokładzie E-3 Sentry od lat marzył o udziale w prawdziwej bitwie powietrznej. Oglądanie podniebnych batalii z odległości setek kilometrów było jak bezduszny film. Przełączył obraz na kamerę zainstalowaną w dziobie jednego z Raptorów.

Okręty VII Floty waliły ze wszystkiego, co załadowano na pokład. Dziesiątki detonacji zdobiły coraz ciemniejsze niebo. Chińskie pociski wydawały się nadlatywać ze wszystkich stron. Smugi kluczących między wybuchami ładunków przecinały się w nieregularnych pajęczynach. Redborn widział, jak dwa świetliste punkty wbijają się z impetem w kadłub niszczyciela. Okręt zadrżał, płomienie buchnęły w powietrze, prześlizgnęły się przez pokład i utonęły w chmurze czarnego dymu.

– To jest Siódma Flota? – zapytał jeden z operatorów.

– Masakrują ich – odpowiedział Redborn i złączył dłonie z tyłu głowy. – Zaraz zbliżą się do „Reagana”.

– Mój Boże, patrzcie... – powiedział sąsiadujący z Redbornem operator.

Pomiędzy wciąż walczącymi okrętami VII Floty górowała gigantyczna bryła lotniskowca. USS „Ronald Reagan” był wyraźnie przechylony przez lewą burtę. Trafienia zdewastowały pokład i duży fragment nadbudówki. Pożary ogarnęły sporą część okrętu, czarne kłęby wydobywały się niemal z każdej szpary i przestrzeleny. Do lotniskowca co chwilę podchodziły kolejne helikoptery. Ocalali z ostrzału marynarze tłoczyli się na w miarę bezpiecznych fragmentach pokładu. „Ronald Reagan” musiał nabierać wody. Nim lotniskowiec zniknął z pola widzenia, Redborn widział, jak do jednego ze śmigłowców zbliża się dziwnie meandrująca w powietrzu rakietka. Musiała zgubić cel, pilot miał wyjątkowego pecha. Pocisk wywinął kolejnego koziołka i przebił kadłub Seahawka na wylot.

Operatorzy siedzieli w absolutnej ciszy. Liczne monitory bombardowały ich obrazami przekazywanymi przez myśliwce, kołujące na granicy stratosfery drony oraz satelity. Chińczycy potrafili się odgryźć i zrobili to z morderczą skutecznością.

– Mamy echa chińskich samolotów. Kilkadziesiąt maszyn, kierują się w stronę okrętów Siódmej Floty – usłyszał Redborn.

– Przyjąłem. – Mrugnął kilkakrotnie, by otrząsnąć się z szoku. – Przekazuję dane.

Obraz wyłapanych przez radary Chińczyków powędrował datalinkiem do przecinających powietrze Raptorów. Te dystrybuowały między sobą niezbędne informacje, każdy z pilotów wiedział i widział dokładnie to samo.

Radary i sensory zainstalowane w F-22 pozwalały na dookólną obserwację przestworzy w promieniu setek kilometrów. Obniżona do minimum powierzchnia odbicia sprawiała, że maszyna w oczach urządzeń przeciwnika była praktycznie niewidoczna. Prawdopodobnie dlatego zbliżający się od zachodu dywizjon chińskich myśliwców nie zmienił kierunku nawet po odpaleniu przez Amerykanów pierwszej salwy.

Redborn obserwował, jak rakiety pojawiają się na ułamek sekundy przed dziobami Raptorów, po czym znikają z pola widzenia w czarnym od dymu powietrzu. Chińczycy zorientowali się po minucie, połowie czasu, jaki potrzebowały pociski, by dotrzeć do celów. Formacja złamała się, rozproszyła na mniejsze grupki, które w śmiertelnym tańcu próbowały uniknąć zbliżającej się śmierci. Ogień otwały również wciąż walczące amerykańskie niszczyciele i krążowniki rakietowe. Pozbawione większości pocisków przeciwlotniczych mogły pozwolić sobie na wystrzelenie zaledwie kilku rakiet.

Kilkadziesiąt sekund później z radarów zaczęły znikać pierwsze chińskie maszyny. Pierwsza salwa zmiotła z nieba niemal dwadzieścia wrogich samolotów. Amerykanie nie wahali się, nim ostatni z AMRAAM-ów sięgnął celu, powietrze pruko już kolejnych trzydzieści pocisków.

– Joker, widzę na radarze grupę niezidentyfikowanych obiektów. Nadlatują z południowego wschodu, brak identyfikacji. Lecą za wolno, żeby to były zwykłe pociski – powiedział operator w głębi kadłuba.

– Przyjąłem, myśliwce? – zapytał Jim Redborn.

– Bardzo prawdopodobne. Harley Quinn kołuje w rejonie południowego zgrupowania. Otrzymaliśmy meldunki o obecności J-31. Skoro trzydziestkijedynki są nad Morzem Południowochińskim, to tutaj...

– Jasna cholera, w stronę Raptorów lecą J-20 – zaklął Redborn.

– Zgadza się – potwierdził operator.

Jim Redborn oparł dłonie na klawiaturze. Na ekranie widział spokojny, niczym niezmacony lot myśliwców F-22. Jako oficer odpowiedzialny za komunikację to właśnie on musiał przekazać dowódcy Raptorów informację o zbliżającym się przeciwniku. Choć cichy datalink podtrzymywał przekazywanie informacji radiolokacyjnej, Redborn przesłał do lidera niezależny meldunek o możliwości spotkania z chińskimi maszynami piątej generacji.

– Mamy potwierdzenie, eskadry Batman i Robin gotowe do wejścia w kontakt bojowy. Stały przesył danych. Dajmy im wszelkie możliwe wsparcie – powiedział Redborn i skinął na sąsiadujących operatorów. Choć to nie oni decydowali o odpaleniu pocisków, ich wsparcie było dla pilotów myśliwców sprawą życia i śmierci.

– Tak jest, Joker.

– Eskadra Robin prosi o pozwolenie na kontynuowanie pościgu za samolotami, które dokonały ataku na Siódmą Flotę. Batman zajmie się dwudziestkami – zameldował operator.

– Przyjąłem, jest zgoda. Mogą kontynuować pościg – odparł Jim Redborn.

– Mamy potwierdzenie, dwie eskadry myśliwców J-20, odległość sto pięćdziesiąt kilometrów – dodał operator.

– Mam ich na ekranie, dobra, dodajmy naszym chłopakom nieco otuchy. Niech namierzają i walą ze wszystkich rur.

Chińska formacja leciała prostopadle do kursu obranego przez eskadrę Batman. Gdzieś daleko Chińczykom towarzyszył zapewne AWACS. Mimo podobnej jak w Raptorach pełnoskalowej świadomości sytuacyjnej sensory J-20 były nieco słabsze niż w amerykańskim odpowiedniku.

Odległość zmniejszyła się do stu dwudziestu kilometrów. Cele, choć coraz częściej pojawiały się na ekranach radarów, wciąż były trudne do namierzenia. Chińczycy dobrze odrobili lekcje. Specjalnie zaprojektowany kadłub, pokryty okładziną pochłaniającą fale radarowe, odpowiednio zakrzywione fragmenty płatu. Wszystko to powodowało, że aparatura w Raptorach widziała wroga maszyny jako przerośnięte indyki.

– Oby tylko nie zaczęli namierzać z dalekiego dystansu – mruknął któryś z operatorów.

– Ponoć Chińczycy całkiem nieźle zmodernizowali J-20 po wojnie w Rosji. Szybko uczą się na błędach – rzekł kolejny mężczyzna, pochylający się nad trójką monitorów wpasowanych w konsolę.

– Cholera... – jęknął Redborn. Eskadra Batmanów rozpoczęła procedurę namierzenia. Tak jak się spodziewał, piloci Raptorów pospieszyli się o kilkanaście sekund. Nieprzyjaciel nie dał się złapać. –

Chińczycy złamali szyk.

Amerykanie dobrze wiedzieli, że teraz szybkość reakcji jest ich największym atutem. Redborn obserwował na monitorze, jak prędkość maszyn w kilka chwil wzrosła o niemal trzysta kilometrów na godzinę. Chińczycy zorientowali się w zagrożeniu, zmniejszyli pułap, docisnęli manetki. Jim Redborn znał tę taktykę, będą próbowali wciągnąć Amerykanów w pościgi i walkę na średnim bądź krótkim dystansie. Zamiast pilnować odległości, Amerykanie będą gnać na złamanie karku, byle ustrzelić kolejny samolot. Skuteczne, ale wymagało niedoświadczzonego przeciwnika, pomyślał Redborn.

Widział, jak system namierza i zamyka pierwsze cele. Musieli zmniejszyć dystans do osiemdziesięciu kilometrów, by móc swobodnie odpalić rakiety. Redborn wydał usta w podziwie. Chińscy inżynierowie się postarali. Maszyny miały doskonały RCS i choć walczyły po drugiej stronie barykady, Redborn z czystym sumieniem zaliczał je do światowej czołówki. Piloci J-20 musieli zostać powiadomieni o opromieniowaniu impulsami. Pojedyncze maszyny zmieniły trajektorię lotu i próbowały wyrwać się z pułapki. Zdolności stealth zaczynały schodzić na dalszy plan, teraz liczyły się zainstalowane w płatowcach środki przeciwdziałania i stalowe nerwy pilotów. Eskadra Batman po raz pierwszy tej nocy anulowała ciszę radiową.

– Batman Jeden Trzy, odpalam – zameldował pilot.

– Batman Dwa Jeden, pociski w drodze!

Amerykanie wciąż pozostawali bezkarni. Redborn wątpił jednak, by udało im się pozostać w ukryciu aż do końca starcia. Komuś w końcu puszcza nerwy i podejdzie Chińczyków za blisko.

– Batman Dwa Dwa, odpalam rakiety. – Skrzydłowy drugiego klucza wcisnął przycisk. Dwa AMRAAM-y oderwały się od zaczepów w komorze uzbrojenia. Chiński samolot wykonywał właśnie szeroki łuk w stronę dwóch Raptorów, które kilkadziesiąt kilometrów dalej masakrowały klucz J-20. Teraz nie mieli już żadnych wątpliwości: futurystyczne, amerykańskie konstrukcje spotkały się z najnowocześniejszymi samolotami, jakimi dysponowała chińska armia.

Rakiety pędziły ku przeznaczeniu z prędkością czterech machów. Chiński pilot nie miał szans uciec ładunkowi, ale dobrze odczytał miejsce odpalenia. Poderwał maszynę do góry i zwiększył ciąg. Dało mu to dodatkowych kilka sekund na uruchomienie środków przeciwdziałania. Zainstalowane w kadłubie urządzenia zagłuszające głowicę AMRAAM-a ożyły, tworząc wokół samolotu sferę zakłóceń. Pierwsza rakietka zgubiła cel, nagle zmieniła trajektorię i pomknęła w dół, prosto ku falom Pacyfiku. Drugi pocisk wciąż podążał za bandytą, dystans do J-20 malał z każdą sekundą. Chiński pilot wykonał ostry skręt, systemy zagłuszania pracowały pełną parą. Jeśli one nie otumanią głowicy, nie będzie innego wyjścia jak katapultowanie się. Na flary nie miał co liczyć. Pilot szarpał drążkiem jak oszalały. Pocisk detonował, nie wyrządzając chińskiej maszynie żadnej szkody.

– Kurwa... – Redborn usłyszał przekleństwo pilota Batmana Dwa Dwa. Chińskiemu lotnikowi sprzyjało niewiarygodne wręcz szczęście. W tej fazie lotu to musiała być usterka, głowica powinna przełączyć się na aktywne namierzanie. Chińskie urządzenia zagłuszające nie mogły być aż tak skuteczne. – No dobrze... Zobaczmy, czy teraz uciekniesz.

Batman Dwa Dwa miał w komorze jeszcze trzy AMRAAM-y. Wystrzelił kolejne dwa. Tym razem Chińczyk nie mógł liczyć na łut szczęścia. Kilkanaście sekund później obie rakiety niemal jednocześnie detonowały tuż przy kadłubie J-20, dosłownie rozrywając go na kawałki.

– Batman Jeden Cztery, namierzili mnie! Gonią mnie dwie rakiety, poprawka, trzy pociski na ogonie! – krzyknął pilot pierwszego klucza.

– Trzymać dystans! Powtarzam, trzymać dystans! Nie dajcie się namierzyć! – Redborn słyszał w słuchawkach spokojny głos dowódcy eskadry.

– Batman Trzy Dwa, mam pociski na ogonie! Cholera, chyba... – Transmisja urwała się jak ucięta nożem.

Jim Redborn odruchowo rozejrzał się po monitorach. Wymienił porozumiewawcze spojrzenia z

siedzącymi obok operatorami. Żaden nie odbierał sygnału Batmana Trzy Dwa. Redborn wstukał odpowiednią komendę i połączył się z pilotami eskadry.

– Joker do wszystkich. Podajcie status Batmana Trzy Dwa.

– Batman Dwa Dwa do Jokera, zestrzelony. Powtarzam, Batman Trzy Dwa zestrzelony – odpowiedział pilot.

Siedzący za sterami Batmana Dwa Dwa lotnik nie zdążył opłakać towarzysza. System ostrzegający o opromieniowaniu zaalarmował światłkami i komendami wyświetlanymi na HUD-zie. Sensory natychmiast zlokalizowały punkt, z którego odpalono rakiety, i namierzyły przeciwnika. Trzydzieści kilometrów za Raptorem. Dla Sidewindera odległość idealna. Pilot natychmiast wybrał z listy pocisk i wcisnął przycisk odpalania. Komora uzbrojenia otwarła się na ułamek sekundy, wypuszczając pocisk. Sidewinder natychmiast złapał namiar i wykonał ciasny łuk. Kontrolę nad pociskiem przejęły płytki radaru umieszczone na tylnej części kadłuba. Chiński pilot zorientował się w ostatniej chwili. Położył maszynę przez prawe skrzydło i poszedł w dół. Rakieta nie dała się jednak zgubić, detonowała gdzieś nad centralną częścią poszycia, dziurawiąc górną warstwę jak durszlak. Maszyna nie uległa jednak zniszczeniu. Zmieniła kurs i wycofała się z dalszego pościgu. Wystrzelony przez Chińczyka pocisk typu PL-10C przełączył się w terminalnej fazie na własne namierzanie. Głowica naprowadzająca nie mogła się jednak mierzyć z zaawansowaną awioniką Raptora. Zagłuszarki natychmiast oszukały system naprowadzania rakiety i uchroniły samolot przed zniszczeniem. PL-10 przez chwilę leciała jeszcze za myśliwcem, by nagle zmienić kurs i zniknąć w nieodległym obłoku.

– Batman Zero Jeden do wszystkich. Chińczycy zaczynają słabnąć, nie kontynuujemy pościgu. Powtarzam, kiedy przeciwnik zacznie się wycofywać, nie kontynuujemy pościgu.

– Batman Jeden Jeden do wszystkich, dostałem. Powtarzam, dostałem! – krzyknął dowódca pierwszego klucza. Jim Redborn złapał się za głowę i zaklął bezgłośnie. – Lewy silnik padł!

– Batman Jeden Jeden, tu Batman Zero Jeden, oderwij się od przeciwnika. Powtarzam, oderwij się od przeciwnika. Obierz kurs powrotny.

– Przyjąłem, Batman Zero Jeden, wracam do bazy. – Pilot Raptora wyraźnie się uspokoił. Oszołomiony trafieniem był pewien, że konstrukcja pod jego stopami rozleci się na kawałki. Mimo poważnych uszkodzeń F-22 wciąż parł przed siebie.

– Dobra robo...

Raptor dowódcy eskadry eksplodował na ciemniejącym niebie. Oficer pilotujący maszynę nie miał szans przeżyć. Płonące szczątki spadały z hukiem ku zimnym wodom oceanu.

– Kurwa mać... – Redborn zacisnął pięści na konsoli i sapnął. Wart setki milionów dolarów samolot roztrzaskał się z łoskotem o wzburzoną taflę oceanu.

To był ostatni akt. Chińczycy, przytłoczeni przewagą technologiczną, musieli oddać pole. Wystarczyło zaledwie kilka minut, by spośród niemal czterdziestu maszyn na niebie pozostała nieco ponad połowa. Gdyby przeciwko Raptorom walczyły powszechne w chińskiej armii maszyny czwartej generacji, uznano by taki wynik za sukces. Chińscy piloci byli jednak pewni, że pierwsze spotkanie F-22 i J-20 nie zapisze się złotymi zgłoskami w historii chińskiej awiacji. Mieli szczęście, że gdy zakomenderowano odwrót, żaden z Amerykanów nie zdecydował się na pościg.

– Batman Jeden Jeden do wszystkich. Wracamy do domu, dobra robota, panowie... – Oficer, który przejął dowodzenie, ugryzł się w język.

– Zatrzymaliśmy ich – powiedział któryś z pilotów.

– Joker do wszystkich, wracajcie bezpiecznie. Wykonaliście swoje zadanie – powiedział Redborn. – Dowiedliście Chińczykom, że z Batmanami nie wolno zadzierać. Bez odbioru.

Brak wiadomości zwrotnej z bliźniaczego okrętu nie wróżył niczego dobrego. Już wcześniej podejrzewał, że okręt klasy Juan wpadł w pułapkę. Teraz wyglądało na to, że przecucia wcale go nie myliły.

– Mamy potwierdzenie, Kormoran Dwa został zniszczony – powiedział pierwszy oficer.

– Jak daleko przed nami jest ofiara? – zapytał komandor Lin Su, splatając dłonie na plecach.

– Dwadzieścia pięć mil, możemy odpalać torpedy.

– Jeszcze nie. – Lin Su uniósł dłoń. – Podejdźmy bliżej.

– Komandorze, proszę pamiętać, jaki błąd popełniła załoga Kormorana Dwa. Podeszli za blisko i Amerykanie ich namierzili. – Pierwszy oficer zniżył głos tak, by zajmujący swoje stanowiska marynarze nie słyszeli jego polemiki.

– Radzę się wam uspokoić, kapitanie... – odparł Lin Su, patrząc pogardliwym wzrokiem na pierwszego oficera. – Odpalimy torpedy na mój rozkaz. Proszę kontynuować marsz. Poza tym dowódca Kormorana Dwa zatopił dwa nieprzyjacielskie okręty, powinniście być dumni, że służyliście z takim oficerem.

– Tak jest, komandorze. – Kapitan skłonił się nieznacznie i wrócił na miejsce.

Śledzili krążownik od dobrej godziny, powoli, acz systematycznie zmniejszali dzielący ich dystans. Na górze trwało prawdziwe piekło. Chiński atak wprowadził w szeregi przeciwnika szok i przerażenie, tak bardzo lubiane przez Amerykanów. Trwała właśnie akcja ratunkowa, a ocalałe z bitwy okręty przegrupowywały się kilkadziesiąt mil na południe od Okinawy.

Kormoran Jeden, prowadzony przez komandora Su, cierpliwie sunął za amerykańskim krążownikiem raketowym typu Ticonderoga i okrętem do zwalczania min klasy Avenger. Doskonała zdobycz. Amerykanie uciekali powoli, zbici w niewielkie grupki liczyli na osłonę samolotów i śmigłowców. Lin Su wiedział, że nie powinien się spieszyć, jeszcze przyjdzie jego czas.

Kolejne minuty upływały na mozolnych podchodach, marynarze mieli nerwy napięte jak postronki. Co chwila sensory ostrzegały o przelatującym w pobliżu śmigłowcu z ciągniętym sonarem. Dotychczas żaden z podniebnych łowców nie wykrył ich obecności.

– Kapitanie, proszę powiadomić mnie, kiedy znajdziemy się dwanaście mil za Amerykanami – powiedział komandor.

Marsz zajął im kolejne kilkadziesiąt minut. Płynęli powoli, kluczyli między cieplejszymi masami wody. Niewidzialność była ich największym sprzymierzeńcem.

– Dwanaście mil do przeciwnika. – Pierwszy oficer skinął w stronę komandora.

– Zalać wyrzutnie – rozkazał Lin Su.

– Jest zalać wyrzutnie. – Kapitan przekazał rozkaz dalej.

Gdyby gdzieś obok przelatywał właśnie helikopter, z pewnością zostaliby namierzeni. Dźwięku zalewanych wyrzutni nie dało się pomylić z niczym innym. Byli gotowi, wyglądało na to, że amerykańskie załogi wciąż nie otrząsnęły się z szoku pierwszego uderzenia.

– Wyrzutnie jeden i trzy, odpalać. Cel: krążownik raketowy Ticonderoga – powiedział Lin Su.

– Torpedy jeden i trzy poszły.

Bałwany powietrznych bąbli prysnęły przed torpedami. Podłużne cygara kalibru pięćset pięćdziesięciu trzech milimetrów wystrzeliły z wyrzutni i pomknęły w stronę celu. Torpedy rozwijały prędkość dochodzącą do siedemdziesięciu węzłów. Amerykanie mieli nie więcej niż dziesięć minut na reakcję. Całkiem sporo, jeśli ma się pewną załogę i odpowiednie środki przeciwdziałania.

– Wyrzutnie dwa i cztery, odpalać. Cel: Avenger. – Lin Su był spokojny. Wiedział, że idzie do celu bezbłędnie.

Chwilę później kolejne dwie torpedy z cichym szumem pomknęły na spotkanie przeznaczenia.

Komandor czuł, że się udało, Ticonderoga mógł się jakoś obronić, ale Avenger, który właśnie wykonywał manewr uniku, nie miał większych szans w spotkaniu z torpedami Yu-8.

Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Sekundnik zatoczył na tarczy ponad sześć obrotów. Jeszcze trzy minuty i wszystko będzie jasne. Kończyli właśnie szeroki skręt, torpedy złapały już własny namiar i asysta okrętu nie była im potrzebna.

– Komandorze. Torpedy w wodzie, idą w naszą stronę! – zameldował pierwszy oficer. – Odległość dwadzieścia jeden mil. Trzy cele, prędkość osiemdziesiąt węzłów. Trafią nas za siedemnaście minut.

– Cała naprzód – odpowiedział Lin Su. – Co milę wypuszczać wabiki.

– Tak jest!

Czyli jednak nie pójdzie im tak łatwo. Lin Su uśmiechnął się sam do siebie. To dobrze. Takie zwycięstwo będzie smakowało jeszcze lepiej. Spojrzał na stoper, właśnie minęła dziesiąta minuta. Torpedy powinny wejść w cel.

– Jedna torpeda weszła w Ticonderogę, okręt wciąż płynie. Avenger idzie na dno, obie weszły. – Kapitan spojrział z uznaniem w stronę dowódcy okrętu. – Gratuluję, komandorze.

– Pogratulujecie później – odpowiedział Su. – Teraz pomóżcie uratować nam skórę.

Wabiki wypuszczali parami z każdą pokonaną milą, co dawało znacznie większe prawdopodobieństwo sukcesu, niż gdyby wystrzelili wszystkie za jednym zamachem. Powinni wypuścić osiem do dziesięciu wabików, nim torpeda wejdzie im w ogon. Będzie miała w czym wybierać.

Czas uciekał nieubłaganie: minuta, dwie, pięć. Zostało im nie więcej niż dwanaście kolejnych obrotów minutnika do zderzenia z amerykańskimi ładunkami. Te powinny już docierać do pierwszej pary wabików.

– Torpedy minęły pierwsze wabiki, żadna się nie złapała – powiedział kapitan.

– Wciąż mamy za sobą jeszcze cztery. – Lin Su oblizał spierzchnięte wargi. Szanse na przeżycie zmalały właśnie o kilkanaście procent.

Minuty mijały w zastraszającym tempie, dlaczego ciągnęły się tak wolno, gdy to oni śledzili Amerykanów? – zapytał Lin Su sam siebie.

– Komandorze, torpedy przed nami! Odległość pięć mil! Czas do uderzenia dwie minuty. – Kapitan zbladł jak ściana.

Było już za późno, od ogona ścigały ich cztery ładunki. Od czoła właśnie podchodziły kolejne dwa. Wpadli między młot a kowadło. Komandor chwycił mocniej reling. Nie usłyszał meldunku o pierwszej torpedzie, która złapała się na wabik. Gdy pierwszy z pędzących na czołowe zderzenie amerykańskich pocisków wbił się w zaokrąglony dziób okrętu, komandor Lin Su zadał sobie tylko jedno pytanie: czy rzeczywiście zrobił wszystko, by choć odrobinę zasłużyć na wzmiankę o swoim imieniu?

ROZDZIAŁ VI

Taizhong, Republika Chińska | 18 maja 2023, godzina 21:08

Chon skulił się za niskim murkiem i zaklął jak szewc. Seria przeszła mu tuż nad hełmem i rozbiła się o smętny wrak ZBD. Kilkanaście minut wcześniej wjechali na ajdika, skrzętnie ukrytego pod jedną z poluzowanych płyt chodnikowych. Tak czy inaczej, z wozu nie było pożytku jeszcze przed całkowitym unieruchomieniem. Ostatnie godziny walk w centrum Taizhong pozbawiły pojazd większości modułów pancerza termicznego i anten, stracili także kilka kamer. Wozy zaczynały być ślepe.

Do tego wszystkiego dochodził tajwański kontratak. Brutalny, desperacki, bez większych szans powodzenia, ale szalenie dezorganizujący. Obrońcom udało się w kilku miejscach przerwać linię nacierających i odciąć mniejsze oddziały. Chona doszły słuchy o jednej z kompanii, która wpadła w kocioł na sporym placu gdzieś w centrum. Tajwańczycy nie odpuścili nawet rannym, wytlukli wszystkich do nogi. Podobne relacje docierały z różnych zakątków. Kapitan nie przywiązywał do nich szczególnej wagi. Gdyby wierzyć każdej z takich opowieści, Tajwańczycy już dawno powinni odbić miasto.

Skwer Guankian jakiś czas temu przestał przypominać miejsce wypoczynku i spacerów mieszkańców Taizhong. Miasto tonęło w mroku, gryzącym gardło dymie i płomieniach. Klomby zamieniły się w wypalone do cna łachy popiołu. Krzewy przypominały bardziej pustynne ciernie niż pełne kolorowych kwiatów ozdoby. Starannie ułożony chodnik znaczyły dziury po detonujących granatach i pociskach artyleryjskich. Każdą wolną przestrzeń wypełniali żołnierze, wciąż sprawne pojazdy i stanowiska ogniowe. Tajwańczycy wcale nie chcieli odbijać skweru, ale niespodziewany kontratak zmusił Chińczyków do zmiany taktyki. Do tej pory to oni parli do przodu, teraz, po raz pierwszy, musieli przejść do obrony na szerszym froncie.

Kolejna seria wbiła się w betonową konstrukcję. Tajwańczycy byli dobrze wstrzelani, wyglądało też na to, że mieli przewagę liczebną, co wyraźnie dziwiło Chona.

– Klinga do Sztychu Jeden, podajcie swoją pozycję! – krzyknął Chon, wcisnąwszy guzik nadawania.

Odpowiedziały mu szумы i trzaski. Nie wiedział, czy to kanonada, czy zakłócenia na linii. Głowa mu pękała, ciemnie wciąż pulsowało od uderzenia o wnętrze bewupa. Miał fart, wyszedł niemal bez szwanku. Kierowca nie miał tyle szczęścia, eksplozja tuż pod kołem cisnęła nim o sufit. Kark pękł jak zapałka. Dwóch innych żołnierzy miało połamanych kilka żeber, jednemu złamało nogę. Chon nie wiedział, co pod nimi wybuchło, ale musiało być zdecydowanie mocniejsze niż haubiczny pocisk.

– Klinga do Sztychu Jeden, podajcie swoją pozycję! Brak odczytu na terminalu dowodzenia! – krzyczał Chon. Niewielki komputer, który udało mu się zabrać z bewupa, pokazywał pozycje wszystkich plutonów poza Sztychem Jeden. Kim przepadł jak kamień w wodę, a kapitan miał szczerą nadzieję, że to tylko awaria nadajnika. – Kurwa!

Spojrzał w tył, trójka żołnierzy rozstawiła między niskimi altanami przeciwpancerny zestaw HJ-12. Musieli coś namierzyć, kilka sekund później rakietą opuściła tubę, wzbiła się wysoko w powietrze i gruchnęła w cel tuż za linią płonących budynków. Kapitan zmrużył oczy. Dopiero teraz dostrzegł, że kilkadziesiąt metrów przed nimi czaił się tajwański M48A3. Wysłużony pojazd nie miał szans w starciu z kierowanym pociskiem przeciwpancernym. Tym bardziej że ten uderzył od góry, tam gdzie pancerz czołgu zawsze jest najbardziej narażony na penetrację.

Chon ponownie spojrzał na ekran terminalu dowodzenia. Jeszcze kilkanaście minut temu pluton Kima zajmował pozycję nieco ponad trzysta metrów na północ. Pamiętał, jak meldowali, że udało im się odeprzeć szturm na kościół i przylegającą tuż do świątyni restaurację. Kontakt urwał się w tym samym

momencie, w którym pojazd Chona wyleciał w powietrze. Działali na styku kompanii, w najgorętszym miejscu, musiał ich znaleźć.

– Klinga do Anakondy, zgłóście się – powiedział spokojnie. Wyjrzał nieco ponad poszarpany obrys murka. Przeciwnik usadowił się w przytulonych do skweru budynkach. Fasady właściwie przestały istnieć, co chwila gdzieś w głębi mrok rozświetlały serie z broni maszynowej lub granatników automatycznych. Walki toczyły się wzdłuż całego skweru, na niebie pojawiły się pierwsze drony szturmowe.

– Anakonda do Klingi, zgłaszam się – odpowiedział dowódca zwiadowców.

– Macie na swoich ekranach Sztych Jeden? – zapytał Chon.

– Nie... Nie widzimy ich – odparł oficer.

– Możecie zlokalizować ich obecną pozycję na podstawie historii nadajnika? – Chon musiał wrzeszczeć, by po drugiej stronie linii można było rozpoznać poszczególne słowa.

– Fizycznie? – zapytał dowódca wyraźnie niezadowolony z polecenia.

– Tak, fizycznie, znajdźcie ich.

– Przyjąłem, Klinga, ruszamy. Bez odbioru.

Oficer o pseudonimie Lampart rozłączył się i spojrzał w niebo. Łatali dziury w chińskiej obronie od południa. Jak nie uwięziony pluton, to snajper, który zatrzymywał natarcie całych oddziałów. Jednostka zwiadu, którą dowodził Lampart, miała pełne ręce roboty, a właśnie otrzymali kolejne zadanie.

– Lampart do wszystkich. Zmiana planów, idziemy szukać Sztychu Jeden z Klingi. Kilkanaście minut temu straciliśmy kontakt z oddziałem w rejonie kościoła katolickiego przy skwerze Guankian na północ od drogi numer dwanaście. – Dowódca stuknął kilka razy urękawiczonym palcem w dotykowy ekran. Ostatnia pozycja zaginionych została przesłana do pozostałych członków plutonu.

– Przyjąłem, Lampart. Kolejne dzieci zgubione we mgle? – Jeden ze zwiadowców bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Na to wygląda. – Lampart skinął głową. – Zostawimy Jedynekę i Trójkę. Szakal, bierz drugą drużynę i ruszamy w stronę kościoła.

– Tak jest – odpowiedział komandos nazywany Szakalem.

Razem z Lampartem druga drużyna liczyła dziesięciu ludzi. Wyposażeni znacznie lepiej niż liniowe jednostki, mogli z powodzeniem stawić czoła niemal każdemu zagrożeniu. Technologia wspomagała prawie każdy ich ruch. Prosty HUD podczepiany pod hełmem dawał obraz z kamery dowolnego członka oddziału. Operator drona mógł porównywać widok z lotu ptaka z tym, co widział ze swojej perspektywy. Każdy z żołnierzy bez problemu przełączał się między nokto- i termowizją. Ocena odległości do celu lub obiektu stała się zamierzchną przeszłością. Do tego dochodziły zaawansowane systemy optyczne przymocowane do oszynowanych karabinów i doskonała łączność. Nikogo nie dziwiło, że od początku inwazji pluton stracił tylko czterech ludzi.

Wyszli na ulicę. Wciąż wspierali kompanię, która atakowała Muzeum Historii Naturalnej. Otwarty i płaski teren nie sprzyjał frontalnym szturmom. Dzięki pomocy plutonu zwiadu udało się znaleźć lukę w obronie Tajwańczyków.

Lampart poprawił zawieszenie karabinu i spojrzał na przedramię. Do pozycji zaginionego plutonu mieli około pół kilometra. Gdyby nie szalejąca wokół bitwa, mogliby tam dojść w pięć minut.

– Lampart do wszystkich, ruszamy. Szeroki szyk.

Przeskoczyli na drugą stronę ulicy. Dobrze widzieli bryłę muzeum, nie było sekundy, żeby fasadą nie targnęła detonacja lub seria nie odłupała sporego kawałka tynku. Kilku tajwańskich żołnierzy wybiegło na zewnątrz, w stronę nieodległego transportera. Jednego już po kilku krokach ścięła celna seria, reszcie

jakimś cudem udało się dotrzeć do celu.

– Przejdziemy kwartałami – powiedział Lampart. Wszedł w najbliższą uliczkę, która, tak jak się spodziewał, kończyła się okratowanym miejscem na kontenery. Tuż za kratami zaczynał się wąski przesmyk między budynkami. Porucznik podszedł do kraty i szarpnął kilka razy. – Zamrażaj. – Skinął w stronę przytulonego do ściany zwiadowcy.

Żołnierz podszedł do kraty i wyjął niewielki przedmiot z zamontowanej przy kamizelce kieszeni. Uruchomił kompresor i wcisnął spust. Krata pokryła się szronem, by ostatecznie zamienić się w zamrożony na kość kawał aluminium. Zwiadowca schował urządzenie z powrotem do kieszeni, złapał za zamrożoną kratę i szarpnął. Grube jak kciuk pręty roztrzaskały się z głośnym brzękiem.

– Droga wolna – powiedział, odkładając kratę na bok.

Dziedziniec między budynkami był pusty, prowizoryczne bramki na jego końcach i wyświechtana do gołej ziemi trawa świadczyły o częstych rozgrywkach osiedlowej ligi piłki nożnej.

Nie było tu nikogo, tego mogli być absolutnie pewni. Termowizja nie wskazywała na obecność ludzi w okolicznej zabudowie. Nic dziwnego, większość górnych pięter była zrujnowana. Jeden z budynków dostał tak niefortunnie, że zawalił się aż do poziomu piwnicy. Kilka chwil później znaleźli się w takiej samej ciasnej uliczce. Zmrożona krata nie stanowiła żadnej przeszkody. Dokładnie w ten sam sposób pokonali kolejny dziedziniec, szybko przebiegli przez malutką bieżnię i plac zabaw przedszkola. Woleli nie zapamiętywać widoku rozerwanych pociskiem artyleryjskim dziecięcych ciał. Lampart zbladł, gdy pod butem zachręściła mu nie do końca obdarta ze skóry czaszka.

Zatrzymali się na skrzyżowaniu. Pokonali już ponad połowę drogi, równoległe do trasy ich marszu przesuwały się sojusznicze wojska. Widzieli, jak niespełna sto metrów przed nimi zatrzymuje się okratowany czołg. Wieża obróciła się powoli, lufa podniosła o kilka centymetrów. Nawet z tej odległości wystrzał był ogluszający. Kilka gazet, które leżały zmięte na ulicy, poderwało się ku górze, zmiecione falą ciśnienia. Pocisk trafił bezbłędnie. Kopała na dachu muzeum porażona ładunkiem HEAT zniknęła w kuli ognia, kawałki blachy przecięły powietrze ze świstem. Lampart był pewien, że gdzieś w łunie ognia dopatrzył się ludzkiego kształtu.

– Miał pecha – stwierdził któryś ze zwiadowców.

– Nie większego niż ten pluton zmechanizowany, co pierwszego dnia pomylił kierunki. Wjechali prosto pod lufy – odezwał się kolejny.

– To mogliśmy być my, w ostatniej chwili przerzu...

– Cisza! Pójdziemy przez ten market, za nim jest ulica, po drugiej stronie będzie kościół. Wypatrujcie naszych identyfikatorów podczerwieni, żeby nas potem przed sąd nie postawili – zakomenderował Lampart.

– Tak jest! – odpowiedzieli zwiadowcy.

– Ruszamy.

Ulicę przeskoczyli po kolei. Jeśli nie brać pod uwagę kilku spalonych do gołej blachy samochodów, parking przed lokalnym dyskontem świecił pustkami. Trupów nie liczyli, nie miało to żadnego sensu.

– Ktoś jest w środku, termowizja ich wykrywa – powiedział idący na przdzie zwiadowca. Natychmiast zatrzymał się i kucnął za nadkolem sedana.

– Przyjąłem, mam przeciwnika w polu widzenia. Odległość czterdzieści metrów. – Lampart skinął głową. – Przez dym nie będą nas widzieć, załatwimy to po cichu. Naprzód!

Szyby wzdłuż frontu marketu były wybite co do jednej. Zwiadowcy nie mieli większego problemu, by dostać się do wnętrza. Kilku Tajwańczyków dopiero co wyszło z zaplecza na halę. Szli gęsiego między alejkami, dwie grupy po czterech, co drugi miał na plecach ręczny granatnik. Lampart był pewien, że mieli narobić rabanu na tyłach.

– Rozdzielić się na sekcje. Tylko boczna broń – powiedział cicho Lampart. Odpiął zatrząsk kabury i

wyjął pistolet.

– Tak jest. – Zwiadowcy powoli przesunęli karabiny na plecy. Wytłumiona broń boczna pojawiła się w zgiętych ramionach.

Lampart nie spuszczał wzroku z przeciwnika. Wewnątrz sklepu było ciemno i duszno. Tajwańczycy musieli mieć noktowizory, to by tłumaczyło niemal bezszelestny marsz. Podłoga zawalona była strzaskanym szkłem, słoikami, pudełkami i masą przeróżnych towarów. Wystarczył jeden źle postawiony krok...

Lampart usłyszał głośne chrupnięcie. Wychwycone przez mikrofony w ochronnikach słuchu było równie głośne jak w rzeczywistości. Nim porucznik zdążył zakląć, w markecie wybuchło prawdziwe pandemonium. Niemożliwym było stwierdzić, kto wystrzelił pierwszy. Wypełniony mrokiem sklep rozjarzył się nagle dziesiątkami wystrzałów. Mierzone, systematyczne strzały chińskich zwiadowców mieszały się z krótkimi, tnącymi powietrze seriami Tajwańczyków. Dowódca odruchowo się pochylił i ruszył do przodu wzdłuż regału z proszkami do prania. Pocisk przeleciał tuż nad jego głową i przestrzelona butelka spadła mu na kark, oblewając zimnym płynem do płukania tkanin.

Dwójka Tajwańczyków była tuż przed nim. Stali za chłodnią i na zmianę posyłali krótkie serie w mrok. Lampart wysunął przed siebie ramiona, do celu miał może dziesięć metrów. Wziął na cel pierwszego piechura. Strzał szarpnął lekko, Tajwańczyk osunął się na kolebę, ten stracił równowagę i upadł z krzykiem. Nim zrzucił z siebie ciało, Lampart dopadł go i przydusił do ziemi. Widział pełne przerażenia oczy i twarz pokrytą kroplami krwi.

– Nie...

Nadgarstek ponownie szarpnął. Kula przeszła przez czaszkę Tajwańczyka i zatrzymała się na kevlarowym dzwonie hełmu.

– Szakal i Cerber dostali. Nie żyją – usłyszał dowódca. Zatrzymał powietrze w płucach i poczuł, jak krew uderza w skronie. – Przeciwnicy zneutralizowani.

– Przyjąłem... – powiedział Lampart.

Przenieśli ciała do wejścia i położyli równo obok siebie. Oznaczyli je identyfikatorami podczerwieni. Medycy nie będą mieć problemów ze znalezieniem zabitych.

Już na pierwszy rzut oka Lampart zauważył, że na ulicy coś nie gra. Owszem, dwa bewupy stały na środku drogi, każdy celował w określone sektory. Oba jednak nie były zniszczone. Otwarte włazy, opuszczona rampa, zupełnie jakby coś wygoniło załogę od wewnątrz. Na chodniku, tuż przy wejściu do kościoła, leżały dwa ciała. Podczas gdy zwiadowcy zabezpieczali wejście do świątyni, Lampart kucnął nad zabitymi Chińczykami. Jeden miał potrójną, podłużną ranę przez pierś, drugiego przebito czymś podobnym do wideł. Lampart zmarszczył brwi. Ostrza przebiły płyty balistyczne.

– Mamy ich – padło w słuchawkach. – Czterech, w tym dowódca plutonu, porucznik Kim.

– Cali? – zapytał, wstając.

– Oni tak, ale reszta...

Lampart westchnął i wszedł do kościoła. Nawa główna wyglądała na nienaruszoną, jakby wojna w ogóle nie dotknęła Bożego przybytku. Spojrzał między ławki, nie musiał się przyglądać, by zobaczyć, że ciała mają takie same rany. Pucinanane ręce, głowy, krew musiała chlustać tu na wszystkie strony.

Na środku, tuż przy pierwszym stopniu ołtarza, siedziała czwórka żołnierzy. Nawet nie zwrócili na niego uwagi. Dwójka zwiadowców stała nad nimi z obojętnymi wyrazami twarzy.

– Nic nie mówią. – Żołnierz wrzuszył ramionami. – Ale jatka musiała tu być niezła.

– No, nie da się ukryć. – Lampart poczuł, jak podeszwa lepi mu się do zalanej przez krew posadzki.

Czołgi i śmigłowce, które pojawiły się przed kilkoma minutami, pozwoliły złapać oddech.

Przygwożdżeni od kilku godzin chińscy piechurzy ledwie trzymali się na nogach. Stracili kolejnych ludzi i sprzęt. Kompania, którą kilka dni temu Chon poprowadził do boju, była cieniem samej siebie. Do tego dochodził zaginiony pluton porucznika Kima.

– Anakonda do Klingi, Anakonda do Klingi, zgłoście się. – Chon otrząsnął się z maligny. Był pewien, że usnął, mimo huku i ciągłej kanonady.

– Klinga, zgłaszam się – odpowiedział, wracając do rzeczywistości. – Znaleźliście ich?

– Tak, mamy porucznika Kima i trójkę żołnierzy Sztychu Jeden.

– Ranni?

– Powierzchownie, zadrapania, siniaki, jak to na froncie – odpowiedział dowódca zwiadowców.

– A co z resztą? Znaleźliście resztę?

– Hm... – Lampart stęknął przeciągle. – Reszta to zdecydowanie grubsza sprawa.

K-677 „Wielkie Łuki”, 50 mil na wschód od Tajwanu | 18 maja 2023, godzina 23:37

Komandor wiedział, że na górze nie dzieje się najlepiej, ale to, co przeczytał w najnowszym raporcie, wprawiło go w nieme osłupienie. Na powierzchni, pod wodą i w powietrzu rozegrała się jedna z największych bitew w nowożytnej historii. Dziesiątki okrętów, całe dywizjony lotnictwa i podwodne armady starły się bezpardonowej batalii o dominację na Oceanie Spokojnym. Ostatni raz o walkach na taką skalę Tamir Rogoziew czytał w opracowaniach przygotowujących Związek Radziecki do starcia z NATO.

Zaskakujące było również to, że sztab określał bitwę jako nierozstrzygniętą. Chińczycy stracili kilkadziesiąt samolotów oraz kolejne siedem okrętów, co właściwie pozbawiło Pekin floty na północ od Tajwanu. Druga strona medalu była taka, że agresorowi udało się dokonać pozornie niemożliwego. USS „Ronald Reagan” poszedł na dno, wraz z kilkoma innymi jednostkami, a amerykańska przewaga skurczyła się. Teraz wszystkie operacje powietrzne nad Pacyfikiem Amerykanie musieli inicjować na Okinawie, co z pewnością nie mogło ujść uwadze Chińczyków.

– Komandorze. – Stiepan Ilcew stanął tuż obok dowódcy.

– Słucham?

– Meldunek z Władywostoku. – Kapitan podał Rogoziewowi wydruk.

– Co mówią? – zapytał komandor, jednocześnie przesuwając wzrokiem po dokumencie.

– Na górze nie dzieje się najlepiej. Chińczycy uruchomili rezerwy floty. Chyba się obawiają, że ostatnia bitwa może rozzuchwalić Hindusów i Wietnamczyków. Poza tym Amerykanie wciąż nie powiedzieli ostatniego słowa – zreferował Ilcew.

– Co o tym sądzisz?

– Że czas nam się kończy – mruknął pierwszy oficer z przekąsem.

– Nam jak nam, ale oni... – Rogoziew wskazał palcem w kierunku, w którym znajdowała się wyspa.

– Oni nie uciekną, nam może się udać.

– Zgodnie z harmonogramem od trzech godzin powinni być już w Jilan. Wciąż nie mamy potwierdzenia ze sztabu. Obawiam się...

Komandor Tamir Rogoziew uniósł dłoń. Wiedział, jakie przecucia zaczynały targać pierwszym oficerem. Skłamałby, gdyby powiedział, że śmierć dyplomatów i komandosów nie przeszła mu przez myśl. Mimo wszystko dopłyne do wyznaczonego miejsca i będzie czekał na kontakt. Tak długo, jak dyktowała procedura, ani minuty krócej, ani dłużej.

– Wiem, Stiepan, wiem – uspokoił go. – Ale oni żyją, dotrą na miejsce.

– Oby miał pan rację, komandorze. – Ilcew skinął głową.

Szli powoli. Chińczycy rozpoczęli przerzut swoich rezerw na obu kierunkach operacyjnych. Lotnictwo wdało się w bezpardonowy bój z Amerykanami, a do tego wszystkiego wody przybrzeżne patrolowały chińskie śmigłowce. Wystarczyłoby, że jeden z nich złapie namiar, a po kilku minutach mieliby na głowie całą eskadrę i grupę uderzeniową.

Do linii brzegowej pozostało im pięćdziesiąt mil, niespełna trzy godziny przy obecnej prędkości. Komandor wiedział, że jeśli do północy nie otrzymają meldunku z Władywostoku, będą musieli zwolnić, a to z kolei zaowocuje dłuższym czasem spędzonym na nieprzyjaznym akwenie. Tak źle i tak niedobrze, pomyślał Rogoziew.

– Śmigłowiec, dwadzieścia osiem mil na zachód od naszych pozycji. Kurs dwa siedem cztery, prędkość sto piętnaście mil – zameldował jeden z marynarzy. – Przecie nasz kurs za cztery i pół minuty, dwanaście mil przed dziobem.

– Zwolnić do dwunastu węzłów – rozkazał Rogoziew.

– Jest zwolnić do dwunastu węzłów – powtórzył kapitan.

Silniki zmieniły ledwie słyszalny szum. Stał się głębszy, niemal zlewał się z dźwiękiem przelewających się po sobie mas wody. Przy tej prędkości powinni ich wykryć, dopiero uderzając sonarem o kadłub.

– Odległość dwadzieścia mil, leci stałym kursem – zameldował marynarz.

– Dobra nasza, nie zauważył nas – skomentował Rogoziew, krzyżując ramiona na piersi.

– Dzięki Bogu... – dopowiedział Ilcew.

Maszyna przecięła kurs okrętu dwanaście mil przed dziobem „Wielkich Łuków”, dokładnie tak, jak zapowiedział operator sonaru. Śmigłowiec powoli oddalał się, trzymając stałą odległość od porowatej linii brzegowej Tajwanu.

– Udało się... – Stiepan Ilcew wypuścił powietrze ze świstem. – Co teraz, komandorze?

– Teraz? – Tamir Rogoziew uśmiechnął się serdecznie. – Teraz to dwanaście węzłów i płyniemy po naszych chłopców, kapitanie.

Pinglin, Republika Chińska | 19 maja 2023, godzina 03:12

Mała Chen nie miała już nawet siły płakać, wisiała w nosidełku na piersi Yanga i kolebała się w rytm jego nierównych kroków. Byli wyczerpani, głodni, przemarznięci. Emily ledwie powłóczyła nogami. Szli środkiem drogi. Po obu stronach wyrastały niskie budynki. Większość okien i drzwi była pozamykana, dla mieszkańców miasteczka fala uchodźców nie była już niczym nowym. Zasłonięte i zabezpieczone łańcuchami rolety antywłamaniowe nie świadczyły najlepiej o dotychczasowych doświadczeniach miejscowej ludności.

Grupa, która postanowiła iść nad zbiornik, okazała się zdecydowanie mniejsza od tej, która zdecydowała się na dalszą podróż tunelem. Setki tysięcy ludzi parły przed siebie, byle dalej na wschód. Yang nie próbował więcej nikogo przekonywać, walczył już tylko o życie swoje i rodziny.

Spojrzał w dół, by sprawdzić, co z córką. Ból w tyle głowy eksplodował z siłą granatu ręcznego. Przed oczami pojawiły się kolorowe mroczki. Wciąż czuł to uderzenie, stracił przytomność, zanim jeszcze na dobre upadł w błoto.

– Wszystko dobrze? – Emily spojrzała na niego zatroskanym wzrokiem. Spróbowała położyć mu rękę na ramieniu. Wiedziała, że ją strąci.

– Głowa mnie boli – odburknął. Spróbował przyspieszyć kroku i omal się nie przewrócił. Ostatni posiłek jadł dobre dwanaście godzin wcześniej, od tamtego czasu ciągle maszerowali. Ścisk był tak wielki, że ledwie mogli oddychać, a co bardziej zdesperowani ludzie wskakiwali na maski i dachy samochodów, byle choć na chwilę dać ulgę poranionym stopom.

– Przejdzie... – powiedziała cicho. – Chcesz wody? – Dobrze wiedziała, jaka będzie odpowiedź.

– Ta woda jest dla dzieci. Jeśli chcesz... – Nie dokończył, zagryzł usta, aż poczuł na języku charakterystyczny, metaliczny posmak.

To ona próbowała z nim porozmawiać. Kiedy wróciła i oznajmiła, że udało jej się zdobyć transport, Yang popłakał się jak małe dziecko. Siedział cały w błocie, z pękającą głową, mokry od rześatego deszczu. Kiedy zapytał ją, czym zapłaciła, Emily nie odpowiedziała, zbladła jeszcze bardziej niż zwykle i powiedziała, że pieniędzmi, które znalazła w kieszeni kurtki. Nie uwierzył.

Nie mógł tego znieść. Wszystkie sytuacje, z którymi się do tej pory zetknęli, tylko utwierdzały go w przekonaniu, że Emily dla przetrwania była w stanie zrobić wszystko. Zostawić jego i dzieci, by jak najszybciej dobiec do tunelu, zabić umierającego na środku ulicy człowieka, zapłacić ciałem za kilka kilometrów jazdy samochodem. Nie miał pojęcia, jakim cudem mogła wciąż ze sobą żyć.

Słońce nie wyłoniło się jeszcze zza widnokregu. Zanim pojawi się nad masywnymi górami, minie dobrych kilka godzin. Pomimo szarej zasłony Yang widział nieregularny zarys wrzecionowatego jeziora. Byli już tak blisko. Pierwszy raz od kilku dni poczuł spokój, bezpieczeństwo. Schronienie czekało na wyciągnięcie ręki.

Minęli rzędy budynków i skierowali się na most. Wraz z kilkutysięczną grupą znajdujących się na nim Tajwańczyków zakręcał szerokim łukiem nad wodami zbiornika Fei-ts'ui. Yanga zdziwił brak kierunkowskazów, oznaczenia drogi do obozu dla uchodźców. Przecież wojsko miało tutaj postawić kilkaset namiotów i baraków, gdzie to wszystko jest? – pytał sam siebie.

Jedynymi osobami, które w jakiś sposób próbowały pokierować tłumem, było kilkunastu policjantów z miejscowego posterunku. Kolorowe koguty wskazywały drogę w powoli rodzącym się przedświcie. Po drugiej stronie mostu kolejni policjanci pilnowali dalszego transferu ludności. Wszyscy byli uzbrojeni w broń automatyczną i kamizelki kuloodporne. Zupełnie jakby sami mieli w każdej chwili zostać wysłani na front.

– Przepraszam, gdzie jest obóz? – zapytał Yang, przechodząc tuż obok jednego ze stróżów prawa.

– Jaki obóz? – Policjant wydawał się szczerze zaskoczony.

– No dla uciekinierów, wojsko miało tu przygotować obóz... – Pewność siebie zaczynała powoli blednąć.

– Panie... – odpowiedział funkcjonariusz i pokręcił przecząco głową. – Zapomnij pan. Idźcie, szybciej, nie blokujcie drogi.

– Ale jak zapomnij? Co zapomnij?! Gdzie my mamy iść?! – krzyczał Yang resztkami sił. Policjant nie trzasnął go pięścią w twarz chyba tylko ze względu na dziecko.

– Ruszać się... – warknął.

Na pierwszym skrzyżowaniu droga rozwidła się w trzech kierunkach. Yang bez wahania wybrał najmniej uczęszczany szlak. Większość bez namysłu poszła za wyciągniętą ręką policjanta, na wschód. Być może dalsze analizy i rozważania przekraczały ich możliwości? Mieli nadzieję, że podyktowane przez innych warunki będą jedynymi słusznymi.

Kilka minut później przekroczyli kolejny most, już przez nikogo nieobstawiany. Grupa kilkuset cywilów zaczynała się wykruszać, część skręciła w stronę widocznej z drogi fabryki. Kilkudziesięciu innych zostało na parkingu nieopodal brzegu jeziora. Szybko poradzili sobie z szybami samochodów. Reszta poszła dalej.

Słońce było coraz wyżej, jasne refleksy zaczęły pojawiać się na tafli wody. Obojętny na otaczającą go rzeczywistość, Yang bezmyślnie prześlizgnął się wzrokiem po tablicy zapraszającej do ośrodka wypoczynkowego tuż nad brzegiem jeziora.

Kiedy dotarli przed bramę, grupa liczyła kilkadziesiąt osób. Ludzie zatrzymali się i zaczęli szeptać. Yang podniósł wzrok. Bramy strzegł uzbrojony mężczyzna, ale z pewnością nie był żołnierzem. Ubrany w dżinsy i skórzaną kurtkę trzymał przed sobą myśliwski sztucer.

– Mamy jedzenie, wodę, czyste ubrania. Wkrótce przybędzie tu wojsko – powiedział wystudiowanym głosem. Zupełnie jakby mówił tę samą kwestię po raz setny. – Jeśli będziecie przestrzegać zasad, wszystko będzie dobrze. – Nie doczekawszy się odpowiedzi od żadnego z uciekinierów, dodał równie pośepnie: – Witajcie w Aleksandrii.

Niewielki domek letniskowy dostali tylko dlatego, że mieli ze sobą małe dziecko. Po oględzinach Chen oraz podaniu kroplówki jej i Davidowi pozwolono im odpocząć. Śniadanie stanowiło kilka kromek czerstwego chleba, gotowane jajka i nieco pomidorów. Zjedli w milczeniu. Mała Chen wciąż była pod opieką lekarzy.

– Yang – powiedziała Emily, kiedy David zasnął w ich zatęchłym domku.

– Słucham? – zapytał od niechcienia.

– Dziękuję... – Podeszła bliżej. – Nie wierzyłam, że nam się uda. Doprowadziłeś nas tutaj, teraz już wszystko będzie dobrze. Teraz możesz mnie oczyścić, zedrzyć ze mnie ten wstyd... – Zaczęła rozpinąć pasek przy jego spodniach.

– Przestań! – Złapał ją za dłonie tak mocno, że aż pisnęła. – Doprowadziłem tu Chen i Davida. Ciebie... – Poczuł, że gniew narasta w nim z każdą sekundą. – Ciebie powinienem wtedy zostawić. Tak jak ty wielokrotnie chciałaś zostawić nas.

Granat wystrzelony z RPG przeleciał niecałe pół metra od jego głowy. Gorąco wyrzucanych za rakieta gazów poparzyło skórę. Huk detonacji i fala uderzeniowaomal nie zwały go z nóg. Pluton, którym dowodził porucznik James Kilun, od początku walk skurczył się o połowę. Zostały mu dwa pojazdy i kilkunastu żołnierzy, martwi znaczyli ślad bojowy od północnych wybrzeży Tajwanu aż do centrum Tajpej.

Porucznik wychylił się przez okno. Zajęty przez Chińczyków dworzec główny tonął w tumanach dymu i następujących jeden po drugim wybuchach. Co chwila przez siwe kłęby przebijały się błyski wystrzałów. Podejście do dworca było wręcz stworzone do walk na krótkie dystanse. Plac poprzedzający szerokie schody roił się od murowanych klombów, ławek, okolonych krzewami skwerów i odlewanych z betonu balustrad. Każda taka przeszkoda oznaczała kolejną miniaturową twierdzę, przechodzącą co chwila z rąk do rąk.

– Amarant do Kuriera, Amarant do Kuriera. Przenieście ogień dwadzieścia pięć metrów na północ! Przesyłam dokładne współrzędne! – krzyczał do słuchawki jeden z podwładnych Kiluna. – Dane przesłane, poruczniku!

– Dobra robota, jeszcze chwila i zmieniamy pozycję! – odpowiedział porucznik.

James Kilun podzielił pluton na dwie części. Ocalałe pojazdy typu CM-32 wraz z kilkunastoma żołnierzami stanowiły mobilny odwód i miały zabezpieczyć odwrót kompanii. Resztę porucznik zabrał ze sobą na piąte piętro sąsiedniej Wieży Szin Kong. Biurowiec, choć wyraźnie naruszony ostrzałem i przeciągającymi się walkami, wciąż stanowił doskonały punkt obserwacyjny.

Wezwane wsparcie ogniowe odezwało się już kilkanaście sekund później. Bateria amerykańskich haubic M108 gruchnęła tuż za dworcem, gdzie do skoku szykował się kolejny oddział chińskich żołnierzy. Przekraczali właśnie pas zieleni oddzielający dwupasmówkę od sporych rozmiarów parkingu. Ładunki wbiły się dokładnie między sunące do przodu pojazdy i piechotę. Pierwsza salwa zmiotła jeden z transporterów i położyła pokotem przynajmniej drużynę. Ocalali rozbiegli się na wszystkie strony w poszukiwaniu schronienia. Płonący pojazd zatrzymał się po kilku metrach. Rannych natychmiast skosiły serie tajwańskich karabinów maszynowych.

James Kilun zobaczył przeciwnika w ostatniej chwili. Chiński piechur złożył się do strzału, seria zarykoszetowała o fasadę, dwa pociski wbiły się w przeciwległą ścianę pokoju, roztrzaskując po drodze niewielką akwarelę.

– Jasna cholera... – mruknął Kilun.

– Może się pan schowa, poruczniku? – Snajper leżał na szerokiej ławie ukrytej w głębi pokoju. – Mam go na celowniku.

– No to czynń honory – odpowiedział Kilun przytulony do ściany.

Odrzut był wyraźnie wyczuwalny, strzelcem aż szarpnęło. Kurz w pomieszczeniu uniósł się szarymi kłębami. Postaci rozmyły się, kilku ludzi zakaszało lub splunęło pod nogi.

– Cel zneutralizowany – powiedział strzelec, przesunął się do tyłu i ześlizgnął z ławy.

James Kilun uśmiechnął się przez zaciśnięte usta. Nieznacznie wyjrzał zza futryny. Artyleria wciąż waliła w parking. Paliły się już dwa wozy, a naprowadzona ostrzałem tajwańska piechota skupiła ogień na dziesiątkowanym oddziale.

Amerykańska pomoc w powietrzu była nieoceniona. Gdyby ta sama bitwa rozgrywała się dobie wcześniej, nie mieliby szans tak długo trzymać Chińczyków w szachu. Już po pierwszym szturmie pojawiłyby się śmigłowce szturmowe i samoloty bezpośredniego wsparcia. Teraz mieli szansę, niewielką, ale zawsze. Na razie korzystali z niej całymi garściami.

– Poruczniku... – operator drona zwiadowczego odezwał się z głębi pokoju.

– Tak? – zapytał Kilun. Podeszedł do niewielkiego biurka, za którym siedział żołnierz. Nachylił się przez ramię, by lepiej widzieć ekran.

– Do dwupasmówki zbliża się ciężki sprzęt. Wygląda to na pluton czołgów, identyfikacja potwierdza, że to Typ-96G.

– Piechota morska... – westchnął porucznik. – Są też transportery i piechota. Przynajmniej kompania. Cholera...

– Dotrą do drogi za jakieś cztery minuty – dodał operator.

– Przekaż dalej, jak wyjadą na otwartą przestrzeń, zajmie się nimi artyleria. – James Kilun stuknął palcem w ekran, na którym jaśniał termiczny obraz toczącego się czołgu.

– Tak jest.

Porucznik podbiegł do ściany i przywarł plecami do tapety. Przysunął się do rozbitego okna. Chińczycy mimo ciężkich strat czynili postępy. Udało im się zająć większość placu przed dworcem, gdzieś między chmurami dymu majaczyły kanciaste kształty bewupów.

– Czołgi na drodze! – krzyknął operator drona.

– Dajcie namiar artylerii! – odpowiedział Kilun.

– Amarant do Kuriera, Amarant do Kuriera, przesyłam współrzędne do ostrzału. – Łącznościowiec musiał przyciskać mikrofon do ust, by kanonierzy po drugiej stronie mogli zrozumieć sens słów. – Amarant do Kuriera, zgłóście się.

Porucznik spojrzął na łącznościowca, ten podniósł wzrok znad radia i pokręcił głową. Połączenie z baterią haubic zostało zerwane.

– Dane nie przechodzą, albo ich zagłuszają, albo... – Żołnierz zawiesił głos, nie musiał kończyć.

Świst trwał ledwie ułamek sekundy. Grom, jaki rozerwał się gdzieś ponad ludźmi Kiluna, wysysał powietrze z płuc. Ziemia jakby osunęła się spod nóg i porucznik musiał złapać się szafy, by ustać na nogach. Nieświadomie stanął w świetle okna i odruchowo padł na podłogę, tłukąc sobie łokieć. Krótka seria ponownie przeorała fasadę budynku i ścianę pokoju.

– Co to, kurwa, było? – zapytał operator drona, który zbierał się z podłogi.

– Spierdalać! – krzyknął obserwator. – Czołgi nas macają!

Nie zdążyli nawet dobiec do drzwi, gdy kolejna eksplozja rozerwała się na naruszonym już budynku. Do klatki schodowej mieli ledwie kilkanaście kroków. Na windy tak czy inaczej nie mogli liczyć. Trzeci wystrzał. Porucznik poczuł na plecach falę gorąca. Pocisk wszedł prosto w pokój, roznosząc na strzępy meble i ściany.

– Poruczniku, chińskie czołgi strzelają w Szin Kong, radzę się ewakuować. – Kilun usłyszał w aktywnych słuchawkach spokojny głos sierżanta, którego zostawił wraz z resztą plutonu na ulicy.

– Właśnie spieprzamy do klatki schodowej! – odpowiedział porucznik. – Jak sytuacja na dole?

– Zajęliśmy pozycje obronne, nasi właśnie zaczynają się wycofywać. Ponoć straciliśmy wsparcie artylerii.

– Kurwa! – skwitował porucznik.

– Zgadzam się...

Szaleńczy bieg w dół schodów doprowadzał do zawrotów głowy. Porucznik omal nie wpadł na kolumnę w holu, zręcznie wyminął porozrzucane fotele i sterty sztukaterii, która odpadła od ścian i sufitów. Dwójka jego ludzi obstawiała wejście do budynku, pomachali sobie na pozdrowienie. Obaj strażnicy wyglądali na nerwowych, co chwila składali się do strzału, celując lufami w wylot ulicy.

– Prowadźcie do sierżanta – powiedział Kilun. Zdyszany ruszył biegiem za dwójką żołnierzy. Reszta jego ludzi syczała z wyczerpania.

– Tak jest!

Oba CM-32 stały na oddalonym o kilkadziesiąt metrów skrzyżowaniu. Ustawione tak, by mogły się wzajemnie osłaniać, były dodatkowo chronione przez wraki samochodów. Pozostali żołnierze plutonu Amarant rozstawili się w newralgicznych miejscach, mając pieczę nad całą szerokością drogi.

– Poruczniku. – Zastępca Kiluna podszedł i wytarł rękawicą taktyczną spocone czoło pod hełmem. – Batalion jest w trakcie odwrotu, możemy się spodziewać, że pójdzie na nas część pościgu.

– Dostaniemy wsparcie? – zapytał Kilun.

– Mamy sobie radzić sami. Za kilka minut otrzymamy rozkaz do...

Seria pocisków rozerwała karoserię porzuconych samochodów. Pojawiły się u wylotu drogi, dwieście metrów od pozycji plutonu Kiluna. Chińskie drony bojowe meandrowały między wrakami i

stertami gruzu. Wieże CM-32 ożyły, poruszały się chaotycznie, próbując namierzyć przeciwnika. Tuż za dronami pojawili się pierwsi żołnierze. Zatrzymali się na samym końcu ulicy i ostrzeliwali Tajwańczyków.

– Rozwalcie to! – krzyknął Kilun na ogólnym kanale plutonu. Kucnął za betonową zaporą, ustawioną w poprzek pasa.

– Namierzam – odpowiedział dowódca jednego z wozów. – Cel zamknięty. Ognia!

– Ognia! – powiedział dowódca drugiego z pojazdów.

Wystrzał ukrył CM-32 w kłębach dymu. Porucznik słyszał, jak pociski rykoszetują na przednim pancerzu transportera. Gdzieś obok ktoś krzyknął i osunął się na ziemię. Porucznik wyrzwał znad zasłony. Jednego musieli trafić, płonąca opona przetoczyła się przez ulicę. Na całej szerokości jezdni wały się zmielone przez ciśnienie szczątki. Drugi strzał trafił w sąsiedni budynek, z wyrwanej siłą eksplozji dziury wydobywały się coraz mocniejsze płomienie.

Kilun uśmiechnął się, widząc, że drugi dron również zniknął, a chińska piechota przyczała się za budynkami. Nie przeszkadzał mu nawet przeszywający jęk rannego szeregowca, który leżał tuż obok w powiększającej się kałuży krwi. Uśmiech zaczął jednak powoli znikać, zastąpiony przez grymas paraliżującego przerażenia. Tam gdzie jeszcze chwilę temu kłębiły się oświetlane słońcem kłęby pyłu, rysowały się kanciaste kształty chińskich czołgów.

Hrabstwo Jilan, Republika Chińska | 19 maja 2023, godzina 06:21

Tak jak się spodziewali, paliwo w obu busach skończyło się już po kilku godzinach. Do samego Jilan mieli wówczas dobre dziesięć kilometrów, ponad dwa razy tyle do punktu ewakuacyjnego. Podróż pojazdami pozwoliła choć na chwilę dać odpocząć nogom. Przebyte kilometry czuli nawet wspomagani przez egzozkielety komandosi. Dla cywilów była to prawdziwa mordęga. W gigantycznym korku spędzili dobre dwanaście godzin. Tysiące samochodów ściśniętych na kilku pasach ruchu przemieszczało się w ślimaczym tempie. Co chwila dochodziły ich słuchy o tym, że zaraz będzie luźniej, że już widać wojsko. Co bardziej zdesperowani w pewnym momencie po prostu porzucali samochody i ruszali w dalszą drogę na piechotę. Jastrzębski wcale im się nie dziwił. Gdyby nie cywile, sami zapewne wybraliby dokładnie ten sam sposób pokonania ostatnich kilometrów.

Celowo nie wybrali tunelu. Wystarczyłaby jedna celnie ulokowana bomba, by zamknąć ich w śmiertelnej pułapce. Podobnie pomyślały dziesiątki tysięcy uciekinierów. Samochody, autobusy, ciężarówki, wszystkie wciąż działające pojazdy tłoczyły się na serpentynach i wąskich drogach pośród gór. Gdy zjeżdżali w dół, brzeg wydawał się na wyciągnięcie ręki, wystarczyło tylko przejechać niewielką równiną i załadować się na okręt.

Zamiast tego czekała ich jeszcze wielogodzinna przeprawa na południe, w stronę niewielkiej zatoki. Dla wielu cywilów ten wysiłek mógł jednak przekroczyć fizyczne możliwości. Gdyby byli zdrowi, zapewne pokonaliby ten dystans bez większego problemu. Jastrzębski widział, w jakim są stanie: gorączkujący, bladzi, kilkudniowa ewakuacja była szokiem dla ich organizmów. Widzieli i przeżyli zdecydowanie za dużo. Nic dziwnego, że nie potrafili usiedzieć w fotelach. Większość miała dreszcze i okrywała się ukradzionymi kocami.

Ostatnie krople paliwa spalili tuż przed świtem. Busy, najpierw jeden, a zaraz potem drugi, zacharczały silnikami, szarpnęły i stanęły. Kilka kilometrów przed Jilan wrócili do pierwotnej formy podróży. Komandosi myśleli o tym, by pokonać ostatni kawałek jak najbezpieczniej. Ponownie założyli egzozkielety, kamizelki taktyczne i wspomagane elektroniką hełmy. Pewność siebie i determinacja wzrosły. Co chwila musieli uspokajać eskortowanych urzędników. Radosław Bielecki, który jako jeden z niewielu wciąż opierał się silnej gorączce, w pewnej chwili po prostu odpłynął. Osunął się na ulicę z hurgotem przewracanego kontenera. Komandosi natychmiast rozbiegli się, obstawiając swoje sektory odpowiedzialności. Dwójka specjalsów w tym czasie podniosła z asfaltu Polaka.

– Chyba musimy się gdzieś zatrzymać – powiedział Jastrzębski. – Zaraz trzeba będzie nieść ich na plecach.

– Jednego i tak już niesiemy... – burknął „Angel”. Razem z drugim komandosem położyli właśnie nosze, by dać odpocząć ramionom. Cywil ze skrzywą kostką nie był w stanie samodzielnie przebyć reszty drogi. Noga spuchła mu jak arbuzy, zaaplikowane medykamenty mogły tylko zamaskować ból, ale kości nie spajały.

– Sześćset metrów stąd jest posterunek policji. Wygląda na to, że wciąż funkcjonuje, powinniśmy go ominąć. – Preiss kucnął tuż obok operatora drona zwiadowczego. – Zatrzymamy się w klubie golfowym. Wątpię, żeby policja tam zaglądała, a musimy połączyć się ze sztabem po dotarciu do Jilan.

– Ale my jeszcze nie jesteśmy... – zaczął „Angel”.

– Wiem, powinniśmy im dać znać już dobre kilka godzin temu. Muszą wiedzieć, że żyjemy – odpowiedział Preiss.

– Tak jest.

Bielecki doszedł do siebie po kilku minutach i wypiciu butelki wody. Siedział przez chwilę na ulicy, ciężko oddychając. Spędzili na środku drogi zdecydowanie więcej czasu, niż powinni. Choć okoliczna zabudowa nie była szczególnie gęsta, ryzyko zauważenia przez nadgorliwego mieszkańca drastycznie wzrosło. Za wszelką cenę chcieli uniknąć niepotrzebnej konfrontacji z tajwańskimi służbami.

Zeszli na łąkę, w porannym słońcu nie musieli już wskazywać drogi dla cywilów. Klub golfowy, o którym mówił Preiss, mieścił się około stu metrów od posterunku policji, ale odgłosy, jakie dochodziły z Jilan, utwierdzały w przekonaniu, że funkcjonariusze będą mieli co robić. Nie mylili się, dostrzeżony zawczasu ruch na dziedzińcu zaalarmował specjalsów. Ukryci za krzewami i budynkami odprowadzili wzrokiem trzy radiowozy, które na pełnym gazie wyjechały poza posterunek.

Do klubu podeszli ostrożnie. Parterowy budynek nie wyglądał na uszkodzony. Wejście było zamknięte, szyby całe, na podjeździe nie było za to ani jednego pojazdu. Kilkuosobowa sekcja dość szybko poradziła sobie z zamkiem i zniknęła w ciemnym holu. Oczekiwanie na meldunek ciągnęło się w nieskończoność, budynek musiał być znacznie większy, niż zakładali.

– Antracyt Dwa do wszystkich, budynek czysty. Powtarzam, budynek czysty – usłyszeli spokojny głos „Padre”. – Możecie wchodzić, jesteśmy w głównym holu.

– Antracyt Dwa, tu Orchidea, przyjąłem. Wchodzimy – odpowiedział Preiss.

Dyplomaci nie czekali na zaproszenie, bez pytania zajęli wielkie skórzane kanapy i fotele w holu. Radosław Bielecki sięgnął po stojącą nieopodal gaśnicę i zamierzył się na automat z przekąskami.

– Stój! – zdążył krzyknąć Bołkoński. Podeszedł do automatu i wyjął z kieszeni niewielkie urządzenie. Przycisnął ostrze do szyby i obrysował sporych rozmiarów owal. – Nic na siłę, nie zależy nam na rozgłosie. Proszę odłożyć tę gaśnicę.

Bołkoński zdecydowanym ruchem pchnął szybę. Tafla poddała się bez większego oporu, wpadła do środka i rozsypała się na tysiące niewielkich sześciątów. Grube ściany lodówki wytłumiły nieco brzęk tłuczonego szkła.

– Rzeczywiście cichutko – powiedział „Padre”.

– Na pewno ciszej, niż jakbyś przyjechał gaśnicą – skwitował Bołkoński. – Poza tym z przyjemnością sam skorzystam.

Jastrzębski wyjął z automatu kilka butelek wody i rozdał po jednej każdemu z cywilów. Orzeszki ziemne, chipsy, batoniki i zupki instant rozeszły się w błyskawicznym tempie.

– Panie Bielecki, proszę coś zjeść, przed nami jeszcze kawałek – powiedział Jastrzębski i podał dyplomacie rogalik.

– Dziękuję... Mamy już dość. – Polak kichnął potężnie, aż szyby zadudniły. – Przepraszam, wiem, że powinniśmy być cicho.

– Proszę odpocząć, niedługo będziemy ruszać.

Jastrzębski wyczuł, że dyplomata nie ma ochoty na dłuższą pogawędkę, skinął więc na pożegnanie i zmierzył hol ostrożnymi krokami. Preiss w tym czasie rozstawił czujki i polecił rozłożenie radiostacji. Bołkoński usiadł i oparł się plecami o granitowy kontuar. Bryła recepcji osłaniała go od szyb stanowiących front budynku. Jastrzębski podeszedł i przesunął MSBS-a na plecy. Rosjanin w tym czasie ściągnął hełm i zabrał się do rozpakowywania batona.

– Jak się trzymasz? – zapytał Jastrzębski.

– Doskonale – odpowiedział Bołkoński z głupim uśmiechem. Spojrzał na Polaka zamglonym od stymulantów wzrokiem. Chemia pozwalała utrzymać ciało w dobrej kondycji i uśmierzała ból. Przestrzelone pośladki były zabawne do czasu, gdy trzeba było na nich usiąść lub kucnąć.

– Już niedługo. Dasz radę, Andriej. Dzisiaj musimy załadować się na tę łajbę.

– Myślisz, że nie wiem? Jak tylko dragi przestaną działać, dupa mi odpadnie – powiedział Bołkoński, przegryzając czekoladę. – Przez miesiąc nie usiądę, a na kiblu...

– Orchidea do wszystkich, zbiórka. Próbujemy nawiązać połączenie – usłyszał Jastrzębski pod hełmem.

– Preiss woła na odprawę. Zbieraj się – powiedział do Rosjanina, złapał go za wyciągniętą dłoń i pomógł wstać. Nie skomentował krwawej plamy, którą zostawił po sobie Bołkoński.

Prowizoryczne centrum dowodzenia zainstalowali w przylegającym do recepcji biurze. Radiostację wraz z antenami rozstawili na solidnym stole między regałami pełnymi kolorowych segregatorów. Preiss i „Padre” czekali już tylko na nich. Obaj zdjęli swoje hełmy, byli piekielnie zmęczeni.

„Minion”, operator odpowiedzialny za łączność ze sztabem, manipulował już przy panelu. Przełączył odpowiednie guziki, zaszyfrował połączenie i wybrał kod.

– Terrarium do Szklarni, Terrarium do Szklarni – powiedział, przyciskając słuchawkę zestawu do ucha. – Cisza... – dodał po kilku sekundach.

– Spróbuj jeszcze raz – polecił Preiss. – Przełącz na głośnik.

Udało się dopiero za czwartym razem.

– Szklarnia do Terrarium, zgłaszam się. – Głośnik ożył niemal krystalicznie czystym dźwiękiem. Głos rozpoznali od razu i wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Marysia Wójcik była jedną z pierwszych kobiet, które przeszły selekcję do Radegastu. Zamiłowanie do elektroniki i szyfrów szybko zaprowadziło ją do sztabu jednostki i sekcji zajmującej się wywiadem elektronicznym. Jastrzębski pamiętał, że ilekroć mijał Marysię na korytarzu, za każdym razem odczuwał irracjonalną potrzebę pociągnięcia za gruby brązowy warkocz.

– Szklarnia, sprawdzam korespondencję radiową...

„Minion” wymienił się z Marysią kodami potwierdzającymi autentyczność rozmówców. Teraz pozostawało już tylko zdanie relacji z ostatnich dni i zameldowanie o gotowości do ostatniego podejścia. Łącznościowiec podał słuchawkę Preissowi.

– Orchidea do Szklarni, dotarliśmy na przedmieścia Jilan. Jesteśmy gotowi do dalszej drogi. Jaśmin Jeden jest ranny, powtarzam, Jaśmin Jeden ranny. Zachował zdolność do samodzielnego przemieszczania się – zaczął Preiss. – Mamy też jednego rannego cywila...

Kilka minut zajęło Preissowi przedstawienie historii ostatnich dni. Tłumaczył powoli, dokładnie, szczegółowo opisując poszczególne sytuacje, które doprowadziły do przestrzelenia Bołkońskiemu tyłka i złamania kończyny u jednego z cywilów. Potem przyszedł czas na zreferowanie kradzieży busów i drogę do Jilan.

– Teraz zajmujemy jeden z budynków klubu golfowego na przedmieściach. Możecie zlokalizować nas po transponderach, uruchomiliśmy nadajniki kilka minut temu – powiedział Preiss.

– Przyjęłam, Terrarium – odparła Marysia. – Mam was, przed wami wciąż niezły spacer, a robi się coraz goręcej. Ostatnie raporty donoszą, że Chińczycy przerzucają swoje siły na wschodnie wybrzeże. Wkrótce możecie ich spotkać.

– Jak to wygląda na całej wyspie? – zapytał kapitan.

– Chińczycy opanowali niemal cały obszar między zachodnim wybrzeżem a górami. Tajwańczykom zostało tylko kilka enklaw, w tym największa na północy. Około jednej trzeciej Tajpej wciąż jest w rękach obrońców. Ale długo to już nie potrwa. Nawet z amerykańskim wsparciem nie mają szans utrzymać swoich pozycji. Dostaliśmy też informacje, że na południu koncentrują się floty Indii oraz Wietnamu – referowała Marysia. – Obawiamy się, że w ciągu najbliższych godzin może dojść do otwarcia drugiego frontu na Morzu Południowochińskim. Może to znacznie utrudnić ekstrakcję.

– Gdzie jest Autobus? – zapytał Preiss.

– Trzydzieści mil na wschód od wybrzeża. Będą mogli wysłać Taksówki w ciągu kilku najbliższych godzin. Musicie się pospieszyć, Orchidea.

– Co ty powiesz – mruknął Preiss z przekąsem. – Za kilka minut...

Do pokoju wpadł „Kruszyna” i nerwowo podrzucił w dłoniach skróconą wersję Pieczenięga. Preiss spojrział na niego i podał słuchawkę „Minionowi”.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Powinien to pan kapitan sam zobaczyć – odpowiedział „Kruszyna” i wskazał za siebie.

Doszli do najbliższego okna. Zaciemniona szyba pozwalała zachować całkowitą dyskrecję.

Nad Jilan zmierzało przynajmniej kilkanaście helikopterów transportowych, wspieranych przez dwa klucze szturmowców. Pomiędzy budynkami wznosiły się coraz to nowe słupy czarnego dymu. Chińczycy rzeczywiście rozpoczęli operację na wschodniej stronie wyspy. Czas przyspieszył.

– Powiedz wszystkim, że mają pięć minut. – Preiss spojrział na „Kruszynę”. – Jak się uda, ogarnijcie transport.

– Tak jest. – Rosjanin skinął posłusznie głową.

– Kurwa mać – powiedział Preiss sam do siebie, wracając do biura. – Że też zawsze wszystko musi się pierdolić na pięć minut przed końcem...

Zakazane Miasto, Pekin, Chiny | 19 maja 2023, godzina 10:37

Uśmiechnął się, gdy poczuł na plecach ciepło. Słońce zaczynało przyjemnie grzać po chłodzie wczesnego poranka. Poprawił węzeł krawata i sięgnął po filiżankę aromatycznej herbaty. Rytuał ten powtarzał zwykle kilka razy dziennie. Specjalnie skomponowana mieszanka zapewniała bystrość umysłu i pobudzała znacznie lepiej niż kawa.

Zauważył ich już z daleka. Celowo wybrał akurat tę altankę, gdzie osłonięty przez wiśniowe drzewa mógł obserwować niemal całe jezioro. Zbliżali się w asyście milczących ochroniarzy. Xi Jinping już od dłuższego czasu zastanawiał się, czy nie zmienić umundurowania strażników. Garnitury, czarne okulary i przylegające do karku kable nieszczególnie pasowały do tysiącletnich murów Zakazanego Miasta. Nie mógł jednak znaleźć odpowiedniego rozwiązania. Przecież nie ubrałby ich w zbroje i nie kazał chodzić z mieczami przy boku.

Ostatni łyk naparu upił, kiedy goście wchodzili już na pierwszy stopień altany. Odstawił filiżankę na ceramiczny spodek i wstał. Dzień był na tyle piękny, że postanowił przyjąć ich z uśmiechem.

– Dziękuję, że panowie przyszli. Proszę siadać – powiedział, po czym wskazał trzy rzeźbione fotele. – Mają panowie ochotę na herbatę? – zapytał.

– Z przyjemnością, panie prezydencie – odparł Lu Szeniu. Szef III Departamentu był w dobrych relacjach z prezydentem. Wiedział, że akurat w jego przypadku propozycja herbaty nie była tylko kurtuazyjnym wstępem do rozmowy. Szef sztabu oraz minister spraw zagranicznych wymienili ukradkiem spojrzenia i grzecznie podziękowali za hojną propozycję.

Xi Jinping uniósł dłoń i stojący kilka kroków za nim steward natychmiast podszedł z czajniczkiem pełnym herbaty. Postawił przed szpiegiem filiżankę i napełnił. Lu Szeniu podziękował ledwie zauważalnym skinieniem głowy.

– Wyborna. – Wywiadowca upił pierwszy łyk i podniósł herbatę na wysokość wzroku. Xi Jinping odpowiedział spojrzeniem.

Dwójka pozostałych gości siedziała w całkowitym milczeniu. Nie zdziwiła ich zmiana miejsca spotkania. Początkowo odprawa z prezydentem miała się odbyć w jednej z sal pałacu, wiedzieli jednak, że Xi Jinping przebywał w ogrodach tak często, jak tylko pozwalała na to pogoda.

Prezydent złączył dłonie na blacie okrągłego stołu. Spojrzał gdzieś ponad zebranych, jakby zbierał myśli. Nie pozostawało im nic innego, jak czekać.

– Nasza operacja wchodzi w ostateczną fazę, panowie – powiedział wreszcie, przenosząc na nich wzrok. – Choć ponieśliśmy wielką ofiarę, to my rozdajemy karty w tej grze i to my zdecydujemy, kiedy nastąpi jej koniec. Uważam, że nadszedł czas do przygotowania naszego najważniejszego uderzenia.

Szef III Departamentu skinął na potwierdzenie. To on był przede wszystkim adresatem wypowiedzi prezydenta. Operacja specjalna, która miała na celu zajęcie kompleksu zimnej fuzji wraz z ośrodkami towarzyszącymi, stanowiła kluczowy element całej inwazji.

– Nocny Tygrys jest gotowy do przeprowadzenia operacji. Wsparcia na miejscu udzielą nam jednostki dywersyjne, które przerzuciliśmy na wyspę kilka miesięcy temu. Większość z nich jest wciąż aktywna – odpowiedział Lu Szeniu.

– Wojska konwencjonalne również będą w stanie zabezpieczyć operację. Nocny Tygrys zostanie przerzucony drogą powietrzną, nasze myśliwce dadzą odpowiednią osłonę – wtrącił szef sztabu.

– Generale Fenghui – prezydent przeniósł beznamiętny wzrok na wojskowego – ta operacja ma najwyższy priorytet. Wyzwolenie Tajwanu, bez przejęcia kontroli nad tą technologią, będzie marnotrawstwem życia naszych ludzi i środków, które zaangażowaliśmy. Proszę wyasygnować najlepszych pilotów i najlepsze maszyny. Muszą dolecieć nad cel.

– Oczywiście, panie prezydencie – odparł pewnym głosem Fenghui.

– Dokonano już wstępnego rozpoznania? – zapytał Xi Jinping, ponownie spoglądając na generała Szeniu.

– Naturalnie...

Kompleks technologiczny i sam reaktor zlokalizowano wysoko w górach parku przyrodniczego Aiszan. Sam budynek nie był wiele większy niż średniej wielkości biurowiec. Prawdziwa wartość kryła się jednak pod ziemią – to właśnie tam, kilka pięter poniżej litych skał znajdowało się serce programu energetycznego tajwańskiego rządu. Ogrodzonego i monitorowanego obszaru broniła setka uzbrojonych po zęby strażników. Jak udało się dowiedzieć III Departamentowi, ochroną zajmowała się prywatna firma, która podpisała kontrakt z Tajpej. Prywatna armia pochodziła oczywiście z Tajwanu i rekrutowała się spośród weteranów wyspiarskich jednostek specjalnych i desantowych. Korporacja była na tyle prężna, że była w stanie wystawić do obrony kompleksu baterię zestawów Sky Sword II, dostarczonych przez rodzimego producenta. Dodatkowo teren patrolowało kilkanaście transporterów opancerzonych i pojazdów typu MRAP. Do głównej bramy prowadziła tylko jedna droga, a dziedziniec okazał się za mały, by przeprowadzić desant śmigłowcowy na większą skalę. Konieczne było uderzenie od strony drogi i jednoczesne ataki wspierające z innych kierunków. Chińska jednostka specjalna, Nocny Tygrys, trenowała atak na makietę kompleksu od tygodni. Lepiej przygotowani już nie będą.

– Jesteście pewni, generale, że Tajwańczycy nie wysadzą kompleksu, kiedy dowiedzą się, że chcemy go przejąć? – zapytał Xi Jinping.

Lu Szeniu zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie zrobią tego. Zimna fuzja to ich karta przetargowa, wciąż wierzą, że Amerykanie przyjdą z pomocą. Bądźmy szczerzy, Albert Armitage poświęci znacznie więcej niż do tej pory, by sprzątnąć nam technologię sprzed nosa – odparł szef III Departamentu.

– Podczas szturmego mogą uznać, że i tak wszystko jest już stracone – rzucił Fang Fenghui.

– Kiedy toczy pana choroba, każe pan otwierać grobowiec? Tak na wszelki wypadek? – zapytał Lu Szeniu z kpiącym uśmiechem. – Zimna fuzja to przyszłość, a dla tej przyszłości będą w stanie poświęcić wszystko. Ameryka za tę przyszłość oddała lotniskowiec, okręty, samoloty i tysiące zabitych. Prędzej wysadzą desant na Tajwanie, niż pozwolą Tajpej oddać kompleks.

– Niczego nie powinniśmy brać za pewnik, panie generale – powiedział Fang Fenghui po dłuższej chwili.

– Zajęcie kompleksu będzie oznaczało koniec wojny, panowie – kontynuował Xi Jinping. – Kiedy zaczniemy kontrolować technologię, prezydent Cziang nie będzie miał wyjścia. Zakończenie walk będzie kwestią godzin.

Fang Fenghui skrzywił się nieco. Wyglądało na to, że wizja błyskawicznego przejęcia najważniejszego budynku na wyspie zaczynała przesłaniać rzeczywistość. Prezydent zapominał, że nawet jeśli przejmą budynek wraz z technologią, między głównymi siłami a komandosami wciąż będą tysiące tajwańskich żołnierzy. Przeciwnik mógłby odbić kompleks, nim dotrą do niego chińskie siły lądowe.

– Co, jeśli Tajwańczycy będą chcieli odbić kompleks? – zapytał. – Najdalej wysunięte jednostki frontu centralnego są ponad dwadzieścia kilometrów dalej na zachód.

– Będziemy musieli przycisnąć Czianga, zagrozimy, że kompleks zostanie wysadzony, jeśli dojdzie do prób odbicia. – Xi Jinping wydawał się zdziwiony pytaniem.

– A jeśli nie złapią się na blef?

– Mamy przygotowane kilka scenariuszy, panowie. – Minister Wang Yi poprawił się w fotelu i złączył żylaste dłonie na blacie stołu. – Przejęcie kompleksu będzie dużym ciosem wizerunkowym dla rządu w Tajpej. Nasze działania powinny się skupić na takim przedstawieniu sytuacji, które przekona Amerykę o bezsensowności dalszych kroków.

– Jak chce pan tego dokonać? Amerykanie mają taką samą wiedzę na temat kompleksu jak my, jeśli nawet nie większą. – Fang Fenghui spojrział na ministra.

– Panie generale, pańscy ludzie walczą siłą mięśni i technologii. Moim zadaniem jest manipulacja faktami, proszę uwierzyć, że to równie potężny oręż co niewidzialne dla radarów bombowce – odparł Wang Yi.

– Przed czym będziemy musieli się bronić? – zapytał Xi Jinping.

– Amerykanie z pewnością wyciągną na wierzch sprawy zbrodni wojennych. Niestety, nasi żołnierze nie zawsze trzymali nerwy na wodzy... – Wang Yi zerknął z ukosa na wojskowych. – Będziemy to oglądać we wszystkich serwisach informacyjnych. Oskarżą nas o również o represje, pogwałcenie prawa międzynarodowego, wprowadzą kilka rezolucji, być może będziemy musieli liczyć się z sankcjami.

– Jak zareagujemy?

– Wszystkiego się wyprzemy, nagrania uznamy za spreparowane, inwazję usprawiedlimy obroną integralności terytorialnej. Poza tym nie mogliśmy dopuścić do represjonowania naszych obywateli na Tajwanie – odpowiedział Wang Yi. – Jeśli będą chcieli uderzyć w naszą gospodarkę, znacjonalizujemy technologię zimnej fuzji. Nikt poza nami nie będzie miał do niej dostępu. Proszę wierzyć, pragmatyzm weźmie górę, sankcje nie potrwają długo.

Nawet wojskowi pokiwali głowami z uznaniem. Kontrola przyszłości światowej energetyki była grą wartą świeczki. Nawet nieco sceptyczny Fang Fenghui przyznał w duchu, że kampania medialna ministra spraw zagranicznych może pomóc w zakończeniu działań wojennych.

– Ile czasu potrzebujemy do przeprowadzenia operacji? – zapytał Xi Jinping.

– Nocą będziemy mieć największe szanse. Poza tym damy czas siłom generała Fenghui na zdobycie kolejnych kilometrów. To zmniejszy dystans między komandosami a wojskami lądowymi.

– Dobrze, proszę wydać odpowiednie rozkazy. – Xi Jinping sięgnął po filiżankę herbaty, co słusznie zostało uznane za koniec spotkania.

Wojskowi i minister wstali ze swoich miejsc. Milczący ochroniarze instynktownie rozstawili się na pozycjach. Prezydent przez kilka chwil obserwował oddalającą się delegację. Gdy zniknęli z pola widzenia, oblizał wargi i spojrział prosto w słońce.

To będzie piękny dzień, pomyślał.

Okolice Jilan, Republika Chińska | 19 maja 2023, godzina 20:01

Rakieta wbiła się w pancerz czołowy transportera, dosłownie rozrywając go na kawałki. Ogień plonął na wszystkie strony, Tajwańczycy rzucając na beton siłą detonacji wili się przedśmiertnych spazmach. Chwilę później kolejna rakietka wybuchła między zabudowaniami, wyrzucając w powietrze masy gruzu i pogiętej blachy. Jastrzębski zdziwił się, jak szybko Tajwańczykom udało się dostosować do zmiany warunków. Dwa ocalałe transportery błyskawicznie rozjechały się na boki i zniknęły za ścianami budynków. Piechota rozsypała się w nieregularną formację, chowając za skrzyniami, paletami i płatami blachy.

– Siedzieć na dupach! Powtarzam, wszyscy trzymać pozycje! – krzyczał Preiss przez radio.

– Przyjąłem, Orchidea – odpowiadali komandosi jeden po drugim.

Tajwańczycy odpowiedzieli ogniem chwilę później. CM-21 odezwały się półcalówkami sterowanymi z wnętrza pojazdów. Chiński śmigłowiec przefrunął nad kompleksem z wyciem wirnika. Następny wybuch złał się w jedno z wrzaskiem, który rozerwał łącze.

– Orchi... Tu Kro... Palim... Pomocy! – Urywane krzyki któregoś z operatorów stawiały włosy dęba.

– To Krokus! Kurwa mać! Przyjebali prosto w ich kryjówkę, idę po nich! – krzyknął Bołkoński i wraz ze swoją sekcją wyskoczył zza osłony prosto między osłupiałych Tajwańczyków. Krótkie serie wypluwane z AK-12 powaliły na beton unoszących broń piechurów.

– Orchidea do wszystkich, osłaniać Bołkońskiego!

Karabinowa palba rozgorzała na dobre. Tajwańczycy padali jeden po drugim, krzyżowy ogień specjalsów nie dawał szans na przeżycie. Jastrzębski starannie wybierał cele, pojedyncze pociski trafiały tylko tych, którzy przymierzali się już do oddania strzału. Nie zmusiłby się do strzelania w plecy uciekającym.

– Tu Jaśmin Jeden, jestem na miejscu. Kurwa mać... Dwóch nie żyje, wszyscy cywile pod opieką Jaśmina zabici... Krokus Jeden ranny, Krokus Dwa bez obrażeń... – Meldunek Rosjanina przerwał charakterystyczny dźwięk rykoszetujących pocisków. Chwilę później do kakofonii włączyło się ujadanie AK Bołkońskiego. – Mamy kilku Tajwańczyków na karku. Zajmijcie się nimi, wyniesiemy rannego.

– Przyjąłem. Damy wam osłonę, wracajcie – odpowiedział Preiss.

Tajwańczycy, przyciśnięci z dwóch stron, wycofali się z placyku, ich ostrzał stał się chaotyczny. Strzelali bardziej na wiwat, niż by trafić w cel. Chińskie śmigłowce również musiały gdzieś odlecieć.

Bołkoński pojawił się między zwałami pogiętej i płonącej blachy niczym zjawa. Otulony dymem wodził lufą karabinu w poszukiwaniu celów. Tuż za nim dwójka operatorów niosła na składanych noszach rannego Rosjanina. Bołkoński dopadł swojej pozycji i odwrócił się, dając osłonę dwójce z noszami. Preiss już na niego czekał.

– Popierdoliło cię?! – warknął. Gdyby nie zamknięty hełm balistyczny, kapitan spaliłby podkomendnego wzrokiem. – Chciałeś zabić siebie i swoich ludzi?

– Tam byli nasi, ranni. Mieliśmy ich zostawić, żeby się zjarali żywcem? – odpowiedział Bołkoński.

– Mieliście poczekać na rozkaz! Do reszty ochujałeś? Plac nie był zabezpieczony, kto by was zniósł, jakbyście dostali? No? Kto?

– Przecież nic się nie stało... – Bołkoński uniósł dłoń w pojednawczym geście.

– Orchidea, tu Antracyt Trzy. Od północnego zachodu zbliżają się kolejne śmigłowce. Będą nad nami za dwie minuty – usłyszał Preiss.

– Przyjąłem, ruszamy za sześćdziesiąt sekund. Gdzie Tajwańczycy?

– Wycofali się poza obręb kompleksu, chyba będą chcieli obejść teren i ruszyć na północ inną drogą.

– Przyjąłem. – Polak przełączył się na kanał ogólny i przekazał wiadomość o nadlatujących śmigłach.

– Ewakuujemy się stąd. Natychmiast.

Nie zdążyli nawet na dobre wyjść poza niewielki placyk. Salwa kilkunastu niekierowanych rakiet wystrzelonych przez dwa chińskie śmigłowce WZ-10 rozerwała się na dachach, paletach i uliczkach fabryki. Ktoś upuścił nosze z rannym, który zawył jak potępieniec. Innego prosto w stertę gruzu cisnęła fala uderzeniowa.

– Wynośmy się stąd! – rozległ się krzyk w interkomie.

Jastrzębski odwrócił się i pospieszył spanikowanych cywilów. Preiss biegł na końcu. Porucznik widział, jak ogniki, które pojawiły się na niebie, zbliżają się w zawrotnym tempie. Rakiety przebiły wysoką, blaszaną konstrukcję i rozerwały na strzępy potężne dźwigary. Kapitan nie miał żadnych szans, nim odwrócił się w stronę serii eksplozji, tony blachy zwały się na niego, grzebiąc pod gruzami.

– Preiss! – wrzasnął Jastrzębski, zrywając się z miejsca.

– Siedź na miejscu! – „Padre” złapał kapitana za uchwyt ratunkowy kamizelki. Ten jednak odepchnął się nogami, specjals nie miał szans go utrzymać.

Jastrzębski wybiegł spomiędzy osłon i rzucił się w kłęby szarego dymu. Płomienie rozprzestrzeniały się błyskawicznie. Gruzy tliły się i parowały jak kotły, Preiss był pogrzebany w samym środku piekła. Czujnik wychwycił ruch kilkanaście metrów na lewo. Jastrzębski szybkimi susami pokonał odległość, nawet nie zwrócił uwagi, czy stoi przed nim Tajwańczyk, czy Chińczyk. Kopnął z rozpędu prosto w pierś, mechaniczne siłowniki zwielokrotniły siłę uderzenia. Przez hurgot walących się murów Jastrzębski słyszał dźwięk łamanych żeber. Postać zniknęła, odrzucona kilka metrów w tył.

– Preiss! – krzyczał Jastrzębski, skakał od gruzowiska do gruzowiska, odrzucał co większe bryły betonu.

– Nie wydostaniesz go! Już po nim! – wołał Bołkoński. Był kilka kroków za nim, biegł. – Mamy rannego, cywilów na karku.

– Pierdolę cywilów! – warknął Polak.

Tuż obok pojawiło się kilku operatorów, którzy siłą próbowali odciągnąć Jastrzębskiego z zagrożonego obszaru. Któraś ze stron konfliktu ponownie wchodziła do gry. Karabinowa palba zaczęła przybierać na sile, a gdzieś wysoko, ponad czarnym dymem, krążył śmigłowiec.

Nie myślał racjonalnie, nie dbał o cywilów, którzy przerażeni i wyczerpani czekali ledwie kilka kroków dalej. Miotał się jak opętany, machał rękami, krzyczał. Bezradność eksplodowała falą niepohamowanego gniewu.

– Mamy go! Wracamy – powiedział Bołkoński, przytrzymując z całej siły wrzeszczącego Jastrzębskiego.

Kanonada była coraz bliżej. Podczas gdy Polak szamotał się w poszukiwaniu Preissa, „Padre” zdążył wyprowadzić większość cywilów poza obszar fabryki. Skupieni wokół niewielkiego budynku, byli osłaniany przez pozostałych operatorów Radegastu.

Puścili Jastrzębskiego, dopiero kiedy dotarli do reszty. Kapitan opadł bez sił na trawnik i obojętny na wszystko wokół wypuścił broń z rąk. Bołkoński silnym ruchem podniósł opancerzony hełm w górę.

– Wstawaj, musimy spierdalać – powiedział.

Jastrzębski nie odpowiedział.

– Ruch przed nami, przynajmniej kilku ludzi, chyba wiedzą, że gdzieś tu jesteśmy – usłyszeli na otwartym kanale.

– „Kruszyna”! – krzyknął Bołkoński. Kryptonimy straciły dla niego ważność już jakiś czas temu. – Będiesz osłaniał, odskoczmy do kolejnych zabudowań. Będzie z tobą dwóch strzelców.

– Przyjąłem. Mam ich na widoku.

– Weź się w garść, będziesz jeszcze miał czas... – powiedział Bołkoński i odszedł w stronę cywilów.

Jastrzębski niechętnie sięgnął do opartego lufą o ziemię MSBS-a. Wstał i spojrzał w stronę płonącej fabryki. Płomienie zaczynały pożerać ogrodzenie i stosy palet, równo ustawionych tuż przy granicy kombinatu. Pojedyncze sylwetki żołnierzy odcinały się na tle jasnych ogni. Wiedzieli, że ścieli się z kimś innym niż dotychczas. Skrupulatnie przeczesywali gruzowisko. Jastrzębski dyszał głośno. Ręce drżały, wystarczyło tylko podnieść broń i wymierzyć, przeciwnik był sto, może sto dwadzieścia metrów przed nim. Poradziłby sobie, mógłby wrócić. Poczł na sobie karcący wzrok Bołkońskiego.

– Chodź – powiedział twardo.

– Wrócę po niego – odparł Jastrzębski, odwracając się.

– Wszyscy wrócimy.

Biały Dom, Waszyngton DC, USA | 19 maja 2023, godzina 21:36

Czekał na ostatni zaplanowany tego dnia telefon. Od dawna nie mógł cieszyć się dłuższą chwilą spokoju. Ostatnie tygodnie w większości spędzał w pokoju sytuacyjnym, Gabinet Ovalny odwiedzał sporadycznie i tylko wtedy, kiedy miał ochotę spojrzeć na soczystą zieleń ogrodu tuż przed spotkaniem. Zdziwił się, gdy zauważył, że różane kwiaty już zakwitły. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz miał okazję zawiesić na nich wzrok.

Sięgnął po opatrzony logo sił powietrznych folder i odwrócił się w fotelu. Kartkował dokument już wielokrotnie, mimo to po raz kolejny przewracał karty po brzegi wypełnione wizualizacjami i wykresami. Program „Zeus” był oczkiem w głowie Jamesa Cartera, od kiedy ten objął urząd. Generał nie podzielał zamiłowań swoich poprzedników. Otwarcie mówił, że samolot i dron nie były drogą, która w przyszłości zagwarantuje przewagę nad przeciwnikiem. Zafascynowany chłopcami i dziewczętami z DARP-y snuł futurystyczne wizje o potędze sił powietrznych Stanów Zjednoczonych. Program „Zeus” miał być pierwszym krokiem ku urzeczywistnieniu tego marzenia.

Na razie, nie licząc kilku bardziej lub mniej spektakularnych testów, satelita krążył wokół globu całkowicie beczynnym. Żaden z dowódców, nawet sam Carter nie wpadł wcześniej na pomysł wykorzystania programu. Po pyrrusowym zwycięstwie na Pacyfiku satelita dawał możliwość zadania jednego druzgoczącego ciosu.

Albert Armitage nie był do końca obeznany ze szczegółami technicznymi, dlatego polecił Carterowi sporządzenie przystępnego dla laika folderu. Jednocześnie trwały już przygotowania do rozpoczęcia ataku. Zgodnie z wyjaśnieniami inżynierów satelita był w stanie bombardować wybrany obszar na Ziemi skondensowanymi wiązkami promieniowania mikrofalowego. Odpowiednio długie oddziaływanie na ostrzeliwany obszar mogło doprowadzić do katastrofalnych skutków atmosferycznych. W Stanach mógł wywołać niszczycielskie tornado, w Indiach gigantyczną powódź, a na Pacyfiku trzęsienie ziemi o skali porównywalnej do tego sprzed kilkunastu laty w Japonii.

Telefon rozdzwonił się, kiedy właśnie kończył przeglądać skalę Richtera przypisaną do odpowiednio długiego czasu napromieniowania. Odwrócił się w fotelu i odłożył folder na biurko.

- Słucham? – zapytał, przykładając słuchawkę do ucha.
- Rozpoczęliśmy jonizację pacyficznego pierścienia ognia, sir – zameldował James Carter.
- Rozumiem... – odparł Armitage. – Nasze siły są wycofywane z zagrożonego obszaru?
- Tak jest, sir. Siódma Flota jest w trakcie przegrupowania na nowych pozycjach. Musieliśmy zaniechać części lotów nad Tajwanem.
- Dobrze, nie chciałbym, żeby nasi byli w polu rażenia. – Armitage pokiwał nieznacznie głową. – Jak długo potrwa proces?
- Żeby doprowadzić do zakładanej przez nas siły trzęsienia, około dwudziestu czterech godzin. Dziewięć stopni. Niszczycielska siła, która dobrze ukierunkowana mogła wywołać kilkunastometrowe tsunami. Broń jądrowa właśnie zaczęła przechodzić do historii, pomyślał Armitage.
- Dobrze, proszę kontynuować. Zameldujcie, kiedy będziecie gotowi. – Nie czekał na odpowiedź. Do zakończenia morskiej kampanii na Pacyfiku zostały już tylko godziny.

B-587 „Wielkie Łuki”, tajwańskie wody terytorialne | 19 maja 2023, godzina 23:57

Kilkanaście mil morskich przed tajwańskimi plażami dno przypominało nieliczne pasmo górskie. Pełne jarów, rowów i nagłych wzniesień było doskonałym miejscem do skrytego oczekiwania. Na obecną pozycję dotarli kilkanaście minut wcześniej i przycupnęli tuż przy dnie w nadziei, że wrogi sonar nie namierzy ich pozycji. Zaledwie trzynaście mil morskich, dystans do pokonania w mniej niż godzinę. Potrzebowali tylko sygnału z wyspy.

Tamir Rogoziew ziewnął przeciągle. Ostatnia doba była bezustanną próbą nerwów. Widział to nie tylko po reakcjach swojego organizmu. Misja zaczynała go męczyć, ciągłe napięcie towarzyszyło im od wyjścia z portu. Zmęczenie i frustracja dosięgały też innych. Marynarze zrobili się mniej rozmowni, komandosi, którzy razem z nimi wypłynęli z Władywostoku, coraz częściej kręcili się po okręcie. Rogoziew rozmawiał z ich dowódcą przynajmniej raz dziennie, tamten dopytywał o nowe meldunki lub spodziewany czas ewakuacji. Co miał mu odpowiedzieć? Wszystko zależało od tego, jak szybko Radegast dostanie się na miejsce zbiórki. Już kilkanaście godzin wcześniej musieli zwolnić, by maksymalnie skrócić czas przebywania w zagrożonej strefie. Ostateczny termin kontaktu mijał o trzeciej nad ranem. Jeśli do tej godziny Radegast się nie odezwie, Rogoziew będzie musiał uznać ich za poległych. Nie dopuszczał do siebie tej myśli, ale od ostatniego kontaktu minęło piętnaście długich godzin.

– Komandorze... – Stiepan Ilcew stanął dwa kroki przed dowódcą. – Major Ajdarow prosi o rozmowę.

– Znowu? – zapytał Rogoziew. – Możecie mu przekazać, że wciąż nie mamy żadnych wiadomości?

– Major wyraźnie zaznaczył, że chce rozmawiać tylko z panem, komandorze – odpowiedział pierwszy oficer.

– Zamęczy człowieka... – Dowódca okrętu pomasaował dłonią zarośnięty policzek. – Dobra, dawaj go.

Major Ajdarow czekał już na mostku. Potężny, dwumetrowy Rosjanin z brodą jak u muły stał ze skrzyżowanymi na piersi rękoma. Powiedzieć, że wpatrywał się w komandora z nieukrywaną wyższością, byłoby poważnym niedomówieniem.

– Komandorze – powiedział Ajdarow, stając przed dowódcą okrętu. Głos miał ciężki, jakby w brzuchu trzymał tubę.

– Słucham, towarzyszu majorze. – Rogoziew stanął w niewielkim rozkroku i złączył dłonie na plecach.

– Mówię za moich ludzi, mamy dość czekania. Nasi już dawno powinni być na brzegu.

– Nie sposób się z wami nie zgodzić, majorze – odparł Rogoziew.

– Chcemy poczekać na nich na lądzie. Nie wiemy, czy nie potrzebują teraz wsparcia.

– Taka operacja oznacza podwójne wynurzenie, a wiecie, jakie wiąże się z tym ryzyko. Nie mogę niepotrzebnie narażać moich podwładnych. – Rogoziew pokręcił przecząco głową.

– Powie im pan, że przypłynęli taki kawał na darmo? – zapytał Ajdarow. – Jeśliby ich kropnęli, to nie przywieziemy nawet ciała?

– Proszę nie grać mi na emocjach. Jesteście na moim okręcie, to ja wydaję rozkazy. Niech pan o tym nie zapomina, majorze. Pańscy ludzie popłyną na brzeg dopiero wtedy, kiedy otrzymamy sygnał z wyspy. Nie później i nie wcześniej.

Komandos wciągnął powietrze. Płuca rozděły się, wypychając klatkę jeszcze bardziej. Specnazowiec przypominał teraz zielone monstrum z marvelowskiego uniwersum. Rogoziew znał takich jak on, niespokojne duchy. Więzy braterstwa łączyły ich z każdym operatorem sił specjalnych na świecie. Nieważne, czy widzieli się kiedyś na oczy. Komandor dałby sobie rękę uciąć, że gdyby płynęli po Amerykanów albo Brazylijczyków, Ajdarowa nosiłoby tak samo jak teraz.

– Wyciągniemy ich z tego gówna. Ale nie będziemy przy tym ponosić niepotrzebnych ofiar – dodał Rogoziew. – Trzymamy się planu, wciąż mają trzy godziny. To kupa czasu, majorze.

– Dla nas z pewnością... – zachnął się Ajdarow. – Dla nich każda sekunda może być tą ostatnią.

Taizhong, Republika Chińska | 20 maja 2023, godzina 02:05

Przysypiał, a zacięta bitwa o centralne skrzyżowanie Taizhong trwała w najlepsze od kilku godzin. Co jakiś czas obie strony nie dawały już rady dłużej się mordować i nastawała niepisana przerwa. Odpoczywali, kiedy i jak tylko mogli, na ziemi, w pojazdach, czasami zasypiali na stojąco, oparci o ścianę. Część z nich właśnie zaczynała piąty dzień ustawicznej batalii.

Kapitan Chon ocknął się nerwowo. Głowa opadła mu na ramię, musiał obudzić go brzęk upadającego hełmu. Zapomniał zapiąć go pod brodą. Sięgnął po kevlar, poprawił słuchawki na uszach. Okrojona kompania Chona zajmowała nadburzony market o wdzięcznej nazwie Pants Kingdom, co w wolnym tłumaczeniu oznaczało „Królestwo Majtek”. Rzeczywiście, takiej ilości porzucanej wszędzie bielizny nie widział jeszcze nigdy w życiu. Wstawał powoli, oparł się o brudną ścianę z dykty. Ból w kręgosłupie odezwał się tępym pulsowaniem. Pamiątka ostatnich godzin, Tajwańczycy zaminowali budynek, a saperzy Chona musieli pominąć jeden z ładunków. Detonacja rzuciła nim o ścianę i tylko kamizelce zawdzięczał zachowanie umiejętności poruszania się.

– Jak sytuacja? – zapytał siedzącego przy stoliku żołnierza. Szeregowiec wpatrywał się przekrwionymi oczami w ekran komputera.

– Wszystko w porządku, kapitanie. Tajwańczycy przegrupowali się na skrzyżowaniu i w przylegających budynkach. Zauważyliśmy sporą grupę piechoty, która przedostała się do centrum handlowego. Około trzydziestu ludzi, kilku miało ręczne wyrzutnie przeciwpancerne – odpowiedział piechur.

– Dzięki, meldujcie o wszystkich ruchach. – Chon wskazał palcem na słuchawki. Szeregowiec kiwnął głową potwierdzająco.

Kapitan wyszedł z pokoju na szeroki korytarz. Większość sklepików oddzielona była od siebie szklanymi szybami. Niestłuczonych zostało się ledwie kilka, reszta rozbita w drobny mak została odgarnięta w jedną szklaną hałdę lub wyrzucona poza market. Wystarczyłby jeden granat moździerzowy, by tysiące szklanych odłamków zamieniło się w szrapnele.

Do okien nikt się nie zbliżał. Choć obie strony lizały teraz rany po ostatniej potyczce, snajperzy dopiero wychodzili na żer. Wojna w mieście była dla nich rajem, omal niemożliwi do wykrycia nieuzbrojonym okiem siali śmierć i przerażenie. Chon stracił w ten sposób przynajmniej kilku ludzi. Pierwszym rozkazem po rozminowaniu budynku było zasłonięcie okien i rozstawienie milimetrowych radarów pola walki. Urządzenia mogły wyłapać najmniejszy ruch w promieniu kilkuset metrów, a jeśli tajwański strzelec wyborowy podszedłby zbyt blisko, ludzie Chona mieliby nieco czasu na reakcję.

Był głodny, cholernie głodny. Minął wartowników przy schodach i zbiegł na parter, gdzie jak pamiętał, udało im się zabezpieczyć spore zapasy pakowanego próżniowo jedzenia z jednego ze sklepów. Sporych rozmiarów hol tonął w ciszy przerywanej krótkimi rozmowami. Ostatni z ocalałych zestawów zdalnej obrony stał za betonowym kłocem, który odpadł z dachu podczas któregoś z ostrzałów. Kamera termowizyjna podpięta do karabinu maszynowego wodziła obiektywem po krańcach przedpola. Chon był pewien, że Tajwańczycy obserwują ich dokładnie w ten sam sposób. Najbliższe jednostki przeciwnika były około stu metrów przed nimi. We wpasowanych w skrzyżowanie niskich budynkach ukrywało się zapewne kilkudziesięciu gotowych do walki nieprzyjaciół. Minie jeszcze sporo czasu, zanim uda im się wykurzyć stamtąd wszystkich obrońców.

Skinął na czekających za osłonami żołnierzy, którzy pilnowali frontowego wejścia, i poszedł w stronę

sklepiku spożywczego. Wydano mu puszkę potrawy z kurczaka i soczek dla dzieci zaopatrzonej w plastikową rurkę. W pełnym oporządzeniu usiadł na stercie palet. Nim ugryzł pierwszy kęs, gdzieś w okolicach skrzyżowania odezwał się karabin maszynowy. Początkowo w ogóle się tym nie przejął, dźwięki wystrzałów i eksplodujących granatów stały się dla niego równie naturalne co szum wiatru. Dopiero kiedy do pojedynczego terkotu dołączyły cięższe grzmoty trzydziestomilimetrowego działka, Chon postanowił podnieść głowę znad puszek. Dźwięki pospiesznie wydawanych rozkazów i pojedyncze, mierzone serie wystrzeliwane piętro wyżej ostatecznie oderwały go od posiłku.

– Pierdolona wojna... – mruknął sam do siebie, odstawił puszkę i zmierzył hol szybkimi krokami.

Pokonał schody susami, przebiegł korytarz i wpadł do zaimprovizowanego centrum dowodzenia.

– Co się dzieje? – zapytał. – Dlaczego nic nie meldowaliście?

– To tylko ogień osłonowy, Tajwańczycy odpowiedzieli na nasz ostrzał. Nie widzę, żeby szykowali się do jakiegoś wypadu na nasze pozycje. – Szeregowiec przy komputerze spojrzał na kapitana.

– Radary milczą? – zapytał Chon, spoglądając na operatora sensorów pola walki.

– Tak jest, żadnego ruchu, wszystko, co wykrywamy, znajduje się w strefie zajętej przez Tajwańczyków.

– To kogo my osłaniamy? – Kapitan zmarszczył brwi.

– Porucznik Kim przeprowadził zwiad na styku kompanii, udało mu się wziąć jeńców – zameldował piechur przy komputerze.

– Jeńców? Gdzie oni są?

– Powinni właśnie wchodzić do holu, na dole. – Szeregowiec wskazał spojrzeniem brudną podłogę.

– Dlaczego nikt mnie nie informował... – Chon nie czekał na odpowiedź. Obrócił się na pięcie i zniknął w korytarzu.

Hol wypełniało przynajmniej dwudziestu zdezorientowanych cywilów. Skupieni w grupę byli szczelnie otoczeni kordonem żołnierzy porucznika Kima. Przerażeni, spoglądali niepewnie na piechurów, którzy trzymali ich na muszce. Chon zaklął pod nosem. Nie dość, że przyprowadzono mu nikomu niepotrzebnych jeńców, to na dodatek byli to Bogu ducha winni cywile.

Po schodach zszedł do porucznika, który wyszedł mu na spotkanie. Wykrzywił usta w podkowę, nie odpowiedział na salut. Kim ściągnął gogle. Jego twarz wyrażała nieukrywane zdziwienie.

– Co to jest, poruczniku? – zapytał Chon, po czym spojrzał na grupę jeńców.

– Trafiliśmy na nich podczas przeszukiwania pobliskiego budynku. Ukrywali się w piwnicach – odpowiedział Kim.

– Po jaką cholere żecie ich tu przyciągnęli?! – krzyknął Chon. – Co mam z nimi zrobić? Straciliśmy połowę ludzi, kto ich będzie pilnował? – Chon zbliżył się do Kima. Poczł na skórze jego oddech. – Przecież to jest przeciwnik, Kim. Wystarczy, że się obrócisz, a wbije ci nóż w plecy.

– Kapitanie... – odpowiedział Kim dopiero po dłuższej chwili. Wzrok większości żołnierzy i cywilów spoczał teraz na postaci Chona. – Ci ludzie znajdowali się na zagrożonym terenie. Jeśli kazalibyśmy im przejść do swoich, z pewnością zginęliby na ulicy. Za pozwoleniem kapitana, chciałbym przekazać jeńców żandarmerii.

Chon fuknął z delikatnym uśmiechem. Złapał się pod boki i przeszedł wzdłuż kordonu. Wśród zgromadzonych w holu cywilów przynajmniej połowę stanowiły kobiety i dzieci. Mężczyzn w sile wieku mógł policzyć na palcach jednej ręki. Nic w tym dziwnego, mobilizacja wśród tajwańskiej ludności była prowadzona nad wyraz sprawnie.

– Wiecie, poruczniku, że by odstawić ich na tyły, trzeba będzie albo wysłać kogoś z naszych, albo czekać, aż przyślą tu jakąś ciężarówkę?

– Tak jest, osobiście będę odpowiadał za bezpieczeństwo cywilów – odpowiedział Kim.

– A kto będzie dbał o bezpieczeństwo waszego odcinka? Hm? Macie mniej ludzi niż jeńców,

poruczniku.

– Moi żołnierze poradzą sobie z przeciwnikiem, a nimi... – Kim zająknął się. – To przerażeni ludzie, nie są niczemu winni. Ostatnie, o czym myślą, to ucieczka.

– Będę miał w dupie ich ucieczkę! – warknął Chon. – Mogli się ewakuować, kiedy mieli ku temu czas. Teraz to potencjalny przeciwnik.

– Przeciwnik... Proszę na nich...

Pocisk moździerzowy upadł dosłownie tuż przed wejściem do budynku. Grzmot rezonował pod dachem, niosąc się po całym markecie. Cywile zaczęli krzyczeć i przyłgnęli do ziemi. Zdalnie sterowane stanowisko obronne poczęło nerwowo poszukiwać celów. Kolejne pociski detonowały w sekundowych odstępach. Początkowo upadały tylko przy wejściu do marketu, teraz przeniosły się na nadwyrężony wcześniej ostrzałem dach.

Chon złapał się za dzwon hełmu i drugą ręką odruchowo sięgnął na plecy, gdzie spoczywał karabin. Złapał za kompozyt i przesunął broń na pierś. Tajwańczycy strzelali coraz celniej, granaty spadały na dach, betonowe grudy roztrzaskiwały się na posadzce.

– Kapitanie! – usłyszał w słuchawkach. – Tajwańczycy ruszają ze szturmem! Widzimy liczne pojazdy wroga i sporo piechoty!

– Radary pola walki wykryły ruch osiemdziesiąt metrów przed nami – zameldował inny głos.

– Klinga do wszystkich! – krzyknął Chon. – Skupić ogień na przeciwniku. Opromieniujcie cele dla naszych wyrzutni przeciwpancernych!

– Tak jest! – odpowiedział szeregowiec na piętrze.

Kapitan chwycił pewnie za broń i biegiem ruszył w kierunku schodów. Granat moździerzowy eksplodował na dachu, dokładnie nad miejscem, w którym stał Chon. Płaskownik odpadł od zbrojenia i zwałił się na schody razem z betonowymi grudami. Nie zdążył nawet spojrzeć w górę. Odłamek wielkości grejpfruta przywalił prosto w hełm, płaskownik trącił ramię. Chon nie miał szans utrzymać się na nogach, nie trafił nogą na schodek i poleciał w dół razem z szarym gruzem i wszechobecnym pyłem.

Spadając, zawadził nosem o poręcz i oczy zaszyły mu mgłą, gdy usłyszał charakterystyczne chrupnięcie. Padł na posadzkę jak długi, po czym zwinął się w kłębek, by osłonić się od sypiących z dachu odłamków.

– Czołg na skrzyżowaniu! Odpalać, powtarzam, odpalać! – usłyszał na otwartym kanale.

Coś syknęło nieopodal, jasny punkcik przebił się przez ażurową konstrukcję dachu i zniknął z pola widzenia.

– Dostał prosto w silnik... Czołg wyeliminowany, dobra robota.

– Piechota przeciwnika! Przynajmniej dwa plutony, kierunek... – Komunikat utonął w głośnym hurgocie. Budynek wstrząsnęła kolejna eksplozja, tym razem zdecydowanie potężniejsza niż poprzednia.

Chon powoli wstał na klęczki, karabin wisiał mu przez pierś. Krew ciekła z nosa niewielką strużką. Głowa bolała przy każdym oddechu. Przeniósł wzrok w głąb holu. Żołnierze ukryci za osłonami ostrzeliwali się z przeciwnikiem. Na oszalałych z przerażenia cywilów nikt nie zwracał uwagi. Gdzie jest Kim? – zapytał sam siebie.

Jeden z jeńców zachował zimną krew. Widząc, jak chiński piechur pada na ziemię, natychmiast podniósł broń. Chon spał wszystkie mięśnie, by unieść karabin. Cywil z wykrzywioną nienawiścią twarzą zwrócił lufę w jego kierunku. Kapitan był jednak zbyt wolny. Pierwszy raz w życiu widział błysk wystrzelanego pocisku z tak bliska. Kula trafiła prosto w pierś, siła uderzenia rzuciła go w tył. Drugi pocisk rozorał ramię, krew trysnęła na policzek. Nim Chon upadł na schody, zobaczył jeszcze, jak głowa cywila eksploduje w różowej mgiełce. Kim pojawił się nie wiadomo skąd, kilku jego podwładnych natychmiast wzięło resztę cywilów na cel. Wywalili w nich po całym magazynku, a poszarpane kulami ciała mieszkańców Taizhong zaścieliły hol marketu. Porucznik doskoczył do oddychającego płytko

kapitana.

– Przepraszam, to moja wina, przepraszam! – mówił. Otworzył zatrzaski kamizelki Chona. Płyta balistyczna zatrzymała kulę, ale energia kinetyczna złamała Chonowi przynajmniej kilka żeber. Drugi pocisk zmienił bark w krwawą miazgę, strzępy mięsa przykleiły się do szyi. Krew płynęła szerokim strumieniem. Kim przycisnął ranę dłońmi. – Kurwa! Medyk!

– Gdzie dostał? – zawołał żołnierz, który pochylił się nad Chonem.

– Chyba w bark albo w szyję... Kurwa, nie wiem! – Kim krzyczał, dociskając dłonie do rany. Chon nie reagował, patrzył pustym wzrokiem, jakby w ogóle nie widział pochyłonych nad nim ludzi. Obraz przed nim się rozmazywał, szarzał, w końcu zniknął zupełnie.

Nie pamiętał, kiedy zapakowali go do śmigłowca ewakuacji medycznej. To było jak pojedyncze klatki taśmy filmowej. Urywane, pozbawione fonii ruchome obrazy. Zamknięte drzwi, telepanie w rytm ruchu wirników. Ocknął się, kiedy maszyna oderwała się od improwizowanego lądowiska. Pamiętał, że medyk dość szybko uwinął się z opatrunkiem i okazało się, że rana tylko wyglądała poważnie. Rozerwane mięśnie i skruszona kość zmieszały się w mięsistą breję. Przeżył.

Nie usłyszał wybuchu, poczuł tylko, że śmigłowiec zaczyna się obracać. Nie krzyczał, w niczym by mu to nie pomogło. Czekał na uderzenie, jakby było dziecięcym prezentem, oczekiwanym od długich miesięcy. Nie bał się, bo czego miałby się obawiać? Widział w swoim życiu wiele śmierci. Nie przyznał tego nawet sam przed sobą, ale o wiele bardziej bał się życia. Śmierć była jego towarzyszką od lat, kochanką i matką. Czekał na to spotkanie jak na pierwszą randkę, a jego głowę zaprzętało tylko jedno pytanie – co za idiota wzywa śmigłowiec w centrum oblężonego miasta?

Tajpej, Republika Chińska | 20 maja 2023, godzina 02:48

Wrzask rannego stawiał włosy dęba. Krzyczał, jakby obdzierali go ze skóry. James Kilun oddychał głęboko. Jego pluton stracił już ponad połowę stanu i wszystkie pojazdy. Amerykańskie naloty osłabły bez żadnego uprzedzenia. Wyglądało na to, że obrona zaczynała pękać w szwach.

Wycofali się wraz z całym batalionem do gmachu Tajwańskiego Muzeum Narodowego. Kilkuset ocalałych z ciężkich walk piechurów zamieniło budynek w twierdzę. Chińczycy wykrwawiali się na schodach, holu, parterze i kolejnych pomieszczeniach. Tak brutalnej i gwałtownej walki Kilun jeszcze nie przeżył. Właśnie odparli kolejny szturm, w uszach wciąż huczało od eksplozji granatów i karabinowej palby.

– Meldować się! – krzyknął do mikrofonu. Zimny pot oblał go ponownie, gdy kilka pomieszczeń dalej usłyszał głośnie rozmowy Chińczyków. – Miny rozstawione?

– Tak jest – szepnął jeden z szeregowych. Kucnął przytulony do ściany i poprawił chwyt karabinu.

– Kilun! – usłyszał w słuchawkach głos dowódcy drugiego plutonu. – Zbliża się do was ośmiu przeciwników, idą od głównych schodów.

– Słyszałem ich...

– Nie, to nie oni. Dopiero teraz weszli do budynku.

– Kurwa mać...

Rzucony przez całą długość pokoju granat przekoziółkował między przewróconymi meblami i detonował, wzbijając huragan odłamków. Chwilę potem odezwały się karabiny, krótkie serie przeorały ściany, kolejne granaty potoczyły się po podłodze. Wybuch, krzyk, strzał.

Kilun spojrział przez noktowizor, chiński piechur właśnie wskoczył do sąsiedniego pokoju i kucnął tuż za przewróconym fotelem. Krótka seria rzuciła go w róg pomieszczenia. Drugi już wbiegał do pokoju i odruchowo wymierzył serię w światło drzwi. Kilun poczuł w ustach drzazgi wyrwane z futryny.

Żołnierz, który przed chwilą meldował o rozstawieniu min kierunkowych, przeskoczył do kolejnej osłony. Przeciwnik był szybszy, wystrzał ze strzelby dosłownie zmiotł Tajwańczyka z nóg. Rzucony o przeciwległą ścianę zwinął się w kłębek i zamarł. Kilun czuł mdły zapach krwi już z kilku kroków.

– Wycofać się do kolejnego pomieszczenia! – krzyczał, odskakując za osłonę. Chińczycy byli coraz bliżej, co chwila słyszał ich pełne gniewu krzyki.

Ktoś krzyknął przeciągle, krótka seria, jakaś postać pada na ziemię. Kurz, pył, następne granaty. Kilun przeskoczył nad stolikiem, przez otwarte drzwi wturlał się do następnego pomieszczenia. Poślizgnął się i upadł twarzą do przodu, poczuł, że rękawice przesiąkają, spojrzął na dłonie. Wpadł prosto w kałużę świeżej krwi.

– Jesteśmy! Windze dostał, odłamki urwały mu łeb! – krzyknął jeden z szeregowców. Przywarł do ściany i puścił długą serię w mrok. Krzyk, huk zwalającego się na szkło ciała. Ostrzał, pociski rykoszetowały z wizgiem.

– Ilu was zostało? – zapytał Kilun, czołgając się byle dalej od wejścia do pokoju. Nogą zatrzasnął drzwi, a na ciemnym drewnie natychmiast pojawiły się jasne przestrzeliny.

– Chyba dziewięciu... – odpowiedział któryś z żołnierzy.

– Ktoś z naszych tam został? – zapytał porucznik.

Nikt nie odpowiedział. Jeszcze kilka minut temu było ich o trzech więcej. Łączność ledwie działała. To, że komunikat zaprzyjaźnionego porucznika doszedł ich uszu, zakrawało na cud. Chińczycy zagłuszali łączność wewnątrz kompanii od kilku godzin. Siali panikę i wychodziło im to nad wyraz skutecznie.

– Wysadźcie miny.

Ściany zadrżały, rozprężające się ciśnienie wyrwało zamknięte przez Kiluna drzwi. Pełne bólu krzyki utonęły w grzmocie eksplozji. Płomienie zahuczały w sąsiednim pomieszczeniu. Krwawe bryzgi zamigotały w pomarańczowych ogniach, rozerwane ciała parowały i syczały od wzmagającego się żaru.

– Ale smród... – powiedział któryś z żołnierzy Kiluna.

– Niech się fajczą, może... – Drugi z szeregowców nie dokończył. Karabinowa kula trafiła go prosto w twarz, głowa odskoczyła do tyłu.

– Ognia! – krzyknął Kilun.

Chińczycy wpadli do pokoju i tym razem byli przygotowani. Uderzenie prowadziło dwóch szturmowców wyposażonych w potężne tarcze. Pociski rykoszetowały, podczas gdy operator prowadził ogień z opartego na wycięciu tarczy pistoletu maszynowego. Kolejny z podwładnych Kiluna zwałił się w wrzaskiem na ziemię. Przestrzeliny pojawiły się też na bocznych drzwiach, prowadzących na korytarz.

Kilun przytulił się do ściany i pospiesznie wymienił magazynek. W zapasie został mu tylko jeden, miał jeszcze pistolet, a na ostatek zawsze zostawał nóż.

– Idą od korytarza! – krzyknął. Kilku żołnierzy natychmiast zmieniło sektory.

Słyszał, jak się zbliżają. Sięgnął po granat i wyjął zawleczkę, odczekał, aż spróbują sforsować drzwi. Wystrzał ze strzelby rozerwał zamek i Kilun zręcznym ruchem cisnął granat w otwór. Na progu zakotłowało się, pospieszne komendy zlały się w jeden huk.

– Ognia! – krzyknął porucznik. Krótkie serie przeorały zadymiony korytarz. Ocalali odpowiedzieli ogniem, pociski szatkowały ściany i meble. Jeden z żołnierzy porucznika schylił się, by zmienić magazynek, zagubiony pocisk trafił go prosto w dłoń. Tkanki i kości rozprysnęły się na wszystkie strony. – Nie dajcie im się przegrupować.

Szturm zakończył się równie szybko, jak rozpoczął. Tupot ciężkich butów oddalał się. Komendy i rozkazy były coraz spokojniejsze. Kilun nie wiedział, ilu zabili – dziesięciu, może więcej? Na pewno sam stracił przynajmniej pięciu ludzi. Przy determinacji Chińczyków kolejnego szturm mogli już nie przetrzymać. Miał dwóch rannych, zdolnych do walki mógł policzyć na palcach jednej dłoni.

Spojrzał na swoich ludzi. Byli wyczerpani, większość miała w gniazdach karabinów ostatnie magazynki. Medykamenty skończyły się już po pierwszych szturmach na gmach muzeum. Widział ich pełne bólu twarze. Odgłosy walki w odległych częściach budynku słabły. James Kilun wymienił spojrzenia z podwładnymi, wszyscy myśleli o tym samym.

– Pierdołę... Mam już dość tego gówna. – Porucznik James Kilun odpiął pasek i zdjął hełm. Przymknął oczy i stanął w świetle drzwi. Byli tam, ale nie strzelali. Tak samo jak on odetchnęli z ulgą.

Prezydent Cziang spojrział na ledwie widoczną mgiełkę, która odpadła z sufitu i spłynęła na stół. Chińczycy ostrzeliwali bezpośrednie sąsiedztwo pałacu od kilku godzin. Walki toczyły się ledwie kilkaset metrów od wejścia do siedziby głowy państwa. Zdobycie samego gmachu i bunkra było kwestią czasu.

Przeegrali, choć na niebie nadal pojawiały się amerykańskie samoloty, a jego żołnierze wciąż ginęli w obronie wyspy. Cziang dobrze wiedział, że to już ostatni akt. Przetarł blat stołu dłonią, żywa barwa jasnego drewna przebiła się przez cienką warstwę kurzu. Ekran przytwierdzony do ściany zadrgał nieznacznie od pobliskiej eksplozji. Wszyscy milczeli. Przeczuwali, że prędzej czy później musiało do tego dojść.

– Panie prezydencie – powiedział szef sztabu. Podniósł wzrok znad ekranu komputera, zdjął okulary i przetarł przekrwione oczy.

– Słucham, generale Ying.

– Straciliśmy kontakt ze sztabem frontu centralnego. Ostatnie meldunki mówią o zdobyciu centrum

Taizhong, nasz kontratak załamał się. Prawdopodobnie ocalałe oddziały wycofały się w stronę gór – zameldował generał. – Na południu jesteśmy w pełnym odwrocie, Chińczycy rzucili na nas wszystko, co mieli.

– Co z amerykańskim lotnictwem? – zapytał minister Kuang Chi.

– Skupili się na chińskiej flocie i wybrzeżu. Stracili kilkanaście samolotów, nie będą w stanie jednocześnie wspierać naszych wojsk i kasać chińskiej floty – odparł szef sztabu.

– Panowie... – powiedział prezydent – wydaje mi się, że nadszedł czas, w którym musimy stawić czoła prawdzie.

Oczy wszystkich zebranych w sali odpraw zogniskowały się na postaci Czianga. Wojskowi zacisnęli usta, a doradcy z nadzieją spoglądali na znużoną twarz głowy państwa.

– Nasz dalszy opór nie przyniesie nic innego jak tylko śmierć tysięcy cywilów i zdewastowanie kraju. Już teraz oceniamy, że w walkach mogło zginąć nawet sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi, rannych mogą być miliony. Nie liczymy poległych w boju, liczby, które podałem, to niczemu niewinni mieszkańcy naszych miast – ciągnął Cziang. – Bądźmy wobec siebie szczerzy, nasze siły zbrojne zostały zdziesiątkowane. Chińczycy wylądowali na wschodnim wybrzeżu. Straciliśmy Jilan i kilka miast po drugiej stronie gór. Uważam, że musimy rozpocząć rozmowy pokojowe z Pekinem. Teraz, póki panujemy jeszcze nad częścią wyspy.

Tak cicho w sali odpraw nie było jeszcze nigdy. Choć większość zgromadzonych spodziewała się tego wystąpienia, wysłuchanie go było jak dobrze wymierzony policzek.

– Jest pan pewien, panie prezydencie? – zapytał Kim-Kuo.

– Nie – odpowiedział Cziang, unosząc brwi. – Nie jestem pewien, czy pozwoli nam to wyjść z twarzą z tej wojny. Ale jestem pewien, że pozwoli to ocalić z naszego narodu tyle, ile tylko się da.

Wschodnie wybrzeże Tajwanu | 20 maja 2023, godzina 03:11

Szum oceanu powitali z ekstatycznym wręcz śmiechem. Natychmiast uruchomili radio i połączyli się ze sztabem w Bobolicach. Marysia Wójcik odetchnęła z ulgą, odmeldowała się i przekazała wiadomość dalej, a ta w końcu trafiła do komandora Rogoziewa i komandosów na pokładzie „Wielkich Łuków”. Okręt wynurzył się dwie mile od wybrzeża, Radegast odebrał sygnał i połączył się z oficerem na pokładzie. Dwie łodzie szturmowe miały dobić do brzegu za nie więcej niż kwadrans. Rzucone na plaży nadajniki podczerwieni powinny wskazać operatorom łodzi SWCC właściwy kierunek.

Wszystko szło jak po maśle, chiński ogon zostawili za sobą dobre kilka kilometrów wcześniej. Urozmaicony teren Tajwanu sprawił, że dla wprawnego zwiadowcy zgubienie pościgu było dziecinnie łatwe. Cywile usiedli w grupce i okryli się brudnymi kocami. Ostatnie wydarzenia wywołały w nich szok. Nie odzywali się, nie rozmawiali, Jastrzębski był pewien, że ani razu nie próbowali poruszać tego tematu. Przerazenie i apatia wzięły górę, nie czuli nic. Jastrzębski pomyślał, że wiele by oddał, by móc podobnie jak oni pograć się w obojętności. Zamiast tego analizował każdą sekundę starcia w fabryce. Gdzie stanął, do kogo strzelił, co mógł zrobić, by ocalić Preissa.

Wyglądało na to, że im się uda. Łodzie powinny lada chwila pojawić się na horyzoncie. Miasteczko, do którego przylegała zatoczka i plaża, było całkowicie zaciemnione, ani żywego ducha. Nie pozostawało nic innego, tylko czekać. Sprawy lubią się jednak pieprzyć w najmniej odpowiednim ku temu momencie.

– Antracyt Dwa do wszystkich, chyba nas znaleźli – powiedział „Padre”. Wraz z „Kruszyną” zabezpieczał odległy o kilkadziesiąt metrów podjazd pod przerzucony nad niewielką rzeką most. – Pięć pojazdów, w tym dwa KTO. Będzie pluton piechoty.

– Antracyt Dwa, tu Jaśmin Jeden, przyjąłem – odparł Bołkoński. – Kurwa... Jest szansa, że nas miną? – zapytał.

– Wątpię, jadą powoli, wyraźnie czegoś szukają. Zachowali spore odstępstwa między pojazdami.

– Jak daleko są od waszej pozycji?

– Według dalmierza czterysta siedemdziesiąt metrów. Będą tu lada chwila.

– Oświetlić transportery laserem. Nie ma rady, musimy wyeliminować największe zagrożenie, zanim się zorientują – rozkazał Bołkoński po kilku sekundach milczenia.

– Tak jest.

– Jaśmin Jeden do wszystkich, cywile za wydmy, natychmiast!

Jastrzębski obrócił się w stronę Rosjanina. Dwójka operatorów przygotowywała już do odpalenia zestaw przeciwpancerny. Komandosi rozbiegli się na pozycje. Pojazdy powinny minąć czujkę i wyjechać zza wzniesienia prosto pod ich lufy. Na otwartej przestrzeni między miasteczkiem a mostem Chińczycy będą bez szans.

– Andriej, nie stracimy już nikogo – powiedział, kiedy Rosjanin go mijał.

– Wiem – odpowiedział Bołkoński i skinął na Polaka.

Ustawiony na plaży zestaw ożył. Rakieta wyleciała ze świstem i wystrzeliła pionowo w górę. Głowica złapała oświetlany przez „Padre” cel i zanurkowała ku przeznaczeniu. Chińczycy wyjechali właśnie zza porośniętego trawą wzniesienia. Nie mieli pojęcia, że każdy ich krok śledzi kilkanaście luf. Pocisk wbił się w drugiego z transporterów i zamienił go w kulę ognia. Pozostałe pojazdy zareagowały szybciej, niż przypuszczał. Rozjechały się na boki w tym samym momencie, w którym specjaliści otworzyli

ogień. Obramowane wozy zatrzymały się chwilę później. Chiński ZBL-09 zjechał za niski wał, ponad nawierzchnię wystawała tylko wieżyczka. Lufa obróciła się w stronę zajmowanej przez Radegast plaży.

Chińczycy pospiesznie wyskakiwali z pojazdów. Większość nie miała nawet szansy złożyć się do strzału. Celne, mierzone serie kładły ich jednego po drugim. Wystarczyło kilka sekund, by plażę zasłało przynajmniej dziesięć przeszytych kulami ciał. Ocaleni tylko ci, którzy podobnie jak transporter skęcili za wał. Chińczycy nie zwlekali zbyt długo z odpowiedzią. Trzydziestomilimetrowe działo odezwało się z głośnym ujadaniem. Kilkunabojowa seria przeorała szarą plażę, wyrzucając w powietrze fontanny piachu. Operator uzbrojenia przesuwiał powoli wieżyczkę od lewej do prawej. Chciał pokryć ogniem całą szerokość plaży, podczas gdy chińska piechota rozwijała się do związania przeciwnika ogniem.

– Zestaw przeładowany, gotowi do odpalenia! – Jastrzębski wcisnął się między dwa spróchniałe konary. Spojrzał w stronę operatorów wyrzutni. Byli niemal na otwartym terenie. Jeśli zaraz nie rozwałą transportera, ten zamieni ich w rozrzucone po piasku flaki.

– Jaśmin Jeden! Zmieniamy pozycję, jesteśmy pod ostrzałem z broni maszynowej – tym razem odezwał się „Padre”.

Jastrzębski zaklął w myślach. Żeby samodzielnie namierzyć transporter, musieliby przedostać się z całym zestawem nieco wyżej. Polak sięgnął do kieszeni przymocowanej do kamizelki. Wyjął marker i uruchomił urządzenie. Jednym kliknięciem przełączył się na kanał swojego zespołu.

– Antracyt Jeden do wszystkich. Osłaniajcie mnie, wejdę wyżej i naświetlę cel dla naszych – powiedział.

– Przyjąłem, Antracyt Jeden – odparł „Kojot”. – Nie daj sobie dupy odstrzelić.

– Nie nazywam się Bołkoński, nie martw się.

Podwładni natychmiast wychylili się z kryjówek i otwarli ogień. Chińczycy w tym czasie zajęli dogodne pozycje i ślali ku plaży mierzone serie. Działko transportera błyskało raz po raz. To był cud, że do tej pory udało im się uchronić od strat. Któryś z komandosów zdjął z pleców RPG-32 i odpalił prosto w wieżyczkę. Pocisk ledwie musnął moduł bojowy i detonował, nie wyrządzając pojazdowi większej szkody. Od strony wału posypały się granaty, seria eksplozji rozerwała się między ukrytymi na plaży komandosami. Jastrzębski odbiegł kilka kroków od konarów i zniknął za niskim pagórkiem. Usłyszał w słuchawce krótkie krzyki – mieli przynajmniej jednego rannego.

– Antracyt Dwa! Podajcie swoją pozycję! – krzyknął Bołkoński.

– Obchodzimy przeciwnika, wejdziemy im na tyłek razem z „Kruszyną” – odpowiedział „Padre”.

– Spieszcie się, przyciskają nas. Musimy mieć wasz namiar.

– Tak jest.

– Antracyt Jeden do wszystkich. Wchodzę na prawą flankę przeciwnika, spróbuję opromieniować pojazd. – Jastrzębski wczołgiwał się powoli ku szczytowi wzniesienia. Mechaniczne siłowniki pozwalały zaprzeć się porządnie w ziemi i przyspieszyć ruch. Jastrzębski wyglądał jak wijąca się ku górze stonoga.

– Widzę cię, Antracyt Jeden. Zamelduj strzelcom, jak będziesz na górze.

Kapitan nie odpowiedział, wyciągnął broń przed siebie i wykonał kilka szybkich kopnięć. Wdrapał się na szczyt kilkanaście sekund później i zmrużył oczy. System dobrze odczytał jego intencje. Cyfrowy zoom HUD-a przybliżył obraz: chiński ZBL musiał jednak dostać, część wieżyczki jarzyła się czarnym kleksem, co musiało oznaczać porządne nagrzanie pancerza. Wzdłuż wału zaległ przynajmniej tuzin piechurów.

– No dobra... – Jastrzębski wyciągnął przed siebie marker i nacelował okular na kadłub transportera. – Antracyt Jeden, cel oświetlony!

Na potwierdzenie nie trzeba było długo czekać. Rakietę poszybowała w górę i opadła z siłą błyskawicy. Pancerz pękł jak uderzona młotem szyba, eksplozja uniosła kadłub nad ziemię i cisnęła o grunt. Kilku żołnierzy znajdujących się najbliżej transportera dosłownie zniknęło w płomieniach.

Jastrzębski uśmiechnął się i spojrział w bok. Dwie migające w podczerwieni postaci przemykały w jego stronę, ukryte za niskim parkanem.

– Antracyt Jeden do Antracyta Dwa, widzę was – powiedział Jastrzębski.

– Przyjąłem, Antracyt Jeden, idziemy prosto na ciebie.

Polak obrócił się nieco i wycelował MSBS-a w wał, Chińczycy odskoczyli, nie ostrzeliwali się już tak zaciekle. Jastrzębski w duchu podziwiał determinację przeciwnika. Mimo tak dużych strat potrafili wycofać się w idealnym porządku.

Przycelował, krzyżyk na HUD-zie zgrał się z ciemną sygnaturą przeciwnika. Strzelił ułamek sekundy za późno. Długa seria z karabinu maszynowego przeorała parkan. Kilka pocisków zatrzymało się na grafenowym pancerzu. Dwa weszły niefortunnie pod pachę „Kruszyny”, akurat jak podnosił ramię. Specjals padł jak długi.

– Antracyt Jeden, potrzebuję wsparcia, mam ранnego! – krzyknął „Padre” i natychmiast przyłgnął do ziemi.

– Przyjąłem. – Jastrzębski zerwał się na równe nogi i popędził w stronę oddalonego o niespełna trzydzieści metrów „Padre”. Razem złapali potężnego Rosjanina za kamizelkę i przeciągnęli poza zagrożony obszar.

– Jaśmin Jeden do wszystkich! Łodzie zbliżają się do plaży, ewakuacja za sześćdziesiąt sekund!

– Antracyt Jeden do wszystkich, mamy ранnego! Powtarzam, „Kruszyna” ranny!

Dociągnęli go na plażę ostatkiem sił. Jastrzębski puścił uprząż ratunkową kamizelki i padł na kolana. Poczł, jak przez wzmocnione rękawice przelewa się chłodny ocean. „Kruszynę” przejął Czechowski. Medyk natychmiast sięgnął po osobisty opatrunek i sprawdził ranę Rosjanina.

– Kurwa... On nie żyje, brak odczytów funkcji życiowych. Pociski weszły przez pachę aż pod kręgosłup – powiedział zrezygnowany.

– Odsiecz do wszystkich, odsiecz do wszystkich! Zróbcie miejsce na plaży! – usłyszeli potężny głos.

Chwilę później w szary piach wryły się dwa podłużne cygara. Jastrzębski wiedział, że dmuchane szybkie łodzie bojowe nie są wielkie, ale mimo to zachodził w głowę, jakim cudem zmieściły się na pokładzie okrętu podwodnego.

Rozsadzili w łodziach po równo cywilów i ocalałych komandosów. Żeby zakończyć ewakuację, musieli podzielić transport na dwie tury. Dla łodzi podróż w dwie strony to niespełna dwadzieścia minut. Na plaży zostały tylko sekcje Antracytów i Jaśminów.

– Zaraz będzie po wszystkim – powiedział Bołkoński, widząc, że operatorzy specnazu ponownie zeskakują z pokładów i osłaniają Radegast. Po Chińczykach nie został ślad. Świadectwem brutalnej potyczki były dwa płonące wraki transporterów i kilkanaście ciał, zaścielających szarą plażę.

– Powiedz to Preissowi, „Kruszynie” i... – mruknął Jastrzębski.

– Zamknij się i włącz na łódź. Nie pomożesz im, jak sam zarobisz kulkę. Kitajce zlecą się tu zaraz jak sępy.

– Wróć po niego. – Jastrzębski wybił się z dwóch nóg i wylądował wewnątrz łodzi.

– Jak my wszyscy – zakończył „Padre”.

Ośrodek wypoczynkowy Aleksandria, Republika Chińska

| 20 maja 2023, godzina 16:48

Udawali tylko ze względu na Davida. Zaczynali rozmawiać, gdy wchodził do pokoju, posyłali sobie wymuszone uśmiechy. Wspólnie ustawiali się w kolejce do garkuchni i przepuszczali w drzwiach. Jakby zupełnie nic się nie stało. Gdy tylko David zniknął z pola widzenia, jeżyli się jak koty. Odpowiadali sobie półsłówkami, a każda rozmowa kończyła się wzajemnymi oskarżeniami. Małżeństwo, które przetrzymało lata idylli, pękło jak bańka mydlana.

Yang miał wielką ochotę trzasnąć drzwiami. Ostatkiem sił powstrzymał się i delikatnie przekręcił rozklekotaną klamkę. Stał na ganku i poczuł gigantyczną chęć zapalenia papierosa. Tytoń był towarem deficytowym, ale z drugiej strony, na co innego miał teraz wydawać pieniądze? Emily zarobiła na transport własnym ciałem. Nienawidził jej za to, ale przynajmniej udowodni, ile to dla niego było warte. W sam raz, by puścić wszystko z dymem, pomyślał. Jedzenie zapewniano im z zapasów, wojsko miało dotrzeć do obozu lada dzień, nie było się czym przejmować. Nawet samoloty jakoś rzadziej latały nad zbiornikiem, widać wszystko zmierzało ku końcowi.

Zszedł po schodach i ruszył do sąsiedniego domku. Pomalowany pomarańczową farbą rzucał się w oczy jak żaden inny budynek Aleksandrii. Stał przed gankiem dokładnie w momencie, w którym na zewnątrz wychodził Bill. Biała koszula nosiła ślady krwawych odcisków. Zupełnie jakby ktoś w przedśmiertnych skurczach próbował chwytać go za ubranie. Ewentualnie chciał odepchnąć napastnika. Yang przeczuwał, że mogło chodzić o tę drugą możliwość. Nie musieli się lubić, wystarczyło, że Bill był obozowym potentatem tytoniowym.

– Cześć – rzucił Yang, unosząc dłoń.

– Hm – mruknął Bill, strzelił zapalniczką i odpalił papierosa.

– Chciałbym kupić paczkę. Mam nadzieję, że to wystarczy. – Yang stanął na pierwszym stopniu schodów i wyjął z portfela kilka banknotów.

– Ho, ho! – zaśmiał się Bill, ukazując imponujące braki w uzębieniu. – Starczy, starczy! Ja pazerny nie jestem, ale interes to interes. Jak jest popyt, to cena rośnie! – zaśmiał się gardłowo.

– Nie da się ukryć – mruknął Yang. Jeszcze kilka dni temu za trzymane w ręku pieniądze mógłby kupić całą sztangę.

Złapał wyciągniętą paczkę. Bill nie wypuszczał jej z ręki. Yang westchnął i zmarszczył brwi, nie chciał wdawać się w kłótnię. Nie miał na to ani sił, ani odwagi.

– Żartować nie wolno? – zapytał tamten ze śmiechem.

– Ubaw po pachy... – Yang szarpnął mocniej, wyrywając paczkę z brudnej dłoni Billa. Tamtemu wyraźnie się to nie spodobało, splunął tuż pod nogi Yanga i spojrzał na niego z pogardą.

– Wypierdalaj! – warknął.

Yang zrobił krok do tyłu, obrócił się i przyspieszył kroku. Nie szukał zwady, chciał świętego spokoju, chwili, podczas której będzie mógł pobyć sam ze sobą.

Wyszedł na sporych rozmiarów polanę, która zajmowała centralną część ośrodka. Posadzono tu tylko kilka drzew, które dawały przyjemny chłód podczas upałów. Między pniami meandrowały wysypane szutrem alejki. Większość tymczasowych mieszkańców Aleksandrii odpoczywała teraz po obiedzie lub pracowała przy kuchni. Próbowano tu zorganizować życie po staremu, na tyle, na ile to było możliwe. Yang usiadł i oparł się plecami o potężny pień. Zerwał banderolę i wyjął z paczki papierosa, a chwilę później zaciągnął się i przymknął oczy. Tak bardzo tęsknił za tym smakiem. Obserwował, jak dym unosi

się w powietrzu i znika na tle burego nieba. Starał się nie myśleć, delektować chwilą. Ostatnie dni przytłoczyły go zdecydowanie bardziej niż lata ciężkiej, mozolnej pracy. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak kruche było jego dotychczasowe życie, a osoba, z którą dzielił każdy sekret, wydawała się kimś tak odległym. Wiedział, co robi, gdy wojna dobiegnie końca. Początkowo uważał, że jego decyzja była banalna i tak typowa, że wywoływała na ustach mimowolny uśmiech. Ostatecznie uznał, że musi zacząć nowe życie, tak samo jak jego rodacy i cała wyspa. Owszem, powrót do normalności potrwa miesiące, może lata, ale Yang postanowił wykorzystać ten czas na walkę nie tylko o swoją przyszłość. Dzieci, teraz to one były najważniejsze.

Nawet się nie zorientował, kiedy przysnął. Papieros w jego dłoni dawno zgasł, udało mu się zaciągnąć ledwie kilka razy. Przetarł oczy wierzchem dłoni, zmarszczył brwi. Dźwięk, który docierał do jego uszu, był czymś zupełnie nowym. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz słyszał megafon.

Strzepnął popiół ze spodni i spojrzał na prawo. Przez gęste listowie dostrzegł ponurą bryłę zajmowanego przez nich domku. Drzwi podobnie jak okna były pozamykane, wszystko wyglądało dokładnie tak, jak jeszcze kwadrans wcześniej. Yang podniósł się z trawy i ruszył ku administracyjnej części ośrodka. Dźwięk megafonu dobiegał właśnie stamtąd. Zauważył, że kilkoro mieszkańców wyszło na ganki i spoglądało w stronę murowanego budynku biura. Gestykulowali, wymieniali głośne uwagi. Inni podobnie jak Yang ruszyli sprawdzić źródło dźwięku.

Dopiero kiedy pokonał mniej więcej połowę drogi, zaczął rozumieć wypowiedane w ojczystym dialekcie słowa. Ten sam komunikat powtarzany był w kółko jak katarynka, szczekaczka nadawała też po angielsku, a słowa przetłumaczono idealnie.

– Jesteśmy żołnierzami amerykańskich sił zbrojnych, prosimy o opuszczenie zajmowanych budynków i zebranie się na głównym placu ośrodka. Przyjechaliśmy wam pomóc, mamy jedzenie, wodę oraz lekarstwa. Jesteśmy przyjaciółmi! – krzyczał ktoś doskonałą angielszczyzną.

Yang zaśmiał się serdecznie. Nareszcie, pomyślał. Jego plany, nadzieje, to wszystko miało się ziścić. Miał zacząć nowe życie. Był już kilka kroków od głównego budynku. Ludzie dołączali do pochodu. Niektórzy padali sobie w ramiona, inni wznosili toasty w brudnych szklankach. Brukowaną alejką wyjechały z za zakrętu samochody opancerzone typu Humvee. Gwieździste proporczyki powiewały wesoło na antenach. Yang przestał liczyć po piątym, kolejne wozy rozjechały się po polanie i zmierzały w stronę bardziej oddalonych domków. Kolumna zatrzymała się tuż przy niewielkim rondzie, które stanowiło jedyny element dekoracyjny przed biurem. Ludzie podbiegli do samochodów, klepali w maski, wskakiwali na ubłocone progi pojazdów. Żołnierze, którzy dzierżyli potężne karabiny maszynowe, ukryci byli w opancerzonych wieżyczkach. Kiedy w pojazdach otworzyły się drzwi, coraz głośniejsza feta zamieniła się w grobową ciszę.

Yang poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Blady, z sercem walącym o żebra, rzucił się do panicznej ucieczki. Amerykańskie chorągiewki i nagrane komunikaty... Mimo tylu przejść i dramatów nawet przez sekundę nie pomyślał, żeby przycząić się na uboczu. Chińczycy tylko na to czekali. Nie widział tego, ale czuł, że wieżyczki obróciły się w stronę tłumu. Kiedy odezwały się pierwsze serie, był już przy drzewach. Słyszał przerażone krzyki rozstrzeliwanych. Włosy stanęły mu dęba, a głos uwiązł w gardle. Karabiny terkowały nieprzerwaną serią. Nie miał odwagi, by choć na chwilę spojrzeć w tył. Gałąź na wysokości twarzy zobaczył w ostatnim momencie, schylił się jednak zbyt gwałtownie. Ciało nie skoordynowało ruchów i wyrznął jak długi. Poczł, jak nos chrupnął boleśnie, i ból eksplodował mu pod czaszką. Zaćmiło go tylko na chwilę. Wstał na kolana. Ocalali z pogromu ludzie zaczęli go wymijać, widział poplamione krwią ubrania. Ktoś padł tuż obok niego, jego przerażona twarz przypominała trupią maskę. Pozbawiona ręki kobieta machała krwawiącym kikutem w stronę Yanga.

Zerwał się na równe nogi, do domku miał tylko kilkadziesiąt metrów. Dyszał, jakby przebiegł właśnie maraton. Pompowana prosto do żył adrenalina niemal rozsadziła serce.

– Emily! – krzyczał. – David! Uciekaj...

Stanął jak wryty. Po prostu nagle przestał biec. Ból zniknął. Humvee znajdował się tuż przed jego domem. Cała trójka była na zewnątrz. Emily klęczała, trzymając przy piersi kwilące zawiniątko. Tuż obok chiński żołnierz rzucił Davida na ziemię. Jego syn płakał i unosił ręce w obronnym geście. Oficer, który stał na ganku, podniósł karabin i wycelował prosto w pierś Yanga.

– Proszę... Nie... – załkał. – Nie moją rodzinę.

– Na kolana, psie! – warknął oficer, nie opuszczając broni, zszedł po schodkach i stanął kilka kroków przed Yangiem.

– Błagam, mam małą córeczkę. Ona ma dopiero...

Nie dokończył, bo potężny kopniak powalił go na plecy. Oficer zaśmiał się. Yang podniósł głowę i spojrzał na żonę. Tuliła Chen do piersi z całych sił, a jeden z żołnierzy oparł lufę karabinu na jej głowie. Oficer krzyknął rozkaz przez ramię.

– Nie!

Strzał, potem drugi, trzeci, w idealnych odstępach czasu. Yang zamknął oczy, zaciskał powieki z całej siły. Nie chciał już nowego życia. Przecież to tylko sen, koszmar, z którego za chwilę wyrwie go budzik, pomyślał. Otwierał oczy powoli, jakby patrzył prosto w słońce. Trawa była karminowa.

Przeniósł wzrok na stojącego nad nim oficera.

Potem był błysk i ciemność.

Biały Dom, Waszyngton DC, USA | 20 maja 2023, godzina 21:21

Albert Armitage zabębnił palcami po blacie stołu w pokoju sytuacyjnym. Obserwowanie satelitarnego obrazu chińskiej floty zaczynało go nużyć. Policzył już wszystkie okręty, zaczął też zauważać między nimi różnice. Raz na jakiś czas obraz na ekranie zmieniał się. Amerykańskie myśliwce na Okinawie czekały w gotowości na płycie lotniska, pierwsza z Błyskawic ustawiła się już na końcu drogi startowej i co jakiś czas zwiększała ciąg. Czekali już tylko na potwierdzenie z ośrodka programu „Zeus”.

– Generale, długo jeszcze? – zapytał Armitage, spoglądając na Jamesa Cartera.

– Za chwilę powinniśmy otrzymać potwier... – Dowódca sił powietrznych podniósł wzrok znad ekranu laptopa. Dźwięk nadchodzącej wiadomości wybił go z rytmu. – Sir, otrzymałem potwierdzenie. „Zeus” zakończył działanie. Jesteśmy gotowi.

Albert Armitage skinął nieznacznie i ponownie spojrzał na ekran. Grupa chińskich niszczycieli szykowała się właśnie do wyjścia w morze z jednej z baz na wschodnim wybrzeżu. Lepszej okazji już nie dostaną.

– Zaczynajcie – powiedział prezydent.

Usłyszał nadlatujące helikoptery, były coraz bliżej. Sprawdził broń i odruchowo poprawił chwyt na łożu swojego MP5. To miała być ich ostatnia operacja na tajwańskiej ziemi. Przez kilka dni koncentrowali się w wybranych punktach i przygotowywali do uderzenia na najcenniejszy kompleks badawczy na wyspie. Została ich może połowa, choć Jiabao nie znał dokładnej liczby przerzuconych przed miesiącami agentów. Takie były procedury bezpieczeństwa, a dobrze wiedział, że kaci z Tajpej mogliby wyciągnąć z niego wszystko.

Spojrzał w bok, gdzie kilku przyczajonych sabotażystów zerkąło w niebo. Zaciskali dłonie na broni, co chwila zmieniali nogę w przykłęku, byli nerwowi. Przetrwali pięć dni piekła, a to miał być ostatni akord rozpoczętego przez nich koncertu.

Pierwsze rakiety wystrzeliły w powietrze już po kilku sekundach. Tak jak przewidywali, system obrony kompleksu pozostał nietknięty. Kilka pocisków rozświetliło mrok i przemknęło ponad ich głowami. Usłyszał wystrzeliwane przez pilotów race: pierwsza eksplozja, potem druga, kilka pomniejszych pomruków. Kogoś musieli zestrzelić, pomyślał Jiabao. Wiedział, że desantowi będą towarzyszyć maszyny szturmowe. Salwy naprowadzanych laserowo pocisków nadleciały z za ich pleców i skupiły się na ukrytych między zabudowaniami wyrzutniach. Kilkanaście eksplozji wstrząsnęło zaciemnionym kompleksem. Autonomiczne systemy obrony bardzo krótkiego zasięgu pracowały na pełnych obrotach. Nie były jednak w stanie poradzić sobie z każdą zbliżającą się rakieta. Nie minęła minuta, jak kilka budynków zniknęło w tumanach gęstego dymu. Teraz nadeszła ich kolej.

Sekcje przeciwpancerne wystrzeliły w stronę wzmocnionej bramy. Huk detonacji zlał się z brzękiem upadającego na asfalt metalu. Snajperzy otworzyli ogień, dając osłonę niewielkim grupkom szturmowym. Jiabao przygarbiony biegł do najbliższej osłony. Obrońcy zaczęli odpowiadać ogniem. Jiabao usłyszał, jak biegnący tuż za nim sabotażysta krzyczy, po czym zwała się z plaśnięciem w kałużę. Kule świszczą coraz głośniejsze, ocalali Tajwańczycy otrząsnęli się z szoku błyskawicznie.

Dobiegł do tłęcej się budki strażniczej. Kule odrywały kolejne kawałki tynku i brzęczały głucho w

zderzeniu z pancerną szybą. Kolejna rakietka śmignęła przez zniszczoną bramę i rozerwała się na betonowej zaporze. Ustawiony tuż za nią karabin maszynowy umilkł.

Jiabao spojrzął w górę. Dwa śmigłowce szturmowe w pełnym pędzie przeleciały tuż nad dachami kompleksu. Wielolufowe działka, zamontowane pod dziobami, pruły na wszystkie strony długimi seriami. Iskry rozświetlały krajobraz milionami pomarańczowych ogników. Tajwańczycy próbowali się bronić, co chwila w powietrze wylatywały niekierowane rakiety lub długie serie z półcalowych karabinów maszynowych. Przewaga była jednak po stronie atakujących i obrona dobrze o tym wiedziała. Chińczyk wychylił się nieco i omiół wzrokiem przedpole. Udało im się wdrzeć na teren kompleksu i utworzyć przyczółek. Natarcie wyraźnie zwolniło, potyczka przeistoczyła się w serię pojedynków na krótkim dystansie. Śmigłowce szturmowe wykonywały właśnie nawrót, co dało Tajwańczykom kilka chwil na przegrupowanie sił i rozwinięcie obrony. Właśnie w tym czasie na niebie pojawiły się kolejne kształty. Śmigłowce zawisły nad drogą dojazdową i zajęтым przez sabotażystów placem. Operatorzy uzbrojenia siali serie na wszystkie strony, dając osłonę desantującym się komandosom. Rzucone w ciemność liny natychmiast zapełniły się zjeżdżającymi w dół specjalsami.

Wen Jiabao uśmiechnął się. Wszystko trwało ledwie kilka minut, droga do serca kompleksu już za chwilę stanie przed nimi otworem. Chińczyk złożył się do strzału i zgrał przyrządy celownicze. Wziął na cel odległego o kilkadziesiąt metrów Tajwańczyka, który właśnie wymierzył rurę wyrzutni w stronę wiszącego nad placem śmigłowca. Jiabao zmarszczył brwi. Przyrządy celownicze, podobnie jak całe jego ciało i okolica, zaczęły drżeć.

Znajdowali się na wysokim pułapie, w bezpiecznym korytarzu, który powinien zapewnić im spokojny lot aż nad sam cel. Większość chińskiego lotnictwa skupiona była na walkach z Amerykanami i straszeniu Hindusów. Misje bezpośredniego wsparcia szeregów walczących na zachodzie wyspy systematycznie malały, podobnie jak liczba wciąż aktywnych punktów oporu. Ponoć w wielu miejscach Tajwańczycy zaprzestali dalszej walki, a prezydent Cziang szykował się do wystosowania prośby o rozpoczęcie rozmów pokojowych. Media coraz częściej rozprawiły o możliwie szybkim zakończeniu konfliktu i spekulowały na temat przyszłości Tajwanu. Dla pułkownika Adama Bronsona żadna z tych rzeczy w ogóle nie istniała. Podobnie jak prowadzona przez niego eskadra, on wciąż był na wojnie. Liczyło się wyłącznie powierzone mu zadanie, przeczuwał, że od wyniku tej operacji mogła zależeć przyszłość nie tylko jednej wyspy, ale też całego regionu.

– Duch Jeden do wszystkich, dziewięćdziesiąt kilometrów do celu. Pułap i prędkość bez zmian, przygotować się do zrzucenia ładunków – powiedział, wybierając z listy odpowiednie uzbrojenie. Każdy z kilkunastu samolotów przewoził w komorach po dwie bomby typu JDAM. Naprowadzane satelitarnie głowice mogły zostać zrzucone z dystansu niemal trzydziestu kilometrów. Układ naprowadzania korygował trajektorię już podczas opadania, pozwalając na zminimalizowanie ryzyka błędu.

– Przyjąłem, Duch Jeden, rozpoczynam procedurę uzbrojenia – odpowiedział jeden z pilotów eskadry.

– Do wszystkich Duchów, zrzut z granicy zasięgu.

Bronson widział już zarys wyspy, do celu zostało im kilkadziesiąt kilometrów. Do otwarcia komór kilka chwil. Dystans wyświetlany na owiewce hełmu zmniejszał się z każdą sekundą. Gdyby nie amerykańskie lotnictwo, które zmusiło Chińczyków do walki na północ od wyspy, musieliby się przebijać przez roje wrogich maszyn. Dywersja zakończyła się pełnym sukcesem. Pomarańczowe placki płonących miasteczek migały w oddali i znikły pod kadłubami samolotów. Docierali właśnie do wybrzeża.

– Duch Jeden do wszystkich. Jesteśmy w punkcie Boston. Rozpocząć zrzut – powiedział pułkownik i przesunął kciuk na odpowiedni guzik. Komory uzbrojenia otworzyły się na ułamek sekundy. Dwa niemal

tonowe ładunki oderwały się od zaczepów, rozłożone lotki natychmiast zadrgały, korygując tor lotu. – Wykonać zwrot, kierunek na punkt Charlestown.

– Tak jest, Duch Jeden. Ładunki zrzucone, wykonuję zwrot. – Jeden po drugim piloci eskadry potwierdzali wypuszczenie bomb. Ponad dwadzieścia JDAM-ów szybowało w dół, prosto ku ukrytemu między szczytami celowi.

Pułkownik Adam Bronson zmienił kurs i przez chwilę leciał wzdłuż porowatego wybrzeża. Pułap rzędu kilku tysięcy metrów chronił go przed ręcznymi systemami przeciwlotniczymi. Wyglądało na to, że Chińczycy rzeczywiście opanowali większą część wschodniego wybrzeża. Tajwańczycy byli otoczeni z każdej strony. Bronsona coraz mniej dziwiła decyzja dowództwa i cel misji.

Bomby przeleciały między wzgórzami, układ naprowadzania nakierował ładunki w taki sposób, by ominęły otaczające cel szczyty i wybrały najłatwiejszą drogę. W dole trwała zaciepła walka, kotlina mieniła się setkami błysków, wybuchów i coraz to nowych pożarów. Walczący nie mieli jeszcze pojęcia, że śmierć może przyjść z zupełnie innego kierunku.

Pierwsza fala bomb przebiła dachy i zawałiła zjazdy do podziemnych parkingów. Głowice detonowały dopiero wewnątrz zabudowań. Siła eksplozji wyrzuciła w powietrze gruzy i wraki samochodów, betonowe mury rozpadły się jak domki z kart. Kilka sekund wystarczyło, by zmieść z powierzchni ziemi większość zabudowań i tuziny walczących w płomieniach żołnierzy. Chwilę później do wyrwanych kraterów wpadły kolejne ładunki i rozerwały wzmocnione stropy komór pod budynkami. Gruba warstwa żelbetu skruszyła się i pękła pod naporem kilkusetkilogramowych głowic. Kilkanaście eksplozji zdewastowało podziemny bunkier, rozprężające się ciśnienie sprasowało pomieszczenia. Fala uderzeniowa dotarła też do najważniejszego miejsca kompleksu. Potężny reaktor, owoc prac setek naukowców i inżynierów, zwinął się w kłębek i sypnął iskrami. Delikatna konstrukcja nie została zaprojektowana na wypadek uderzenia tonowej bomby. Reaktor rozpadł się na tysiące fragmentów i zajął jasnym ogniem. Lata mozolnej pracy zniknęły w huczących płomieniach.

Biały Dom mógł być dumny, eskadra pułkownika Bronsona wykonała swoje zadanie. Przełomowa dla światowej energetyki technologia została pogrzebana pod tonami gruzów. By zakończyć badania, które doprowadziły do jednej z najkrwawszych wojen w historii ludzkości, wystarczyła jedna eskadra. I dziesiątki tysięcy ludzi, którzy oddali życie.

Gener Amihan uwielbiał łowić nocą. Ta była wyjątkowo piękna – niebo rozświetlały miliardy gwiazd, ciepły wiatr muskał skórę Genera. Filipińskie noce należały do najpiękniejszych na świecie.

Zdjął buty i stanął stopą na białym jak mąka piasku. Delikatny puch przecisnął się przez palce. Gener uśmiechnął się i ruszył ku szumiącemu oceanowi. Zdjął z ramienia torbę, zważył ją w dłoni. Ulubione wędki, zanęty, zwinięty ręcznik, tablet dla zabicia czasu. Wszystko robiło się coraz cięższe albo on coraz starszy. Zamyślony nawet nie zauważył, że wszedł na mokry od wody piasek. Położył torbę na ziemi i schylił się, by rozpiąć suwak. Od strony oceanu doleciał go dźwięk głośniego plaśnięcia. Podniósł wzrok i zamarł. Ocean cofnął się przynajmniej o kilka metrów, odsłaniając głęboki rów, ciągnący się wzdłuż linii brzegowej. Nawet podczas odpływu morze nie cofało się tak daleko. Woda pieniała się, fale były coraz słabsze. Gener przypomniał sobie niewielkie drgania, które poczuł, gdy przygotowywał wieczorny posiłek. Właśnie wtedy w nieodległym miasteczku zawyły syreny.

Panika zastała go już na pierwszej ulicy, gdzie wyległy tłumy ludzi. Liczne samochody zatarasowały dojazdy do skrzyżowań, kierowcy trąbili, próbowali przejechać zapchanymi przez pieszych chodnikami. Skręcił w biegnącą wyżej uliczkę, do domu miał stąd ledwie kilkaset metrów. Po kilkunastu krokach stanął między niskimi budynkami i spojrzął ku wybrzeżu.

Fala była potężna, miała niemal dwadzieścia metrów wysokości. Załamała się tuż przy plaży. Korony

palm zniknęły w kipieli, drzewa połamały się jak zapałki. Huk zderzenia masy wody z lądem wprowadził szyby w drgania. Gigantyczna fala wbiła się między pagórki i pierwsze budynki. Fontanny stłamszonej wody strzelały w powietrze, tsunami prasowało przed sobą budynki jak walec. Nawet jeśli któryś z porwanych ludzi utrzymał się na powierzchni, prąd rzucał nim od ściany do ściany. Jedna z odnóg fali przelała się właśnie przez ulicę, którą biegł ledwie kilka minut wcześniej. Widział, jak jakaś kobieta łapie się latarni, a chwilę później latarnię wraz z ofiarą porywa płynący w poprzek ulicy biały van.

Gener zerwał się do dalszego biegu. Fala powoli wdzierając się w górę uliczki. Rodzinę zastał na niewielkim ganku. Mieli szczęście, podobnie jak kilkudziesięciu szczęśliwców, którzy zajmowali usytuowane na wzgórzu osiedle. Jako jedni z nielicznych mieszkańców północnego wybrzeża Filipin nie stracili niczego.

Nie wiedzieli, że epicentrum trzęsienia znajdowało się pod powierzchnią Pacyfiku, ledwie sto pięćdziesiąt kilometrów od wschodniego wybrzeża Chin. Trzydziestometrowa fala prześlizgnęła się po tajwańskim wybrzeżu, zmywając z powierzchni ziemi suche doki, magazyny, szpitale i bazy remontowe chińskich wojsk. Nieco niższe fale sięgnęły kontynentu. Kilkanaście baz chińskiej floty zostało zrównanych z ziemią, a woda wdarła się paręnaście kilometrów w głąb wybrzeża, niosąc śmierć tysiącom cywilów. Pod wodą znalazły się spore połacie Hongkongu, Szanghaju oraz miast Japonii i Korei Południowej. Większość chińskich lotnisk na spornych wyspach Morza Południowochińskiego została dosłownie zmieciona do oceanu wraz z całą infrastrukturą. Tsunami dotarło również do wybrzeży Wietnamu, gdzie doprowadziło do całkowitej zagłady kilkudziesięciu miasteczek i rybackich wiosek. Oberwało się również amerykańskim instalacjom na Okinawie, choć te ubytki były od początku wliczone w bilans zysków i strat wykorzystania nowej broni.

„Zeus” pokazał swoją siłę i dokonał tego, czego nie potrafiła uczynić cała VII Flota.

Wiadomości TVN24 | 21 maja 2023, godzina 12:48

Według niepotwierdzonych jeszcze informacji prezydent Cziang w porozumieniu z rządem i sztabem generalnym tajwańskich wojsk wydał rozkaz do zawieszenia wszelkich działań prowadzonych przez tajwańskie siły zbrojne. Jak donoszą źródła w Pekinie, decyzja ta została przyjęta z zadowoleniem. Chińczycy są gotowi, by w każdej chwili rozpocząć rozmowy pokojowe, mające na celu przyjęcie kapitulacji tajwańskich wojsk. Nie wiadomo jeszcze, jaki status otrzyma Republika Chińska oraz czy zachowa niezależność od kontynentalnych Chin. Światowi eksperci sugerują, że najbardziej prawdopodobnym scenariuszem może być nadanie Tajwanowi statusu republiki autonomicznej na zasadach Tybetu oraz wydzielonego miasta, jakim jest Hongkong. Nie ulega jednak wątpliwości, że Chińczycy będą chcieli w dużej mierze kontrolować politykę Tajpej. Sześciodniowa kampania doprowadziła do zrujnowania niemal całego zachodniego wybrzeża wyspy, co niewątpliwie odbije się na wynikach elektronicznych gigantów, których fabryki i centrale w dużej mierze zlokalizowane były właśnie na Tajwanie. Wciąż nie wiadomo, jaka jest choćby przybliżona liczba ofiar konfliktu, choć Human Rights informuje, że na samej wyspie w wyniku działań zbrojnych mogło zginąć nawet dwieście tysięcy cywilów. Wspomina się również o zbrodniach wojennych, których miały się dopuścić chińskie wojska na tajwańskiej ludności cywilnej. Organizacja Narodów Zjednoczonych zapowiedziała przeprowadzenie drobiazgowego śledztwa w tej sprawie i wezwała rząd w Pekinie do współpracy.

Wciąż nieznane są przyczyny potężnego trzęsienia ziemi, które kilkanaście godzin temu nawiedziło wschodnie wybrzeże Oceanu Spokojnego. Według sejsmologów epicentrum znajdowało się około stu pięćdziesięciu kilometrów od wybrzeży Chin, a siła trzęsienia osiągnęła dziewięć stopni w skali Richtera. Wskutek powstałej fali tsunami zginęło przynajmniej kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców Tajwanu, Chin, Japonii, Filipin oraz Wietnamu. Największe zniszczenia odnotowano w Chinach, gdzie straty szacuje się na przynajmniej kilkadziesiąt miliardów dolarów, a zabitych liczy się w tysiącach.

Nadal nie mamy żadnych potwierdzonych informacji na temat wydarzeń w Korei Północnej. Według nieoficjalnych informacji doszło tam do zamachu stanu, przeprowadzonego przez przeciwnych reżimowi wojskowych. Najwyżsi dowódcy koreańskich wojsk doprowadzili do zbrojnego przejęcia władzy i natychmiast wystosowali oficjalne pismo do Seulu. Według południowokoreańskich oświadczeń w Pjongjangu miało dojść do ostrych walk, w wyniku których zabity miał zostać Kim Dzong Un. Wciąż nie znamy nazwiska następcy prezydenta, a Rada Ocalenia Narodowego, która uformowała się w Pjongjangu, wezwała rząd w Seulu do zakończenia walk i rozpoczęcia rozmów pokojowych.

Informacja z ostatniej chwili. Tymczasowy rząd Korei Północnej wydał właśnie oświadczenie i podziękował Chińskiej Republice Ludowej za pomoc w obaleniu tyrana i zapobieżeniu wybuchowi wojny atomowej, którą chciał wywołać na Półwyspie Koreańskim Kim Dzong Un. Jednocześnie Rada Ocalenia Narodowego zapowiedziała, że pierwszym krokiem nowo uformowanego rządu Korei Północnej będzie podpisanie traktatu pokojowego, który zakończy trwającą formalnie od 1950 roku wojnę... Dla TVN24 – Ludmiła Gajda.

Wyszła ze studia. Po drodze uśmiechnęła się wymuszenie do realizatora dźwięku. Na korytarzu wpadła na jednego z prezenterów, przeprosiła grzecznie i poszła do najbliższej łazienki. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, czuła się niemal jak zamroczone. Świat oglądała jak przez mgłę, każdego dnia wykonywała te same czynności machinalnie, jak robot, a jej myśli błądziły daleko. Bała się, kiedy

wyjechał, ale wiedziała, że taki ma zawód. Teraz coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że jest źle. Coś musiało pójść nie tak, myślała.

Łazienka była pusta. Stała przed umywalką, odkręciła oba kurki i odczekała, aż woda nieco się ogrzeje. Patrzyła w lustro, dłonie oparła o brzegi porcelanowej misy. Nie myślała, po prostu patrzyła. Nie usłyszała wibracji leżącego obok telefonu. Dopiero kiedy spadł na posadzkę, zerknęła na wyświetlacz. Dziwny kierunkowy, numer zdecydowanie nie pasował jej do żadnego ze znanych miejsc. Mimo wszystko przeciągnęła kciukiem przez ekran.

– Halo? – zapytała niepewnie.

– Cześć, Ludmiła – powiedział chłodnym tonem.

– Kuba?! – krzyknęła w słuchawkę. – Gdzie ty jesteś? Nic ci nie jest? Już wróciłeś? – Pytania wysypywały się z jej ust jedno po drugim.

– Jestem we Władywostoku, dopiero co przyплыliśmy – usłyszała w odpowiedzi.

– Jesteś cały? Ty i reszta?

Przez kilka sekund na linii panował szum. Ludmiła wydawało się, że Jastrzębski kilkakrotnie próbuje zebrać się do odpowiedzi, ale w ostatniej chwili coś go powstrzymuje. Nie była pewna, czy chce wiedzieć, co stało się na Tajwanie.

– Andriej? – zapytała drżącym głosem.

– Nie, Ludmiła, nie on – odparł Jastrzębski ostrzejszym tonem. – Preiss. Nie żyje.

Zakazane Miasto, Pekin, Chiny | 27 maja 2023, godzina 14:06

Negocjacje nie trwały długo. Zawieszenie broni weszło w życie już dwadzieścia cztery godziny po pierwszym kontakcie prezydenta Czianga z Pekinem. Ustalenie daty spotkania i rozmów pokojowych również nie nastęczało szczególnych trudności. Tajwańczycy dobrze wiedzieli, w jakim są położeniu. Przegrali na wszystkich frontach, wykrwawieni, zapędzeni w góry nie mieli szans utrzymać kontroli nad wyspą. Dalszy opór wiązałyby się tylko z kolejnymi ofiarami. Prezydent Cziang nie mógł dopuścić do kontynuowania rzezi. Nie po zbombardowaniu jego najcenniejszego kompleksu.

Pawilon Ogarniającej Życzliwości wypełniały postacie wciśnięte w idealnie skrojone garnitury i mundury. Pełna cesarskiego przepychu sala była esencją tego, co przez tysiąclecia stanowiło o potędze chińskiego imperium. Oddychając pod wysokim sklepieniem, miało się wrażenie, że w lśniącym drewnie i błyszczącym złocie słyhać głos dawnych władców. Nieprzypadkowo do podpisania traktatu pokojowego wybrano właśnie ten budynek. Serce partii rządzącej mieściło się właśnie tutaj. Xi Jinping podejmował tu najważniejsze dla państwa decyzje, a przypieczętowanie podboju Tajwanu tylko to potwierdzało.

Na środku centralnej sali pawilonu ustawiono połączony stół. Zdobiony oplatającymi nogi smokami wydawał się pulsować. Przez boki blatu prześlizgiwały się geometryczne kształty i rośliny. Smoki pluły złotymi płomieniami, mebel żył własnym życiem. Przy stole znalazły się również tak samo zdobione dwa wygodne krzesła. Uroczystość, choć zgromadziła spory tłum przedstawicieli zarówno Tajwanu, jak i Chińskiej Republiki Ludowej, miała obejść się bez medialnego szumu. Akredytowano zaledwie kilkanaście ekip telewizyjnych z całego świata. Oznajmiono, że po podpisaniu traktatu prezydent Xi Jinping oraz jego tajwański odpowiednik wydadzą tylko krótkie oświadczenia. Nie przewidziano też żadnych konferencji prasowych.

Przez boczne drzwi weszło dwóch urzędników. Na wyciągniętych rękach trzymali skórzane teczki, opatrzone godłami obu krajów. Xi Jinping celowo zdecydował się na ten gest. Teczki spoczęły na lakierowanym blacie stołu, urzędnicy położyli przed nimi po dwa pióra.

Xi Jinping i Cziang weszli przez centralne wrota. Bez asysty, sami, ramię przy ramieniu. Twarz Chińczyka jak zawsze nie wyrażała żadnych emocji, nalane policzki i wąskie szparki oczu nawet nie drgnęły. Tajwańczyk ściągnął usta w kreskę, zaciśnięte mocno szczęki wydeły kości policzkowe, nadając twarzy Czianga trupi wyraz. Usiedli na krzesłach. Flesze strzeliły seriami zdjęć. Otworzyli teczki: wewnątrz była tylko jedna kartka. Cziang sięgnął po pióro i przyłożył końcówkę stalówki do papieru.

– Tak umiera niepodległość... – powiedział, nie odwracając głowy od dokumentu.

– Nie, panie prezydencie. – Xi Jinping uniósł delikatnie kąciki ust. Starannie wykaligrafował swój podpis. – Tak rodzi się imperium.

Po wydaniu oświadczeń obaj prezydenci stanęli wśród swoich doradców. Podpisanie traktatu było tylko fasadą dla ustanowienia nowego porządku na Tajwanie. Prawdziwa walka o władzę rozpocznie się dopiero za zamkniętymi drzwiami. Rząd Jinpinga musiał przekonać Tajwańczyków do współpracy, w przeciwnym razie Chińczyków czekałyby lata długich walk z partyzantami i jawnym oporem ze strony społeczeństwa. Nie mieli na to ani czasu, ani środków, szczególnie jeśli przypuszczenia co do stanu

kompleksu zimnej fuzji się potwierdzą.

Xi Jinping minął tajwańskich polityków i delikatnie skinął głową na znak szacunku. Tak drobne gesty nie mogły skruszyć stojącego między nimi muru, ale być może pozwolą na konstruktywną dyskusję. Chińczycy byli potężniejsi, ale nie zamierzali traktować swojego rozmówcy jak nędzarza.

Podszedł do niewielkiej grupki, w której znajdowali się premier Li Keqiang oraz minister spraw zagranicznych Wang Yi. Mężczyźni żywo rozmawiali. Obserwując ich twarze i gestykulację, Xi Jinping stwierdził, że to sprawa niecierpiąca zwłoki.

– Jakies nowe informacje? – zapytał prezydent. Jego beznamiętny wzrok przesunął się po twarzach podwładnych.

– Tak, panie prezydencie. Przed momentem dzwonił do mnie generał Szeniu – odpowiedział Li Keqiang. – Prosił o niezwłoczne spotkanie. Powinien już być w pawilonie.

– Proszę, prowadźcie. – Jinping skinął na premiera. – Ministrze Yi, proszę odciągnąć uwagę od naszej nieobecności.

– Oczywiście, panie prezydencie – odparł Wang Yi.

Dwaj najważniejsi politycy w państwie zniknęli za bocznymi drzwiami, tymi samymi, przez które kilkanaście minut wcześniej ulotnili się urzędnicy z podpisanymi traktatami. Przeszli wysokim korytarzem, oświetlanym stylizowanymi lampami. Premier wskazał jedną z odnóg i ruszył przodem. Zatrzymali się przed masywnymi drzwiami. Li Keqiang naparł na klamkę.

Pokój był jasny i przestronny. Wyłożone drewnem ściany zapraszały, by zapaść się w miękkich fotelach i zrelaksować. Jedną ze ścian stanowił iluminator, który wychodził na sporych rozmiarów ogród. Generał Lu Szeniu stał przy szybie z rękoma schowanymi w kieszeniach spodni.

– Generale Szeniu. – Xi Jinping drobnymi krokami zbliżył się do iluminatora.

– Panie prezydencie. – Szef III Departamentu wyprostował się i skłonił nieznacznie.

– Mówcie. – Prezydent złączył dłonie na plecach i zapatrzył się w kołysane wiatrem liście.

– Nasi ludzie dotarli do bunkra pod kompleksem. Tak jak się obawialiśmy... – Lu Szeniu zrobił krótką pauzę. – Reaktor został zniszczony. Odgruzowujemy go, ale inżynierowie nie są w stanie odpowiedzieć, czy będzie możliwa naprawa. Istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że poza materiałami i pojedynczymi próbkami nie uda nam się z niego nic wyciągnąć. Amerykanie dobrze wiedzieli, gdzie rzucić bomby – dodał na koniec.

Xi Jinping milczał przez dłuższą chwilę. Wiatr muskał korony drzew, fontanna pluskała leniwie pośród niskich krzewów. Nie takich wieści oczekiwał.

– Zdobyliśmy gruzy i zrujnowaną do gołej ziemi wyspę. To chce mi pan powiedzieć, generale? – zapytał prezydent.

– Amerykanie dokonali nalotu bez porozumienia z Tajwańczykami.

– Oczywiście, Albert Armitage zrozumiał, jak wyprowadziliśmy ich w pole w Korei Północnej. Odegrał się. Nie sądziłem, że zdecyduje się na tak drastyczny krok. – Xi Jinping spuścił wzrok i odszedł od iluminatora.

– Zadaliśmy im duże straty, Amerykanie wiedzą, że nie są już jedynymi panami na Pacyfiku. – Generał Szeniu odwrócił się do prezydenta. – Mamy też Koreę, to zmienia układ sił na naszą korzyść.

– Ale nie rozwiązuje problemu, generale. – Xi Jinping przeszedł wzdłuż regału pełnego opasłych tomów. – Amerykański prezydent potwierdził moje obawy. Będzie zdolny do wszystkiego, by osiągnąć swoje cele. Jeśli to rzeczywiście było to, co sugerujecie...

– Istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że trzęsienie ziemi było wynikiem użycia broni klimatycznej, panie prezydencie. Zaobserwowaliśmy silny wzrost promieniowania mikrofalowego w rejonie epicentrum.

Prezydent uśmiechnął się nieznacznie. Wykorzystanie broni klimatycznej było czymś, na co nie zdecydowało się dotąd żadne ze światowych mocarstw. Skoro Albert Armitage był aż tak pyszny, by

wziąć na swoje sumienie dziesiątki tysięcy cywilnych ofiar, należało to wykorzystać.

– Kontynuujcie pracę w kompleksie na wyspie, wyciągnijcie spod gruzów wszystko, co pomoże przyspieszyć nasz program – powiedział prezydent. Minał regał i stanął przy zamkniętych drzwiach, prowadzących na korytarz. – Proszę uaktywnić naszych agentów w obu Amerykach i w Europie. Musimy być przygotowani, generale.

Biały Dom, Waszyngton DC, USA | 29 maja 2023, godzina 08:48

Nie mogli nazwać tego porażką, choć nie osiągnęli pełnego zwycięstwa. Wojskowi byli z siebie zadowoleni, unicestwili znaczną część chińskiej floty, a pokaz siły „Zeusa” doprowadził do ogromnych zniszczeń w bazach morskich na wybrzeżu Chin. Naturalnie żaden z oficerów na czele z Jamesem Carterem nie poruszał tematu skutków ubocznych uruchomienia „Zeusa”. Miliardowe straty i ogromna liczba zabitych cywilów nie wyglądałyby najlepiej w statystykach amerykańskiej kampanii.

Powiedzieć jednak, że Albert Armitage był zadowolony z wyniku tajwańsko-chińskiego konfliktu, byłoby sporym nadużyciem. Kontrola nad reaktorem zimnej fuzji byłaby warta utraty całej VII Floty. Zamiast tego bilans amerykańskiego zaangażowania wychodził na zero. Stracili sporą liczbą okrętów i samolotów, w Korei Północnej powstawał właśnie prochiński, liberalny rząd. Jedynym jasnym punktem było zniszczenie reaktora, nim wpadł w ręce Chińczyków. Dzięki tej operacji Pekin objął kontrolę nad zrujnowanym krajem, którego gospodarka i infrastruktura legły w gruzach.

– Jesteśmy gotowi do rozpoczęcia procesu wycofywania Siódmej Floty do Japonii – powiedział admirał Steven Georgetown. – Wygląda na to, że Hindusi i Wietnamczycy zawijają już do swoich portów.

– Nie, nie... – Albert Armitage pokiwał palcem. – Nie wycofujemy wszystkich sił. Niech wszystkie zdolne do walki okręty Siódmej Floty stacjonują na Okinawie. Na wyspy macierzyste wyślijcie te, które wymagają napraw lub remontu. Tak samo zróbmy z siłami powietrznymi i piechotą morską. Nie wiemy, co wymyśli Jinping, szczególnie jeśli chodzi o Koreę Północną.

– Siły zbrojne reżimu poszły w rozsypkę – powiedział Martin Dempsey. – Kiedy Koreańczycy z Południa przekroczyli linię demarkacyjną, ich strategia wzięła w łeb. Walili artylerią we własne oddziały, niszczyli mosty, którymi nie zdążyły się jeszcze przeprowadzić sojusznicze siły. Sami blokowali sobie możliwości manewru, a potem atakowali jak Japończycy podczas drugiej wojny...

– Wiadomo, ile jest ofiar? – zapytał Armitage z czystej ciekawości.

– Około stu pięćdziesięciu tysięcy. Rannych wciąż liczą – odparł Dempsey. – Seul stracił nieco ponad czterdzieści tysięcy ludzi. Gdyby nie Chińczycy, doszliby do Pjongjangu w ciągu kilku, najpóźniej kilkunastu dni.

– No właśnie, a teraz patrzymy, jak na gruzach tego reżimu powstaje nowy. Jinping nas oszukał, od samego początku planował taki rozwój wypadków – ciągnął Armitage. – Zacznie budować na półwyspie nowy ład, otworzy Koreę Północną na świat, ściągnie zagraniczne koncerny, inwestycje. Skurwysynowi dadzą jeszcze pokojowego Nobla.

Wojskowi wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Żaden nie skomentował wypowiedzi prezydenta, choć większość przyznawała mu rację. Armitage umilkł na chwilę i pogładził złoty sygnet na palcu.

– Straciliśmy Tajwan i możliwość kontrolowania najważniejszej technologii od czasów ujarznienia energii atomowej – zaczął Armitage. – Zadaliśmy Chińczykom straty, które w dużej mierze ugruntowały naszą pozycję na Pacyfiku. My mamy jeszcze dziesięć lotniskowców, oni jeden – zaznaczył Armitage. – Chcę, żeby Siódma Flota w porozumieniu z siłami zbrojnymi Indii, Wietnamu, Filipin i wszystkich naszych sojuszników na Dalekim Wschodzie była w pełnej gotowości bojowej. Chińczycy może i zajęli Tajwan, ale muszą wiedzieć, że każdy krok dalej spotka się ze zdecydowaną odpowiedzią.

James Carter, dowódca amerykańskich sił powietrznych, uśmiechnął się delikatnie. Dla niego kampania zakończyła się najlepiej. Owszem, stracił kilkadziesiąt maszyn należących do sił powietrznych, ale stosunek zwycięstw do porażek robił wrażenie. Wciąż dysponował setką maszyn rozlokowanych w

bazach powietrznych w Japonii i Korei Południowej. Steven Georgetown oraz dowódca marines nie byli już takimi optymistami. Obaj wiedzieli, że w przypadku ponownego starcia z siłami Korei Północnej i Chin to właśnie na nich spadną najsilniejsze ciosy. Lotnictwo sobie poradzi, jak zawsze.

Martin Dempsey oparł żyłastą dłoń o zdobione oparcie kanapy. Prezydent upierał się przy VII Flocie, choć marynarka wciąż dysponowała siłami, które w każdej chwili mogły zostać przerzucone w rejon Pacyfiku. Szef Kolegium szczerze wątpił, by w ciągu najbliższych tygodni Chińczycy do spółki ze zdruzgotanymi Koreańczykami byli w stanie zagrozić Ameryce lub któremuś z dalekowschodnich sojuszników.

– Ciężaru takich zadań nie musi ponosić tylko Siódma Flota. Poza tym Chińczycy są wyraźnie osłabieni, nie wspominając już o Koreańczykach z Północy. Nie będą w stanie zaatakować i poważnie nam zaszkodzić.

– Siódma Flota w zupełności wystarczy. Na miejsce płynie już lotniskowiec, który zastąpi „Ronalda Reagana” – odparł Armitage. – Poza tym, Martin, panowie... Nie powinniśmy w tej chwili za bardzo rozdzielać naszych sił.

Wzrok członków Kolegium Połączonych Szefów Sztabów zogniskował się na postaci prezydenta. Armitage uśmiechnął się, ukazując śnieżnobiałe zęby. Oparł łokcie na kolanach i pochylił się w stronę zebranych w gabinecie.

– Turcja na południu... Wciąż nie może pogodzić się z porażką na Kaukazie. Ormianie i Azerowie poczuli za plecami silnych protektorów i wygląda na to, że szykują się, by znowu skoczyć sobie do gardeł. Nasza brygada w Gruzji może nie wystarczyć, żeby rozdzielić obie strony – ciągnął prezydent. – Turcy nie starają się szczególnie powstrzymać Ormian w Karabachu. Nic się tam nie zmieniło, Kaukaz to nadal beczka prochu. Mieliśmy nadzieję, że uda nam się tego uniknąć, ale wygląda na to, że Arktyka ponownie stanie się priorytetowym regionem w walce o energetyczną dominację. Rosjanie i Przymierze mają najlepszą pozycję wyjściową w tym wyścigu. Opuściliśmy na rzecz zimnej fuzji, ale jak widać, był to błąd. Należy wznowić rozmowy z Norwegami i resztą, nie możemy zostawać w tyle. Dobrze panowie wiedzą, co dzieje się na granicy z Meksykiem – pogranicze przypomina kocioł. Chciałbym zauważyć, że Chińczycy to największy inwestor i sojusznik Meksyku. Pekin nie przepuści okazji, by odgryźć się za zniszczenie reaktora. Poza tym zostaje nam jeszcze jeden, największy problem... Europa.

Martin Dempsey kiwnął głową. Choć nie zawsze podzielał obawy prezydenta, pogłębiający się podział Europy stwarzał realne zagrożenie dla światowego pokoju.

– Otóż to, Martin. Unia trzeszczy w szwach, Niemcy miotają się między Przymierzem a Zachodem. Francuzi coraz bardziej zaostrzają prawo migracyjne, zamieszki stają się tam codziennością. Wielka Brytania przygląda się wszystkiemu i próbuje grać na dwa fronty, a wszyscy dobrze wiemy, do czego to prowadzi – wyliczał Armitage. – Nie będę nawet wspominał o Włochach, Grekach, Hiszpanach i reszcie wesołej ferajny zalanej przez uchodźców z Bliskiego Wschodu. Panowie... – Albert Armitage nabrał powietrza. – Opuściliśmy Europę i daliśmy im wolną rękę. Przez jakiś czas to działało i muszę przyznać, miałem nawet cichą nadzieję, że Stara Unia dogada się z Przymierzem. Myliłem się...

– Niemiecki kanclerz zapewnia nas, że nie zamierza grać przeciwko Unii Europejskiej. Powstała ponoć inicjatywa mająca na celu jednoczesne wydalenie krajów zrzeszonych w Przymierzu ze struktur unijnych – odparł Dempsey.

– Co to da, Martin? To tylko pogłębi kryzys... – Albert Armitage machnął otwartą dłonią. – Spójrzcie, jesteśmy otoczeni, świat zaczyna wymykać nam się z rąk, sypać między palcami. Nie możemy tego dłużej tolerować, Ameryka zasnęła i obudziła się z ręką w nocniku. Ale wiercie mi, już niedługo naprowadzimy świat na właściwe tory.

Pałac Prezydencki, Warszawa, Polska | 31 maja 2023, godzina 11:06

Henryk Żuławski zabębnił palcami o blat stołu. Historia, którą opowiedział mu Radosław Bielecki, mroziła krew w żyłach. Prezydent słuchał ponad godzinę, nie przeszkadzał, nie zadawał pytań. Wiedział, że przyjaciel musi się po prostu wygadać. Kilka dni mordęgi, zabójczego wręcz marszu, potem cztery dni kluczenia kilkudziesiąt metrów pod poziomem morza. Gorączka, stres i skrajne zmęczenie dawały o sobie znać przez następne dni spędzone w szpitalu we Władywostoku. Do Polski przylecieli niespełna dobę temu i choć wszyscy woleli spędzić czas z rodzinami, Bielecki z samego rana udał się na Krakowskie Przedmieście.

– No... – zaczął dyplomata po dłuższej chwili, po czym zakaszłał i odchrząknął. Choroba wciąż trzymała się zmęczonego ciała. – To by było na tyle, Henryk. Nigdy w życiu się tak nie bałem. Wiesz? Nigdy w życiu nie czułem się tak bezradny.

– Nikt z nas nie wie, jak zachowałyby się w takiej sytuacji – odpowiedział prezydent. Współczuł przyjacielowi, Radosław przeszedł przez piekło. Choć psychologowie zgodnie twierdzili, że większość dyplomatów uratowanych z Tajwanu wyszła już z szoku, Żuławski był pewien, że demony tylko na chwilę przycisnęły się w cieniu.

– Nie posądzałbym się, że jestem w stanie tak myśleć – kontynuował Bielecki. Był blady i ciężko oddychał. Żuławski zmarszczył brwi, uważał, że przyjaciel wciąż powinien przebywać w szpitalu albo chociaż w łóżku w swojej sypialni. – Poza tym ja to powiedziałem, Henryk. Ja chciałem ich tam zostawić i ratować własną dupę.

Radosław Bielecki wstał z krzesła i podszedł do regału pełnego książek. Przez krótką chwilę śledził wzrokiem pozłacane tytuły na grzbietach. Schował dłonie do kieszeni spodni i pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Co się ze mną stało? – zapytał sam siebie.

– Radek. – Prezydent również wstał. – Doprowadziłeś na brzeg niemal wszystkich naszych ludzi. To, że część zginęła w trakcie ucieczki, nie jest twoją winą. Byłeś przerażony, spanikowany. Myślisz, że ja albo ktoś inny zachowałby się jak bohater? Ważne jest to, że dotarłeś z nimi na wybrzeże i wsadziłeś ich na ten pieprzony okręt.

– Ja nic nie zrobiłem, Henryk – odparł Bielecki. – Szedłem wtedy, kiedy mi kazali, jadłem wtedy, kiedy coś znaleźli, i srałem, jak akurat w naszą stronę nie leciały pociski. Tyle zrobiłem. Jeszcze ten kapitan, jak mu było...

– Preiss, kapitan Preiss – przypomniał prezydent.

– No właśnie, Preiss. Trzymał nas w kupie od samego początku. Szkoda chłopca... On nie żyje.

Żuławski nie odpowiedział. Przeczytał raport, zanim jeszcze „Wielkie Łuki” zawinęły do bazy marynarki wojennej we Władywostoku. Po potyczce w fabryce pod Jilan teren stał się areną znacznie większej bitwy między zdziętkowanymi siłami Tajwańczyków a chińskimi oddziałami szturmowymi. Przez fabrykę przewinęły się dziesiątki żołnierzy i pojazdów, a ruiny zostały jeszcze kilkukrotnie zryte przez artylerię. Cały kombinat zrównano z ziemią. Nie było szans na to, żeby wrócić i wydobyć ciało Preissa. Komandosi z Radegastu jeszcze o tym nie wiedzieli. Prezydent poprosił, by Bobolice pozwoliły chłopakom na chwilę oddechu.

– Myślę, że możemy nieco poczekać z wyborem nowej placówki. – Prezydent spróbował zmienić temat. – Nie ma pośpiechu. Chyba że wolałbyś zostać w Warszawie.

Radosław Bielecki uśmiechnął się krzywo. Długo zastanawiał się nad tym, co zrobi, kiedy już dotrze do pałacu. Wiedział, że Żuławski spróbuje zrobić to, co zawsze. Pomóc mu zapomnieć o traumie, wskazując nowe obowiązki.

Dyplomata spojrział na prezydenta. Jego uśmiech był smutny, bardzo smutny.

– Właściwie to mam coś dla ciebie. – Bielecki sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął zamkniętą kopertę. – Proszę.

– Co to jest?

– Zajrzyj – zachęcił prezydenta Bielecki.

Żuławski wyjął złożony na trzy arkusz papieru i przebiegł wzrokiem po krótkim tekście. Przeczytanie wiadomości zajęło mu mniej niż minutę. Zaciął usta w kreskę i westchnął.

– Jesteś pewien? – zapytał. – Nie musisz się z tym spieszyć.

– Wiem, ale wierz mi, podjąłem już decyzję – odpowiedział Bielecki.

– Cóż... W takim razie pozwól, że zajmę się tym od razu. – Prezydent podszedł do biurka i sięgnął po pióro. Zawahał się i zwrócił wzrok na stojącego przy regale Bieleckiego. Ten skinął potwierdzająco głową. – No dobrze.

Żuławski złożył zamaszty podpis. Rezygnacja dyplomaty została przyjęta.

– To co teraz, Radek? – zapytał prezydent.

– Spokój, mam nadzieję – odpowiedział Bielecki ze smutnym uśmiechem.

EPILOG

Góry Tien Szan, Zachodnie Chiny | 1 czerwca 2023, godzina 03:16

Obudził go ból, czuł go przy każdym oddechu. Połamane żebra, posiniaczone ciało, twarz tak obita, że ledwie widział na oczy. Nie miał pojęcia, jak długo spał. Spróbował podnieść się i usiąść. Wykręcone ramiona miał spięte na łańcuchu podwieszonym do betonowego sufitu. Jęknął, ramiona przejęły cały ciężar bezwładnego ciała, poluzowane mięśnie zapiekły żywym ogniem. Usiadł dopiero po dłuższej chwili, oparł się plecami o ścianę i spróbował wstać. Poranione stopy trzeszczały w kostkach, lodowata ściana wywoływała dreszcze. Stał na równe nogi i oparł zarośniętą głowę o chropowatą fakturę betonu. Ręce opadły wzdłuż tułowia. Starł się oddychać płytko, by zminimalizować ból w klatce.

Spojrzał przed siebie. Podobne do okrętowych drzwi były jedynym elementem, który wyróżniał się na tle szarości ścian. Świetlik na wysokości oczu był zamknięty. Przypominał sobie, że raz na jakiś czas ktoś zaglądał do środka i komentował widok. Żarówka zamknięta w okratowanym kloszu zamigotała.

Kroki usłyszał, dopiero kiedy doszli do drzwi. Chwilę później ktoś spojrzał przez świetlik, zamek stęknął i drzwi otworzyły się powoli. Spał mięśnie, spróbował stanąć bokiem, uniósł ramiona do obrony. Robili to już wielokrotnie, wpadali do celi w dwójkę lub trójkę i okładali pałami aż do nieprzytomności.

Przez opuchnięte oczy nie widział, ilu weszło do środka. Czekał na atak, lecz ten nie nastąpił. Trzy postaci rozstawiły się wewnątrz celi. Byli uzbrojeni, widział, w jaki sposób trzymają przed sobą dłonie. Ich nerwowość wskazywała na to, że mogą wystrzelić w każdej chwili. Ponownie spojrzał na otwarte szeroko drzwi, przez które do środka weszła jeszcze jedna postać. Tym razem wydawało się, że mężczyzna nie czuje żadnego skrępowania. Powoli przekroczył próg i stanął na szeroko rozstawionych nogach. Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, wreszcie westchnął i zrobił kolejny krok. Podeszwy zastukały o beton.

Oprawca miał na sobie mundur. Nie był w stanie rozpoznać oznaczeń, ale to z pewnością był mundur, nieco bogatszy w prezencji, więc stać musiał przed nim oficer. Mężczyzna nachylił się, badał wzrokiem zmaltretowane ciało. Kilkukrotnie skrzywił się, jakby poczuł krwiaki na własnym ciele, jakby rzeczywiście mu współczuł. Wreszcie odsunął twarz i uśmiechając się, spojrzał prosto w zapuchnięte oczy. Wziął głęboki oddech i przemówił szkolnym angielskim:

– Zmarniał nam pan tutaj, kapitanie Preiss. Najwyższy czas coś z tym zrobić.

KONIEC

Jakub Pawełek „Pierścień Ognia” – recenzja

„USA kontra Chiny...” – taki napis widnieje na okładce najnowszej powieści Jakuba Pawełka tuż pod epicką sceną morskiej bitwy. Mrożące krew w żyłach i jednocześnie „śmiesznie” krótkie sformułowanie w istocie opisuje główny motyw fabuły, jaką raczy nas Autor w czwartej części swojego cyklu pt. „Przymierze”. „Pierścień ognia” to jazda bez trzymanki w polityczne intrygi i wojenne zawieruchy 2023 roku z futurystyczną

technologią zimnej fuzji jako głównym „winowajcą” przelewu krwi.

Czekałem na tę książkę od dawna. Od czasu przeczytania pierwszych trzech powieści Jakuba Pawełka i informacji, że w dniu 12 października 2016 roku ukaże się „Pierścień Ognia”. I doczekałem się. Nie tylko przyjemności samego przeczytania jej, ale i zrecenzowania. Książka ukazała się pod Naszym patronatem medialnym (czytaj więcej: „Pierścień Ognia” pod naszym patronatem medialnym).

Okładka. W porównaniu z poprzednimi, w mojej subiektywnej opinii, jest najlepsza: pod względem kolorystyki, klimatu, stylu pisowni tytułu... Prawdziwa ozdoba na półkę. A sam tytuł? Sądziłem, że „odkryłem” jego znaczenie po przeczytaniu 1/3 książki, co jest po części prawdą, ale Autor zaskoczył mnie w finale powieści. „Pierścień Ognia” ma dwa równoległe znaczenia, o czym... przekonacie się po przeczytaniu książki!

Bohaterowie. Na poziomie „globalnym” mamy do czynienia ze politycznymi „wyjadaczami”, znanymi z poprzednich części cyklu: prezydentami Chińskiej Republiki Ludowej, Xi Jinpingiem oraz USA, czyli Albertem Armitage’em czy epizodycznie Rosji, Władimirem Putinem. Jednak to ci dwaj pierwsi panowie będą rozdawać karty na wielkiej szachownicy, jaką jest Pacyfik. Na poziomie „lokalnym” pojawiają się starzy znajomi z jednostki specjalnej Radegast czy kapitan (po awansie) Chon z Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, nie mogło też zabraknąć dziennikarki TVN24, Ludmiły Gajdy. Pojawiają się również postaci drugoplanowe znane już Czytelnikowi serii, takie jak Joe Biden czy Petro Poroszenko, jak również zupełnie nowe, zważywszy na nowy obszar „zainteresowań” Autora, jak i miejsca fabuły.

Fabula – skoro już jesteśmy przy tym. Książka traktuje o skomplikowanym i krwawym konflikcie zbrojnym na Dalekim Wschodzie, którego przyczyną jest polityczna intryga mająca na celu zdobycie nowej, futurystycznej technologii tzw. zimnej fuzji, dzięki której zwycięskie mocarstwo posiada nieograniczone źródło energii i globalną dominację nad innymi. Pech chciał, że państwem, które jako pierwsze ujarzmiło nową technologię jest malutki Tajwan, który bynajmniej mocarstwem nie jest, ale

jego strategicznym sojusznikiem są Stany Zjednoczone, próbujące – w świecie Pawełka – próbują odzyskać należne im miejsce. Drugim pretendentem do pozyskania tej technologii jest Chińska Republika Ludowa, upokorzona i pobita w dwóch innych książkach Autora, czyli we „Wschodnim Gromie” i „Perskim Podmuchu”. Zanim jednak następuje starcie tytanów, na Półwyspie Koreańskim wrze i Kim Dzong Un (kolejny drugoplanowy gracz) atakuje Koreę Południową. USA stają w obronie swojego sojusznika i angażują w to znaczne siły na Pacyfiku. Czy to tylko przypadek, że Pekin wykorzystuje ten fakt i dokonuje ataku z powietrza, a następnie blokady morskiej Tajwanu i desantu na tę wyspę? Przekonajcie się sami...

Jak wspomniałem we wstępie, Autor zaserwuje nam jazdę bez trzymanki, przenosząc Czytelnika w realia podniebnych bitew pomiędzy najnowocześniejszymi myśliwcami 5. generacji – tajwańskimi i amerykańskimi F-35 Lightning II i chińskimi J-20, gdzie nawet potężne lotniskowce pośle bez skrępowań na dno, a tajwańskie metropolie obróci w pył. W międzyczasie przeczytamy jak możni tego świata jedną decyzją skazują na śmierć tysiące ludzi w imię swoich politycznych celów, a w środku tej wojennej zawieruchy znajdują się komandosi jednostki specjalnej Radegast, którzy mają za zadanie ewakuację z wyspy misji handlowo-dyplomatycznej Przymierza. Będziemy mieć możliwość śledzenia ucieczki z atakowanego z powietrza i lądu Tajpej zwykłej tajwańskiej rodziny, której spokojne dotychczas życie, jak tysiące innych, zostało przewrócone do góry nogami i zostanie poddane próbie zachowania moralności i zasad. Jak nasi bohaterowie poradzą sobie w brutalnym świecie militarnej siły i zbrodni wojennych? Powtórzę po raz trzeci: musicie przekonać się sami!

Podsumowując – warto było czekać. To bodaj najlepsza z recenzowanych przeze mnie w tym roku książek. A trochę tego było. Zasługuje na honorowe miejsce tuż obok trzech wcześniejszych części w stu procentach. „Pierścień Ognia” to kapitalny militarny thriller, z arcydokładnym opisem uzbrojenia, jak i skutków jego użycia. To political

fiction z alternatywną wizją świata, gdzie Stany Zjednoczone muszą zepchnięte na boczny tor próbują wrócić do gry, w czasie gdy Chiny rozbudują globalne imperium (nie wspominając o rozbitej w tym samym czasie na dwie części Unii Europejskiej czy Przymierzu, przypominającym trochę Układ Warszawski). To w końcu świetny dramat, w którym Autor bardziej, niż zwykle skupia się na zwykłych cywilach-ofiarach politycznych gier i militarnych działań. Cóż rzec? Polecam!

JAKUB PAWEŁEK (ur. 1990) – jest absolwentem filologii rosyjskiej Uniwersytetu Śląskiego, studiował w Akademii Obrony Narodowej. Na co dzień „korporacyjny trybik”, po godzinach fascynat wojskowości, Airsoftu i papierowych konfliktów zbrojnych. Zainspirowany twórczością Clancy’ego i Bonda postanowił spróbować swoich sił w starciu z tematyką militarnego thrillera. Autor książek: „Wschodni Grom”, „Perski Podmuch” i „Kaukaski Płomień”. Strona autora na Facebooku: Jakub Pawełek – cykl „Przymierze”

<http://www.nowastrategia.org.pl/>

[recenzja](#)

[książki](#)

Rafał Muczyński - Paź 24, 2016

Jakub Pawełek serwuje kolejny świetny militarny thriller, Którego Nie powstydzil by się sam Tom Clancy. Polecam!

Jakub Czechowski, „Tobie Ojczyzno”



Tajwan jako pierwszy opracowuje futurystyczną technologię zimnej fuzji. Pekin dostrzega swoją szansę. Największa armia świata szykuje się do inwazji.

Stany Zjednoczone, jak zwykle, gdy w grę wchodzi zasoby, technologia i pieniądze, wysyłają swoją flotę. Najpotężniejsza morską siłą świata kieruje się ku wodom Morza południowo-chińskiego. Pacyfik staje się areną największego konfliktu morskiego od czasów II wojny światowej.

Gdzieś pośrodku tego piekła ląduje europejska jednostka specjalna Radegast z Polakami w swoich szeregach...

Patronat medialny

Polska Zbrojna

NOWA

FRAG OUT!
FRAGOUTMAG.COM

SPECIAL OPS
SPECIAL OPS MAG

Więcej pełnych akcji książek
militarnych znajdziesz na
www.warbook.pl

